



NICHOLAS
SPARKS

WE DWOJE

O książce

Ukochaną osobę traci się powoli.

Kiedy w drugiej osobie wygasa chęć do budowania wspólnej przyszłości, nawet najczulsze gesty nie mogą uratować przed katastrofą. Przekonuje się o tym Russell Green, trzydziestodwulatek, który myślał, że ma wszystko. Bo codziennie mógł trzymać w ramionach żonę i sześćioletnią córkę. Teraz nie potrafi powiedzieć, kiedy dokładnie jego życie zaczęło się rozpadać. Wie tylko, że z całej siły walczył, żeby na to nie pozwolić. I poniósł porażkę. Russellowi przyjdzie zmierzyć się z nieznanym, pokonać własne słabości i wczuć się w rolę pełnoetatowego ojca. Czekają go wielki emocjonalny test, ale też... niespodziewane spotkanie, które odmieni jego przyszłość.

NICHOLAS SPARKS

Współczesny amerykański pisarz, którego książki o łącznym nakładzie przekraczającym 85 milionów egzemplarzy ukazały się w ponad 50 językach. Serca czytelników podbił w 1997 roku swoim debiutem - powieścią **Pamiętnik**. Kolejne - m.in. **Noce w Rodanthe**, **Anioł Stróż**, **Ślub**, **Prawdziwy cud**, **I wciąż ją kocham**, **Wybór**, **Ostatnia piosenka**, **Szczęściarz**, **Bezpieczna przystań** oraz **Dla Ciebie wszystko** - znajdowały się przez wiele miesięcy w czołówce światowych rankingów sprzedaży. Kolejne powieści, **Najdłuższa podróż** i **Spójrz na mnie**, wkrótce po ukazaniu się trafiły na pierwsze miejsca list bestsellerów. Większość książek Sparksa została przeniesiona na duży ekran, a w filmowych adaptacjach wystąpiły takie gwiazdy amerykańskiego kina, jak: Rachel McAdams i Ryan Gosling (**Pamiętnik**), Diane Lane i Richard Gere (**Noce w Rodanthe**) czy Robin Wright i Kevin Costner (**List w butelce**). W 2016 roku swoją premierę miała ekranizacja książki **Wybór**.

nicholassparks.com

Tego autora

PAMIĘTNIK
ŚLUB
LIST W BUTELCE
JESIENNA MIŁOŚĆ
NOCE W RODANTHE
NA RATUNEK
NA ZAKRĘCIE
ANIOŁ STRÓŻ
TRZY TYGODNIE Z MOIM BRATEM
PRAWDZIWY CUD
OD PIERWSZEGO WEJRZENIA
SZCZĘŚCIARZ
WYBÓR
I WCIĄŻ JĄ KOCHAM
OSTATNIA PIOSENKA
BEZPIECZNA PRYZSTAŃ
DLA CIEBIE WSZYSTKO
NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ
SPÓJRZ NA MNIE
WE DWOJE

Tytuł oryginału:
TWO BY TWO

Copyright © Willow Holdings, Inc. 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2017

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: Pete Thompson Photography/Gallery Stock

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-6578-182-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

*Dla Ciebie, mój wierny Czytelniku,
w podziękowaniu za ostatnie dwadzieścia lat*

ROZDZIAŁ 1

A z dzieckiem to już troje

– O ja cię! – Oto, co powiedziałem, kiedy Vivian wyszła z łazienki i pokazała mi test ciążowy. – To cudownie!

Jednak to, co czułem w tamtej chwili, było bardziej zbliżone do... Poważnie? Już?

Przede wszystkim byłem zaskoczony i przerażony. Byliśmy małżeństwem nieco ponad rok, a ona zdążyła oświadczyć, że kiedy zdecydujemy się na dziecko, przez kilka pierwszych lat jego życia zostanie w domu. Zawsze przytakiwałem, gdy to mówiła – ja również tego chciałem – ale w tamtej chwili dotarło do mnie, że nasze życie bezdzietnej pary z dwiema pensjami wkrótce dobiegnie końca. Co więcej, nie byłem pewien, czy jestem gotowy na to, by zostać ojcem, ale co mogłem zrobić? Przecież mnie nie oszukała, nie ukrywała, że chce mieć dziecko, i poinformowała mnie, kiedy przestała brać pigułki. Oczywiście ja też chciałem mieć dzieci, ale odstawiła antykoncepcję zaledwie trzy tygodnie temu. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że minie co najmniej kilka miesięcy, zanim jej ciało przyzwyczai się do nowej sytuacji. Z tego, co wiedziałem, mogła mieć problemy z zajściem w ciążę, a to oznaczało, że równie dobrze może nawet minąć rok lub dwa lata.

Ale nie w przypadku mojej Vivian. Jej ciało przystosowało się od razu. Moja Vivian była płodna.

Objąłem ją i przyjrzałem się jej z uwagą, żeby zobaczyć, czy już promienieje. Ale na to było jeszcze zbyt wcześnie, prawda? Zresztą, o co chodzi z tym całym promienieniem? To jeszcze jeden

sposób, żeby powiedzieć komuś, że wygląda zmysłowo i ponętnie. Jak zmieni się nasze życie? I w jakim stopniu?

Trzymałem żonę w ramionach, w mojej głowie kłębiły się dziesiątki pytań, a ja, Russell Green, nie znałem odpowiedzi na żadne z nich.

*

Kilka miesięcy później nadszedł wielki DZIEN, choć muszę przyznać, że niewiele z niego pamiętam.

Z perspektywy czasu myślę, że powinienem był zapisywać wszystko, gdy miałem to na świeżo w pamięci. Dzień taki jak TEN powinno się zapamiętać w najdrobniejszych szczegółach – nie jako ciąg niewyraźnych migawek. Jedynym powodem, dla którego pamiętam to, co pamiętam, jest Vivian. Mam wrażenie, że każdy szczegół wyrył się jej w pamięci, ale w końcu to ona rodziła, a ból ma to do siebie, że potrafi wyostrzyć zmysły. Tak przynajmniej mówią.

Wiem tylko, że czasami, kiedy wspominamy tamten dzień, nasze relacje bywają rozbieżne. Ja, na przykład, jestem zdania, że zważywszy na okoliczności, moje poczynania były jak najbardziej zrozumiałe, podczas gdy Vivian twierdzi, że byłem samolubny, albo mówi wprost, że zachowywałem się jak kompletny idiota. Kiedy opowiadała tę historię przyjaciółom – a robiła to wielokrotnie – ludzie śmiali się albo kręcili głowami, patrząc na nią ze współczuciem.

Jeśli mam być szczery, nie uważam, żebym zachowywał się jak egoista czy kompletny dureń; w końcu było to nasze pierwsze dziecko i kiedy Vivian zaczęła rodzić, żadne z nas nie wiedziało, czego należy się spodziewać. Bo czy ktokolwiek może być na to gotowy? Powiedziano mi, że poród jest nieprzewidywalny; w czasie ciąży Vivian niejednokrotnie przypominała mi, że od pierwszych skurczów do narodzin mogą minąć nawet dwadzieścia cztery godziny – zwłaszcza przy pierwszym dziecku – a dwunastogodzinne porody nie są niczym niezwykłym. Jak

większość przyszłych ojców uważałem żonę za eksperta i wierzyłem jej na słowo. W końcu to ona czytała wszystkie te książki.

Pragnę zauważyć, że tamtego poranka nie byłem wcale taki beznadziejny. Niezwykle poważnie podszedłem do swoich obowiązków. Rzeczy Vivian i dziecka spakowałem do toreb i kilkakrotnie sprawdziłem ich zawartość. Aparat fotograficzny i kamera były naładowane i gotowe do działania, a pokój dziecięcy wyposażony we wszystko, czego małeństwo będzie potrzebować przez najbliższy miesiąc. Znałem najkrótszą drogę do szpitala i miałem w głowie trasy alternatywne, na wypadek gdyby na autostradzie doszło do wypadku. Wiedziałem też, że niebawem zacznie się poród; w ciągu ostatnich dni było kilka fałszywych alarmów, ale nawet ja miałem świadomość, że odliczanie się rozpoczęło.

Innymi słowy, nie byłem zaskoczony, gdy żona obudziła mnie o wpół do piątej szesnastego października 2009 roku, oświadczając, że ma skurcze co pięć minut i najwyższy czas jechać do szpitala. Wierzyłem jej; znała różnicę między skurczami Braxtona-Hicksa a prawdziwymi skurczami i choć przygotowywałem się na tę chwilę, nie przyszło mi do głowy, żeby w pierwszej kolejności ubrać się i wpakować wszystko do samochodu; prawdę mówiąc, w tamtym momencie w ogóle nie myślałem o żonie i dziecku, które lada chwila przyjdzie na świat. Myślałem raczej: „Dziś jest wielki DZIEN i ludzie będą robili mnóstwo zdjęć. Inni ludzie będą gapić się na te zdjęcia bez końca i – zakładając, że zachowają się one dla potomności – powinienem skoczyć pod prysznic, bo moje włosy wyglądają, jakbym spędził noc w tunelu aerodynamicznym”.

Nie chodzi o to, że jestem próżny; najzwyczajniej w świecie byłem przekonany, że mam mnóstwo czasu, więc powiedziałem Vivian, że będę gotowy za kilka minut. Zwykle nie siedzę długo pod prysznicem – nie więcej niż dziesięć minut, łącznie z goleniem – ale ledwie zdążyłem nałożyć krem do golenia, wydało mi się, że z salonu dobiegł krzyk. Nadstawiłem uszu, lecz

nic nie słyszałem, mimo to postanowiłem się pospieszyć. Kiedy się splukiwałem, usłyszałem, jak Vivian krzyczy, choć – o dziwo – miałem wrażenie, że krzyczy „o mnie”, a nie „na mnie”. Z ręcznikiem na biodrach, ociekając wodą, wyszedłem na ciemny korytarz. Bóg mi świadkiem, że byłem pod prysznicem niecałe sześć minut.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Vivian klęczy na podłodze i drze się do telefonu, że jestem POD CHOLERNYM PRYSZNICEM, i pyta CO, U DIABŁA, TEN IDIOTA SOBIE WYOBRAŻA?!?! Tak przy okazji, słowo „idiota” było najdelikatniejszym określeniem, jakiego użyła wtedy pod moim adresem; jej język był dużo bardziej kwiecisty. Nie wiedziałem wówczas, że odległość między skurczami zmniejszyła się z pięciu minut do dwóch, a moja żona jest w trakcie porodu pośladkowego. Poród pośladkowy jest wyjątkowo bolesny, tak więc nagle z gardła Vivian dobył się wrzask tak potężny, że stał się osobnym, żywym bytem, który być może wciąż unosi się nad naszą dzielnicą w Charlotte, w Karolinie Północnej, skądinąd niezwykle spokojnym miejscem.

Widząc, co się dzieje, wrzuciłem kolejny bieg, narzuciłem na siebie, co miałem pod ręką, i zacząłem pakować rzeczy do samochodu. Pomogłem Vivian usiąść na fotelu pasażera i słowa nie powiedziałem, gdy wbijała mi paznokcie w przedramię. Chwilę później siedziałem za kółkiem i w drodze do szpitala dzwoniłem do jej ginekologa, który obiecał, że spotka się z nami na miejscu.

Kiedy dotarliśmy do szpitala, skurcze nadal pojawiały się w dwuminutowych odstępach, ale cierpienie Vivian było tak wielkie, że od razu wzięto ją na porodówkę. Trzymałem ją za rękę i oddychałem razem z nią – podczas gdy ona obrzucała mnie kolejnymi wyzwiskami i mówiła mi, gdzie mogę sobie wsadzić to swoje cholerne oddychanie – dopóki anestezjolog nie zrobił jej znieczulenia zewnątrzoponowego. Na początku ciąży Vivian zastanawiała się, czy z niego korzystać, w końcu jednak uznała, że tak, co w tej sytuacji okazało się prawdziwym

błogosławieństwem. Kiedy znieczulenie zaczęło działać, ból ustąpił, a moja żona uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy, odkąd wczesnym rankiem zerwała mnie z łóżka. Jej ginekolog – mężczyzna po sześćdziesiątce ze starannie przystrzyżonymi, siwymi włosami i miłą twarzą – zaglądał na salę co dwadzieścia, trzydzieści minut, żeby zobaczyć, jak duże jest rozwarcie, ja tymczasem zadzwoniłem do naszych rodziców i mojej siostry.

W końcu nadszedł czas. Wezwano pielęgniarki, które ze stoickim spokojem przygotowywały sprzęt. I nagle lekarz kazał mojej żonie przeć.

Vivian parła przez trzy kolejne skurcze; przy trzecim doktor zaczął wykręcać nadgarstki, jak magik wyciągający królika z kapelusza, i zanim się zorientowałem, zostałem ojcem.

Tak po prostu.

Lekarz zbadał naszą córeczkę i chociaż stwierdził u niej lekką anemię, miała po dziesięć paluszków u rąk i nóg, zdrowe serce i sądząc po tym, jak płakała – płuca jak miechy. Zapytałem doktora o anemię – powiedział, że nie należy się tym martwić – i po tym, jak zakropił małej oczy, nasza córeczka została umyta, opatulona i podana mojej żonie.

Było dokładnie tak, jak się tego spodziewałem: ludzie przez cały dzień robili zdjęcia, ale, o dziwo, kiedy oglądali je później, zdawali się nie zauważać mojej obecności.

*

Mówi się, że wszystkie noworodki wyglądają jak Winston Churchill albo Mahatma Gandhi, ale ponieważ z powodu anemii skóra mojej córeczki miała dziwny, szarawy odcień, pomyślałem, że wygląda jak Yoda, oczywiście z wyjątkiem uszu. Uroczy Yoda, zapierający dech w piersi, tak cudowny, że kiedy chwyciła mnie za palec, serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Gdy kilka minut później przyjechali moi rodzice, w swoim zdenerwowaniu i ekscytacji wyszedłem do nich na korytarz i wykrztusiłem pierwsze, co przyszło mi do głowy.

„Mamy szare dziecko!”

Matka spojrzała na mnie jak na szaleńca, a ojciec zaczął dłubać palcem w uchu jak ktoś, kto zastanawia się, czy woskowina nie przytępiła mu słuchu. Ignorując moje słowa, weszli na salę i zobaczyli spokojną Vivian z naszą córeczką w ramionach. Podążyłem za ich wzrokiem i pomyślałem, że London jest najcenniejszą istotą w dziejach świata. I choć jestem przekonany, że wszyscy świeżo upieczeni ojcowie myślą podobnie, faktem jest, że tylko jedno dziecko może być najcenniejszą istotą w dziejach świata, tak więc część mnie dziwiła się, dlaczego ludzie, którzy tego dnia byli w szpitalu, nie zatrzymywali się przy naszej sali, żeby zachwycić się moją córeczką.

Mama podeszła do łóżka i wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć.

– Wybraliście już imię? – zapytała.

– London – odparła moja żona, całą uwagę skupiając na naszym dziecku. – Damy jej na imię London.

*

W końcu moi rodzice pojechali, żeby wrócić tego samego dnia po południu. W międzyczasie w szpitalu pojawili się teściowie. Przylecieli z Alexandrii w stanie Virginia, gdzie dorastała Vivian, i podczas gdy moja żona była cała w skowronkach, ja natychmiast poczułem, że w pokoju robi się nerwowo. Wiedziałem, że ich zdaniem Vivian popełniła błąd, kiedy zgodziła się za mnie wyjść... Zresztą kto wie, czy nie mieli racji? Nie przepadali też za moimi rodzicami i uczucie to było odwzajemnione. Choć cała czwórka stwarzała pozory wzajemnej serdeczności, było oczywiste, że wolą unikać swojego towarzystwa.

Moja starsza siostra Marge i jej partnerka Liz przyniosły prezenty. Marge i Liz były razem dłużej niż Vivian i ja – przeszło pięć lat – i nie tylko wiedziałem, że Liz jest idealną partnerką dla

mojej siostry, ale też miałem świadomość, że Marge jest najlepszą starszą siostrą, jaką można sobie wymarzyć. Ponieważ nasi rodzice pracowali – tata był hydraulikiem, a mama aż do emerytury, na którą przeszła kilka lat temu, była recepcjonistką w gabinecie dentystycznym – Marge poniekąd zastępowała mi ich i była moją powiernicą, dzięki której przetrwałem burzliwy okres dojrzewania. Obie z Liz również nie lubiły moich teściów i niechęć ta była o tyle większa, że rodzice Vivian nie zgodzili się, żeby Marge i Liz na naszym weselu siedziały razem przy głównym stole. W rezultacie Marge była na imprezie, a Liz nie – Marge uparła się, że włoży smoking, nie sukienkę. Zachowanie rodziców Vivian obie odebrały jako zniewagę, której żadna z nich nie była w stanie wybaczyć, zwłaszcza że inne – heteroseksualne – pary dostały tego przywileju. Szczerze, nie dziwię się, że Marge i Liz się zdenerwowały, bo sam byłem wkurzony. Dogadują się lepiej niż większość małżeństw, które znam.

Podczas gdy kolejni goście przychodzili i wychodzili, ja resztę dnia spędziłem w pokoju z żoną, siedząc w bujanym fotelu przy oknie albo obok niej na łóżku, gdzie raz za razem szeptałyśmy sobie w zdumieniu, że mamy córeczkę. Patrzyłem na swoje dwie kobiety ze świadomością, że moje miejsce jest przy nich i że już zawsze będziemy ze sobą związani. Było to oszałamiające uczucie – jak wszystko tego dnia – i przyłapałem się na tym, że zastanawiam się, jak będzie wyglądała London jako nastolatka, o czym będzie marzyła i jak pokieruje swoim życiem. Gdy tylko zaczynała płakać, Vivian przystawiała ją do piersi, a ja byłem świadkiem kolejnego cudu.

Skąd London wie, jak to robić? Pytałem siebie w duchu. Skąd ona, na Boga, wie?

*

Mam jeszcze jedno wspomnienie z tamtego dnia i należy ono wyłącznie do mnie.

Zdarzyło się to tamtej pierwszej nocy w szpitalu, długo po tym, jak wyszli ostatni goście. Vivian spała, a ja drzemałem w bujanym fotelu, kiedy usłyszałem, że nasza córeczka zaczyna marudzić. Nigdy dotąd nie trzymałem noworodka, ale wziąłem ją na ręce i przytuliłem do siebie. Myślałem, że będę musiał obudzić Vivian, ale, o dziwo, London się uspokoiła. Wróciłem na fotel i przez następne dwadzieścia minut mogłem jedynie zachwycać się uczuciami, które we mnie budziła. Wiedziałem już, że ją uwielbiam, ale – co dziwniejsze – nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Pamiętam, że szepnąłem jej do uszka, że jestem jej tatą i że już zawsze będę przy niej, a ona jakby zrozumiała, co mówię, bo zaczęła się wiercić, zrobiła kupkę i rozplakała się. Koniec końców, musiałem oddać ją Vivian.

ROZDZIAŁ 2

Na początku

– Powiedziałam im dziś – oświadczyła Vivian.

Vivian ubrana w piżamę wślizgnęła się do łóżka; w końcu byliśmy zupełnie sami. Była połowa grudnia i London spała od niespełna godziny; w wieku ośmiu tygodni nadal przesypiała ciągiem trzy do czterech godzin. Vivian nie narzekała, ale była stale zmęczona. Piękna, lecz zmęczona.

– Komu co powiedziałaś? – zapytałem.

– Robowi – odparła, mając na myśli swojego szefa w firmie medialnej, w której pracowała. – Oficjalnie dałam mu znać, że po urlopie macierzyńskim nie wrócę do pracy.

– O! – rzuciłem i poczułem taki sam nerwowy skurcz żołądka jak wtedy, gdy pokazała mi wynik testu ciążowego. Vivian zarabiała prawie tyle co ja i nie byłem pewien, czy bez jej pieniędzy będzie stać nas na życie na dotychczasowym poziomie.

– Zapewnił mnie, że drzwi będą otwarte, gdybym jednak zmieniła zdanie – dodała. – Ale powiedziałam mu, że London nie będzie wychowywana przez obcych ludzi. Bo z takim podejściem, po co w ogóle decydować się na dziecko?

– Mnie nie musisz przekonywać – zażartowałem, starając się ukryć uczucia. – Jestem po twojej stronie. – To znaczy część mnie była. – Ale wiesz, że to oznacza, że nie będziemy wychodzić na kolacje tak często jak do tej pory i będziemy musieli ograniczyć wydatki.

– Wiem.

– I nie będziesz tęskniła za częstymi zakupami?

– Mówisz, jakbym trwonila pieniądze. Nigdy tego nie robię.

Wyciągi z karty kredytowej mówiły czasem coś zupełnie innego, podobnie jak jej szafa, która pękała w szwach od ubrań, butów i torebek. Jednak usłyszałem w jej głosie rozdrażnienie, a kłótnia z Vivian była ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę. Zamiast tego odwróciłem się w jej stronę i myśląc o czymś zupełnie innym, przyciągnąłem ją do siebie. Trąciłem nosem jej policzek i pocałowałem ją w szyję.

– Teraz? – zapytała.

– Dawno tego nie robiliśmy.

– I moje biedactwo ma wrażenie, że zaraz eksploduje, tak?

– Szczerze? Wolę nie ryzykować.

Roześmiała się. Zacząłem rozpinąć górę jej piżamy, gdy usłyszeliśmy jakiś dźwięk w elektronicznej niani. Zamarliśmy jak na zawołanie.

Nic.

Nadal nic.

I kiedy już myślałem, że to fałszywy alarm, i wypuściłem powietrze – nie wiedziałem nawet, że na chwilę wstrzymałem oddech – w głośniku rozległ się płacz. Z jękiem przewróciłem się na plecy, a Vivian wymknęła się z łóżka. Kiedy London w końcu się uspokoiła – czyli dobre pół godziny później – Vivian nie była w nastroju na kolejne podejście.

Rano mieliśmy nieco więcej szczęścia. Na tyle, że ochoczo zgodziłem się zająć London, żeby Vivian mogła się jeszcze zdrzemnąć. Wyglądało jednak na to, że mała była równie zmęczona, jak jej mama, bo gdy dopijałem drugą kawę, w głośniku elektronicznej niani usłyszałem nie płacz, ale jakieś inne dźwięki.

Zawieszona nad łóżeczkiem karuzela kręciła się dookoła, a London była radosna i pełna energii; jej nóżki pracowały niczym tłoki. Widząc to, uśmiechnąłem się, a ona odpowiedziała tym samym.

Nie był to grymas ani tik. Znałem je, wiedziałem, jak wyglądają, i wprost nie mogłem uwierzyć własnym oczom. To był prawdziwy

uśmiech, cudowny jak wschód słońca, a kiedy nagle się roześmiała, początek dnia stał się tysiąc razy lepszy.

*

Nie jestem mądrym człowiekiem.

Ale nie jestem też mało inteligentny. Jednak mądrość to coś więcej niż bycie inteligentnym, ponieważ obejmuje zrozumienie, empatię, doświadczenie, wewnętrzny spokój i intuicję, a teraz wiem, że brakowało mi wielu spośród tych cech.

Oto, czego jeszcze się nauczyłem: wiek nie gwarantuje mądrości, tak jak nie gwarantuje inteligencji. Wiem, że nie jest to popularne przekonanie – czyż nie uważamy starszych ludzi za mądrych, po części dlatego, że mają siwe włosy i zmarszczki? Ostatnio jednak doszedłem do wniosku, że niektórzy rodzą się z naturalną skłonnością do bycia mądrymi, a inni nie. Są również tacy, u których mądrość objawia się już w młodym wieku.

Na przykład moja siostra Marge. Jest mądra, a przecież tylko pięć lat starsza ode mnie. Liz też. Jest młodsza od Marge, mimo to jej komentarze są głębokie i empatyczne. Po rozmowie z nią zdarza mi się rozmyślać o tym, co powiedziała. Moi rodzice również są mądry; ostatnio często o tym myślę, ponieważ dotarło do mnie, że choć mądrość jest u nas rodzinna, pod tym względem jestem czarną owcą.

Gdybym był mądry, latem 2007 roku posłuchałbym Marge, która wioząc mnie na cmentarz, na którym pochowani byli nasi dziadkowie, zapytała, czy jestem absolutnie pewny, że chcę poślubić Vivian.

Gdybym był mądry, posłuchałbym ojca, kiedy spytał, czy aby na pewno chcę w wieku trzydziestu pięciu lat założyć własną agencję reklamową.

Gdybym był mądry, posłuchałbym mamy, kiedy radziła mi, żebym spędzał z London każdą wolną chwilę, bo dzieci tak szybko dorastają, a straconych lat nigdy nie da się nadrobić.

Ale jak mówiłem, nie jestem mądry i z tego powodu do mojego życia wdarł się chaos. Nawet teraz zastanawiam się, czy kiedykolwiek się pozbieram.

*

Gdy człowiek próbuje doszukać się sensu w bezsensownej historii, od czego ma zacząć? Od początku? Tylko gdzie jest początek?

Kto to wie?

Zacznijmy więc od tego. Kiedy byłem dzieckiem, dorastałem w przekonaniu, że w wieku osiemnastu lat będę czuł się dorosły. I miałem rację. Jako osiemnastolatek rozpocząłem planowanie przyszłości. Moja rodzina żyła od pierwszego do pierwszego, a ja nie miałem zamiaru powielać tego schematu. Zacząłem więc marzyć o własnym interesie, chciałem być panem samego siebie, choć nie miałem pojęcia, co mógłbym robić. Założywszy, że college pomoże mi sprecyzować owe plany, poszedłem na Uniwersytet Stanowy Karoliny Północnej, ale im dłużej tam studiowałem, tym czułem się młodszy. W dniu odebrania dyplomu nie mogłem się pozbyć uczucia, że jestem tym samym chłopakiem, którym byłem w liceum.

Tak więc college nie nakierował mnie na właściwe tory. Miałem mało doświadczenia i jeszcze mniej pieniędzy, zdecydowałem zatem, że plany mogą zaczekać, i zacząłem pracę w agencji reklamowej u niejakiego Jessego Petersa. Nosilem garnitury, harowałem jak wół, a i tak czułem się młodszy, niż byłem w rzeczywistości. W weekendy chodziłem do tych samych barów co w college'u i wyobrażałem sobie, że mógłbym zacząć od nowa jako pierwszoroczniak, bez problemu dopasowując się do wybranego bractwa. W ciągu następnych ośmiu lat w moim życiu zachodziły kolejne zmiany; ożeniłem się, kupiłem dom i zacząłem jeździć samochodem z napędem hybrydowym, ale nawet wtedy nie zawsze czułem się jak dorosła wersja samego siebie. Peters zajął miejsce moich rodziców – tak jak oni mówił

mi, co robić, a czego nie – przez co miałem wrażenie, że wciąż udaję. Czasami, siedząc przy biurku, próbowałem przekonać samego siebie: Dobrze, to informacja oficjalna. Jestem dorosły.

Świadomość ta uderzyła we mnie z pełną mocą, gdy na świat przyszła London, a Vivian rzuciła pracę. Nie miałem jeszcze trzydziestki, a presja, którą czułem, żeby w ciągu najbliższych lat utrzymywać rodzinę, wymagała poświęcenia, którego się nie spodziewałem, więc jeśli to nie jest wyznacznikiem dorosłości, to nie wiem, co nim jest. Po powrocie z agencji – kiedy udało mi się dotrzeć do domu o rozsądnej porze – już w drzwiach słyszałem, jak London woła: „Tatusi!”, i natychmiast żałowałem, że nie spędzam z nią więcej czasu. Zaraz potem podbiegała do mnie, a gdy brałem ją na ręce, obejmowała mnie za szyję i nagle każdy wysiłek, każde wyrzeczenie nabierały sensu, a wszystko przez jedną małą dziewczynkę.

W całej tej gonitwie nietrudno było przekonać samego siebie, że wszystko, co ważne – żona, córeczka, praca i rodzina – jest w jak najlepszym porządku, nawet jeśli sam sobie nie mogłem być szefem. W rzadkich chwilach, kiedy myślałem o przyszłości, wyobrażałem sobie życie zbliżone do tego, które wiodłem teraz, i wcale mi to nie przeszkadzało. Z pozoru wszystko szło gładko, ale powinienem był potraktować to jak ostrzeżenie. Uwierzcie mi, naprawdę nie miałem bladego pojęcia, że za kilka lat będę czuł się po przebudzeniu jak jeden z imigrantów na Ellis Island, który przyплыł do Ameryki z tym, co miał na grzbiecie, nie znał języka i zastanawiał się: Co ja teraz zrobię?

Kiedy dokładnie wszystko zaczęło się walić? Gdyby zapytać Marge, odpowiedź byłaby prosta: „Kiedy poznałeś Vivian”. Słyszałem to od niej nieraz. Oczywiście, jak to Marge, natychmiast musiała sprostować. „Odszczekuję to”, mówiła. „Zaczęło się dużo wcześniej, gdy byłeś w podstawówce i powiesiłeś na ścianie tamten plakat dziewczyny w skąnym bikini i z wielkimi balonami. Tak przy okazji, zawsze go lubiłam, ale moim zdaniem zrył ci psychę”. Chwilę później, po dalszym zastanowieniu, kręciła głową i ciągnęła: „Właściwie, jakby się

dobrze zastanowić, zawsze byłeś rąbnięty, a skoro mówi ci to osoba, która uchodzi za najbardziej pokręconą w rodzinie, to o czymś świadczy. Może twój problem polega na tym, że dla własnego dobra zawsze jesteś zbyt miły”.

I o to chodzi. Kiedy człowiek zaczyna analizować, co poszło nie tak – albo raczej: gdzie sam popełnił błąd – przypomina to obieranie cebuli. Pod jedną warstwą zawsze kryje się druga, na światło dzienne wychodzi kolejne wspomnienie albo kolejny błąd z przeszłości, przez co, szukając prawdy, cofamy się coraz dalej w czasie. Ja dotarłem do momentu, w którym nie szukam już odpowiedzi: w tej chwili liczy się tylko to, by w przyszłości nie popełnić tych samych błędów.

*

Żeby to zrozumieć, należy zrozumieć mnie. Co – na marginesie – wcale nie jest takie proste. Mam ponad trzydzieści trzy lata i przez połowę tego czasu nie rozumiałem sam siebie. Pozwólcie więc, że zacznę od tego: wraz z wiekiem doszedłem do przekonania, że na świecie są dwa typy mężczyzn. Ci, którzy się żenią, i kawalerowie. Typ małżonka to koleś oceniający każdą dziewczynę, z którą umawia się na randki, żeby przekonać się, czy przypadkiem nie jest ona Tą Jedyńą. Dlatego kobiety po trzydziestce i czterdziestce często mówią rzeczy typu: „Wszyscy fajni faceci są zajęci”. Głosząc takie teorie, mają na myśli mężczyzn, którzy są gotowi, chętni i mają ochotę zaangażować się w związek.

Ja zawsze byłem typem małżonka. Dla mnie bycie w związku jest stanem naturalnym. Nie wiedzieć czemu, zawsze lepiej czułem się w towarzystwie kobiet niż mężczyzn, przyjaźniłem się z dziewczynami i spędzanie czasu z tą jedyną, która – tak się złożyło – zakochała się we mnie bez pamięci, było najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić.

Zresztą nadal w to wierzę. I tu sprawy się komplikują, bo nie każdy typ małżonka jest taki sam. Są wśród nich podgrupy, na

przykład faceci uważający się za romantyków. Brzmi nieźle, prawda? Czy to o nich najczęściej marzą kobiety? Pewnie tak i muszę przyznać, że sam jestem członkiem tej właśnie podgrupy. Zdarza się też, że ten szczególny typ jest mylony z tak zwanym pochlebcą, i gdyby się nad tym zastanowić, te trzy rzeczy pozwoliły mi wierzyć, że przy odrobinie wysiłku – gdybym tylko bardziej się postarał – moja żona uwielbiałaby mnie tak samo jak ja ją.

Ale co sprawiło, że byłem, jaki byłem? Czy to wyłącznie kwestia mojej natury? Mojej rodziny? A może jako dzieciak naoglądałem się zbyt wielu filmów romantycznych? Albo może wszystko naraz?

Nie mam pojęcia, ale z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że oglądanie filmów romantycznych było wyłącznie winą Marge. Uwielbiała klasyki, takie jak: *Niezapomniany romans* i *Casablanca* oraz *Uwierz w ducha* i *Dirty Dancing*, a *Pretty Woman* obejrzelśmy chyba ze dwadzieścia razy. To był jej ulubiony film. Nie domyśliłem się natomiast, że Marge i ja tak bardzo lubiliśmy go oglądać, bo w tamtym czasie oboje kochaliśmy się na zabój w Julii Roberts, ale to nieistotne. Ten film prawdopodobnie nigdy się nie zestarzeje. Między bohaterami granymi przez Richarda Gere'a i Julię Roberts była... chemia. Oni naprawdę ze sobą rozmawiali. Wbrew wszystkiemu nauczyli się ufać sobie nawzajem. Zakochali się. No i jak można zapomnieć scenę, kiedy Richard Gere czeka na Julię – zamierza zabrać ją do opery – a ona wychodzi ubrana w suknię, która kompletnie ją odmienia? Oniemiały z wrażenia Richard otwiera w końcu aksamitne pudełko z naszyjnikiem z brylantów, który Julia założy tego wieczoru. Kiedy ona wyciąga rękę, on zatrząskuje pudełko, a zaskoczona Julia wybucha głośnym śmiechem...

W tych kilku scenach było naprawdę wszystko. Mam na myśli romans – zaufanie, wyczekiwanie, radość i muzyka, eleganckie stroje, a nawet biżuteria, wszystko prowadziło do miłości. I wówczas, będąc jeszcze dzieciakiem, zrozumiałem, że to swoisty podręcznik zatytułowany *Jak zaimponować dziewczynie*.

Musiałem jedynie zapamiętać, że w pierwszej kolejności dziewczyna musi polubić faceta, a dopiero romantyczne gesty doprowadzą do miłości. I tak oto narodził się kolejny romantyk.

W szóstej klasie doszła do nas nowa dziewczyna. Melissa Anderson przeprowadziła się z Minnesoty, a ze swoimi jasnymi włosami i niebieskimi oczami wyglądała jak jej szwedzcy przodkowie. Jestem pewien, że kiedy zobaczyłem ją pierwszego dnia w szkole, otworzyłem usta ze zdumienia; i nie ja jeden. Wszyscy chłopcy szeptali tylko o niej i nie mam wątpliwości, że Melissa była najładniejszą dziewczyną, która kiedykolwiek chodziła do klasy pani Hartman w szkole podstawowej imienia Arthura E. Edmondsa.

Ale różnica między mną a resztą chłopaków polegała na tym, że – w przeciwieństwie do nich – ja dokładnie wiedziałem, co robić. Zamierzałem zabiegać o jej względy i chociaż nie byłem Richardem Gere'em z prywatnym odrzutowcem i brylantową kolia, miałem swój rower i potrafiłem pleść makramowe bransoletki z drewnianymi koralikami. Te jednak musiały poczekać. Najpierw – tak jak Richard i Julia – musieliśmy się polubić. Zacząłem więc szukać pretekstu, żeby podczas lunchu usiąść z Melissą przy jednym stole. Kiedy mówiła, słuchałem i zadawałem pytania, a gdy kilka tygodni później oznajmiła mi, że jestem miły, wiedziałem, że czas zrobić kolejny krok. Napisałem dla niej wiersz – o jej życiu w Minnesocie i o tym, jaka jest śliczna – i pewnego popołudnia podrzuciłem go jej w szkolnym autobusie razem z kwiatkiem. Usiadłem przekonany, że wiem, co się dokładnie wydarzy: Melissa zrozumie, że jestem inny, i dozna olśnienia, które sprawi, że weźmie mnie za rękę, a kiedy wysiądziemy, zapyta, czy odprowadzę ją do domu.

Tyle że tak się nie stało. Zamiast przeczytać wiersz, Melissa przez całą drogę paplała ze swoją przyjaciółką April, a następnego dnia podczas przerwy na lunch usiadła obok Tommy'ego Harmona i nie zamieniła ze mną ani słowa. Nie odezwała się do mnie też następnego dnia ani dwa dni później.

Kiedy Marge zobaczyła, jak siedzę naburmuszony w pokoju, powiedziała, że za bardzo się staram i że powinienem być sobą.

– Jestem sobą – odparłem.

– Więc może powinieneś się zmienić – odgryzła się. – Bo zachowujesz się jak desperat.

Sęk w tym, że nie zastanawiałem się dwa razy. Ale czy Richard Gere zastanawiał się dwa razy? To jasne, że wiedział więcej niż moja siostra, i jest to kolejny dowód na to, że droga, którą podążałem, i ta, którą podążała mądrość, notorycznie się rozmijały. Choć *Pretty Woman* był filmem, a ja żyłem w realnym świecie, schemat, z którego korzystałem w przypadku Melissy Anderson, podlegał rozmaitym wariacjom, aż w końcu stał się przyzwyczajeniem, od którego nie byłem w stanie się uwolnić. Byłem królem romantycznych gestów – kwiaty, liściki, kartki i takie tam – a w college’u zostałem nawet „sekretnym wielbicielem” dziewczyny, która akurat wpadła mi w oko. Otwierałem drzwi, płaciłem na randkach i słuchałem za każdym razem, gdy chciała się wygadać, nawet jeśli mówiła o tym, jak bardzo kocha swojego byłego. Większość dziewczyn naprawdę mnie lubiła. Poważnie. Byłem dla nich przyjacielem, gościem, którego grupa psiapsiółek zaprasza na wspólne wyjście, ale rzadko zdarzało się, żebym był z tą, która właśnie mi się podobała. Sam nie wiem, ile razy słyszałem: „Jesteś najmiłszym facetem, jakiego znam, i jestem pewna, że spotkasz kogoś wyjątkowego. Mam dwie albo trzy przyjaciółki, z którymi mogę cię umówić...”.

Niełatwo jest być facetem, który jest idealny dla kogoś innego. Z tego powodu często miałem złamane serce i nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego kobiety mówią, że poszukują w mężczyznach romantyzmu, dobroci, zainteresowania i umiejętności słuchania, a gardzą tymi cechami, gdy ktoś im je oferuje.

Mimo to nie mogę powiedzieć, że moje życie uczuciowe było pasmem nieszczęść. W drugiej klasie liceum miałem dziewczynę imieniem Angela; przez prawie cały pierwszy rok

w college'u spotykałem się z Victorią. A latem po ukończeniu studiów, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, poznałem kobietę o imieniu Emily.

Emily nadal mieszka w okolicy i widuję ją od czasu do czasu. Była moją pierwszą wielką miłością, a ponieważ romans i nostalgia często chodzą w parze, wciąż o niej myślę. Emily była nieco ekscentryczna; lubiła długie, kwieciste sukienki, sandały i prawie się nie malowała, a jako przedmiot kierunkowy wybrała sztukę z naciskiem na malarstwo. Była też piękna: miała kasztanowe włosy i upstrzone drobinkami złota orzechowe oczy, ale było w niej coś jeszcze. Lubiała się śmiać, była uprzejma wobec każdej napotkanej osoby, a do tego inteligentna – zdaniem innych: idealna kobieta dla kogoś takiego jak ja. Moi rodzice ją uwielbiali, Marge ją pokochała, a kiedy byliśmy razem, nawet w ciszy czuliśmy się swobodnie. Nasz związek wydawał się prosty i naturalny; bardziej niż kochankami byliśmy przyjaciółmi. Nie tylko potrafiliśmy rozmawiać o wszystkim, cieszyły ją liściki, które zostawiałem jej pod poduszką, kwiaty, które bez powodu przysyłałem jej do pracy. Emily kochała mnie tak, jak kochała romantyczne gesty, i po kilku latach zdecydowałem się jej oświadczyć. Wpłaciłem nawet zadatek na pierścionek.

I wtedy to spieprzyłem. Nie pytajcie dlaczego. Mógłbym zwalić wszystko na alkohol – piłem z przyjaciółmi w barze – ale z jakiegoś powodu zacząłem rozmowę z niejaką Carly. Była piękna, potrafiła flirtować i niedawno rozstała się ze swoim wieloletnim chłopakiem. Po jednym drinku przyszedł czas na drugi i ostatecznie wylądowaliśmy w łóżku. Rano Carly dała mi jasno do zrozumienia, że to, co się wydarzyło, było przelotną przygodą bez żadnych zobowiązań, i choć pocałowała mnie na do widzenia, nawet nie zostawiła mi swojego numeru telefonu.

W takich sytuacjach istnieje kilka bardzo prostych Męskich Zasad, a Zasada Numer Jeden brzmi: *Nigdy, przenigdy nie mówić prawdy*. A jeśli ukochana coś podejrzewa i pyta wprost, należy

natychmiast zastosować Zasadę Numer Dwa: *Zaprzeczać, zaprzeczać, zaprzeczać.*

Wszyscy faceci znają te zasady, ale sęk w tym, że czułem się winny. Potwornie winny. Nawet po miesiącu nie potrafiłem przestać o tym myśleć, tak jak nie umiałem sobie wybaczyć. Zachowanie tego w tajemnicy wydawało się nie do pomyślenia; nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym budować z Emily wspólną przyszłość, wiedząc, że opiera się ona na choćby jednym kłamstwie. Rozmawiałem o tym z Marge, która – jak zwykle – była pomocna na swój siostrzany sposób.

– Trzymaj gębę na kłódkę, kretynie. Zrobiłeś głupstwo i powinieneś mieć wyrzuty sumienia. Ale jeśli nie zamierzasz drugi raz popełnić tego samego błędu, nie rań uczuć Emily. To ją zabije.

Wiedziałem, że Marge miała rację, a jednak...

Potrzebowałem przebaczenia Emily, bo nie byłem pewny, czy bez tego będę umiał sam sobie wybaczyć, więc poszedłem do niej i powiedziałem słowa, których do dziś żałuję.

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć – zacząłem i opowiedziałem jej wszystko.

Jeśli liczyłem na przebaczenie, pomyliłem się. Jeśli liczyłem, że uda mi się zbudować długotrwały związek, który będzie się opierał wyłącznie na prawdzie, również się pomyliłem. Ze łzami w oczach Emily wybiegła z pokoju, tłumacząc, że potrzebuje czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Zostawiłem ją samą na tydzień; snując się po mieszkaniu, czekałem na telefon, ale nie dzwonił. W następnym tygodniu nagrałem jej dwie wiadomości – za każdym razem przepraszając z całego serca – ale nie oddzwoniła. Dopiero tydzień później umówiliśmy się na lunch, jednak atmosfera była napięta, a wychodząc z restauracji, Emily powiedziała, że bym nie odprowadzał jej do samochodu. Nieszczęście wisiało w powietrzu i tydzień później poinformowała mnie, że to koniec. Byłem zdruzgotany.

Z upływem czasu moje poczucie winy osłabło – czas leczy rany – i pocieszam się myślą, że moja niewierność ostatecznie wyszła Emily na dobre. Kilka lat po rozstaniu dowiedziałem się od znajomego, że wyszła za Australijczyka, i kiedy ją widziałem, miałem wrażenie, że życie obeszło się z nią łaskawie. Powtarzam sobie, że cieszę się jej szczęściem. Emily bardziej niż ktokolwiek zasłużyła na cudowne życie. Marge jest tego samego zdania. Nawet po tym, jak ożeniłem się z Vivian, moja siostra czasami patrzyła na mnie i mówiła: „Związek z Emily to było coś. Naprawdę spieprzyłeś sprawę, co?”.

*

Urodziłem się w Charlotte w Karolinie Północnej i z wyjątkiem roku, kiedy mieszkałem w innym mieście, spędziłem tu całe życie. Nawet teraz nie mogę uwierzyć, że Vivian i ja spotkaliśmy się w takim właśnie miejscu, czy że w ogóle się spotkaliśmy. W końcu, podobnie jak ja, pochodziła z Południa; podobnie jak ja pracowała do późna i rzadko wychodziła. Jakie więc były szanse, że spotkam ją na koktajl party na Manhattanie?

W tamtym czasie pracowałem w oddziale firmy w Midtown, co tylko brzmi szumnie. Jesse Peters był zdania, że każdy, kto dobrze się zapowiada, musi spędzić przynajmniej trochę czasu na Północy, choćby dlatego, że część naszych klientów to banki, a każdy bank ma swoją siedzibę w Nowym Jorku. Prawdopodobnie widzieliście parę reklam, nad którymi pracowałem; lubię myśleć, że były głębokie, poważne i uczciwe. Tak przy okazji, pierwsza z nich powstała, gdy mieszkałem w kawalerce przy Siedemdziesiątej Siódmej Zachodniej, między Columbus i Amsterdam i próbowałem ustalić, czy na wyciągu z rachunku bieżącego nie ma błędu, bo jeśli był poprawny, stać mnie było na powiększony zestaw w najbliższym fast foodzie.

W maju 2006 roku dyrektor jednego z banków, którego zachwyciła moja wizja, zorganizował imprezę charytatywną na

rzecz Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Facet miał świra na punkcie sztuki – o czym nie miałem pojęcia – i choć był to elegancki bankiet pod krawatem, nie zamierzałem się na nim pokazywać. Niestety, jego bank był naszym klientem, a Peters był moim *rób-co-ci-każę-albo* szefem, cóż więc mogłem poradzić?

Z pierwszych trzydziestu minut pamiętam jedynie to, że ewidentnie tam nie pasowałem. Ponad połowa gości była w wieku moich dziadków, nie mówiąc o tym, że pod względem finansowym wszyscy pochodzili z innej stratosfery. W pewnym momencie zacząłem przysłuchiwać się dwóm siwym dżentelmenom, którzy rozprawiali o przewodze G IV nad falconami 2000. Dopiero po chwili zorientowałem się, że rozmowa dotyczy prywatnych odrzutowców.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem jej szefa w drugim końcu pokoju. Znałem go z pasma programów nadawanych późnym wieczorem i Vivian powiedziała mi później, że facet uważał się za kolekcjonera dzieł sztuki. Mówiąc to, skrzywiła się, sugerując, że miał pieniądze, ale brakowało mu gustu, co wcale mnie nie zdziwiło. Mimo słynnych gości poczucie humoru, z którego słynął program, było – delikatnie mówiąc – niskich lotów.

Stała za nim, ukryta przed moim wzrokiem, ale gdy podszedł do kogoś, żeby się przywitać, wtedy ją zobaczyłem. Miała ciemne włosy, idealną cerę i kości policzkowe, o których marzą modelki, i była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

Z początku pomyślałem, że przyszła z nim, ale im dłużej na nich patrzyłem, tym większą miałem pewność, że nie są razem, a ona tylko dla niego pracuje. Nie miała też obrączki, kolejny dobry znak... ale, bądźmy szczerzy, jakie miałem szanse?

Tymczasem drzemiący we mnie romantyk nie zrażał się i kiedy podeszła do baru po drinka, ruszyłem za nią. Z bliska była jeszcze piękniejsza.

– To ty – zagailem.

– Słucham?

– To o tobie myślą disnejowscy artyści, kiedy rysują oczy księżniczek.

Przyznaję, że było to dość kiepskie. Nieudolne, może nawet tandetne, i po niezręcznej ciszy, która zapadła między nami, wiedziałem, że dałem ciała. Ale prawda jest taka, że się roześmiała.

– Takiego tekstu jeszcze nie słyszałam.

– Nie na każdego by podziałał – odparłem. – Jestem Russell Green.

Wydawała się rozbawiona.

– Vivian Hamilton – Słyszając to, omal się nie zakrztusiłem.

Miała na imię Vivian.

Jak bohaterka grana przez Julię Roberts w *Pretty Woman*.

*

Skąd wiadomo, że to jest właśnie ta osoba? Jakich sygnałów należy wypatrywać? A może wystarczy spotkać tę osobę i pomyśleć: To właśnie ta jedyna, to z nią chcę spędzić resztę życia. No bo jak to możliwe, że Emily wydawała się tą właściwą i Vivian też, skoro różniły się od siebie jak dzień i noc? Skoro nasze relacje różniły się od siebie jak dzień i noc?

Nie wiem, ale kiedy myślę o Vivian, wciąż pamiętam przygotowującą o zawrót głowy atmosferę pierwszych wspólnych wieczorów. Podczas gdy z Emily było ciepło i przytulnie, przy Vivian płonąłem, zupełnie jakby los zdecydował o naszym spotkaniu. Każda interakcja, każda rozmowa utwierdzała mnie w przekonaniu, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Jako typ małżonka zacząłem fantazjować o ścieżkach, którymi potoczy się nasze życie, i o łączącej nas płomiennej relacji. Po kilku miesiącach byłem pewien, że chcę, żeby Vivian została moją żoną, choć o tym nie mówiłem. Ona potrzebowała więcej czasu, żeby poczuć to samo względem mnie, ale po pół roku było oczywiste, że nasz związek wszedł w poważną fazę, a my badaliśmy grunt, próbując dowiedzieć się, co to drugie myśli o Bogu, pieniądzu, polityce, rodzinie, okolicy, dzieciach i podstawowych wartościach. Zwykle byliśmy zgodni i biorąc

przykład z innego romantycznego filmu, oświadczyłem się jej w walentynki na tarasie widokowym Empire State Building, tydzień przed moim powrotem do Charlotte.

Myślałem, że wiem, co robię, kiedy klęknąłem przed nią. Ale patrząc wstecz, Vivian wiedziała na pewno – nie tylko byłem mężczyzną, którego pragnęła, ale którego potrzebowała – tak więc siedemnastego listopada 2007 roku złożyliśmy śluby przed rodziną i przyjaciółmi.

*

Pewnie zastanawia was, co stało się później.

Jak każde małżeństwo mieliśmy swoje wzloty i upadki, stawialiśmy czoła wyzwaniom, chwytaliśmy okazje, byliśmy świadkami sukcesów i porażek. Kiedy kurz opadł, zacząłem wierzyć, że małżeństwo, przynajmniej w teorii, jest cudowne.

W praktyce bardziej adekwatne wydaje się słowo „skomplikowane”.

W końcu małżeństwo nigdy nie jest takie, jak sobie wyobrażamy. Część mnie – ta romantyczna – bez wątplenia wyobrażała je sobie jak z kartek okolicznościowych, pełne róż i świec, magiczny wymiar, w którym miłość i zaufanie mogą pokonać każdą przeszkodę. Bardziej praktyczna część mnie wiedziała jednak, że długotrwały związek wymaga wysiłku i zaangażowania obu stron. Poświęceń i kompromisów, komunikacji i współpracy, zwłaszcza że życie lubi grać nieczysto i rzuca podkręcone piłki, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Dobrze, jeśli taka piłka ledwie nas muśnie, nie wyrządzając przy tym większej krzywdy; takie doświadczenie potrafi scementować związek.

Gorzej, jeśli trafi nas w okolice serca i pozostawi siniaki, które nigdy nie znikną.

ROZDZIAŁ 3

I co wtedy?

Bycie jedynym żywicielem rodziny nie było proste. Pod koniec tygodnia byłem zwykle wykończony, ale jeden piątek szczególnie utkwił mi w pamięci. Następnego dnia London kończyła roczek, a ja przez cały dzień ślęczałem nad promocyjnymi filmikami dla Spannerman Properties – jednej z największych firm deweloperskich na Południu – będącymi częścią wielkiej kampanii reklamowej. Agencja miała zarobić na tym małą fortunę, a szefowie Spannerman byli szczególnie wymagający. Każda faza projektu musiała być ukończona w konkretnym terminie; a terminy były wyśrubowane do granic możliwości przez samego Spannermana, człowieka, którego dochody wynosiły dwa miliardy dolarów. Musiał osobiście zatwierdzić każdą decyzję i miałem wrażenie, że próbuje mi uprzykrzyć życie na wszelkie możliwe sposoby. Wiedziałem, że za mną nie przepada. Był typem faceta, który lubi otaczać się pięknymi kobietami – większość pracowników szczebla kierowniczego stanowiły atrakcyjne kobiety – i było wiadomo, że on i Jesse Peters świetnie się dogadują. Tymczasem ja gardziłem zarówno nim, jak i jego firmą. Facet słynął z tego, że szedł na łatwiznę i opłacał polityków, zwłaszcza gdy chodziło o przepisy dotyczące środowiska. W gazetach często ukazywały się artykuły, których autorzy mieszały z błotem Spannermana i jego imperium. Właśnie dlatego postanowił skorzystać z naszych usług – żeby podreperować swój wizerunek.

Przez większą część roku wypruwałem sobie żyły dla Spannermana i był to najgorszy rok mojego życia. Bałem się

chodzić do pracy, ale ponieważ Peters i Spannerman byli kumplami, nie mówiłem o tym głośno. W końcu zlecenie przekazano innemu pracownikowi – Spannerman uznał, że woli współpracować z kobietą, co nikogo nie zdziwiło – a ja odetchnąłem z ulgą. Gdybym pracował dla niego dłużej, prawdopodobnie wręczyłbym wypowiedzenie.

Jesse Peters wierzył, że premie motywują pracowników, tak więc mimo ciągłego stresu związanego ze Spannermanem z miesiąca na miesiąc zarabiałem coraz więcej. Nie miałem wyjścia. Musiałem odłożyć trochę pieniędzy i wpłacić część na konto inwestycyjne, ale dzięki premiom mogliśmy też spłacić karty kredytowe. Zamiast się kurczyć, nasze miesięczne wydatki rosły pomimo obietnic Vivian, że ograniczy „sprawunki”, jak teraz nazywała zakupy. Wydawało się, że nie potrafi wejść do Targetu albo Walmartu, nie wydając przy okazji kilkuset dolarów, nawet jeśli miała kupić wyłącznie proszek do prania. Nie rozumiałem tego – domyślałem się, że wypełnia tym jakąś pustkę – i kiedy byłem wyjątkowo zmęczony, czasami miałem do niej żal. Ale gdy próbowałem z nią o tym porozmawiać, zwykle dochodziło do kłótni. I nawet jeśli atmosfera robiła się gorąca, nic się nie zmieniało. Vivian zapewniała mnie, że kupuje tylko najpotrzebniejsze rzeczy albo że mam szczęście, bo akurat była wyprzedaż.

Ale w tamten piątek nie chciałem zaprzętać sobie głowy problemami, a gdy wszedłem do salonu, siedząca w kojcu London powitała mnie uśmiechem, który niezmiennie mnie wzruszał. Vivian, piękna jak zawsze, siedziała na kanapie i przeglądała magazyn o domu i ogrodzie. Pocałowałem najpierw córkę, a później żonę pachnącą pudrem dla dzieci i perfumami.

Zjedliśmy kolację, opowiadając sobie, jak minął nam dzień, i zaczęliśmy szykować London do snu. Vivian wykąpała ją i ubrała w śpioszki; ja przeczytałem jej i ułożyłem w łóżeczku, wiedząc, że za kilka minut zaśnie.

Zszedłem do kuchni i nalałem sobie kieliszek wina. Zauważyłem, że w butelce zostało go niewiele, a to znaczyło, że

Vivian piła prawdopodobnie już drugi kieliszek. Kieliszek numer jeden oznaczał „może”, kieliszek numer dwa dawał realną szansę na romantyczny wieczór, i choć byłem wykończony, poczułem, że poprawia mi się nastrój.

Kiedy usiadłem, Vivian wciąż kartkowała magazyn. Po chwili odwróciła go w moją stronę.

– Co myślisz o tej kuchni? – zapytała.

Kuchnia na zdjęciu miała kremowe szafki zwieńczone blatami z brązowego marmuru – wszystko to stanowiło harmonijną całość. Wśród najnowocześniejszych sprzętów rodem z powieści fantasy stała wyspa kuchenna.

– Jest boska – przyznałem.

– Prawda? A jaka elegancka. I uwielbiam to oświetlenie. Żyrandol aż dech zapiera.

Nie zwróciłem uwagi na oświetlenie, przyjrzałem mu się uważniej.

– Fakt. To dopiero jest coś.

– Piszą tu, że przeprojektowanie kuchni prawie zawsze podnosi wartość domu. Gdybyśmy kiedyś chcieli go sprzedać.

– Po co mielibyśmy go sprzedawać? Kocham ten dom.

– Nie mówię, że mamy sprzedawać go już teraz. Ale przecież nie będziemy mieszkać tu wiecznie.

Dziwne, lecz przez myśl mi nie przeszło, że nie będziemy mieszkać tu wiecznie. W końcu moi rodzice wciąż mieszkali w tym samym domu, w którym się wychowałem, ale tak naprawdę Vivian nie o tym chciała rozmawiać.

– Pewnie masz rację z tym podnoszeniem wartości, nie sądzę jednak, żeby stać nas teraz było na przeprojektowywanie kuchni.

– Przecież mamy jakieś oszczędności, prawda?

– Tak, ale to pieniądze na czarną godzinę. Na sytuacje kryzysowe.

– W porządku – rzuciła, lecz wyczułem w jej głosie rozczarowanie. – Tak tylko myślałam.

Patrzyłem, jak zagina róg kartki, żeby potem łatwiej odnaleźć stronę, i poczułem się jak nieudacznik. Nienawidziłem jej

rozczarowywać.

*

Życie pełnoetatowej mamy służyło Vivian.

Chociaż miała dziecko, wyglądała na dziesięć lat młodszą niż w rzeczywistości i zdarzało się, że gdy zamawiała drinka, proszono ją o okazanie dowodu. Czas był dla niej łaskawy, ale to inne rzeczy czyniły ją wyjątkową. Zawsze podziwiałem jej dojrzałość i przekonanie, z jakim wyrażała swoje poglądy. W przeciwieństwie do mnie zawsze miała odwagę mówić to, co myśli. Jeśli czegoś chciała, informowała mnie o tym; jeśli coś ją martwiło, nie ukrywała tego, nigdy nie kryła się ze swoimi uczuciami, nawet jeśli denerwowało mnie to, co mówi. Podziwiałem jej odwagę, by być tym, kim jest, bez obaw, że zostanie odrzucona, ponieważ sam zawsze chciałem taki być.

Była też silna. Nie narzekała i nie skarżyła się w trudnych chwilach; zawsze zachowywała stoicki spokój. Przez wszystkie te lata tylko raz widziałem, jak płacze, kiedy umarł jej kot Harvey, którego miała od drugiego roku studiów. Była wtedy w ciąży z London i w jej organizmie szalała burza hormonów; ale nawet wtedy nie rozpaczała, uroniła tylko kilka łez.

Ludzie mogą różnie interpretować to, że nie była skłonna do płaczu, ale prawda jest taka, że Vivian nie miała powodów do smutku. Życie oszczędziło nam jakichś większych nieszczęść i jeśli było coś, co mogło ją rozczarować, to fakt, że nie mogła drugi raz zajść w ciążę. Zaczęliśmy się starać, kiedy London skończyła półtora roku, ale kolejne miesiące nie przynosiły rezultatów, i choć byłem gotowy pójść do specjalisty, Vivian była zdania, że powinniśmy zostawić wolną rękę matce naturze.

Nawet bez drugiego dziecka zwykle byłem szczęśliwy, że jestem mężem Vivian; częściowo z powodu naszej córeczki. Niektóre kobiety lepiej nadają się do roli matek niż inne, a Vivian miała naturalny dar. Była oazą spokoju i cierpliwości, sumienną i kochającą; była jak pielęgniarka, której nie wzruszają biegunka

ani wymioty. Czytała London setki książeczek i potrafiła godzinami bawić się z nią na podłodze. Chodziła z nią do parku i biblioteki, a widok Vivian pchającej przed sobą sportową trójkołową spacerówkę z London w środku nie był w naszej okolicy niczym niezwykłym. Razem z małą brała udział w rozmaitych zajęciach, umawiała się z rodzicami innych dzieci na wspólne zabawy, chodziła na zajęcia przedszkolne, do lekarzy i dentystów, co oznaczało, że obie były w ciągłym biegu. A jednak, kiedy myślę o pierwszych latach życia London, przed oczami staje mi rozpromieniona Vivian, która trzyma na rękach naszą córeczkę albo razem z nią odkrywa świat. Pamiętam, jak London pierwszy raz kichnęła. Miała wtedy mniej więcej osiem miesięcy i siedziała na wysokim krzeselku. Nie wiedzieć czemu, bardzo ją to rozbawiło, więc kiedy zacząłem udawać, że kicham, nie mogła opanować śmiechu. Podczas gdy ja uważałem, że to urocze, dla Vivian było to coś więcej. Miłość, którą darzyła naszą córeczkę, przyćmiła wszystko inne, nawet miłość do mnie.

Niepohamowana natura macierzyństwa – albo to, jak postrzegała ją moja żona – nie tylko pozwalała mi skupić się na pracy zawodowej, ale znaczyła również, że rzadko musiałem opiekować się dzieckiem, więc nigdy nie doświadczyłem trudności tego zajęcia. Ponieważ dzięki zaangażowaniu Vivian opieka nad London wydawała się dziecinnie prosta, myślałem, że jej też nie sprawia kłopotów. Z czasem jednak moja żona stawała się coraz bardziej humorzasta i podenerwowana. Podstawowe prace domowe także zeszły na dalszy plan i gdy wracałem po pracy do domu, na podłodze w salonie walały się zabawki, a zlew był pełen brudnych naczyń. W koszu na bieliznę piętrzyły się brudy, dywany były nieodkurzone, a ponieważ nie lubiłem bałaganu, postanowiłem zatrudnić kogoś, kto przychodziłby sprzątać dwa razy w tygodniu. Kiedy London zaczęła chodzić, trzy razy w tygodniu zajmowała się nią opiekunka, żeby Vivian mogła mieć wolne popołudnia, a ja opiekowałem się małą w sobotę rano, żeby moja żona mogła mieć czas tylko dla siebie. Miałem nadzieję, że dzięki temu pozostanie jej więcej energii dla

naszego związku. Wydawało mi się, że żona zaczęła definiować siebie jako Vivian i matkę, i choć nadal tworzyliśmy rodzinę, rola żony stopniowo stała się dla niej uciążliwa.

Zwykle jednak nie przejmowałem się naszym związkiem. Wychodziłem z założenia, że jesteśmy jak większość małżeństw z małymi dziećmi. Wieczorami rozmawialiśmy o życiu: dziecku, pracy, rodzinie, o tym, co zjeść, dokąd pojechać na weekend albo kiedy wypada przegląd samochodu. Ale nie zawsze tak było; razem z Vivian ustanowiliśmy piątki „wieczorami randkowymi”. Nawet koledzy z pracy wiedzieli o naszych „randkach” i jeśli nie było absolutnej konieczności, wychodziłem z pracy o rozsądnej porze, w drodze do domu słuchałem ulubionej muzyki i uśmiechałem się od progu. Bawiłem się z London, podczas gdy Vivian się przebierała, a kiedy mała szła spać, czuliśmy się, jakbyśmy znów byli na randce.

Vivian wiedziała, jak poprawić mi nastrój po wyjątkowo kiepskim dniu w pracy. W wieku trzydziestu trzech lat zacząłem się zastanawiać, czy nie zamienić swojego porządnego samochodu o napędzie hybrydowym na mustanga GT, nawet jeśli miałbym na tym stracić. W tamtym okresie było to bez znaczenia. Gdy pojechałem na jazdę testową z pełnym entuzjazmu sprzedawcą i usłyszałem gardłowy pomruk silnika, wiedziałem, że jest to samochód, za którym inni kierowcy będą się oglądali z zazdrością. Sprzedawca przyznał mi rację, a kiedy później opowiadałem o tym Vivian, nie droczyła się ze mną, mówiąc, że jestem za młody na szaleństwa związane z kryzysem wieku średniego, i nie wypominała mi, że chcę od życia czegoś więcej niż to, co mam. Zamiast tego pozwoliła mi rozkoszować się ową fantazją, a gdy w końcu się opamiętałem, kupiłem samochód podobny do tego, którym jeździłem do tej pory: kolejną czterodrzwiową hybrydę z dużym bagażnikiem i wysokimi notami w rankingu bezpieczeństwa opublikowanym przez „Consumer Reports”. Nigdy nie żałowałem tej decyzji.

No, może trochę, ale to bez znaczenia.

W każdym razie kochałem Vivian i nawet przez chwilę nie zwątpiłem w to, że pragnę przeżyć z nią całe życie. Chcąc jej to udowodnić, długo zastanawiałem się, co kupować jej na kolejne święta, rocznice, urodziny, walentynki i Dni Matki. Wysyłałem jej kwiaty, wychodząc do pracy, zostawiałem pod poduszką liściki, a czasami przynosiłem śniadanie do łóżka. Wcześniej doceniała te gesty, jednak z czasem stały się przewidywalne i spowszedniały. Głowiłem się więc, czym ją zaskoczyć, co zrobić, żeby wiedziała, jak wiele wciąż dla mnie znaczy.

W końcu, oprócz innych rzeczy, Vivian dostała wymarzoną kuchnię, dokładnie taką jak ta w magazynie.

*

Vivian zawsze planowała wrócić do pracy, kiedy London pójdzie do szkoły. Myślała o czymś na pół etatu, tak by mogła spędzać popołudnia i wieczory w domu. Uparła się, że nie chce być jedną z tych matek, które wiecznie udzielają się w szkole, a w wakacje malują szkolną stołówkę. Nie chciała też przesiadywać całymi dniami w pustym domu. Oprócz tego, że jest świetną mamą, Vivian jest też genialna. Ukończyła z wyróżnieniem Uniwersytet Georgetown i zanim została mamą oraz gospodynią domową, była rzeczniczką prasową prowadzącego talk-show w Nowym Jorku i świetnie radziła sobie w firmie medialnej, gdzie pracowała aż do narodzin London.

Jeśli o mnie chodzi, nie tylko dostawałem coraz większe premie, ale awansowałem i w 2014 roku kierowałem niektórymi z głównych oddziałów agencji. Vivian i ja byliśmy małżeństwem od siedmiu lat, London skończyła pięć lat, a ja trzydzieści cztery. Nie tylko przeprojektowaliśmy kuchnię, ale zamierzaliśmy wyremontować główną sypialnię. Giełda była łaskawa dla naszych inwestycji – zwłaszcza firma Apple, w którą zainwestowaliśmy najwięcej – i oprócz kredytu hipotecznego nie mieliśmy długów. Uwielbiałem żonę i córeczkę, moi rodzice mieszkali nieopodal, a siostra i Liz były moimi najlepszymi

przyjaciółkami. Z zewnątrz moje życie wydawało się bajeczne i to samo powiedziałbym każdemu.

A jednak jakaś ukryta głęboko część mnie wiedziała, że to nieprawda.

Podobnie jak to, co działo się w pracy. Nikt, kto odpowiadał przed Jessem Petersem, nie mógł spać spokojnie. Peters założył agencję dwadzieścia lat temu i otwierając kolejne oddziały w Charlotte, Atlancie, Tampie, Nashville i Nowym Jorku, uczynił z niej wiodącą firmę na Południowym Wschodzie. Przedwcześnie posiwiał, niebieskooki Peters słynął z tego, że był bystry i bezwzględny; jego modus operandi polegał na niszczeniu konkurencji, kradnąc jej klientów albo oferując usługi po zaniżonych cenach. Kiedy to nie działało, najzwyczajniej w świecie wykupywał ich udziały. Kolejne sukcesy rozdmuchały jego i tak ogromne ego do gigantycznych rozmiarów, a sposób, w jaki zarządzał firmą, doskonale odzwierciedlał jego osobowość. Był przekonany o swojej nieomyślności, faworyzował niektórych pracowników, podburzał ich przeciwko sobie i wprowadzał do firmy nerwową atmosferę. Lubił, gdy pracownicy przypisywali sobie wszelkie zasługi, a za niepowodzenia obwiniali kolegów. Była to brutalna forma społecznego darwinizmu, przy której tylko nieliczni mieli szansę przetrwać.

Na szczęście przez ponad dekadę oszczędzono mi udziału w tych brutalnych igrzyskach, które niejednego kierownika doprowadziły na skraj załamania nerwowego; wcześniej, bo byłem zbyt nieistotny, by się mną przejmować, a później, bo klienci doceniali moją pracę i słono za nią płacili. Z czasem przekonałem sam siebie, że ponieważ byłem dla Petersa kurą znoszącą złote jaja, mój przełożony uznał, że jestem zbyt cenny, by mnie zdręczyć. W końcu nie był dla mnie tak surowy jak dla innych pracowników agencji. Przyjacielsko zagadywał mnie na korytarzu, a w tym samym czasie inni kierownicy – niektórzy bardziej doświadczeni ode mnie – wychodzili z jego gabinetu kompletnie zdruzgotani. Widząc ich, wzdychałem z ulgą – i zadowoleniem – że nic takiego nigdy mnie nie spotkało.

Jednak założenia są tak dokładne, jak osoba, która je przyjmuje, a ja myliłem się pod każdym względem. Mój pierwszy poważny awans zbiegł się w czasie ze ślubem; drugi dostałem dwa tygodnie po tym, jak Vivian wpadła do biura, żeby odstawić samochód, który był w warsztacie. Była to jedna z tych wizyt, która mogła skończyć się katastrofą; zamiast tego mój szef zajrzał do mnie do gabinetu, a na koniec zaprosił nas na lunch. Trzeci raz awansowałem niespełna tydzień po tym, jak Peters i Vivian odbyli trzygodzinną rozmowę na uroczystej kolacji dla klientów. Z czasem uświadomiłem sobie, że Petersa bardziej niż moja praca interesowała Vivian i tylko dlatego postanowił mnie oszczędzić. Vivian – powinienem był zauważyć – była łudząco podobna do dwóch byłych żon Petersa, który za wszelką cenę chciał ją uszczęśliwić... i jeśli to możliwe, uczynić żoną numer trzy, nawet za cenę mojego małżeństwa.

Nie żartuję. Ani nie przesadzam. Przy okazji każdej rozmowy pytał mnie, co u Vivian, zachwycał się jej urodą albo dopytywał, jak nam się wiedzie. Podczas kolacji z klientami – trzy, cztery razy w roku – zawsze znalazł sposób, żeby usiąść obok mojej żony, a na bożonarodzeniowych bankietach oboje zaszywali się w kącie i rozmawiali. Pewnie bym to zignorował, gdyby nie reakcja Vivian na to niezdrowe zainteresowanie jej osobą. Choć nie robiła nic, by zachęcić Petersa, nie robiła też nic, żeby go zniechęcić. Peters, który był koszmarnym szefem, potrafił być czarujący wobec kobiet, zwłaszcza tak pięknych jak Vivian. Słuchał ich, śmiał się, we właściwym czasie mówił właściwy komplement, a ponieważ był bogaty jak król Midas, uznałem, że całkiem możliwe – a nawet prawdopodobne – że Vivian pochlebiało to zainteresowanie z jego strony. Wcale nie była zaskoczona, że jest nią zafascynowany. Już w szkole podstawowej chłopcy zabiegali o jej zainteresowanie, tak więc spodziewała się tego; jedyne, czego nie lubiła, to tego, że czasami bywałem zazdrosny.

W grudniu 2014 – miesiąc przed najbardziej pamiętnym rokiem mojego życia – szykowaliśmy się na doroczny bankiet

bożonarodzeniowy. Kiedy wyraziłem swoje zaniepokojenie tą sytuacją, Vivian westchnęła poirytowana.

– Daruj sobie – rzuciła, a ja odwróciłem się, zachodząc w głowę, dlaczego tak lekceważy moje uczucia.

*

Cofnijmy się jednak w czasie.

Podczas gdy macierzyństwo przynosiło Vivian niebywałą satysfakcję, małżeństwo ze mną straciło na atrakcyjności. Pamiętam, jak myślałem, że Vivian się zmieniła, ale ostatnimi czasy doszedłem do wniosku, że nie tyle się zmieniła, ile ewoluowała: coraz bardziej przypominała osobę, którą była zawsze – osobę, która stawiała się coraz bardziej obca.

Zmiana była tak subtelna, że prawie niezauważalna. W pierwszym roku życia London wychodziłem z założenia, że humory i podenerwowanie Vivian są czymś naturalnym, i spodziewałem się, że miną. Nie powiem, że mi nie przeszkadzały, ale przyzwyczailem się do nich, nawet jeśli graniczyły z pogardą. Czas jednak płynął, a złe nastroje Vivian przybierały na sile. W ciągu następnych kilku lat stawiała się coraz bardziej rozzłoszczona, rozczarowana i traktowała moje obawy z coraz większym lekceważeniem. Często wybuchła złością i wykrzykiwała mi w twarz słowa, których nigdy nie wypowiedziałbym na głos. Jej napady agresji miały zmusić mnie, żebym przeprosił albo dał za wygraną. A ponieważ nie lubię konfliktów, dochodziło do tego, że wycofywałem się, kiedy tylko podniosła głos, bez względu na to, co miałem do powiedzenia.

Następstwa jej napadów złości bywały nieraz gorsze niż sam atak. Nie było mowy o wybaczeniu, a zamiast porozmawiać albo zapomnieć o wszystkim, Vivian się wycofywała. Mówiła niewiele albo nie odzywała się do mnie przez kilka dni, odpowiadając na moje pytania monosylabami. Całą uwagę skupiała na London i zostawiając mnie samego w salonie, znikwała w sypialni zaraz po

tym, jak mała szła spać. Podczas takich dni emanowała pogardą, a ja zastanawiałem się, czy nadal mnie kocha.

Nie byłem w stanie przewidzieć tych zachowań, a reguły zmieniały się zadziwiająco często. Jednego dnia Vivian wpadała w złość, a drugiego wykazywała zachowania pasywno-agresywne, w zależności od humoru. Jej oczekiwania względem mnie były coraz bardziej niejasne i zwykle nie wiedziałem, co robić, a czego nie robić; próbowałem wyjaśnić sytuację, czy dowiedzieć się, co takiego wytrąciło moją żonę z równowagi. Zresztą ona i tak nie chciała mi powiedzieć. Upierała się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, albo zarzucała mi, że reaguję zbyt impulsywnie. Miałem wrażenie, że mieszkam na polu minowym, gdzie jeden niewłaściwy krok może zrujnować mi zdrowie psychiczne albo zniszczyć małżeństwo... i nagle, z niewiadomych powodów, do naszego związku wracała względna normalność. Vivian pytała mnie, jak mi minął dzień, co zjadłbym na obiad, a kiedy London zasypiała, kochaliśmy się – ostateczny sygnał, że zostało mi wybaczone. Oddychałem wówczas z ulgą, naiwnie licząc, że od tej pory wszystko wróci do normy.

Vivian jednak zaprzeczała mojej wersji wydarzeń, a przynajmniej mojej interpretacji tego, co się działo. Była zła. Twierdziła, że to, co robi i jak się zachowuje, jest odpowiedzią na to, co robię ja. Mówiła, że mam nierealne wyobrażenie o małżeństwie, że spodziewałem się wiecznie trwającego miesiąca miodowego, a przecież to niemożliwe. Twierdziła, że przenoszę stres związany z pracą do domu i że to ja jestem humorzasty, nie ona; że mam jej za złe, że siedzi w domu, i wyżywam się na niej.

Bez względu na to, czyja wersja wydarzeń była prawdziwa, w głębi duszy pragnąłem jedynie, żeby żona była szczęśliwa. A dokładnie rzecz biorąc, żeby była szczęśliwa ze mną. Nadal kochałem Vivian i tęskniłem do chwil, kiedy śmiała się, gdy byliśmy razem, brakowało mi naszych rozmów i tego, jak

trzymaliśmy się za ręce. Brakowało mi Vivian, dzięki której uwierzyłem, że jestem mężczyzną godnym jej miłości.

A jednak, nie licząc piątkowych randek, nasz związek stopniowo zmieniał się w coś, czego czasami nie byłem w stanie rozpoznać i nawet nie wiedziałem, czy tego chcę. Pogarda Vivian zaczynała mnie ranić. W tamtych latach byłem rozczarowany samym sobą, bo ciągle ją zawodziłem, i przysięgałem sobie, że zrobię wszystko, żeby ją zadowolić.

*

A teraz wróćmy do pamiętnego wieczoru przed przyjęciem bożonarodzeniowym.

„Daruj sobie”, powiedziała, a jej słowa nie dawały mi spokoju, nawet kiedy się ubierałem. Były ostre, lekceważące i brakowało im empatii, ale nawet wówczas jedynym, co zapamiętałem, było to, że Vivian wyglądała piękniej niż zwykle. Miała na sobie czarną koktajlową sukienkę, szpilki i naszyjnik z brylantami, który podarowałem jej na urodziny. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, a kiedy wyszła z łazienki, zaniemówiłem z wrażenia.

– Wyglądasz pięknie – wykrztusiłem.

– Dziękuję – odparła, sięgając po torebkę.

W samochodzie atmosfera wciąż była napięta. Rozmowa się nie kleiła, ale gdy dotarło do niej, że nie zamierzam wspominać o Petersie, humor jej się poprawił. Kiedy dotarliśmy na przyjęcie, czułem się tak, jakbyśmy zawarli niepisaną umowę, na mocy której mieliśmy udawać, że żadne z nas niczego nie powiedziało.

A jednak słyszała moje słowa. I choć była zdenerwowana, praktycznie przez cały wieczór nie odstępowała mnie na krok. Peters zagadywał nas przy trzech różnych okazjach, dwukrotnie pytał Vivian, czy przynieść jej coś do picia – było oczywiste, że chce, żeby dołączyła do niego przy barze – ona jednak dwukrotnie odmówiła, kłamiąc, że zamówiła drinka u jednego z kelnerów. Była miła i zacząłem się zastanawiać, czy aby nie przesadziłem z tą rozmową o Petersie. Mógł flirtować z nią do

woli, ale koniec końców Vivian wróci do domu ze mną, a tylko to się liczyło, prawda?

Niewiele pamiętam z samego bankietu – nie był ani lepszy, ani gorszy, właściwie niczym nie różnił się od poprzednich – jednak kiedy wróciliśmy do domu i odprawiliśmy nastoletnią opiekunkę, Vivian poprosiła mnie, żebym nalał jej kieliszek wina i zajrzał do London. Gdy w końcu wszedłem do sypialni, w pokoju paliły się świece, a moja żona miała na sobie bieliznę... i...

Taka właśnie była Vivian. Nie było sensu zgadywać, co jej strzeli do głowy; nawet po siedmiu latach potrafiła mnie zaskoczyć, czasami cudownie pozytywnie.

*

Poważny błąd.

Oto, co dziś myślę o tamtym wieczorze, przynajmniej jeśli chodzi o moją karierę w agencji.

Okazało się, że Jessemu Petersowi nie spodobało się, że Vivian go unika, i tydzień później z jego gabinetu zaczęło płynąć w moją stronę arktyczne powietrze. Na początku nie było aż tak bardzo wyczuwalne. Kiedy w poniedziałek po imprezie spotkałem go na korytarzu, powitał mnie skinieniem głowy, a kilka dni później na zebraniu zadawał pytania wszystkim oprócz mnie. Podobnych zachowań było więcej, ale ponieważ pracowałem nad kolejnym dużym projektem – kampanią dla banku, której motywem przewodnim miała być uczciwość i która miała tchnąć świeżością – nie zwracałem na nie uwagi. Potem nadeszły święta, a ponieważ początek nowego roku to w naszym biurze gorący okres, dopiero pod koniec stycznia dotarło do mnie, że Jesse Peters praktycznie nie rozmawia ze mną od sześciu tygodni. Zacząłem częściej zaglądać do jego biura, ale asystentka informowała mnie, że szef rozmawia przez telefon albo jest zajęty. Dopiero w połowie lutego pojawiłem, dlaczego jest wobec mnie taki opryskliwy, kiedy w końcu znalazł czas, żeby się ze

mną spotkać. Poprosił o spotkanie najpierw przez swoją, a potem także przez moją sekretarkę, a to oznaczało, że nie mam wyjścia. Firma straciła kontrakt z ważnym klientem, dealerem samochodowym z ośmioma oddziałami w Charlotte, i była to moja wina. Po tym, jak wyjaśniłem, dlaczego moim zdaniem klient postanowił skorzystać z usług innej agencji, Peters przez chwilę świdrował mnie wzrokiem. Co gorsza, nie wspomniał o Vivian ani o nią nie zapytał. Wychodząc z gabinetu, czułem się mniej więcej tak jak ludzie, od których jeszcze do niedawna czułem się lepsi; jak ci stojący na skraju załamania nerwowego. Miałem nieodparte przeczucie, że moje dni w Peters Group są policzone. Najgorsze było to, że klient – mężczyzna przed siedemdziesiątką – postanowił się wycofać nie przez to, co zrobiłem ani czego nie zrobiłem. Widziałem bannery i spoty agencji, która przejęła zlecenie, i wciąż jestem zdania, że nasze pomysły były bardziej kreatywne i efektywne. Ale klienci bywają kapryśni. Reklama to branża, w której o porażce decydują takie czynniki jak załamanie gospodarki, zmiana zarządu, zwykła chęć ograniczenia wydatków albo widzimi się klientów. W tym przypadku klient był w trakcie rozwodu i potrzebował pieniędzy, żeby zapłacić byłej żonie. Ograniczając kampanię reklamową, przez kolejne pół roku mógł oszczędzić sześciocyfrową sumę, a musiał liczyć się z każdym groszem, bo jego żona wynajęła najlepszego prawnika. Zmuszony do pokrycia rosnących opłat sądowych i zapłacenia żonie, facet szczypał się z pieniędzmi, i Peters o tym wiedział.

Miesiąc później, kiedy straciliśmy kolejnego klienta – sieć klinik – niezadowolenie Petersa z mojej osoby stało się jeszcze bardziej widoczne. Nie był to ważny klient – nie nazwałbym go nawet średnim – a fakt, że od początku roku podpisałem trzy umowy, nie zrobił na szefie żadnego wrażenia. Zamiast tego kolejny raz wezwał mnie do siebie i zarzucił mi, że „tracę polot”, a „klienci przestali ufać moim ocenom”. Na koniec wezwał do biura Todda Henleya i oświadczył, że od teraz będziemy „pracować razem”. Henley dobrze się zapowiadał – pracował

w agencji od pięciu lat – był kreatywny i jak nikt znał się na polityce firmy. Wiedziałem, że ubiega się o moje stanowisko – nie on jeden zresztą, ale tylko on robił wszystko, żeby przypodobać się Petersowi. Kiedy nagle zaczął częściej bywać w gabinecie szefa – jak nic przypisując sobie wszelkie zasługi za kampanię, nad którą obaj pracowaliśmy – skąd wychodził wyraźnie zadowolony, wiedziałem, że powinienem zacząć robić plany.

Moje doświadczenie, pozycja i zarobki nie pozostawiały mi zbyt wielu opcji. Ponieważ Peters zdominował przemysł reklamowy w okolicach Charlotte, musiałem zarzucić sieci gdzieś dalej. W Atlancie Peters wciąż jeszcze był numerem dwa, ale systematycznie rósł w siłę, połykając mniejsze agencje i zyskując nowych klientów. Lider na rynku był w okresie przejściowym i na jakiś czas wstrzymał zatrudnienia. Skontaktowałem się więc z firmami w Waszyngtonie, Richmond i Baltimore, licząc, że bliskość rodziców Vivian ułatwi podjęcie decyzji o ewentualnej przeprowadzce. Jednak i tym razem skończyło się na rozmowach kwalifikacyjnych.

Oczywiście były też inne możliwości, wszystko zależało od tego, jak daleko od Charlotte byłem w stanie się przeprowadzić. Kontaktowałem się z siedmioma, ośmioma agencjami na Południowym Wschodzie i Środkowym Zachodzie i każda rozmowa utwierdzała mnie w przekonaniu, że nie chcę stąd wyjeżdżać. Tu mieszkali moi najbliżsi – rodzice, Marge i Liz; Charlotte było moim domem. I wtedy pomyślałem, żeby stworzyć własny interes – swoją własną agencję reklamową – zaczął rodzić się w mojej głowie jak mityczny feniks z popiołów. Który – tak się złożyło – był również świetnym pomysłem na nazwę...

Agencja Feniks. Miejsce, gdzie twoja firma wzniesie się na wyżyny sukcesu.

Oczami wyobraźni widziałem ten slogan na wizytówkach, wyobrażałem sobie rozmowy z klientami, a przy okazji wizyty u rodziców wspomniałem o swoich planach ojcu, który bez owijania w bawełnę odparł, że jego zdaniem nie jest to dobry pomysł. Vivian też nie wyglądała na zachwyconą. Wiedziała, że

rozglądałam się za pracą, a gdy napomknąłem o swoich planach, zasugerowała, żebym poszukał w Nowym Jorku i Chicago, dwóch miejscach, które z góry skazałem na niepowodzenie. Wciąż jednak nie mogłem przestać myśleć o własnej agencji i widziałem coraz więcej korzyści płynących z takiego rozwiązania.

Jako firma jednoosobowa nie musiałem się martwić kosztami ogólnymi.

Byłem po imieniu z dyrektorami naczelnymi i kierownikami w Charlotte.

Znałem się na tym, co robię.

Chciałem stworzyć niewielką firmę, współpracującą z kilkoma klientami.

Mogłem oferować im niższe ceny i zarobić więcej.

Siedząc w biurze, zacząłem analizować liczby i przeprowadzać ankiety. Dzwoniłem do klientów, pytając, czy są zadowoleni z usług i cen w Peters Group, a ich odpowiedzi utwierdzały mnie w przekonaniu, że nie może mi się nie udać. Tymczasem Henley wieszał na mnie psy za każdym razem, gdy wchodził do biura Petersa, co prowadziło do tego, że Peters cały czas patrzył na mnie bykiem.

Wiedziałem już wtedy, że mnie zwolni, a to znaczyło, że nie mam wyboru i muszę otworzyć własny biznes.

Pozostało mi jeszcze poinformować o tym Vivian.

*

Cóż mogło być lepszego niż świętowanie mojego przyszłego sukcesu na piątkowej randce?

Owszem, mogłem wybrać inny wieczór, ale pragnąłem podzielić się z Vivian swoją radością. Potrzebowałem jej wsparcia. Chciałem opowiedzieć jej o swoich planach, wyobrażałem sobie, że sięgnie ponad stołem, weźmie mnie za rękę i powie: „Nie wiesz nawet, jak długo na to czekałam. Nie

mam wątpliwości, że osiągniesz sukces. Zawsze w ciebie wierzyłam”.

Mniej więcej rok później, gdy opowiedziałem Marge o swoich oczekiwaniach tamtego wieczoru, zaśmiała mi się w twarz. „Powień wprost”, rzuciła. „Pozbawiłeś ją poczucia bezpieczeństwa, poinformowałeś, że zamierzasz wywrócić wasze życie do góry nogami... i naprawdę wierzyłeś, że pogłaszczę cię po głowie? Na litość boską, mieliście dziecko. I kredyt hipoteczny. I rachunki do zapłacenia. Czyś ty oszalał?”

„Ale...”

„Nie ma żadnych ale”, odparła. „Wiesz, że Vivian i ja nie zawsze się zgadzamy, ale tym razem miała rację”.

Może rzeczywiście tak było, lecz mleko się rozlało. Tamtego wieczoru, po tym, jak położyliśmy London do łóżka, usmażyłem steki – jedyne, co potrafię zrobić w kuchni – podczas gdy Vivian przygotowała sałatkę, ugotowała na parze brokuły i uprażyła zielony groszek z migdałami. Należy dodać, że nie jadła niczego, co uchodziło za niezdrowe – chleba, lodów, makaronu, cukru i niczego, co zawierało białą mąkę – czyli tego, co ja uważałem za smaczne, czym zajadałem się na lunch i przez co doczekałem się boczaków.

Atmosfera od początku była napięta. A im bardziej starałem się ją rozładować, tym bardziej Vivian robiła się rozdrażniona, zupełnie jakby przygotowywała się na to, co ma nadejść. Potrafiła czytać ze mnie jak z otwartej książki, a jej rosnący niepokój sprawiał, że dwoiłem się i troiłem, żeby uratować wieczór, jednak moje starania przynosiły odwrotny skutek.

Zaczekałem, aż skończymy jeść. Vivian zjadła odrobinę steku, nalałem jej wina i zacząłem opowiadać o Henleyu, Petersie i moich podejrzeniach, że zamierza mnie zwolnić. Słuchała, kiwając w milczeniu głową, więc zebrałem się na odwagę i wtajemniczyłem ją w swoje plany, kilka razy podkreślając zasadność swojej decyzji. Kiedy tak siedziała, wyglądała jak marmurowy posąg. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak nieruchomej, nawet nie zerknęła na kieliszek. Nie zadawała

żadnych pytań, dopóki nie skończyłem. Cisza wypełniła pokój, odbijając się echem od ścian.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytała w końcu.

Nie były to słowa wsparcia, jakich się spodziewałem, ale też nie zerwała się od stołu, co wziąłem za dobry znak. Jakiż byłem głupi!

– Właściwie – zacząłem – przeraża mnie to jak cholera, ale jeśli nie zrobię tego teraz, to nie wiem, czy kiedykolwiek się zdecyduję.

– Nie jesteś za młody, żeby otwierać własną agencję?

– Mam trzydzieści pięć lat. Peters miał ledwie trzydzieści, kiedy rozkręcał interes.

Zacisnęła usta i niemal widziałem słowa, które tłukły się jej po głowie – „Ale ty nie jesteś Petersem”. Na szczęście nie powiedziała tego na głos. Zamiast tego ściągnęła brwi, choć na jej czole nie pojawiła się ani jedna zmarszczka. W kwestii starzenia się była prawdziwym ewenementem.

– Masz w ogóle pojęcie, jak się za to zabrać?

– To taki sam biznes jak każdy inny, a wielu ludzi zakłada własne firmy. Trzeba wypełnić odpowiednie dokumenty, wynająć dobrego prawnika, księgowego i otworzyć biuro.

– Ile to zajmie?

– Miesiąc, może dłużej. Kiedy tylko znajdę biuro, zacznę szukać zleceń.

– Nie jest łatwo znaleźć klientów.

– Znajdę ich – odparłem. – Tym się nie martwię. Peters jest drogi, a ja od lat współpracuję z niektórymi klientami. Założę się, że skorzystają z okazji.

– Ale przez jakiś czas nie będziesz zarabiał.

– Na początku będziemy musieli ograniczyć wydatki. Na przykład zrezygnować z pomocy domowej

– Mam sprzątać dom?

– Pomogę ci – zapewniłem.

– Jasne – bąknęła. – A niby skąd weźmiesz na to wszystko pieniądze?

– Zamierzałem wykorzystać pieniądze z lokat.
– Naszych lokat?
– Mamy dość pieniędzy, żeby wystarczyło nam na rok.
– Na rok? – powtórzyła po mnie jak echo.
– I to bez żadnych przychodów – dodałem. – Chociaż tak się nie stanie.

Pokiwała głową.

– Bez przychodów.
– Wiem, że teraz brzmi to przerażająco, ale koniec końców się opłaci. A twoje życie się nie zmieni.

– Oprócz tego, że będę twoją pokojówką.

– Nie to miałem na myśli...

Przerwała mi, zanim zdążyłem dokończyć.

– Peters nie będzie siedział i przyklaskiwał twojej odwadze – zauważyła. – Jeśli zorientuje się, że próbujesz podebrać mu klientów, zrobi wszystko, żeby wygryźć cię z branży.

– Niech spróbuje – warknąłem. – Ale prawda jest taka, że pieniądze mają dar przekonywania.

– On ma ich więcej.

– Mówię o pieniądzach klientów.

– A ja mówię o pieniądzach naszej rodziny – odgryzła się. – Co z nami? Co ze mną? Myślisz, że tak po prostu się na to zgodzę? Na litość boską, mamy dziecko!

– A ja mam tak po prostu zrezygnować z marzeń?

– Nie zgrywaj męczennika. Nienawidzę, kiedy to robisz.

– Nie zgrywam męczennika. Próbuję rozmawiać...

– Wcale nie! – rzuciła podniesionym głosem. – Mówisz mi, co ty chcesz zrobić, nawet jeśli może to zaszkodzić naszej rodzinie!

Powoli wypuściłem powietrze, skupiając się na tym, żeby nie zacząć krzyczeć.

– Już ci mówiłem, jestem pewien, że Peters mnie zwolni, a tu w okolicy nie znajdę pracy.

– Próbowalesz z nim porozmawiać?

– Oczywiście, że próbowałem z nim rozmawiać.

– Ty tak twierdzisz.

– Nie wierzysz mi?

– Nie do końca.

– Co to znaczy „nie do końca”?

Rzuciła serwetkę na talerz i wstała od stołu.

– Wierzę, że zrobisz, co będziesz chciał, nawet jeśli zaszkodzi to nam i naszemu dziecku.

– Chcesz powiedzieć, że nie dbam o rodzinę?

Ale ona wyszła już z pokoju.

Tej nocy spałem w pokoju gościnnym. I choć Vivian odpowiadała na moje pytania monosylabami, to sama nie odezwała się do mnie przez następne trzy dni.

*

Mimo że Marge niańczyła mnie w dzieciństwie i zawsze, gdy chodziło o moje wady, miała na podorędziu złote myśli, jako nastolatka nie cierpiała się mną zajmować. Zaczęła spędzać niewyobrażalną ilość czasu, rozmawiając przez telefon, przez co ja siedziałem przed telewizorem. Nie wiem, jak inne dzieciaki, ale ja nauczyłem się tego, co wiem o reklamie niemal przez osmozę. Nie wyniosłem tej wiedzy z college’u ani nie dowiedziałem się tego od starszych kolegów w agencji, zwłaszcza że połowa z nich traciła energię, próbując zniszczyć karierę drugiej połowie, za przyzwoleniem Petersa. Nie wiedząc, co innego mógłbym robić, gdy zaczynałem pracę w agencji, słuchałem klientów, którzy mówili, co chcą osiągnąć, szukałem w pamięci i wymyślałem nowe interpretacje starych spotów reklamowych.

Oczywiście nie było to takie proste. Reklama to znacznie więcej niż to, co widzimy w telewizji. Na przestrzeni lat wymyślałem chwytliwe slogany na bannery i billboardy; pisałem reklamy radiowe i tworzyłem spoty utrzymane w konwencji programów informacyjnych; pomagałem zmieniać strony internetowe i tworzyłem kampanie w mediach społecznościowych; byłem częścią zespołu, który pozycjonował wyniki wyszukiwania i reklamy w zależności od kodu

pocztowego, dochodów i wykształcenia, a dla jednego z klientów stworzyłem reklamy umieszczane na furgonetkach. Podczas gdy w agencji większość zleceń wykonywaliśmy na miejscu w grupach, teraz jako właściciel jednoosobowej firmy musiałem sam wychodzić naprzeciw oczekiwaniom klienta, a jak każdy mam swoje mocne i słabe strony. Do tych drugich z pewnością należy technologia. Na szczęście siedziałem w tej branży wystarczająco długo, żeby poznać lokalnych przedsiębiorców, którzy oferowali potrzebne usługi, i kolejno się z nimi kontaktowałem.

Nie okłamałem Vivian, mówiąc, że nie obawiam się braku klientów, ale, jak na ironię, popełniłem fatalny błąd. Zapomniałem przygotować kampanię reklamową własnej firmy. Powinienem był wyłożyć więcej pieniędzy na profesjonalną stronę internetową i materiały promocyjne reklamujące agencję moich marzeń, a nie tę, którą budowałem od podstaw. Powinienem był stworzyć druki reklamowe, które zachęcą potencjalnych klientów.

Zamiast tego przez cały maj szukałem lokalu, który będzie w stanie pomieścić mój sukces. Wziąłem urlop, zatrudniłem prawnika i księgowego i wypełniłem odpowiednie dokumenty. Wynająłem biuro, kupiłem sprzęt i wyposażyłem siedzibę firmy we wszystkie niezbędne rzeczy. Czytałem książki dla początkujących biznesmenów i w każdej z nich podkreślano, jak ważne jest odpowiednie wyposażenie. W połowie maja wręczyłem dwutygodniowe wypowiedzenie. Jeśli cokolwiek ostudziło mój entuzjazm, to fakt, że zbyt nisko oszacowałem koszty początkowe, zwłaszcza że trzeba było opłacać bieżące rachunki. W rezultacie rok bez dochodów, o którym mówiłem Vivian, skurczył się do dziewięciu miesięcy.

To jednak nic. Nadszedł pierwszy czerwca, a wraz z nim agencja Feniks rozpoczęła swoją działalność. Rozesłałem listy do klientów, z którymi współpracowałem w przeszłości. Informowałem o świadczonych usługach, obiecywałem atrakcyjne ceny i wyrażałem nadzieję na owocną współpracę

w przyszłości. Zacząłem dzwonić, umawiać się na spotkania, a na koniec rozsiadłem się w fotelu i czekałem na pierwsze telefony.

ROZDZIAŁ 4

Lato mojego niezadowolenia

Ostatnio zacząłem wierzyć, że posiadanie dziecka zaburza nasze poczucie czasu i niczym mikser miesza przeszłość z teraźniejszością. Za każdym razem, gdy patrzyłem na London, przeszłość jak plama oleju wypływała na powierzchnię i wspomnienia brały mnie we władanie.

„Dlaczego się uśmiechasz, tatusiu?”, pytała mnie moja córeczka.

„Bo myślę o tobie”, odpowiadałem i oczami wyobraźni widziałem ją jako niemowlę śpiące w moich ramionach, przypominałem sobie jej pierwszy uśmiech albo to, jak pierwszy raz przewróciła się na plecki. Miała trochę ponad pięć miesięcy i kiedy Vivian poszła na zajęcia jogi, położyłem ją do snu na brzuszku. Gdy się obudziła, dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że leży na plecach i uśmiecha się do mnie.

Innym razem przypominałem ją sobie jako raczkującego bobasa, ostrożnie pełzającą po podłodze i przytrzymującą się stołu, aby wstać; pamiętam, jak trzymałem ją za rączkę, kiedy tam i z powrotem spacerowaliśmy po korytarzu, zanim nauczyła się chodzić sama.

Jest jednak wiele rzeczy, które mnie ominęły, zwłaszcza kiedy robiła je pierwszy raz. Nie było mnie przy niej, jak wypowiedziała pierwsze słowo; byłem poza domem, gdy straciła pierwszego mleczaka. Nie widziałem, jak pierwszy raz je danie ze słoiczka. Ale kiedy później widziałem, jak robi te rzeczy, cieszyłem się tak, jakby robiła je po raz pierwszy, bo w pewnym sensie tak właśnie było.

Smutne jest to, że tak wiele uleciało mi z pamięci. Nie wszystko da się zredukować do jednego wydarzenia. Kiedy właściwie przestała raczkować, a zaczęła chodzić? Ile czasu potrzebowała, żeby z pojedynczych słów zacząć składać krótkie zdania? Te okresy gwałtownego postępu zlewają się w jedno i czasami mam wrażenie, że wystarczyło odwrócić się na chwilę, a miejsce London zajmowała jej nowa, doskonalsza wersja.

Nie jestem pewien, kiedy zmienił się jej pokój, zabawki i gry. Za to w najdrobniejszych szczegółach pamiętam żłobek, łącznie z tapetą, której dół ozdabiały rzędy kaczątek. Ale kiedy klocki i pluszowe gąsienice trafiły do pudła, które stoi w kącie pokoju? Kiedy w naszym domu pierwszy raz pojawiła się lalka Barbie i jak to się stało, że London zafascynowała się jej bajkowym życiem, w którym Barbie nawet w kuchni nosiła eleganckie, kolorowe stroje? Kiedy zaczęła się zmieniać z córeczki imieniem London w London, moją córkę?

Czasami tęsknię za tym słodkim bobasem, którego kiedyś znałem i kochałem. Zastąpiła go mała dziewczynka, która miała własne zdanie na temat włosów, prosiła mamę, żeby pomalowała jej paznokcie, a wkrótce większość czasu będzie spędzała w szkole pod opieką nauczycielki, której jeszcze nie miałem okazji poznać. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu i aktywniej uczestniczyć w pierwszych pięciu latach jej życia: pracowałbym mniej, spędzałbym więcej czasu, bawiąc się z nią na podłodze i razem z nią zachwycałbym się motylami. Chciałem, żeby wiedziała, jak wiele radości wniosła do mojego życia; chciałbym jej powiedzieć, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Chciałem, żeby zrozumiała, że chociaż to mama była zawsze przy niej, kochałem ją tak, jak tylko ojciec może kochać swoją małą córeczkę.

Dlaczego więc czasami mam wrażenie, że to za mało?

*

Telefon nie zadzwonił.

Ani w pierwszym tygodniu, ani w drugim, ani nawet w trzecim. Chociaż spotkałem się z kilkunastoma potencjalnymi klientami i wszyscy sprawiali wrażenie zainteresowanych, telefon w biurze milczał jak zakłęty. Kończył się miesiąc, a żaden z nich nie znalazł dla mnie czasu, kiedy próbowałem się z nimi skontaktować. Gorzej, doszło do tego, że ich sekretarki prosiły mnie, żebym przestał dzwonić.

Peters.

To on maczał w tym palce i po raz kolejny pomyślałem o tym, co powiedziała mi Vivian. „Jeśli zorientuje się, że próbujesz podebrać mu klientów, zrobi wszystko, żeby wygryźć cię z branży”.

Początek lipca przywitałem w fatalnym nastroju, a sytuację pogorszył ostatni wyciąg z karty kredytowej. Vivian najwyraźniej wzięła sobie do serca moje zapewnienia o tym, że jej życie się nie zmieni; załatwiała sprawunki jak szalona, a ponieważ zrezygnowaliśmy z gosposi, nasz dom przypominał pobożowisko. Po pracy przez godzinę sprzątałem, robiłem pranie, odkurzałem i myłem kuchnię. Miałem wrażenie, że Vivian postrzega przejęcie przeze mnie obowiązków domowych – i wyciąg z karty kredytowej – jako swoistą pokutę.

Odkąd rozpocząłem własną działalność, niewiele rozmawialiśmy. Ja wspominałem o firmie, ona napomykała, że zaczęła rozglądać się za pracą na pół etatu. Rozmawialiśmy o naszych rodzinach, przyjaciółach i sąsiadach. Przede wszystkim jednak rozmowy krążyły wokół London, która zawsze była bezpiecznym tematem. Oboje wyczuwaliśmy, że najmniejsza zniewaga czy niewłaściwe słowo mogą doprowadzić do kłótni.

Święto Czwartego Lipca wypadło w sobotę i niczego bardziej nie pragnąłem, jak się zrelaksować. Chciałem zapomnieć o pieniądzach, rachunkach i klientach, którzy ignorowali moje telefony; chciałem uciszyć ten głos w mojej głowie, który zastanawiał się, czy przypadkiem nie powinienem zacząć rozglądać się za pracą w innym mieście. Chciałem na jeden dzień uciec od dorosłości i zakończyć świąteczny weekend

romantycznym wieczorem z Vivian, bo to by znaczyło, że żona wciąż we mnie wierzy, nawet jeśli jej wiara zaczynała tracić na sile.

Ale święta czy nie, sobotnie poranki należały do Vivian, która krótko po przebudzeniu wychodziła na zajęcia jogi, po czym szła na siłownię. Dałem London płatki z mlekiem i poszliśmy do parku; po południu zaś wszyscy troje wybraliśmy się na przyjęcie sąsiedzkie. Odbywały się tam gry i zabawy dla dzieci, Vivian rozmawiała z innymi matkami, podczas gdy ja wypłem kilka piw w towarzystwie innych ojców. Nie znałem ich za dobrze; podobnie jak ja do niedawna, oni również pracowali do późna, i słuchając ich, nie mogłem przestać myśleć o widmie finansowego fiaska, które zawisło nad moją głową.

Potem, kiedy na niebie nad BB&T Ballpark rozkwitły sztuczne ognie, czułem dziwne napięcie w szyi i ramionach.

*

W niedzielę moje samopoczucie się nie polepszyło.

Liczyłem na miły weekend w rodzinnym gronie, ale zaraz po śniadaniu Vivian oświadczyła, że ma do załatwienia pewne sprawy i wychodzi na cały dzień. Ton, jakim to powiedziała – swobodny, a zarazem wyzywający – sugerował, że nie zamierza zmienić zdania, a jeśli będę się upierał, jest gotowa się pokłócić.

Nie upierałem się. Zamiast tego ze ściśniętym żołądkiem patrzyłem, jak wsiada do SUV-a, i zastanawiałem się, co zrobić, żeby nie oszaleć, ale przede wszystkim, jak przez cały dzień zabawić London. I nagle przypomniałem sobie slogan, który wymyśliłem w pierwszym roku mojej kariery w branży reklamowej.

Kiedy masz kłopoty i potrzebujesz wsparcia...

Napisałem go dla prawnika zajmującego się sprawami z zakresu uszkodzeń ciała i choć facet został ukarany przez adwokaturę i w końcu stracił prawo do wykonywania zawodu, reklama sprawiła, że lokalni prawnicy walili do agencji drzwiami

i oknami. Współpracowałem z większością z nich; byłem koleś od reklam kancelarii prawnych, dzięki czemu Peters zarobił mnóstwo kasy. Kilka lat później w „The Charlotte Observer” pojawił się artykuł, w którym opisywano Peters Group jako „hieny branży reklamowej”, i parę szycy ze świata bankowości i nieruchomości zaczęło wzdragać się na takie porównanie. Peters niechętnie zrezygnował ze współpracy z niektórymi z nich, ale nawet po latach skarżył się, że został okradziony przez te same banki, z których zdzierał, ile wlezie, przynajmniej jeśli chodziło o opłaty za wykonaną usługę.

Tym razem jednak to ja miałem kłopoty i potrzebowałem wsparcia... i pod wpływem chwili postanowiłem odwiedzić rodziców.

Bo jeśli oni cię nie wesprą, to kto?

*

Trudno mi wyobrazić sobie mamę bez kuchennego fartucha. Była przekonana, że jeśli chodzi o kobiece strój domowy, fartuchy są tak samo ważne jak biustonosze czy majtki. Kiedy dorastałem, widziałem ją w fartuchu, gdy razem z Marge schodziliśmy na śniadanie; był pierwszą rzeczą, jaką wkładała po przyjeździe z pracy, i nie zdejmowała go do momentu, aż zjedliśmy kolację i posprzątaaliśmy kuchnię. Kiedy pytaliśmy dlaczego, mówiła, że lubi kieszenie albo że dzięki temu jest jej ciepło, albo że zamierza napić się kawy bezkofeinowej i nie chce poplamieć ubrań.

Osobiście myślę, że było to dziwactwo, ale dzięki temu wiedzieliśmy, co kupić jej pod choinkę i na urodziny, i z czasem jej kolekcja się powiększyła. Miała fartuchy w każdym kolorze, stylu i każdej długości; fartuszki na każdą porę roku, fartuszki ze sloganami, te, które Marge i ja zrobiliśmy dla niej, będąc dziećmi, fartuszki z imieniem *Gladys* narysowanym z pomocą szablonu, a kilka z nich miało nawet koronkę, ale te jej zdaniem były zbyt frywolne, żeby nosić je po domu. Wiedziałem na pewno, że na

strychu stoi siedem pudeł ze starannie złożonymi fartuchami, a w kuchni są dwie szafki mieszczące część jej kolekcji. Marge i ja nie mieliśmy pojęcia, czym kierowała się mama, wybierając „fartuch dnia”, ani nawet jak znajdowała ten, na którym jej zależało.

Jej przywiązanie do fartuchów nie osłabło nawet wtedy, gdy przestała pracować. Mama pracowała nie dlatego, że kochała swoją pracę, ale dlatego, że nasza rodzina potrzebowała pieniędzy. Kiedy przeszła na emeryturę, dołączyła do klubu miłośników ogrodnictwa, pracowała jako wolontariuszka w centrum seniora i była aktywną członkinią Ruchu Czerwonych Kapeluszy. Jak Vivian i London, ona również miała plany na każdy dzień tygodnia, rzeczy sprawiające jej przyjemność, i miałem wrażenie, że fartuchy, które wybierała przez ostatnich kilka lat, odzwierciedlały jej radosny nastrój. Te nijakie trafiły na dno szuflady, a na wierzchu leżały te z kwiatami, ptakami i sloganami typu: *Emerytka: młoda sercem, ale starsza w innych miejscach.*

Kiedy przyjechałem z London, mama miała na sobie fartuch w czerwono-niebieską kratę – bez kieszeni, co nie umknęło mojej uwadze – i na widok wnuczki jej twarz pojaśniała. Z upływem czasu była coraz mniej podobna do mamy, jaką znałem, a coraz bardziej przypominała babcię, której zdjęcie Norman Rockwell mógłby umieścić na okładce „The Saturday Evening Post”. Miała siwe włosy, rumiane policzki, była przyjemnie pulchna i wiedziałem, że London też ucieszyła się na jej widok.

Liz i Marge też były u rodziców. Po serii pospiesznych całusów i uścisków cała ich uwaga skupiła się na mojej córce, a ja praktycznie stałem się niewidzialny. Liz wzięła London na ręce tuż po tym, jak mała wpadła do domu, i chwilę później słyszałem jej radosne trajkotanie. Marge i Liz chłonęły każde jej słowo i kiedy usłyszałem „ciasteczka”, wiedziałem, że London będzie zajęta przez najbliższe kilka godzin. Uwielbiała gotować, w przeciwieństwie do Vivian, która pogardzała mąką i cukrem.

– Jak minął wam Czwarty Lipca? – zapytałam mamę. – Byliście na pokazie sztucznych ogni?

– Zostaliśmy w domu – odparła. – Te wszystkie tłumy i korki są takie męczące. A wy?

– Jak zawsze. Najpierw poszliśmy na imprezę sąsiedzką, a później na stadion.

– My też – rzuciła Liz. – Trzeba było do nas zadzwonić. Moglibyśmy się spotkać.

– Nie pomyślałam. Przepraszam.

– London, podobał ci się pokaz? – zapytała Marge.

– Był superfajny. Ale niektóre fajerwerki były naprawdę głośne.

– To fakt.

– Możemy już zacząć piec ciasteczka?

– Pewnie, skarbie.

O dziwo, moja mama nie poszła za nimi. Zaczekała, aż wszystkie trzy znikną w kuchni, i wygładziła przód fartucha. Robiła tak zawsze, gdy była zdenerwowana.

– Wszystko w porządku, mamó?

– Musisz z nim porozmawiać. On musi iść do lekarza.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Boję się, że ma RAKA.

Mama nigdy tak po prostu nie używała słowa „rak”. W jej ustach to zawsze był RAK. I sama myśl o nim ją przerażała. Odkąd RAK zabrał jej rodziców i dwoje starszego rodzeństwa, stał się nieodłącznym tematem rozmów z mamą. Był lichem, które czekało, żeby zaatakować w najmniej oczekiwanym momencie.

– Dlaczego myślisz, że ma raka?

– Bo RAK utrudnia oddychanie. Tak samo było z moim bratem. Najpierw zabiera ci oddech, a potem całą resztę.

– Twój brat palił dwie paczki papierosów dziennie.

– Ale twój tata nie pali. A ostatnio nie mógł złapać tchu.

Pierwszy raz rumieniec zniknął z jej policzków.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Co się stało?

– Mówię ci teraz – odparła. Wzięła głęboki oddech. – W czwartek po pracy ojciec siedział na werandzie za domem, a ja gotowałam obiad. Z nieba lał się żar, ale twój tata uparł się, że przeniesie donicę z klonem palmowym z jednego końca werandy w drugi, żeby nie stał za długo w pełnym słońcu.

– Sam? – Nawet ja nie dałbym rady tego przesunąć. Donica musiała ważyć ze sto kilogramów. Może nawet więcej.

– Oczywiście – rzuciła, jakbym był głupi, że w ogóle zapytałem. – A kiedy ją przeniósł, przez kilka minut nie mógł złapać tchu. Musiał usiąść i odpocząć.

– Nic dziwnego. Po czymś takim każdy byłby zdyszany.

– Nie twój ojciec.

Miała rację.

– Jak się czuł potem?

– Przecież mówiłam.

– Ile czasu minęło, zanim doszedł do siebie?

– Nie wiem. Chyba kilka minut.

– Musiał się położyć?

– Nie. Zachowywał się, jakby nic się nie stało. Otworzył piwo i oglądał mecz.

– Czyli wygląda na to, że wszystko z nim w porządku...

– Musi iść do lekarza.

– Wiesz, że nie lubi lekarzy.

– I dlatego to ty musisz z nim porozmawiać. Mnie już nie słucha. Jest uparty jak osioł i od lat nie był na badaniach.

– Mnie pewnie też nie posłucha. Prosiłaś Marge, żeby z nim porozmawiała?

– Powiedziała, że teraz twoja kolej.

Dzięki, Marge.

– Dobrze, rozmawiam z nim.

Skinęła głową, ale sądząc po jej minie, wciąż myślała o RAKU.

– A gdzie Vivian? Nie przyjedzie?

– Jesteśmy tylko ja i London. Viv załatwia jakieś sprawy.

– Och – westchnęła mama. Wiedziała, co oznacza „załatwianie jakichś spraw”. – Tata chyba wciąż jest w garażu.

*

Na szczęście w garażu panował cień, choć temperatura była ledwie znośna dla kogoś takiego jak ja, przyzwyczajonego do klimatyzowanych pomieszczeń. Tymczasem ojciec nie zwracał na to uwagi, a przynajmniej się nie skarżył. To było jego sanktuarium i zawsze, gdy tam wchodziłem, zdumiewał mnie panujący w nim porządek. Na wbitych w ściany hakach wisiały narzędzia, na podłodze pod ścianami stały pudła z przewodami i różnym ustrojstwem, a domowej roboty stół warsztatowy z szufladami mieścił wszelkiej maści gwoździe, śruby i bolce. Były tu części silników, przedłużacze i narzędzia ogrodowe; w świetle taty wszystko to miało swoje miejsce. Zawsze wierzyłem, że ojciec czułby się najlepiej w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku albo jako pionier.

Był potężnym, barczystym mężczyzną z umięśnionymi ramionami i tatuażem syreny na przedramieniu, pamiątką po służbie w marynarce wojennej. Kiedy byłem dzieckiem, górował nade mną niczym olbrzym. Chociaż był hydraulikiem, który przepracował w tej samej firmie prawie trzydzieści lat, umiał naprawić dosłownie wszystko. Nieszczelne okna i dachy, kosiarki do trawy, telewizory, pompy nie miały przed nim tajemnic; posiadał wrodzoną wiedzę o tym, czego dokładnie potrzebuje, żeby zepsuty sprzęt znowu działał. Wiedział co trzeba o samochodach – pod warunkiem, że zostały stworzone, zanim wszystko zostało skomputeryzowane – i w weekendowe popołudnia majstrował przy fordzie mustangu z 1974 roku, którego odnowił dwadzieścia lat temu i którym wciąż jeździł do pracy. Oprócz stołu warsztatowego zbudował wiele innych rzeczy: taras za domem, komórkę, toaletkę dla mamy i kuchenne szafki. Niezależnie od pogody nosił dzinsy i buty robocze i nie stronił od przekleństw. Miał gdzieś popkulturę i nigdy nie obejrzał żadnego programu typu reality show. Oczekiwał, że kolacja będzie równo o osiemnastej, po czym zasiadał przez telewizorem w pokoju gościnnym i oglądał mecz.

W weekendy kosił trawę, pracował w ogrodzie albo w garażu. Witał się uściskiem dłoni ze wszystkimi, nawet ze mną, i wiedziałem, jak spracowane i silne ma ręce.

Kiedy go znalazłem, leżał do połowy schowany pod mustangiem, tak że widać było tylko jego nogi. Rozmowa z nim w garażu przypominała rozmowę z rzuconym w kąt manekinem.

– Cześć, tato.

– Kto tam?

Po sześćdziesiątce ojciec zaczął tracić słuch.

– To ja, Russ.

– Russ? Co ty tu robisz, u diabła?

– Pomyślałem, że wpadniemy z London, żeby się przywitać. Jest w domu z mamą, Marge i Liz.

– Słodki dzieciak – rzucił. Choć uwielbiał London, był to najbardziej wyszukany komplement, na jaki było go stać. Największą frajdę sprawiało mu, gdy w czasie meczu wnuczka siedziała mu na kolanach.

– Mama mówi, że ostatnio miałeś problemy z oddychaniem. Uważa, że powinieneś pójść do lekarza.

– Twoja mama za bardzo się przejmuje.

– Kiedy ostatnio byłeś u lekarza?

– Nie wiem. Może rok temu? Powiedział, że jestem zdrowy jak ryba.

– Mama mówi, że dłużej niż rok temu.

– Możliwe...

Jego ręka błędziła po leżących przy biodrze kluczach francuskich i chwilę później zniknęła pod samochodem. Musiałem zmienić temat albo przynajmniej spasować.

– Co z samochodem?

– Mały wyciek oleju. Próbuję ustalić, skąd się wziął. Myślę, że to filtr.

– Pewnie tak. – Ja z kolei nie miałem pojęcia, gdzie szukać filtra oleju. Byliśmy tacy różni, mój ojciec i ja.

– Jak interesy? – zapytał.

- Kiepsko – odparłem szczerze.
 - Spodziewałem się, że może tak być. Rozkręcenie własnej firmy to trudna sprawa.
 - Masz dla mnie jakąś radę?
 - Nie. Nawet nie wiem, czym właściwie się zajmujesz.
 - Rozmawialiśmy o tym setki razy. Tworzę kampanie reklamowe, scenariusze do spotów, bannery i reklamy cyfrowe.
- W końcu wysunął się spod samochodu; ręce i paznokcie miał brudne od smaru.
- To ty robisz reklamy samochodów? Te, w których koleś wiecznie zachwyca się ostatnią promocją?
 - Nie. – Na to pytanie też już odpowiadałem.
 - Nienawidzę tych reklam. Są takie głośne. Kiedy je nadają, zawsze wyłączam dźwięk.
- Był to jeden z powodów, dla których próbowałem przekonać właścicieli salonów samochodowych, żeby nie podnosili głosów – większość widzów wyłączała dźwięk.
- Wiem. Mówiłeś mi już.
- Powoli podniósł się z podłogi. Patrzenie, jak wstaje, przypominało obserwację góry, która wypiętrzyła się na skutek starcia płyt tektonicznych.
- Mówiłeś, że London tu jest?
 - Tak, w domu.
 - Rozumiem, że Vivian też.
 - Nie. Miała dzisiaj coś do zrobienia.
 - Kobiece sprawunki? – drążył, wycierając ręce.
- Uśmiechnąłem się. Dla mojego taty – który w głębi serca pozostał staromodnym seksistą – „kobiece sprawunki” oznaczały praktycznie wszystko, czym zajmowała się moja mama, od gotowania i sprzątanego, przez wycinanie kuponów z gazet, aż po robienie zakupów.
- Tak. Kobiece sprawunki.
- Pokiwał głową, przekonany, że tak właśnie powinno być.
- Mówiłem ci, że Vivian myśli o tym, żeby wrócić do pracy?
 - Hmm.

– Nie dlatego, że potrzebujemy pieniędzy. Mówiła o tym już od jakiegoś czasu. Chce zaczekać, aż London pójdzie do szkoły.

– Hmm.

– Myślę, że dobrze jej to zrobi. Coś łatwego, na pół etatu. Inaczej zacznie się nudzić.

– Hmm.

Zawahałem się.

– Co o tym myślisz?

– O czym?

– O tym, żeby Vivian wróciła do pracy. O mojej nowej agencji. Podrapał się za uchem, jakby chciał zyskać na czasie.

– Przyszło ci do głowy, że nie powinieneś być rzucać tamtej pracy?

*

Mój ojciec, choć uchodził za twardziela, nie był typem ryzykanta. Dla niego stała praca i regularna wypłata znaczyły więcej niż potencjalne korzyści wypływające z prowadzenia własnego interesu. Siedem lat temu były właściciel firmy hydraulicznej chciał mu ją odsprzedać; ojciec odmówił i firma trafiła do rąk młodszego pracownika, który marzył o własnym biznesie.

Prawdę mówiąc, nie liczyłem na jakieś cenne wskazówki z jego strony. Coś takiego wykraczało poza jego strefę komfortu, ale nie miałem mu tego za złe. Nasze życie się różniło; podczas gdy ja poszedłem do college'u, on ukończył liceum i służył na niszczycielu w Wietnamie. Ożenił się w wieku dziewiętnastu lat, a jako dwudziestodwulatek został ojcem; rok później jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. On miał pracę fizyczną, a ja umysłową i podczas gdy jego poglądy na świat – w którym wszystko było czarne albo białe, dobre albo złe – mogły niektórym wydawać się nazbyt uproszczone, dla ojca były one swoistą mapą, dzięki której wiedział, jak prawdziwy mężczyzna powinien iść przez życie. Ożeń się. Kochaj żonę i traktuj ją

z szacunkiem. Spłódź dzieci i naucz je ciężkiej pracy. Sam pracuj sumiennie. Nie narzekaj. Pamiętaj, że rodzina – w przeciwieństwie do większości ludzi, których napotkasz na swej drodze – będzie zawsze przy tobie. Napraw, co da się naprawić, albo pozbądź się tego. Bądź dobrym sąsiadem. Kochaj wnuki. Postępuj właściwie.

To były dobre zasady. Właściwie nawet bardzo dobre i trzymał się ich przez całe życie. Tylko jedna z nich okazała się nietrafiona i została skreślona z jego listy. Mój tata był baptystą, tak więc Marge i ja w młodości chodziliśmy na msze dwa razy w tygodniu: w środy wieczorem i w niedziele. Latem co roku uczęszczaliśmy do szkółki niedzielnej i rodzice nigdy nie mieli wątpliwości, czy uczestniczyć w nabożeństwie. Podobnie jak inne zasady, ta również nie została porzucona do czasu, gdy Marge oświadczyła, że jest lesbijką.

Wyobrażam sobie, jak bardzo musiała się denerwować. Dorastaliśmy w wierze, która głosiła, że homoseksualizm jest grzechem, i tak samo myśleli nasi rodzice; może nawet byli bardziej konserwatywni, bo należeli do innego pokolenia. Skończyło się na tym, że ojciec spotkał się z pastorem, człowiekiem, który straszył wiernych ogniem piekielnym. Pastor powiedział mu, że jeśli Marge ulegnie swojej naturze, to wybierze życie w grzechu, a wtedy rodzice powinni przyprowadzić ją do kościoła, by w modlitwie prosić Boga o łaskę.

Mój ojciec bywa różny – trudny, szorstki, wulgarny – ale kocha swoje dzieci. Wierzył w nas i kiedy Marge oświadczyła, że to nie kwestia wyboru – taka się urodziła – skinął głową, powiedział jej, że ją kocha, i od tamtego dnia nasza rodzina przestała chodzić do kościoła.

Wielu ludzi mogłoby się dużo nauczyć od mojego taty.

*

– Kiepsko wyglądasz – zwróciła się do mnie Marge. Wyszliśmy na werandę na tyłach domu, podczas gdy mama, Liz i London

wciąż krzątały się w kuchni. Ojciec siedział w pokoju, jadł ciasteczka, oglądał mecz Atlanta Braves i czekał, aż dołączy do niego London. Mówiła do niego „dziadziu”, co moim zdaniem było słodkie.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć, żeby poprawić człowiekowi humor.

– Jestem szczerą. Masz ziemistą cerę.

– Jestem zmęczony.

– Och – bąknęła. – Mój błąd. Bo ja, oczywiście, cię nie znam i nie wiem, kiedy kłamiesz. Jesteś zestresowany.

– Trochę.

– Interesy nie idą najlepiej?

Przez chwilę wierciłem się na krześle.

– Myślałem, że łatwiej będzie znaleźć klientów. Albo chociaż jednego.

– Sami się znajdują. Po prostu musisz być cierpliwy. – Kiedy nie odpowiedziałem, dodała: – A jak Vivian to znosi?

– Rzadko o tym rozmawiamy.

– Dlaczego? Przecież to twoja żona.

– Nie chcę, żeby się martwiła. Porozmawiam z nią, gdy będę miał dla niej jakieś dobre wieści.

– Widzisz? I tu właśnie popełniasz błąd. Vivian powinna być tą osobą, z którą możesz porozmawiać o wszystkim.

– Pewnie tak.

– Pewnie tak? Oboje powinniście popracować nad umiejętnością porozumiewania się. Pójść na terapię albo coś.

– Może powinienem umówić się z Liz. W końcu jest terapeutką.

– Nie stać cię na nią. Nie zarabiasz.

– Dzięki, od razu mi lepiej.

– Wolisz, żebym mydliła ci oczy?

– Chyba jednak podziękuję.

Roześmiała się.

– Chodzi o to, że widziałam to wiele razy.

– Co?

– Jak ludzie, którzy otwierają własny interes, popełniają te same błędy – odparła, gryząc kolejny kęs ciastka. – Liczą na kokosy, a zapominają o rachunkach i innych wydatkach. W twoim przypadku o kartach kredytowych.

– Niby skąd o tym wiesz?

– Halo? Vivian i jej „sprawunki”? Rachunek przychodzący w połowie miesiąca? Nie pierwszy raz prowadzimy tę rozmowę.

– Bilans był odrobinę wyższy – przyznałem w końcu.

– W takim razie posłuchaj siostry, która ma dyplom biegłego księgowego. Zrezygnuj z karty. Albo ustal limit.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo obiecałem jej, że jej życie się nie zmieni.

– Po co, do cholery?

– Bo nie widzę powodu, dla którego miałaby cierpieć.

– Wiesz, jak to idiotycznie brzmi, prawda? Ograniczenie zakupów to żadne cierpienie. A poza tym macie być partnerami, grać w jednej drużynie, zwłaszcza w trudnych czasach.

– Gramy w tej samej drużynie. I kocham ją.

– Wiem, że ją kochasz. Myślę nawet, że trochę za bardzo.

– Nie można kochać za bardzo.

– Taa, no cóż... chcę tylko powiedzieć, że Vivian bywa trudna.

– To dlatego, że jest kobietą.

– Mam ci przypomnieć, z kim rozmawiasz?

Zawahałem się.

– Myślisz, że popełniłem błąd, zakładając własną firmę?

– Przestań oglądać się za siebie. Nie miałeś wyboru, chyba że byłeś gotów przeprowadzić się na drugi koniec kraju. Zresztą mam wrażenie, że wszystko się jeszcze rozkręci.

Właśnie to chciałem usłyszeć. A kiedy to powiedziała, żałowałem, że zrobiła to moja siostra, nie Vivian.

– Rozumiem, że zajęcia z gotowania idą pełną parą? – zapytałem Liz pół godziny później. Rok temu na Boże Narodzenie wykupiłem jej kilka lekcji w miejscu zwanym Chef's Dream, ale spodobały jej się tak bardzo, że nadal tam chodziła. Kończyłem właśnie drugie ciasteczko. – Są pyszne.

– To głównie robota twojej mamy. Na zajęciach niewiele pieczemy. Aktualnie uczymy się kuchni francuskiej.

– Ślimaki i żabie udka?

– Między innymi.

– I jecie to?

– Wierz mi, są lepsze od ciasteczek.

– Namówiłaś już Marge?

– Nie, ale to nic. Czasami lubię wyrwać się gdzieś sama. Poza tym to tylko jeden wieczór w tygodniu. Żadna tam wielka sprawa.

– A skoro mówimy o Marge, uważa, że jestem pantoflarzem.

– Po prostu martwi się o ciebie – odparła Liz. Z długimi, kasztanowymi włosami, migdałowymi oczami koloru kawy i radosnym usposobieniem wyglądała bardziej jak sekretarz samorządu szkolnego niż cheerleaderka, ale uważałem, że jest przez to jeszcze bardziej atrakcyjna. – Wie, że ostatnio jesteś zestresowany, i martwi się o ciebie. A co u Vivian?

– W porządku, ale też się denerwuje. Chcę tylko, żeby była szczęśliwa.

– Hmm.

– Co to miało znaczyć?

– A co mam powiedzieć?

– Nie wiem. Zakwestionować moje słowa? Doradzić coś?

– Niby po co miałabym to robić?

– Bo oprócz innych rzeczy jesteś terapeutką.

– Nie jesteś moim pacjentem. A nawet gdybyś był, nie jestem pewna, czy potrafiłabym ci pomóc. Tu chodzi o próbę zmienienia samego siebie.

- W drodze do samochodu trzymałem London za rączkę.
- Nie mów mamusi, że zjadłem dwa ciasteczka, dobrze?
 - Dlaczego?
 - Bo nie powinienem, a nie chcę, żeby była smutna.
 - Dobrze – powiedziała. – Nie powiem. Obiecuję.
 - Dzięki, skarbie.

*

O osiemnastej London i ja wróciliśmy do pustego domu z blachą waniliowych ciasteczek.

Kiedy napisałem do Vivian i zapytałem, gdzie jest, odpisała: *Mam jeszcze do załatwienia parę rzeczy – niedługo wrócę.* Wiadomość była irytująco zagadkowa, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, London złapała mnie za rękaw i pociągnęła w stronę trzypiętrowego różowego domku Barbie, który ustawiła w kącie pokoju gościnnego.

London uwielbiała Barbie, była po prostu w niej zakochana. Miała siedem lalek, dwa różowe kabriolety i plastikową szafę, w której mieściło się więcej ubrań niż w dobrze wyposażonym sklepie. To, że wszystkie lalki mają tak samo na imię, nie miało dla niej znaczenia; jeszcze bardziej fascynowało mnie to, że za każdym razem, gdy Barbie przenosiła się z jednego pokoju do drugiego albo zajmowała się czymś innym, London wierzyła, że bezwzględnie musi się przebrać. Działo się to średnio co trzydzieści pięć sekund i nie muszę chyba dodawać, że większą frajdę niż samo przebieranie Barbie, sprawiał jej fakt, że robiłem to ja.

Przez następne półtorej godziny spędziłem w świecie Barbie pełne cztery dni, przebierając kolejne lalki w coraz to nowsze stroje.

Muszę przyznać, że sam tego nie rozumiałem. Prawdopodobnie miało to coś wspólnego z teorią względności – czas jest czymś względnym i takie tam – ale London nie obchodziło, czy jestem znudzony, czy nie, pod warunkiem że

robiłem, co do mnie należy. Tak jak nie dbała o to, czy rozumiem jej wybór strojów. Mniej więcej trzeciego dnia, późnym popołudniem, sięgnąłem po zielone spodnie, a London pokręciła główką.

– Nie, tatusiu! Mówiłam ci, kiedy jest w kuchni, musi nosić żółte spodnie.

– Dlaczego?

– Bo jest w kuchni.

Aha.

W końcu usłyszałem SUV-a Vivian parkującego na podjeździe. W przeciwieństwie do mojego priusa palił jak smok, ale był duży i bezpieczny, a poza tym Vivian oświadczyła, że nigdy nie przesiądzie się do vana, choć te były dużo bardziej ekonomiczne.

– Mama wróciła, kochanie – rzuciłem i odetchnąłem z ulgą, gdy London pobiegła do drzwi. Chwilę później usłyszałem, jak woła: „Mamusi!”. Posprzątałem zabawki i ruszyłem za nią. Kiedy wyszedłem na schody, Vivian z London na rękach stała przy otwartym bagażniku. Zauważyłem, że podcięła włosy, które sięgały jej teraz do ramion i wyglądały jak wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

Uśmiechnęła się do mnie, mrużąc oczy w promieniach zachodzącego słońca.

– Cześć, skarbie! – krzyknęła. – Mógłbyś mi pomóc?

Zszedłem po schodach, słuchając, jak London z przejęciem opowiada mamie o tym, jak minął jej dzień. Kiedy się zbliżyłem, Vivian postawiła ją na ziemi. Sądząc po jej minie, czekała na moją reakcję.

– No, no – rzuciłem i pocałowałem ją w policzek. – Budzi wspomnienia.

– Podoba ci się? – zapytała.

– Wyglądasz pięknie. Ale gdzie ty w niedzielę znalazłaś fryzjera? Ktoś w ogóle pracuje o tej porze?

– W centrum jest salon, do którego można umawiać się na niedziele. Słyszałam świetne opinie o jednej z tamtejszych fryzjerek i postanowiłam spróbować.

Nie miałem pojęcia, dlaczego nie wspomniała o tym rano. Zauważyłem też, że zrobiła manicure, o czym również zapomniała mnie uprzedzić.

– Mnie też się podoba, mamusiu. – Piskliwy głosik London wyrwał mnie z zamyślenia.

– Dzięki, skarbie – odparła Vivian.

– Byłam dziś u buni i upiekłam ciasteczka.

– Naprawdę?

– Są taaakie dobre. Tatuś zjadł dwa.

– Poważnie?

Moja córka pokiwała głową, najwyraźniej zapominając o złożonej obietnicy.

– A dziadzio cztery!

– W takim razie naprawdę muszą być pyszne. – Vivian się uśmiechnęła. Sięgnęła do samochodu i wyciągnęła kilka mniejszych toreb. – Pomożesz mi wziąć zakupy?

– Dobrze. – London chwyciła reklamówki. Kiedy wchodziła po schodach, przyjrzałem się żonie i zauważyłem, że jest w wyjątkowo dobrym nastroju.

– Dwa ciasteczka, tak?

– Cóż mogę powiedzieć? – Wzruszyłem ramionami. – Były smaczne.

Wyciągnęła kolejne torby i podała mi je.

– Wygląda na to, że dobrze się dziś bawiliście.

– Było fajnie – przyznałem.

– Co u rodziców?

– W porządku. Mama znowu boi się, że ojciec ma raka. Powiedziała, że ostatnio ma kłopoty z oddychaniem.

– Nie brzmi to za dobrze.

– Wiem, ale jestem pewien, że nie ma się czym przejmować. Wygląda na to, że ojcu nic nie jest. Ale oczywiście mama ma rację. Powinien się przebadać.

– Daj mi znać, jak znajdziesz woły, którymi go tam zaciągniesz. Zrobię zdjęcie. – Puściła do mnie oko i zerknęła na

drzwi, jak wtedy, gdy ze mną flirtowała. – Przyniesiesz resztę zakupów? – zapytała. – Chcę posiedzieć z London.

– Jasne – odparłem.

Znowu mnie pocałowała, muskając językiem moje wargi. Tak, z całą pewnością flirtowała.

– Z tyłu jest jeszcze kilka toreb.

– Bez obaw.

Zacząłem zbierać zakupy, z roztargnieniem spoglądając na tylne siedzenie, gdzie spodziewałem się znaleźć kolejne torby.

Jak się okazało, nie były to artykuły spożywcze. Na tylnym siedzeniu wały się torby z markowych sklepów; na ich widok żołądek podszedł mi do gardła. Nic dziwnego, że moja żona była w tak doskonałym humorze.

Starając się ignorować ściskanie w żołądku, trzy razy kursowałem między domem a samochodem, zanim w końcu udało mi się opróżnić SUV-a. Postawiłem zakupy z centrum handlowego na stole w jadalni i kończyłem wykladać artykuły spożywcze, kiedy Vivian weszła do kuchni. Wyjęła z szafki dwa kieliszki i sięgnęła po butelkę wina.

– Wygląda na to, że potrzebujesz kieliszka bardziej niż ja – powiedziała, nalewając wino. – London mówiła, że bawiliście się lalkami.

– Ona się bawiła. Ja byłem odpowiedzialny za garderobę.

– Współczuję. Przechodziłam przez to wczoraj. – Wręczyła mi kieliszek i upiła łyk. – Co u Marge i Liz?

Wyczułem w jej tonie subtelną zmianę i wiedziałem, że tak naprawdę wcale jej to nie interesuje. Uczucia Vivian względem Marge były takie same jak uczucia Marge względem Vivian, przez co moja żona lepiej dogadywała się z Liz. I choć stosunki Vivian i Liz wydawały się jak najbardziej poprawne, one również nie były sobie szczególnie bliskie.

– W porządku. London uwielbia ich towarzystwo.

– Tak, wiem.

Wskazałem głową stół.

– Widzę, że byłaś na zakupach.

– London potrzebuje sukienek na lato.

Moja córka, podobnie jak żona, wychodziła z domu ubrana jak żurnalowa modelka.

– Myślałem, że już kupiłaś jej ubrania na lato.

– Nie zaczynaj, proszę. – Westchnęła.

– Czego mam nie zaczynać?

– Znowu będziesz się mnie czepiał o zakupy. Mam tego dość.

– Nie czepiam się ciebie.

– Żartujesz? – parsknęła poirytowana. – Wiecznie się mnie czepiasz, nawet jak kupuję na wyprzedażach. A poza tym musiałam kupić garsonki na rozmowy kwalifikacyjne w tym tygodniu.

Przez chwilę nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

– Idziesz w tym tygodniu na rozmowy kwalifikacyjne?

– A jak myślisz, czemu biegam jak kot z pęcherzem przez cały dzień? – Pokręciła głową, udając zdumioną, że się niczego nie domyśliłem. – A skoro o tym mowa... dasz radę zająć się London, prawda? We wtorek po południu i w środę rano? Przez mniej więcej trzy godziny? Mam rozmowy z całą masą różnych kierowników.

– Noo... tak, chyba tak – odparłem, wciąż próbując oswoić się ze słowami „rozmowy kwalifikacyjne”. – Kiedy się dowiedziałaś?

– Dziś.

– W niedzielę? W długi weekend?

– Wierz mi, byłam tak zaskoczona, jak ty teraz. W piątek nie było ich nawet w biurze. Jechałam do fryzjerki, kiedy zadzwonili.

– Dlaczego nie dałaś mi znać?

– Bo miałam do załatwienia mnóstwo spraw i sama nie mogłam w to uwierzyć. Niesamowite, co? Myślę, że dziś wieczorem powinniśmy świętować, ale może najpierw pokażę ci, co kupiłam.

Nie czekając na odpowiedź, zaprowadziła mnie do jadalni, wyciągnęła obie garsonki – jedną szarą, drugą czarną – i powiesiła je na krzesłach.

– I co myślisz?

– Są bardzo eleganckie – przyznałem. Próbowałem nie zwracać uwagi na metki, ale nie mogłem. Kolejny raz poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła. Symbole dolara tańczyły mi przed oczami.

– Materiał jest boski, no i uwielbiam ten krój – powiedziała. – A do nich kupiłam jeszcze to. – Sięgnęła do następnej torby i wyciągnęła cztery bluzki, które kolejno przykładała najpierw do jednej, potem do drugiej garsonki. – Pasują do obu... starałam się zaoszczędzić, ile się da.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, bąknąłem więc:

– Nadal nie bardzo rozumiem, skąd ta nagła propozycja. Ostatnio mówiłaś, że badasz grunt.

– Poszczyściło mi się – odparła.

– To znaczy?

– Kilka tygodni temu zadzwoniłam do Roba, powiedziałam mu, że myślę o powrocie do pracy, a on obiecał, że da znać, jeśli będzie coś wiedział. Potem zadzwoniłam do mojego dawnego szefa z Nowego Jorku. Pamiętasz go?

Pokiwałem głową, zastanawiając się, po co w ogóle pyta. Widzieliśmy kolesia prawie co wieczór przed wyłączeniem telewizora.

– W każdym razie powiedział mi, że zobaczy, co da się zrobić. Prawdę mówiąc, nie liczyłam na zbyt wiele, ale myślę, że rozmawiał ze swoim kierownikiem, bo to on do mnie zadzwonił. Tak się złożyło, że facet zna kogoś, kto zna kogoś innego, i moje nazwisko trafiło do właściwych ludzi, więc w poniedziałek rozmawiałam o pracy z panią wiceprezes, która powiedziała, żebym złożyła CV i listy polecające.

– Wiesz o tym od poniedziałku? I nawet mi o tym nie wspomniałaś?

– Nie sądziłam, że coś z tego wyjdzie.

– A mnie się wydaje, że wiedziałaś, że coś może z tego wyniknąć.

– Błagam cię – zachnęła się. – Mówisz, jakbym była w stanie cokolwiek przewidzieć. – Zaczęła wieszać bluzki na jednym

z krzesel. – Zresztą musiałam się nieźle nakombinować, żeby zdobyć trzeci list polecający. Chciałam, żeby napisał go ktoś wpływowy, ale nie wiedziałam, czy się zgodzi. Na szczęście obyło się bez problemów i w środę złożyłam dokumenty.

– Mówiłaś, że chodzi o pracę w branży PR?

– Będę pracowała nie tyle dla firmy, ile bezpośrednio dla dyrektora generalnego. Myślę, że facet organizuje mnóstwo konferencji prasowych i udziela wywiadów. Prowadzi wiele inwestycji na wybrzeżu, a ekolodzy są zawsze gotowi do walki. Zresztą ma świetny komitet wyborczy, coraz bardziej angażuje się w politykę i chce mieć pewność, że to, co mówi, zgadza się z linią polityczną partii.

– Kim jest ten dyrektor generalny?

Zamilkła i musnęła palcami jedną z garsonek.

– Zanim ci powiem, pamiętaj, że jeszcze nie dostałam tej pracy. I nie wiem nawet, czy ją przyjmę. Nie znam wszystkich szczegółów.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

– Bo nie chcę, żebyś się zdenerwował.

– Niby czemu miałbym się zdenerwować?

Zaczęła chować garsonki do pokrowców.

– Bo go znasz. Prawdę mówiąc, pracowałeś nad kampaniami reklamowymi jego firmy.

Niemal natychmiast skojarzyłem fakty.

– Chyba nie chodzi o Waltera Spannermana?

– Właśnie o niego. – Wyglądała na zmieszaną.

Pamiętałem, jak facet uprzykrzał mi życie; pamiętałem też jego zamiłowanie do zatrudniania pięknych kobiet, tak więc fakt, że zainteresował się Vivian, wcale mnie nie zdziwił.

– Wiesz, że jest okropny? I jego firma też.

– Dlatego potrzebuje własnego PR-owca.

– A tobie nie będzie przeszkadzać, że pracujesz dla kogoś takiego?

– Nie wiem. Jeszcze go nie poznałam. Mam tylko nadzieję, że zrobię na nim wrażenie.

Z twoim wyglądem, z pewnością będzie zachwycony, pomyślałem.

– Ile godzin tygodniowo miałabyś pracować?

– W tym cały problem – odparła. – To praca na pełen etat.

I pewnie będzie trzeba podróżować.

– Masz na myśli kilkudniowe wyjazdy?

– Zwykle tak to wygląda.

– A co z London?

– Na razie sama nic nie wiem. Później będziemy się martwić.

Jeśli w ogóle będzie czym. Tymczasem spróbujmy się cieszyć? Możesz to dla mnie zrobić?

– Jasne – rzuciłem, ale mówiąc to, myślałem o Spannermanie, jego relacji z Petersem i zastanawiałem się, kim była ostatnia osoba, która poleciła Vivian na to stanowisko.

Ale przecież nie zrobiłaby mi czegoś takiego, prawda?

ROZDZIAŁ 5

Zmiany

Kiedy London miała cztery lata, pod choinką pojawił się mały rowerek na czterech kółkach. Uparłem się, żeby go kupić; pamiętam z dzieciństwa, jak w upalne letnie dni pedałowalem na swoim rowerze, goniąc za wolnością. To jasne, że większość z tych wspomnień pochodzi z okresu między ósmym a trzynastym rokiem życia, ale w miarę jak zbliżały się święta, myślałem, że nauka jazdy zajmie London jakiś rok, dwa, zanim odepniemy boczne kółka, i za kilka lat moja córka będzie jeździła tak dobrze, jak jej ojciec.

Tymczasem Vivian nie podzielała mojego entuzjazmu. Chociaż sama miała rower, jej wspomnienia z nim związane nie były aż tak radosne. Pamiętam, że w tygodniach poprzedzających Boże Narodzenie pytałem ją, czy kupiła rowerek, a ona za każdym razem mnie zbywała, twierdząc, że nie miała czasu. W końcu zaciągnąłem ją do sklepu, sam kupiłem rower i niczym jeden z pomocników Świętego Mikołaja składałem go wieczorami, gdy Vivian kładła się spać.

Nie mogłem się doczekać, aż London wsiądzie na swój rowerek, i gdy tylko zauważyła go pod choinką, podbiegła do niego, a ja pomogłem jej usiąść na siodelku. Kiedy pchana przeze mnie jeździła po pokoju, Vivian wpadła na pomysł, żeby London otworzyła inne prezenty. Jak zwykle w pierwszej chwili pomyślałem, że dostała ich za dużo: ubrania, zabawki, zestawy do malowania palcami, manekina (do przebierania) i zestaw paciorków do robienia biżuterii. Do tego niezliczone gadzety dla

Barbie. Posprzątanie pokoju i wyniesienie papieru pakunkowego i wstążek zajęło mi godzinę. Tymczasem Vivian siedziała z London wśród zabawek i ubrań i dochodziło południe, gdy w końcu udało nam się wyjść na dwór.

Vivian wyszła z nami, ale miałem wrażenie, że traktowała to jako obowiązek, nie nową, ekscytującą przygodę dla London. Skrzyżowała ramiona na piersi i stała na schodach, patrząc, jak sadzam London na siodełku. Oddech London ulatywał z jej ust białymi obłoczkami, kiedy szedłem obok niej przygarbiony, trzymając kierownicę. Zachęcałem ją, żeby pedałowala, gdy jeździliśmy w tę i z powrotem, ale kwadrans później oświadczyła, że ma dość. Policzki miała różowe i pochwalilem ją, że świetnie się spisała. Nie wiem dlaczego, ale ubzdurałem sobie, że przed końcem dnia wyjdziemy na rower jeszcze dwa, trzy razy.

Zamiast tego London do końca dnia bawiła się lalkami i ku uciesze Vivian przymierzała kolejne ubrania, następnie malowała palcami i zrobiła dwie bransoletki. Nie zniechęcałem się jednak; miałem tydzień urlopu i postawiłem sobie za cel, by choć raz dziennie zabierać ją na przejażdżkę. W kolejnych dniach, kiedy coraz lepiej radziła sobie z utrzymaniem równowagi, zacząłem puszczać kierownicę. London chichotała, gdy udawałem, że jedzie tak szybko, że nie mogę za nią nadążyć. Za każdym razem spędzaliśmy na dworze coraz więcej czasu i gdy w końcu oświadczała, że „wystarczy na dziś”, wracaliśmy do domu, trzymając się za ręce. Słuchając, jak podekscytowana zdaje Vivian relację, byłem pewien, że złapała tego samego bakcyła co ja, i upierałem się, że powinna ćwiczyć codziennie, nawet gdy będę w pracy.

Tak się jednak nie stało. Kiedy wracałem do domu – o tej porze zwykle było już ciemno, a London biegała po domu przebrana w piżamę – i pytałem ją, czy jeździła, za każdym razem mówiła, że nie. Vivian zawsze miała powód, żeby zostać w domu – a to padał deszcz, a to miały coś do załatwienia, bała się, że córka się przeziębi, albo mówiła, że London nie miała ochoty. Każdego dnia, parkując w garażu, widziałem, jak mały rowerek, który sprawiał

mojej córce tyle radości, pokrywa się warstwą kurzu. Na ten widok czułem w sercu bolesne ukłucie. Najwyraźniej nie znałem swojego dziecka tak dobrze, jak mi się zdawało, a może London po prostu lubiła inne rzeczy. I choć niełatwo się do tego przyznać, czasami przychodziło mi do głowy, że to Vivian nie chciała, żeby London jeździła na rowerze, tylko dlatego, że tak bardzo mi na tym zależało.

*

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że rzucenie przeze mnie pracy było dla mnie i mojej żony najważniejszym wydarzeniem 2015 roku. Popełniłem błąd; założenie własnej firmy uruchomiło efekt domina i sprawiło, że kolejne kostki upadały jedna po drugiej.

Kostka numer dwa przewróciła się tydzień później.

Ponieważ w poniedziałek Vivian chciała przygotować się na rozmowy kwalifikacyjne, wróciłem z pracy w południe. Posprzątałem dom, zrobiłem pranie i starałem się zabawić London, co wcale nie było takie proste. We wtorek po południu, kiedy Vivian była na rozmowie o pracę, zabrałem London na późny lunch do Chucka E. Cheese, miejsca, w którym noga mojej żony nigdy nie powstała. Po lunchu London przez chwilę bawiła się w salonie gier dla dzieci z nadzieją, że wygra różowego misia. Nic z tego nie wyszło i jeśli się nie mylę, za pieniądze, które wydałem na żetony, mógłbym jej kupić trzy takie zabawki.

W środę optowałem za tym, żeby podobnie jak w sobotę pójść po śniadaniu do parku, ale nie mogłem przestać myśleć o pracy. Wyobrażałem sobie, że potencjalni klienci próbują się ze mną skontaktować albo, co gorsza, stoją pod drzwiami, ale gdy zadzwoniłem do recepcjonistki, dowiedziałem się, że nikt nie zostawił dla mnie żadnych wiadomości.

Kiedy początkowa lista klientów stopniała do zera, zacząłem wydzwaniać po okolicznych firmach. Od środy po południu przez cały czwartek wykonałem kilkaset telefonów. Wszędzie

słyszałem „Nie jesteśmy zainteresowani”, nie dawałem jednak za wygraną i w końcu udało mi się umówić kilka spotkań na przyszły tydzień. Nie były to firmy, do których adresowała swoją ofertę Peters Group – rodzinna restauracja, sklep z kanapkami, dwóch kręgarzy i salon spa – i nie liczyłem na kokosy, ale uznałem, że lepsze to niż nic.

Vivian niewiele mówiła o rozmowach kwalifikacyjnych. Twierdziła, że nie chce zapeszać, ale sprawiała wrażenie pewnej siebie i kiedy powiedziałem jej o spotkaniach w przyszłym tygodniu, błądziła myślami gdzieś indziej. Gdy teraz o tym myślę, powinienem był to potraktować jako znak.

W piątek rano, zaraz po tym, jak wszedłem do kuchni, zadzwonił telefon Vivian. London siedziała przy stole i jadła płatki z mlekiem. Vivian zerknęła na wyświetlacz i wyszła na patio, żeby odebrać. Przekonany, że to jej matka – jedyna osoba, która mogła zadzwonić o tak wczesnej porze – znalazłem sobie filiżankę kawy.

– Cześć, skarbie – rzuciłem do London.

– Cześć, tatusiu. Czy zero to liczba?

– Tak – odparłem. – Dlaczego pytasz?

– Wiesz, że mam pięć lat, prawda? A wcześniej miałam cztery?

– Tak.

– No to ile miałam lat, zanim skończyłam roczek?

– Zanim skończyłaś roczek, mówiliśmy, że masz kilka miesięcy. Na przykład, że masz trzy miesiące albo sześć. A zanim skończyłaś miesiąc, mówiliśmy, że masz kilka tygodni. Albo nawet dni.

– A jeszcze wcześniej miałam zero lat?

– Chyba tak. Skąd te wszystkie pytania?

– Bo w październiku skończę sześć lat. Ale tak naprawdę będę miała siedem.

– Sześć, skarbie.

Podniosła rączki i zaczęła liczyć, za każdym razem unosząc jeden palec.

– Zero. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć.

Kiedy skończyła, miała podniesione pięć palców jednej ręki i dwa drugiej. Razem siedem.

– To nie tak – powiedziałem.

– Ale przecież mówiłeś, że zero to liczba. Podniosłam siedem paluszków. To znaczy, że będę miała siedem lat, nie sześć.

Miałem do przetrawienia zbyt wiele rzeczy, a nie wypilem nawet pierwszej kawy.

– Kiedy to wymyśliłaś?

Zamiast odpowiedzieć, wzruszyła ramionami i patrząc na nią, pomyślałem, że jest bardzo podobna do matki. W tej samej chwili Vivian wróciła do kuchni; policzki miała lekko zarumienione.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

Nie byłem pewien, czy mnie usłyszała.

– Tak – odparła w końcu. – Nic mi nie jest.

– Wszystko dobrze u mamy?

– Chyba tak. Nie rozmawiałam z nią od tygodnia. Dlaczego o nią pytasz?

– To nie z nią rozmawiałaś?

– Nie – odparła.

– Więc z kim? – naciskałem.

– Z Rachel Johnson.

– Z kim?

– Jest jednym z wiceprezesów w firmie Spannermana. Byłam u niej na rozmowie w środę.

Nie dodała nic więcej. Czekałem, ale nadal milczała.

– I zadzwoniła, bo...? – Nie wytrzymałem.

– Proponują mi pracę – odparła. – Chcą, żebym zaczęła od poniedziałku. Od szkolenia.

Nie byłem pewien, czy powinienem jej gratulować, ale i tak to zrobiłem. Nie miałem pojęcia, że już niebawem cały mój świat legnie w gruzach.

*

Praca tamtego dnia nie była... normalna, a to dość odważne stwierdzenie, zwłaszcza że odkąd otworzyłem własny biznes, nic w mojej pracy nie było normalne. Zacząłem tworzyć w PowerPointcie prezentacje na umówione spotkania. Przedstawiłem w ogólnym zarysie moje dotychczasowe dokonania, cennik usług i propozycje tego, co miałem do zaoferowania. Jeśli potencjalni klienci wykażą zainteresowanie, przy kolejnym spotkaniu przedstawię więcej szczegółów.

Chociaż zrobiłem znaczny postęp, od czasu do czasu wracałem myślami do tego, czego dowiedziałem się dziś rano.

W poniedziałek moja żona zacznie pracę dla Spannermana.

Dobry Boże.

Dla Spannermana!

Był jednak wieczór randkowy i miałem nadzieję, że spędzę go w towarzystwie Vivian. Ale gdy wróciłem z pracy, miałem wrażenie, że pomyliłem domy. Pokój gościnny, jadalnia i kuchnia przypominały pobojuwisko, a London siedziała przed telewizorem, co o tej porze nigdy się nie zdarzało. Nigdzie nie było Vivian i nie odpowiadała, gdy ją wołałem. Chodziłem od pokoju do pokoju, aż w końcu znalazłem ją w gabinecie. Siedziała przed komputerem, wyszukując, co się da na temat Spannermana, i po raz pierwszy wyglądała na naprawdę zmordowaną. Miała na sobie dzinsy i koszulkę, a jej włosy wyglądały, jakby cały dzień nawijała je na palce. Obok leżał gruby segregator – wydrukowała kilkadziesiąt kartek i zakreśliła co ciekawsze informacje – a kiedy odwróciła się w moją stronę, wiedziałem, że nie mam co liczyć na romantyczny wieczór we dwoje.

Ukryłem rozczarowanie i po krótkiej rozmowie zaproponowałem, żebyśmy zamówili chińszczyznę. Zjedliśmy razem, jednak Vivian wydawała się nieobecna i kiedy tylko skończyła, wróciła do gabinetu. Podczas gdy ona klikała i drukowała, ja posprzątałem dom i przygotowałem córkę do snu. Nalałem wody do wanny – London była już na tyle duża, że mogła sama się kąpać – rozczesałem jej włosy i położyłem się

obok niej, żeby poczytać jej do snu. Pierwszy raz Vivian pocałowała naszą córeczkę na dobranoc, nie poczytawszy jej książki, a kiedy zajrzałem do niej do gabinetu, oświadczyła, że posiedzi tam jeszcze kilka godzin. Przez chwilę oglądałem telewizję i poszedłem do łóżka. Nazajutrz rano, patrzyłem na Vivian i zastanawiałem się, o której się położyła.

Po przebudzeniu była radosna; nic dziwnego, był przecież sobotni ranek, a więc miała czas dla siebie. Wyszła z domu punktualnie, a ja piąty raz w ciągu siedmiu dni zostałem Panem Mamą. W drodze do drzwi zapytała, czy mógłbym zająć się London przez cały dzień, bo wczoraj nie zdążyła zebrać wszystkich potrzebnych informacji i musi kupić jeszcze parę rzeczy do pracy.

– Nie ma problemu – odparłem i skończyło się na tym, że razem z London kolejny raz wylądowaliśmy w domu moich rodziców. Marge i Liz wyjechały na weekend do Asheville, w związku z tym London miała babcię tylko dla siebie. Mimo to moja mama znalazła chwilę, żeby podejść do mnie i powiedzieć, że ponieważ nie udało mi się namówić ojca na wizytę u lekarza, Marge zawiezie go do niego w poniedziałek.

– Dobrze wiedzieć, że chociaż jedno z naszych dzieci troszczy się o tatę – zauważyła.

Dzięki, mamó.

Ojciec, jak zwykle, był w garażu. Kiedy wszedłem, wyjrzał zza maski samochodu.

– O, jesteś – rzucił.

– Pomyślałem, że wpadniemy razem z London.

– Vivian znowu nie przyjechała?

– W poniedziałek zaczyna pracę i musi się przygotować.

– Och – rzucił.

– To wszystko?

Wyciągnął z tylnej kieszeni chusteczkę i wytarł dłonie.

– To chyba dobrze – dodał w końcu. – Ktoś w rodzinie musi przecież zarabiać.

Dzięki, tato.

Spędziłem z nim trochę czasu – podczas gdy London pochłonięta była pieczeniem z „bunią” – a potem usiadłem na kanapie w pokoju gościnnym i w zamyśleniu oglądałem golfa. Nie gram w golfa i zwykle go nie oglądam, ale bezmyślnie gapiłem się na rozmaite loga na torbach i koszulkach zawodników, próbując obliczyć, ile pieniędzy zarobiły agencje reklamowe, które wpadły na ten pomysł.

Wszystko to mnie przytłaczało.

Napisałem do Vivian dwa SMS-y i zostawiłem wiadomość na poczcie głosowej, ale się nie odezwała; w domu też nikt nie odbierał. Domyślając się, że nadal jest poza domem, w drodze powrotnej od rodziców wstąpiłem do sklepu. Zwykle robiłem zakupy tylko wtedy, gdy nagle okazywało się, że nie mamy czegoś w domu, albo kiedy miałem ochotę na coś wyjątkowego; byłem klientem, który używał koszyka zamiast wózka, jak ktoś, kto bierze udział w wyścigu, w którym zwycięża ten, kto pierwszy opuści sklep. Dla London wzięłem paczkę makaronu i ser, kawałki piersi z indyka i gruszki – niezbyt zdrowy zestaw, ale z pewnością jej ulubiony. Dla mnie i Vivian wybrałem stek z rostbefu i filet z tuńczyka, które mogłem rzucić na grilla, składniki do sałatki, kolby kukurydzy i butelkę chardonnay.

Miałem nadzieję, że uda nam się nadrobić stracony piątek, ale chciałem też spędzić trochę czasu z żoną. Chciałem jej słuchać, przytulać ją i rozmawiać z nią o przyszłości. Wiedziałem, że czekają nas zmiany i wyzwania, i chciałem jej obiecać, że wspólnie przez to przejdziemy. Jeśli dzięki pracy Vivian będzie się czuła bardziej spełniona, może częściej będzie w lepszym nastroju; jeśli oboje zajmiemy się wychowywaniem London, może jeszcze bardziej scementuje to nasz związek. Wieczorami będziemy rozmawiać o tym, jak minął nam dzień, upajać się sukcesami i wspierać w trudnych chwilach, a dodatkowe pieniądze ułatwią nam życie. Innymi słowy, będzie już tylko lepiej, o czym miał świadczyć dzisiejszy wieczór.

Tylko dlaczego byłem taki niespokojny?

*

Może dlatego, że Vivian nie oddzwoniła ani nie odpisała i nie było jej w domu, kiedy wróciliśmy.

Byłem coraz bardziej podenerwowany, ale nie pisałem ani nie dzwoniłem, wiedząc, że nie będę w stanie ukryć rozdrażnienia, co bez wątplenia zepsułoby wieczór, zanim się zaczął. Zamiast tego zamarynowałem stek i włożyłem go do lodówki, po czym zająłem się krojeniem ogórków i pomidorów na sałatkę. Tymczasem London obierała kukurydzę. Zadowolona, że pomaga mi przygotować „randkowy wieczór”, sumiennie usuwała jedwabiste nitki, podtykała mi kolbę pod nos, odkładała na bok i sięgała po następną. Ugotowałem makaron, startem ser, obrałem i pokroiłem gruszkę, położyłem na talerzu kawałki piersi z indyka i kiedy London jadła, siedziałem z nią przy stole. Ponieważ Vivian wciąż nie dała znaku życia, razem z London obejrzelśmy bajkę. W końcu usłyszałem chrzęst opon na podjeździe.

London stała w drzwiach, gdy moja żona wysiadała z SUV-a, i widziałem, jak Vivian bierze ją na ręce i całuje. Mnie też pocałowała i zapytała, czy mógłbym wnieść do domu torby z zakupami. Przekonany, że chodzi o artykuły spożywcze, otworzyłem bagażnik, kiedy Vivian i London zniknęły za drzwiami, i zobaczyłem górę toreb od Neimana Marcusa i pół tuzina pudełek na buty z nazwami włoskich producentów.

Nic dziwnego, że nie odpisywała. Vivian była zajęta.

Jak przed tygodniem, kilka razy kursowałem między domem a samochodem, żeby przynieść to wszystko, a gdy się z tym uporałem, moja żona i córka siedziały przytulone na kanapie.

Vivian uśmiechnęła się do mnie i z ruchu jej warg wyczytałem, że chce jeszcze chwilę posiedzieć z London. Skinąłem głową i upomniałem się w duchu, żeby nie okazywać zdenerwowania. W kuchni rozlałem wino do kieliszków i zaniósłem jeden Vivian, a sam wyszedłem na werandę za domem, gdzie rozpałem grilla. Wiedząc, że minie kilka minut,

zanim się rozgrzeje, wróciłem do domu i sącząc wino, patrzyłem na stół, na który wyłożyłem zakupy. Vivian pocałowała London w głowę i wyslizgnęła się z jej objęć. Skinieniem dłoni przywołała mnie do stołu, a kiedy podszedłem, nadstawiła usta do pocałunku.

– London mówiła, że fajnie się razem bawiliście.

– Cieszę się – odparłem. – Domyślam się, że ty też miło spędziłaś dzień.

– Żebyś wiedział. Zebrałam wszystkie potrzebne informacje i zaczęłam gonić po sklepach. Pod koniec marzyłam już tylko o tym, żeby wrócić do domu i odprężyć się.

– Głodna? Kupiłem świeżego tuńczyka i rozpałem grill.

– Poważnie? O tej porze?

– Czemu nie?

– Już jadłam. – Musiała zobaczyć moją minę, bo nagle złagodniała. – Nie miałam pojęcia, że planujesz przygotować kolację. Wiedziałam tylko, że nie jadłam śniadania ani lunchu, i byłam tak głodna, że trzęsły mi się ręce. W drodze do domu wpadłam do restauracji. Gdybyś dał mi znać, zamówiłabym tylko jakąś przekąskę.

– Dzwoniłem i pisałem, ale nie raczyłaś odpowiedzieć.

– Miałam telefon w torebce i nie słyszałam. Dopiero w drodze do domu zobaczyłam, że dzwoniłeś, i przeczytałam SMS-y.

– Mogłaś oddzwonić.

– Przecież mówiłam, że cały dzień byłam zabiegana.

– Do tego stopnia, że nie mogłaś nawet sprawdzić telefonu?

– Nie mów tak, jakbym celowo chciała zepsuć ci wieczór. – Westchnęła. – Możesz przecież zgrillować steka. London na pewno jest głodna.

– Już jadła – rzuciłem i przemknęło mi przez głowę, że jedyne, czego pragnę, to żeby moja żona tęskniła za naszymi rozmowami tak bardzo jak ja.

– Aha – bąknęła. – Chcesz zobaczyć, co kupiłam?

– Jasne – odparłem.

– A nalejesz mi jeszcze pół kieliszka wina? Chcę poukładać to wszystko, zanim ci pokażę.

Pokiwałem głową i oszołomiony wróciłem do kuchni, próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Musiała wiedzieć, że będziemy jeść kolację, po co więc szła do restauracji? I dlaczego nie sprawdziła telefonu? Jak to możliwe, że moja żona nie czuła potrzeby, żeby zadzwonić i spytać, co u nas słychać? Nalałem jej wina i wracając do jadalni, układałem w głowie kolejne pytania, ale Vivian zdążyła rozłożyć na stole i powiesić na krzesłach całą kolekcję ubrań.

– Dzięki, skarbie – powiedziała, sięgając po kieliszek. Pocałowała mnie i nie wypiwszy ani łyka, go odstawiła. – Kupiłam też granatowy kostium. Jest boski, ale odrobinę za szeroki w biodrach, więc będę musiała go zwęzić – oświadczyła i zaczęła mi pokazywać kolejne ubrania.

Kiedy to robiła, zerknąłem na jeden z paragonów i żołądek podszedł mi do gardła. Cena przekraczała połowę raty kredytu hipotecznego.

– Wszystko w porządku? – zapytała, gdy prezentacja dobiegła końca. – Wyglądasz na zdenerwowanego.

– Po prostu zastanawiam się, dlaczego nie zadzwoniłaś.

– Już ci mówiłam. Byłam zajęta.

– Wiem, ale...

– Ale co? – zapytała, piorunując mnie wzrokiem. – Kiedy ty pracowałeś, też nie dzwoniłeś i nie pisałeś co minutę.

– Ale ty byłaś na zakupach.

– Do pracy – rzuciła podniesionym głosem. – Myślisz, że chciało mi się pół nocy siedzieć przed komputerem i przez całe popołudnie biegać po sklepach? Ale nie dałeś mi wyboru, prawda? Muszę pracować, bo ty rzuciłeś pracę. I nie myśl, że nie widziałam, jak patrzysz na paragony, więc zanim znów zaczniesz się wymądrzać, przypomnij sobie, że twoja mała przygoda kosztowała nas dużo więcej, niż dziś wydałam, i może spójrz w końcu w lustro.

– Vivian...

– Przestań się zachowywać, jakbym to ja była tą złą. Sam nie jesteś idealny.

– Nigdy niczego takiego nie powiedziałem.

– I przestań się czepiać wszystkiego, co robię.

– Nie czepiam się...

Ale ona wyszła już z pokoju.

*

Przez kolejne pół godziny schodziliśmy sobie z drogi. Albo raczej ona unikała mnie. Zawsze była w tym lepsza. Wiem, bo zerkalem na nią z nadzieją, że przestanie się dąsać, i zastanawiałem się, dlaczego nie mogliśmy spokojnie porozmawiać o tym, co mnie gryzie.

Zgrillowałem tuńczyka i stek, licząc, że skusi się na jedzenie, i nakryłem do stołu na tylnej werandzie. Kiedy wszystko było gotowe, zwołałem Vivian, która przyszła razem z London.

Położyłem im na talerzach niewielkie porcje i choć obie skubnęły odrobinę, moja żona nie odezwała się do mnie ani słowem. Na szczęście London niczego nie zauważyła, bo z nią Vivian paplała radośnie, jakby w ogóle mnie tam nie było.

Zanim kolacja dobiegła końca, byłem wściekły na Vivian tak jak ona na mnie. Poszedłem do gabinetu i włączyłem komputer, żeby popracować nad prezentacjami, nie mogłem się jednak skupić i przez cały czas wracałem myślami do tego, co się wydarzyło.

Miałem poczucie porażki. Kolejny raz zawałem sprawę, choć nie wiedziałem, co właściwie zrobiłem źle. Vivian zaczęła układać London do snu i słyszałem, jak schodzi po schodach.

– Czeka, aż jej poczytasz – oznajmiła. – Tylko nie za długo, bo już ziewa.

– Dobrze – odparłem i wydało mi się, że widzę na jej twarzy taką samą skruchę, jaką sam czułem. – Hej – rzuciłem, biorąc ją za rękę. – Przepraszam za dzisiejszy wieczór.

Wzruszyła ramionami.

– Oboje mieliśmy ciężki tydzień – odparła.

Poczytałem London przed snem i pocałowałem ją na dobranoc. Vivian siedziała w pokoju dziennym już w piżamie i trzymała na kolanach otwarty magazyn; w telewizji leciał program rozrywkowy.

– Cześć – powiedziała, kiedy usiadłem obok niej. Wydawała się bardziej zainteresowana magazynem niż mną. – Musiałam się przebrać w coś wygodnego. Padam z nóg. Nie wiem, ile jeszcze posiedzę, zanim położę się spać.

Zrozumiałem, co chce mi powiedzieć: o tym, że będziemy się kochać, mogłem zapomnieć.

– Też jestem zmęczony.

– Nie mogę uwierzyć, że w przyszłym miesiącu pójdzie do szkoły. To niewiarygodne.

– Wciąż nie wiem, dlaczego zaczynają tak wcześnie – odparłem, chcąc pociągnąć rozmowę. – Czy za naszych czasów rok szkolny nie zaczynał się po Święcie Pracy? Kto wpadł na pomysł, żeby posyłać dzieci do szkoły dwudziestego piątego sierpnia?

– Nie mam pojęcia. To chyba ma coś wspólnego z obowiązkową liczbą dni w roku szkolnym.

Sięgnąłem po pilota.

– Mogę poszukać czegoś innego do oglądania?

Błyskawicznie odwróciła się w stronę telewizora.

– Oglądałam to. Chciałam się odmóżyć.

Odłożyłem pilota. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Jakie masz plany na jutro? – zapytałem w końcu.

– Jeszcze nie wiem. Muszę odebrać kostium od krawcowej, to chyba wszystko. Dlaczego pytasz? A ty? Masz jakieś plany?

– Dostosuję się do ciebie. Byłaś ostatnio tak zajęta, że właściwie nie mieliśmy okazji pobyć razem.

– Wiem. Istne szaleństwo.

Choć mogłem się tego spodziewać, nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej tą ciągłą bieżącą.

– A co do dzisiejszej kolacji...

Pokręciła głową.

– Nie rozmawiajmy o tym, Russ. Pozwól mi się odprężyć.

– Chciałem tylko powiedzieć, że zacząłem się martwić, bo się nie odzywałaś...

Opuściła magazyn.

– Naprawdę?

– Co?

– Chcesz drążyć temat? Powiedziałam, że jestem zmęczona i że nie chcę o tym rozmawiać.

– Czemu się znów denerwujesz?

– Bo wiem, do czego zmierzasz.

– Do czego?

– Chcesz, żebym przeprosiła, ale ja nie zrobiłam nic złego. Mam przeproszać za to, że dostałam dobrą pracę? A może za to, że chcę wyglądać jak profesjonalistka? Albo za to, że zjadłam coś, bo trzęsłam się z głodu? Pomyślałeś kiedyś, że może ty powinieneś przeprosić za to, że próbujesz wszcząć kłótnię?

– Nie próbuję wszcząć kłótni.

– Właśnie, że tak – warknęła, patrząc na mnie, jakbym był szalony. – Wkurzyłeś się, jak tylko powiedziałam, że już jadłam, i dałeś mi to odczuć. Staralam się być miła. Zaprosiłam cię do pokoju, żeby pokazać ci, co kupiłam. Pocałowałam cię. A zaraz potem naskoczyłeś na mnie jak zawsze.

Wiedziałem, że w tym, co mówi, jest ziarno prawdy.

– Dobrze, masz rację – odezwałem się, próbując panować nad głosem. – Przyznaję, że byłem rozczarowany, że zjadłaś przed powrotem do domu...

– No widzisz? – przerwała mi. – Na tym polega twój problem. Wierz mi lub nie, ale nie jesteś w tym domu jedyną osobą, która ma uczucia. Zastanawiałeś się, w jakim napięciu żyję ostatnio? A co ty robisz? Ledwie wejść do domu, czepiasz się mnie i nie chcesz odpuścić. – Wstała z kanapy i mówiąc dalej, ruszyła w stronę drzwi. – Chciałam tylko obejrzeć swój program, przeczytać gazetę i posiedzieć z tobą bez kłótni. Nic więcej. Czy proszę o zbyt wiele?

– Gdzie idziesz?

– Zamierzam się położyć i zrelaksować. Możesz do mnie dołączyć, ale jeśli masz zamiar znów się kłócić, daruj sobie.

Po tych słowach wyszła. Wyłączyłem telewizor i przez godzinę siedziałem w ciszy, zachodząc w głowę, co się z nami stało.

Albo raczej, jak mogę naprawić nasze relacje.

*

W niedzielę obudziłem się późnym rankiem w pustym łóżku.

Włożyłem dzinsy i jak co dzień, stojąc przed lustrem, próbowałem ujarzmić potargane włosy. Było to o tyle rozczarowujące, że Vivian zwykle po przebudzeniu wyglądała jak z żurnala.

Ponieważ spała, kiedy przyszedłem do łóżka, nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale idąc do kuchni, słyszałem, jak obie z London się śmieją.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Tatuś! – pisnęła London.

Vivian odwróciła się, puściła do mnie oko i uśmiechnęła się, jakby wczorajszy wieczór w ogóle się nie wydarzył.

– Idealne wycucie czasu – stwierdziła. – Właśnie przygotowałam śniadanie.

– Pachnie cudownie.

– Chodź, przystojniaku – rzuciła.

Podszedłem, zakładając, że próbuje wybadać mój nastrój, a kiedy byłem wystarczająco blisko, pocałowała mnie.

– Przepraszam za wczoraj. Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko w porządku. Ja też przepraszam.

– Co powiesz na talerz pysznego jedzenia? Specjalnie dla ciebie zrobiłam super chrupki bekon.

– Brzmi świetnie.

– Jest też kawa. Śmietanka jest tam.

– Dzięki. – Nalałem sobie filiżankę kawy, przeszedłem do jadalni i usiadłem obok London. Kiedy sięgała po mleko, pocałowałem ją w czubek głowy.

– Co słyhać, skarbie? Śniło ci się coś przyjemnego?

– Nie pamiętam – odparła. Upiła łyk mleka, które pozostawiło nad górną wargą biały wąsik.

Vivian przyniosła dwa talerze z jajecznicą, bekonem i tostami i postawiła je przed nami.

– Chcesz soku pomarańczowego? Świeżo wyciśnięty.

– Chętnie. Dzięki.

Chwilę później wróciła z sokiem i własnym talerzem. W przeciwieństwie do naszego, jej śniadanie składało się z owoców i małej porcji jajecznicy z białek.

Ugryzłem kawałek bekonu.

– O której wstałaś?

– Godzinę temu. Musiałeś być wykończony. Chyba nawet nie słyszałeś, jak wyszłam z łóżka.

– Chyba tak – przyznałem.

– Jeszcze chwila i wysłałabym London, żeby wskoczyła ci na głowę.

Spojrzałem na córkę i rozdziawiłem usta.

– Nie zrobiłabyś tego, prawda? Gdybym wciąż spał?

– Pewnie, że bym zrobiła – odparła, chichocząc. – Wiesz co? Mamusia powiedziała, że weźmie mnie do galerii, bo musi odebrać ubrania. A potem pójdziemy do sklepu zoologicznego.

– A co tam jest?

– Mamusia powiedziała, że mogę mieć chomika. Nazwę ją Pani Sprinkles.

– Nie wiedziałem, że chcesz chomika.

– Od dawna chciałam mieć chomika.

– To dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo mama powiedziała, że się nie zgodzisz.

– No nie wiem – odparłem. – Opiekowanie się chomikiem to poważna sprawa.

– Wiem, ale one są takie słodkie.

– Rzeczywiście – przyznałem i przez resztę śniadania słuchałem, jak stara się mnie przekonać, że jest wystarczająco duża, żeby zająć się chomikiem.

*

Pilem w kuchni drugą kawę, Vivian ładowała zmywarę, a London w salonie bawiła się lalkami Barbie.

– Jest na tyle duża, żeby mieć chomika – stwierdziła Vivian. – Nawet jeśli będziesz musiał czyścić klatkę.

– Ja?

– Oczywiście – odparła. – Jesteś tatą.

– I według ciebie to znaczy, że mam pomagać córce czyścić klatkę chomika?

– Potraktuj to jako okazję do umocnienia waszej więzi.

– Sprzątanie chomiczych bobków?

– Oj, cicho tam. – Kuksnęła mnie łokciem. – Wyjdzie jej to na dobre. Nauczy się odpowiedzialności. A poza tym to dużo prostsze niż szczeniak. Nasza córka jest zakochana w yorku sąsiadów, więc możesz uważać się za szczęściarza. Widziałeś biuletyn z klubu?

– Nie.

– Mają zajęcia dla dzieci, w tym naukę gry w tenisa. Trzy razy w tygodniu o dziewiątej rano przez cztery tygodnie. W poniedziałki, wtorki i czwartki, więc nie kolidowałyby z innymi zajęciami.

Z miejsca, w którym stałem, widziałem naszą córeczkę i nie mogłem nie zauważyć, jak bardzo jest podobna do matki.

– Nie wiem, czy jej się spodoba – odparłem. – A skoro mówimy o London. Miałem o to spytać... Co z nią?

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

– O opiekę nad nią – wyjaśniłem. – Jutro zaczynasz pracę. Kto się nią zajmie?

– Wiem, wiem – rzuciła nerwowo. Wypłukała kolejny talerz i włożyła go do zmywarki. – W zeszłym tygodniu miałam

rozejrzeć się za jakimiś ośrodkami opieki dziennej, ale nie miałam czasu. Ledwo to wszystko ogarniam, a i tak mam wrażenie, że nie jestem gotowa na jutrzejszy dzień. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, to żeby Walter podczas lunchu wziął mnie za idiotkę.

– Idziesz na lunch z Walterem?

– Moim nowym szefem? Walterem Spannermanem?

– Wiem, kim jest Walter. Po prostu nie miałem pojęcia, że idziecie na lunch.

– Ja też. Dowiedziałam się dziś rano. Dostałam maila z harmonogramem szkolenia. Wygląda na to, że jutro będę cały dzień w biegu: dział kadr, dział prawny, lunch, spotkania z wiceprezesami. O siódmej trzydzieści muszę być na miejscu.

– Trochę wcześniej – zauważyłem. Czekałem, zastanawiając się, czy wróci do tematu opieki nad London. Ona jednak wypłukała sztućce i bez słowa włożyła je do zmywarki. Odchrząknąłem. – Powiedziałaś, że nic nie znalazłaś?

– Jeszcze nie. Dzwoniłam do przyjaciół, którzy twierdzą, że ośrodki, z których korzystają, są dobre, ale wolałabym sama się przekonać. Podskoczyć tam, poznać personel, porozmawiać o tym, co proponują. Chcę mieć pewność, że to właściwie miejsce.

– Jeśli masz zamiary, mogę zadzwonić i nas umówić.

– W tym cały problem. Nie wiem, jak będę pracowała w tym tygodniu.

– Na pewno uda mi się umówić nas na wieczór.

– Lepiej, żebym ja to zrobiła, nie sądzisz? Nie chcę później niczego odwoływać.

– Więc... jaki jest plan na jutro? Co zrobimy z London?

– Nie chcę podrzucać jej byle gdzie. Chcę dla niej jak najlepiej.

– Jestem pewien, że jeśli wybierzesz któreś z miejsc polecanych przez twoich znajomych, nic jej nie będzie.

– Już się denerwuje moim pójściem do pracy. Dziś rano była zmartwiona. Dlatego przygotowałam rodzinne śniadanie

i wpadłam na pomysł z chomikiem. Nie chcę, żeby czuła się porzucona.

– Co dokładnie chcesz powiedzieć?

Vivian zamknęła zmywarkę.

– Miałam nadzieję, że zajmiesz się nią w tym tygodniu. Dzięki temu będzie miała czas, żeby się przyzwycząić.

– Nie mogę. W tym tygodniu codziennie mam spotkania z klientami.

– Wiem, że proszę o wiele, i rozumiem cię. Ale nie mam pojęcia, co zrobić. Pomyślałam, że mógłbyś wziąć ją ze sobą do biura albo pracować z domu. Na czas spotkań z klientami mógłbyś podrzucić ją do mamy. To nie potrwa dłużej niż tydzień, góra dwa.

Tydzień? Góra dwa?

Nawet gdy zacząłem mówić, jej słowa rozbrzmiewały mi w uszach.

– Nie wiem. Musiałbym zadzwonić do mamy i zapytać, czy się zgodzi.

– Mógłbyś? Wystarczająco przejmuję się pracą; nie chcę dodatkowo martwić się o London. Mówiłam ci, że dziś rano była jakaś smutna.

Przyjrzałem się naszej córce. Przy śniadaniu nie wyglądała na szczególnie przygnębioną, teraz zresztą też, ale przecież Vivian znała ją lepiej niż ja.

– Dobrze. Zadzwonię.

Uśmiechnęła się i objęła mnie za szyję.

– Ta kolacja niespodzianka była bardzo słodka. Pomyślałam, że wieczorem, kiedy London pójdzie spać, napiłabym się wina. – Pocałowała mnie w szyję; jej oddech parzył moją skórę. – Dasz się skusić?

Wbrew sobie zacząłem się zastanawiać, czy cały ranek – jej wygląd, radosny nastrój, śniadanie – nie był częścią misternie utkanego planu, żeby dostać to, co chciała. Ale gdy drugi raz pocałowała mnie w szyję, wybaczyłem jej.

*

Vivian i London zniknęły na całe popołudnie. Pod ich nieobecność skończyłem prezentację dla kręgarza, pierwszego z umówionych klientów. Posprzątałem dom i zadzwoniłem do mamy. Powiedziałem jej o spotkaniach z potencjalnymi klientami i zapytałem, czy w poniedziałek mógłbym podrzucić London.

– Pewnie, że tak – odparła.

Odkładałem słuchawkę, gdy SUV Vivian zajechał przed dom i już z daleka słyszałem, jak London woła:

– Tatusiu, tatusiu! Chodź tu, szybko!

Zbiegłem po schodach i zobaczyłem, jak podnosi małą, plastikową klatkę. W pierwszej chwili pomyślałem, że wzrok płała mi figle, bo widziałem dwa chomiki: biało-czarnego i brązowego. London uśmiechała się od ucha do ucha.

– Mam dwa, tatusiu! Panią Sprinkles i Pana Sprinklesa.

– Dwa?

– Nie mogła się zdecydować – wtrąciła Vivian – więc pomyślałam: czemu nie? I tak musiałyśmy kupić klatkę.

– I przez całą drogę do domu musiałam trzymać Pana Sprinklesa! – dodała London.

– Naprawdę?

– Jest taki słodki. Siedział grzecznie przez cały czas. Następnym razem potrzymam Panią Sprinkles.

– Super – rzuciłem. – Podoba mi się klatka.

– Och, to tylko klatka do przenoszenia. Prawdziwa jest w bagażniku. Mamusia powiedziała, że pomożesz mi ją złożyć. Jest ogromna!

– Tak powiedziała mamusia? – Nagle wróciły do mnie wspomnienia poprzednich Wigilii, kiedy godzinami składałem różne... rzeczy... Stół do malowania, wymarzony domek Barbie, rower. Powiem tylko, że szło mi to dużo gorzej niż mojemu ojcu. Vivian musiała wiedzieć, co chodzi mi po głowie, bo otoczyła mnie ramieniem.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Nie będzie tak źle. A ja będę twoją cheerleaderką.

*

Późnym wieczorem, po tym, jak się kochaliśmy, leżałem na boku i wodziłem palcem po plecach Vivian. Oczy miała zamknięte, ciało odprężone, piękne.

– Nadal nie powiedziałaś mi, na czym właściwie ma polegać twoja praca.

– Bo nie ma o czym mówić. To taka sama praca, jaką wykonywałam wcześniej. – Głos miała senny, z trudem artykułowała słowa.

– Wiesz, jak często będziesz wyjeżdżała?

– Jeszcze nie – odparła. – Pewnie niedługo się dowiem.

– To może być trudne dla London.

– Nic jej nie będzie. Ma przecież ciebie.

Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że powie coś więcej: jak bardzo będzie tęskniła za naszą córką albo że ma nadzieję, że nie będzie tak często poza domem. Zamiast tego oddychała równo i głęboko.

– Wiesz już, ile będziesz zarabiać?

– Dlaczego pytasz?

– Próbuję zaplanować budżet.

– Nie – mruknęła. – Jeszcze nie wiem.

– Jak możesz nie wiedzieć?

– Jest coś takiego jak pensja podstawowa, premie, dodatki motywacyjne. Podział zysków. Wyłączyłam się, kiedy o tym mówili.

– A tak mniej więcej?

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Naprawdę musimy o tym rozmawiać? Wiesz, że nienawidzę rozmów o pieniądzach.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Kocham cię.

- Ja ciebie też.
- Dzięki, że zgodziłeś się przez tydzień zaopiekować London. Albo dwa, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno.
- Nie ma za co.

*

Nie mogłem zasnąć i po tym, jak przez godzinę gapilem się w sufit, wyślizgnąłem się z łóżka i poszedłem do kuchni. Nalałem sobie odrobinę mleka, wypilem je jednym haustem i pomyślałem, że skoro nie śpię, zajrzę do London. Wszedłem do pokoju i usłyszałem terkotanie kołowrotka – chomicza impreza w środku nocy.

Na szczęście London niczego nie zauważyła. Spała mocno, oddychała równo i głęboko. Pocałowałem ją w policzek i przykryłem aż pod brodę. Przez chwilę się wierciła i kiedy tak na nią patrzyłem, poczułem ukłucie w sercu. Zalała mnie fala uczuć: duma zmieszana z miłością, troską i strachem; a ich intensywność mnie zdumiała.

Wszedłem na werandę. Noc była ciepła, wypełniona cykaniem świerszczy. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że w dzieciństwie ojciec tłumaczył mi kwestię częstotliwości cykania i to, że zależy ona od temperatury. Zastanawiałem się, czy to prawda, czy może to jedna z tych rzeczy, które ojcowie mówią synom w późne letnie wieczory.

Rozmyślając nad tym, oczyściłem umysł i nagle zrozumiałem, dlaczego nie mogłem zasnąć.

Miało to związek z Vivian i tym, że nie powiedziała mi, ile będzie zarabiać. Nie wierzyłem, kiedy mówiła, że wyłączyła się, gdy na rozmowie kwalifikacyjnej poruszono tę kwestię, i to również nie dawało mi spokoju.

Przez wszystkie lata naszego związku zawsze mówiłem Vivian, ile dokładnie zarabiam. Dla mnie dzielenie się takimi informacjami było niezwykle istotne; tajemnice związane z finansami są ostatnią rzeczą, jakiej potrzeba małżeństwu.

Tajemnice potrafią niszczyć i biorą się z chęci kontrolowania. A może byłem wobec niej zbyt surowy? Może najzwyczajniej w świecie nie chciała ranić moich uczuć, wiedząc, że będzie zarabiała, podczas gdy mój biznes kulał.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Tymczasem musiałem zająć się córką i nagle odkryłem prawdziwy powód swojej bezsenności.

Role w naszym małżeństwie się odwróciły.

ROZDZIAŁ 6

Pan mama

Kiedy byłem mały, rodzice pakowali kampera i latem zabierali mnie i Marge do Outer Banks. Wcześniej zatrzymywaliśmy się w okolicach Rodanthe, później jeździliśmy dalej na północ, nieopodal miejsca, gdzie bracia Wright tworzyli historię lotnictwa. Ale z czasem zaczęliśmy coraz częściej bywać w Ocracoke.

Ocracoke to wioska, lecz w porównaniu z Rodanthe to prawdziwa metropolia ze sklepami, w których sprzedają lody i pizzę na kawałki. Marge i ja godzinami wałęsaliśmy się po plażach i sklepach, zbieraliśmy muszle i wygrzewaliśmy się na słońcu. Wieczorami mama robiła kolację, zwykle hamburgery albo hot dogi. Potem łapaliśmy w słotki robaczki świętojańskie i późnym wieczorem zasypialiśmy w namiocie pod rozgwieżdżonym niebem, podczas gdy nasi rodzice spali w kamperze.

To były dobre czasy. Jedne z najlepszych w moim życiu. Oczywiście mój ojciec wspomina je nieco inaczej.

„Nienawidziłem tych rodzinnych wypadów”, wyznał mi, kiedy byłem w college’u. „Ty i Marge kłóciliście się przez całą drogę. Już pierwszego dnia miałeś poparzenie słoneczne i przez resztę tygodnia marudziłeś jak dziecko. Marge zwykle chodziła nadąsana, bo była z dala od przyjaciół, a jakby tego było mało, kiedy tylko zaczęła schodzić ci skóra, rzucałeś jej kawałkami w siostrę, która piszcziała jak opętana. Byliście upierdliwi”.

„Więc po co jeździliśmy tam co roku?”

„Bo wasza matka mnie zmuszała. Wolałbym pojechać na wakacje”.

„Byliśmy na wakacjach”.

„Nie – upierał się – byliśmy na rodzinnej wycieczce, nie na wakacjach”.

„Co za różnica?”

„Przekonasz się”.

Przez pierwsze lata życia London wycieczki za miasto przypominały przygotowania do operacji wojskowej – pakowanie pieluch, butelek, wózków, jedzenia w słoiczkach, szamponu dla dzieci i toreb z zabawkami. Bywaliśmy wtedy w miejscach, które miały zapewnić jej atrakcje – w akwarium, na placach zabaw McDonalda, na plaży – i padaliśmy ze zmęczenia, mając mało czasu dla siebie i jeszcze mniej na odpoczynek.

Dwa tygodnie przed czwartymi urodzinami London Peters wysłał mnie na konferencję do Miami, po której postanowiłem zrobić sobie kilka dni wolnego. Umówiłem się z rodzicami, że na cztery dni wezmą London do siebie, i choć początkowo Vivian nie chciała rozstawać się z córką, szybko zrozumieliśmy, jak bardzo brakuje nam... wolności. Siedząc przy basenie, czytaliśmy gazety i książki, sączyliśmy piña coladę, a popołudniami ucinaliśmy sobie drzemki. Wystrojeni chodziliśmy na kolacje, niespiesznie popijaliśmy wino i kochaliśmy się codziennie albo nawet kilka razy dziennie. Pewnego wieczoru poszliśmy do night clubu, przetańczyliśmy pół nocy i następnego dnia spaliśmy do późna. Kiedy wracaliśmy do Charlotte, w końcu zrozumiałem, co miał na myśli mój ojciec.

Chodziło mu o to, że dzieciaki zmieniają wszystko.

Mniej bym się dziwił, gdyby to był piątek trzynastego, a nie poniedziałek trzynastego, ponieważ wszystko związane z pierwszym dniem Vivian w nowej pracy wydawało się pokręcone.

Na początek pierwsza poszła pod prysznic, co zaburzyło harmonogram poranka, który od lat funkcjonował w naszym domu. Nie wiedząc, co z sobą zrobić, pościeliłem łóżko i poszedłem do kuchni zaparzyć kawę. Postanowiłem przygotować żonie śniadanie: omlet z białek z jagodami i kawałkami melona kantalupa. To samo zrobiłem sobie, wychodząc z założenia, że nic się nie stanie, jeśli zrzucę parę kilo. Zauważyłem ostatnio, że spodnie wrzynają mi się w brzuch.

Kiedy krzątałem się po kuchni, dołączyła do mnie London, przygotowałem więc dla niej płatki z mlekiem. Włosy miała w nieładzie i nawet ja zauważyłem, że jest zmęczona.

– Dobrze spałaś? – zapytałem.

– Pan i Pani Sprinkles budzili mnie przez całą noc. Biegali na kołowrotku, a on skrzypi.

– To niedobrze. Zobaczą później, czy da się zrobić coś, żeby nie hałasował.

Pokiwała głową, podczas gdy ja nalewałem sobie pierwszą filiżankę kawy. Zaczynałem pić trzecią, gdy Vivian w końcu weszła do kuchni. Omal się nie zakrztusiłem.

– No, no! – Uśmiechnąłem się.

– Podoba ci się?

– Wyglądasz świetnie – odparłem zgodnie z prawdą. – Zrobiłem ci śniadanie.

– Nie wiem, czy dam radę cokolwiek przełknąć. Tak się denerwuję, że w ogóle nie jestem głodna.

Podgrzałem omlet w mikrofalówce, gdy tymczasem Vivian wysłuchiwała relacji London o skrzypiącym kołowrotku.

– Obiecałem, że zobaczą, czy da się coś z tym zrobić – powiedziałem, stawiając przed nią talerz.

Vivian bez apetytu skubała omlet.

– Zanim uczeszysz London, spryskaj jej włosy sprayem ułatwiającym rozczesywanie. To ta zielona butelka obok umywalki.

– Jasne – rzuciłem, przypominając sobie, że widziałem, jak żona robiła to wcześniej.

Uwaga Vivian skupiała się na London.

– Tatuś zapisze cię dziś na tenisa. Zobaczysz, spodoba ci się...

Zamarłem z widelcem w połowie drogi do ust.

– Zaraz... – przerwałem jej. – Co?

– Tenis? Rozmawialiśmy o tym wczoraj. Nie pamiętasz?

– Pamiętam, że wspomniałaś coś na ten temat. Ale nie pamiętam, żebyśmy podjęli decyzję.

– Zapisy są dziś i jestem pewna, że chętnych będzie wielu, więc dobrze by było, gdybyś podjechał tam około ósmej trzydzieści. Od dziewiętej można wpisywać się na listę. Zajęcia plastyczne zaczynają się o jedenastej.

– Jestem umówiony z klientem.

– Zapisanie jej nie potrwa długo, a z klientem możesz się spotkać, kiedy London będzie na zajęciach plastycznych. W tym samym budynku jest bar kawowy. Nic jej nie będzie... ja zwykle zostawiam ją i idę na siłownię. O której masz to spotkanie?

– O drugiej.

– Widzisz? Idealnie się składa. Zajęcia kończą się o dwunastej trzydzieści, więc zdążysz podrzucić ją do mamy. Wiesz, gdzie jest pracownia, prawda? W centrum niedaleko pasażu handlowego, tam gdzie TGI Fridays?

Znałem miejsce, o którym mówiła, ale moje myśli krążyły wokół coraz dłuższej listy rzeczy, które miałem do zrobienia.

– Nie możemy po prostu zadzwonić do klubu i ją zapisać?

– Nie – odparła Vivian. – Potrzebują kopii ubezpieczenia i trzeba podpisać dokumenty.

Myśli kłębiły się w mojej głowie.

– Naprawdę musi dziś iść na zajęcia plastyczne?

Vivian spojrzała na London.

– Kochanie, chcesz iść na zajęcia plastyczne?

London pokiwała głową.

– Jest tam mój przyjaciel, Bodhi – odezwała się; w jej ustach imię zabrzmiało jak *Bodie*. – Pisz się B-O-D-H-I i jest naprawdę miły. Obiecałam, że przyniosę dziś Pana i Panią Sprinkles, żeby mu pokazać.

– À propos, musisz kupić w sklepie zoologicznym trociny – dodała Vivian. – I nie zapomnij o lekcji tańca o siedemnastej. Odbywa się w centrum handlowym, tam gdzie Harris Teeter. – Wstała od stołu, pocałowała London i ją przytuliła. – Mamusia wróci do domu po pracy, dobrze? Pamiętaj, żeby wrzucić brudne ubrania do kosza.

– Dobrze, mamusiu. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Odprowadziłem Vivian do drzwi i pocałowałem ją pośpiesznie.

– Wykończysz mnie – rzuciłem.

– Mam nadzieję. – Ostrożnie dotknęła fryzury. Sięgnęła do torby i wręczyła mi złożoną kartkę papieru. – Zapisałam rozkład zajęć London, żeby ułatwić ci życie.

Przejrzałem listę. Zajęcia plastyczne w poniedziałki i piątki o jedenastej, lekcje gry na pianinie we wtorki i czwartki o dziewiątej trzydzieści. Zajęcia taneczne w poniedziałki, środy i piątki o siedemnastej. A od przyszłego tygodnia tenis w poniedziałki, wtorki i czwartki o ósmej rano.

– Jejku – bąknąłem. – To się nazywa harmonogram. Nie sądzisz, że trochę za dużo tego wszystkiego?

– Nic jej nie będzie.

Z jakiegoś powodu spodziewałem się dłuższego pożegnania albo krótkiej pogawędki o tym, jak bardzo jest zestresowana, ale ona odwróciła się i pośpieszyła w stronę samochodu.

Nawet się nie obejrzała.

*

Nie pytajcie jak, ale jakoś to wszystko ogarnąłem. Prysznic, golenie się i przygotowanie do pracy; odfajkowane. Spray ułatwiający rozczesywanie, uczesanie i ubranie London; odhaczone. Posprzątanie kuchni i włączenie zmywarki; zrobione. Zapisanie London na lekcje tenisa i odstawienie jej na zajęcia plastyczne razem z państwem Sprinkles; załatwione. Zdążyłem

przejrzeć prezentację, zawieźć London do mamy i dotrzeć na spotkanie z kręgarzem.

Gabinet kręgarza znajdował się na parterze od ulicy w nijakim budynku w dzielnicy przemysłowej; kiepskie miejsce dla kogoś, kto zajmuje się leczeniem ludzi. Wystarczyło rzucić okiem, żeby wiedzieć, że mój potencjalny klient desperacko potrzebuje pomocy kogoś takiego jak ja.

Niestety on sam był innego zdania. Nie interesowała go ani prezentacja w PowerPoincie, ani nic, co miałem do powiedzenia. Wykazywał większe zainteresowanie kanapką, którą spożywał w trakcie naszego spotkania. Denerwowało go, że nie ma w niej musztardy. Wiem, bo mówił mi o tym trzy razy, a gdy na koniec prezentacji spytałem, czy ma jakieś pytania, zapytał, czy nie mam w samochodzie saszetek z musztardą.

Odbierając London od mamy, nie byłem w najlepszym nastroju i po krótkiej wizycie w sklepie zoologicznym pojechaliśmy do domu. Miałem nadzieję, że zanim odwiozę ją na lekcję tańca, będę mógł usiąść przed komputerem i trochę popracować, ale nie mogliśmy znaleźć kostiumu. Wychodząc z domu, mieliśmy kilka minut spóźnienia, a w miarę jak mijały kolejne minuty, London robiła się coraz bardziej marudna.

– Pani Hamshaw jest bardzo, bardzo zła, jeśli ktoś łamie zasady.

– Nie przejmuj się. Powiem jej, że to moja wina.

– To nic nie da.

Wygląda na to, że London miała rację. Tuż za wejściem znajdował się wąski korytarzyk, w którym siedziało pięć milczących kobiet, a nieco dalej parkiet. Oba pomieszczenia oddzielała niska ściana z drzwiami wahadłowymi. Po prawej ustawiono gabloty wypełnione trofeami, a na ścianach wisiały bannery z nazwiskami zwycięzców krajowych konkursów.

– No już, idź – ponaglałem London.

– Nie mogę wyjść na parkiet, dopóki nie dostanę pozwolenia.

– Jak to?

– Przestań tyle mówić, tatusiu. Rodzice mają być cicho, kiedy pani Hamshaw mówi. Przez ciebie będę miała jeszcze więcej kłopotów.

Pani Hamshaw – surowa kobieta z włosami koloru żelaza upiętymi z tyłu głowy w ciasny kok – wyszcze kiwała polecenia do grupy pięcio-, sześciolatków. Chwilę później ruszyła ku nam sprężystym krokiem.

– Przepraszam za spóźnienie – zacząłem. – Mama London zaczęła dziś pracę, a ja nie mogłem znaleźć stroju do tańca.

– Rozumiem. – Pani Hamshaw zmierzyła mnie od stóp do głów. Nie powiedziała nic więcej, po prostu dała do zrozumienia, jak bardzo jest niezadowolona, i w końcu położyła dłoń na ramieniu London. – Możesz wejść na parkiet.

London ze spuszczoną głową powlokła się na środek sali.

Nauczycielka odprowadziła ją wzrokiem i kolejny raz spojrzała na mnie.

– Proszę dopilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło. Spóźnienia rozpraszają dzieci, a i bez tego trudno utrzymać je w ryzach.

Wyszedłem, zadzwoniłem do sekretarki tylko po to, żeby dowiedzieć się, że nikt nie zostawił dla mnie żadnych wiadomości, i przez kolejną godzinę patrzyłem, jak London i inne dziewczynki na próżno dwoją się i troją, żeby zadowolić panią Hamshaw. Raz czy dwa widziałem, jak London nerwowo obgryza paznokcie.

Kiedy po zajęciach wracaliśmy do samochodu, przygarbiona wlokła się kilka kroków za mną. Nie odezwała się ani słowem aż do chwili, gdy wyjeżdżaliśmy z parkingu.

– Tatusiu?

– Tak, skarbie?

– Kiedy wrócimy do domu, będę mogła zjeść Lucky Charms¹?

– To nie jest obiad, tylko śniadanie. Poza tym wiesz, że mama nie lubi, kiedy jesz słodkie płatki.

– Mama Bodhiego pozwala mu czasem jeść Lucky Charms. A ja jestem głodna. Proszę, tatusiu.

Powiedziała to najbardziej płaczkliwym, żalonym głosem. Jak mogłem jej odmówić?

Podjechałem do sklepu i kupiłem paczkę płatków, przez co dotarliśmy do domu z trzypięciominutowym opóźnieniem.

Przygotowałem London płatki z mlekiem, napisałem do Vivian SMS-a z pytaniem, kiedy wróci, i kompletnie wykończony zabrałem się do pracy. Musiałem stracić poczucie czasu, bo kiedy Vivian zajeżdżała przed dom, dochodziła dwudziesta.

Dwudziesta?

London dotarła do drzwi przede mną i patrzyłem, jak Vivian bierze ją na ręce, całuje i stawia na ziemi.

– Przepraszam za spóźnienie. Nagła sytuacja w pracy.

– Myślałem, że miałaś szkolenie.

– Bo miałam. W zasadzie przez cały dzień. A później, o szesnastej, dowiedzieliśmy się, że dziennikarz z Raleigh „News & Observer” przygotowuje artykuł demaskatorski o jednej z inwestycji Waltera. I nagle mieliśmy sytuację kryzysową. Wszyscy, w tym ja.

– Ty? To twój pierwszy dzień w pracy.

– Dlatego mnie zatrudnili – odparła. – Poza tym mam doświadczenie w radzeniu sobie w sytuacjach kryzysowych. Mój nowojorski szef wiecznie miał problemy z prasą. Musieliśmy się spotkać i obmyślić plan działania; zresztą i tak miałam pogadać z rzecznikami prasowymi Spannermana. Urwanie głowy. Mam nadzieję, że zostawiłeś mi coś do jedzenia. Umieram z głodu. Nieważne, co przygotowałeś.

Ups.

Musiała zobaczyć moją minę, bo lekko się przygarbiła.

– Nie zrobiłeś kolacji?

– Nie. Zająłem się robotą...

– To znaczy, że London nie jadła?

– Tatuś pozwolił mi jeść Lucky Charms – oświadczyła z uśmiechem moja córka.

– Lucy Charms?

– To była tylko przekąska – odparłem zepchnięty do defensywy.

Ale Vivian już nie słuchała.

– Zobaczmy, co uda nam się upichcić na kolację, dobrze? Coś zdrowego.

– Dobrze, mamusiu.

– Jak było na lekcji tańca?

– Spóźniliśmy się – rzuciła London. – I pani była bardzo, ale to bardzo zła na tatusia.

Vivian zacisnęła usta w wąską kreskę, przez co wyglądała na równie niezadowoloną, jak pani Hamshaw.

*

– A poza sytuacją kryzysową, jak było w pracy? – zapytałem później, kiedy leżeliśmy w łóżku. Widziałem, że wciąż jest na mnie zła.

– W porządku. W kółko spotkania i przyzwyczajanie się do nowego miejsca.

– A lunch ze Spannermanem?

– Chyba dobrze – odparła. Nie dodała nic więcej.

– Myślisz, że będziesz mogła dla niego pracować?

– Chyba nie będę miała z tym żadnego problemu. Większość kadry kierowniczej jest tam od lat.

Pod warunkiem że są kobietami, pomyślałem.

– Daj mi znać, gdyby kiedykolwiek się do ciebie przystawiał, dobrze?

– To tylko praca, Russ. – Westchnęła.

*

Wstałem o świcie i zanim Vivian się obudziła, popracowałem na komputerze. Jej rozmowa ze mną w kuchni była kompletnie beznamiętna. Wręczyła mi listę zakupów i przypomniała, że

London ma lekcję gry na pianinie; poprosiła też, żebym dowiedział się, czy kiedy zacznie się rok szkolny, nauczycielka znajdzie dla niej czas we wtorki i czwartki po południu lub wieczorem. Wychodząc, odwróciła się w moją stronę.

– Czy mógłbyś być bardziej sumienny, jeśli chodzi o London? Zawozić ją na czas na zajęcia i przypilnować, żeby jadła jak należy? Nie proszę cię o nic, czego sama nie robiłam przez lata.

Zabolało mnie to, ale zanim zdążyłem się odezwać, drzwi się za nią zamknęły.

*

London zbiegła na dół kilka minut później i zapytała, czy może zjeść na śniadanie płatki Lucky Charms.

– Oczywiście – zgodziłem się chętnie. W głowie wciąż dźwięczały mi słowa Vivian, przez co moje zachowanie można było odczytać jako pasywno-agresywne. – Chcesz do tego mleka czekoladowego?

– Tak!

– Tak myślałem – rzuciłem, zastanawiając się, jak moja żona zareagowałaby na coś takiego.

Po śniadaniu London bawiła się lalkami, a ja uczesałem ją, ubrałem i zawiozłem na lekcję gry na pianinie. Pamiętałem, żeby zapytać nauczycielkę o zmianę planu zajęć, i jak szalony pognąłem do domu rodziców.

– O, jesteście – powitała mnie mama, kiedy przekroczyłem próg. Pocałowała London, a ja zauważyłem, że nie ma na sobie fartucha. Zamiast tego była ubrana w fioletową sukienkę.

– Oczywiście, że jesteśmy – odparłem. – Ale wpadłem tylko na kilka minut, bo nie chcę się spóźnić.

Poklepała London po plecach.

– London, kochanie? Może spróbujesz ciasteczek, które upiekliśmy wczoraj? Są w słoiku przy tosterze.

– Wiem, gdzie są – odparła London i w podskokach pognęła do kuchni, jakby słodkie płatki śniadaniowe jej nie wystarczyły.

– Naprawdę doceniam, że mi pomagasz – zwróciłem się do mamy.

– W tym problem.

– To znaczy?

– Dziś z paniami z Ruchu Czerwonych Kapeluszy wybieram się na lunch. – Mówiąc to, wskazała kapelusz leżący na stoliku przy drzwiach; był czerwony jak szminka klauna i ozdobiony pawimi piórami.

– Ale przecież mówiłem, że w tym tygodniu codziennie mam spotkania.

– Pamiętam. Ale pytałeś tylko, czy mogłabym się zająć London w poniedziałek.

– Zakładałem, że wiesz, o co mi chodzi. Poza tym London uwielbia być z tobą.

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Russ... Wiesz, jak bardzo kocham London, ale nie mogę zajmować się nią codziennie, aż do rozpoczęcia roku szkolnego. Mam obowiązki, podobnie jak ty.

– To przejściowa sytuacja – zaprotestowałem. – Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu nie będziesz musiała.

– Jutro nie będzie mnie w domu. W klubie ogrodniczym odbywają się szkolenia na temat tulipanów i żonkili; będzie też można kupić cebulki egzotycznych roślin. Chcę na wiosnę zaskoczyć twojego ojca. Wiesz, że nie ma szczęścia do tulipanów. A w czwartki i piątki pracuję jako wolontariuszka.

– Och – jęknąłem, czując, że serce podchodzi mi do gardła. Usłyszałem, jak mama wzdycha.

– A dziś, skoro London już tu jest... O której kończysz spotkanie?

– Za piętnaście dwunasta?

– Lunch zaczyna się o dwunastej, może więc przyjedziesz po nią do restauracji? Może posiedzieć ze mną i moimi przyjaciółkami, dopóki jej nie odbierzesz.

– Byłoby świetnie. – Odetchnąłem z ulgą. – Gdzie to jest?

Wspomniała o miejscu, które znałem, choć nigdy wcześniej tam nie byłem.

– Przypomnij mi, o której masz spotkanie?

Spotkanie. Jasna cholera.

– Muszę lecieć, mam. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

*

– Poważnie? – zapytała Marge. – Jesteś zły na mamę, bo przypadkiem ma własne życie?

Jechałem autostradą, rozmawiając przez słuchawkę z bluetoothem.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Przez cały tydzień mam spotkania. I co ja teraz zrobię?

– Halo? Podrzucić ją do ośrodka opieki dziennej. Wynajmij na kilka godzin opiekunkę. Poproś któregoś z sąsiadów. Zorganizuj wspólne zabawy dla dzieciaków z sąsiedztwa i zostaw małą pod opieką innych rodziców.

– Nie miałem chwili wolnego, żeby się nad tym zastanowić.

– A ze mną masz czas rozmawiać.

Bo miałem nadzieję, że może dasz radę jutro zająć się London przez kilka godzin, pomyślałem.

– Vivian i ja rozmawialiśmy o tym. London wystarczająco przeżywa to, że Vivian poszła do pracy.

– Czyżby?

Oprócz wyraźnej niechęci do zajęć tanecznych nie zauważyłem. Ale...

– W każdym razie dzwonię, bo miałem nadzieję, że...

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegła mnie.

– O czym?

– Chcesz poprosić, żebym jutro zaopiekowała się London, skoro mama nie może. Albo w czwartek, albo w piątek. Albo najlepiej przez kolejne trzy dni.

Jak już mówiłem, Marge jest mądra.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Niemal widziałem, jak przewraca oczami.
- Nie udawaj głupiego i nawet nie próbuj zaprzeczać. Inaczej po co byś dzwonił? Wiesz, ile razy w ciągu ostatnich pięciu lat dzwoniłeś do mnie do pracy?
- Tak na poczekaniu? Nie.
- Ani razu.
- Nieprawda.
- Masz rację. Kłamałam. Dzwonisz do mnie codziennie. Rozmawiamy i chichoczymy jak małe dziewczynki, a ja słuchając cię, bazgrołę na kartce. Zaczekaj.
- Usłyszałem, jak zanosi się gwałtownym kaszlem.
- Wszystko w porządku? – zapytałem.
- Chyba złapałam infekcję.
- Latem?
- Wczoraj zawiozłam ojca do lekarza i poczekalnia pełna była chorych. Aż dziw bierze, że nie skończyłam na noszach.
- Jak tam tata?
- Wyniki będą za kilka dni, ale test obciążeń i EKG pokazały, że z sercem wszystko w porządku. Z płucami też. Lekarz wydawał się zdumiony, chociaż tata zachowywał się jak ostatni gbur.
- To do niego podobne – zgodziłem się. Zaraz jednak wróciłem myślami do córki. – Co ja zrobię z London, jeśli nie znajdę nikogo, kto się nią zaopiekuje?
- Jesteś mądry. Coś wymyślisz.
- Ty to wiesz, jak pomóc człowiekowi.
- Staram się.

*

Spotkanie z właścicielami baru z kanapkami było identyczne jak to z kręgarzem. Nie dlatego, że nie byli zainteresowani. Właściciele, małżeństwo z Grecji, wiedzieli, że reklama pomoże ich biznesowi; problem w tym, że pieniądze, które zarabiali,

ledwie starczały na bieżące wydatki. Powiedzieli, żebym skontaktował się z nimi za kilka miesięcy, kiedy staną na nogi, a gdy wychodziłem, poczęstowali mnie kanapką.

– Jest pyszna – zachwalał mąż. – Wszystkie kanapki podajemy na świeżym chlebie pita, który pieczemy na miejscu.

– Według przepisu mojej babci – dodała żona.

Musiałem przyznać, że chleb pachniał niebiańsko i widziałem staranność, z jaką mężczyzna przygotowywał kanapkę. Jego żona zapytała, czy mam ochotę na frytki i coś do picia – czemu nie? – i z uśmiechem na ustach wręczyli mi lunch.

Na koniec przedstawili mi rachunek.

*

Przyjechałem na spotkanie członkiń Ruchu Czerwonych Kapeluszy kwadrans po dwunastej. Mimo niezręcznej sytuacji, w jakiej postawiłem mamę, miałem wrażenie, że była dumna, mogąc pochwalić się wnuczką, która stanowiła pewną atrakcję.

– Tatuś! – zawołała London, kiedy tylko mnie zobaczyła. Zeskoczyła z krzesła i pognęła w moją stronę. – Koleżanki babci mówią, że mogę jeść z nimi lunch, kiedy tylko będę chciała!

Mama wstała od stołu i objęła mnie.

– Dzięki, że się nią zajęłaś, mamo.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła. – Są nią zauroczone.

– Właśnie widzę.

– Ale jutro i do końca tygodnia...

– Tak, wiem – rzuciłem. – Tulipany. Wolontariat.

Wychodząc, wziąłem London za rękę. W mojej dłoni wydawała się mała, ciepła i podnosząca na duchu.

– Tatusiu? – zapytała London.

– Tak?

– Jestem głodna.

– W takim razie pojedziemy do domu i zrobimy ci kanapkę z masłem orzechowym i dżemem.

- Nie możemy – powiedziała z powagą.
- Dlaczego?
- Bo nie mamy chleba.

*

Pojechaliśmy do sklepu, gdzie – pierwszy raz w życiu – wzięłem wózek.

Przez godzinę powoli odhaczałem kolejne pozycje na liście sporządzonej przez Vivian, niejednokrotnie wracając do alejki, z której wyszedłem przed chwilą. Nie miałem pojęcia, co bym zrobił, gdyby nie pomoc London, która jak na swoje pięć lat miała zadziwiającą wiedzę o rozmaitych markach. Nie miałem pojęcia, gdzie szukać spaghetti ani jak sprawdzić, czy awokado jest dojrzałe, ale z pomocą London i pracowników sklepu do wózka trafiły wszystkie produkty z listy. Spacerując między regałami, widziałem matki z dziećmi w różnym wieku. Większość z nich wyglądała na równie przytłoczone jak ja i poczułem z nimi ulotną więź. Zastanawiałem się, ile z nich, podobnie jak ja, wolałoby siedzieć w biurze, zamiast stać w dziale mięsnym, szukając piersi z kurczaków z wolnego wybiegu.

Po powrocie do domu zrobiłem London kanapkę, rozpakowałem zakupy i przez resztę popołudnia na przemian pracowałem i sprzątałem, co chwila zaglądając do London i czując się jak ktoś, kto uparcie płynie pod prąd. Vivian wróciła o wpół do siódmej, spędziła z córką kilka minut i przysłała do kuchni, gdzie przygotowywałem sałatkę.

- Jak tam kurczak w sosie marsala?
- Kurczak w sosie marsala?
- Ze spaghetti.
- No...

Roześmiała się.

- Żartowałam. Daj, zajmę się tym.
- Jak było w pracy?

– Urwanie głowy – odparła. – Przez większość dnia zbierałam informacje o dziennikarzu, o którym mówiłam ci wczoraj, i próbowałam ustalić, co zamierza umieścić w tym artykule. No i oczywiście, jak go wykorzystać, żeby miał pozytywny wydźwięk.

– Domyślasz się, o czym będzie pisał?

– Podejrzewam, że będzie wywlekał jakieś brudy; zawsze tak jest. Facet jest zapalonym ekologiem i rozmawiał z ludźmi, którzy twierdzą, że jeden z nadbrzeżnych apartamentowców został zbudowany nielegalnie i podczas ostatniej burzy tropikalnej wywołał poważną erozję pobliskiej plaży. Głównie chodzi o to, żeby za gniew matki natury obarczyć winą bogaczy.

– Ale masz świadomość, że Spannerman nie jest zbyt przyjazny środowisku?

Vivian naląła sobie wina.

– Walter już taki nie jest. Bardzo się zmienił.

Wątpię, pomyślałam.

– Wygląda na to, że to rozgryzłaś – rzuciłam zamiast tego.

– Dobrze, że artykuł nie ukaże się w tym tygodniu. W weekend Walter bierze udział w zbiórce pieniędzy w Atlancie. Na swój komitet wyborczy.

– On ma komitet wyborczy?

– Przecież ci mówiłam – odparła. Postawiła patelnię na palniku, wrzuciła na nią piersi z kurczaka i zaczęła przetrząsać szafkę z przyprawami. – Założył go kilka lat temu i finansował z własnych pieniędzy. Teraz postanowił zwrócić się o wsparcie do innych. Właśnie tym będę się zajmowała przez kolejne trzy dni. Wynajął firmę zajmującą się organizacją imprez i chociaż odwalili kawał dobrej roboty, Walter chce, żeby wszystko było idealne. I wtedy pojawia się ja. On wie, że działałam w branży rozrywkowej, i chce, żebym załatwiła jakiegoś muzyka. Najlepiej kogoś znanego.

– Na weekend? Nie masz za wiele czasu.

– Wiem. To samo mu powiedziałam. Zadzwoiłam do swojego byłego szefa, a on podał mi nazwiska kilku osób, do których

warto zadzwonić. Zobaczymy. Na szczęście Walter jest gotów zapłacić każdą cenę, ale to oznacza, że do końca tygodnia będę musiała zostawać po godzinach. No i czeka mnie wyjazd do Atlanty.

– Żartujesz – rzuciłem. – Pracujesz dopiero od dwóch dni.

– Nie bądź taki – powiedziała, podsmażając kurczaka. – Nie mam raczej wyboru. Będą tam wszyscy liczący się deweloperzy od Teksasu po Wirginię i wszyscy kierownicy. Zresztą to nie cały weekend. Wylatuję w sobotę i wracam w niedzielę.

Nie podobało mi się to, ale co mogłem zrobić?

– Dobrze – bąknąłem zrezygnowany. – Wygląda na to, że już jesteś niezastąpiona.

– Staram się. – Uśmiechnęła się. – Jak tam London? Poradziła sobie na lekcji gry na pianinie?

– Była świetna, ale nie jestem pewien, czy lubi zajęcia taneczne. Wczoraj po lekcji była dziwnie milcząca.

– Nauczycielka zdenerwowała się, bo się spóźniłeś. Więc London była zestresowana.

– Wygląda na dość surową.

– Bo jest surowa. I dlatego jej uczniowie zdobywają tyle nagród. – Spojrzała na London. – Wykąpiesz ją? Ja skończę przygotowywać kolację.

– Teraz?

– Dzięki temu będziesz mógł jej poczytać, kiedy zjemy, i położyć ją spać. Jest zmęczona, a ja mam mnóstwo roboty.

– Jasne – odparłem i uświadomiłem sobie, że kolejny raz położę się sam.

ROZDZIAŁ 7

Two by Two

Kiedy London miała trzy i pół roku, wszyscy troje wybraliśmy się na piknik w okolice jeziora Norman. Nigdy więcej tam nie wróciliśmy. Vivian spakowała pyszny lunch, a ponieważ dzień był wietrzny, w drodze nad jezioro zatrzymaliśmy się w sklepie i kupiliśmy latawiec. Wybrałem taki, jaki pamiętałem z dzieciństwa: prosty i niedrogi, niepodobny do tych, o których puszczaniu marzą zapaleńcy.

Okazał się idealnym latawcem dla dziecka. Puściłem go sam, a kiedy wzbił się w niebo, wyglądał, jakby miał tam zostać na zawsze. Nieważne, co robiłem: stałem w miejscu czy chodziłem. A gdy oddałem szpulkę London, ona również mogła robić, co chciała: zbierać kwiaty, gonić motyle, bawić się z małym cocker spanielem uroczej pary – latawiec wzbijał się nad naszymi głowami. Kiedy w końcu usiedliśmy do lunchu, przywiązałem go do pobliskiej ławki, a on kołysał się na wietrze.

Vivian była w pogodnym nastroju i spędziliśmy w parku większość popołudnia. Pamiętam, że w drodze do domu pomyślałem sobie, że o to właśnie chodzi w życiu i choćby nie wiem co, nigdy nie zawiodę mojej rodziny.

Ale właśnie to robiłem. A przynajmniej tak się czułem. Miałem wrażenie, że zawodzę wszystkich, łącznie z sobą samym.

Była środa, trzeci dzień pracy Vivian, a ja miałem opiekować się London.

Przez cały dzień.

Stojąc z nią przed gabinetem kręgarza numer dwa, miałem wrażenie, jakbym wysyłał córkę za granicę. Myśl o tym, że będzie siedziała w poczekalni z nieznajomymi, sprawiała, że czułem się nieswojo; gazety i wiadomości utwierdzają rodziców w przekonaniu, że licho czai się wszędzie, gotowe w każdej chwili wyskoczyć jak diabeł z pudełka.

Przez moment zastanawiałem się, czy moi rodzice martwili się tak o mnie i Marge. Oczywiście, że nie. Ojciec zostawiał mnie na ławce przed starą karczmą, do której zaglądał od czasu do czasu, żeby napić się piwa z kolegami. Ławka stała na rogu ruchliwej ulicy, obok przystanku autobusowego.

– Rozumiesz, że to ważne spotkanie dla tatusia?

– Tak. – London kiwnęła głową.

– Chcę, żebyś siedziała spokojnie.

– Mam nie wstawać, nie spacerować i nie rozmawiać z nieznajomymi. Już to mówiłeś.

Vivian i ja musieliśmy postępować jak należy, bo London robiła dokładnie to, o co ją prosiliśmy. Recepcjonistka pochwaliła ją, że przez całe spotkanie zachowywała się jak dobrze wychowana młoda dama, co złagodziło nieco moje poczucie winy.

Niestety, ten klient też nie był zainteresowany moją ofertą. Po trzech dotychczasowych spotkaniach przegrywałem trzy do zera, a wizyta w restauracji następnego dnia podniosła ten wynik na cztery do zera.

Siląc się na optymizm, zachowałem najlepszą prezentację na piątkowe popołudnie. Właścicielka spa – gadatliwa blondynka po pięćdziesiątce – była pełna entuzjazmu, wiedziała, kim jestem, i знаła niektóre z moich wcześniejszych kampanii. Rozmawiając z nią, czułem się odprężony i pewny siebie, a kiedy skończyłem, miałem wrażenie, że nie mogło mi pójść lepiej. A jednak gwiazdy mi nie sprzyjały.

Nie tylko nie umówiłem na przyszły tydzień żadnych spotkań, ale przegrywałem z przeciwnościami losu pięć do zera.

*

Tymczasem w domu czekał mnie wieczór randkowy.

Wychodzę z założenia, że trzeba świętować, nawet jeśli nie ma do tego okazji.

Jednak nie do końca tak było. Podczas gdy ja nie osiągałem żadnych sukcesów na polu zawodowym, Vivian miała się czym pochwalić. Udało jej się nawet załatwić zespół z lat osiemdziesiątych, którego nazwę kojarzyłem. Nie mam pojęcia, jak to zrobiła. Ja za to spędzałem coraz więcej czasu z London, co właściwie powinno być wspaniałe.

Tyle że... wcale takie nie było. Przy całej tej nieustającej bieganiu miałem wrażenie, że pracuję dla London, zamiast spędzać z nią czas.

Czy tylko ja się tak czułem? Czy inni rodzice też mają takie wrażenie?

Nie wiem, ale wieczór randkowy to wieczór randkowy i kiedy London była na lekcji tańca, ja skoczyłem do sklepu i kupiłem łososa, stek i butelkę chardonnay. Gdy wróciliśmy do domu, SUV Vivian stał na podjeździe i London wyskoczyła z samochodu, wołając mamę. Poszedłem za nią z siatkami pełnymi zakupów, ale chwilę później zobaczyłem, jak zbiega ze schodów. Nie widziałem Vivian, lecz słyszałem, jak woła z sypialni.

– Tu jesteś, kochanie! – powitała London. – Jak ci minął dzień?
– Idąc za ich głosami, wszedłem do sypialni i zobaczyłem moją żonę i córkę przy łóżku, na którym leżały otwarta spakowana walizka i dwie puste torby sklepowe.

Sprawunki.

– Widzę, że szykujesz się na jutro.

– Właściwie muszę lecieć dziś.

– Wyjeżdżasz? – London ubiegła moje pytanie.

Patrzyłem, jak Vivian kładzie rękę na jej ramieniu.

- Nie chcę, ale muszę. Przykro mi, skarbie.
- Ale ja nie chcę, żebyś wyjeżdżała.
- Wiem, skarbie. Wynagrodzę ci to, kiedy wrócę w niedzielę. Zrobimy coś fajnego, tylko ty i ja.
- Ale co? – dopytywała się London.
- Ty zdecydujesz.
- Może... – Patrzyłem, jak umysł London próbuje uporać się z problemem. – Pojedziemy na farmę borówek? Tam, gdzie kiedyś? Będziemy zbierać borówki i głaskać zwierzątka?
- Świetny pomysł! – odparła Vivian. – Tak zrobimy.
- Musimy też posprzątać klatkę chomików.
- Tatuś się tym zajmie, kiedy mnie nie będzie. Tymczasem zrobimy ci coś do jedzenia, dobrze? Odgrzeję ci kurczaka z ryżem. Zaczekasz na mamusię w kuchni? Muszę porozmawiać z tatusiem.
- Dobrze – zgodziła się London.
- A więc... – zacząłem, kiedy zostaliśmy sami – wylatujesz już dziś.
- Muszę wyjechać za pół godziny. Walter chce, żebyśmy z kilkoma osobami zrobili obchód hotelu Ritz-Carlton i upewnili się, że wszystko jest dokładnie tak, jak tego oczekuje.
- Ritz-Carlton? – Pokiwałem głową. – To tam się zatrzymujesz? Przytaknęła.
- Wiem, że jesteś zdenerwowany. Dla twojej wiadomości, ja też nie byłam zachwycona, kiedy dowiedziałam się, że spędzę dwie noce poza domem. Po prostu staram się wykorzystać to jak najlepiej.
- To wszystko, co możesz zrobić – odparłem, siląc się na uśmiech.
- Pozwól mi spędzić trochę czasu z London, dobrze? Myślę, że jest jej smutno.
- Tak – bąknąłem. – Jasne.
- Spojrzała na mnie.
- Jesteś na mnie zły.

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu wolałbym, żebyś nie wyjeżdżała. Rozumiem cię, ale miałem nadzieję, że spędzimy ten wieczór razem.

– Wiem – odparła. – Ja też. – Nadstawiała usta do pocałunku. – Nadrobimy to w przyszły piątek, dobrze?

– Dobrze.

– Zapniesz walizkę? Nie chcę zepsuć paznokci. Chwilę temu wyszłam od manikiurzystki. – Podniosła ręce tak, żebym je widział. – Podoba ci się kolor?

– Jest świetny – zapewnilem ją. Zapiąłem walizkę i ściągnąłem ją z łóżka. – Mówiłaś, że wieczorem masz obchód w hotelu?

– Wokół tej sprawy zrobiło się naprawdę duże zamieszanie.

– Atlanta jest cztery godziny drogi stąd.

– Nie jadę samochodem. Lecę samolotem.

– O której masz lot?

– O osiemnastej trzydzieści.

– Nie powinnaś być już w drodze na lotnisko? Albo na lotnisku?

– Lecimy prywatnym odrzutowcem Waltera.

Walter. Zaczynałem nienawidzić tego imienia prawie tak bardzo, jak nienawidziłem słowa „sprawunki”.

– No, no – rzuciłem. – Pniesz się w górę.

– To nie mój samolot, tylko jego – odparła z uśmiechem.

*

– Wiedziałaś, że sobie poradzisz – skwitowała Marge. – Powinieneś być z siebie dumny.

– Nie jestem dumny. Jestem wykończony.

O jedenastej w sobotę byliśmy u rodziców. Mimo wczesnej pory już było upalnie. Marge i Liz siedziały naprzeciw mnie na werandzie z tyłu domu, słuchając, jak szczegółowo rozwodzę się nad wydarzeniami ubiegłego tygodnia. London pomagała mojej mamie robić kanapki; tata, jak zwykle, był w garażu.

– No i? Sam mówiłeś, że podczas ostatniej prezentacji poczułeś, że łapiesz właściwy rytm.

– Dobrze mi to zrobiło. Ale na przyszły tydzień nie mam umówionych żadnych spotkań.

– Plus jest taki – wtrąciła Marge – że bez problemu zawieziesz London na wszystkie zajęcia i będziesz miał więcej czasu na sprzątanie i gotowanie.

Kiedy spiorunowałem ją wzrokiem, roześmiała się.

– Daj spokój. Wiedziałeś, że skoro Vivian zaczyna pracę, czeka cię szalony tydzień. Zresztą znasz powiedzenie, że po nocy zawsze przychodzi dzień. Mam wrażenie, że właśnie nadchodzi.

– Sam nie wiem – mruknąłem. – W drodze do rodziców myślałem, że powinienem być zostać hydraulikiem, jak ojciec. Oni zawsze mają pracę.

– Fakt – rzuciła Marge. – Ale praca hydraulika bywa gówniana. Pomimo kiepskiego humoru roześmiałem się.

– Zabawne.

– A co mogę jeszcze powiedzieć? Przynoszę radość wszystkim dookoła. Nawet marudnym młodszym braciom.

– Nie marudzę.

– Właśnie, że tak. Marudzisz, odkąd tu usiadłeś.

– Liz?

Liz w zamyśleniu skubała oparcie fotela.

– Może trochę – odparła po chwili.

*

Po lunchu, w miarę jak dzień robił się coraz bardziej upalny, postanowiłem zabrać London do kina na kreskówkę. Marge i Liz pojechały z nami i bawiły się równie dobrze, jak moja córka. Jeśli o mnie chodzi, starałem się miło spędzić czas, ale myślami wciąż wracałem do wydarzeń ubiegłego tygodnia i zastanawiałem się, co jeszcze może się wydarzyć.

Nie chciałem wracać bezpośrednio z kina do domu. Marge i Liz też chętnie pojechały do rodziców, gdzie mama

przygotowała zapiekankę z tuńczyka z makaronem z białej mąki. Dla London był to prawdziwy przysmak, zjadła więcej niż zwykle i w drodze do domu najedzona przysnęła na tylnym siedzeniu. Planowałem, że wykąpię ją, poczytam jej do snu i resztę wieczoru spędzę przed telewizorem.

Tak się jednak nie stało. Kiedy tylko weszliśmy do domu, London pobiegła do pokoju i chwilę później usłyszałem, jak woła:

– Tatusiu! Chodź szybko! Chyba coś się stało Pani Sprinkles!

Wszedłem do pokoju i zajrzałem do klatki – chomik wyglądał, jakby próbował przecisnąć się przez pręty.

– Jak dla mnie wygląda normalnie – stwierdziłem.

– To Pan Sprinkles. Pani Sprinkles się nie rusza.

Zmrużyłem oczy.

– Myślę, skarbie, że ona śpi.

– A jeśli zachorowała?

Nie wiedziałem, co robić, sięgnąłem więc do klatki i wziąłem Panią Sprinkles do ręki. Była ciepła – to zawsze dobry znak – i czułem, że zaczyna się ruszać.

– Nic jej nie jest?

– Myślę, że nie – odparłem. – Chcesz ją potrzymać?

Pokiwała główką i nadstawiła rączki, na których ułożyłem chomika. Patrzyłem, jak podnosi stworzonko do twarzy.

– Potrzymam ją trochę, żeby się upewnić.

– W porządku – odparłem i pocałowałem ją w czubek głowy. – Ale nie za długo, dobrze? Czas spać.

Jeszcze raz pocałowałem ją w głowę i ruszyłem w stronę drzwi.

– Tatusiu? – zapytała.

– Tak?

– Musisz posprzątać klatkę.

– Zrobię to jutro, dobrze? Jestem trochę zmęczony.

– Mamusia powiedziała, że to zrobisz.

– Bo zrobię. Ale jutro.

– A jeśli przez to Pani Sprinkles jest chora? Chcę, żebyś posprzątał teraz. – Nie tylko mnie nie słuchała, ale podniosła głos,

a ja nie byłem w nastroju na wyklócanie się.

– Zaraz przyjdę, żeby przygotować cię do snu. Wrzuć brudne ubrania do kosza na bieliznę, dobrze?

Przez następne pół godziny bezmyślnie przełączałem kanały. Ponad sto kanałów i nic; byłem zmęczony i coraz bardziej poirytowany. Jutro będę sprzątał chomicze bobki, lista klientów skurczyła się do zera i jeśli nie wydarzy się jakiś cud, będę w tym trwał przez kolejny tydzień. Tymczasem moja żona latała prywatnymi odrzutowcami i zatrzymywała się w luksusowych hotelach.

W końcu dźwignąłem się z kanapy i poszedłem do pokoju London. Oba chomiki wróciły do klatki, a moja córka bawiła się lalkami.

– Cześć, skarbie – rzuciłem. – Gotowa na kąpiel?

– Nie chcę się dziś kąpać – odparła, nawet na mnie nie patrząc.

– Ale spociałaś się u babci.

– Nie.

Zamrugalem.

– O co chodzi, kochanie?

– Jestem na ciebie zła.

– Dlaczego?

– Bo nie dbasz o Pana i Panią Sprinkles.

– Oczywiście, że o nich dbam. – Zerknąłem na klatkę; chomiki biegały jak gdyby nigdy nic. – A ty musisz się wykąpać.

– Chcę, żeby to mamusia mnie wykąpała.

– Wiem, ale mamusi nie ma.

– No to się nie wykąpię.

– Spójrz na mnie.

– Nie.

Mówiąc to, zabrzmiała jak Vivian i nagle nie wiedziałem, co zrobić. Barbie nerwowo krążyła po domu dla lalek i bałem się, że zaraz zacznie przewracać meble.

– Naleję wody do wanny, dobrze? Później o tym porozmawiamy. Zrobię ekstra bąbelki.

Tak jak obiecałem, kąpiel była wyjątkowo piana, ale gdy zakręciłem wodę, London się nie ruszyła. Barbie w towarzystwie Kena szalała po domu.

– Nie mogę zrobić śniadania – zwracała się do niego głosem mojej córki – bo muszę iść do pracy.

– Ale to tatusiowie powinni pracować – powiedział Ken.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim rzuciłeś pracę.

Poczułem ucisk w żołądku, byłem pewien, że London naśladuje Vivian i mnie.

– Kąpiel gotowa. – Wszedłem do pokoju.

– Powiedziałam ci, że nie będę się kąpała!

– No już, chodź...

– Nie!!! – wrzasnęła. – Nie będę się kąpać i mnie nie zmusisz! Zmusiłeś mamusię, żeby poszła do pracy!

– Nie zmusiłem mamusi...

– Właśnie, że zmusiłeś! – krzyknęła, a gdy się odwróciła, zobaczyłem, że płacze. – Powiedziała mi, że musiała pójść do pracy, bo ty nie pracujesz!

Inny ojciec pewnie zareagowałby inaczej, ale ja byłem wykończony i słowa London zaboląły mnie tym bardziej, że już czułem się wystarczająco podle.

– Pracuję! – odparłem podniesionym głosem. – A do tego zajmuję się tobą i sprzątam dom!

– Chcę do mamusi! – krzyknęła i dopiero teraz dotarło do mnie, że Vivian przez cały dzień nie zadzwoniła do domu. Ja też nie mogłem się do niej dodzwonić; impreza trwała pewnie w najlepsze.

Wziąłem głęboki oddech.

– Mamusia wróci jutro i pojedziecie razem na farmę. Chyba chcesz być czysta i pachnąca na jej przyjazd?

– Nie! – wrzasnęła na całe gardło. – Nienawidzę cię!

Zanim się zorientowałem, przyskoczyłem do niej i chwyciłem ją za ramię. Szarpała się i krzyczała, ale zawlokłem ją do łazienki, jak zły rodzic z filmów na YouTube.

– Albo sama się rozbierzesz i wejdiesz do wanny, albo ja cię rozbiorę. Nie żartuję.

– Idź sobie! – krzyknęła. Słyszając to, położyłem na szafce jej piżamę i wyszedłem z łazienki. Przez kilka minut stałem pod drzwiami i słuchałem, jak na przemian płacze i mówi do siebie.

– Wchodź do kąpieli, London – ostrzegłem ją. – Jeśli tego nie zrobisz, sama będziesz musiała posprzątać klatkę.

Odburknęła coś, ale posłusznie weszła do wanny. Nasłuchiwałem jeszcze przez chwilę i niedługo potem usłyszałem, jak bawi się zabawkami; w jej głosie nie było już złości, którą słyszałem wcześniej. W końcu drzwi się otworzyły i stanęła w nich London w piżamie i z mokrymi włosami.

– Możemy nie zostawiać włosów mokrych tylko je wysuszyć? Zacisnąłem zęby.

– Oczywiście, kochanie.

– Tęsknię za mamusią.

Przykucnąłem i przytuliłem ją, wdychając świeży zapach mydła i szamponu.

– Wiem – odparłem, tuląc ją do siebie i zastanawiając się, jak beznadziejnym jestem ojcem, skoro doprowadziłem do płaczu moją cudowną, małą córeczkę.

*

Kiedy leżeliśmy razem w łóżku, sięgnąłem po ulubioną książeczkę London *Two by Two* i przeczytałem jej opowieść o Noem i jego arce. Najbardziej lubiła fragment, kiedy na ukończoną arkę zaczynały wchodzić pierwsze zwierzęta.

– Jedne za drugimi – czytałem na głos. – Szły parami z całego świata. Lwy i konie, psy, słonie, zebry i żyrafy...

– I chomiki – dodała London.

– I chomiki – przytaknąłem. – Parami wchodziły na arkę. „Jak się tam zmieszczą?”, zastanawiali się ludzie. Ale Bóg pomyślał także o tym. Kiedy ostatnie zwierzęta weszły na arkę, okazało się, że w środku jest jeszcze dużo miejsca i wszystkie stworzenia były

szczęśliwe. Schroniły się na arce, kiedy na zewnątrz zaczął padać deszcz.

Gdy kończyłem czytać, London już przysypiała. Wyłączyłem światło i pocałowałem ją w policzek.

– Kocham cię, London – szepnąłem.

– Ja też cię kocham, tatusiu – wymruczała.

Po cichu wyszedłem z pokoju. Parami, pomyślałem, idąc na dół po schodach. London i ja, ojciec i córka, oboje robiliśmy, co w naszej mocy.

Ale nawet wówczas czułem, że ją zawodzę, że zawodzę we wszystkim.

ROZDZIAŁ 8

Nowe doświadczenia

W lutym, kiedy sytuacja w agencji stawała się coraz bardziej dramatyczna, London zachorowała na grypę. Wymiotowała prawie bez przerwy przez dwa dni i w końcu musieliśmy zawieźć ją do szpitala.

Byłem przerażony. Vivian także, choć pozornie wydawała się dużo bardziej opanowana. W rozmowach z lekarzami zachowywała spokój i zadawała rzeczowe pytania.

Nie było potrzeby, by London została w szpitalu, i kiedy wróciliśmy do domu, Vivian siedziała przy niej aż do północy. Ponieważ poprzedniej nocy prawie nie zmrużyła oka, zastąpiłem ją. Podobnie jak ona, siedziałem w fotelu bujanym z London na kolanach. Wciąż była rozpalona i pamiętam, jak drobna i krucha się wydawała, gdy opatulona kocem, jednocześnie pocila się i drżała. Budziła się co dwadzieścia minut. Około szóstej położyłem ją do łóżka i zszedłem do kuchni napić się kawy. Godzinę później, kiedy nalewałem sobie kolejną filiżankę, London weszła do kuchni i usiadła przy stole obok Vivian. Była blada i poruszała się jak w letargu.

– Cześć, skarbie. Jak się czujesz?

– Jestem głodna – odparła.

– To dobry znak – zauważyła Vivian. – Dotknęła dłonią czoła córki i uśmiechnęła się. – Chyba nie masz już gorączki.

– Czuję się troszkę lepiej.

– Russ? Nasypiesz do miseczki trochę płatków Cheerios? Bez mleka.

– Jasne – rzuciłem.

– Zjedzmy dziś płatki bez mleka, dobrze? Nie chcemy, żeby znowu bolał cię brzusek.

Postawiłem na stole płatki i kawę i usiadłem obok moich kobiet.

– Byłaś naprawdę chora – powiedziałem. – Mamusia i ja bardzo się o ciebie martwiliśmy.

– Dlatego dziś odpoczniemy, dobrze?

London pokiwała głową, w milczeniu przeżuując płatki. Cieszyłem się, widząc, że wrócił jej apetyt.

– Dziękuję, mamusiu, że trzymałaś mnie na kolanach, kiedy byłam chora – odezwała się po chwili.

– Oczywiście, kochanie. Zawsze wezmę cię na kolana, gdy będziesz chora.

– Wiem – odparła London.

Upiłem łyk kawy, czekając, aż Vivian powie, że też jej pomogłem.

Ale tego nie zrobiła.

*

Dzieciaki są wytrzymałe. Wiem to, bo moi rodzice powtarzali te słowa, odkąd pamiętam, zwłaszcza gdy robili Marge i mnie wykłady na temat wychowywania dzieci. „Dlaczego? Dlaczego robiliście nam takie rzeczy?“, pytaliśmy. „Ach, bez obaw. Dzieciaki są wytrzymałe”.

Trzeba przyznać, że jest w tym trochę prawdy. Kiedy w niedzielę rano London zeszła do kuchni, sprawiała wrażenie, jakby kompletnie nie pamiętała o napadzie złości z poprzedniego wieczoru. Była gadatliwa i ucieszyła się, gdy dostała na śniadanie płatki Lucky Charms, podczas gdy ja poszedłem na górę posprzątać klatkę dla chomików. Wypełniłem połowę reklamówki brudnymi trocinami – obrzydliwość – i wyrzuciłem ją do kubła na śmieci. W odległym kącie garażu zobaczyłem rower London i choć na zewnątrz robiło się już gorąco, wiedziałem, jak możemy spędzić poranek.

– Hej – zwróciłem się do córki, kiedy wróciłem do domu. –
Masz ochotę zrobić coś fajnego?

– A co?

– Może pojeździmy na rowerze? Bez dodatkowych kółek?

– Przewrócę się – powiedziała.

– Obiecuję, że się nie przewrócisz. Będę szedł obok i trzymał
siodełko.

– Już bardzo dawno nie jeździłam na rowerze.

I nigdy bez bocznych kółek, dodałem w myślach.

– To nic. Jeśli nie będzie ci się podobało albo się wystraszysz,
przestaniemy.

– Nie boję się – odparła. – Ale mamusia nie lubi, jak się pocę.

– Jeśli się spocisz, umyjesz się. Nic wielkiego. Chcesz
spróbować?

– Może na chwilę – zgodziła się po namyśle. – Kiedy wraca
mamusia?

Jakby moja żona usłyszała jej słowa, bo w tym samym
momencie zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się
imię Vivian.

– Dowiedzmy się, bo właśnie dzwoni. – Sięgnąłem po telefon. –
Musiała o tobie myśleć. – Odebrałem połączenie i przełączyłem
na głośnik. – Cześć, skarbie. Jak się masz? Przełączyłem na
głośnomówiący, jest ze mną London.

– Cześć, córeczko! – zaczęła Vivian. – Przepraszam, że nie
zadzwoiłam wczoraj. Miałam urwanie głowy. Co u ciebie? Jak
minęła sobota?

– Fajnie – rzuciła London. – Pojechałam do buni, a potem
razem z tatusiem, ciocią Marge i ciocią Liz pojechaliliśmy do kina
na śmieszny film...

Podczas gdy Vivian rozmawiała z córką, ja nalałem sobie
kawę i dałem jej znać, że idę się przebrać do sypialni. Włożyłem
szorty, koszulkę i buty, w których chodziłem na siłownię. Kiedy
wróciłem do kuchni, London opowiadała o chomikach i Vivian,
w końcu, poprosiła mnie do telefonu.

Wyłączyłem głośnik i podniosłem telefon do ucha.

- Cześć – rzuciłem.
- Jest w niezłym humorze. Wygląda na to, że dobrze się bawicie. Zaczynam być zazdrosna.
- Zawahałem się, myśląc o tym, co wydarzyło się ubiegłego wieczoru.
- Jest w porządku. Jak minął ci wieczór?
- Cudownie. Wszystko poszło jak należy. Walter był zachwycony. Prezentacje wideo były świetne, tak samo muzyka. Przyszło mnóstwo ludzi.
- Cieszę się, że się udało.
- O tak. Zebraliśmy mnóstwo pieniędzy. Wygląda na to, że nie tylko Walter ma dość obecnego zarządu i Kongresu, jeśli chodzi o branżę deweloperską. Przepisy są coraz bardziej niedorzeczne. W takich warunkach trudno wypracować jakiegokolwiek zyski.
- Przykładem jest prywatny odrzutowiec Waltera, pomyślałem.
- O której będziesz w domu?
- Mam nadzieję, że około trzynastej. Ale możliwe, że pójdziemy na lunch z deweloperem z Missisipi. Jeśli tak, powinnam być przed piętnastą.
- Zaczekaj chwilę – rzuciłem. Przeszedłem z kuchni do salonu.
- A co z obiecany wyjazdem na farmę?
- Nie wiem, czy damy radę się na nią wybrać.
- Obiecałaś London, że z nią pojedziesz.
- Niczego nie obiecywałam.
- Byłem przy tym, Viv. I słyszałem. Poza tym zaręczyłem za ciebie wczoraj.
- Jak to?
- Opowiedziałem jej o wydarzeniach wczorajszego wieczoru.
- Świetnie – warknęła. – Nie powinieneś był jej przypominać.
- Chcesz powiedzieć, że to moja wina?
- Będzie jej jeszcze bardziej przykro.
- Bo obiecałaś, że z nią pojedziesz.
- Po prostu odpuść sobie, Russ, dobrze? Od praktycznie dwudziestu czterech godzin jestem na nogach. Prawie nie spałam. Porozmawiaj z nią. Wytłumacz jej.

- Co mam jej wytłumaczyć?
- Proszę, nie mów do mnie tym tonem. Nie ja wymyśliłam ten lunch. Jestem na łasce Waltera, a w grę wchodzi naprawdę wielkie pieniądze.
- Spannerman i bez tego ma mnóstwo kasy. To miliarder. Usłyszałem, jak głośno wypuszcza powietrze.
- Już ci mówiłam. – Głos miała napięty. – Może mi się uda. Jeśli lunch nie wypali, będę w domu przed pierwszą. Za godzinę, dwie powinnam już wiedzieć.
- Oczywiście – rzuciłem, myśląc o London. – Daj mi znać.

*

Postanowiłem, że na razie nie powiem o niczym córce, i chwilę później oboje wyszliśmy na dwór. Ponieważ rower był zakurzony, przyniosłem szlauch, umyłem go i wytarłem do sucha. Napompowałem koła i upewniłem się, że wszystko jest jak należy. Następnie rozpocząłem poszukiwania klucza francuskiego – dlaczego narzędzia znikają zawsze, gdy są potrzebne? – i odkręciłem boczne kółka. Ponieważ London urosła, podniosłem siodełko i kierownicę, a gdy wszystko było gotowe, wyszliśmy na ulicę i London wskoczyła na rower.

- Pamiętasz, co masz robić? – zapytałem, zakładając jej kask.
- Pedałować – odparła. – Ale nie puścisz mnie, prawda?
- Nie puszczę cię, dopóki nie będziesz gotowa.
- A jeśli nie będę gotowa?
- To cię nie puszczę.

Zacząła pedałować, przechylając się w lewo i w prawo, podczas gdy ja, zgięty w pół, biegłem obok, trzymając ją za siodełko. Wkrótce oddychałem z trudem i zacząłem się pocić, a po chwili pot lał się ze mnie strumieniami. Jeździliśmy tam i z powrotem w nieskończoność i kiedy zamierzałem powiedzieć, że muszę odpocząć, London zaczęła łapać równowagę, przynajmniej na prostych odcinkach. Powoli zwalniałem uścisk

na siodełku, podtrzymywałem je czubkami palców, gotów w każdej chwili złapać ją, gdyby się przechyliła.

W końcu zupełnie puściłem.

Z początku nie na długo – ledwie na kilka sekund. A kiedy uznałem, że jest gotowa, wypowiedziałem magiczne słowa.

– Teraz puszcę cię na sekundę – wydyszałem.

– Nie, tatusiu!

– Dasz radę! Tylko spróbuj! W razie czego będę tuż obok! – Puściłem siodełko i przez sekundę, dwie biegłem obok roweru. Widząc zdumienie na twarzy London, chwyciłem siodełko.

– Jechałam, tatusiu! – krzyknęła. – Bez twojej pomocy!

Przytrzymałem ją, gdy skręciliśmy na końcu ślepej uliczki, i kiedy odzyskała równowagę, znowu ją puściłem, tym razem na pięć, sześć sekund. I na kolejne dziesięć. W końcu przejechała całą długość uliczki bez mojej pomocy.

– Ja jeżdżę, tatusiu! Jeżdżę na rowerze! – piszczała i choć byłem zlany potem, dyszałem i czułem się, jakbym umierał, odkrzyknąłem:

– Wiem, kochanie! Jeździsz na rowerze!

*

Kiedy w końcu London uznała, że ma dość jazdy na rowerze, byłem cały obolały, a mokra koszulka lepiła mi się do ciała. Wprowadziłem rower do garażu i weszliśmy do domu; powiew chłodnego powietrza z klimatyzacji był dowodem na istnienie Boga.

– Tatuś potrzebuje przerwy – wydyszałem, próbując złapać oddech.

– Dobrze – odparła.

Wszedłem pod prysznic i stanąłem pod strumieniem zimnej wody. Kiedy wreszcie znów poczułem się jak człowiek, ubrałem się i zszedłem do kuchni.

Dostałem wiadomość od Vivian.

Lunch został odwołany. Jestem w drodze na lotnisko. Powiedz London, że niedługo będę w domu.

London siedziała w salonie i bawiła się lalkami.

– Mamusia wraca do domu – powiedziałem. – Niedługo powinna tu być.

– Dobrze – rzuciła dziwnie obojętnym głosem.

*

Robiąc kanapki dla siebie i dla London, przygotowałem sałatkę i zgrillowalem łososa dla Vivian, kiedy więc moja żona wróciła do domu, jedzenie było na stole.

Po serii całusów i uścisków z London weszła do kuchni i mnie też pocałowała.

– No, no – skwitowała. – Niezła uczta jak na lunch.

– Miałem w domu składniki, pomyślałem więc: czemu nie? Jak tam lot?

– Cudownie. Fajnie jest nie przejmować się parkingiem, ochroną i nie upychać bagażu w skrytce nad głową. Jeśli podróżować, to tylko prywatnymi odrzutowcami.

– Będę o tym pamiętał, kiedy zacznę zarabiać miliony.

– Co robiliście do południa?

– Wystawiłem rower z garażu.

– Tak? I jak jej poszło?

– Pod koniec całkiem nieźle.

– Dobrze, że trafiło na ciebie, nie na mnie – odparła. – Strasznie dziś gorąco.

– Rano nie było aż tak źle – skłamałem.

– Nałożyłaś jej krem z filtrem?

– Nie – przyznałem. – Zapomniałem.

– Musisz pamiętać o takich rzeczach. Wiesz, jak słońce może zniszczyć jej skórę.

– Następnym razem będę pamiętał.

Znów mnie pocałowała, a gdy usiedliśmy do stołu, opowiedziała mi o weekendzie i rozmawiała z London o tym, jak

minął jej tydzień. Po lunchu poszła z córką do samochodu, a ja sprzątałem kuchnię.

Po raz pierwszy od wtorku London nie była ze mną. Mógłbym popracować, ale nie miałem nic do roboty i zamiast odpoczywać, snułem się po domu, myśląc o córce i o tym, jak bardzo mi jej brakuje.

*

Vivian i London wróciły do domu przed siedemnastą z torbami pełnymi zakupów. Na rękach i twarzy mojej córki nie było śladu brudu.

– Byłyście na farmie? – zapytałem.

– Nie – odpowiedziała Vivian, stawiając torby na stole. – Było za gorąco na taki wypad. Zamiast tego poszłyśmy na zakupy. Musiałam kupić London ubrania do szkoły.

Oczywiście.

Zanim zdołałem powiedzieć cokolwiek więcej, Vivian minęła mnie i weszła do kuchni. Poszedłem za nią i próbowałem porozmawiać, ale widziałem, że jest podenerwowana i odpowiada półsłówkami. Przygotowała dla mnie i dla London makaron i warzywa smażone w małej ilości tłuszczu, a dla siebie sałatkę, i zjedliśmy w pośpiechu. Dopiero gdy wkładaliśmy naczynia do zmywarki, zapytałem ją, co się stało.

– Nie powiedziałeś mi, że odkręciłeś dodatkowe kółka przy rowerze London. I że mówiąc mi, że jeździła na rowerze, miałeś na myśli to, że naprawdę na nim jeździła.

– Przepraszam – odparłem. – Myślałem, że się domyślisz.

– Skąd miałam wiedzieć, co miałeś na myśli? Nie wyraziłeś się dość jasno.

– Jesteś zła?

– Tak, jestem zła. Niby czemu miałabym nie być?

– Nie bardzo wiem, dlaczego miałabyś być.

– Bo mnie przy tym nie było. Przyszło ci do głowy, że może chciałabym zobaczyć, jak London pierwszy raz jeździ na

rowerze?

– Dopiero się uczy. Nie potrafi nawet skręcać, żeby się nie przewrócić.

– I co z tego? Chodzi o to, że wyszedłeś przed szereg i nauczyłeś ją jeździć na rowerze beze mnie. Nie mogłeś poczekać, aż wrócę do domu?

– Nie pomyślałem o tym.

Chwyliła ścierkę do naczyń i zaczęła wycierać ręce.

– Na tym polega twój problem, Russ. Robisz to za każdym razem. Całe nasze życie opiera się wyłącznie na tym, czego ty chcesz.

– Nieprawda – oburzyłem się. – Niby skąd miałem wiedzieć, że będziesz chciała przy tym być? Zaczniemy od tego, że nawet nie chciałaś, żeby miała rower.

– Oczywiście, że chciałam, żeby miała rower! Skąd w ogóle ten pomysł? To ja kupiłam jej go na Gwiazdkę.

Spojrzałem na nią, myśląc: musiałem siłą zaciągnąć cię do sklepu. Naprawdę tego nie pamięta? A może zaczynało mi odbijać?

Kiedy o tym myślałem, ona ruszyła w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz? – zapytałem.

– Muszę wykąpać London – burknęła. – Chyba nie masz nic przeciwko, żebym spędziła trochę czasu z moją córką.

Jej słowa rozbrzmiewały mi w głowie jeszcze długo po tym, jak wyszła z kuchni.

Moją córką?

*

Kiedy London poszła spać, usiedliśmy z Vivian na kanapie przed telewizorem włączonym na kanale Food Network. Vivian popijała wino, a ja zastanawiałem się, czy nie poruszyć tematu ośrodka opieki dziennej, jednak nie wiedziałem, czy wciąż dąsa się o tę sprawę z rowerem. W pewnym momencie zerknęła na

mnie, uśmiechnęła się i wróciła do przeglądania magazynu. To lepsze niż bycie ignorowanym, pomyślałem.

– Viv? – zacząłem.

– Hmm?

– Przepraszam, że nie było cię przy tym, jak London pierwszy raz jechała na dwóch kółkach. Naprawdę nie sądziłem, że to dla ciebie takie ważne.

Przez chwilę rozważała moje słowa i widziałem, że nieznacznie się przygarbiła.

– W porządku. Po prostu żałuję, że nie było mnie wtedy przy niej. Wkurza mnie to.

– Rozumiem. Sam przegapiłem mnóstwo sytuacji, kiedy robiła coś po raz pierwszy.

– Ale ty nie jesteś jej mamą. Z matkami jest inaczej.

– Pewnie tak – zgodziłem się, choć wcale nie byłem tego taki pewny. Woląłem jednak nie mówić tego na głos.

– Może jutro wieczorem mi pokażesz – dodała miękko i zobaczyłem w niej kobietę, w której zakochałem się tyle lat temu. To niezwykle, ale miałem wrażenie, że moja żona w ogóle się nie starzeje.

– Cieszę się, że w Atlancie wszystko poszło gładko. Założę się, że twój nowy szef już je ci z ręki.

– Walter nikomu nie jada z ręki.

– Jakies plany na przyszły tydzień?

– Dowiem się jutro. Możliwe, że w środę znów będę musiała nocować w hotelu.

– Kolejna zbiórka pieniędzy?

– Nie. Tym razem podróż do Waszyngtonu. London będzie przykro. Przez to wszystko czuję się jak wyrodna matka.

– Nie jesteś wyrodną matką. Poza tym ona wie, że ją kochasz.

– Ale to ostatnie lato przed pójściem do szkoły; pewnie czuje się, jakbym ją porzuciła. Potrzebuje stabilizacji, a jej nie dostaje.

– Staram się, jak mogę.

– Wiem. Powiedziała, że lubi spędzać z tobą czas, ale że to dziwne.

- Uważa, że to dziwne?
 - Wiesz, o co jej chodzi. Jest przyzwyczajona do mnie, to wszystko. Dla niej to duża zmiana. Wiesz przecież.
 - Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego użyła słowa „dziwne”.
 - To dziecko. Ma ograniczony zasób słownictwa. To nic wielkiego. Idziemy do sypialni? Możemy włączyć telewizor i odprężyć się.
 - Przystawiasz się do mnie?
 - Może.
 - To znaczy „tak” czy „nie”?
 - Może najpierw dopiję wino.
- Uśmiechnąłem się, a później, gdy nasze ciała splotły się z sobą, pomyślałem, że ten tydzień, jakkolwiek długi i ciężki, nie mógł mieć lepszego zakończenia.

ROZDZIAŁ 9

Przeszłość nie zawsze jest przeszłością

Kilka lat temu, gdy dopadła mnie nostalgia, zacząłem wracać wspomnieniami do najważniejszych dni swojego życia. Wspominałem liceum i studia, dzień, w którym oświadczyłem się Vivian, dzień naszego ślubu i, oczywiście, dzień, w którym London przyszła na świat. A jednak żaden z tych dni nie był niespodzianką, bo wiedziałem, że prędzej czy później nadejdą.

Wspominałem też pamiętne wydarzenia, takie jak pierwszy pocałunek, pierwszy seks, smak pierwszego piwa i dzień, gdy ojciec pierwszy raz pozwolił mi usiąść za kierownicą. Pamiętam pierwszą wypłatę i nabożne uczucie, które towarzyszyło mi, gdy przestępowałem próg pierwszego kupionego przeze mnie domu.

Są jednak inne, bezcenne wspomnienia, wspomnienia niespodziewane i niezwiązane z robieniem czegoś po raz pierwszy, lecz idealne w towarzyszącej im spontanicznej radości. Raz, kiedy byłem dzieckiem, tata obudził mnie w środku nocy i wyprowadził przed dom, żebym zobaczył deszcz meteorów. Rozłożył koc na trawie i gdy siedzieliśmy wgapieni w niebo, podziwiając smugi bieli, wyczuwałem, że pokazał mi je z miłości, której tak często nie potrafił okazać. Pamiętam noc, kiedy razem z Marge nie zmrużyliśmy oka; śmialiśmy się, zajadając czekoladowe ciasteczka, i zrozumiałem wówczas, że ona i ja już zawsze będziemy razem. Wróciłem myślami do wieczoru, gdy moja mama po dwóch kieliszkach wina opowiadała o swoim dzieciństwie tak, że zobaczyłem w niej dziecko, jakim była kiedyś, dziewczynkę, z którą mógłbym się zaprzyjaźnić.

Te chwile zostały ze mną na zawsze, po części z powodu swojej prostoty, a po części dlatego, że wniosły tak wiele do mojego życia. Nigdy się nie powtórzyły i nie mogę pozbyć się uczucia, że gdybym chciał je odtworzyć, pierwotne wspomnienia przeciełyby mi przez palce niczym woda i stałyby się jeszcze bardziej nierzeczywiste.

*

W poniedziałek rano Vivian wyszła do pracy o wpół do ósmej z workiem marynarskim zarzuconym na ramię.

– Chciałabym dziś skoczyć na siłownię – oznajmiła. – Mam wrażenie, że z dnia na dzień robię się coraz bardziej sflaczała.

London i ja wyszliśmy kilka minut później ubrani w krótkie spodenki i T-shirty. Jechaliśmy do klubu na pierwszą lekcję tenisa i widząc facetów w garniturach i pod krawatem, czułem się, jakby wykopano mnie z jedyne go klubu, do którego chciałem należeć. Miałem wrażenie, że wraz z pracą utraciłem część swojej tożsamości i że jeśli czegoś nie zrobię, zatracę siebie do reszty.

Czas pobawić się w akwizytora.

Kiedy tylko zaparkowałem, London zauważyła na korcie dziewczynki z sąsiedztwa i pobiegła do nich. Ja tymczasem usiadłem na trybunach i wpisałem w wyszukiwarke w telefonie: chirurdzy plastyczni. Chirurdzy, podobnie jak prawnicy, byli grupą zawodową, której Peters unikał jak ognia – uważał ich za primadonny i sknery – ja jednak wyszedłem z założenia, że lekarze mają pieniądze i są na tyle inteligentni, by wiedzieć, że mogą skorzystać na reklamie. W Charlotte było kilka klinik – to dobry znak – zacząłem się więc zastanawiać, jak rozpocząć rozmowę; szukałem odpowiedniej kombinacji słów, by zatrzymać kierownika – albo lekarza, jeśli mi się poszczęści – przy telefonie na tyle długo, żeby zdecydował się na spotkanie.

– Nie do wiary, co za upał. – Usłyszałem mocny akcent rodem z New Jersey. – Przysięgam na Boga, że zaraz się roztopię.

Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem mężczyznę, może kilka lat starszego ode mnie, potężnie zbudowanego, z ciemnymi włosami

i skórą brązową od słońca. Miał na sobie garnitur i okulary przeciwsłoneczne lustrzanki typu „pilotki”.

– Mówi pan do mnie?

– Oczywiście, że mówię do pana. Oprócz pana i mnie to istna konwencja estrogenów. Jesteśmy jedynymi facetami w promieniu stu metrów. Tak przy okazji, nazywam się Joey Buldog Taglieri. – Podeszedł bliżej i wyciągnął rękę.

– Russell Green – odparłem, ściskając potężną dłoń. – Buldog?

– Maskotka Uniwersytetu Georgii, mojej uczelni. Poza tym mam grubą szyję. No i ksywka została. Miło cię poznać, Russ. Gdybym dostał zawału albo udaru, bądź tak miły i zadzwoń pod dziewięćset jedenaście. Adrian powinna była mnie uprzedzić, że nie ma tu za grosz cienia.

– Adrian?

– Moja była. Numer trzy. Wczoraj zrzuciła na mnie ten obowiązek, bo wiedziała, jakie to dla mnie ważne, i Bóg jeden wie, że ostatnio nie jest w nastroju do umiłania mi życia. Wie, że o dziewiątej trzydzieści powinienem być w sądzie, ale ma to gdzieś. I nie w tym rzecz, że musi zobaczyć się z matką. Kogo obchodzi, że jej matka jest w szpitalu? Łąduje tam co dwa tygodnie, bo jest pieprzoną hipochondryczką. Lekarze twierdzą, że wszystko z nią w porządku. Wiedźma pewnie dożyje setki. – Wskazał kartkę papieru, którą trzymałem w dłoni. – Spisujesz uwagi wstępne?

– Uwagi wstępne?

– Co powiesz ławie przysięgłych? Jesteś prawnikiem, tak? Chyba widziałem cię na sali sądowej.

– Nie – odparłem. – Musiałeś mnie z kimś pomylić. Nie jestem prawnikiem. Pracuję w branży reklamowej.

– Poważnie? Jak się nazywa agencja?

– Feniks – odparłem. – To moja firma.

– Żartujesz? Kolesie, z którymi współpracuję, to banda idiotów.

Nadstawiłem ucha.

– A jak się nazywają?

Podał nazwę firmy specjalizującej się w reklamach prawniczych, co oznaczało, że w większości przypadków spoty były bez polotu, z tymi samymi obrazkami i lekko zmienionym tekstem. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zmienił temat.

– Długo jesteś członkiem klubu? – spytał.

– Jakieś cztery lata.

– Podoba ci się? Ja właśnie dołączyłem.

– Biorąc pod uwagę, że nie gram w golfa, jest w porządku. Jedzenie jest dobre, a latem na basenie można poznać wielu ciekawych ludzi.

– Ja też nie gram w golfa. Próbowiałem przez rok, nadwyrężyłem kręgosłup, a w końcu oddałem kije bratu. I zamiast tego zapisałem się na tenisa. Wiem, że na to nie wyglądam, ale jestem całkiem niezły. W college'u miałem stypendium, marzyłem o tym, żeby grać profesjonalnie, tylko że przez swój wzrost nie miałem mocnego serwisu. Tak to już jest. Pomyślałem więc, że zapiszę córkę, póki jest jeszcze mała, żebyśmy mogli robić coś razem, kiedy dorośnie i zacznie mnie nienawidzić. To ta w turkusowej koszulce. Z ciemnymi włosami i długimi nogami. Która jest twoja?

Wskazałem London; stała właśnie przy linii końcowej z innymi dziewczynkami.

– Tam – powiedziałem. – Druga od lewej.

– Też będzie wysoka. To dobrze.

– Zobaczymy, czy w ogóle się jej spodoba. Pierwszy raz trzyma w dłoni raketę. Mówiłeś, że jesteś prawnikiem?

– Tak. Zajmuję się sprawami z zakresu uszkodzeń ciała i od czasu do czasu pozwami grupowymi. Domyślam się, co sądzisz na temat takich jak ja, i... szczerze? Mam to gdzieś. Nikt nie lubi prawników zajmujących się sprawami z zakresu uszkodzeń ciała, dopóki nie są im potrzebni, i wtedy nagle jestem ich najlepszym przyjacielem i wybawcą. Nie dlatego, że prawie zawsze wygrywam dla nich pieniądze, na które zasługują, ale dlatego, że słucham. Ten zawód w połowie opiera się na słuchaniu. Pojąłem

to, gdy zajmowałem się prawem rodzinnym, zanim żona numer jeden uciekła z sąsiadem i zrozumiałem, że muszę zarobić mnóstwo kasy. Prawo rodzinne mi tego nie zapewniało. Poradzić ci coś? Zawsze spisuj intercyzę.

– Dobrze wiedzieć.

– Chirurdzy plastyczni, co? – Rzucił okiem na kartkę.

– Myślałem o tym, żeby rozszerzyć swoją działalność.

– Taa? Dorobiłem się fortuny na takich jak oni. Równie dobrze mogliby kroić swoich klientów piłą do metalu. Chcesz usłyszeć radę od kogoś, kto w przeszłości miał z nimi do czynienia?

– Mów śmiało.

– Ci ludzie mają kompleks Boga, ale zupełnie nie znają się na interesach, więc połechtaj ich próżność i obiecaj im, że uczynisz ich bogaczami. Zaufaj mi. Od razu zwrócą na ciebie uwagę.

– Zapamiętam to.

Machnął ręką w stronę kortu.

– Nie jestem przekonany do tego trenera. Co o nim myślisz?

– Nie znam się na tyle, żeby się wypowiadać.

– Widać, że facet grał, ale coś mi mówi, że nigdy dotąd nie trenował małych dzieci. A to zupełnie inna bajka. Dzieciaki nie potrafią skoncentrować się dłużej niż na chwilę. Coś musi się dziać albo stracą zainteresowanie.

– Brzmi rozsądnie. Może powinieneś sam zacząć trenować córkę.

Roześmiał się.

– To dopiero byłoby coś. Nie, to nie dla mnie. Nigdy nie ucz własnego dziecka. To jedna z moich zasad. Prawdopodobnie córka znienawidziłaby mnie jeszcze bardziej niż teraz. A ty, interesujesz się tenisem? Grasz?

– Nie – odparłem. – To pomysł mojej żony.

– Ale to ty tu jesteś, nie ona.

– Na to wygląda – rzuciłem i Joey skupił się na tym, co działo się na korcie. Próbowaliśmy zapisać kolejnych kilka linijek, ale wiedziałem, że muszę zebrać sporo informacji, zanim będę gotowy na prezentację. Od czasu do czasu Joey komentował

ustawienie stóp albo zamach, jaki należy wziąć, żeby odpowiednio uderzyć piłkę, i co kilka minut wdawaliśmy się w krótką rozmowę.

Kiedy lekcja dobiegła końca, kolejny raz uścisnął mi rękę.

– Będziesz tu jutro? – zapytał. – Gdy skinąłem głową, dodał: – Ja też. W takim razie do zobaczenia.

Zszedłem z trybun i czekałem na London przy wyjściu z kortu. Twarz miała rumianą z wysiłku i gorąca.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytałem ją.

– Mamusia naprawdę myśli, że powinnam grać. Powiedziała mi dziś rano.

– Wiem. Ale pytałem, co ty o tym sądzisz?

– Było gorąco. Z kim rozmawiałaś?

– Z Joeyem.

– To twój przyjaciel?

– Dopiero się poznaliśmy. Dlaczego pytasz?

– Bo zachowywaliście się jak przyjaciele.

– Jest miły – odparłem i kiedy szliśmy do samochodu, zastanawiałem się nad tym, co powiedział o agencji reklamowej, z którą współpracuje: że to banda idiotów.

I przypomniałem sobie, że przecież jutro też się z nim spotkam.

*

Kupiłem London przekąskę, bo wiedziałem, że musi ochłonąć przed zajęciami plastycznymi. W międzyczasie rozmyślałem o reklamach, które robiłem dla kancelarii adwokackich, zanim Peters postanowił zakończyć z nimi współpracę. Pamiętałem kręcenie spotów w gabinetach zapełnionych książkami prawniczymi i porady, by wykupili czas reklamowy w kablówkach między godziną dziewiątą rano a dwunastą, kiedy ludzie z uszczerbkiem na zdrowiu najczęściej oglądają telewizję.

W dzisiejszych czasach, kiedy większość reklam w krajowej telewizji jest dziełem jednej agencji, jeśli chciałem pozostać

w biznesie, musiałem znaleźć niszę. Podejrzewałem, że mógłbym spróbować szczęścia w kablówkach, zwłaszcza że miałem kontakty z kluczowymi zawodnikami, coś, czego nie miała agencja pracująca dla telewizji publicznej. Na dłuższą metę mogło to zaszkodzić mojej firmie – niewykluczone, że ostatecznie poszedłbym w ślady Petersa i zakończył z nimi współpracę – ale to była daleka przyszłość i wolałem nie martwić się na zapas. Zamiast tego skupiłem się na tym, że – być może – Taglieri da się namówić na zmianę.

London ochłonęła szybciej, niż się tego spodziewałem, i przez większość drogi opowiadała mi o Bodhim. Kiedy weszła do pracowni, odwróciła się, a gdy się pochyliłem, objęła mnie za szyję i przytuliła się do mnie.

– Kocham cię, tatusiu.

– Ja też cię kocham.

Patrzyłem, jak biegnie do jasnowłosego chłopca i jak ściskają się na powitanie.

Słodkie, pomyślałem.

Chwilę później ściągnąłem brwi. Bo właśnie ta chwila wystarczyła, żebym zaczął się zastanawiać, co sądzić o tym, że moja mała córeczka tuli się do chłopców. Nie wiedziałem, czy to normalne w takich sytuacjach.

Machnięciem dłoni przywitałem się z nauczycielką i z laptopem pod pachą poszedłem do baru kawowego, żeby przyrzeć się ostatnim trendom w reklamie kancelarii prawniczych i przestudiować przepisy prawne, które mogły się zmienić od czasu, gdy przygotowywałem ostatnią kampanię.

Zamówiłem kawę, znalazłem wolny stolik, włączyłem laptopa i zacząłem przeglądać informacje, gdy nagle usłyszałem znajomy głos.

– Russ?

Nie mogłem jej nie rozpoznać. Długie do ramion kasztanowe włosy podkreślały wysokie kości policzkowe, a brązowe oczy były tak niezwykle, jak je zapamiętałem.

– Emily?

Podeszła do stolika z kubkiem kawy w dłoni.

– Wydawało mi się, że widziałam cię w pracowni. Jak się masz? Dawno się nie widzieliśmy.

– U mnie wszystko w porządku – odparłem, podnosząc się z krzesła. Zaskoczyła mnie, gdy nachyliła się, żeby mnie objąć, co obudziło falę miłych wspomnień. – Co tutaj robisz? Po co byłaś w pracowni?

– Mój syn chodzi na zajęcia plastyczne – odparła. – Wygląda na to, że wrodził się w matkę. – Uśmiechnęła się ciepło. – Świetnie wyglądasz.

– Dzięki. Ty też. Co słyhać? – Z bliska zauważyłem złote plamki na jej tęczęwkach i zastanawiałem się, czy zawsze je miała.

– Wszystko dobrze.

– Tylko dobrze?

– Tak, sam wiesz. Życie.

Dokładnie wiedziałem, o czym mówi, i choć próbowała to ukryć, wyczułem w jej głosie smutek. Następne słowa wypowiedziałem niemal odruchowo, chociaż wiem, że przebywanie w towarzystwie osoby, którą się kiedyś kochało i z którą się sypiało, może skomplikować życie, jeśli człowiek jest nieostrożny.

– Przysiądziesz się? – spytałem.

– Jesteś pewien? Wyglądasz na zajętego.

– Próbuję zebrać informacje. Nic wielkiego.

– W takim razie chętnie – odparła. – Ale tylko na chwilę. Muszę podrzucić do mamy parę rzeczy, a znając życie, może to potrwać całą wieczność.

Kiedy usiedliśmy, spojrzałem na nią, zdumiony, że od naszego rozstania minęło prawie jedenaście lat. Podobnie jak Vivian, ona również wcale się nie zmieniła, przegnałem jednak tę myśl i postanowiłem skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Ile lat ma twój syn?

– Pięć – odparła. – Jesienią pójdzie do szkoły.

– Moja córka też. Dokąd go posyłacie?

Kiedy podała nazwę szkoły, uniosłem brew.

– Cóż za zbieg okoliczności! London też będzie tam chodzić.

– To podobno świetne miejsce.

I drogie, pomyślałem.

– Też tak słyszałem – powiedziałem na głos. – Co słyhać u twoich rodziców? Nie rozmawiałem z nimi od lat.

– W porządku. Tata w przyszłym roku przechodzi w końcu na emeryturę.

– Z AT and T?

– Tak... przepracował tam całe swoje życie. Powiedział, że chce kupić kampera i wyjechać na wieś. Oczywiście mama nie chce mieć z tym nic wspólnego, zamierza dalej pracować w kościele i przeczekać fanaberie ojca.

– U Świętego Michała?

– Pewnie. Oboje całe życie pracowali w jednym miejscu. Teraz tak się nie zdarza. A ty? Wciąż pracujesz w Peter's Group?

Uniosłem brew.

– Miło, że pamiętasz. Ale nie, oszedłem kilka miesięcy temu i założyłem własną firmę.

– I jak ci idzie?

– Jakoś – rzuciłem wymijająco.

– To świetnie. Pamiętam, jak wspominałeś, że chciałbyś być przedsiębiorcą.

– Byłem młody i naiwny. Teraz jestem starszy, ale wciąż tak samo naiwny.

Roześmiała się.

– Co u Vivian?

– Dobrze. Właśnie wróciła do pracy. Nie wiedziałem, że ją znasz.

– Bo nie znam. Widziałam ją kilka razy w pracowni, ale nigdy nie zostawała na zajęciach. Zawsze była ubrana jak na siłownię.

– To do niej podobne. Jak... twój mąż?

– David? – Przechyliła głowę.

– Tak – odparłem. – David.

– Rozwiedliśmy się. W styczniu.

- Przykro mi.
- Mnie też.
- Jak długo byliście małżeństwem?
- Siedem lat.
- Mogę zapytać, co się stało?
- Nie wiem – odparła. – Trudno to wytłumaczyć. Banalnie zabrzmiałoby, jeśli powiem, że się od siebie oddaliliśmy... Ostatnio, kiedy ludzie mnie o to pytają, mówię, że wszystko było dobrze, dopóki się nie popsuło. Większość z nich nie oczekuje takiej odpowiedzi. Zupełnie jakby szukali tematu do plotkowania albo chcieli sprowadzić wszystko do jednego incydentu. – Mówiąc to, pocierała kciukiem palec wskazujący. – A ty i Vivian, jak długo jesteście razem?
- Wkrótce minie dziewięć lat.
- No proszę – rzuciła. – Super.
- Dzięki.
- Czyli Vivian wróciła do pracy?
- Potaknąłem.
- Pracuje dla firmy deweloperskiej tu, w mieście. W dziale PR. A ty? Pracujesz?
- Można chyba tak powiedzieć. Wciąż maluję.
- Serio?
- Mój były mnie zachęcał. I chyba wyszło mi to na dobre. Wiadomo, nigdy nie będę drugim Rothko czy Pollockiem, ale wystawiam swoje prace w jednej z galerii w centrum i sprzedaję rocznie dziesięć, dwanaście obrazów.
- To fantastycznie – odparłem i naprawdę tak myślałem. – Zawsze miałaś talent. Pamiętam, że patrzyłem, jak malujesz, i zastanawiałem się, skąd wiesz tyle o kolorach i... – Urwałem, próbując przypomnieć sobie odpowiednie słowo.
- Strukturze?
- Tak. Nadal malujesz w tym samym stylu?
- Pokiwała głową.
- Poszłam w kierunku realizmu abstrakcyjnego.
- Wiesz oczywiście, że nie mam pojęcia, co to znaczy?

– Punktem wyjściowym są sceny realistyczne, ale stopniowo dodaję do nich jaskrawe kolory, figury geometryczne albo przypadkowe plamy i rozbryzgi, aż czuję, że obraz jest gotowy. Oczywiście tak naprawdę nigdy nie jest skończony; są takie, przy których majstruję od lat, bo mam wrażenie, że czegoś im brakuje. Sęk w tym, że nie zawsze wiem, co to jest.

– Brzmi bardzo artystycznie. – Uśmiechnąłem się.

Roześmiała się dokładnie tak, jak to zapamiętałem.

– Dopóki obraz dobrze wygląda na ścianie i skłania ludzi do myślenia, jestem zadowolona z rezultatu.

– Tylko tyle?

– Tak mówi właściciel galerii, kiedy próbuje sprzedać którąś z moich prac, więc... tak.

– Chciałbym zobaczyć twoje obrazy.

– Możesz wpaść do galerii – odparła i podała jej nazwę. – A co u Marge? Zawsze chciałam mieć taką starszą siostrę.

– Wszystko w porządku... ona i Liz, oczywiście, nadal są razem.

– Mówisz o tej samej Liz, którą poznałam, gdy się spotykaliśmy?

– Taa. Od tamtej pory są razem. Prawie jedenaście lat.

– Jejku – szepnęła. – To świetnie. Jaka jest Liz?

– Miła, troskliwa i oddana. Nie mam pojęcia, co widzi w Marge.

Emily spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Jesteś okropny!

– Przecież wiesz, że żartuję. Tworzą wspaniałą parę. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek widziałem, jak się kłóć. Po prostu płyną z prądem.

– To dobrze. A twoi rodzice? Nadal pracują?

– Mama jest na emeryturze, ale ojciec nadal pracuje na pełny etat.

– Wciąż dłubie przy swoim samochodzie?

– W każdy weekend.

– A mama?

– Należy do Ruchu Czerwonych Kapeluszy i chce hodować tulipany. – Widząc, jak ściągnęła brwi, opowiedziałem jej o wydarzeniach ubiegłego tygodnia.

– Wiesz, że nie możesz być na nią zły. Już spełniła swój rodzicielski obowiązek.

– To samo mówi Marge. Ona również nie chciała mi pomóc.

– A jednak sobie poradziłeś.

– Marge też mi to powiedziała.

Westchnęła.

– Zdziwiałeś, dokąd prowadzi nas życie, prawda? Od jak dawna się znamy? Byliśmy wtedy dziećmiakami.

– Wcale nie – rzuciłem.

Uśmiechnęła się.

– Żartujesz? Formalnie rzecz biorąc, byliśmy pełnoletni i mogliśmy głosować, ale pamiętam, że potrafiłeś zachowywać się jak dziećmiak. Jak wtedy, gdy postanowiłeś sprawdzić, czy będziesz w stanie zjeść ten ogromny stek, żeby twoje zdjęcie trafiło na ścianę restauracji. Przypomnij mi, jaki był duży?

Wspomnienie wróciło do mnie w ułamku sekundy. Byliśmy nad jeziorem z grupą przyjaciół i przy autostradzie zauważyłem banner restauracji, który głosił, że jeśli zjem cały stek, nie tylko moje zdjęcie trafi na ścianę, ale właściciel nie policzy mi za posiłek.

– Ważył dwa kilogramy.

– Nie zjadłeś nawet połowy.

– Byłem głodny, kiedy zaczynałem...

– I pijany.

– Może trochę.

– To były dobre czasy. – Roześmiała się. Zwlekała przez chwilę, aż w końcu wskazała mój komputer. – Ale powinnam już iść. Ty musisz popracować, a ja podrzucić rzeczy do mamy.

Nagle uświadomiłem sobie, że nie chcę, żeby szła, choć pewnie był to dobry pomysł.

– Chyba masz rację.

Wstała od stolika.

- Miło cię było spotkać, Russ.
- Ciebie też – odparłem. – Fajnie było powspominać stare czasy.
- Do zobaczenia później.
- Później?
- Kiedy skończą się zajęcia.
- No tak – rzuciłem. – Rzeczywiście.

Gdy ramieniem otworzyła drzwi, nie mogłem nie zauważyć, że obejrzała się i uśmiechnęła, zanim w końcu straciłem ją z oczu.

*

Spędziłem w barze kolejną godzinę i przeszukując internet, natrafiłem na dwie reklamy kancelarii adwokackiej Joeya Taglieriego, z których jedna nie była już nadawana. Były profesjonalne, bogate w informacje i – musiałem przyznać – podobne do tych, które sam kiedyś robiłem. Przejrzałem też reklamy niemal tuzina innych kancelarii adwokackich w mieście i doszedłem do wniosku, że reklamy Taglieriego nie były od nich ani lepsze, ani gorsze.

Dlaczego więc uważał ich twórców za idiotów?

I choć reklamy nie były wcale takie złe, uważałem, że Taglieriemu nie opłacił się ten wydatek. Jego strona internetowa była nieaktualna i brakowało jej polotu, a telefon do operatora uświadomił mi, że w kwestii promocji internetowej nie działa się nic. Po kilku kolejnych telefonach wiedziałem już, że facet nie reklamuje się w prasie ani na billboardach. Zastanawiałem się, czy będzie otwarty na moje propozycje, a z drugiej strony starałem się zbytnio nie ekscytować.

Pomógł mi telefon do biura, gdzie nie czekały na mnie żadne wiadomości – zero, nul, kompletnie nic – i wyszedłszy z baru, odebrałem London z zajęć. Córka z dumą zaprezentowała zrobioną przez siebie miseczkę, a wychodząc, pomachałem Emily na pożegnanie. Zajęta rozmową z nauczycielką,

uśmiechnęła się i uniosła rękę. Kiedy wróciliśmy do domu, do lekcji tańca pozostało jeszcze kilka godzin i nie bardzo wiedziałem, jak zagospodarować ten czas. Było zbyt gorąco, żeby wyjść na dwór, a dzień London był tak wypełniony zajęciami, że nie zdziwiłbym się, gdyby po prostu chciała się pobawić.

W końcu postanowiłem, że przygotuję kolację dla Vivian. Przejrzałem parę książek kucharskich, ale wiele przepisów wykraczało poza moje zdolności kulinarne. Znalazłem jednak przepis na okonia morskiego po chilijsku i przejrzawszy zawartość szafek, doszedłem do wniosku, że mam większość składników. Idealnie. Zawiozłem London na lekcję tańca i zostawiwszy ją pod opieką wiecznie skwaszonej, ponurej pani Hamshaw, pojechałem do sklepu i kupiłem resztę. Kiedy Vivian wróciła do domu, kolacja była prawie gotowa.

Piław ryżowy i fasolka szparagowa z płatkami migdałowymi dochodziły na kuchence.

– Jestem w kuchni! – zawołałem i chwilę później usłyszałem za sobą jej kroki.

– Ojej! – rzuciła, podchodząc do mnie. – Pachnie cudownie. Co robisz?

Gdy jej powiedziałem, nachyliła się nad garnkami.

– Co to za okazja?

– Bez okazji. Postanowiłem upichcić coś nowego. Pomyślałem, że po kolacji wystawię rower, żebyś mogła zobaczyć, jak London jeździ.

Otworzyła szafkę i wyjęła kieliszek, a zaraz potem wino z lodówki.

– Możemy jutro? Jestem zmęczona, a London miała dziś mnóstwo zajęć. Wygląda na wykończoną.

– W porządku – odparłem.

Nalała sobie wina.

– Jak poszło jej na tenisie?

– Tak samo jak pozostałym. Pierwsze zajęcia; uczyli się trzymać rakietę i takie tam. Spotkała kilka dziewczynek z sąsiedztwa, więc wyglądała na zadowoloną.

– Myślę, że tenis dobrze jej zrobi. To świetny sport, jeśli chce się poznawać nowych ludzi.

– A do tego dziewczyny wyglądają słodko w tych kusych szortach.

– Ha, ha. A zajęcia plastyczne? Lekcja tańca?

– Na zajęciach plastycznych bawiła się doskonale, ale mam wrażenie, że nie przepada za tańcem.

– Daj jej czas. Kiedy zacznie się rywalizacja, pokocha taniec.

Zastanawiałem się, kto zdaniem Vivian będzie woził małą na zawody, ale wolałem nie mówić tego na głos.

– Byłaś na siłowni?

– Udało mi się wyskoczyć w porze lunchu – odparła. – Nieźle się zmachałam. Przez resztę dnia czułam się jak nowo narodzona.

– Super. A poza tym, jak minął ci dzień?

– Z pewnością w niczym nie przypominał ubiegłego tygodnia. Sytuacja się uspokoiła. Miałam nawet czas, żeby usiąść przy biurku i odetchnąć.

Uśmiechnąłem się.

– Za to mój dzień był całkiem interesujący.

– Tak?

– Słyszałaś kiedyś o jakimś Joeyu Taglierim?

Ściągnęła brwi.

– Tym adwokacie?

– Tak właśnie.

– Widziałam reklamy jego kancelarii. Puszczają je rano.

– Co o nich myślisz?

– O czym?

– O reklamach.

– Nie zapadły mi w pamięć. Dlaczego pytasz?

Opowiedziałem jej, o czym rozmawialiśmy i na jaki pomysł wpadłem.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – zapytała dość sceptycznie.

– Co masz na myśli?

– Nie sądzisz, że to mało wyszukane? Reklamy kancelarii adwokackich? Czy Peters nie zrezygnował z nich, bo inni klienci tego nie pochwalali?

– Tak, ale ja nie mam innych klientów, którymi musiałbym się przejmować. Po prostu chcę podłapać zlecenie. A wygląda na to, że facet wydaje kupę kasy na reklamy.

Pokiwała głową i upiła łyk wina.

– Pewnie. Jeśli uważasz, że to coś da.

Liczyłem na większe wsparcie, ale ponieważ była w lepszym humorze niż ostatnio, przemilczałem to i postanowiłem zmienić temat.

– Znalazłaś ośrodek opieki dziennej dla London?

– A niby kiedy miałam to zrobić?

– Chcesz, żebym poszukał czegoś sensownego?

– Nie – odparła wyraźnie obrażona. – Sama się tym zajmę.

Tylko...

– Tylko co?

– Naprawdę musimy to robić? Musiałaby zrezygnować z gry na pianinie, tenisa i zajęć plastycznych, a do tej pory dawałaś sobie radę.

– W takich ośrodkach mają różne zajęcia.

– Chcę tylko powiedzieć, że po tym, co wydarzyło się w sobotę, nie wiem, czy to dobry pomysł. Za kilka tygodni i tak pójdzie do szkoły.

– Dokładnie za pięć – uściśliłem, wykonawszy w myślach szybki rachunek. – To kolejne pięć tygodni.

– Tu chodzi o naszą córkę. O to, co dla niej najlepsze. Kiedy pójdzie do szkoły, będziesz miał mnóstwo czasu, żeby skupić się na firmie. Po prostu zajmij się London, a gdy będziesz miał spotkanie, podrzuć ją do mamy.

– Moja mama nie może zajmować się nią codziennie. Powiedziała mi, że ma inne obowiązki.

– Tak powiedziała? Dlaczego nic o tym nie wiem?

Bo ignorowałaś mnie przez cały tydzień i nawet raz nie zapytałaś o moją pracę.

– Tu nie chodzi o moją mamę, Vivian. Próbuję porozmawiać z tobą o ośrodku opieki dziennej.

– Słyszę, co mówisz. I rozumiem. Myślisz, że podrzucanie dziecka obcym ludziom, żebyś ty mógł się zająć swoimi sprawami, to dobry pomysł.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Rozumie się samo przez się. Zachowujesz się jak egoista.

– Nie jestem egoistą.

– Oczywiście, że jesteś. To nasza córka. Przechodzi trudne chwile.

– Jeden jedyny raz – odparłem. – Miała napad złości, bo wyjechałaś z miasta.

– Nie. Była zdenerwowana, bo jej świat został wywrócony do góry nogami, a teraz ty chcesz jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że zostawianie jej pod opieką obcych ludzi to taki świetny pomysł. Nie lubisz spędzać z nią czasu?

Zagryzłem zęby i odetchnąłem powoli, próbując zapanować nad głosem.

– Oczywiście, że lubię spędzać z nią czas. Ale mówiłaś, że będę zajmował się nią przez tydzień, góra dwa.

– Mówiłam też, że zrobię wszystko dla dobra naszej córki! Nie miałam czasu poszukać odpowiedniego miejsca, a teraz, zanim coś znajdę, London pójdzie do szkoły, więc po co w ogóle szukać?

– Będzie musiała zostawać gdzieś po szkole – odparłem.

– Porozmawiam z nią o tym, dobrze?

– Porozmawiasz z London o ośrodku opieki dziennej?

– Rozumiem, że ty tego nie zrobiłeś. Nie mam pojęcia, jak ona się na to zapatruje.

– Ona ma pięć lat – przypomniałem jej. – Nie ma pojęcia, co myśleć na temat ośrodka opieki dziennej.

– Mamusiu? Jestem głodna.

Odwrociłem się i zobaczyłem London, która stała w drzwiach kuchni. Vivian spiorunowała mnie wzrokiem i wiedziałem, że

oboje zastanawiamy się, jak wiele usłyszała.

– Cześć, skarbie – rzuciła Vivian, tym razem dużo łagodniej. – Kolacja będzie gotowa za kilka minut. Pomożesz mi nakryć do stołu?

– Dobrze – zgodziła się London, na co Vivian otworzyła szafkę. Obie nakryły do stołu, a ja postawiłem na nim jedzenie.

Po kilku kęsach córka uśmiechnęła się do mnie.

– Kolacja jest naprawdę dobra, tatusiu.

– Dzięki, kochanie – odparłem i poczułem, że ogarnia mnie przyjemne ciepło.

Pomyślałem, że nasze małżeństwo może przechodzi trudne chwile, a w mojej firmie nie dzieje się najlepiej, ale przynajmniej uczę się gotować.

Niestety, nie poczułem się przez to ani trochę lepiej.

ROZDZIAŁ 10

Byle do przodu

W dzieciństwie wakacje są najcudowniejszym okresem życia. Ponieważ moi rodzice uważali, że dzieci powinny przebywać na dworze najczęściej, jak się da, zwykle wychodziłem z domu przed dziesiątą i wracałem na kolację. Nie było wówczas telefonów komórkowych, tak więc gdy mama dzwoniła do sąsiadki, żeby dowiedzieć się, gdzie jestem, okazywało się, że sąsiadka wie na ten temat tyle co ona. Z tego, co pamiętam, w owym czasie obowiązywała tylko jedna zasada: musiałem być w domu o wpół do szóstej, ponieważ rodzice lubili, gdy wszyscy razem zasiadaliśmy do kolacji.

Nie pamiętam, jak właściwie spędzałem tamte dni. Moje wspomnienia ograniczają się do serii migawek: budowania fortów, zabawy w „króla na wzgórzu” na drabinkach i uganiania się za piłką, żeby strzelić gola. Pamiętam też, że bawiliśmy się w lesie. W tamtych czasach nasz dom stał na niezagospodarowanej ziemi i razem z przyjaciółmi prowadziliśmy wojny, obrzucając się grudami ziemi albo próbując wykraść flagę wrogiej drużynie; kiedy dostaliśmy wiatrówki, godzinami strzelaliśmy do puszek i od czasu do czasu trafialiśmy w siebie nawzajem. Całymi dniami jeździłem na rowerze, a gdy budziłem się rano, najczęściej nie miałem w głowie żadnych planów.

Oczywiście w okolicy były dzieciaki, które nie prowadziły tak beztroskiego życia. Wyjeżdżały na obóz albo chodziły do szkółki sportowej, ale w tamtych czasach należało to do rzadkości. Dziś

rodzice dbają o to, by dzieci miały zaplanowany dzień od rana do wieczora, i London nie była wyjątkiem.

Ale jak to się stało? I dlaczego? Co wpłynęło na zmianę poglądów rodziców z mojego pokolenia? Presja rówieśników? Życie sukcesami naszych dzieci? Dalekowzrocność i chęć stworzenie idealnego CV? A może lęk, że jeśli dzieci same zaczną odkrywać świat, nic dobrego z tego nie wyniknie?

Nie wiem.

Wiem tylko, że zatraciliśmy coś po drodze: zwykłą radość budzenia się o poranku bez żadnych planów i rzeczy, które musimy zrobić.

*

– Dlaczego mam kłopot z reklamami? – zapytał Joey Taglieri, powtarzając moje pytanie. Był wtorek rano, lekcja tenisa numer dwa. Vivian, wciąż zła na mnie za wczorajszy wieczór, wyszła z domu, nie zamieniwszy ze mną ani słowa. – Bo po prostu są nudne – odparł. – Nic tylko ja gadam do kamery w zagraconym gabinecie. Do diabła, przysypiam na nich, a kosztowały mnie fortunę.

– Jak chciałbyś je zmienić?

– Kiedy byłem dzieciakiem, przez kilka lat mieszkaliśmy w południowej Kalifornii, bo mój ojciec służył w marynarce. Tak przy okazji, nienawidziłem tego miejsca. Moja mama też. Zaraz po tym, jak ojciec przeszedł na emeryturę, wróciliśmy do New Jersey. To stamtąd pochodzili moi rodzice. Byłeś kiedyś w New Jersey?

– Kilka razy wylatywałem chyba z Newark.

– To się nie liczy. I nie wierz w te bzdury, które pokazują w programach rozrywkowych. Jersey to świetne miejsce. Gdybym mógł, wychowywałbym tam córkę, ale jej matka jest tutaj i chociaż to zimna suka, muszę przyznać, że matką jest dobrą. Ale wróćmy do południowej Kalifornii. Był tam dealer samochodowy, niejaki Cal Worthington. Słyszałeś o nim?

– Raczej nie.

– Stary Cal Worthington miał najlepsze reklamy wszech czasów. W każdej występował ze swoim psem, Spotem. Tyle że Spot wcale nie był psem. Spot mógł być małpą, lwem, słoniem albo czymkolwiek. Raz był nawet orką. Stary Cal miał też dżingiel, którego nie sposób było zapomnieć, z refrenem, który brzmiał mniej więcej tak: *Idź do Cala, idź do Cala, idź do Cala*. Do diabła, byłem ośmioletnim gówniarzem i miałem gdzieś samochody, ale chciałem pójść do salonu tylko po to, żeby poznać tego gościa i zobaczyć kilka egzotycznych zwierząt. Właśnie takiej reklamy chcę.

– Chcesz mieć w niej słonie? I orki?

– Jasne, że nie. Ale chcę czegoś, co ludzie zapamiętają, na widok czego jakiś poszkodowany koleś w Barcalounger usiądzie i powie: „Muszę poznać tego kolesia. Chcę, żeby mnie reprezentował”.

– Problem w tym, że reklamy prawnicze są regulowane przez palestrę.

– Myślisz, że nie wiem? Wiem też, że w Karolinie Północnej panuje przekonanie, że w reklamie nie powinno być cenzury. Sam powinienesz to wiedzieć, skoro siedzisz w tym biznesie.

– I wiem – odparłem. – Ale istnieje różnica między wizerunkiem profesjonalnego, kompetentnego adwokata, któremu można zaufać, a przeciętnego adwokacyny, który namawia ofiary wypadków do procesów o odszkodowanie.

– To samo powiedziałem tym idiotom, którym zleciłem zrobienie reklamy. A oni i tak stworzyli coś w stylu „Uśpijmy widzów”. Widziałeś je?

– Pewnie, że tak. I wcale nie są takie złe.

– Poważnie? W takim razie jaki jest numer do biura?

– Słucham?

– Numer do mojego biura? Przez cały czas widnieje na ekranie. Skoro reklama jest taka świetna, jaki jest numer?

– Nie wiem.

– Bingo. W tym cały problem.

- Prawdopodobnie ludzie pamiętają twoje nazwisko.
- Właśnie. To kolejny problem. Taglieri to niezbyt południowe nazwisko; niektórych może zniechęcać.
- W tej kwestii niewiele da się zrobić.
- Nie zrozum mnie źle. Jestem dumny ze swojego nazwiska. Ale w reklamie jest go za dużo, a za mało numeru telefonu.
- Rozumiem – rzuciłem. – A co myślisz o innych formach reklamy? Billboardach, stronach internetowych, reklamach w internecie i w radiu?
- Nie wiem – przyznał. – Nie myślałem o tym. Poza tym mam ograniczony budżet.
- To ma sens – odparłem. Podejrzywałem, że kolejne pytania wyrządzą więcej złego niż dobrego. Patrzyłem, jak London ćwiczy woleja z inną dziewczynką, albo raczej, jak ugania się za piłką.
- Czym zajmuje się twoja żona? – Joey przerwał milczenie.
- Pracuje w dziale PR – odparłem. – Właśnie zaczęła pracę dla jednej z dużych firm deweloperskich.
- Żadna z moich żon nie pracowała. Ja z kolei pracuję za dużo. Jak widać, przeciwności się przyciągają. Mówiłem już, że zawsze należy spisywać intercyzę?
- Tak.
- Dzięki temu człowiek unika finansowych tortur, którym poddaje nas płęć piękna.
- Wydajesz się zmęczony kobietami.
- Wręcz przeciwnie. Uwielbiam je.
- Ożenisz się jeszcze?
- Pewnie. Wierzę w instytucję małżeństwa.
- Poważnie?
- Cóż mogę ci powiedzieć? Jestem niepoprawnym romantykiem.
- Więc co się dzieje?
- Zakochuję się w wariatkach, ot co. Roześmiałem się.
- Dobrze, że nie mam tego problemu.

– Tak myślisz? To przecież kobieta.

– I?

Miałem wrażenie, że Joey próbuje mnie przejrzeć.

– Hej! – Zaśmiał się. – Skoro ty jesteś szczęśliwy, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko cieszyć się twoim szczęściem.

*

W środę po lekcji tańca London wsiadła do samochodu wyraźnie przygnębiona.

– Dziś wieczorem, skoro mamy nie ma, może zjemy na kolację pizzę?

– Pizza jest niezdrowa.

– Nie, jeśli nie jesz jej codziennie. Kiedy ostatnio jadłaś pizzę?

Nie odpowiedziała do razu.

– Nie pamiętam – przyznała w końcu. – Kiedy wróci mamusia?

– Jutro, kochanie.

– Możemy do niej zadzwonić?

– Nie wiem, czy nie jest zajęta, ale wyślę jej SMS-a, dobrze?

– Dobrze. – Siedząc na tylnym siedzeniu, wydawała się mniejsza niż zwykle.

– Może jednak wyskoczymy na pizzę, tylko ty i ja? A potem pójdziemy na lody?

Choć nie powiedziała „tak”, nie powiedziała też „nie” i koniec końców wylądowaliśmy w lokalu, w którym serwowano pyszną pizzę na cienkim cieście. Kiedy czekaliśmy na realizację zamówienia, zadzwoniła Vivian, korzystając z FaceTime’a, i nastrój London nieco się poprawił. Zanim dotarliśmy do Dairy Queen na lody, paplała radośnie. W drodze do domu opowiadała mi o swoim przyjacielu Bodhim, o jego psie Noodle’u i o tym, że zaprosił ją do siebie, żeby zobaczyła jego miecz świetlny.

Natychmiast pomyślałem, że moja córka jest za młoda, żeby oglądać miecze świetlne chłopców; zaraz jednak przypomniałem sobie, co Marge mówiła na temat umówienia London na wspólne

zabawy z innymi dziećmi i że miecz świetlny wcale nie jest metaforą, ale prawdziwą zabawką inspirowaną *Gwiezdnymi wojnami*.

Po powrocie do domu córka pobiegła na górę, żeby sprawdzić, co słyhać u państwa Sprinkles, i choć spodziewałem się, że zostanie tam przez chwilę, kilka minut później pojawiła się w salonie.

– Tatusiu?

– Tak, skarbie?

– Możemy pojechać na rowerze?

Stłumiłem jęk. Byłem zmęczony i chciałem jedynie poleżeć na kanapie.

– Pewnie, że tak – odparłem i nagle przypomniałem sobie, jak wczoraj wieczorem Vivian mówiła, że chciałyby zobaczyć, jak London jeździ na rowerze, ale pewnie zapomniała.

Prawda?

*

London sama przejechała trzy okrążenia. Chwilami chwiała się na zakrętach, ale szybko odzyskiwała równowagę, więc pomagałem jej rzadziej niż ostatnim razem. Na prostych odcinkach praktycznie w ogóle nie dotykałem roweru. Ponieważ nabierała pewności siebie, jechała szybciej i pod koniec dyszałem jak pies, a moja koszulka była mokra od potu.

– Ty wykąp się na górze, a ja wezmę na dole prysznic – zaproponowałem. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Ostatnim razem, kiedy Vivian wyjechała z miasta, London dostała napadu złości.

Tym razem posłusznie skinęła głową.

– Dobrze, tatusiu.

Po prysznicu, gdy wszedłem do jej pokoju, London siedziała na łóżku w piżamie, a obok niej leżała szczotka do włosów i spray ułatwiający rozczesywanie. Rozczesawszy splątane, mokre kosmyki, oparłem się o wezgłowie łóżka.

Przeczytałem jej historię o Noem i jego arce i kilka innych książeczek, pocałowałem córeczkę na dobranoc, a kiedy zamierzałem zgasić światło, usłyszałem jej głosik.

– Tatusiu?

– Tak?

– Co to jest ośrodek opieki dziennej? Słyszałam, jak rozmawiałeś o tym z mamusią.

– To takie miejsce, do którego idą dzieci, kiedy ich rodzice pracują; żeby mamusia i tatuś byli pewni, że nic ci się nie stanie.

– To coś jak dom?

– Można tak powiedzieć. Mają tam zabawki, gry i robią różne ciekawe rzeczy; dzieci lubią tam chodzić, bo zwykle dzieje się tam coś fajnego.

– Ale ja lubię być z tobą i mamusią.

– Wiem. My też lubimy być z tobą.

– Mamusia już nie.

– Oczywiście, że tak. Bardzo cię kocha. Po prostu musi pracować.

– Dlaczego musi pracować?

– Bo potrzebujemy pieniędzy. Bez nich nie moglibyśmy kupić jedzenia, ubrań, zabawek ani nawet państwa Sprinkles.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Czy jeśli oddam chomiki do sklepu, mamusia przestanie pracować?

– Nie, kochanie. To tak nie działa. – Zawahałem się. – Wszystko w porządku, skarbie? Jesteś jakaś smutna.

– Mamusia znów wyjechała. Nie lubię, kiedy jej nie ma.

– Wiem. Ona na pewno też wolałaby być teraz z tobą.

– Kiedy ty pracowałeś, zawsze wracałeś do domu.

– Nasze prace się różnią. Mamusia musi czasami pracować w innych miastach.

– Nie podoba mi się to.

Mnie też, pomyślałem. Cóż jednak mogłem na to poradzić? Przytuliłem ją i postanowiłem zmienić temat.

– Świetnie poszło ci dzisiaj na rowerze.

– Jechałam superszybko.
– To prawda.
– Prawie nie mogłeś za mną nadążyć.
– Przydałoby mi się trochę ruchu. Ale cieszę się, że ci się podobało.
– Szybka jazda jest fajna.
– Fajniejsza niż lekcje... gry na pianinie? – zapytałem, kołysząc się na boki.
– Tak. – Zachichotała.
– I fajniejsze niż... tenis?
– Tak.
– I fajniejsza niż... lekcje tańca?
– Tak.
– I... zajęcia plastyczne?
– Tak – odparła ze śmiechem. – Ale nie tak fajna jak Bodhi.
– Bodhi! Jazda na rowerze jest DUUUŻO fajniejsza od Bodhiego.
– Wcale nie. Bodhi jest DUUUUŻOOO fajniejszy.
– Nie, nie, nie.
– Tak, tak, tak! – Chichotała. – I chcę pojechać do niego do domu!
Ja też śmiałem się do rozpuku.
– O, nie – rzuciłem. – Myślę, że jesteś DUUUŻO za mała, żeby pojechać do domu BODHIEGO.
– Wcale nie. Jestem DUŻA!
– No nie wiem...
– Tak, tak, tak. Jestem na tyle duża, żeby pojechać do domu Bodhiego.
– No dooobrze – zgodziłem się w końcu. – Chyba mogę zapytać jego mamę.
Rozpromieniła się i zarzuciła mi ręce na szyję.
– Kocham cię, tatusiu.
– Ja też cię kocham, maluszk.
– Nie jestem maluszkiem.
Przytuliłem ją.

– Zawsze będziesz moim maluszkiem.

*

Kiedy położyłem London spać i zgasilem światła w jej pokoju, zszedłem do garażu i wystawiłem swój rower. Miałem go od lat i podobnie jak rower London, był bardziej zaniedbany niż zniszczony. Wyczyściłem go, naoliwiłem zębatki, napompowałem koła i pojechałem na jazdę testową.

Jest dobrze, pomyślałem, wprowadzając go z powrotem do garażu. Niedługo potem usiadłem z laptopem przy kuchennym stole. Otworzyłem YouTube'a, obejrzałem kilkanaście różnych reklam Cala Worthingtona i pomyślałem, że Taglieri miał rację; dzingiel był chwytliwy i w każdej reklamie Calowi towarzyszył egzotyczny pupilek o imieniu Spot. Zapadały w pamięć, ale całość kojarzyła się z natrętnym akwizytorem. Nic dziwnego, że widząc je, jakiś dzieciak chciałby poznać dealera samochodowego, ale nie byłem pewien, czy to wystarczy, żeby naraić adwokatowi klientów.

Jeszcze raz obejrzałem reklamy Taglieriego, zapisałem numer telefonu i zacząłem łączyć cyfry z literami, próbując stworzyć słowo lub dwa, dzięki którym łatwiej będzie zapamiętać numer. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Gdyby Taglieri dodał drugi, bezpłatny numer, może mógłbym coś wykombinować. Z początku pomyślałem o tym, żeby przeliterować nazwisko. Może mógłbym zrobić coś w stylu W-I-N-4-Y-O-U albo T-A-G-I-S-T, a nawet B-U-L-L-D-O-G, ale nic nie brzmiało jak należy. Miałem nadzieję, że z czasem przyjdzie mi do głowy coś lepszego.

Przekonany, że biznes Taglieriego skorzysta na innych formach promocji, w pierwszej kolejności skupiłem się na spotach, bo wiedziałem, że jest to język, który zrozumie. Jak je ulepszyć – jak sprawić, by były inne niż wszystkie – i przekonać go do zmiany? Przez kilka godzin spisywałem pomysły, aż w końcu w głowie zaświtała mi pewna myśl: do diabła z biurem i garniturem, pokażmy Taglieriego przed gmachem sądu

w swetrze, w którym wygląda jak facet z sąsiedztwa, ktoś, komu naprawdę zależy. Podobny scenariusz, ale bardziej... swojski i luzacki w stylu i wymowie.

Zdecydowanie inny, ale wciąż nie miałem pewności, czy to coś w stylu Cala Worthingtona. Może to przez zmęczenie, ale choć po głowie chodziły mi różne slogany, obrazy i pomysły, wciąż wracałem do tego najbardziej niedorzecznego. Chcesz agresywnej reklamy? Może przebierzesz się za superbohatera i jak huragan wpadniesz przez drzwi, żeby odegrać się na złych agentach ubezpieczeniowych? Albo lepiej: ubiorę cię w amerykańską flagę z wizerunkami wyleniałych orłów, żeby pokazać, jaki jesteś wiarygodny? A może każę ci robić fajne rzeczy: łamać deski jak karateka, żeby udowodnić, że zrobisz wszystko, żeby wygrać?

Doszło do tego, że śmiałem się sam do siebie, choć nie wyobrażałem sobie, żebym mógł wykorzystać któryś z tych pomysłów. Owszem, były oryginalne i nowatorskie, ale ludzie, którzy doznali uszczerbku na zdrowiu, nie potrzebowali komedii. Potrzebowali doświadczenia, nieustępliwości i zaufania, i nagle uderzyła mnie myśl, że zamiast łączyć to wszystko w jednym spocie, może dałoby się stworzyć serię...

Zachwycony swoim pomysłem, czułem, jak wali mi serce. Zastanawiałem się, czy Taglieri w ogóle będzie zainteresowany czymś takim. Wiedziałem, że jeśli uda mi się go przekonać, będę musiał przeforsować pomysł na dwa, trzy spoty. Pierwszy będzie przypomnieniem tego, czym zajmuje się obecnie, ale drugi i trzeci?

Musiały się różnić i podczas gdy pierwsza będzie krótka, pozostałe będą przypominały wydarzenie specjalne; seria spotów, które pokazywano by od czasu do czasu, coś jak opowieść...

Czułem, jak trybiki w mojej głowie pracują pełną parą. W umyśle zakiełkował mi pomysł, nad którym pracowałem przez następne kilka godzin, składając go w całość i dopasowując kolejne elementy układanki.

Co do trzeciego spotu – krótkiego, pełnego humoru i skupiającego się na pojedynczym temacie – pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy wyłączałem laptopa. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki kolejny raz doznałem olśnienia i po chwili wiedziałem już, czego chcę.

Godzinę później zadowolony zgasilem światła i choć nie zasnąłem od razu, spałem lepiej niż w ciągu ostatnich kilku tygodni.

*

– Chcesz powiedzieć, że wybrałeś mnie na królika doświadczalnego do swojego eksperymentu?

Był czwartkowy ranek i Joey – podobnie jak ja – miał na sobie szorty i koszulkę. Wciąż jednak się pocił.

– Nie ująłbym tego w ten sposób.

– Wiesz, że jestem zajęтым człowiekiem? Nie wiem, czy dam radę udźwignąć więcej.

Kolejny powód, żeby mi odmówić, a ja nie miałem pojęcia, co na to powiedzieć. Musiał wyczytać to z mojej twarzy, bo się roześmiał.

– Żartuję. Muszę złapać jak najwięcej klientów i wybrać spośród nich tych, dzięki którym będę w stanie zapłacić rachunki. Mam trzech wspólników i trzech aplikantów, a to znaczy, że wydatki są spore. W dzisiejszych czasach to, czym się zajmuję, to prawdziwa żyła złota, nawet jeśli trzeba przesiać tony mułu, żeby dokopać się do samorodków. Chcę, żeby ludzie walili do mnie drzwiami i oknami.

– Dlatego z tobą rozmawiam. Mogę ci pomóc.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby coś stworzyć?

– Mam już pomysł – odparłem. – Sfinalizowanie wszystkiego nie powinno potrwać długo.

Przyjrzał mi się z uwagą.

– Dobra. W poniedziałek o trzynastej. Przez resztę tygodnia i przez następny tydzień jestem w sądzie.

Nie chciałem czekać aż tak długo, nawet jeśli najbliższe trzy dni oznaczały, że będę miał ręce pełne roboty.

- Poniedziałek o trzynastej. Jesteśmy umówieni.
- Tylko pamiętaj.
- O czym?
- Nie marnuj mojego czasu. Nienawidzę, kiedy ludzie marnują mój czas.

*

Po południu, wiedząc, że prezentacja musi być bogata w informacje i bardziej szczegółowa od tych, które przygotowywałem w ubiegłym tygodniu, zabrałem się do pracy. Choć zamierzałem przedstawić plan, który otwierał możliwość kampanii w rozmaitych mediach, zacząłem od spotów telewizyjnych, bo to one najbardziej interesowały Taglieriego. W pierwszej kolejności zabrałem się za pisanie scenariusza, a gdy miałem wstępny szkic, zacząłem wycinać i wklejać zdjęcia, które znalazłem w internecie, tak by przedstawić Joeyowi swoją wizję. Kiedy ja pracowałem, London bawiła się lalkami Barbie, a ponieważ siedziałem w kuchni, miałem ją na oku.

Było po piątej, gdy Vivian wróciła do domu. Zanim poszła do London i zaczęła przygotowywać kolację, pokrótce opowiedziałem jej o tym, co wydarzyło się wczoraj. Dopiero kiedy położyłem London spać, mogliśmy spędzić trochę czasu we dwoje. Zostałem żoną na kanapie z magazynem na kolanach i niemal pustym kieliszkiem wina na skraju stolika.

- Zasnęła? – spytała.
- Była zmęczona. Przeczytaliśmy tylko dwie książeczki.
- Jak ci idzie praca?
- Mnóstwo roboty, ale jakoś to ogarnę.
- Wjeżdżając do garażu, zauważyłam, że naprawiłeś swój rower.
- Chcę móc pojeździć razem z nią.
- Powiedziała, że znowu byliście na rowerze.

– Ona była. Ja biegałem i mało się nie wykończyłem. Stąd te naprawy. Jest całkiem niezła. Nie nadążam już za nią.

– Ma mnóstwo energii.

– To prawda.

Przewróciła kartkę.

– Kiedy byłem poza miastem, zadzwoniłam do kilku ośrodków opieki dziennej.

– Poważnie? – zapytałem, czując zdumienie, ulgę i nagłe poczucie winy, którego się nie spodziewałem. Nasze poprzednie rozmowy na ten temat niemal utwierdziły mnie w przekonaniu, że Vivian nigdy tego nie zrobi. – Kiedy znalazłaś na to czas?

Pokiwała głową.

– Gdy Walter był na spotkaniu z senatorem Thurmanem. Tak tylko zadzwoniłam. Nie umawiałam się na żadne spotkania, bo nie wiedziałam, gdzie pojedę w przyszłym tygodniu.

– Znowu wyjeżdżasz?

– Na to wygląda. Ale nie wiem jeszcze którego dnia.

– A kiedy będziesz wiedziała?

– Mam nadzieję, że jutro, ale to nic pewnego. Dam ci znać, jak tylko się czegoś dowiem.

Nie wiem, czy Spannerman wiedział, że planowanie wyjazdów na ostatnią chwilę jest nie w porządku wobec pracowników, ale znając go, wcale się tym nie przejmował.

– I co ci powiedzieli w ośrodkach?

– Nie rozmawiałam z nimi długo. Chciałam się tylko dowiedzieć, jakie oferują zajęcia, ile mają dzieciaków i takie tam.

– No i?

– Wydają się w porządku. Ludzie, z którymi się kontaktowałam, udzielili mi wielu informacji, ale nawet oni powiedzieli, że jeśli chcemy dowiedzieć się czegoś więcej, powinniśmy ich odwiedzić.

– Masz rację – odparłem. – A przy okazji, jak podróż?

– Udana. Oprócz tego z senatorem Spannerman miał jeszcze spotkania z dwoma kongresmenami i naszym lobbystą. Teraz,

kiedy komitet wyborczy jest lepiej finansowany, łatwiej spotykać się z właściwymi ludźmi.

– Nic dziwnego.

Wzruszyła ramionami.

– Czyli wczoraj wieczorem jedliście pizzę? I lody?

– Pomyślałem, że mała się ucieszy. Po lekcji tańca nie była w najlepszym humorze.

– Spodoba jej się, kiedy zaczniesz brać udział w konkursach. Tak samo było ze mną.

– Tańczyłaś?

– Przecież ci mówiłam.

Nie pamiętałem tego.

– Jak długo? – spytałem.

Nerwowo kartkowała magazyn.

– Dwa, trzy lata? Czy to ważne?

– Nie. Tak tylko chciałem wiedzieć.

– To nic wielkiego. Mojej nauczycielce daleko było do pani Hamshaw. A szkoda. Może wtedy tańczyłabym dłużej. – Dopięła wino. – Nalejesz mi jeszcze pół kieliszka? Padam z nóg i naprawdę chcę się dziś wyspać. Zwłaszcza że obiecałam, że wynagrodzę ci nasz randkowy wieczór.

– Tak – odparłem zadowolony, że pamięta. – Jasne.

Wstałem z kanapy, poszedłem do kuchni i wróciłem z kieliszkiem wina. W międzyczasie Vivian zmieniła kanał na reality show i choć siedzieliśmy razem przez następną godzinę, milczała, oglądając program i kartkując magazyn, jakby w ogóle mnie tam nie było.

*

W piątek rano zaraz po przebudzeniu zacząłem myśleć o prezentacji. Chwilę później byłem już na nogach i tak jak poprzedniego dnia pracowałem przy kuchennym stole, aż przyszedł czas zawieźć London na zajęcia plastyczne. Podczas gdy moja córka malowała, jak zaszyłem się w barze kawowym

i zatopiony w myślach, straciłem poczucie czasu. Kiedy się zorientowałem, było już po zajęciach.

Ups.

Zebrałem swoje rzeczy i puściłem się pędem do pracowni. Odetchnąłem z ulgą, kiedy zobaczyłem London i Bodhiego, którzy stali w kącie, niemal stykając się głowami. Zamierzałem zawołać, ale zauważyłem Emily, która obserwowała mnie wyraźnie rozbawiona.

– Cześć, Russ.

– O, cześć, Emily. Wciąż tu jesteś?

Uśmiechnęła się wyraźnie odprężona.

– Kilka minut temu widziałam cię w barze kawowym, wyglądałeś na bardzo zajętego. Nie przyszedłeś, więc pomyślałam, że zaczekam i dopilnuję, żeby London nic się nie stało.

– Nie musiałaś – bąknąłem.

– Nie ma problemu. Uwierz mi, mój syn był przeschęśliwy, że się spóźniasz.

– Gdzie on jest?

– Mój syn? – Wskazała głową London. – Rozmawia z twoją córką.

Chyba powinienem był zauważyć podobieństwo, jednak dopiero teraz, kiedy się dowiedziałem, widziałem je jak na dłoni.

– Bodhi to twój syn?

– Świat jest mały, co? – Widząc, że zerkam na dzieciaki, dodała: – W tym wieku są takie słodkie, prawda? Takie... niewinne.

– Myślałem o tym samym.

– Żadnych chomików dzisiaj?

– Miałem je przynieść?

Roześmiała się.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale Bodhi uwielbia Pana i Panią Sprinkles. Odkąd zobaczył te chomiki, pyta, czy też mógłby takie dostać.

– Przykro mi. Za to London nic, tylko chce się bawić z waszym psem. I oglądać miecz świetlny Bodhiego.

– Nawet mi nie mów. Bodhi wszędzie z nim chodzi. W niedzielę rozplakał się, kiedy powiedziałam mu, że nie może go zabrać do kościoła. Jak tam praca?

– Nieźle. Mam nadzieję, że skończę w ten weekend. A twoje malowanie?

– Ciężko było wpaść w rytm. Ostatnie lata nie należały do najłatwiejszych.

– Rozumiem. Nie miałem jeszcze okazji zajrzeć do galerii, która wystawia twoje prace.

– Nie oczekiwałam, że tam pojedziesz. Podejrzewam, że mając na głowie London i pracę, jesteś dość zabiegany. Twoja córka ma napięty grafik. Taniec, pianino, zajęcia plastyczne, a teraz jeszcze tenis. – Widząc moją minę, dodała: – Cóż mogę ci powiedzieć? Bodhi bez przerwy o niej mówi. Chce umówić się z London na wspólną zabawę.

– Ona też tego chce, ale szczerze? Nie wiem nawet, jak się do tego zabrać.

Wyczułem jej rozbawienie.

– To nie takie skomplikowane, Russ. Możemy o tym pogadać. A jak wygląda twój grafik? Masz czas w poniedziałek po południu? Mógłbyś podrzucić do nas London?

Kiedy tylko to powiedziała, zdałem sobie sprawę, że to idealne rozwiązanie. Ale...

– Masz jakieś inne plany? – zapytała, gdy nie odpowiedziałem.

– Nie – odparłem. – Nie o to chodzi. Właściwie o trzynastej jestem umówiony na prezentację.

– To świetnie. Po zajęciach zabiorę London do siebie. Zjemy razem lunch, a dzieciaki będą mogły się pobawić, dopóki po nią nie przyjedziesz.

– Nie chcę robić z ciebie opiekunki do dzieci. Zwłaszcza że ja będę w pracy.

– To się nazywa szczęśliwy zbieg okoliczności. Po prostu się umówmy, dobrze?

– Jesteś pewna? Nie chcę cię wykorzystywać.
Roześmiała się.
– W ogóle się nie zmieniłeś, co?
– Co masz na myśli?
– Za bardzo przejmujesz się rzeczami, którymi nie powinieneś się przejmować. Nie sądzisz, że gdybym miała coś do roboty, znalazłabym kogoś do opieki nad Bodhim?
– Dziękuję – odparłem. – Bardzo mi pomożesz.
– Cieszę się, a Bodhi będzie zachwycony. Oczywiście przez cały weekend będzie chodził jak nakręcony, a ja będę musiała sobie z tym poradzić. A skoro o wilku mowa, idą dzieciaki.
Patrzyłem, jak London i Bodhi truchtają w naszą stronę.
– Mamo? – zapytał Bodhi. – Możemy iść na lunch do Chick-fil-A?
– Pewnie – odparła Emily.
Poczułem, że London ciągnie mnie za rękaw.
– Tatusiu? My też możemy?
– Chcesz iść do Chick-fil-A?
– Proszę – rzuciła błagalnie.
Wiedziałem, że Emily czeka na moją odpowiedź, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy perspektywa naszego towarzystwa cieszy ją, czy martwi.
– Tak – odparłem w końcu. – Możemy.

*

W Chick-fil-A było gwarno i tłoczno. London i Bodhi od razu pobiegli do strefy zabaw, podczas gdy ja i Emily rozmawialiśmy w kolejce. Odebrawszy zamówienie, zawołaliśmy dzieciaki i patrzyliśmy, jak pochłaniają jedzenie, zanim znowu wróciły do zabawy.

– Lubię tu przychodzić, bo Bodhi może się wyszaleć. Odkąd rozstałam się z Davidem, zrobił się hałaśliwy i rozpiera go energia. Rzadko widuje się z ojcem i nie jest mu łatwo.
– Przykro mi to słyszeć.

- Jest, jak jest. Niewiele mogę zrobić w tej kwestii.
- Nie możesz porozmawiać z byłym mężem, żeby spędzał z nim trochę więcej czasu?
- Nie ma szans. W kwietniu przeprowadził się do Australii. Przyjeżdża za dwa tygodnie i zostanie w mieście do końca września. Chodzi o jakiś duży projekt czy coś w tym stylu. Powiedział, że chciałby widywać się z synem tak często, jak to możliwe. Super, tylko że to zupełnie zaburzy harmonogram zajęć Bodhiego, a nie wiem, kiedy David znowu przyjedzie. Nie mam pojęcia, jak Bodhi poradzi sobie z tym, że ojciec znów go zostawia. – Pokręciła głową. – Przepraszam. Obiecałam sobie, że nie będę jedną z tych kobiet, które bez przerwy gadają o swoich byłych.
- Czasami się nie da, zwłaszcza gdy chodzi o dzieci.
- Wiem, że masz rację, ale to i tak robi się nudne. Cholera, zanudzam samą siebie takimi gadkami. – Splotła palce i położyła dłonie na stole. – Może więc powiesz mi, nad czym właściwie pracujesz. Kiedy cię dziś zobaczyłam, byłeś kompletnie pochłonięty pracą.
- To prezentacja dla potencjalnego klienta. Facet jest adwokatem; to dla mnie duża sprawa. Interesy nie idą tak, jak to sobie wyobrażałem.
- Jestem pewna, że spodoba mu się twój pomysł.
- Niby skąd ta pewność?
- Bo jesteś mądry i kreatywny. Zawsze taki byłeś. To twój dar.
- A ja myślałem, że to ty jesteś tą kreatywną.
- Dlatego tak dobrze się dogadywaliśmy. – Wzruszyła ramionami. – W każdym razie do pewnego momentu.
- Jak działa cały ten biznes z obrazami?
- Pytasz o pracę? Czy o to, jak zaczęłam malować?
- Jedno i drugie. Wiedziałem, że pasjonujesz się malarstwem, ale zawsze mówiłaś, że, jak znasz życie, zrobisz dyplom i będziesz gdzieś uczyć.
- Miałam szczęście. Po tym, jak zerwaliśmy, odbiło mi trochę i nie robiłam nic poza malowaniem. Przenosiłam na płótna cały

swój ból i niepokój. Na koniec wstawiłam je wszystkie do garażu rodziców, bo nie miałam pojęcia, co z nimi zrobić. Nie wiedziałam nawet, czy którekolwiek z nich są dobre. Nieco później poznałam Davida, życie ruszyło do przodu, a ja dowiedziałam się o festiwalu sztuki w Greensboro. Pod wpływem chwili postanowiłam wynająć stoisko i jeszcze przed otwarciem festiwalu poznałam właściciela galerii. Przejrzał moje prace i z miejsca postanowił wystawić niektóre z nich. Sprzedałam wszystko w ciągu miesiąca.

– To niesamowite – powiedziałem.

– Jak już mówiłam, miałam szczęście.

– To coś więcej niż szczęście. Ale mam przez to wyrzuty sumienia.

– Dlaczego?

– Bo to ja byłem źródłem twojego bólu i niepokoju. Nadal żałuję tego, co ci zrobiłem, i chciałbym cię przeprosić.

– Już przeprosiłeś dawno temu – odparła.

– Wiem, ale mimo wszystko...

– Poczucie winy to marnowanie uczuć, Russ. Przynajmniej tak twierdzi moja mama. Poza tym mogłam to znieść nieco lepiej.

– Zniosłaś to bardzo dobrze.

– Skoro tak mówisz... Ja tylko twierdzę, że bez tego moje życie zawodowe nie wyglądałoby tak jak teraz. A moje małżeństwo nie przetrwałoby tak długo. Powiedzmy, że musiałam nauczyć się przebaczać.

– David miał romans?

– Niejeden. Wiele.

– Dlaczego nie odeszłaś od niego wcześniej?

Wskazała głową syna.

– Dla niego. David mógł być fatalnym mężem, ale dla Bodhiego był bohaterem. Myślę, że nadal nim jest. – Urwała i pokręciła głową. – No i znowu gadam o swoim byłym.

– To nic.

Przez chwilę milczała.

– Wiesz, co jest najtrudniejsze w byciu rozwiedzionym? Nie jestem nawet pewna, co to znaczy być samotnym, niezależnym, dorosłym człowiekiem. Praktycznie zaraz po rozstaniu z tobą poznałam Davida, a teraz proszę bardzo: nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Między pracą a opieką nad Bodhim nie mam czasu, żeby łączyć do barów czy na imprezy. Zresztą nigdy za tym nie przepadałam. Chodzi o to... – Kiedy szukała właściwych słów, na jej twarzy pojawił się smutek. – To nie jest życie, jakie sobie wymarzyłam. Czuję się obco we własnej skórze.

– Nie wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym został sam.

– Mnie się to nie podoba. Ale uwierz mi, czasami druga opcja bywa jeszcze gorsza.

Przytaknąłem, nie wiedząc, co powiedzieć. Chwilę później westchnęła i dodała:

– Cieszę się, że mogę pracować w domu. Gdyby nie to, Bodhiemu byłoby jeszcze trudniej.

– Sprawia wrażenie szczęśliwego.

– Bo zwykle tak jest. Ale od czasu do czasu robi się nieznośny.

– Chyba wszystkie dzieci tak mają. Nawet London potrafi dostać napadu złości.

– Tak?

Opowiedziałem jej o ubiegłym tygodniu. Gdy skończyłem, Emily spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem.

– Chwileczkę. Kiedy Vivian wróciła do domu, nie zabrała London na farmę? – zapytała.

– Powiedziała, że jest za gorąco, więc zamiast tego pojechały do centrum handlowego. London to chyba nie przeszkadzało. Myślę, że cieszyła się, bo mama wróciła do domu. Wciąż oswaja się z sytuacją, że Vivian pracuje i to ja się nią zajmuję.

– Z tego, co widzę, idzie ci całkiem nieźle.

– Sam nie wiem. Czasami mam wrażenie, że udaję.

– Ja też. To normalne.

– Poważnie?

– Oczywiście. Kocham Bodhiego, ale nie budzę się radosna, że będę musiała zabrać go do dentysty, pomóc mu sprzątać pokój

albo zawieźć go tu czy tam. To normalne. Na tym polega rodzicielstwo.

– Wciąż mam wrażenie, że nie robię wystarczająco dużo. Wczoraj i dziś rano pracowałem i zostawiłem London samą sobie. To znaczy miałem ją na oku, ale nie spędzałem z nią czasu.

– Nie bądź dla siebie taki surowy. Na pewno nic się jej nie stało. Z czasem odnajdziesz równowagę między pracą i wychowywaniem dziecka. Spójrz na dzisiejszy dzień. Właśnie z powodzeniem umówiłeś London na wspólną zabawę z moim synem.

Tak, pomyślałem.

– Dzięki – rzuciłem. – Odbiorę ją zaraz po spotkaniu.

– Świetnie. Oczywiście o czymś zapomniałeś.

– To znaczy?

– Będziesz potrzebował mojego adresu. I numeru telefonu. –

Sięgnęła po komórkę. – Daj mi swój numer, a ja prześlę ci resztę.

Dyktowałem jej numer, kiedy dzieciaki wróciły do stołu.

– Cześć, mamó. Mamy już dość – oświadczył Bodhi.

– Dobrze się bawiliście?

– Weszliśmy na samą górę.

– Widziałam. Świetnie ci idzie. I wiesz co? London przyjedzie do nas w poniedziałek, żeby poznać Noodle.

Rozpromienili się.

– Naprawdę? Dzięki, mamó! Będzie mogła przywieźć Pana i Panią Sprinkles?

Kiedy Emily spojrzała na mnie, podniosłem ręce w geście poddania.

– Ty zdecyduj. Mamy kłatkę podrózną.

– Czemu nie? – odparła Emily. – Jestem pewna, że Noodle będzie zachwycona.

Roześmiałem się, ale gdy razem z London szliśmy do samochodu, poczułem się niezręcznie na myśl, że zjadłem lunch z Emily – coś, czego od dawna nie robiłem z własną żoną – a nasza rozmowa nie była wymuszona.

Ale pewnie za bardzo się przejmowałem, prawda?

ROZDZIAŁ 11

A później była jedna

Emily powiedziała, że poczucie winy to marnowanie uczuć, lecz nie jestem tego taki pewien. Rozumiem, co miała na myśli – poczucie winy nie jest w stanie zmienić przeszłości – ale było narzędziem, które moja mama wykorzystywała, wychowując Marge i mnie. „Zjedz do końca – na świecie pełno jest głodujących ludzi”, powtarzała, zwłaszcza gdy serwowała nam niespodziankę z resztek, bo tylko tak można określić to danie. Cokolwiek zostało w lodówce, na koniec tygodnia lądowało razem w gulaszu albo stanowiło farsz do lasanii, a my zastanawialiśmy się, jak to możliwe, że wołowina w sosie teriyaki zmieszana z makaronem fettuccine i kurczakiem nie wywołuje u nas odruchu wymiotnego. Inne popularne powiedzenia: „Gdyby naprawdę zależało ci na tej rodzinie, wyniósłbyś śmieci” oraz „Może pewnego dnia pokochasz swoją matkę na tyle, żeby zamieść werandę”, sprawiały, że kulilem się w sobie i zastanawiałem się, jak mogę być tak niewdzięcznym dzieckiem.

Mama bez skrupułów wykorzystywała poczucie winy, żeby nas kontrolować, i czasami żałuję, że sam tak nie potrafię. Chciałbym móc sobie wybaczyć i żyć dalej, jak gdyby nigdy nic, ale skoro chciałem tak bardzo się zmienić, dlaczego po prostu tego nie zrobiłem? Raz, kiedy London uczyła się chodzić, zabrałem ją na spacer jedną z mniej uczęszczanych ścieżek w parku. Nie szliśmy długo ani daleko i gdy zobaczyłem, że jest zmęczona, wskazałem pień, na którym mogła odpocząć.

Chwilę później usłyszałem krzyk, a zaraz potem rozplakała się, jakby coś ją bolało. Przerażony wziąłem ją na ręce, próbując zrozumieć, co się dzieje, i zobaczyłem kilka mrówek, które chodziły jej po nodze.

Jak się okazało, nie były to zwykłe mrówki. To były niezwykle agresywne mrówki ogniste ze szczękami i żądłami. Roily się, gryzły i żądliły, pozostawiając bolesne ślady, i w miarę jak próbowałem je odgonić, pojawiała się ich coraz więcej. Były w ubraniach London, w jej skarpetkach, a nawet butach. Niewiele myśląc, postawiłem ją na ziemi i zacząłem zdejmować z niej ubrania, wszystkie, nawet pieluszkę. Przy okazji sam zostałem porządnie pokąsany, po czym z rozhisteryzowaną London wróciliśmy do samochodu.

Nie wiedziałem, co robić – to, jak wiele innych rzeczy, było domeną Vivian. Po niespełna pięciu minutach szalonej jazdy dotarłem do domu. Wniosłem córkę do środka, gdzie Vivian przejęła dowodzenie. Kiedy zwracała się do mnie, jej ton był ostry, ale do London przemawiała z wyjątkową łagodnością. Zaniosała ją do łazienki, zdezynfekowała ukąszenia spirytusem, podała małej środek antyhistaminowy i zrobiła jej zimne kompresy.

Możliwe, że jej opanowanie i pewność siebie sprawiły, że London wreszcie się uspokoiła. Tymczasem ja czułem się jak przypadkowy przechodzień, który był świadkiem strasznego wypadku, i zdumiony obserwowałem żonę, która dokładnie wiedziała, co robić.

Koniec końców okazało się, że nic wielkiego się nie stało. Wróciłem do parku i wyrzuciłem do kosza ubrania London, po których ciągle chodziły mrówki. Swędzenie utrzymywało się przez dzień czy dwa i wkrótce London zapomniała o całej sprawie. Teraz w ogóle nie pamięta tamtych wydarzeń – pytałem ją o to – i choć dzięki temu czuję się lepiej, wciąż mam poczucie winy, kiedy myślę o tym koszmarnym dniu. Dostałem nauczkę. Teraz uważam, gdzie siada London, gdy jesteśmy w lesie albo w parku. To dobrze. Dzięki temu już nigdy więcej nie obejdą jej ogniste mrówki.

Innymi słowy, poczucie winy nie zawsze jest takie złe. Dzięki niemu nie popełniamy dwa razy tych samych błędów.

*

Po lunchu w Chick-fil-A z Emily poświęciłem popołudnie na pracę. Chcąc zorientować się, ile wydaje Taglieri, zadzwoniłem do kumpla z działu sprzedaży u operatora telewizji kablowej. Okazało się, że Taglieri płacił jak za zboże za reklamy nadawane w porze kiepskiej oglądalności – fatalnie dla niego, ale dobrze dla mnie. Następnie skontaktowałem się z kierownikiem ekipy filmowej, z której usług zamierzałem skorzystać. Pracowaliśmy razem w przeszłości; powiedziałem mu, na czym mi zależy, i przygotowaliśmy wstępny kosztorys. Wszystkie informacje zapisałem na kartce, żeby w każdej chwili móc po nią sięgnąć, na wypadek gdybym potrzebował jej w czasie prezentacji. Udoskonaliłem scenariusze, dodałem kilka obrazków i w ten sposób miałem praktycznie gotowe dwa spoty.

W doskonałym nastroju oczekiwałem wieczoru randkowego, choć musiałem jeszcze zawieźć London na lekcję tańca ze złą panią Hamshaw. Vivian wróciła do domu o rozsądnej godzinie i kiedy położyliśmy córkę spać, zjedliśmy kolację przy świecach i wylądowaliśmy w sypialni. Nie było jednak tak magicznie, jak się tego spodziewałem; dopiero przy trzecim kieliszku wina Vivian nieco się odprężyła i choć wiem, że żaden miesiąc miodowy nie trwa wiecznie, wierzyłem chyba, że można zastąpić go czymś głębszym, niezwykłą więzią w stylu „nas dwoje przeciwko całemu światu”, a nawet wzajemną wdzięcznością. Z jakiegoś powodu – może dlatego, że wyczuwałem, iż oddaliśmy się od siebie – wieczór ten odrobinę mnie rozczarował.

W sobotę rano Vivian postanowiła w pełni wykorzystać czas dla siebie, by przez resztę dnia zajmować się London. Dzięki temu mogłem skupić się na innych obszarach prezentacji: zaktualizowanej stronie internetowej, reklamie w internecie, radiu i na billboardach. Dodałem prognozowane wydatki za cały

rok, łącznie ze swoim wynagrodzeniem, i obliczyłem, ile Taglieri mniej więcej zaoszczędzi.

Pracowałem też w niedzielę, a gdy po południu chciałem przejrzeć prezentację z Vivian, nie miała ochoty słuchać mnie ani ze mną rozmawiać, tak więc reszta wieczoru upłynęła nam w tej samej pełnej napięcia atmosferze, która powoli zaczynała stawać się normą. I choć rozumiałem, że nasze życie zmierzało w kierunku, którego żadne z nas się nie spodziewało, zacząłem się zastanawiać nie tyle nad tym, czy Vivian nadal mnie kocha, ale czy jeszcze w ogóle mnie lubi.

*

W poniedziałek rano, zanim London się obudziła, wszedłem do łazienki, w której Vivian malowała oczy.

– Masz chwilę?

– Pewnie. O co chodzi?

– Jesteś na mnie zła? Wczoraj wieczorem wydawałaś się podenerwowana.

– Naprawdę? Chcesz rozmawiać o tym teraz?

– Wiem, że to nie najlepszy moment...

– Rzeczywiście. Za kwadrans muszę wyjść do pracy. Dlaczego zawsze to robisz?

– Co?

– Robisz ze mnie potwora.

– Nie robię z ciebie potwora. Po tym, jak skończyłem prezentację, praktycznie się do mnie nie odzywałaś.

W jej oczach pojawił się błysk.

– Może dlatego, że ty ignorowałaś nas przez cały weekend?

– Nie ignorowałem was. Pracowałem.

– Nie szukaj wymówek. Od czasu do czasu mogłeś zrobić sobie przerwę, ale zamiast tego robiłeś, co chciałeś. Jak zawsze.

– Próbuję powiedzieć, że od jakiegoś czasu chodzisz obrażona. W czwartek wieczorem też prawie nie zamieniłaś ze mną słowa.

– Na litość boską. Byłam zmęczona! Nie próbuj wzbudzać we mnie poczucia winy. Zapomniałeś o wieczorze randkowym? Chociaż w piątek padałam z nóg, ubrałam seksowną bieliznę i kochaliśmy się, bo wiedziałam, że tego chcesz. Mam dość poczucia, że ciągle robię za mało.

– Vivian...

– Dlaczego zawsze bierzesz wszystko do siebie? – przerwała mi. – Dlaczego nie możesz być po prostu szczęśliwy? Ty też nie jesteś ideałem, ale czujesz się wielce urażony, gdy stwierdzam fakt i mówię, że nie jesteś w stanie utrzymać naszej rodziny.

Wzdrygnąłem się. Niby co jej zdaniem robiłem przez cały weekend? Ale ona nie oczekiwała odpowiedzi. Minęła mnie bez słowa, chwyciła torebkę i trzaskając drzwiami, wyszła z domu.

Hałas musiał obudzić London, bo kilka minut później zeszła na dół i zastała mnie przy kuchennym stole. Wciąż miała na sobie piżamę, a jej włosy były w nieładzie.

– Czy ty i mamusia się kłóciliście?

– Rozmawialiśmy – odparłem. Wciąż nie doszedłem do siebie po wybuchu Vivian i czułem, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Przepraszam, jeśli obudził cię trzask drzwi.

Potała nos i rozejrzała się dookoła. Nawet półprzytomna, była najpiękniejszą dziewczynką na świecie.

– Gdzie mamusia? – zapytała w końcu.

– Musiała iść do pracy, kochanie.

– Och – westchnęła. – Czy dziś rano mam lekcję tenisa?

– Tak. I zajęcia plastyczne z Bodhim. Pamiętaj, żeby wziąć chomiki.

– Dobrze – przytaknęła.

– Może przytulisz staruszkę?

Podeszła, objęła mnie i uścisnęła.

– Tatusiu?

– Tak?

– Mogę zjeść na śniadanie Lucky Charms?

Przytuliłem ją, myśląc o tym, jak bardzo tego potrzebowałem.

– Oczywiście.

*

Tego ranka Taglieri nie pojawił się na trybunach; zamiast niego zobaczyłem kobietę, prawdopodobnie była numer trzy, obok której dreptała córka Joeya. Nie wiem, czego się spodziewałem – może tlenionej blondyny – ale ona niczym się nie różniła od pozostałych matek.

Wziąłem z sobą laptopa, żeby jeszcze raz przejrzeć prezentację, jednak nie mogłem się skoncentrować. Słowa Vivian wracały do mnie jak bumerang i choć rzeczywiście ślęczałem nad prezentacją przez cały weekend, jej reakcja była przesadna i niesprawiedliwa. Chciałem uczynić ją szczęśliwą, ale sądząc po jej minie, nie potrafiłem.

To, czego doświadczyłem dziś rano, nie było wyłącznie wybuchem złości.

Dziś rano Vivian okazała mi pogardę.

*

– Wszystko dobrze? – zapytała Emily.

Zaraz po tym, jak weszliśmy do pracowni, London podreptała do Bodhiego, ostrożnie niosąc transporterek z chomikami. Kiedy patrzyłem na córkę, Emily musiała dostrzec coś w mojej twarzy, ale nie chciałem mówić jej o porannej rozmowie z Vivian. Wydawało mi się to nie w porządku.

– Tak. Kiepski poranek.

– Właśnie widzę – rzuciła. – Jak możemy pozbyć się tego grymasu?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Może milion dolarów mogłoby pomóc?

– Niestety nie mam tyle, ale co powiesz na tic taca? Chyba mam jakieś w torebce.

Uśmiechnąłem się, choć wcale nie było mi do śmiechu.

– Dzięki, ale nie.

– Jesteśmy umówieni? Bodhi nie mówi o niczym innym, odkąd się obudził.

– Tak, nic się nie zmieniło.

– Gotowy na prezentację?

– Mam nadzieję – odparłem. Przełożyłem laptopa z ręki do ręki, bo nagle wydał mi się dziwnie ciężki. – Właściwie denerwuję się bardziej, niż mógłbym przypuszczać. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, Taglieri będzie moim pierwszym klientem, a ja nie miałem nawet czasu, żeby przećwiczyć, co chcę mu powiedzieć. Kiedy pracowałem u Petersa, zawsze miałem pod ręką kogoś, kto mnie wysłuchał.

– Może przećwiczysz to ze mną? Wiem, że nie znam się na reklamie, ale chętnie posłucham.

– Nie mogę cię o to prosić.

– Przecież nie prosiłeś. Sama zgłosiłam się na ochotnika. Mam trochę wolnego czasu. Poza tym nigdy wcześniej nie słyszałam, jak spec od reklamy bajeruje klienta. To będzie dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

Chociaż wiedziałem, że robi to z grzeczności, musiałem to przećwiczyć, choćby po to, żeby zapomnieć o porannej kłótni z Vivian.

– Dzięki – rzuciłem. – Będę twoim dłużnikiem.

– Już nim jesteś. Zabieram London do siebie, pamiętasz? Nie żebym notowała wyniki.

– Jasne.

Poszliśmy do baru kawowego i usiedliśmy przy stoliku. Najpierw pokazałem Emily kilka slajdów w PowerPoincie, które stanowiły dowód na potęgę reklamy, kilka kolejnych, które były przykładami kiepskiej reklamy i źle ulokowanych pieniędzy, a także parę spotów, w które zainwestowały kancelarie prawnicze z Charlotte, wraz z szacowanymi dochodami. Od tego momentu prezentacja skupiała się na konieczności zamieszczania reklam na różnych platformach, po to, by zwiększyć świadomość, i przedstawiała wstępną wersję przyjaznej użytkownikowi, nowoczesnej strony internetowej,

która – moim zdaniem – miała być dużo bardziej skuteczna. Następnie zamierzałem pokazać Taglieriemu szereg reklam kancelarii prawniczych, w tym jego własną, by zademonstrować, że niczym się nie różnią. Na sam koniec zostawiłem slajdy, które były dowodem na to, że nie tylko potrafię stworzyć całą kampanię – i nakręcić trzy spoty – ale sprawię, że na tym zaoszczędzi.

W pewnej chwili Emily wskazała na monitor.

– Zawsze wkładasz w to tyle pracy?

– Nie – odparłem. – Ale to jedyna szansa, żeby przekonać tego faceta. Drugiej nie będzie.

– Ja bym cię zatrudniła.

– Nie widziałaś jeszcze reklam.

– Już teraz sprawiasz wrażenie wyjątkowo kompetentnego. Ale dobrze, pokaż mi.

Wzięłem głęboki oddech i zaprezentowałem jej ogólny zarys dwóch spotów, które chciałem przeforsować; przy czym pierwszy był nieco podobny do tego, który już teraz można było zobaczyć w telewizji.

Na początek chciałem pokazać dwa zdjęcia z miejsca wypadku, fotografię z placu budowy i zdjęcie magazynu. W tle słyhać było głos Taglieriego: „Jeśli ucierpiałeś w wypadku samochodowym albo w miejscu pracy, będziesz potrzebował pomocy eksperta”. W tym momencie pojawia się Joey. Ubrany w rozpinany sweter przechadza się przed gmachem sądu i mówi do kamery.

Nazywam się Joey Taglieri i specjalizuję się w pomaganiu ludziom poszkodowanym w wypadkach. Znam się na tym i jestem po twojej stronie. Oferuję darmowe konsultacje i gwarantuję, że nie poniesiesz żadnych kosztów, dopóki nie odzyskam pieniędzy, które ci się należą. Wygrywałem dla swoich klientów miliony dolarów, a teraz chcę zrobić to samo dla ciebie. Pozwól mi walczyć w twoim imieniu. Zadzwoń...

Na ekranie pojawił się bezpłatny numer telefonu i słowo P-O-S-Z-K-O-D-O-W-A-N-I. Widząc to, Emily ściągnęła brwi.

– Podoba mi się, że jest na zewnątrz, a nie w biurze – powiedziała.

– Dzięki temu wydaje się bardziej przystępny, nie sądzisz? Chciałem też, żeby numer był łatwy do zapamiętania.

– Masz jeszcze drugą reklamę?

Skinąłem głową.

– Ta ma zupełnie inny klimat – uprzedziłem.

Spot otwierały zdjęcia z codziennego życia Charlotte – zarówno miejsc, jak i ludzi – podczas gdy w tle słychać było głos Taglieriego.

Powitajcie kolejny dzień w Queen City. Turyści zjeżdżają tu, żeby rozkoszować się widokami, dźwiękami i zapachami, ale naszą największą atrakcją nie są potrawy z grilla, tory wyścigowe, drużyny sportowe, jeziora, szlaki ani linia horyzontu. Są nią ludzie. Nasza społeczność. Nasze rodziny i przyjaciele, współpracownicy i sąsiedzi, dzięki którym każdy poczuje się tu jak w domu. A kiedy jednemu z nich przydarzy się wypadek w pracy, nieznamy w firmie ubezpieczeniowej, ktoś, kto być może nie wie nawet, gdzie leży Charlotte, zrobi, co w jego mocy, żebyście nie dostali pieniędzy, które się wam należą, nawet jeśli w grę wchodzi ludzkie życie. Ja się na to nie godzę.

W tym momencie kamera skupia się na Taglierim w koszuli i pod krawatem, ale bez marynarki.

Nazywam się Joey Taglieri i jeśli zostaliście poszkodowani w wypadku, i potrzebujecie pomocy, zadzwońcie do mnie. W końcu jesteśmy sąsiadami. Jestem po waszej stronie i tkwimy w tym razem.

Na koniec zabębniłem palcami w klawiaturę i zamknąłem pokrywę laptopa.

– I co myślisz?

– Bardzo swojska.

– Nie za bardzo?

– Ani trochę – odparła. – I na pewno oryginalna.

– To dobrze czy źle?

- Facet będzie zachwycony.
- Nie chcę marnować jego czasu. Nienawidzi tego.
- Tak ci powiedział?
- Tak.
- Przynajmniej jest szczery. To mi się podoba.

*

Kiedy wszedłem do kancelarii adwokackiej Joeya Taglieriego, nerwy miałem napięte jak postronki i starałem się opanować drżenie rąk. Właśnie zakończyłem prezentację i przedstawiłem mu pierwszy spot – drugi i kwestie finansowe trzymałem w rezerwie. Czekałem, aż coś powie. Cokolwiek. On tymczasem wpatrywał się w ostatnie zdjęcie.

– Ten numer telefonu jest dostępny?

– W ubiegły piątek jeszcze był. To numer, który łatwo zapada w pamięć.

Taglieri skinął głową.

– Podoba mi się, więc postanowione. Rozumiem też korzyści wypływające z innych form reklamy. Ale nie powiem, żeby ten spot zwał mnie z nóg.

Przytaknąłem, spodziewając się takiej reakcji.

– Po tym, co opowiedziałeś mi o Calu Worthingtonie, pomyślałem, że zamiast jednego spotu warto by było wypuścić serię – dodałem. – Z drugiej strony nie chciałem stawiać wszystkiego na jedną kartę. Prawnicy zajmujący się sprawami z zakresu uszkodzeń ciała wykorzystują takie reklamy, dlatego że są skuteczne.

– Serię spotów? To nie będzie drogie?

Przedstawiłem mu kosztorys.

– Na początku trzeba się liczyć z dodatkowymi kosztami, ale po roku nie tylko zaoszczędzisz, lecz zarobisz dużo więcej. Nie mówię wyłącznie o spotach, ale o kampanii reklamowej na różne sposoby.

Spoglądał na rubrykę, która pokazywała dotychczasowe wydatki, i wskazał ją palcem.

– Skąd wiedziałeś, ile wydałem do tej pory?

– Jestem dobry w tym, co robię – odparłem.

Nie byłem pewny, jak to odbierze. W milczeniu bębnił długopisem o blat biurka.

– Jaki masz więc plan? Od czego chcesz zacząć?

– W pierwszej kolejności popracowałem nad stroną internetową i skupiłbym się na reklamie w sieci, poszukałbym platform, żeby twoja strona była bardziej widoczna. W tym samym czasie rozpocząłbym pracę nad dwiema pierwszymi spotami. I podkładaniem głosu. Jestem przekonany, że pierwszy spot pojawiłby się pod koniec września, kiedy ruszy nowa strona. To idealnie zgra się w czasie z reklamą w internecie i pozycjonowaniem strony. Drugi spot będzie gotowy na święta i będzie to coś, co ludzie zapamiętają. Sam zresztą oceń.

– Dobra. Zobaczmy, co wymyśliłeś.

Pokazałem mu. Po wszystkim odchylił się w fotelu i potarł dłonią brodę.

– Nie wiem, co myśleć – przyznał. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– I o to chodzi. Zapada w pamięć, bo zmusza cię do myślenia.

– Nie przypomina reklamy.

– Fakt, ale pojawia się w niej twoje nazwisko. Myślę, że w styczniu powinniśmy wypuścić dodatkowo kilka billboardów. Do tego czasu w telewizji ukażą się dwa fantastyczne spoty i jeśli się zgodzisz, chciałbym połączyć je z billboardami. Oczywiście będą też kolejne dwa spoty. Podobnie jak pierwszy, te będą pokazywane przez cały rok. Pierwszy pojawi się w październiku lub w listopadzie, w zależności od tego, kiedy zostanie nakręcony, a drugi w styczniu. Będą krótsze i zabawniejsze.

– W porządku, przyjrzyjmy się im.

– Nie są gotowe.

– Dlaczego?

– Nie jesteś jeszcze moim klientem.

Zastanowił się nad tym.

– Może uchylisz rąbka tajemnicy?

– Będą skupiały się na twoim doświadczeniu.

Miałem wrażenie, że spotkanie stało się dla niego ważniejsze, niż się tego spodziewał, i wziąłem to za dobry znak.

– Potrzebuję czegoś więcej.

– Zgoda – odparłem. – Ale to tylko pomysł na jedną z nich. Wyobraź sobie dziewczynkę, mniej więcej ośmioletnią, która siedzi przy biurku obłożona książkami prawniczymi, z których jedna nosi tytuł *Obrażenia ciała*. Dziewczynka bazgrze coś w żółtym notatniku, coś wyraźnie ją dręczy. W pewnej chwili sięga po telefon i mówi: „Dolores? Możesz mi przynieść jeszcze jedno mleko czekoladowe?”. W tym momencie ekran robi się czarny i pojawiają się na nim słowa:

Jeśli miałeś wypadek w pracy i chcesz zdobyć pieniądze na pokrycie kosztów leczenia, lepiej, żeby twój prawnik znał się na rzeczy. Potrzebujesz kogoś z doświadczeniem. Kogoś, kto wygrał dla swoich klientów miliony dolarów. Potrzebujesz Joeya Taglieriego.

Kiedy skończyłem, uśmiechał się od ucha do ucha.

– Podoba mi się.

Pokiwałem głową, ale nic nie powiedziałem. Przez lata nauczyłem się, że w przypadku niezdecydowanego klienta milczenie bywa najlepszym rozwiązaniem.

Niewątpliwie Joey również znał tę zasadę, bo kolejny raz odchylił się w fotelu.

– Powinieneś wiedzieć, że ja też cię sprawdziłem – odezwał się w końcu. Po tym, jak namówiłeś mnie na to spotkanie, zadzwoniłem do twojego szefa.

Poczułem, że brakuje mi powietrza.

– Och – bąknąłem tylko.

– Był małomówny, jak to szef, ale powiedział, że kilka miesięcy temu otworzyłeś własną agencję. Mówiłeś, że prowadzisz własną działalność, ale nie wspomniałeś, że działasz od niedawna.

Miałem sucho w ustach.

– Moja firma działa od niedawna, ale ja jestem w tej branży od trzynastu lat.

– Zasugerował też, żebym zamiast rozmawiać z nim, porozmawiał z twoimi klientami.

– Och – powtórzyłem.

– Myślisz, że powinienem tak zrobić? Skontaktować się z twoimi klientami?

– No... Cóż...

– Takiej odpowiedzi się spodziewałem. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że na chwilę obecną nie masz innych klientów. Więc po rozmowie z twoim szefem zajrzałem w weekend do twojego biura. Znam ten budynek. Jego właścicielem jest jeden z moich byłych klientów. Nie jest to miejsce, które wzbudza zaufanie.

– Zwykle spotykam się z klientami w ich miejscu pracy – odparłem, starając się zachować spokój. – A jeśli chcesz porozmawiać z niektórymi z nich, mogę podać nazwiska. Pracowałem z dziesiątkami klientów z Charlotte i okolic.

– To też wiem – powiedział i podniósł rękę, jakby chciał mnie uciszyć. – Zadzwoń do kilku z nich. Dokładnie do trzech. Nadal współpracują z agencją Petersa i nie byli skorzy do rozmów, dopóki nie zapewniłem, że nie zamierzam wspominać o nich twojemu byłemu szefowi.

– Skąd...?

Kiedy urwałem, dokończył za mnie.

– Skąd wiedziałem, z kim się skontaktować? Ty jesteś dobry w swojej pracy, a ja w swojej. W każdym razie wszyscy zapewniali mnie, że jesteś niesamowity. Niezwykle kreatywny, pracowity i świetny w tym, co robisz.

– Czemu mi to mówisz?

– Bo chcę, żebyś wiedział, że choć nie byłem zachwycony myślą, że jestem twoim pierwszym i, jak na razie, jedynym klientem, próbowałem przekonać samego siebie, że dzięki temu będziesz miał więcej czasu, żeby popracować nad moją

kampanią. Wahalem się, ale kiedy zobaczyłem, co dla mnie przygotowałaś, muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem pracy, jaką włożyłaś w tę prezentację.

Urwał i wziął głęboki oddech.

– Co właściwie chcesz powiedzieć? – spytałem.

*

Wciąż oszołomiony po spotkaniu z Taglierim, pojechałem do domu Emily. Gdyby nie nawigacja w telefonie, w życiu nie trafiłbym pod wskazany adres. Choć mieszkała niedaleko, nigdy dotąd tędy nie jechałem, a droga dojazdowa nie była dobrze oznakowana. Było tu mnóstwo drzew, a domy wybudowane w połowie dwudziestego wieku miały duże okna, siding z drewna cedrowego i sprawiały wrażenie, jakby wznosiły się albo opadały w zależności od topografii.

Zaparkowawszy na podjeździe, przeszedłem po łukowatym mostku nad oczkiem wodnym i podszedłem do drzwi. Kiedy zobaczyłem Emily, kolejny raz uderzył mnie jej ciepły uśmiech.

– Nie spodziewałam się ciebie tak szybko – powiedziała. – Nie wiem dlaczego, ale myślałam, że prezentacja potrwa nieco dłużej. Wejdz.

Jeśli kłótnia z Vivian wytrąciła mnie z równowagi, a spotkanie z Taglierim przyprawiło o zawrót głowy, to wejście do domu rozwódki, z którą niegdyś sypiałem, sprawiło, że cały ten dzień wydał się jeszcze bardziej nierzeczywisty. Było w tym coś niewłaściwego, niestosownego i musiałem przypomnieć sobie, że jestem tu po to, żeby odebrać córkę. Powtarzałem sobie, że to tak, jakbym przyjechał po nią do domu rodziców, ale uczucie, że robię coś zakazanego, wzmogło się, kiedy Emily wskazała ręką schody.

– Dzieciaki są na górze w pokoju zabaw, z Noodle. Jakąś godzinę temu zjadły lunch, więc siedzą tam od niedawna.

Skinąłem głową, dbając o to, by zachować między nami należyta odległość.

– Dobrze się bawiły? – zapytałem.

– Świetnie – odparła. – Cały czas się śmieją. Myślę, że twoja córeczka jest zauroczona psem.

– Wcale mnie to nie dziwi – rzuciłem. – Jak Noodle zareagowała na chomiki?

– Obwąchała klatkę i tyle.

– To dobrze.

Schowałem ręce do kieszeni, podczas gdy głos w mojej głowie nie przestawał szeptać, że nie powinno mnie tu być, że obecność w domu Emily jest błędem. Odwróciłem się więc i rozejrzałem dookoła. Nie było tu ścianek działowych, przez wysokie okna na tyłach domu wpadały do środka promienie słoneczne, przez co wewnątrz wydawało się jeszcze bardziej ciepłe i eklektyczne z różnymi drobiazgami stojącymi to tu, to tam. Dom artystki. Zakładałem, że wiszące na ścianach obrazy wyszły spod pędzla Emily.

– Masz piękny dom – powiedziałem, próbując skierować rozmowę na bezpieczne tory.

– Dziękuję – odparła ze swobodą, której mi brakowało. – Właściwie zastanawiałam się, czy go nie sprzedać. Jest za drogi w utrzymaniu, a kilka pokoi wymaga gruntownego remontu. Oczywiście mówię tak, odkąd David się wyprowadził. Przepraszam za bałagan.

– Nie zauważyłem. To twoje obrazy?

Podeszła do mnie. Nie za blisko, ale wystarczająco blisko, żebym wychwycił woń szamponu o zapachu kapryfolium.

– To niektóre z moich starszych prac. Chciałam wymienić kilka z nich na nieco nowsze, ale ciągle to odkładam.

– Teraz rozumiem, dlaczego właściciel galerii tak bardzo zachwyca się twoimi obrazami.

– Przypominają mi okres, kiedy byłam w ciąży z Bodhim. Są mroczniejsze niż większość tego, co robię teraz. I bardziej nastrojowe. Przez pierwsze miesiące ciąży czułam się fatalnie i może odbiło się to na mojej pracy. Zaczekaj chwilę. – Podeszła

do schodów. – Bodhi? London?! – zawołała. – Wszystko w porządku?!

– Tak! – odpowiedzieli chórem.

– London, przyjechał twój tata!

Usłyszałem tupot stóp i zobaczyłem córkę, która patrzyła na mnie zza balustrady.

– Tatusiu? Mogę zostać dłużej? Bodhi ma miecz, który świeci na czerwono! I bawimy się z Noodle!

Zerknąłem na Emily.

– Jak dla mnie, może zostać – odparła, wzruszając ramionami.

– Dzięki niej Bodhi ma zajęcie i jest szczęśliwy.

– Dobrze, ale tylko kilka minut! – zawołałem. – Nie możemy zostać dłużej. Pamiętaj, że masz lekcję tańca.

– Z panią Hamshaw? – zapytała Emily. Kiedy przytaknąłem, dodała: – Słyszałam o niej różne ciekawe rzeczy. Przy czym „ciekawe” nie znaczy „dobre”.

– Nie jestem pewien, czy London lubi te zajęcia – przyznałem.

– Więc ją wypisz.

Z Vivian to nie takie proste, pomyślałem.

– Napijesz się herbaty? – Emily wskazała kciukiem kuchnię. – Właśnie zaparzyłam.

Kolejny raz usłyszałem w głowie głos, który radził mi, żebym grzecznie odmówił, jednak odparłem:

– Chętnie.

Weszliśmy do kuchni; transporterek z chomikami stał na podłodze przy oszklonych drzwiach wychodzących na ogród z tyłu domu. W sąsiednim pomieszczeniu mieściła się pracownia Emily. Na sztalugach i pod ścianami stały gotowe obrazy; na sfatygowanym biurku, obok setek tubek z farbami, leżał ciśnięty fartuch.

– Tam pracujesz?

– To moja pracownia – odparła, sięgając po dzbanek z herbatą.

– Kiedyś była tam weranda, ale oszkliliśmy ją, gdy tu zamieszkaliśmy. Rano światło jest tam idealne.

– Trudno pracuje się w domu?

– Nie bardzo. Ale z drugiej strony zawsze malowałam w domu, więc nie mam porównania.

– A jak to się sprawdza w przypadku Bodhiego?

Rozlała herbatę do szklanek, wrzuciła kostki lodu i postawiła na stole.

– Pracuję rano, zanim dzień rozpocznie się na dobre, ale nawet potem nie jest źle. Jeśli poczuję nagłą potrzebę malowania, Bodhi idzie na górę i bawi się albo ogląda telewizję. Przyzwyczyłam się do tego.

Usiedliśmy przy stole. Wciąż czułem się skrępowany całą tą sytuacją. Jeśli Emily czuła to samo, nie okazywała tego.

– Jak poszło z Taglierim?

– Dobrze – odparłem. – Zatrudnił mnie. I zgodził się na wszystkie moje propozycje.

– To cudownie! – pisnęła. – Gratulacje! Wiedziałam, że ci się uda. Musisz być przeszczęśliwy.

– Chyba jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Niebawem dotrze. Zamierzasz świętować wieczorem?

Przypomniałem sobie poranne zachowanie Vivian.

– Zobaczymy.

– To twój pierwszy klient. Musisz to uczcić. Ale najpierw opowiedz mi, jak było. Ze szczegółami.

Pochłonięty opowieścią, zapomniałem o zakłopotaniu, a kiedy relacjonowałem, jak Taglieri zadzwonił do Petersa i co mi później powiedział, Emily zakryła usta dłonią i patrzyła na mnie z przejęciem.

– To straszne!

– Cóż, z pewnością nie było to miłe.

– Ja bym chyba umarła.

– Dokładnie tak się czułem. Myślę, że chciał wprawić mnie w zakłopotanie.

– Prawnicy tacy są – przyznała. – Ale to i tak świetna wiadomość. Strasznie się cieszę.

– Dzięki. Ulżyło mi, wiesz?

– Doskonale wiem, co czujesz. Pamiętam, jak pierwszy raz dowiedziałam się, że galeria sprzedała mój obraz. Byłam wtedy pewna, że nigdy nie utrzymam się z malowania, i spodziewałam się, że właściciel zadzwoni do mnie i powie, że popełnił błąd, a kiedy w końcu zadzwonił, żeby przekazać mi dobre wieści, tak bałam się tego, co usłyszę, że nie odebrałam i słuchałam, jak nagrywa się na automatyczną sekretarkę.

Roześmiałam się.

– I co teraz? – spytała. – Jak to działa w twoim świecie?

– Jutro przygotuję umowę, a kiedy ją podpisze, zabiorę się do roboty. Muszę zrobić rozeznanie, przygotować harmonogram, zdobyć pozwolenia i popracować z informatykiem nad stroną internetową. Zadzwonić do operatora i dźwiękowców, obdzwonić agencje, zorganizować próby... kręcenie spotów to poważna sprawa.

– Dasz radę zająć się tym wszystkim i opiekować się London?

Nawet nie zacząłem o tym myśleć, ale odparłem:

– Chyba będę musiał. Próbujemy znaleźć z Vivian ośrodek opieki dziennej.

– Wiem. London wspomniała o tym podczas lunchu. Nie chce tam chodzić. Powiedziała, że to bezsensowne, skoro i tak niedługo pójdzie do szkoły.

Bezsensowne? Zupełnie jakbym słyszał Vivian, nie córkę.

– Tak powiedziała?

– Mnie też to zdziwiło. Ale twoja córka sprawia wrażenie bardziej dojrzałej od Bodhiego.

Upiłem łyk herbaty, zastanawiając się, co jeszcze Vivian naopowiadała London o ośrodku opieki dziennej.

– Poza tym zachowywała się w porządku?

– Jak aniołek. Jest taka słodka. Tak przy okazji, jest zauroczona Noodle. Chce zabrać ją do domu. Powiedziałam, że będę musiała zapytać ciebie.

– Wystarczą nam chomiki. – Podniosłem rękę. – Już teraz ledwie panuję nad sytuacją. Zacząłem się zastanawiać, czy na jakiś czas nie zrezygnować ze snu.

Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie niemal ze smutkiem.

– London wspomniała, że nauczyłeś ją jeździć na rowerze.

– Tak.

– Chciałam nauczyć Bodhiego, ale boję się, że nie dam rady go utrzymać, gdyby się przewracał. Chyba najpierw muszę pochodzić na siłownię i trochę przypakować. Jak tylko znajdę czas.

– Dzieci pochłaniają mnóstwo czasu i uwagi.

– Wiem – odparła. – Ale nie zamieniłabym tego na nic w świecie.

Dopijając herbatę, pomyślałem, że ma absolutną rację.

– Dzięki. Nie chcę zabierać ci czasu, a poza tym naprawdę musimy już iść.

– Cieszę się, że przywiozłeś London. Dzięki temu miałam okazję poznać bliżej najlepszą przyjaciółkę mojego syna.

Wstałem od stołu, wziąłem transporterek z chomikami i ruszyłem za Emily w stronę drzwi. Kiedy zawołałem London, zbiegła po schodach razem z Bodhim i małym pudlem.

– Noodle pudel? – zażartowałem.

– Bodhi tak ją nazwał.

– Gotowa – oświadczyła London. – Noodle jest taaaaaaka słodka, prawda, tatusiu? Możemy pójść do sklepu zoologicznego? Chciałabym zobaczyć, czy mają tam takiego pieska.

– Nie dziś – odparłem. – Niestety tatuś musi trochę popracować. Pożegnaj się z panią Emily.

London objęła Emily. Moja córka tuliła się do wszystkich; widziałem, jak przytulała się do listonosza i starszych pań w parku. Objęła także Bodhiego, a kiedy szliśmy do samochodu, wzięła mnie za rękę.

– Pani Emily jest naprawdę miła. Pozwoliła mi zjeść kanapkę z masłem orzechowym i kremem piankowym.

– Na samą myśl cieknie mi ślinka. Cieszę się, że dobrze się bawiłaś.

– Tak. Czy następnym razem będę mogła zaprosić Bodhiego? Zastanawiałem się, co na to Vivian.

- Proszę – nalegała.
- Musimy najpierw zapytać mamę, dobrze?
- Dobrze. I wiesz co?
- Co?
- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś. Kocham cię, tatusiu.

*

Kiedy Vivian wróciła z pracy, nie ukrywała, że nadal jest na mnie zła; nie powiem jednak, żeby mnie to zaskoczyło. Dopiero gdy późnym wieczorem usiadłem obok niej na kanapie, zobaczyłem na jej ustach coś w rodzaju uśmiechu. Ów grymas znikł równie nagle, jak się pojawił, ale znałem ją na tyle długo, by wiedzieć, że takie oziębłe traktowanie mnie długo nie potrwa.

- Mam dobrą wiadomość – powiedziałem.
- Tak?
- Złapałem dziś pierwszego klienta. Jutro podrzucę mu umowę.
- To ten prawnik, o którym mówiłeś?
- Tak. Wiem, że nie byłeś zachwycony pomysłem, że będę pracował z prawnikami, ale ja się cieszę. Nakręcimy cztery spoty i zrobimy kampanię w innych mediach.
- Gratulacje – odparła. – Kiedy zaczynacie?
- Jak tylko podpiszemy umowę. Mam gościa, który od razu zajmie się stroną kancelarii i reklamą w internecie, ale zanim zaczniemy kręcić, czeka mnie mnóstwo roboty. Prace nad spotami zaczną się pewnie pod koniec sierpnia.
- Idealnie – rzuciła.
- Dlaczego?
- Bo wtedy London będzie już w szkole.
- I?
- I to, że dzwoniłam dziś do ośrodków opieki dziennej i nie sądzę, żeby coś z tego wyszło. Dwa, którym byłam w stanie zaufać – kontynuowała, wymieniając ich nazwy – otwierają się z początkiem roku szkolnego. Trzeci być może zacznie wcześniej,

ale będą wiedzieli dopiero pod koniec przyszłego tygodnia. Poza tym nabór trwa co najmniej dwa tygodnie, zanim London mogłaby zacząć tam chodzić. Do tego czasu będzie już połowa sierpnia, a tydzień później zaczyna się rok szkolny.

– Czemu to trwa tak długo?

– Bo wszystkie te placówki chcą porozmawiać z rodzicami, zbierają informacje o rodzinach i ich sytuacji finansowej, a właśnie tego mi potrzeba, żebym mogła im zaufać.

– Chcesz, żebym do nich zadzwonił? Zobaczył, czy da się coś zrobić, by to wszystko przyspieszyć?

– Proszę bardzo. – Wzruszyła ramionami. – Ale nie sądzę, żeby mogli coś zrobić w sprawie list oczekujących.

– Może powinniśmy rozejrzeć się za opiekunką?

– To też potrwa kilka tygodni, a poza tym one są drogie. No i co zrobimy, kiedy zacznie się szkoła? Zwolnimy ją?

Nie byłem pewien. Wiedziałem tylko, że gdyby zaczęła szukać ośrodka w dniu, w którym poszła do pracy, wszystko wyglądałoby inaczej.

– Rozumiem, że chcesz powiedzieć, że to ja będę się musiał zajmować London?

– Ja nie mogę, a poza tym świetnie sobie radzisz. Nawet zdobyłeś pierwszego klienta.

– Czeka mnie mnóstwo pracy.

– Nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić. Zwłaszcza przy mojej pracy.

– Chodzi ci o podróżę?

– Niezupełnie. A skoro o tym mowa... w czwartek znowu muszę być w Atlancie i wrócę dopiero w piątek wieczorem.

– To nasz wieczór randkowy.

Przewróciła oczami.

– Mówiłam ci, że w tym tygodniu znowu muszę wyjechać, więc nie rób problemu tam, gdzie go nie ma. Ale jeśli to dla ciebie takie ważne, mam nadzieję, że wrócę na tyle wcześnie, żebyśmy mogli spędzić ten wieczór razem. Dobrze?

– Dobrze.

– Chryste – dodała, kręcąc głową. – Właściwie miałam powiedzieć ci, że u mnie w pracy kroi się coś dużego. Naprawdę dużego. Wiem o tym tylko ja i kilku kierowników. Więc nie mów nikomu.

– Niby komu miałbym powiedzieć?

– Nie wiem. Mógłbyś coś palnąć w rozmowie z klientami. Powiedzieć Marge? Albo rodzicom? – Westchnęła. – W każdym razie lecę do Atlanty, bo Walter planuje przenieść tam główną siedzibę firmy. Chce, żebym nadzorowała proces.

– Żartujesz.

– Mówił mi o tym, odkąd zaczęłam pracę, ale w końcu podjął decyzję. Reszta pracowników dowie się w przyszłym tygodniu.

– Skąd ta przeprowadzka?

– Walter mówi, że restrykcje dotyczące nadbrzeżnych inwestycji w Karolinie Północnej urosły do rangi absurdu, więc postanowił skupić się na inwestycjach w Georgii i na Florydzie. Stamtąd pochodzi jego rodzina, a jego ojciec był tam kongresmenem.

Mam gdzieś Waltera i jego plany, pomyślałam.

– Co to oznacza dla ciebie? – spytałem.

– Właściwie nic. Walter powiedział mi, żebym się nie martwiła.

– Będiesz nadal pracowała w oddziale w Charlotte?

– Nie wiem – odparła. – Zastanawialiśmy się nad tym, ale jak powiedziałam, Walter nie podjął jeszcze żadnej decyzji.

– Chyba nie myślisz, że będziemy musieli się przeprowadzić?

– Mam nadzieję, że nie.

Mam nadzieję, że nie? Nie podobał mi się ton, jakim to powiedziała.

– Nie chcę się przeprowadzać – oświadczyłem.

– Wiem. Oboje jesteśmy zdania, że będę w stanie dzielić swój czas między Charlotte i Atlantę.

Dzielić swój czas.

– Co to znaczy?

– Nie wiem, Russ – rzuciła wyraźnie rozdrażniona. – Myślę, że aż do przeprowadzki, Walter i ja będziemy spędzać w Atlancie dwa, trzy dni w tygodniu. Kto wie, co będzie potem?

– Tylko ty i Walter?

– A co inni mieliby tam robić?

Nie byłem pewien, czy podoba mi się ta odpowiedź.

Nie, wróć. Zdecydowanie nie spodobała mi się ta odpowiedź.

– Poza tym będą też inne podróże służbowe?

– Pewnie tak.

– Prawie cię nie widuję. I London prawie cię nie widuje.

– Wiesz, że to nieprawda – oburzyła się. – Nie wyjeżdżam przecież na pół roku. Mnóstwo par kursuje między miastami. Poza tym to Walter jest szefem, nie ja. Co mam zrobić?

– Zawsze możesz odejść – rzuciłem. – Albo pracować na pół etatu.

– Nie chcę odchodzić. Lubię swoją pracę, a Walter to świetny szef. Nie mówiąc o tym, że nie stać nas na to, żeby zrezygnować z mojej pensji. Zwłaszcza że na razie masz tylko jednego klienta.

Zdenerwował mnie sposób, w jaki podkreśliła, że to przede mną znaleźliśmy się w tej sytuacji. A świadomość, że może rzeczywiście tak jest, jeszcze bardziej mnie zirytowała.

– Niby kiedy mielibyście się przenieść?

– Gdzieś w okolicach września. Dlatego w tym tygodniu jedziemy do Atlanty. Żeby mieć pewność, że biuro będzie gotowe na czas.

Do września zostało sześć tygodni.

– Nie sądzę, żeby udało się przenieść wszystkich w tak krótkim terminie.

– Tak naprawdę przeprowadzka dotyczy wyłącznie kadry kierowniczej. W oddziale w Charlotte będzie redukcja etatów, ale nie wszyscy zostaną zwolnieni. W Karolinie Północnej wciąż jest wiele projektów na różnych etapach budowy. W Atlancie chodzi głównie o to, żeby zatrudnić ludzi. Z tego, co słyszałam, w biurach jest aż nadto miejsca.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Dopóki nie dowiem się czegoś więcej, nie ma o czym mówić.
– Nie rozumiem, dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz.
– Nie mówiłam, bo aż do dziś wszystko stało pod znakiem zapytania.

Gdyby ktoś mi powiedział, że w dzień, kiedy pozyskam pierwszego klienta, Vivian przyniesie z pracy rewelacje, które – być może – będą miały wpływ na nasze życie, uznałbym, że jest szalony. Dowodzi to tylko, jak niewiele wiem.

– Dobra – rzuciłem. – Informuj mnie na bieżąco.

– Zawsze to robię. A skoro już rozmawiamy, London powiedziała mi, że była dziś u swojego przyjaciela Bodhiego.

– Kiedy ja miałem prezentację – odparłem. – Świetnie się bawiła. Przez całe popołudnie mówiła o pudlu imieniem Noodle.

– Bodhi to syn twojej byłej dziewczyny, tak? Emily?

– Tak.

– Na zajęciach plastycznych słyszałam, jak ludzie o niej rozmawiają. Podobno ciężko przeżyła rozwód.

– Rozwody bywają trudne – odparłem wymijająco.

– London mówiła też, że w ubiegłym tygodniu poszliście na lunch.

– Zabrałem ją do Chick-fil-A. Ale tak, była z nami Emily.

– Myślę, że nie powinieneś jadać z nią lunchu. Ani chodzić do jej domu, nawet jeśli London przyjaźni się z jej synem. Tak rodzą się plotki.

– Jakie plotki?

– Dobrze wiesz, o jakich plotkach mówię. Ona jest rozwódką, ty masz żonę, a do tego to twoja była. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, co powiedzą ludzie.

Tak, pomyślałem, dokładnie wiem. I gdy tak siedziałem obok żony, zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że ten cudowny dzień doczekał się tak fatalnego zakończenia.

*

– Emily, tak? – zapytała Marge kilka dni później podczas lunchu. Byliśmy w moim domu; rankiem Vivian poleciała do Atlanty, a ja odebrawszy London po lekcji gry na pianinie, wpadłem do Taglieriego po podpisaną umowę – i swój pierwszy czek jako właściciel firmy! Załatwiłem mu też nowy numer telefonu, co było niezwykle ważne. Jednak Marge w ogóle nie była zainteresowana tymi rzeczami. – Co słyhać u słodkiej Emily?

Na werandzie za domem London malowała palcami farbami, które przywiozła moja siostra.

– Nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego. London bawiła się z jej synkiem.

– Bo umówiliście się kilka dni wcześniej w Chick-fil-A.

– To nie była randka.

– Może powinieneś stanąć przed lustrem, kiedy to mówisz. W każdym razie nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Już ci mówiłem. Nadal dochodzi do siebie po rozwodzie, ale poza tym ma się dobrze.

– Zawsze ją lubiłam.

– Wiem. Wspominałaś.

– I nie mogę uwierzyć, że powiedziałeś o tym Vivian.

– Nie ja. London.

– Więc nie miałeś zamiaru jej mówić?

– Nie mam nic do ukrycia.

– Szkoda. Każdy od czasu do czasu potrzebuje trochę adrenaliny.

Widząc moją minę, parsknęła śmiechem, który przeszedł w atak kaszlu. Patrzyłem, jak wyjmuje inhalator i zaciąga się.

– Co to?

– Mój lekarz uważa, że mam astmę, więc przepisał mi to. Muszę się inhalować dwa razy dziennie. – Wsunęła inhalator z powrotem do kieszeni.

– Przepisał ci też okulary w rogowej oprawie i wkładkę do kieszeni na długopisy?

– Bardzo śmieszne. Astma to poważna choroba, wiesz?

– Żartowałem – odparłem. – Gdybyś nie pamiętała, chorowałem na nią jako dziecko. Wywołana alergią. Wystarczyło, że zbliżyłem się do kota i nie mogłem złapać tchu.

– Pamiętam, ale zmieniasz temat. Chciałam powiedzieć, że wiem, jak bardzo kochasz Vivian. I jestem pewna, że dostałeś nauczkę, i zdajesz sobie sprawę, czym kończy się zdrada. Bo kogo zdradziłeś? A tak, Emily. Przecież to o niej rozmawialiśmy.

– Czy ty planujesz takie rozmowy? Żebyś mogła lepiej bawić się moim kosztem?

– To przychodzi naturalnie – zapewniła mnie. – Ale proszę bardzo.

Roześmiałem się.

– Zanim zapomnę... nie mów Vivian, że wiesz o przeniesieniu firmy do Atlanty. Miałem nikomu nie mówić.

– Jestem twoją siostrą. Nie liczę się.

– W szczególności wspomniała o tobie.

– Nie wierzę. Ale dobrze, skoro już wymieniamy się sekretami, teraz moja kolej. Liz i ja myślimy o dziecku.

– Naprawdę? – Uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

– Jesteśmy z sobą wystarczająco długo. Najwyższy czas.

– Chcecie adoptować?

– Miałyśmy nadzieję, że jednej z nas uda się zająć w ciążę. Wiem, że mam już swoje lata, więc myślę, że będzie to Liz, chociaż kto wie? W końcu ona jest tylko dwa lata młodsza. Zresztą jesteśmy umówione na wizytę u specjalisty, więc pewnie obie przejdziemy gruntowne badania i zobaczymy, co da się zrobić. W najgorszym wypadku pomyślimy o adopcji albo zgłosimy się jako rodzina zastępcza.

– Jejku – rzuciłem. – Czyli to coś poważnego. Kiedy zaczynacie działać?

– Dopiero w listopadzie. Trzeba odczekać swoje w kolejce do tego konkretnego lekarza. Podobno to jeden z najlepszych specjalistów w kraju i wygląda na to, że wszyscy w naszym wieku i ci, którzy mają problemy, chcą się umówić do niego na wizytę. O co chodzi? – spytała, widząc mój głupkowaty uśmiech.

– Pomyślałem sobie właśnie, że będziesz wspaniałą mamą. Liz też.

– Jesteśmy takie podekscytowane.

– Kiedy podjęłyście decyzję?

– Rozmawiamy o tym już od jakiegoś czasu.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Nie podjęłyśmy jeszcze żadnych konkretnych decyzji. Po prostu co jakiś czas wracałyśmy do tego tematu. Ale zegar biologiczny tyka, a ostatnio słyszymy go coraz wyraźniej. Pewnego ranka usłyszałam go głośno jak nigdy.

– Powiedziałaś już rodzicom?

– Jeszcze nie. I ty też masz nie mówić. Najpierw chcę wiedzieć, czy któraś z nas będzie mogła zająć w ciążę, czy będziemy musiały starać się o adopcję. Cały czas wyobrażam sobie, jak lekarz mówi mi, że moja macica pokryta jest pajęczyną.

– Na pewno nic ci nie jest – odparłem ze śmiechem.

– Wszystko dlatego, że ja, w przeciwieństwie do ciebie, ćwiczę. Oczywiście kaszel mi tego nie ułatwia, ale zmuszam się do chodzenia na siłownię.

– Wciąż kaszlesz?

– Za dużo. Podobno po przeziębieniu płuca potrzebują około sześciu tygodni, żeby dojść do siebie.

– Nie wiedziałem.

– Ja też. Ale chodzi o to, że, w przeciwieństwie do ciebie, ja wciąż dbam o zdrowie.

– Nie mam czasu na ćwiczenia.

– Oczywiście, że masz czas. Możesz iść na siłownię z samego rana. Tak robią wszystkie matki.

– Nie jestem matką.

– Nie chcę cię wkurzać, ale ostatnio wychodzi na to, że jesteś.

– Zawsze wiesz, co dokładnie powiedzieć, żeby poprawić mi humor.

– Mówię, co widzę. Zresztą oboje wiemy, że przydałoby ci się trochę ruchu. Zapuściłeś się ostatnio.

– Jestem w formie.

- Pewnie, że jesteś. Tyle że w okrągłej.
- Jesteś prawdziwą żoną, wiesz?

*

W piątek rano, stojąc przed lustrem, pomyślałem, że może jednak Marge miała rację, mówiąc, że powinienem poćwiczyć. Niestety nie dziś.

Dziś miałem na głowie mnóstwo rzeczy: musiałem zajmować się London i zawieźć ją na zajęcia plastyczne, a w międzyczasie zastanawiałem się, jak rozplanować kampanię Taglieriego, mając w pamięci, że temat ośrodka opieki dziennej jest definitywnie zakończony.

Większość rzeczy mogłem załatwić bez wychodzenia z domu, ale zdobycie zezwoleń, znalezienie lokalizacji i wykupienie odpowiedniego czasu antenowego oznaczało mnóstwo godzin spędzonych za kierownicą. Miałem jednak nadzieję, że jeśli rozłożę to w czasie, London nie odczuje tego aż tak bardzo.

To samo powiedziałem Vivian, kiedy z nią rozmawiałem. Usłyszałem w jej głosie ulgę i pierwszy raz od lat spędziliśmy ponad pół godziny, wisząc na telefonie. Brakowało mi tego i miałem wrażenie, że jej również, i choć wróciła do domu później, niż zakładała, śmiała się, żartowała, nawet flirtowała ze mną, a wieczorem w sypialni była seksowna i namiętna, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że wciąż jej na mnie zależy.

Rano nadal była w dobrym humorze. Zanim poszła na jogę, przygotowała śniadanie dla mnie i dla London i zapytała, czy nie wybieramy się do moich rodziców.

- Jeśli tak, zaczekajcie na mnie. Też chciałabym jechać.

Kiedy obiecałem, że na nią zaczekamy, pocałowała mnie na do widzenia i musnęła językiem moje wargi. Gdy to zrobiła, przypomniałem sobie ubiegłą noc i nie miałem wątpliwości, dlaczego się z nią ożeniłem.

*

Czekając na Vivian, London i ja wybraliśmy się do parku i idąc szlakiem krajobrazowym, kierowaliśmy się w stronę pola golfowego. Lata temu jakiś skaut, chcąc osiągnąć najwyższą sprawność, umieścił przy różnych drzewach małe tabliczki z ich popularnymi i łacińskimi nazwami. Zatrzymywaliśmy się przy każdej z nich, a ja czytałem London informacje i wskazywałem na korę albo liście, udając, że wiem więcej niż w rzeczywistości. Córka powtarzała za mną – *Quercus virginiana* albo *Eucalyptus viminalis* – i choć wiedziałem, że zapomnę większość, zanim wrócimy do samochodu, na szlaku czułem się naprawdę mądry.

Tymczasem London nie zapomniała. Po powrocie do domu zrobiłem kanapki i kiedy jedliśmy na werandzie, wskazała rosnące w ogrodzie potężne drzewo i pisnęła zachwycona:

– To *Carya ovata*!

– Tamto? – zapytałem, starając się ukryć zdumienie.

Pokiwała głową.

– Orzesznik pięciolistkowy.

– Skąd wiesz?

– Bo mi pokazywałaś – odparła, patrząc na mnie. – Pamiętasz?

A gdzie tam, pomyślałem. Dla mnie było to drzewo jak każde inne.

– Chyba masz rację.

– Na pewno.

– Wierzę ci.

Upiła łyk mleka.

– Kiedy wróci mamusia?

Zerknąłem na zegarek.

– Niedługo.

– I pojedziemy do dziadków?

– Taki jest plan.

– Chcę coś upiec. Może ciasteczka.

– Bunia na pewno się ucieszy.

– Czy ciocia Marge i Liz też tam będą?

– Mam nadzieję.

– To dobrze. Wezmę Pana i Panią Sprinkles. Pewnie chciałyby się przywitać.

– Na pewno.

Przez chwilę żuła kanapkę.

– Tatusiu?

– Tak?

– Cieszę się, że zostanę z tobą.

– Jak to?

– Mamusia powiedziała, że nie pójdę do tego ośrodka. Powiedziała, że możesz pracować i opiekować się mną.

– Tak powiedziała?

London skinęła główką.

– Dziś rano.

– Mamusia ma rację, ale czasami będziesz musiała jeździć ze mną samochodem.

– A będę mogła zabrać lalki Barbie? Albo Pana i Panią Sprinkles?

– Oczywiście.

– To dobrze. Będzie fajnie.

– Cieszę się, że tak myślisz. – Uśmiechnąłem się.

– Czy jak byłeś mały, chodziłeś do takiego ośrodka?

– Nie. Opiekowała się mną ciocia Marge.

– I ciocia Liz?

– Nie. Wtedy jeszcze nie znaliśmy cioci Liz.

– Och – westchnęła.

Ugryzła kolejny kęs kanapki i rozglądała się to w jedną, to w drugą stronę, jakby chłonęła otaczające ją świat. Patrzyłem na nią i myślałem, jaka jest śliczna.

– Tatusiu! Na drzewie siedzi ogromny ptak! – krzyknęła w pewnej chwili. Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem go. Był czekoladowy z białym łebkiem, która lśniła w słońcu. Na chwilę rozpostarł skrzydła i znowu je złożył.

– To orzeł bielik – powiedziałem zdumiony. Przez całe swoje życie w Charlotte widziałem bielika tylko dwa razy. Poczułem zachwyt, który często towarzyszył mi, kiedy byłem z London.

Patrząc na nią, uświadomiłem sobie, jak wiele się między nami zmieniło. Ponieważ to ja się nią opiekowałem, córka czuła się swobodnie w moim towarzystwie, i nagle przeraziła mnie myśl, że kiedy pójdzie do szkoły, zostaniemy rozdzieleni na kilka godzin dziennie. Nigdy nie wątpiłem w to, że kocham London, ale nagle dotarło do mnie, że lubię ją, nie tylko jako moją córkę, ale jako dziewczynkę, którą dopiero niedawno zacząłem poznawać.

Może to przez tę myśl, a może przez wydarzenia ubiegłego tygodnia – nie potrafię powiedzieć – ogarnął mnie nagły spokój. Byłem na dnie, ale odbiłem się od niego i płynąłem ku górze, i choć wiedziałem, że to chwilowa euforia – żyłem wystarczająco długo, by rozumieć, że tak właśnie będzie – uczucie to było równie prawdziwe, jak słońce, które świeciło na nas z góry. Widząc skupienie, z jakim London obserwowała orła, zastanawiałem się, czy zapamięta ten moment i czy wie, jak wiele dla mnie znaczy ta łącząca nas, nowo odkryta więź. Ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Wystarczyło, że ja miałem tego świadomość, i zanim orzeł odleciał, wiedziałem, że obraz ten zostanie ze mną do końca moich dni.

ROZDZIAŁ 12

Czarne chmury na horyzoncie

W lutym dwa tysiące czwartego roku – dwa lata wcześniej ukończyłem college i od tego czasu spotykałem się z Emily – pojechałem w weekend odwiedzić rodziców. Te weekendowe wizyty stały się tradycją. Normalnie Emily pojechałaby ze mną, ale z jakiegoś powodu, którego dziś nie pamiętam, w ten weekend nie mogła mi towarzyszyć, więc byłem sam.

Kiedy przyjechałem, ojciec grzebał przy samochodzie mamy, nie przy mustangu. Głowę miał pod maską i widziałem, że uzupełnia olej.

– Miło widzieć, że dbasz o samochód swojej lepszej połówki – zauważyłem żartobliwie, na co skinął głową.

– Nie mam wyjścia. W tym tygodniu sypnie śniegiem. Ja już wożę na tylnym siedzeniu zimowy zestaw do przetrwania w trudnych warunkach. Nie chciałbym, żeby twoja matka musiała wyciągać go z bagażnika, gdyby przypadkiem rozkraczyła się na środku drogi.

– Nie będzie sypać – odparłem. Temperatura była wiosenna; miałem na sobie tylko koszulkę i zastanawiałem się, czy nie włożyć szortów.

Mrużąc oczy, zerknął na mnie spod maski.

– Oglądałeś prognozę pogody?

– Słyszałem coś w radiu, ale wiesz, jacy są ci spece od pogody. Częściej się mylą, niż mają rację.

– Moje kolana mówią, że będzie sypać.

– Jest prawie dwadzieścia stopni!

– Mów, co chcesz. Jak skończę z tym, będę potrzebował pomocy przy ociepleniu rur. Pomożesz mi?

Powinienem zaznaczyć, że mój tata zawsze taki był. Jeśli huragan miał uderzyć w wybrzeże Karoliny Północnej, przez kilka kolejnych dni sprzątał ogród, przenosił wszystko do garażu i zamykał okiennice, choć Charlotte jest oddalone od wybrzeża o dobre trzysta kilometrów. „Nie było was tu, kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym uderzył huragan Hugo”, powtarzał Marge i mnie. „Charlotte było jak domek Dorotki. Praktycznie zmiotło całe miasto”.

– Byłem tutaj, pamiętam – odparłem. – Ale marnujesz czas. Nie spadnie śnieg.

Wszedłem do domu i przez chwilę siedziałem z mamą. Gdy godzinę później ojciec stanął w drzwiach i skinął na mnie ręką, wiedziałem, czego chce. Pomogłem mu bez słowa, ale nawet kiedy patrzyłem, jak zabiera się do pracy przy własnym samochodzie, nie wziąłem sobie do serca jego ostrzeżeń. A nawet gdybym to zrobił, nie miałbym pojęcia, co wchodzi w skład takiego zimowego zestawu. Przynajmniej tak tłumaczyłem to sobie później, ale prawdziwym powodem, dla którego nie byłem przygotowany na to, co wydarzyło się w następnych dniach, było to, że myślałem, iż jestem od niego mądrzejszy.

We wtorek po południu temperatura sięgała piętnastu stopni; w środę, mimo nadciągających chmur, wciąż wahała się w okolicach dziesięciu stopni i kompletnie zapomniałem o ojcowskim ostrzeżeniu. Tymczasem w czwartek w Charlotte rozpętała się prawdziwa nawałnica. Zaczęło sypać, z początku delikatnie, jednak z czasem opady przybrały na sile. Kiedy jechałem do pracy, śnieg zalegał na autostradach. Zamknięto szkoły, a połowa pracowników nie dotarła do agencji. Śnieg nie przestawał sypać i gdy po południu wyjeżdżałem z pracy, drogi były praktycznie nieprzejezdne. Setki kierowców, w tym ja, wpadło w poślizg i skończyło w rowach w ponadtrzydziestocentymetrowej warstwie śniegu w mieście,

które dysponuje zaledwie kilkoma pługami śnieżnymi. Przed wieczorem ruch w Charlotte został sparaliżowany.

Potrzeba było pięciu godzin, żeby pomoc drogowa wyciągnęła mnie z rowu. Choć nic mi nie groziło – miałem kurtkę, pól zbiornika paliwa i sprawne ogrzewanie – nie przestawałem myśleć o tym, jak bardzo różnię się od ojca.

Podczas gdy ja beztrosko liczyłem na najlepsze, on był typem faceta, który zawsze był przygotowany na najgorsze.

*

Sierpień był upalny i wilgotny, przez co popołudniami zdarzały się burze, ale tygodnie poprzedzające rozpoczęcie roku szkolnego były zupełnie inne, choćby dlatego, że zarabiałem pieniądze.

Mimo że miałem zaplanowaną każdą minutę dnia, dawno nie czułem się tak spokojny. Pracowałem z informatykiem nad stroną internetową i reklamą w sieci, wyszukiwałem lokalizacje, rozmawiałem z kierownikiem ekipy filmowej i dźwiękowcem, odebrałem pozwolenia, spotkałem się z agentem lokalnej agencji castingowej, podpisałem kontrakt na billboardy i wynegocjowałem bardzo korzystną cenę za czas antenowy w telewizji. Do tego ustaliłem daty prób i zdjęć do pierwszych dwóch spotów i termin castingu do trzeciego spotu, który zamierzałem sam nadzorować. Wszystko to miało się odbyć w tym samym tygodniu, w którym London pójdzie do szkoły.

Mimo natłoku obowiązków wciąż woziłem córkę na zajęcia, odbierałem ją, wychodziłem z nią na rower, otrzymywałem miliony buziaków i uścisków, a kiedy zaczęła się szkoła, zmieniłem terminy zajęć plastycznych i gry na pianinie. Kurs gry w tenisa zakończył się mniej więcej w tym samym czasie, gdy w szkole trwały dni otwarte, podczas których London poznała swoją wychowawczynię. Dowiedziała się też, że London i Bodhi będą w tej samej klasie, a mnie udało się na chwilę wpaść do Emily. Odkąd jej były mąż wrócił do miasta, grafik Emily został

wywrócony do góry nogami i ostatnio nie widywałem jej zbyt często. Przedstawiłem ją Vivian – zachowanie mojej żony można opisać jako chłodne – i zrozumiałem, że lepiej ograniczyć nasze spotkania, albo wynikną z tego kłopoty.

Vivian spędzała dwie, trzy noce w tygodniu w Atlancie, a będąc w domu, wciąż miała huśtawki nastrojów. Nie były one tak gwałtowne jak dotychczas, ale atmosfera wieczoru randkowego z końca lipca już się nie powtórzyła, a humory żony sprawiały, że kiedy widziałem, jak parkuje pod domem, nie miałem pojęcia: cieszyć się czy bać.

Jeśli coś jeszcze zmieniło się w moim życiu w tamtym okresie, to to, że zacząłem ćwiczyć. Dzień po tym, jak przyjrzałem się sobie w lustrze, wziąłem sobie do serca radę Marge i w pierwszy poniedziałek miesiąca ustawiłem budzik czterdzieści minut wcześniej niż zwykle. Włożyłem spodenki do biegania i wybrałem się na niespieszną przebieżkę po okolicy, podczas której wyprzedzała mnie każda biegająca matka, a nawet te, które pchały przed sobą wózki. Dawniej przebiegłbym osiem, dziesięć kilometrów i czułbym się jak młody bóg; tymczasem pierwszego dnia nowego reżimu przetruchtałem niespełna trzy kilometry i dosłownie padłem na fotel bujany na werandzie. Potrzebowałem przeszło godziny, żeby dojść do siebie. A jednak następnego ranka zrobiłem to samo, podobnie jak dwa dni później i tak co dzień. W drugim tygodniu sierpnia dodałem pompki i brzuszki i niemal czułem, jak robię się lżejszy.

Do tego czasu London jeździła na rowerze na tyle dobrze, że mogliśmy urządzać wspólne wycieczki, i na dzień otwarty w szkole pojechaliśmy razem, a nawet ścigaliśmy się przez całą dzielnicę. Oczywiście pozwoliłem jej wygrać. Wstawiwszy rowery do garażu, przybiliśmy „piątkę”, a kiedy słońce zaczęło chować się za horyzont, usiedliśmy na tylnej werandzie i pijąc lemoniadę, wypatrywaliśmy orła bielika.

I choć tym razem go nie zobaczyliśmy, podejrzewałem, że zapamiętam ten dzień na długo, choćby dlatego, że na swój sposób był on idealny.

*

– Nie uważasz, że ma wystarczająco ubrań do szkoły? – zapytałem Vivian. Była sobota, weekend przed rozpoczęciem roku szkolnego, a ponieważ moja żona poprzedniego dnia wróciła późno z Atlanty, postanowiliśmy przełożyć wieczór randkowy na następny dzień.

– Nie chodzi o stroje – odparła Vivian, kończąc się ubierać. Była już na jodze i na siłowni i chwilę temu wyszła spod prysznic. – Chodzi o szkolną wyprawkę. Plecak, ołówki, gumkę i parę innych rzeczy. Zaglądałeś w ogóle na stronę szkoły?

Nie zaglądałem. Prawdę mówiąc, nawet nie przyszło mi to do głowy. Za to zapłaciłem rachunek za pierwsze półrocze, co znacznie uszczupliło nasze oszczędności.

– Myślałem, że pojedziemy do rodziców.

– Pojedziemy – rzuciła. – To nie potrwa długo. Jeśli chcesz, możesz jechać, spotkamy się na miejscu.

– W porządku. W przyszłym tygodniu lecisz do Atlanty?

Od jakiegoś czasu regularnie zadawałem to pytanie.

– Wyjeżdżam w środę, w piątek wieczorem jest kolacja, na której nie może mnie zabraknąć, ale zaraz potem wracamy. To okropne, że akurat gdy London zaczyna szkołę, praktycznie nie będzie mnie w domu.

– Nie możesz się z tego wywinąć?

– Nie – odparła. – Chciałabym, ale nie mogę. Myślisz, że będzie na mnie zła?

– Gdyby nie było cię na rozpoczęciu roku szkolnego, mogłaby mieć żal, ale myślę, że da sobie radę. – Nie byłem tego taki pewien, lecz wiedziałem, że to właśnie Vivian chciała usłyszeć.

– Mam nadzieję.

– A skoro mówimy o szkole – ciągnąłem – przyszedł rachunek za pierwsze półrocze i chciałem zapytać o twoją wypłatę.

– Co z nią?

– Dostałaś już pieniądze?

Zarzuciła torbę na ramię.

- Oczywiście, że dostałam wypłatę. Nie pracuję za darmo.
- Nie zauważyłem, żeby coś wpłynęło na konto.
- Bo otworzyłam nowe.
- Nie wiedziałem, czy dobrze usłyszałem.
- Nowe konto? Po co?
- Tak będzie łatwiej. Żebyśmy mieli kontrolę nad budżetem i wydatkami związanymi z prowadzeniem firmy.
- I nic mi nie powiedziałaś?
- Nie rób problemu tam, gdzie go nie ma.
- Ale to JEST problem, pomyślałem, próbując doszukać się w tym jakiegokolwiek sensu.
- Środki na naszym koncie oszczędnościowym topnieją – bąknąłem.
- Zajmę się tym, dobrze? – Pochyliła się i pocałowała mnie. – Ale teraz pojadę z London na zakupy, żebyśmy przyjechały do twoich rodziców o rozsądnej porze.
- Jasne – rzuciłem, zastanawiając się, czy moja żona postawiła sobie za cel przyprawienie mnie o ból głowy. – Dobrze.

*

- To rzeczywiście bardzo interesujące – orzekła Marge.
- Po prostu nie wiem, dlaczego nic mi nie powiedziała.
- Przecież to proste. Bo nie chciała, żebyś wiedział.
- Jak mógłbym nie wiedzieć? To ja wypisuję czeki.
- Ależ wiedziała, że w końcu się dowiesz. A kiedy to się stanie, będziesz próbował to wyjaśnić.
- Niby dlaczego miałyby tego chcieć?
- Bo taka już jest. Lubi bawić się z tobą w zgadywanki. Zawsze taka była.
- Wcale nie – warknąłem.
- Liz? – zapytała Marge.
- Mnie w to nie mieszajcie – odparła Liz i uniosła rękę jak ktoś, kto próbuje się obronić. – Jestem po pracy. Ale gdybyście chcieli

przepis na wspaniały włoski sos marinara albo chcieli porozmawiać o safari, jestem do waszej dyspozycji.

– Dzięki, Liz. Słyszałem, że w Botswanie organizują świetne safari.

– Chciałabym kiedyś pojechać na safari. Marzy mi się taka wyprawa.

– Możemy wrócić do tematu? – zapytała Marge. – To naprawdę bardzo ciekawa sprawa.

– Nosorożce są ciekawe – rzuciłem. – I słonie.

Liz położyła rękę na kolanie Marge.

– Naprawdę myślę, że w ciągu najbliższych kilku lat powinniśmy zaplanować wyjazd na safari. To dopiero byłoby coś.

– Nie lubię, kiedy bierzesz jego stronę, gdy próbuje zmienić temat.

– Nie tylko spróbował. Myślę, że całkiem nieźle mu poszło. Widziałam reklamę miejsca o nazwie Camp Mombo. Wyglądało niesamowicie.

– Myślę, że zdecydowanie powinniście jechać – zgodziłem się z Liz. – To jedna z tych rzeczy, które zdarzają się raz w życiu.

– Czy moglibyśmy łaskawie wrócić do tematu?

Widząc frustrację Marge, Liz zachichotała.

– Każda para komunikuje się w inny sposób, ludzie często posługują się skrótami. Gdybym nie znała podtekstu, nie wiedziałabym, co o tym myśleć.

– Widzisz? – podłapała Marge. – Ona też jest zdania, że coś tu śmierdzi.

– Wcale nie – obruszyłem się. – Nic takiego nie powiedziała.

– To dlatego, że nie rozumiałeś podtekstu.

*

– A tak poważnie – zwróciłem się później do Liz. – Dlaczego twoim zdaniem Vivian nie powiedziała mi o koncercie? Wiem, że jesteś po pracy, ale naprawdę chcę zrozumieć, co się dzieje.

– Nie jestem pewna, czy wiem, co się dzieje. Tak jak ty mogę się tylko domyślać.

– Ale gdybyś miała zgadywać?

Przez chwilę szukała odpowiednich słów.

– Powiedziałabym, że jest tak, jak mówi Vivian, i nie masz się czym przejmować. Może chce mieć własne konto, by wiedzieć dokładnie, ile zarabia, i żeby mogła poczuć się przez to lepiej.

Też o tym myślałam.

– Miałaś pacjentów, którzy tak robili? Inne żony?

Liz skinęła głową.

– Kilku.

– I?

– Jak mówiłam, to może oznaczać różne rzeczy.

– Wiem, że starasz się być dyplomatyczna, ale ja nie wiem, co robić. Jest coś, co mogłabyś mi doradzić?

Ociągała się z odpowiedzią.

– Zwykle u podłoża takich zachowań leży złość.

– Myślisz, że Vivian jest na mnie zła?

– Nie spędzam z nią dużo czasu, a jeśli się spotykamy, to tylko wtedy, gdy jesteśmy wszyscy razem u rodziców. W takich okolicznościach niewiele da się powiedzieć o człowieku. Ale ludzie, gdy są źli, zwykle kierują się emocjami. Robią wtedy rzeczy, których w normalnych okolicznościach by nie zrobili.

– Na przykład otwierają konto bankowe w tajemnicy przed małżonkiem?

– To żadna tajemnica, Russ. Przecież ci o tym powiedziała.

– To znaczy, że... nie jest zła?

– Myślę, że wiesz o tym lepiej niż ja.

*

Minęła kolejna godzina, a Vivian i London wciąż się nie pojawiły. Marge i Liz poszły na spacer po okolicy, a ojciec siedział na kanapie i oglądał mecz. Mama w kuchni kroїła w kostkę pomidory, a na kuchence pyrkał gulasz, którego niebiański

aromat wypełniał cały dom. Mama miała na sobie jaskrawopomarańczowy fartuch, który – jeśli dobrze pamiętam – sam jej kupiłem.

– Tu jesteś – zagadnęła. – Zastanawiałam się, kiedy w końcu przyjdiesz przywitać się z matką.

– Przepraszam – bąknąłem i nachyliłem się, żeby ją przytulić.

– Nie chciałem cię urazić.

– Daj spokój. Żartowałam. Jak się masz? Schudłeś.

Ucieszyłem się, że zauważyła.

– Może trochę.

– Dobrze się odżywasz?

– Wróciłem do biegania.

– Brr. – Wzdrygnęła się. – Nie rozumiem, jak można lubić bieganie.

– Co gotujesz? Pachnie wybornie.

– Francuska potrawka. Joanne dała mi przepis i pomyślałam, że spróbuję.

– Liz pewnie ma świetny przepis.

– Na pewno. Ale Joanne ją ubiegła.

– Znam ją? Tę całą Joanne?

– Należy do Ruchu Czerwonych Kapeluszy. Pewnie widziałeś ją, kiedy przyjechałeś po London.

– To ta w czerwonym kapeluszu? I fioletowej bluzce?

– Bardzo śmieszne.

– Jak tam twoje przyjaciółki w czerwonych kapeluszach?

– Cudownie, świetnie się razem bawimy. W zeszłym tygodniu po lunchu kilka z nas poszło do college’u na wykład pewnego astronoma. Wiedziałeś, że niedawno odkryto planetę wielkości Ziemi, która krąży wokół innego słońca? I że jej odległość do niego wynosi tyle samo co odległość Ziemi do Słońca? A to oznacza, że może być na niej życie.

– Nie miałem pojęcia.

– Rozmawialiśmy o tym na kolejnym spotkaniu.

– Bo chcecie jako pierwsze w czerwonych kapeluszach powitać kosmitów, jeśli kiedykolwiek się tu pokażą?

- Nie żartuj sobie ze mnie. To niemiłe.
Roześmiałem się.
- Przepraszam, mamó. Nie mogłem się powstrzymać.
Pokręciła głową.
- Nie wiem, kto cię nauczył, że naśmiewanie się z własnej matki to coś dobrego. Z pewnością nie ja.
- To prawda – przytaknąłem. Wskazałem cebulę leżącą obok deski do krojenia. – Chcesz, żebym ci pomógł?
- Ty chcesz mi pomóc w kuchni?
- Ostatnio często gotuję.
- Spaghetti z sosem z puszki?
- I kto tu się z kogo śmieje?
W jej oczach pojawił się błysk.
- Uczę się od najlepszych. I dziękuję, ale nie potrzebuję pomocy. Ojciec ogląda mecz czy nadal siedzi w garażu?
Zerknąłem w stronę pokoju i zobaczyłem błysk telewizora.
- Ogląda mecz – odparłem.
- Kilka dni temu mi się śnił. A przynajmniej myślałam, że to był on. To był jeden z tych snów, gdzie wszystko jest zamglone i niewyraźne. Wiem tylko, że miał raka i leżał w szpitalu.
- Hmm.
- W każdym razie był podłączony do tej pikającej aparatury, a w telewizji leciała *Sędzia Judy*. Lekarz chyba był Hindusem, a na łóżku obok twojego ojca leżało ogromne wypchane zwierzę. Wielka fioletowa świnia.
- Hmm – powtórzyłem.
- Jak myślisz, co to znaczy? Chodzi mi o tę świnię?
- Nie mam pojęcia.
- Wiedziałaś, że moja babcia była medium? Miewała też przeczucia.
- Wydawało mi się, że mówiłaś, że to był sen.
- Chodzi o to, że martwię się o niego.
- Wiem. Ale lekarz powiedział, że nic mu nie jest. Ostatnio nie miał problemów z oddychaniem, prawda?
- Nie zauważyłam. A nawet gdyby, i tak by mi nie powiedział.

– Zapytam go, dobrze?

– Dziękuję – odparła. – Gdzie Vivian i London?

– Pojechały kupić jeszcze parę rzeczy do szkoły. Niedługo powinny tu być. A tak przy okazji, London we wtorek idzie pierwszy raz do szkoły. Nie wiem, czy chcecie przyjść na rozpoczęcie roku, ale jesteście zaproszeni.

– Przyjdziemy oboje z ojcem – odparła. – To dla niej ważny dzień.

– Tak – przyznałem.

Mama uśmiechnęła się.

– Pamiętam twój pierwszy dzień w szkole. Byłeś taki podekscytowany, a kiedy odprowadziłam cię do klasy, wróciłam do samochodu i rozplakałam się.

– Dlaczego?

– Bo to znaczyło, że dorastasz. Poza tym byłeś zupełnie inny niż Marge. Dużo wrażliwszy. Martwiłam się o ciebie.

Nie wiedziałem, czy cieszyć się z tego, że zdaniem mamy byłem bardziej wrażliwy od siostry, ale podejrzewałem, że było w tym ziarno prawdy.

– Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Zawsze lubiłem szkołę. Mam nadzieję, że London też się spodoba. Byliśmy na dniach otwartych i poznała swoją wychowawczynię. Poszło chyba nieźle.

– Nic jej nie będzie. Jest mądra, dojrzała i naprawdę słodka. Oczywiście jako babcia jestem nieobiektywna.

– To dobrze.

– Cieszę się, że nie jesteś na mnie zły.

– Dlaczego miałbym być zły na ciebie?

– Bo nie mogłam zająć się London za każdym razem, gdy tego potrzebowałeś.

– Miałaś rację – odparłem. – To nie był twój obowiązek. Ale powiedzmy, że mój szacunek do samotnych matek osiągnął zupełnie nowy poziom.

– London to też wyszło na dobre. Bardzo zmieniła się w ciągu tego lata.

- Tak myślisz?
- Oczywiście. Ty jesteś zbyt blisko, żeby to zauważyć.
- W jakim sensie się zmieniła?
- Choćby to, jak o tobie mówi. I jak często.
- Mówi o mnie?
- Ostatnio bez przerwy. Nic tylko „Tatuś i ja jeździliśmy na rowerach”, „Tatuś bawił się ze mną lalkami” albo „Tatuś zabrał mnie do parku”. Wcześniej tego nie robiła.
- Tak ostatnio wygląda moje życie.
- Tobie to też dobrze zrobiło. Zawsze byłam zdania, że twojemu ojcu wyszłoby na dobre, gdyby wiedział, jak wygląda moje życie.
- Ale wtedy nie byłby tym wielkim, szorstkim facetem, którego ja i Marge się baliśmy.
- Ćśśś. – Mama położyła palec na ustach. – Wiesz, że tata was kocha.
- Pewnie. Pod warunkiem, że nie zagaduję go, kiedy ogląda mecz. Oczywiście Marge i London mogą gadać do woli i wcale mu to nie przeszkadza.
- To dlatego, że Marge zna się na baseballu lepiej od ciebie, a London siedzi mu na kolanach i od czasu do czasu przynosi piwo. Może też spróbujesz?
- Jestem za duży, żeby siedzieć mu na kolanach.
- Straszny dziś z ciebie dowcipniś. W lodówce jest kilka butelek piwa. Weź dwie i zobacz, co się wydarzy. Lubi, kiedy nas odwiedzasz.
- Wiem dokładnie, co się wydarzy.
- Och, nie daj się wystraszyć. Pamiętaj... on zawsze wyczuje twój strach.
- Roześmiałem się i przekonany, że mam najlepszą mamę na świecie, podszedłem do lodówki.

*

– Co słyhać, tato? – Wyciągnąłem w jego stronę otwartą butelkę piwa. – Dla ciebie – rzuciłem. Na szczęście trafiłem na reklamy, które zdążył już przyciszyć.

– Co robisz?

– Przyniosłem ci piwo.

– Po co?

– Po co? Bo pomyślałem, że chętnie się napijesz.

– Chyba nie chcesz, żebyśmy pożyczyci ci pieniądze?

– Nie.

– To dobrze. Bo odpowiedź brzmi: nie. Nie moja wina, że rzuciłeś pracę.

Mój ojciec, Król Obsesowości. Usiadłem obok niego na kanapie.

– Jak tam mecz?

– Bravesi przegrywają.

Skrzyżowałem ręce na piersi, zastanawiając się, jak pociągnąć rozmowę.

– A co u ciebie, tato? Biznes się kręci?

– A czemu miałyby się nie kręcić?

Nie wiem, pomyślałem. Bo czasami czuje się przy tobie nieswojo? Upiłem łyk piwa.

– Mówiłem ci, że zdobyłem pierwszego klienta?

– Taa. Tego prawnika. Włocha.

– W przyszłym tygodniu będziemy kręcić spoty. Mam też spotkanie z dziecięcymi aktorami, żebym mógł nakręcić trzeci spot.

– Nie lubię reklam kancelarii adwokackich.

– Ty w ogóle nie lubisz reklam, tato – odparłem. – Dlatego wyłączasz głos.

Przytaknął i w ciszy, która zapadła, słyszeliśmy mamę nucącą coś w kuchni. Ojciec drapał róg etykiety na butelce, nie bardzo wiedząc, jak zadać kolejne pytanie.

– Co u Vivian?

– Radzi sobie – odparłem.

– To dobrze.

W tej samej chwili wznowiono mecz, ojciec sięgnął po pilota i włączył głos. Zerknąłem na wynik – na cztery rundy przed końcem Bravesi przegrywali trzema punktami.

– Powinniśmy pójść kiedyś na mecz Bravesów. Tylko ty i ja.

Spojrzał na mnie spode łba.

– Będziesz tak gadał czy pozwolisz mi w spokoju obejrzeć mecz?

*

– Myślę, że go wystraszyłeś, tato – rzuciła Marge, siadając na kanapie obok ojca. Obie z Liz wróciły właśnie ze spaceru.

– O czym ty mówisz?

Marge wskazała na mnie.

– Przycupnął tu, jakby bał się ruszyć.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Gadał jak nakręcony.

– Taki już jego urok – zgodziła się Marge. – Jaki wynik?

– Cztery do czterech, końcówka ósmej rundy. Bravesi wracają do gry.

– Wprowadzili już rezerwowego miotacza?

– W siódmej rundzie.

– Który to?

Ojciec rzucił nazwisko, którego nie znałem.

– Dobry wybór – zauważyła Marge. – Ma dobry slider, zresztą changeup też. Jak mu idzie?

– Mnóstwo rzutów. Musi to ogarnąć.

– Pamiętacie, jak mieliśmy Madduxa, Smoltza i Glavine'a?

– Kto by nie pamiętał? To był jeden z najlepszych sezonów.

W tym roku...

– Tak, wiem. Koszmar. Ale przynajmniej nie grają jak Chicago Cubs.

– Dasz wiarę? Minęło sto lat, odkąd zdobyli ostatni tytuł. Wygląda na to, że Kłątwa Bambino² to stek bzdur, zwłaszcza gdy się spojrzy na ostatnie kilka lat.

- Jak myślisz, kto zdobędzie tytuł?
 - Jak dla mnie, może to być każdy, byle nie Yankees.
 - Myślę, że Metsi mają spore szanse.
 - Całkiem możliwe – przyznał ojciec. – Są dobrzy. Royalsi też, poza tym w tym sezonie mają naprawdę dobry atak.
- Kiedy to mówił, Marge puściła do mnie oko.

*

W końcu Marge i ja dołączyliśmy do Liz, która siedziała na werandzie za domem. Z salonu dobiegały dźwięki meczu.

- Nigdy nie byłem fanem baseballu – zwróciłem się do siostry.
- W liceum wołałem biegać.
- A teraz biegasz z mamuškami. I niech nikt ci więcej nie mówi, że się zaniedbałeś.

Spojrzałem na Liz.

- Do ciebie też tak mówi? – zapytałem ją.
- Nie – odparła. – Wie, że jeśli to zrobi, nic jej nie ugotuję. Poza tym jesteś wymarzonym celem do takich ataków.
- Chciałem tylko powiedzieć, że ojciec nie porozmawiałby ze mną, nawet gdybym znał się na baseballu tak jak ty.
- Daj spokój. – Marge wzruszyła ramionami. – Może nie znasz się na baseballu, ale założę się, że tata nie potrafi wymienić wszystkich akcesoriów Barbie, więc punkt dla ciebie.
- Dzięki, od razu poczułem się lepiej.
- Nie bądź taki drażliwy. Ojciec nie rozmawia ze mną, kiedy jest w garażu. To twoje miejsce, nie moje.
- Poważnie?

– A jak myślisz, czemu zainteresowałam się Bravesami? Gdyby nie to, prawdopodobnie w ogóle by się do mnie nie odzywał; chyba że chciałby, żebym podała mu purée ziemniaczane.

- Myślisz, że on i mama rozmawiają z sobą tak jak dawniej?
- Po prawie pięćdziesięciu latach? Wątpię. Po takim czasie nie ma już chyba o czym rozmawiać. Ale oni... u nich jakoś to

funkcjonuje.

– Tatuś! – usłyszałem dobiegający z kuchni głosik i zobaczyłem London, która biegła do mnie w podskokach. Miała na sobie sukienkę, w której mogłaby wystąpić na czerwonym dywanie, i ścisnęła w dłoni pudełeczko na lunch z podobizną lalki Barbie. Marge pomyślała pewnie, że oto kolejny dodatek z kolekcji Barbie, którego znajomością będę mógł błysnąć w towarzystwie. – Zobacz, co mam! – pisnęła, podnosząc pudełko tak, żebym je widział. – Pasuje do mojego plecaka z Barbie!

– To świetnie, kochanie. Jest naprawdę ładne.

Obejmowała nas kolejno, pozwalając, byśmy zachwycali się pudełkiem.

– Cieszysz się, że idziesz do szkoły? – zapytała Marge.

London pokiwała główką.

– Zaczynam we wtorek.

– Wiem. Tatuś mi powiedział. Powiedział też, że poznałaś swoją wychowawczynię.

– Nazywa się Brinson – wyjaśniła London. – Jest naprawdę miła. Powiedziała, że będę mogła przynieść do szkoły Pana i Panią Sprinkles i opowiedzieć o nich dzieciom.

– Byłoby fajnie – rzuciła Marge. – Jestem pewna, że będą zachwycone. A gdzie są teraz chomiki? Przywiozłaś je z sobą?

– Nie. Zostały w domu. Mamusia powiedziała, że jest za gorąco, żeby zostawić je w samochodzie, kiedy będziemy chodzić po sklepach.

– Pewnie miała rację. Rzeczywiście jest gorąco.

– Jesteś głodna? – spytałem London.

– Mamusia i ja niedawno jadłyśmy lunch.

To dlatego nie było was tak długo, pomyślałem.

– Widziałaś się z Bunią?

– Obiecała, że za kilka minut zrobimy pudding z bitą śmietaną.

A potem posadzimy kwiatki.

– Fajnie. A przywitałaś się z dziadkiem?

– Usiadłam mu na kolanach. Dał mi buziaka i połaskotał wąsami. Jemu też się podobało pudełko.

– Na pewno. Oglądałaś z nim mecz?

– Nie. Rozmawialiśmy o chomikach; stęsknił się za nimi. A potem rozmawialiśmy o szkole i o rowerze. Dziadzio powiedział, że chce zobaczyć, jak jeżdżę. Powiedział, że kiedy był mały, cały czas jeździł na rowerze. Podobno kiedyś pojechał aż do jeziora Norman i z powrotem.

– To daleko. – Nawet przez chwilę nie wątpiłem w prawdziwość słów ojca. To do niego podobne. W tej samej chwili pojawiła się Vivian.

Wstałem, żeby ją pocałować; Marge i Liz uściśniły ją i usiadły z powrotem. Vivian też usiadła.

Poprawiła sukienkę London.

– Bunia chyba czeka, aż pomożesz jej w kuchni, skarbie.

– Dobrze – pisnęła London i pobiegła do domu. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, spojrzałem na Vivian. Sprawa oddzielnego konta wciąż nie dawała mi spokoju, ale nie było to ani miejsce, ani czas na takie rozmowy. Zmusiłem się do uśmiechu i udawałem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Jak tam na zakupach?

– Koszmar. – Westchnęła. – Znalezienie odpowiedniego plecaka zajęło wieczność. Prawie wszystko było wyprzedane, ale poszczęściło się nam w ostatnim sklepie. W centrum handlowym tłummy. Zupełnie jakby wszyscy nagle przypomnieli sobie, że trzeba kupić szkolną wyprawkę. Pod koniec London była tak głodna, że musiałam jej kupić coś do jedzenia.

– Zakupy nie są dla słabeuszy – skwitowała Marge.

– Przynajmniej mamy to już za sobą – odparła Vivian. Odwróciła się w stronę Liz, patrząc ni to na nią, ni to na Marge. – A co u was? Macie w planach jakieś wycieczki?

Marge i Liz uwielbiały podróżować; odwiedziły razem przeszło piętnaście krajów.

– W przyszły weekend jedziemy do moich rodziców do Houston – powiedziała Liz. – A w październiku lecimy do Kostaryki. Zaraz po urodzinach London.

– Nieźle... co takiego jest w Kostaryce?

– Zapowiada się dobra przygoda. Tyrolki, spływy pontonem, wędrówki po lasach mglistych. Zobaczymy też wulkan Arenal.

– Brzmi bajecznie.

– Mam nadzieję. A potem, na początku grudnia, wybieramy się do Nowego Jorku. Jest kilka spektakli, które chcielibyśmy zobaczyć, słyszałam też, że mają otworzyć muzeum poświęcone ofiarom z jedenastego września.

– Uwielbiam Nowy Jork przed świętami. Opuszczając go, nie sądziłam, że będę za nim tęsknić, ale od czasu do czasu zastanawiam się, czemu stamtąd wyjechałam.

Wyjechaliśmy, bo braliśmy ślub. Nie powiedziałem tego głośno, ale Liz – jak to Liz – prawdopodobnie wyczuła moje podenerwowanie i nie chciała psuć atmosfery.

– Nie ma drugiego takiego miasta – przyznała. – Zawsze lubimy tam jeździć.

– Jeśli będziecie chcieli zarezerwować gdzieś kolację, dajcie mi znać. Zadzwońię do swojego byłego szefa, on na pewno coś załatwi.

– Dzięki. Będziemy pamiętać. Jak tam przeprowadzka do Atlanty?

– Jakoś idzie. Nie wiedzieć czemu, jestem odpowiedzialna za logistykę i mam pełne ręce roboty. Pod koniec tygodnia muszę na kilka dni jechać do Atlanty.

– Ale będziesz z London na rozpoczęciu roku szkolnego?

– Za nic bym tego nie odpuściła.

– London na pewno się ucieszy. Znacie już dokładną datę przeniesienia firmy?

– Myślę, że gdzieś w połowie września. Biuro jest niesamowite. Znajduje się przy samej Peachtree, a z jego okien roztacza się wspaniały widok. Walter wynajął niektórym pracownikom tymczasowe mieszkania, co znacznie ułatwia sprawę.

– Będziesz mieszkała w jednym z nich?

– Wszystko zależy od tego, ile czasu będę tam spędzała.

Zależy?

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Liz kontynuowała:

– Ale będziesz pracowała głównie w Charlotte, tak?

– Mam taką nadzieję, lecz kto to wie? W tym tygodniu spędzę w Atlancie trzy dni, ale Walter poważnie rozważa ubieganie się o fotel gubernatora. Nie w przyszłym roku, w dwa tysiące dwudziestym. Teraz, przy całym tym zamieszaniu z firmą i komitetem wyborczym, nie zdziwiłabym się, gdybym musiała spędzać w Atlancie cztery dni w tygodniu.

– Praktycznie mieszkałabyś w hotelu.

– Gdyby tak się stało, pewnie skorzystałabym z oferty Waltera i zatrzymywałabym się w jednym z firmowych mieszkań.

– Poważnie? – wtrąciłem w końcu. Nie mogłem się powstrzymać.

– Cóż mogę powiedzieć? Liz ma rację, mówiąc, że mieszkałabym w hotelu.

– Wolałbym, żebyś nie miała mieszkania w Atlancie – powiedziałem, zastanawiając się, dlaczego dowiaduję się o wszystkim dopiero teraz.

– Wiem – odparła. – Myślisz, że mnie się to podoba?

Milczałem, bo nie byłem pewien, czy znam odpowiedź.

– Po co chce być gubernatorem? – zapytała Marge, wyrywając mnie z zamyślenia. – Przecież ma i pieniądze, i wpływy.

– A czemu nie? Czegokolwiek dotknie, zamienia się w złoto. Prawdopodobnie byłby świetnym gubernatorem.

Słuchając Vivian, wciąż miałem w głowie konto bankowe i mieszkanie w Atlancie. Sądząc po minie Marge, ona również o tym myślała. Tymczasem Liz z mistrzowską wprawą prowadziła rozmowę.

– Wygląda na to, że twój szef ma dla ciebie robotę na kolejnych parę lat – zauważyła.

– Mam prawdziwe urwanie głowy.

– Ale podoba ci się to? – podpytywała Liz.

– Tak. Tęskniłam za pracą, a to wspaniałe miejsce, żeby rozwinąć skrzydła. Może głupio to zabrzmie, mam jednak wrażenie, że wreszcie odzyskałam siebie.

– Wcale nie brzmi to głupio – rzuciła Liz. – Zawsze powtarzam swoim klientom, że praca, która daje satysfakcję, to podstawa zdrowia psychicznego.

– Bycie mamą na pełny etat też jest satysfakcjonujące – zauważyłem.

– Nie wątpię – odparła Liz. – Myślę, że wszyscy zgadzamy się co do tego, że siedzenie w domu i wychowywanie dzieci jest ważne. – Chwilę później zwróciła się do Vivian: – Pewnie niełatwo było ci zostawić London?

– Wiem, że za mną tęskni. Ale to ważne, że widzi, że pracuję poza domem. Nie chcę, by myślała, że kobiety powinny jedynie siedzieć w domu, rodzić dzieci i stać przy garach.

– Czy ty, kiedy byłaś w ciąży, stałaś przy garach? – wtrąciłem.

– Tak się tylko mówi, Russ – rzuciła. – Wiesz, o co mi chodzi. Zresztą tobie też wyszło to na dobre. Myślę, że nabrał szacunku do tego, jak przez ostatnie pięć lat wyglądało moje życie – zwróciła się ponownie do Liz.

– Zawsze szanowałem to, co robiłaś. – Dość miałem tego, że wciąż muszę się bronić. – I tak, przyznaję, zajmowanie się London pochłania mnóstwo energii. Ale ja też pracuję i wiem, że najtrudniej jest pogodzić obie te rzeczy.

Vivian zmrużyła oczy, dając mi do zrozumienia, jak bardzo nie spodobał się jej mój komentarz. Chwilę później skupiła swoją uwagę na Marge.

– A co u ciebie? W pracy wszystko dobrze?

Było to niewinne pytanie, które doskonale odzwierciedlało ich relacje – nic nieznaczące pytanie dla podtrzymania rozmowy.

– Jak to mówią: Chcesz rozkręcić imprezę? Zaproś księgowych.

Uśmiechnąłem się wbrew sobie. Vivian zachowała powagę.

– Nie wiem, jak ty to robisz – rzuciła. – Nie wyobrażam sobie, jak można przez cały dzień gapić się na liczby i użerać się z urzędem skarbowym.

– Nie jest to praca dla każdego, ale ja zawsze lubiłam liczyć. Poza tym lubię pomagać swoim klientom.

– To dobrze – odparła Vivian. Nie dodała już nic więcej i przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Marge skubała paznokcie, Liz strzepnęła z szortów nieistniejący paproszek. Nie trzeba było geniusza, żeby wyczuć, że dotychczasowa beztroska ulotniła się, kiedy Vivian usiadła na werandzie. Nawet ona sama nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła przed siebie, aż w końcu z ociąganiem skupiła wzrok na mojej siostrze. – O której przyjechałyście?

– Około wpół do pierwszej – odparła Marge. – Zaraz po Russie.

– Coś się wydarzyło?

– Nie. Sobota jak każda inna. Mama cały dzień krzątała się w kuchni, my poszliśmy na spacer, a ojciec siedział w garażu, dopóki nie zaczął się mecz. I jak zawsze przez chwilę droczyłam się z twoim mężem.

– To dobrze. Russ potrzebuje kogoś, kto będzie trzymał go w ryzach. Ostatnio bywa humorzasty. Wygląda na to, że nie ma rzeczy, którą robiłabym dobrze.

Odwróciłem się do niej, zbyt zdumiony, żeby cokolwiek powiedzieć, i pomyślałem: Mówisz o mnie czy o sobie?

*

Osobne konto w banku. Firmowe mieszkanie. I perspektywa spędzania w Atlancie czterech dni w tygodniu.

Im dłużej myślałem o sobotnich rewelacjach Vivian, tym większej nabierałem pewności, że zaczęła ten temat, bo wiedziała, że w towarzystwie nie będę się z nią kłócił. Oczywiście, kiedy wróciliśmy do domu, twierdziła, że już o tym rozmawialiśmy, więc nie widzi powodu, żeby przerabiać to kolejny raz, a każdą próbę rozmowy traktowała jak atak na siebie i szukanie przeze mnie pretekstu do kłótni. Jej zdaniem była to sytuacja korzystna dla obu stron, ale bardziej niż jej jawne manipulacje martwiło mnie to, że nie przejmowała się tym, iż będziemy spędzać więcej czasu osobno niż razem. Jak coś takiego odbije się na naszym związku? Jak wpłynie na London?

Nie byłem pewien. Nie chciałem wyprowadzać się z Charlotte, ale jak przyjdzie co do czego, zrobię to. Małżeństwo było dla mnie ważne – rodzina była dla mnie ważna – i zrobię wszystko, żebyśmy byli razem. Jeśli chodzi o firmę, mogłem prowadzić ją gdziekolwiek i w razie ewentualnej przeprowadzki mogłem równie dobrze poszukać klientów w Atlancie; zakładając, że będę znał plany Vivian. Tymczasem wszystko było zbyt niejasne i niepewne.

A jednak... nie wiedziałem, jak żona zareaguje na propozycję przeprowadzki. Czy w ogóle tego chce? Miałem wrażenie, że ślizgamy się po lodzie w przeciwnych kierunkach, a im bardziej kurczowo się jej trzymam, tym ona mocniej się wyrywa. Zaczęła mieć tajemnice, czepiała się mnie i podczas gdy ja wychodziłem z założenia, że powinniśmy się nawzajem wspierać w tym, co robimy, miałem nieodparte wrażenie, że Vivian jest wręcz przeciwnego zdania. Zamiast być dwojgiem ludzi, którzy rzucają wyzwanie światu, czułem się tak, jakby to ona rzucała wyzwanie mnie.

A może rzeczywiście przesadzałem; może byłem kłótlivy i zamiast na jej zaletach za bardzo skupiałem się na wadach. Może kiedy London pójdzie do szkoły, a my wpadniemy w wir obowiązków, okaże się, że rzeczywistość nie jest tak ponura, jak mogłoby się wydawać, i wszystko wróci do normy.

A może nie.

Podczas gdy ja się zastanawiałem nad tym wszystkim, Vivian rozmawiała z Marge i Liz o atrakcjach, które oferował Nowy Jork. Poleciała im mało znany bar na szczycie wieżowca przy Pięćdziesiątej Siódmej z widokiem na Central Park. Pamiętam, jak zabierałem ją tam w leniwe niedzielne popołudnia, kiedy wierzyłem jeszcze, że jestem centrum jej świata. Jakże odległe wydawały mi się teraz tamte czasy.

Na werandę wyszła London z dwiema miseczkami puddingu z bitą śmietaną, które wręczyła Liz i Marge; chwilę później Vivian i ja otrzymaliśmy swoje porcje i choć czułem wewnętrzny

niepokój, widok podeksycytowanej córki sprawił, że się uśmiechnąłem.

– Wygląda pysznie, kochanie – powiedziałem. – Co to?

– Pudding czekoladowy z bitą śmietaną – odparła. – Smakuje jak rozmoknięte ciastko Oreo, zrobiłam go razem z Bunią. Powiedziała, że się tym nie najem, bo to tylko przekąska. Zjem swoją porcję z dziadkiem, dobrze?

– Na pewno się ucieszy – rzuciłem, kosztując pudding. – Bardzo smaczny. Świetnie gotujesz.

– Dziękuję, tatusiu.

Ku mojej ucieście objęła mnie i pobiegła do domu, żeby usiąść dziadkowi na kolanach i uraczyć go porcją puddingu.

Vivian skwitowała czułość London pobłażliwym uśmiechem; nie wiedziałem, czy dotknęło ją to – jeśli w ogóle cokolwiek zauważyła – że została pominięta. Gdy tylko drzwi zamknęły się za London, odstawiła swój deser na stół, twierdząc, że cukier to najgorszy wróg. Ja, Marge i Liz nie byliśmy aż tak radykalni.

– Przed wami ważny tydzień – zagadnęła Marge, wkładając do ust drugą łyżeczkę deseru. – London idzie do szkoły, Vivian wyjeżdża, a ty kręcisz reklamy, tak? Kiedy zaczynacie?

– W środę po południu mamy próbę, kręcimy w czwartek i piątek, i kilka dni w następnym tygodniu. W przyszłym mam też casting.

– No to faktycznie będziesz zajęty.

– Dam radę – odparłem przekonany, że tak właśnie będzie. Kiedy London pójdzie do szkoły, będę miał osiem godzin, żeby popracować, co w porównaniu do szalonego trybu życia, jaki ostatnio prowadziłem, wydawało się prawdziwym dobrodziejstwem. Wsunąłem do ust kolejną łyżeczkę puddingu i poczułem na sobie spojrzenie Vivian.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Chyba nie zjesz tego wszystkiego?

– Niby czemu miałbym nie zjadać?

– Bo za godzinę będzie obiad. To niezdrowe. Przytyjesz.

– Jakoś to przeżyję – odparłem. – Przez miesiąc zrzuciłem trzy kilogramy.

– I tak bardzo chcesz je odzyskać? – rzuciła.

Kiedy nie odpowiedziałem, Liz odchrząknęła.

– A ty, Vivian? Nadal chodzisz na siłownię i jogę?

– Tylko w soboty. Ale dwa, trzy razy w tygodniu ćwiczę w firmowej siłowni.

– Macie w biurze siłownię? – Zamrugąłem zaskoczony.

– Przecież wiesz. Widziałeś, jak biorę do pracy torbę sportową. Inaczej nie miałabym czasu. Zdarza się, że nawet wtedy pracuję; zależy, który z kierowników jest akurat na siłowni.

Choć nie podała imienia, ogarnęło mnie przeczucie, że mówiąc „kierownik”, miała na myśli Waltera, co – jeśli się nie myliłem – było najokrutniejszą z sobotnich niespodzianek.

*

Byłem kompletnie przybity. Wyłączyłem się, gdy Vivian i Marge prowadziły rozmowę o niczym, myśli eksplodowały mi w głowie niczym fajerwerki.

Moja mama i London wyszły z domu, obie miały na rękach rękawice ogrodnicze. Wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że London pożyczyła swoje od babci – były trzy rozmiary za duże.

– Cześć, skarbie! – zawołałem. – Będziecie sadzić kwiaty?

– Mam rękawiczki, tatusiu! Razem z babcią zrobimy śliczną rabatkę!

– Dobrze.

Patrzyłem, jak moja mama sięga po plastikową skrzynkę z dwunastoma małymi doniczkami, w których kwitły nagietki. London wzięła dwie łopatkę i idąc w stronę rabaty, nie przestawała mówić.

– Zauważyłeś, jak mama świetnie dogaduje się z London? – spytała Marge. – Jest cierpliwa, radosna i zabawna.

– Mówisz, jakbyś była zazdrosna – zauważyła Liz.

– Bo jestem. Ze mną nigdy nie sadziła kwiatków. Ani nie pokazywała mi, jak zrobić pudding z bitą śmietaną. A przede wszystkim nie była cierpliwa, radosna i zabawna. Odzywała się do mnie tylko wtedy, kiedy chciała, żebym coś zrobiła.

– Przyszło ci do głowy, że twoja pamięć może być wybiórcza?
– spytała Liz.

– Nie.

Liz się roześmiała.

– Więc może powinnaś pogodzić się z myślą, że twoja mama bardziej lubi London niż ciebie czy Russa.

– Auć, to zabolalo – rzuciła Marge. – Zachowałaś się nieprofesjonalnie.

– Szkoda, że London nie widuje tak często moich rodziców – powiedziała Vivian. – Smutno mi, kiedy pomyślę, że nie łączy jej z nimi taka sama więź. To trochę tak, jakby w ogóle ich nie znała.

– Kiedy byli tu ostatni raz? – zapytała Liz.

– Na Święto Dziękczynienia – odparła Vivian.

– To dlaczego nie wpadną teraz, latem?

– Firma taty jest w trakcie poważnej fuzji, a mama nie lubi podróżować bez niego. Pewnie mogłabym pojechać do nich z London, ale przy tym natłoku obowiązków nie bardzo mogę znaleźć na to czas.

– Może wszystko się zmieni, kiedy sytuacja się uspokoi? – powiedziała Liz.

– Może – bąknęła Vivian i marszcząc brwi, patrzyła, jak córka spulchnia ziemię, a moja mama sadi kwiaty. – Gdybym wiedziała, że London będzie pracowała w ogrodzie, wzięłabym jej ubrania na zmianę. To nowa sukienka i jeśli ją zniszczy, będzie zła.

Wątpiłem, czy London przejmowała się sukienką tak bardzo jak Vivian. Prawdopodobnie nie pamiętała połowy sukienek, które wisiały w szafie. Nagle z zamyślenia wyrwał mnie krzyk, pełen bólu i strachu...

– Au, au, aua!!! Boli! Tatusiu!!!!

W jednej sekundzie mój świat rozpadł się na miliony chaotycznych obrazów. Zerwałem się na równe nogi, przewracając krzesło... Liz i Marge odwróciły się jak na zawołanie, na ich twarzach malowało się przerażenie... usta Vivian ułożyły się w idealne O... Moja mama przyskoczyła do wnuczki... London, czerwona na twarzy, zanosząca się płaczem, kręcąca głową i wyginająca usta w podkówkę...

– Boli, tatusiu!!!

Napędzany adrenaliną rzuciłem się w jej stronę i chwilę później trzymałem ją w ramionach.

– Co się stało? O co chodzi?

Szłochała tak bardzo, że nie była w stanie odpowiedzieć, krzyczała coś bez ładu i składu i wyciągała przed siebie rękę.

– Co się stało? Skaleczyłaś się w rączkę?

Mama była biała jak płótno.

– Użądliła ją pszczoła! – zawołała. – Próbowwała ją odgonić...

Nadbiegły Vivian, Liz i Marge. Nawet mój ojciec pojawił się w drzwiach i pospiesznie ruszył w naszą stronę.

– To była pszczoła? – zapytałem. – Użądliła cię pszczoła? – Próbowiałem wziąć London za rękę, ale nie przestawała nią machać, przekonana, że wciąż siedzi na niej pszczoła.

Vivian chwyciła ją za ramię, mimo że córka wciąż krzyczała, i odwróciła dłoń do góry.

– Widzę żądło! – zawołała do London, która wyrywała się, młóćąc rękami powietrze. – Muszę je wyjąć, dobrze? – Mocniej ścisnęła rękę. – Nie ruszaj się! – nakazała. Po kilku nieudanych próbach w końcu wyciągnęła paznokciami żądło. – Już po wszystkim, kochanie – oznajmiła. – Wiem, że boli – uspokajała ją. – Ale teraz już będzie dobrze.

Od chwili, gdy usłyszałem krzyk London, minęło nie więcej niż pół minuty, miałem jednak wrażenie, że trwało to znacznie dłużej. Wciąż płakała, ale przestała się wyrywać i nie krzyczała już tak głośno. Policzek miałem wilgotny od jej łez, podczas gdy wszyscy tłoczyli się dookoła, próbując ją pocieszyć.

– Ćśśś... – szeptałem. – Jestem przy tobie...

- Nic ci nie jest? – pytała Marge, głaszcząc ją po plecach.
- Biedactwo, to musiało boleć... – dodała Liz.
- Przyniosę sodę oczyszczoną... – oświadczyła mama.
- Chodź, skarbie – powiedziała Vivian, wyciągając do niej rękę.
- Mamusia cię przytuli...

Otoczyła ją ramionami, ale London ukryła twarz w zagłębieniu mojej szyi.

– Chcę tatusia! – pisnęła, a gdy Vivian chciała ją wziąć na rękę, przywarła do mnie jeszcze mocniej, niemal mnie dusząc. W końcu Vivian dała za wygraną.

Zaniosłem London na krzesło, na którym siedziałem chwilę temu, słuchając jej płaczu, który przeszedł stopniowo w ciche pochlipywanie. Moja mama przyniosła pastę zrobioną z sody zmieszanej z wodą.

– To pomoże na opuchliznę i złagodzi swędzenie – powiedziała. – Chcesz, żebym ja to zrobiła? – zwróciła się do wnuczki.

London puściła moją szyję i obserwowała, jak Bunia nakłada pastę na opuchliznę.

– Będzie piekło?

– Ani trochę – uspokoiła ją moja matka. – Widzisz?

London znowu zaczęła pociągać nosem, a po wszystkim podniosła rękę do oczu.

– Dalej boli – jęknęła.

– Wiem, ale zaraz poczujesz się lepiej.

Pokiwała głową, jednak wciąż przyglądała się ręce. Kciukiem otarłem jej łzy i poczułem na skórze wilgoć.

Przez chwilę siedzieliśmy przy stole, nie rozmawiając o niczym konkretnym; próbowaliśmy zająć czymś London i czekaliśmy, czy nie dojdzie do reakcji alergicznej. Nie spodziewaliśmy się jej – ani ja, ani Vivian nie byliśmy alergikami i wiedzieliśmy już, że London nie ma alergii na ukąszenia mrówek ognistych – ale ponieważ pierwszy raz została użądlnona przez pszczołę, nie mieliśmy pewności. Oddychała normalnie,

opuchlizna się nie powiększała, a gdy rozmowa zesłała na Pana i Panią Sprinkles, na krótką chwilę zapomniała o bólu.

Kiedy mieliśmy pewność, że nic jej nie będzie, doszedłem do wniosku, że reakcja dorosłych była przesadzona. Nasza panika – to, jak próbowaliśmy ją uspokoić i jak skakaliśmy wokół niej – była odrobinę niedorzeczna. Zupełnie jakby London złamała rękę albo została potrącona przez samochód. Okrzyki bólu były prawdziwe, ale przecież chodziło o... zwykłe użądlenie. Jako dzieciak zostałem użądłony kilka razy, a gdy zdarzyło się to pierwszy raz, mama nie przygotowała pasty z sody i wody ani nie tuliła mnie do siebie, próbując mnie uspokoić. Jeśli się nie mylę, powiedziała mi, żebym zmył żądło wodą, a ojciec rzucił coś w stylu: „Przestań płakać jak dziecko”.

Gdy moja mama zapytała wnuczkę, czy ma ochotę na jeszcze jedną łyżeczkę puddingu, London zeskoczyła mi z kolan, dała buziaka i pobiegła do kuchni. Rękę trzymała przed sobą jak chirurg, który właśnie szykuje się do operacji. Powiedziałem to na głos, czym rozśmieszyłem Marge i Liz.

Tylko Vivian się nie śmiała. Patrzyła na mnie spod przymrużonych powiek, a jej spojrzenie zdawało się mówić: zdrajca.

ROZDZIAŁ 13

Zbrodnia i kara

Miałem dwanaście lat, a Marge siedemnaście, kiedy zdecydowała się na coming out, czy jak to się wtedy mówiło. Nie miała świadomości czegoś takiego jak poprawność polityczna, tak po prostu wyszło. Siedzieliśmy w jej pokoju i rozmawialiśmy o szkolnej dyskotecie. Kiedy zapytałem, dlaczego nie idzie, odwróciła się w moją stronę.

„Bo lubię dziewczyny,” stwierdziła nagle.

„Och”, rzuciłem. „Ja też lubię dziewczyny”. Myślę, że w głębi duszy domyślałem się, że Marge może być lesbijką, ale w tym wieku cała moja wiedza o seksualności i seksie pochodziła z rozmów z chłopakami w szkole i oglądanych od czasu do czasu filmów dla dorosłych. Gdyby powiedziała mi o tym rok później, kiedy codziennie siedziałem oparty o drzwi pokoju, żeby mieć trochę prywatności, nie wiem, jak bym zareagował, choć podejrzewam, że zrobiłbym z tego większą aferę. W wieku trzynastu lat wszystko, co inne – łącznie z siostrami – jest Najgorszą z Możliwych Rzeczy.

„To ci przeszkadza?”, zapytała, nagle zajęta skubaniem skórki wokół paznokcia.

Dopiero gdy na nią popatrzyłem – gdy naprawdę się jej przyjrzałem – zrozumiałem, jak wiele nerwów kosztowało ją wyjawienie mi prawdy.

„Chyba nie. Rodzice wiedzą?”

„Nie. I nic im nie mów, bo się wściekną”.

„Dobrze”, odparłem. Był to nasz wspólny sekret, aż do dnia, gdy rok później Marge usiadła z rodzicami przy stole w jadalni i powiedziała im o wszystkim.

Nie czyni mnie to szlachetnym i nie świadczy o tym, jakim jestem człowiekiem. Choć wyczuwałem jej zdenerwowanie, nie byłem na tyle dojrzały, żeby zrozumieć, co tak naprawdę mi powiedziała. Kiedy dorastaliśmy, wszystko było inne. Bycie osobą homoseksualną było dziwne i złe. Było grzechem. Nie miałem pojęcia o wewnętrznych walkach, które będzie musiała stoczyć Marge, ani o rzeczach, które ludzie będą gadali za jej plecami, a czasami prosto w twarz. Nawet teraz nie jestem na tyle arogancki, by wierzyć, że potrafię je zrozumieć. Świat postrzegany przez mój dwunastoletni mózg był prostszy i to, czy siostra woli chłopaków, czy dziewczyny, nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Były inne powody, dla których lubiłem ją albo nie. Na przykład nienawidziłem, kiedy przyszpilała mnie do podłogi, kolanami przytrzymywała ręce i wbijała mi kłykcie w klatkę piersiową; byłem wściekły, gdy Peggy Simmons, dziewczyna, która mi się podobała, przyszła do nas, a moja siostra otworzyła jej drzwi i powiedziała: „Russ nie może zejść, bo zamknął się w łazience i siedzi tam od dłuższego czasu”, a zaraz potem zapytała: „Masz może zapalki?”.

Moja siostra. Zawsze postępowała wobec mnie jak należy.

Jeśli chodzi o lubienie jej, sprawa była prosta. Lubiałem ją do czasu, gdy nie zrobiła czegoś, co działało mi na nerwy. Jak każde młodsze rodzeństwo darzyłem starszą siostrę pewnego rodzaju uwielbieniem i jej wyznanie niczego tu nie zmieniło. Zarówno przed tym, jak im powiedziała, jak i potem rodzice traktowali ją jak młodą dorosłą, a mnie jak dzieciaka. Mieli wobec niej większe oczekiwania. Przyznaję też, że Marge niejako wydeptała mi ścieżkę do dorosłości, bo wszystko, co rodzice przechodzili ze mną, przechodzili już wcześniej z nią. W końcu w kwestii wychowywania dzieci niespodzianki i rozczarowania często chodzą parami, a mniej niespodzianek zwykle oznacza mniejsze rozczarowanie.

Wymknąłem się nocą z domu i pożyczyłem samochód rodziców? Marge zrobiła to lata temu.

Wypiłem za dużo na szkolnej imprezie? Witaj w klubie.

Wspiąłem się na wieżę ciśnień w naszej okolicy, popularnym miejscu spotkań młodzieży? Marge robiła to już od dawna.

Stałem się humorzastym nastolatkiem, który praktycznie nie rozmawiał z rodzicami? Marge zdążyła ich na to przygotować.

Oczywiście siostra nie pozwoliła, bym zapomniał, jak bardzo ułatwiła mi życie, przez co często czułem się gorszy, a to również nie było miłe. Na swój sposób każde z nas czuło się urażone, ale prowadząc własne bitwy, wspieraliśmy się nawzajem, przez co z każdym upływającym rokiem znaliśmy się coraz lepiej.

Kiedy teraz rozmawiamy o tym, co przeszła, Marge trywializuje to, jak było jej ciężko, przez co podziwiam ją jeszcze bardziej. Niełatwo być innym, a bycie innym w tym konkretnym przypadku – na Południu, w chrześcijańskiej rodzinie – utwierdziło ją w przekonaniu, że powinna udawać niezniszczalną. Jako dorosła kobieta moja siostra żyje w świecie definiowanym przez liczby, arkusze kalkulacyjne i rachunki. Kiedy rozmawia z kimś, ukrywa się za maską dowcipu i sarkazmu. Stroni od zażyłości i choć jesteśmy sobie bliscy, zastanawiam się czasem, czy i przede mną ukrywa uczucia. Wiem, że gdybym ją spytał, zaprzeczyłaby; powiedziałaby mi, że skoro potrzebowałem czułości, powinienem był prosić Boga o inną siostrę, taką, która zawsze ma przy sobie paczkę chusteczek, na wypadek gdyby w radiu puścili jakąś smętną piosenkę.

Ostatnio zacząłem żałować, że nie uświadomiłem jej, iż widziałem prawdziwą Marge i że zawsze kochałem ją taką, jaka jest. Ale choć jesteśmy sobie bliscy, rzadko rozmawiamy na tak poważne tematy. Jak większość ludzi opowiadamy sobie o tym, co dzieje się w naszym życiu, i staramy się skrywać lęki.

Widziałem też Marge w najgorszym okresie jej życia.

Miało to związek z jej współlokatorką, dziewczyną imieniem Tracey. Marge była w dwuletniej szkole policealnej przy Uniwersytecie Karoliny Północnej w Charlotte i choć nie kryła się

ze swoją seksualnością, także się z nią nie obnosiła. Tracey wiedziała o wszystkim od samego początku, ale nie stanowiło to dla niej problemu. Tak jak w przypadku wielu dziewczyn, które mieszkają razem, także między nimi nawiązała się szczerą przyjaźń. Tracey miała chłopaka, który czekał na nią w domu, a gdy się rozstali, Marge pomogła jej się pozbierać. W końcu Tracey zauważyła, że współlokatorka jest nią zafascynowana, ale nie zrobiła nic, żeby ją do siebie zniechęcić. Wręcz przeciwnie, sugerowała nawet, że może być biseksualna, choć nie była do końca pewna. I któreś nocy stało się. Rankiem Marge obudziła się z poczuciem, że odnalazła brakującą część siebie. Na prośbę Tracey były dyskretne, jednak Marge to nie przeszkadzało i z upływem czasu angażowała się coraz bardziej. Tymczasem Tracey zaczęła się oddalać, a gdy po wiosennej przerwie wróciła na uczelnię, oznajmiła Marge, że ona i jej chłopak postanowili do siebie wrócić i nie wie, czy w tej sytuacji mogą pozostać przyjaciółkami. Powiedziała, że przeprowadza się do mieszkania, które wynajęli jej rodzice, a to, co między nimi zaszło, było zwykłym eksperymentem i nic dla niej nie znaczyło.

Marge zadzwoniła do mnie tuż przed północą. Była pijana, mówiła bez ładu i składu i bełkotała, że chce umrzeć. Dopiero zrobiłem prawo jazdy i wiedziałem, gdzie ją znajdę. Pognałem do wieży ciśnień i zobaczyłem jej samochód. Wspiąłem się na górę, gdzie moja siostra siedziała na skraju podestu, machając nogami. Obok niej stała otwarta butelka rumu; wystarczyło spojrzeć, żeby wiedzieć, że Marge jest praktycznie nieprzytomna. Kiedy mnie zobaczyła, przesunęła się w stronę krawędzi.

Przemawiając do niej spokojnie, przekonałem ją, żeby pozwoliła mi podejść, a gdy byłem wystarczająco blisko, otoczyłem ją ramieniem i powoli zabrałem znad krawędzi. Tulilem ją do siebie, kiedy szlochała, i siedzieliśmy na szczycie wieży prawie do świtu. Marge błagała mnie, żebym nie mówił o niczym rodzicom, i dopiero gdy to obiecałem, pozwoliła mi odwieźć się do akademika i położyć do łóżka. Kiedy wróciłem do domu, rodzice byli wściekli – miałem szesnaście lat i spędziłem noc poza domem. Dostałem

szlaban na miesiąc, a przez kolejne trzy nie mogłem jeździć samochodem.

Nigdy nie powiedziałem im, gdzie wtedy byłem, jak zrozpaczona tamtej nocy była moja siostra i co mogło się stać, gdybym tam nie pojechał. Wystarczyło, że wiedziałem, iż byłem przy niej, kiedy najbardziej mnie potrzebowała, i świadomość, że ona zrobiłaby dla mnie to samo.

*

Nie muszę mówić, że po obiedzie u moich rodziców wieczór randkowy, który przełożyliśmy na sobotę, się nie odbył. Kiedy wróciliśmy do domu, Vivian była w kiepskim humorze. Zresztą ja także nie byłem w lepszym.

Niedziela zaczęła się leniwie, trzema filiżankami kawy i ośmiokilometrową przebieżką, najdłuższą od dziesięciu lat. London oglądała film w salonie, a ja czytałem na patio gazetę, gdy dołączyła do mnie Vivian.

– Myślę, że London i ja potrzebujemy dnia w stylu „mama i córka” – ogłosiła.

– Słucham?

– No wiesz, babskiego dnia. Ubierzemy się, zrobimy sobie manicure i pedicure, pójdziemy do fryzjera i takie tam. Takie małe świętowanie przed rozpoczęciem roku szkolnego, bez żadnego pośpiechu i ganiań po sklepach.

– W niedzielę jest w ogóle coś otwarte?

– Znajdę coś – odparła. – Mnie też przyda się wizyta u kosmetyczki.

– London w ogóle wie, co to manicure i pedicure?

– Oczywiście. Poza tym chciałabym spędzić z nią trochę czasu. Ostatnio dużo pracuję. Ty też odetchniesz, będziesz mógł robić, co ci się podoba. Poobijać się albo co tam będziesz chciał.

– Czy ja kiedykolwiek się obijam?

– Wiesz, co mam na myśli – odparła. – Poza tym muszę pomóc jej wybrać jakieś ubrania. Chcę, żeby to był wyjątkowy dzień.

– Brzmi bardzo dziewczynsko – przyznałem. – Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawiły.

– Będziemy.

– Kiedy wrócicie?

– Nie wiem. To zależy. Możemy nie wrócić do kolacji, jeśli London będzie chciała zjeść lunch na mieście. Nie chcę się nigdzie spieszyć. Kto wie? Może będzie miała ochotę pójść do kina.

Czterdzieści pięć minut później zostałem w domu sam. Ostatnio nieczęsto się to zdarzało, ale byłem tak przyzwyczajony do codziennej gonitwy, że nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Ponieważ z Taglierim wszystko było ustalone, nie musiałem martwić się pracą, a w domu – poza kilkoma brudnymi naczyniami – było czysto. Byłem po treningu, przeczytałem gazetę, poprzedniego dnia odwiedziłem rodziców, więc przez kolejną godzinę snułem się po domu bez celu. Brakowało mi czegoś – albo raczej kogoś – i uświadomiłem sobie, że najchętniej wsiadłbym na rower i pojeździł z London po okolicy.

*

Vivian i London wróciły do domu przed dziewiętnastą, w związku z tym lunch i kolację zjadłem sam.

Żałowałem, że nie jestem typem faceta, który chodzi na siłownię, medytuje albo spędza popołudnie, czytając biografię Teddy’ego Roosevelta, ale leniwy dzień sprawił, że opuściły mnie siły i na nic nie miałem ochoty. Skończyło się na tym, że surfowałem po internecie, klikając na wszystko, co przykuło moją uwagę. Czytałem o ogromniej meduzie, którą woda wyrzuciła na wybrzeże Australii, niepokojach na Bliskim Wschodzie, gorylach w środkowej Afryce, których populacja kurczy się w zastraszającym tempie, i *Dziesięciu produktach, które pomagają w krótkim czasie pozbyć się brzuszka!*

Jeśli mógłbym się czymś poszczycić, to tym, że nie przeczytałem żadnych ploteczek ze świata show-biznesu. Nie

żebym z tego powodu był szczególnie dumny i chodził napuszony jak paw, ale to zawsze coś, prawda?

Po powrocie do domu Vivian i London były zmęczone, jednak było to przyjemne zmęczenie. Córka pokazała mi paznokcie u rąk i nóg i powiedziała, że oprócz lunchu zjedzonego na mieście były w kinie i na zakupach. Po kąpeli czytałem jej jak zwykle, ale oczy jej się zamykały. Kiedy całowałem ją na dobranoc, poczułem zapach szamponu dla dzieci, którego wciąż używała.

Na dole Vivian w piżamie siedziała w pokoju gościnnym z kieliszkiem wina. W telewizji nadawano program o gospodyniach domowych, z których większość wydawała się niezrównowazona emocjonalnie, ale Vivian była bardziej radosna niż zwykle. Opowiadała o tym, jak minął im dzień, i uśmiechnęła się wstydliwie, gdy zasugerowałem, żebyśmy poszli do łóżka.

Nie planowaliśmy tego wieczoru randkowego, ale i tak byłem szczęśliwy.

*

We wtorek rano, w pierwszy dzień szkoły, Vivian, London i ja przeszliśmy przez parking i skierowaliśmy się w stronę budynku. Kiedy zapytałem córkę, czy chce, żebym wziął ją za rękę, zatknęła kciuki za szelki plecaka.

– Nie jestem już małą dziewczynką – odparła.

Dzień wcześniej otrzymaliśmy maila od wychowawczyni z informacją, że dla niektórych dzieci początek roku szkolnego może być traumatycznym przeżyciem, dlatego najlepiej nie przeciągać momentu rozstania. Wystarczy dać dziecku buziaka na do widzenia albo poklepać je po plecach i pozwolić nauczycielowi zabrać je do sali. W mailu proszono rodziców, by nie stali w drzwiach ani nie zaglądali przez okna. Dzieci nie powinny widzieć naszych łez bez względu na to, jak bardzo się wzruszymy, ponieważ widok ten może spotęgować ich niepokój.

Otrzymaliśmy numery telefonów do szkolnej higienistki oraz informację, że psycholog szkolny będzie do naszej dyspozycji w holu budynku, na wypadek gdyby ktoś z rodziców chciał porozmawiać o tym, co czuje w związku z pójściem dziecka do szkoły. Zastanawiałem się, czy moi rodzice otrzymali taki list, kiedy Marge albo ja zaczynaliśmy szkołę, i roześmiałem się na głos.

– Co cię tak bawi? – zapytała Vivian.

– Potem ci powiem. To nic ważnego.

Chwilę później zobaczyłem swoich rodziców, którzy czekali na nas przy samochodzie. Ojciec miał na sobie strój roboczy, na który składała się koszulka z krótkimi rękawami opatrzona logiem firmy, dżinsy i buty robocze. Mama, dzięki Bogu, nie miała fartucha ani czerwonego kapelusza, przez co wmieszała się w tłum, za co byłem jej wdzięczny.

Widząc ich, London puściła się biegiem. Ojciec wziął ją na ręce i nazwał Pączuszką, czego nigdy dotąd nie słyszałem. Zastanawiałem się, czy wymyślił to na poczekaniu, czy może umknęło to mojej uwadze.

– Dziś jest wielki dzień – oznajmiła moja mama. – Jesteś podekscytowana?

– Będzie fajnie – pisnęła London.

– Na pewno ci się spodoba – zapewniła ją.

Tata dał jej siarczystego buziaka w policzek i postawił na ziemi.

– Potrzywasz mnie za rękę, dziadku? – zapytała London.

– Oczywiście, Pączuszkę.

Ruszyli przodem w stronę budynku, podczas gdy Vivian opowiadała mojej mamie o mailu, który dostaliśmy od nauczycielki. Słyszając to, mama ściągnęła brwi.

– Mają psychologa dla rodziców?

– To psycholog szkolny – wyjaśniła Vivian. – Niektórzy rodzice mogą być zdenerwowani albo zasmuceni. Jestem przekonana, że wysłucha ich, pokiwa głową i zapewni, że wszystko będzie dobrze. Nic wielkiego.

– A ty się denerwujesz?

– Nie. Trochę mi smutno, jakby coś się kończyło, ale to przejdzie.

– To... dobrze.

Weszliśmy do gmachu szkoły i patrząc, jak matki z dziećmi wchodzą parami do klas, przypomniałem sobie opowieść o arce Noego, ulubioną opowieść mojej córki. Spodziewałem się zobaczyć Emily i Bodhiego, ale nigdzie ich nie widziałem, i przez moment zastanawiałem się, czy weszli już do klasy, czy jeszcze nie przyjechali.

Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Staliśmy w kolejce z innymi dziećmi i ich rodzicami, którzy tłoczyli się zarówno z przodu, jak i za nami. Kiedy dotarliśmy do drzwi, Vivian przejęła kontrolę i podeszła do mojego ojca i London.

– Dobrze, skarbie. Daj buziaka dziadziowi, Buni i mamusi.

London zrobiła, co jej kazano: ucałowała dziadków i dała buziaka Vivian.

– Po szkole odbierze cię tata, ale opowiesz mi wszystko, kiedy wrócisz do domu. I pamiętaj, że dziś o czwartej masz lekcję gry na pianinie, dobrze? Kocham cię.

– Ja też cię kocham, mamusiu.

Nauczycielka się uśmiechnęła.

– Dzień dobry, London. Miło cię znowu widzieć. Gotowa na dzień pełen wrażeń?

– Tak, proszę pani – odparła London. Chwilę później Vivian delikatnie pchnęła ją w stronę klasy, a nauczycielka odsunęła się, żeby ją przepuścić. Zgodnie z zaleceniami nie ociągaliśmy się z odejściem, choć udało mi się dostrzec London, która stała przy niskim stoliku zaścieranym kawałkami filcu o różnych rozmiarach i kształtach. Stłoczone wokół niego dzieciaki próbowały je ułożyć. Nie widziałem Bodhiego, ale London nie wyglądała na zmieszaną.

Dopiero w drodze do samochodu dotarło do mnie, co się właściwie stało.

– Nie pocałowałem jej na do widzenia.

– To nic. Zobaczysz się z nią po szkole. – Vivian wzruszyła ramionami.

– Chcesz porozmawiać z psychologiem?

– Nie ma mowy – rzuciła. – I tak jestem spóźniona do pracy. Walter pewnie krąży po biurze i czeka na mnie.

*

Kiedy London była w szkole, potwierdziłem terminy zdjęć i spotkałem się z szefem ekipy telewizyjnej. Przejrzeliśmy plan, omówiliśmy materiał, który będzie nam potrzebny – zwłaszcza do dłuższego spotu, w którym było kilkanaście różnych ujęć i na który potrzebowaliśmy trzech dni – i upewniliśmy się, że zgadzamy się we wszystkim. Potem obdzwoniłem gabinety sześciu chirurgów plastycznych i z dwoma umówiłem się na spotkanie w przyszłym tygodniu.

Nieźle jak na jeden dzień pracy. Kiedy pojechałem odebrać London ze szkoły, utknąłem w korku, który ciągnął się na całą długość ulicy. Okazało się, że dużo trudniej jest odebrać dziecko ze szkoły, niż podrzucić je na lekcje, i minęło dwadzieścia minut, zanim córka wsiadła w końcu do samochodu.

– Jak tam pierwszy dzień w szkole? – zapytałem, powoli wyjeżdżając z parkingu i patrząc na nią w lusterku wstecznym.

– Fajnie – odparła. – Czytałam razem z panią *Biegnij, piesku. Biegnij!* Niektóre dzieci nie znają jeszcze liter.

– Niedługo się nauczą. Ja chyba też nie umiałem czytać, kiedy szedłem do szkoły.

– Dlaczego?

– Rodzice rzadko mi czytali. Pewnie uznali, że nauczę się, gdy pójdę do szkoły.

– Dlaczego nie czytali ci książek?

– Nie wiem. Może byli zbyt zmęczeni.

– Ty i mama czytacie mi, kiedy jesteście zmęczeni.

– Ludzie są różni. Hej, a przy okazji, Bodhi przyszedł do szkoły?

– Tak i siedzimy w tej samej ławce. Potrafi naprawdę ładnie kolorować.

– To super. Miło siedzieć z kimś, kogo się już zna.

Budynek szkoły zniknął w oddali.

– Tatusiu?

– Tak?

– Skoro dziś poszłam do szkoły, możemy przed lekcją gry na pianinie jechać do Dairy Queen?

Zerknąłem na zegarek i dokonałem szybkich obliczeń.

– Chyba damy radę.

*

Postój na lody oznaczał, że przyjechaliśmy na lekcję tylko kilka minut przed czasem. London była na nogach od ośmiu godzin – ponad dziewięciu, jeśli liczyć lekcję gry na pianinie i czas, który spędziła, szykując się do szkoły. Wiedziałem, że po powrocie do domu będzie wykończona.

Kiedy moja córka ćwiczyła grę na pianinie, ja przeszedłem się po okolicy. Kolana bolały mnie od biegania, ale nie było aż tak źle. Chwilę po tym, jak zacząłem spacer, zadzwonił telefon. Marge.

– Jak minął London pierwszy dzień w szkole? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Chyba dobrze – odparłem. – Jest w klasie ze swoim przyjacielem Bodhim.

– Tak? A co u mamy Bodhiego?

– Nie widziałem jej. Odjechaliśmy, zanim przywiozła go do szkoły.

– Dzięki Bogu – rzuciła moja siostra. – W przeciwnym razie Vivian zabiłaby biedną Emily wzrokiem.

– Nie powinnaś pracować, zamiast czepiać się mojej żony?

– Nie czepiam się jej. Co więcej, jestem po jej stronie. Gdyby Liz zaczęła umawiać się ze swoją byłą, która, tak się składa, jest

piękna, świetna, a od jakiegoś czasu także wolna, sama próbowałabym zabić ją wzrokiem.

– Co z wami, kobiety?

– Błagam. Nawet nie zaczynaj. Jaja sobie robisz? Założę się, że uwielbiasz, kiedy twoja żona co chwilę wspomina o Walterze. Nawet ja miałam dość tego imienia.

– Pracuje dla niego – odparłem, próbując zbagatelizować sprawę. – To normalne.

– Tak? Jak ma na imię mój szef? – Kiedy nie odpowiedziałem, dodała: – Zresztą kogo obchodzi, czy pracują razem, ćwiczą, podróżują, czy latają jego prywatnym odrzutowcem? I co z tego, że częściej mówi o swoim szefie miliarderze niż o własnym mężu? Tak bardzo ewoluowałeś, że nie czujesz nawet ukłucia czegoś takiego jak zazdrość?

– Próbujesz mnie zdenerwować?

– Gdzie tam! Za to chcę wiedzieć, jak minęła ci reszta weekendu po tym, jak wyjechaliście od rodziców. Rozumiem, że nie poruszyłeś kwestii nowego-konta-bankowego-i-firmowego-mieszkania-w-Atlancie?

– Nie. Sobotni wieczór był wyjątkowo spokojny. Wcześniej poszliśmy spać. Byliśmy zmęczeni. A niedzielę miałem w zasadzie dla siebie. – Opowiedziałem jej pokrótce o dziewczynskim dniu Vivian i London.

– Jakbym nie wiedziała, że tak będzie – rzuciła Marge.

– O czym ty mówisz?

– Nie widziałeś, jak patrzyła na ciebie, kiedy London uządliła pszczoła?

Pamiętałem dokładnie, ale nie chciałem mówić tego na głos. Zamiast tego bąknąłem tylko:

– Po prostu bała się, że małej coś się stało.

– Nie. Była zła, bo London chciała, żebyś to ty ją pocieszał. Liz też to zauważyła.

Pamiętałem, że pomyślałem to samo, ale się nie odezwałem.

– I co robi? – ciągnęła Marge. – Spędza z London całą niedzielę i wpycha ją do klasy, zanim zdążysz dać jej buzi.

- Skąd o tym wiesz?
- Dzwoniła mama i mi powiedziała. Powiedziała, że to dziwne.
- Odbiło ci – rzuciłem, czując, że muszę się bronić. – Doszukujesz się rzeczy, których nie ma.
- Możliwe – przyznała. – Mam taką nadzieję.
- I przestań mówić w ten sposób o Vivian. Analizować wszystko, co mówi i robi. Ostatnie tygodnie były dla niej wyjątkowo stresujące.
- Masz rację. Przesadziłam. Przepraszam. – Zapadła cisza. – Co robisz?
- Próbujesz zmienić temat?
- Robię, co mogę. Już przeprosiłam.
- London jest na lekcji gry na pianinie. A ja postanowiłem się przejść i spalić trochę kalorii przed kolacją.
- To dobrze. Tak przy okazji, schudłeś na twarzy.
- Nic jeszcze nie widać.
- A właśnie, że widać. Kiedy zobaczyłam cię w weekend, to... ho, ho!
- Podlizujesz się, żebym się nie złościł.
- Ty nie potrafisz się na mnie złościć. Zawsze starasz się być miły i gdybyś się rozłączył, miałbyś wyrzuty sumienia, że na mnie nakrzyczałeś.
- Roześmiałem się.
- Na razie, Marge.

*

Najgorsze, że choć zabolalo mnie to, co Marge powiedziała na temat Vivian, nie mogłem pozbyć się uczucia, że w jej słowach jest więcej niż ziarno prawdy. Jedyłą rzeczą, która nie pasowała do teorii mojej siostry, był nasz spokojny niedzielny wieczór, choć ta niespodziewana serdeczność ze strony Vivian mogła wynikać z faktu, że czas spędzony z London utwierdził ją w przekonaniu, że wciąż jest najważniejszą osobą w życiu naszej córki.

Z drugiej strony coś takiego było absolutnym szaleństwem. Co z tego, że London przybiegła do mnie po tym, jak użądliła ją pszczoła? Ja nie poczułbym się dotknięty, gdyby zamiast tego pobiegła do swojej mamy; w normalnych związkach ludzie nie prowadzą wojenek o władzę. Vivian i ja byliśmy drużyną.

Bo przecież byliśmy, prawda?

*

Kiedy Vivian wróciła z pracy, od razy wyczułem, że nie jest w najlepszym nastroju, a gdy zapytałem, jak jej minął dzień, uraczyła mnie opowieścią o tym, jak dyrektor finansowa złożyła właśnie dwutygodniowe wypowiedzenie, przez co w firmie zapanował kompletny chaos.

– Walter wpadł w szal – rzuciła, idąc do sypialni. Podeszła do szafy i zaczęła się rozbierać. – I wcale mu się nie dziwię. Nie dalej jak tydzień temu zgodziła się na przeprowadzkę do Atlanty. Wykorzystała nawet sytuację, żeby wynegocjować premię relokacyjną, którą już odebrała, a teraz nagle informuje nas, że znalazła nową pracę? Bez przerwy widzę, jak ludzie starają się wykorzystać Waltera. Mam tego dość.

Słyszac to imię – nie raz, ale dwa razy – przypomniałem sobie słowa Marge.

– Na pewno kieruje się dobrem rodziny.

– Nie pozwoliłeś mi dokończyć – warknęła Vivian. Przez chwilę stała w samej bieliźnie, po czym sięgnęła po dzinsy. – Okazuje się, że próbowała zwerbować innych pracowników, żeby przenieśli się razem z nią, i mówi się, że niektórzy z nich naprawdę się nad tym zastanawiają. Wiesz, co to oznacza dla firmy Waltera?

Trzeci raz.

– Wygląda na to, że ktoś tu miał kiepski dzień.

– Koszmarny – rzuciła, wkładając białą koszulkę. Nie mogłem nie zauważyć, jak elegancko wygląda nawet w zwykłych

ubraniach. – Oczywiście w moim przypadku oznacza to, że będę musiała spędzać w Atlancie więcej czasu; przynajmniej na razie.

Te słowa dotarły do mnie jasno i wyraźnie.

– Więcej niż cztery dni?

Podniosła ręce i wzięła głęboki oddech.

– Proszę, chociaż ty nie zaczynaj. Wiem, że jesteś zły. Sama jestem zła. Po prostu pozwól mi spędzić trochę czasu z London. Później porozmawiamy. Chcę posłuchać, jak minął jej pierwszy dzień w szkole, i wypić kieliszek wina.

Mówiąc to, była już przy drzwiach.

Podczas gdy Vivian i London siedziały w pokoju gościnnym, ja przygotowałam szybką kolację: ryż, kurczaka, gotowane marchewki i sałatę. Kiedy wszystko było gotowe, przyszły do stołu. Vivian nadal była podenerwowana i spięta. Tymczasem London nie przestawała mówić o tym, jak minął jej pierwszy dzień w szkole: jak podczas przerwy grała z Bodhim w klasy i że Bodhi świetnie skacze na jednej nodze.

Po obiedzie posprzątałam kuchnię, a żona i córka poszły na górę. Mimo późnej pory zadzwoniłem do Taglieriego, żeby porozmawiać z nim o jutrzejszej próbie i upewnić się, że przejrzał scenariusz. Kolejną rzeczą, której nauczyłem się od klientów, było to, że im lepiej znają scenariusz, tym chętniej stosują się do innych wskazówek.

Kiedy skończyłem rozmawiać, usłyszałem na górze podniesione głosy. Wbiegłem po schodach i zatrzymałem się w drzwiach do pokoju córki. Vivian trzymała mokry ręcznik; ubrana w piżamę London miała wilgotne włosy, po jej policzkach toczyły się łzy.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie wrzucała mokrych ręczników do kosza na brudną bieliznę? – pytała Vivian. – A ta sukienka w ogóle nie powinna trafić do kosza!

– Powiedziałam, że przepraszam! – krzyknęła London. – Nie chciałam!

– Teraz wszystko będzie śmierdzieć stęchlizną, a niektórych plam w ogóle nie da się sprać.

– Przepraszam!

– Co się stało? – wtrąciłem się.

Vivian odwróciła się w moją stronę; grymas wściekłości wykrzywił jej twarz.

– To się stało, że twoja córka prawdopodobnie zniszczyła nową sukienkę. Tę, którą miała na sobie w niedzielę.

– Nie zrobiłam tego specjalnie! – zawołała London, wyginając usta w podkówkę.

Vivian podniosła rękę; jej zaciśnięte wargi przywodziły na myśl wąską kreskę.

– Wiem. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że wrzuciłaś do kosza nową sukienkę razem z brudną sukienką i przykryłaś wszystko mokrymi ręcznikami. Ile razy mówiłam ci, żebyś wieszała ręczniki na wannie, żeby wyschły, zanim wrzucisz je do kosza?

– Zapomniałam! – wrzasnęła London. – Przepraszam!

– To moja wina – odezwałem się, chociaż reguła mokrych ręczników była mi całkowicie obca. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby Vivian i London krzyczały na siebie. Widok ten przypomniiał mi sytuację, kiedy pokłóciłem się z London. – Zawsze powtarzam jej, żeby wrzucała brudne rzeczy do kosza.

– Ale ona wie, co ma robić! – warknęła Vivian i spojrzała na córkę. – Prawda?

– Przepraszam, mamo – pisnęła London.

– Jutro podrzucę je do pralni chemicznej – zaproponowałem. – Na pewno usuną plamy.

– Nie o to chodzi, Russ! Ona kompletnie nie szanuje rzeczy, które jej kupiłam, nieważne ile razy jej powtarzam!

– Powiedziałam: PRZEPRASZAM! – wrzasnęła London.

Jedno wiedziałem na pewno: Vivian była zbyt zdenerwowana, a London zbyt zmęczona, żeby to ciągnąć.

– Może ja dokończę? – zaproponowałem. – Położę ją spać.

– Dlaczego? Żebyś mógł jej powiedzieć, że mamusia przesadza?

– Nie, oczywiście, że...

– Daj spokój. Podważasz mój autorytet, odkąd wróciłam do pracy – warknęła. – Ale dobrze. Zostawię was samych. – Ruszyła w stronę drzwi, lecz jeszcze się obejrzała i spojrzała na córkę. – Jestem bardzo rozczarowana, że nie zależy ci na mnie na tyle, żeby mnie słuchać – powiedziała.

Kiedy wyszła, zobaczyłem na twarzy London strach i w pierwszej kolejności próbowałem zrozumieć, dlaczego Vivian tak się zachowała. Powinienem był się odezwać, ale żona była już w połowie schodów, a córka płakała, wszedłem więc do pokoju i usiadłem na łóżku. Wyciągnąłem rękę.

– Chodź do mnie, skarbie – szepnąłem i gdy London podeszła, otoczyłem ją ramionami i przytuliłem, czując, jak drży.

– Nie chciałam zniszczyć sukienki – powiedziała, łkając.

– Wiem, że nie chciałaś. Nie martwmy się tym teraz.

– Ale mamusia jest na mnie zła.

– Niedługo jej przejdzie. Miała kiepski dzień w pracy i wiem, że jest bardzo dumna, że tak świetnie poszło ci dziś w szkole.

Łkanie przeszło w pociąganie nosem. Kciukiem otarłem jej łzy.

– Ja też jestem z ciebie dumny, Pączuszkę.

– Dziadzio tak do mnie mówi, nie ty.

– Może ja też mógłbym cię tak nazywać?

– Nie – odparła.

Uśmiechnąłem się.

– Dobrze. Może więc nazwę cię... Osiołkiem.

– Nie.

– Bułeczką?

– Nie – odparła z uporem. – Mów do mnie London.

– Nie mogę nawet nazywać cię swoją córeczką? Ani skarbem?

– Dobrze – przytaknęła, uderzając głową o moją pierś. – Mamusia już mnie nie kocha.

– Oczywiście, że cię kocha. Zawsze będzie cię kochać.

– Więc dlaczego się wyprowadza?

– Nie wyprowadza się – zaprzeczyłem. – Po prostu czasami musi pracować w Atlancie. Wiem, że za nią tęsknisz. – Tuliłem ją

do siebie i było mi żal tej małej dziewczynki, która podobnie jak ja była zdezorientowana tym, co się dzieje z naszą rodziną.

*

Potrzeba było więcej niż jednej bajki, żeby London w końcu zasnęła. Ucałowawszy ją na dobranoc, zszedłem na dół, gdzie Vivian wyjmowała ubrania z szafy.

– Jeśli chcesz, możesz dać jej buzi na dobranoc.

Vivian chwyciła telefon i minęła mnie, kładąc wyjęte ubrania na łóżku w sypialni. Dopiero po chwili zauważyłem dwie otwarte walizki, obie w połowie spakowane. Ubrań w nich było znacznie więcej niż na trzydniowy wyjazd. Były wśród nich kostiumy, stroje sportowe i codzienne, a także sukienki na specjalne okazje. Nie miałem pojęcia, po co jej to wszystko. Czyżby nie zamierzała wracać na weekend do domu? Gdyby tak było, raczej by mi o tym powiedziała... ale czy na pewno miałem powód, żeby w to wierzyć? Dowiadywałem się o jej planach, kiedy chciała, żebym o nich wiedział. Patrząc na spakowane do połowy walizki, pomyślałem o firmowych mieszkaniach. Pustka, którą czułem, gdy chwilę temu tuliłem do siebie London, nagle wypełniła się supłami.

Nie mogąc znieść widoku ubrań, poszedłem więc do kuchni i zastanawiałem się, czy nie zrobić sobie drinka. W końcu stanąłem przy zlewie i niewidzącym wzrokiem patrzyłem na ogród za domem. Było tuż po zachodzie słońca, księżyc jeszcze nie wzeszedł, a niebo wciąż kurczowo trzymało się resztek dogasającego światła. Widok ten obudził we mnie dziwny niepokój.

Poczułem upiorny lęk, któremu towarzyszyło nagle zrozumienie. Im dłużej myślałem o żonie, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nie mam pojęcia, co myśli. O London, o mnie. O nas. Nie wiadomo dlaczego, mimo lat, które spędziliśmy razem, stała się dla mnie obcą osobą. Choć kochaliśmy się dwie noce temu, zastanawiałem się, czy doszło do

tę, bo darzyła mnie jeszcze uczuciem, czy może z przyzwyczajenia, pozostałości po latach małżeństwa, bardziej fizycznej niż emocjonalnej. Jednak ta opcja – bez względu na to, jak bolesna – była lepsza od alternatywy, według której moja żona kochała się ze mną, żeby uspić moją czujność, bo robiła albo planowała coś znacznie gorszego, coś, czego nie chciałem sobie nawet wyobrazić.

Powiedziałem sobie, że to nieprawda i nawet jeśli Vivian nie była pewna swoich uczuć wobec mnie, cokolwiek zrobi, będzie miała na względzie dobro naszej rodziny.

Prawda?

Nie byłem tego pewien, ale wtedy usłyszałem, jak idąc na dół po schodach, rozmawia z kimś ścisłym głosem. Słyszałem, jak wymawia imię „Walter” i kazała mu zaczekać; wiedziałem, że nie chce, bym wiedział, że rozmawia przez telefon. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Choć nie powinienem był tego robić, przeszedłem na palcach do salonu. Zasłony były zaciągnięte, pokój tonął w mroku. Przez szczelinę między materiałem a szybą obserwowałem żonę. Szpiegowałem ją, czego nigdy dotąd nie robiłem i co aż do dziś nie przyszło mi do głowy. Ale rosnące przerażenie pozbawiło mnie wolnej woli. Wyciągałem szyję i dyskretnie odsuwałem zasłonę, wiedząc, że to, co robię, jest złe – jednak było już za późno, żeby przestać.

Nie słyszałem zbyt wiele do momentu, gdy Vivian się roześmiała. Był to radosny dźwięk, którego – jak mi się zdawało – nie słyszałem od lat. Ale to nie śmiech mnie zaskoczył; zdumiało mnie to, jak się uśmiechała, blask w jej oczach i bijąca od niej radość. Zniknęła gdzieś Vivian, która wracała skwaszona do domu i warczała na London, nerwowa Vivian, którą chwilę temu widziałem w sypialni.

Już wcześniej widywałem ją taką, w chwilach, gdy była naprawdę szczęśliwa, na przykład z London. Ale i wtedy, kiedy byliśmy sami, kiedy byłem młodszy i starałem się zdobyć serce kobiety, którą poznałem na przyjęciu w Nowym Jorku.

Vivian wyglądała jak wtedy, gdy była zakochana.

*

Kiedy wróciła do domu, siedziałem w gabinecie. Bojąc się tego, co mógłbym jej powiedzieć, unikałem jej jak ognia. Nie chciałem przebywać z nią w jednym pomieszczeniu, więc kolejny raz przeglądałem scenariusz, choć słowa, które czytałem, nic dla mnie nie znaczyły.

Słyszałem, jak przez chwilę krząta się za moimi plecami. Zaraz potem zniknęła w sypialni, gdzie z pewnością zamierzała dokończyć pakowanie.

Siedziałem w gabinecie przez kolejne trzy godziny. W końcu Vivian przyszła zobaczyć, co się ze mną dzieje. Pewnie zdumiała ją to, że jej nie szukałem. Ostatnio, gdy mnie widziała, pocieszałem płaczącą London, a ponieważ mnie znała, zakładała, że będę chciał porozmawiać o tym, co się wydarzyło.

Tymczasem ja – podobnie jak ona robiła to wiele razy – trzymałem ją w niepewności.

– Idziesz do łóżka?

– Za chwilę – odparłem, nawet się nie odwracając. – Mam jeszcze trochę roboty.

– Robi się późno.

– Wiem.

– Nie powinnam była krzyczeć na London. Przeprosiłam ją, kiedy poszłam ją otulić.

– Cieszę się – powiedziałem. – Była smutna.

Czekała. Ja jednak się nie odwracałem. Stała jeszcze przez chwilę, ale nic więcej nie powiedziałem.

– Dobrze, jak sobie chcesz – rzuciła w końcu. – Dobranoc.

– Dobranoc – szepnąłem, ale wypowiadając to słowo, zastanawiałem się, czy tak naprawdę nie znaczy ono „żegnaj”.

*

Minęło trzynaście dni, zanim dowiedziałem się prawdy.

Nazajutrz pojechałem do agencji i znalazłem młodą aktorkę, wprost stworzoną do wymyślonego przeze mnie spotu, który miał powstać pod koniec września, kiedy uporamy się z dwoma pierwszymi. Przećwiczyłem z Taglierim jego kwestię, następnego dnia rozpoczęliśmy zdjęcia przed gmachem sądu i podłożyliśmy głos lektora do drugiego spotu. Nakręciliśmy następny spot, a tydzień później odbyłem spotkania z chirurgami plastycznymi i przedstawiłem im prezentację. Wychodząc od jednego z nich, miałem przeczucie, że być może zyskałem kolejnego klienta, i podbudowany poszedłem popracować nad bardziej szczegółową ofertą.

W pierwszej kolejności przyjrzałem się jego stronie internetowej i ulotkom reklamowym, z których korzystał dotychczas. Zostały zaprojektowane przez kierownika biura i nijak się miały do omawianych przez nas tematów – bezpieczeństwa, profesjonalizmu, poprawy samopoczucia i szybkiego powrotu do zdrowia – byłem więc pewien, że jestem w stanie stworzyć bardziej spójną kampanię. Przejrzałem dziesiątki stron internetowych chirurgów plastycznych z całego kraju i pogadałem z informatykiem, żeby mniej więcej przygotować kosztorys.

Przez kolejne dwa dni składałem swoje pomysły w prezentację, która miała oczarować chirurga.

Pozostały czas poświęcałem na opiekowanie się London i zajmowanie się domem. Na pranie. Pracę w ogrodzie. I chomiki. Zawoziłem i przywoziłem córkę ze szkoły, woziłem ją na lekcje gry na pianinie i tańca – Vivian zawiozła ją w sobotę na zajęcia plastyczne – i jeździłem z nią na rowerze. Do tego czasu London czuła się już na tyle pewnie, że na prostej drodze była w stanie na krótką chwilę puścić kierownicę.

Świętowaliśmy ten mały sukces, siedząc na werandzie, popijając lemoniadę i wypatrując orła bielika.

Co do Vivian – wróciła w piątek i większość weekendu spędziła z London. Była dla mnie miła, ale miałem wrażenie, że celowo trzyma nas na dystans. Sam pojechałem do rodziców,

a gdy wyjeżdżała w poniedziałek, jej walizki były równie wypchane, co poprzednio. Jedynymi rzeczami, które zostawiła w szafie, były te, które rzadko nosiła. Oświadczyła, że będzie mieszkała w jednym z firmowych mieszkań, ale tego się właśnie spodziewałem.

Nie było jej przez cały tydzień. Codziennie o osiemnastej rozmawiała na FaceTimie z London i od czasu do czasu próbowała wciągnąć mnie do rozmowy. Nie dałem się. We wtorek i czwartek rozłączyła się zła na mnie, że nie połknąłem haczyka.

Wróciła do domu w piątek po południu, przed Świętem Pracy, czym zupełnie mnie zaskoczyła. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że ją zobaczę, choć sam przed sobą nie chciałem się do tego przyznać. London była uradowana. Vivian odebrała ją ze szkoły, zawiozła na lekcję tańca, a wieczorem położyła ją do łóżka. Zawołała mnie, kiedy była moja kolej, żebym poszedł na górę i poczytał jej do snu. Siedziałem tam dłużej, niż było to konieczne, bo bałem się zostać z Vivian sam na sam.

Nie powiedziała jednak nic, co by mnie przeraziło. Chociaż nie było mowy o wieczorze randkowym – nawet ja nie byłem w nastroju – Vivian była dziwnie miła i zagadywała mnie, ale na rozmowy też nie miałem ochoty.

Sobota i niedziela upłynęły dziwnie spokojnie. Vivian niemal cały czas spędzała z London – tylko we dwie – podczas gdy ja ćwiczyłem, sprzątałem dom, przeglądałem nagrania, sporządzałem notatki i odwiedziłem rodziców. Unikałem jej, bo bałem się tego, co zamierzała mi powiedzieć.

W poniedziałek, w Święto Pracy, Marge i Liz zorganizowały grilla. Vivian, London i ja spędziliśmy tam większość popołudnia. Nie chciałem wracać do domu, ponieważ wiedziałem, co mnie tam czeka.

I, jak się okazało, miałem rację. Po tym, jak poczytałem London i pogasiłem światła, zastałem żonę siedzącą przy stole w jadalni.

– Musimy porozmawiać – zaczęła.

Nawet teraz nie pamiętam, co dokładnie mówiła; dotarły do mnie najważniejsze słowa. „To się po prostu stało”, oświadczyła. Nie planowała tego. Zakochała się w Walterze. Przeprowadza się do Atlanty. Moglibyśmy porozmawiać w przyszłym tygodniu, ale musi lecieć na Florydę i do Waszyngtonu, poza tym będę potrzebował czasu, żeby przetrwać to, co usłyszałem. Nie chce się kłócić, to nie ma nic wspólnego ze mną; takie rzeczy po prostu się zdarzają. Wylatuje dziś wieczorem. Powiedziała London, że musi znowu wyjechać z miasta, ale nie powiedziała jej, że odchodzi. Na razie tak będzie lepiej. Porozmawiamy z nią, kiedy emocje opadną. Dodała, że musi już iść.

Czeka na nią prywatny odrzutowiec.

ROZDZIAŁ 14

Szok

Kiedy byłem w college'u, razem z przyjaciółmi zwykle wybieraliśmy się gdzieś na weekend, który zaczynał się dla nas w czwartki około piętnastej, i wracaliśmy do akademika w niedzielę przed południem. Jeden z gości, z którym spędzałem większość czasu – Danny Jackson – był na tym samym kierunku co ja, więc często chodziliśmy razem na zajęcia. Zważywszy na sporą liczbę studentów, miałem wrażenie, że sami bogowie zdecydowali o tym, żeby postawić nas na swojej drodze.

Danny był najbardziej wyluzowanym facetem, jakiego znałem. Urodzony i wychowany w Mobile w Alabamie, miał śliczną starszą siostrę, która chodziła z punterem Auburn Tigers, i nigdy nie powiedział złego słowa o swoich rodzicach. Dawał do zrozumienia, że są naprawdę fajni, i chyba musiał odziedziczyć po nich tę fajność, bo to samo myślałem o nim. Cokolwiek chciałem zrobić – zjeść rano hamburgera albo dwa, wpaść na imprezę do bractwa albo obejrzeć mecz w miejscowym barze – Danny był zawsze chętny. Pił pabst blue ribbon – zaklinał się, że to najlepsze piwo na świecie – i choć pił dużo i często, miał w głowie mechanizm spowalniający, który chronił go przed upijaniem się. To wyróżniało go wśród reszty studenckiej braci, która piła wyłącznie po to, żeby się ubzdryngolić.

W pewien sobotni wieczór Danny, ja i kilku koleś poszliśmy do jednego z bardziej zatłoczonych miejscowych barów. Większość z nas była podenerwowana zbliżającymi się egzaminami semestralnymi, co oczywiście próbowaliśmy bagatelizować.

Piliśmy więc jak zawsze – no może trochę więcej – wszyscy oprócz Danny’ego, którego mechanizm zaczął w pewnym momencie działać.

Tuż po dwudziestej trzeciej odebrał telefon; nie mam pojęcia, jak w tym hałasie usłyszał dzwonek. Ale usłyszał, zerknął na wyświetlacz, wstał od stolika i wyszedł na zewnątrz. Nie zdziwiło nas to. Bo i czemu? Tak jak nie zdziwiło nas, że wróciwszy, minął nasz stolik i ruszył prosto do baru.

Patrzyłem, jak wciska się między klientów, próbując zwrócić na siebie uwagę barmana. Kilka minut później dostał swojego drinka, ale kiedy się odwrócił, zobaczyłem, że zamówił koktajl – bardzo wysoką szklankę czegoś złocistobrazowego. Powlókł się w drugi koniec baru, jakby w ogóle o nas zapomniał.

Ze wszystkich obecnych to prawdopodobnie ja byłem jego najbliższym przyjacielem, dlatego podszedłem do niego. Stał przy toalecie oparty o ścianę. Widząc mnie, pociągnął spory łyk, wypijając niemal jedną trzecią drinka.

– Co pijesz? – zapytałem.

– Bourbona.

– No, no. Całkiem pokaźna szklanka.

– Kazałem nalać do pełna.

– Przegapiłem konkurs, w którym pabst zajął nie pierwsze, a drugie miejsce?

Nie było to specjalnie zabawne i powiedziałem to chyba tylko dlatego, że jego zachowanie wzbudziło mój niepokój.

– Mój tata to pije – odparł.

Dopiero teraz zauważyłem, że wygląda na otumanionego. Nie alkoholem. Czymś innym.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

Znowu pociągnął ze szklanki, opróżniając ją do połowy. Był to odpowiednik czterech, pięciu kieliszków. Danny zamierzał się urżnąć w bardzo krótkim czasie.

– Nie – odparł w końcu. – Nic nie jest w porządku.

– Co się stało? Kto dzwonił?

– Mama. Dzwoniła moja mama. – Uszczypnął grzbiet nosa. – Właśnie powiedziała mi, że tata nie żyje.

– Twój tata?

– Zginął w wypadku samochodowym. Dowiedziała się kilka minut temu. Ktoś z drogówki przyjechał do domu.

– To... straszne – bąknąłem, nie wiedząc, co innego mógłbym powiedzieć. – Jest... mogę ci jakoś pomóc? Odwieźć cię do domu?

– Mama zarezerwuje mi bilet na jutrzejszy lot. Nie wiem tylko, co z egzaminami. Myślisz, że dopuszczą mnie do poprawki w przyszłym tygodniu?

– Nie wiem, ale to ostatnia rzecz, którą powinieneś się przejmować. Z mamą wszystko w porządku?

Nie odpowiedział od razu. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Nie – odparł w końcu. Jednym haustem dopił drinka. – Nie – powtórzył. – Muszę usiąść.

– Jasne – rzuciłem. – Chodźmy.

Odprowadziłem go do stolika. Mimo wypitego alkoholu wydawał się zupełnie trzeźwy. Siedział cicho, nie włączając się do rozmowy. Nie wspomniał o śmierci ojca, a godzinę później odwiozłem go do mieszkania.

Tak jak mówił, w niedzielę wrócił do domu. I choć byliśmy przyjaciółmi, nigdy więcej go nie widziałem.

*

– Chwileczkę – rzuciła Marge. Po tym, jak we wtorek rano odwiozłem London do szkoły, przyszła do mnie i siedzieliśmy przy kuchennym stole. – To znaczy, że... odeszła?

– Wczoraj wieczorem – odparłem.

– Powiedziała chociaż, że jest jej przykro?

– Nie pamiętam. – Pokręciłem głową. – Ja nawet nie... to znaczy... ja...

Nie mogłem zebrać myśli; skłębione emocje – szok i strach, niedowierzanie i złość – sprawiały, że popadałem ze skrajności

w skrajność. Choć wiedziałem, że to zrobiłem, nie pamiętałem, jak wiozłem London do szkoły; wyrzuciłem ten fakt z pamięci.

– Ręce ci się trzęsą – zauważyła Marge.

– Taa... nic mi nie jest. – Wzięłem głęboki oddech. – Nie powinnaś być w pracy? Zrobię jajecznicę.

Marge powie mi później, że wstałem od stołu i podszedłem do lodówki, a kiedy ją otworzyłem, uznałem, że lepiej będzie, jeśli napiję się kawy. Zajrzałem do szafki z kawą, ale uświadomiłem sobie, że najpierw powinienem wyjąć filiżanki. Chwilę później uznałem, że chyba jednak potrzebuję kawy, więc postawiłem filiżanki obok ekspresu. Marge patrzyła, jak wyjąłem z lodówki jajka i schowałem je z powrotem, wszedłem do spizarki i wyszedłem z niej z miską...

– Może ja zrobię śniadanie? – zaproponowała, wstając od stołu.

– Że co?

– Usiądź.

– Nie musisz iść do pracy?

– Postanowiłam zrobić sobie wolne. – Sięgnęła po komórkę. – Siadaj. Zaraz wrócę. Muszę tylko powiedzieć szefowi.

Kiedy usiadłem, kolejny raz dotarło do mnie, że Vivian mnie zostawiła. Że kocha swojego szefa. Że odeszła. Patrzyłem, jak Marge otwiera drzwi na patio.

– Gdzie idziesz?

– Zadzwoń do szefa.

– Po co do niego dzwonicz?

*

Marge została ze mną przez cały dzień. Odebrała London ze szkoły, zawiozła ją na lekcję gry na pianinie i przywiozła do domu. Po pracy wpadła do mnie Liz i razem przygotowały kolację, zajęły się London i pomogły mi położyć ją spać. Nieczęsto zdarzało się, żeby ciotki przyjeżdżały się z nią pobawić, tak więc London była zachwycona tą nadzwyczajną uwagą.

Wszystko to wiem od Marge, bo niczego nie pamiętam – tak jak nie pamiętałem, że odwiozłem córkę do szkoły. Jedyne, co utkwilo mi w pamięci, to to, że gapiłem się na zegarek i czekałem, aż Vivian zadzwoni, czego nie zrobiła.

*

Następnego dnia rano, po niespełna trzech godzinach snu, ledwo zwlokłem się z łóżka. Czułem się jak na kacu, nerwy miałem napięte jak postronki. Siłą woli zmusiłem się, żeby wziąć prysznic i ogolić się, zwłaszcza że poprzedniego dnia nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego. Niedużo też jadłem – kilka kęsów na śniadanie i niewiele więcej na lunch – ale nie miałem pojęcia, jak w tej sytuacji mógłbym cokolwiek przełknąć.

Kiedy tylko wszedłem do kuchni, Marge wręczyła mi kubek kawy i zaczęła nakładać jedzenie na talerz.

– Siadaj – powiedziała. – Musisz coś zjeść.

– Co ty tu robisz?

– A jak myślisz? Wpadłam rano, żeby upewnić się, że cokolwiek zjesz.

– Nie słyszałem, żebyś pukała.

– Bo nie pukałam. Kiedy się położyłeś, pożyczyłam klucze do domu. Mam nadzieję, że nie jesteś zły.

– W porządku – bąknąłem. Podniosłem do ust kubek i upiłem łyk, ale w smaku kawy było coś nie tak. Mimo kuszącego aromatu żołądek miałem ściśnięty w ciasny supeł. Wysunąłem krzesło i usiadłem przy stole, a Marge postawiła przede mną talerz jajeczniczy z boczkiem i tosta.

– Chyba nie dam rady nic przełknąć – powiedziałem.

– Tym gorzej dla ciebie – rzuciła. – Bo zjesz to, nawet gdybym musiała przywiązać cię do krzesła i nakarmić.

Zbyt zmęczony, by się wyklócać, wmusiłem w siebie kilka kęsów; dziwne, każdy kolejny smakował lepiej niż poprzedni, ale i tak dałem radę zjeść tylko połowę.

– Zostawiła mnie.

- Wiem – odparła Marge.
- Nawet nie chciała dać nam szansy.
- Wiem.
- Dlaczego? Co zrobiłem źle?

Marge zaciągnęła się inhalatorem, chcąc zyskać na czasie, świadoma, że zrzucanie winy na Vivian czy krytykowanie jej jeszcze bardziej namiesza mi w głowie.

– Nie sądzę, żebyś zrobił coś źle. Chodzi o to, że związki bywają skomplikowane i żeby było dobrze, obie osoby muszą tego chcieć.

Wiedziałem, że to prawda, ale wcale nie poczułem się lepiej.

– Na pewno nie chcesz, żebym dziś z tobą została? – zapytała Marge.

– Nie mogę cię prosić, żebyś znowu brała wolne – odparłem. Jedzenie nieco mnie uspokoiło, choć wciąż czułem się kiepsko. Nawet bardzo kiepsko. Wahania nastrojów nie były tak gwałtowne jak wczoraj, ale i tak miały siłę sztormu, który w filmie *Gniew oceanu* zatopił *Andreę Gail*. Czułem się wytrącony z równowagi, miałem jednak nadzieję, że jakoś poradzę sobie z najprostszymi czynnościami. Zawiozę i odbiorę London ze szkoły. Podrzucę ją na lekcję tańca. Zamówię pizzę na kolację. Wiedziałem, że na nic innego nie starczy mi energii; nawet przeczytanie gazety i odkurzenie było ponad moje siły. Mój cel był prosty – musiałem trzymać się na nogach i zaopiekować się córeczką.

Marge nie wyglądała jednak na przekonaną.

– Będę do ciebie dzwoniła, żeby sprawdzić, jak się trzymasz.

– Dobrze – zgodziłem się, chociaż część mnie bała się zostać sama. A jeśli zaraz po tym, jak wyjdzie, rozsypię na kawałki? Albo rozpadnę się jak cały mój świat?

Vivian odeszła.

Kochała kogoś innego.

Byłem strasznym, beznadziejnym mężem i zawiodłem na całej linii.

Zbyt wiele razy ją rozczarowałem i teraz zostałem sam.

Boże, pomyślałem, kiedy Marge zamknęła za sobą drzwi.
Jestem sam.

Będę umierał w samotności.

*

Kiedy London była w szkole, ja krążyłem po domu. Chodziłem z jednego końca na drugi i z powrotem; godzinami włóczyłem się po ulicach. Pytania o Vivian zderzały się w mojej głowie z siłą taranów. Czy była w Atlancie, czy w jakimś innym mieście? Wzięła dzień wolnego, żeby wprowadzić się do mieszkania, czy była w biurze? Zastanawiałem się, co robi – wyobrażałem sobie, że używając słuchawki bezprzewodowej, rozmawia w swoim narożnym gabinecie albo niosąc stos papierów, spieszy korytarzem. Eleganckie, nowoczesne biuro zmieniało się w duszny, zagracony budynek. Zastanawiałem się, czy jest z nią Spannerman; czy stoi obok niego i śmieje się, czy siedzi przy biurku z twarzą w dłoniach. Bezustannie sprawdzałem komórkę z nadzieją, że się odezwie; wypatrując wiadomości albo nieodebranych połączeń. Gdziekolwiek szedłem, brałem z sobą telefon. Chciałem usłyszeć jej głos, który mówi, że popełniła błąd i chce wrócić do domu. Chciałem, by powiedziała, że wciąż mnie kocha. Żeby poprosiła mnie o wybaczenie i w głębi serca wiedziałem, że nawet bym się nie wahał. Wciąż ją kochałem i nie wyobrażałem sobie życia bez niej.

Zachodziłem w głowę, gdzie popełniłem błąd. Czy wtedy, gdy rzuciłem pracę? A może, gdy przytyłem? Może za dużo pracowałem, zanim zrezygnowałem z etatu w agencji? Kiedy wszystko zaczęło się sypać? Kiedy stałem się zbędny? Jak mogła nas zostawić? Jak mogła zostawić London? Czy zamierzała zabrać ją z sobą do Atlanty?

Ostatnie pytanie było najgorsze ze wszystkich. Miałem tyle do przemyślenia i kiedy w końcu wróciłem do domu, byłem wykończony. Wiedziałem, że powinienem się zdrzemnąć, ale gdy tylko się położyłem, gonitwa myśli w mojej głowie zaczęła się na

nowo. Marge dzwoniła trzy razy i nagle uświadomiłem sobie, że muszę powiedzieć o wszystkim rodzicom, choć sam jeszcze w to nie wierzyłem.

Chciałem, żeby to okazało się snem.

Po południu odebrałem córkę ze szkoły, podczas gdy burza w mojej głowie szalała w najlepsze. London zapytała, czy moglibyśmy pojechać na lody, i choć wydawało mi się to ponad moje siły, jakoś dotarłem do Dairy Queen i nawet zdążyłem przywieźć ją na czas na lekcję tańca.

Czekając na nią, poszedłem na spacer. Nie jestem silny. Doszedłem do końca promenady. Tam łzy napłynęły mi do oczu i przygarbiony stałem zupełnie sam z twarzą ukrytą w dłoniach.

*

– Kiedy wróci mamusia? – zapytała London. Na stole leżało pudełko pizzy. Odsunąłem od siebie talerz; zjadłem tylko pół kawałka.

– Nie wiem, skarbie. Nie rozmawiałem z nią – odparłem. – Ale jak tylko się dowiem, zaraz ci powiem.

Jeśli uznała moją odpowiedź za dziwną, nie dała tego po sobie poznać.

– Mówiłam ci, że ja i Bodhi znaleźliśmy na przerwie małego żółwia?

– Małego żółwia?

– Bawiliśmy się w berka i znalazłam go za płotem. Był taki śliczny. Kiedy Bodhi go zobaczył, też powiedział, że jest śliczny. Próbowaliśmy nakarmić go trawą, ale nie był głodny. W końcu zbiegły się inne dzieci i przyszła pani. Zapytaliśmy ją, czy możemy włożyć go do pudełka i zabrać do klasy, a ona się zgodziła!

– To dopiero historia!

– No! Pani wzięła pudełko po kredkach, włożyła do niego żółwia i wszyscy razem zanieśliśmy go do klasy. Chyba się bał, bo próbował uciec, ale nie mógł, bo pudełko jest śliskie po bokach.

Potem chcieliśmy wymyślić mu imię, ale pani powiedziała, żebyśmy tego nie robili, bo ona chce go wypuścić.

– Nie chciała go zatrzymać?

– Powiedziała, że pewnie tęskni za mamusią.

Coś ścisnęło mnie za gardło.

– Tak. To może być prawda.

– Ale ja i Bodhi i tak wymyśliliśmy mu imię. Nazwaliśmy go Ed.

– Żółwik Ed?

– Myśleliśmy też, żeby nazwać go Marco.

– Skąd wiecie, że to chłopiec?

– Po prostu wiemy.

– Aha – odparłem i mimo tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, uśmiechnąłem się.

Przelotnie.

*

Pakowałem resztki pizzy do torebek strunowych, gdy zadzwoniła Vivian. Na widok jej zdjęcia na ekranie serce zaczęło walić mi jak szalone. London była w salonie, oglądała telewizję, wyszedłem więc kuchennymi drzwiami na patio za domem. Zebrałem się w sobie i dopiero wtedy odebrałem.

– Cześć – rzuciłem, jakby między nami wszystko było w jak najlepszym porządku, gdy tak naprawdę nic nie było w porządku. – Jak się masz?

Zawahała się.

– Dobrze. A ty?

– Trochę tu dziwnie – odparłem. – Ale jakoś się trzymam. Gdzie jesteś?

Przez chwilę zastanawiała się, czy odpowiedzieć.

– W Tampie – powiedziała w końcu. – Jest tam London? Czy już się kąpie?

– Nie, jeszcze nie. Ogląda telewizję.

– Mogę z nią porozmawiać?

Uspokoilem oddech.

– Zanim dam ci ją do telefonu, nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, Russ.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, co chcesz usłyszeć.

– Co chcę usłyszeć? – powtórzyłem. – Chcę dać nam kolejną szansę, Vivian. – Zignorowałem ciszę, która zapadła po drugiej stronie. – Mam wrażenie, że nie wiem, co się tak naprawdę dzieje. Jak możemy to naprawić? Możemy pójść na terapię.

– Proszę, Russ. – Głos miała spięty. – Mogę porozmawiać z London? Tęsknię za nią.

A za mną nie? A może jesteś teraz z Walterem?

Myśl pojawiła się nagle, nieproszona, a wraz z nią postać mojej żony dzwoniącej z hotelowego apartamentu i Waltera, który ogląda telewizję w pokoju obok. Jedyne, co mogłem zrobić, to wejść do domu i zawołać córkę.

– London, mama dzwoni! Chce się z tobą przywitać!

*

Podśluchiwałem ich rozmowę nawet po tym, jak London wróciła do pokoju. Słyszałem, jak relacjonuje mamie swój dzień – jej też powiedziała o żółwiu – i mówi „kocham cię”; słyszałem, jak pyta Vivian, kiedy wróci do domu. I choć nie słyszałem odpowiedzi, sądząc po minie London, nie spodobała się jej. „Dobrze, mamusiu”, rzuciła w końcu. „Ja też za tobą tęsknię. Jutro porozmawiamy”.

*

Vivian wiedziała, że kiedy kładę się spać, przełączam telefon na tryb samolotowy, a ponieważ trudno pozbyć się starych

nawyków, tej nocy zrobiłem to samo. Rano, kiedy go włączyłem, zobaczyłem, że Vivian nagrała dwie wiadomości głosowe.

„Wiem, że chciałeś porozmawiać, i porozmawiamy, ale dopiero wtedy, kiedy oboje będziemy gotowi. Nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. Chcę, żebyś wiedział, że nie planowałam tego i zdaję sobie sprawę, jak bardzo cię skrzywdziłam. Żałuję, że tak się stało, ale nie chcę cię okłamywać. Właściwie dzwonię w sprawie London. Przez tę przeprowadzkę, komitet wyborczy i ciągłe podróże mamy w pracy prawdziwe urwanie głowy. W tym tygodniu musimy jeszcze lecieć do Waszyngtonu, a w weekend czeka nas podróż do Nowego Jorku. Ponieważ tak często podróżuję, najlepiej będzie, jeśli London zostanie z tobą jeszcze przez jakiś czas. Chcę się tu jakoś urządzić, przygotować dla niej pokój, ale nie mam czasu, żeby się za to zabrać. W każdym razie najlepiej będzie, jeśli o niczym jej nie powiesz. Wystarczy, że stresuje się szkołą i pewnie jest przemęczona. Poza tym myślę, że powinniśmy to zrobić razem. Trzymaj się. Zaraz do ciebie zadzwonię, jeśli mnie rozłączy”.

Druga wiadomość zaczynała się dokładnie tam, gdzie kończyła się pierwsza.

„Rozmawiałam dziś z psycholog, jak najlepiej powiedzieć London. Jej zdaniem najlepiej będzie, jeśli wytłumaczymy jej, że na jakiś czas powinniśmy zamieszkać osobno; nie wspominając o separacji ani rozwodzie. No i oczywiście powinniśmy zapewnić ją, że nie ma w tym żadnej jej winy i że oboje bardzo ją kochamy. Pewnie jeszcze o tym porozmawiamy, ale chcę, żebyś wiedział, że kieruję się jej dobrem. Musimy też porozmawiać o tym, kiedy będę mogła zabrać ją do Atlanty”. Urwała. „To chyba wszystko. Miłego dnia”.

*

Miłego dnia?

Jaja sobie robiła? Siedząc na skraju łóżka, kilka razy odsłuchiwałem wiadomości. Myślę, że szukałem czegoś – czegokolwiek – co sugerowałoby, że wciąż jej na mnie zależy, ale niczego takiego nie usłyszałem. Mówiła jedynie o tym, czego chce, rzekomo kierując się dobrem London, i jej wybiegi doprowadzały mnie do szału. Myślałem o tym, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć – rzuciła Marge. – Dzwonię, żeby zobaczyć, jak się trzymasz.

– Nie ma jeszcze siódmej.

– Wiem, ale myślałam o tobie.

– Jestem... trochę wkurzony.

– Tak?

– Vivian zostawiła mi dwie wiadomości – powiedziałem, starając się wyrazić swoje odczucia najdelikatniej, jak umiałem.

– No to pięknie. I to one cię obudziły, tak? Nie filiżanka pysznej kawy? A skoro o tym mowa, jestem na twojej ulicy i zaraz zaparkuję na podjeździe. Otwórz drzwi.

Wyszedłem z sypialni i najciszej, jak mogłem, zszedłem po schodach. Kiedy dotarłem do drzwi, Marge wysiadała z samochodu z dwoma styropianowymi kubkami.

Patrząc na nią, zauważyłem, że jest gotowa do pracy.

– Mogę parzyć kawę w domu – powiedziałem.

– Wiem, ale chciałam sprawdzić, co u ciebie. Spałeś w ogóle?

– Może cztery, pięć godzin.

– Ja też kiepsko spałam.

– Liz każe ci siedzieć do późna?

– Nie – odparła. – Martwiłam się o ciebie. Wejdzmy do środka.

London już wstała?

– Jeszcze nie.

– Może więc ja ją przygotuję, a ty delektuj się kawą.

– Poradzę sobie.

– Wiem. Radzisz sobie dużo lepiej niż ja, gdybym była na twoim miejscu.

– Wątpię.

Zaskoczyła mnie, gdy wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po policzku, nigdy wcześniej tego nie robiła.

– Ja nie musiałam cię przekonywać, żebyś zszedł z wieży ciśnień, prawda?

*

Dzięki kawie i pomocy Marge, wioząc córkę do szkoły, czułem się trochę lepiej niż poprzedniego dnia. London siedziała na tylnym siedzeniu i opowiadała mi swój sen – coś o żabie, która za każdym razem, gdy skakała, zmieniała kolor – a jej niewinna radosna paplanina była dokładnie tym, czego było mi trzeba.

Po powrocie do domu niechętnie ubrałem się w strój do biegania. Nie biegałem, odkąd Vivian oświadczyła, że odchodzi – była to pierwsza przerwa, od kiedy wróciłem do joggingu – i miałem nadzieję, że wysiłek fizyczny sprawi, że znowu poczuję się sobą. Byłem w dobrej formie i przebiegłem dodatkowe trzy kilometry, ale już pod prysznicem zacząłem znów myśleć o Vivian. Wściekłość, którą czułem do tej pory, ustąpiła miejsca przytłaczającemu smutkowi.

To było ponad moje siły i wiedząc, że nie przetrwam kolejnego dnia takiego jak dwa ostatnie, uznałem, że muszę coś zrobić. Cokolwiek. Nie miałem chęci do pracy, ale zmusiłem się, żeby pójść do gabinetu. Kiedy usiadłem przy biurku i zobaczyłem zdjęcie Vivian, wiedziałem, że siedzenie w domu to nie najlepszy pomysł. Zbyt wiele wspomnień i zbyt wiele powodów, by pociąg zwany emocjami kolejny raz nabrał rozpędu.

Uznałem, że najwyższy czas, żebym zajrzał do siedziby firmy.

Spakowawszy laptopa, pojechałem do wynajętego biura. Recepcjonistka zdziwiła się na mój widok, ale jak zwykle powtórzyła, że nikt nie zostawił dla mnie żadnych wiadomości. Pierwszy raz w życiu w ogóle mnie to nie obeszło.

Otworzyłem biuro. Nic się nie zmieniło, odkąd byłem tu po raz ostatni – kilka tygodni temu – a na biurku zalegała cienka

warstwa kurzu. Nie zważając na to, położyłem laptopa na blacie i sprawdziłem pocztę.

Dziesiątki wiadomości, w większości rachunki albo spam. Usunąłem tyle, ile mogłem, a resztę poprzemieniłem do folderów, aż zostały mi tylko maile z linkami do nagrań. Teraz, kiedy prezentacja dla chirurga plastycznego była gotowa, mogłem zająć się Taglierim. Przejrzałem notatki sporządzone w weekend; z sześciu ujęć, które zrobiliśmy przed gmachem sądu, trzy nie nadawały się do niczego, a z pozostałych trzech wybrałem dwa. Oglądając je, doszedłem do wniosku, że Taglieri wypadł lepiej na początku drugiego ujęcia i na końcu pierwszego. Po krótkim montażu – na komputerze miałem zainstalowane podstawowe oprogramowanie – stworzyłem z nich jeden materiał. Nie ma niczego lepszego od magii kina.

Co więcej, efekt końcowy zrobił na mnie wrażenie i byłem pewien, że innym też się spodoba. Taglieri wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem – szczery, kompetentny i sympatyczny – ale przede wszystkim świetnie prezentował się przed kamerą. Może to zasługa naturalnego światła, ale wyglądał dużo lepiej niż na wcześniejszych spotach.

Materiał z drugiego nagrania był dużo bardziej skomplikowany. Dzięki wielu ujęciom kręconym z różnych perspektyw – w tym wyjątkowo uroczej scenie koni pasących się na łące – i dzięki wielu statystom spot miał szansę okazać się strzałem w dziesiątkę. Wiedząc jednak, że nie jestem w stanie wykrzesać z siebie tyle chęci i siły, postanowiłem skupić się na spocie numer jeden.

Oprogramowanie, którego używałem, nie było może najwyższych lotów, ale wystarczało; zresztą rozmawiałem już z najlepszym montażystą w mieście i powoli wzięłem się do pracy. W przerwie na lunch wmusiłem w siebie kupioną w pobliskim barze zupę i pracowałem do czasu, gdy musiałem odebrać London ze szkoły.

Nie był to łatwy dzień. Za każdym razem, gdy moja koncentracja słabła – choćby na sekundę – wracały emocjonalne

turbulencje i pytania. Wstawałem od biurka i krążyłem po pomieszczeniu albo stałem przy oknie, czując, jak coś ściska mnie w piersi, a ręce zaczynają drżeć w tym pozornie dusznym gabinecie. Tak bardzo odczuwałem utratę Vivian, że wydawało mi się, iż moje życie nie ma sensu.

Ale ponieważ zajęcie czymś myśli było moją jedyną szansą na zbawienie, wracałem w końcu do biurka i próbowałem zatracić się w służbie Taglieriemu.

*

– To normalne – zapewniła mnie Liz, gdy siedząc po południu na patio, opowiedziałem jej, przez co przechodzę. Razem z Marge wpadły do mnie po pracy. Marge przywiozła ciastolinę Play-Doh i siedziała na podłodze z London, rzeźbiąc rozmaite rzeczy.

– To był dla ciebie całkowity szok. Każdy by się zdenerwował.

– Nie chodzi o to, że jestem zdenerwowany – wyznałem. – Ja ledwie funkcjonuję.

Choć odbyliśmy z Liz setki rozmów, pierwszy raz czułem, że naprawdę potrzebuję z nią porozmawiać. Byłem wykończony. Miałem ochotę uciec albo ukryć się w jakimś ciemnym, cichym miejscu, ale przy London było to niemożliwe. Zresztą nie sądzę, żeby mi pomogło; myśli towarzyszyły mi przecież wszędzie, dokąd się udałem.

– Ale mówiłeś, że poszedłeś do pracy – powiedziała. – Zawiozłeś London na lekcję gry na pianinie i odebrałeś ją. Dałeś jej coś do jedzenia.

– W drodze do domu kupiłem śmieciowe jedzenie.

– To nic. Musisz nauczyć się być wobec siebie łagodny. W tej sytuacji radzisz sobie równie dobrze, jak inni. Zwłaszcza z emocjami.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Oczywiście, że cię słucham. I wiem, że to, co się stało, wydaje ci się nie do zniesienia, ale uwierz mi, to, że pozwalasz sobie na różne emocje, jest dużo lepsze, niż gdybyś tłumił je

w sobie. Jest takie stare powiedzenie: „Żeby coś przetrwać, musisz to przeżyć”. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Niezupełnie. Ale mój mózg nie pracuje chyba jak należy. Kiedy następnym razem obejrzę zmontowany spot, załamie się, że stworzyłem coś tak koszmarnego.

– Jeśli jest aż tak zła, poprawisz ją, prawda?

Skinąłem głową. Musiałem ją poprawić, ponieważ Vivian otworzyła osobne konto bankowe, zakładałem więc, że to ja będę musiał regulować rachunki i spłacać hipotekę.

– To dobrze. To będzie kolejny krok naprzód. A wracając do tego, co powiedziałam przed chwilą, zbyt wiele osób uważa, że tłumienie emocji i unikanie ich jest zdrowe. I czasami rzeczywiście tak jest, zwłaszcza po upływie jakiegoś czasu. Ale po traumatycznych przeżyciach często lepiej dopuścić uczucia do głosu i przeżyć je w pełni ze świadomością, że kiedyś miną. Musisz pamiętać, że ty i twoje emocje to nie to samo.

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Teraz jest ci smutno, ale przecież nie jesteś smutną osobą i nie zawsze tak będzie. Czujesz złość, ale nie jesteś złym człowiekiem, i należy pamiętać, że złość kiedyś minie.

Rozważyłem jej słowa i pokręciłem głową.

– Po prostu nie chcę, żeby emocje były aż tak silne. Jak mam to zrobić?

– Rób to, co robisz. Ćwicz, pracuj, opiekuj się London. W końcu na wszystko potrzeba czasu.

– Ile czasu?

– To zależy od człowieka. Ale z każdym dniem będziesz się czuł mniej bezbronny, odrobinę silniejszy i bardziej zdecydowany. Jeśli dziś myślałeś o Vivian co pięć minut, może w przyszłym tygodniu pomyślisz o niej raz na dziesięć minut.

– Chciałbym tak po prostu pstryknąć palcami i mieć to już za sobą.

– Nie ty jeden.

*

Wieczorem, kiedy London porozmawiała przez FaceTime'a ze swoją mamą i położyła się spać, ja usiadłem z siostrą i Liz. Przez większość czasu Marge jedynie słuchała.

– Co wynika z twojego doświadczenia? – zapytałem Liz. – Jest szansa, że Vivian wróci?

– Znam różne przypadki – odparła. – Czasami ludzie myślą miłość z zauroczeniem i kiedy klapki spadną im z oczu, dochodzą do wniosku, że popełnili błąd. Zdarza się też, że uczucie jest prawdziwe i trwałe. Ale bywa i tak, że nawet jeśli mamy do czynienia z zauroczeniem, ludzie uznają, że miłość, którą czuli do pierwszej osoby, wygasła.

– Co mam robić? Ona nie chce nawet ze mną rozmawiać.

– Nie wiem, czy jest coś, co mógłbyś zrobić. Bez względu na to, jak bardzo tego chcesz, nie możesz kontrolować drugiej osoby.

Chciałem się napić, chciałem zapomnieć choćby na krótką chwilę, ale chociaż miałem w lodówce piwo, trzymałem się od niego z daleka, bo bałem się, że jeśli zacznę pić, nie przestanę, dopóki nie opróżnię całej lodówki.

– Nie chcę jej kontrolować. Chcę tylko, żeby wróciła.

– Wiem – odparła Liz. – Nadal ją kochasz.

Spojrzałem na Marge.

– A co będzie, jeśli zechce zabrać London do Atlanty?

– Będziesz walczył. Wynajmiesz prawnika i udowodnisz, że córka powinna zostać z tobą.

– A jeśli London będzie chciała jechać? – Poczułem, że łyżki cisną mi się do oczu. – Jeśli będzie chciała zamieszkać z matką?

Na to pytanie Marge i Liz nie miały odpowiedzi.

*

W piątek zawiozłem London do szkoły i na lekcję tańca, potem odebrałem ją, ale poza tym rzuciłem się w wir pracy. Ledwie funkcjonowałem. Pamiętałem, że czternaście lat wcześniej w pewien koszmarny dzień, którego nigdy nie zapomnę, runęły bliźniacze wieże World Trade Center.

Później nadszedł weekend. Słowa Liz były dla mnie jak mantra – ćwicz, pracuj, opiekuj się London – i choć nie wybierałem się do biura, zamierzałem trzymać się planu.

Obudziłem się wcześniej i przebiegłem jedenaście kilometrów; od lat nie pokonałem takiego dystansu. Zmusiłem się, żeby zjeść śniadanie, i przygotowałem śniadanie dla córki. Kiedy się bawiła, skończyłem montować pierwszy spot i zacząłem pracę nad drugim. Zawiozłem London na zajęcia plastyczne i sam wróciłem do pracy, a gdy ją odebrałem, dowiedziałem się, że zrobiła wazon. Ostrożnie przyniosła go do samochodu, uważając, by o nic nie zawadzić.

– Musimy przywieźć go w przyszłym tygodniu, żebym mogła go pomalować – oświadczyła. – Chcę namalować na nim żółte kwiatki. I może różowe myszki.

– Myszki?

– Albo chomika. Ale chomiki są trudniejsze do namalowania.

Nie miałem pojęcia dlaczego, ale co ja tam wiem?

– Dobrze. Kwiatki i myszki – powiedziałem.

– Różowe.

– Jeszcze lepiej – zgodziłem się. – Możemy jechać do Buni?

Pomogłem jej wsiąść do samochodu, wiedząc, że najwyższy czas powiedzieć rodzicom, że Vivian mnie zostawiła. Ponieważ Marge chciała być wtedy przy mnie, Liz i London wybrały się na spacer. Zawołałem ojca, który przyszedł z garażu i usiadł obok mojej mamy.

Wyrzuciłem to z siebie niemal na jednym wydechu. Kiedy skończyłem, pierwszy odezwał się tata.

– Nie może tak po prostu odejść – stwierdził. – Ma dziecko.

– Mogłabym do niej zadzwonić – wtrąciła mama. – Pewnie jej przejdzie.

– Nie przejdzie. Powiedziała, że go kocha. Ma teraz swoje mieszkanie.

– Kiedy wróci? – zapytała mama. – Jeśli przyjedzie w przyszłym tygodniu, ja i ojciec będziemy poza miastem. Wybieramy się do wujka Joego w Winston-Salem. Ma urodziny.

Młodszy brat ojca, Joe, był mechanikiem, który choć nigdy się nie ożenił, na przestrzeni lat pozostawał w wielu długotrwałych związkach. Kiedy dorastałem, był tym-fajnym-wujkiem, i nie pamiętam, żebym kiedykolwiek się zastanawiał, dlaczego nie ma żony. Teraz podejrzewałem, że coś z nim było nie tak.

– Nie mam pojęcia, kiedy przyjedzie – odpowiedziałem.

– To pewnie przez stres w pracy – ciągnęła mama. – Nie myśli jasno.

– Jak spotka się z London? – zapytał ojciec.

– Nie wiem, tato.

– Nie chce się z nią widzieć? – naciskał.

– Naprawdę powinnam do niej zadzwonić – rzuciła z przejęciem mama.

– Nie będziesz do niej dzwonić, mamó – odezwała się Marge. – To sprawa między nimi. Jestem pewna, że Vivian wróci, żeby zobaczyć się z London. I nawet jeśli nie powiedziała Russowi, kiedy to będzie, myślę, że pojawi się najpóźniej w przyszłym tygodniu. Tymczasem nie powinniśmy zasypywać Russa gradem pytań ani niczego planować. Jak się domyślacie, to był dla niego naprawdę trudny tydzień.

– Masz rację – przyznała nagle mama. – Przepraszam. Po prostu jestem w szoku.

– W porządku, mamó – powiedziałem. Patrzyłem, jak ojciec wstaje z kanapy i idzie do kuchni.

– Jak się trzymasz? – zapytała mama.

Przeczesałem dłonią włosy.

– Staram się, jak mogę.

– Mogę ci jakoś pomóc? Zaopiekować się London?

– Nie – odparłem. – Radzę sobie z tym. Teraz, kiedy chodzi do szkoły, nie jest tak źle.

– Może ugotuję obiady, żebyście mieli co jeść w tygodniu. Co ty na to?

Wiedziałem, że chce się na coś przydać.

– Byłoby świetnie – powiedziałem. – London lubi twoją kuchnię dużo bardziej niż moją.

Poczułem na ramieniu dotyk zimnego szkła. Ojciec wrócił z dwoma butelkami piwa i podał mi jedną.

– Dla ciebie – powiedział. – Będę w garażu, gdybyś chciał pogadać.

*

Kiedy dwadzieścia minut później wszedłem do garażu, wskazał mi taboret, a sam usiadł na skrzynce z narzędziami. Przyniosłem nam po jeszcze jednym piwie; coś chodziło mi po głowie – coś, o czym nie mówiłem ani Marge, ani Liz – i chciałem poznać jego zdanie.

– Nie wiem, czy dam radę – zacząłem.

– Czy dasz radę co?

– Być samotnym ojcem. Opiekować się London. Może byłoby lepiej, gdyby zamieszkała z Vivian w Atlancie.

Otworzył piwo, które mu przyniosłem.

– Rozumiem, że chcesz usłyszeć, że się z tobą zgadzam.

– Nie wiem, czego chcę.

– Nie o to chodzi. Problem polega na tym, że się boisz.

– Oczywiście, że się boję.

– Na tym polega rodzicielstwo. Chodzi o to, żeby robić, co w twojej mocy, nawet jeśli boisz się, że nawalisz. Dzieciaki to najprostszy sposób, żeby osiwieć.

– Ty i mama się nie baliście.

– Pewnie, że się baliśmy. Po prostu nigdy się do tego nie przyznaliśmy.

Zastanawiałem się, czy to prawda.

– Myślisz, że powinienem posłuchać Marge i walczyć o London? Jeśli będzie trzeba?

Ojciec podrapał się w nogę, zostawiając na dżinsach tłustą smugę.

– Myślę, że jesteś cholernie dobrym ojcem, Russ. Lepszym, niż ja kiedykolwiek byłem. I myślę, że London cię potrzebuje.

– Ale potrzebuje też matki.

– Może. Ale popatrz, jak się nią opiekujesz. Wiem, że nie było łatwo, ale wzięłeś się w garść i dałeś radę, a mała jest szczęśliwa. Na tym właśnie polega bycie ojcem. Robisz, co trzeba, i kochasz swoje dziecko najlepiej, jak umiesz. Ty tak robisz i jestem z ciebie naprawdę dumny. – Urwał. – Tak właśnie myślę.

Próbowałem przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek powiedział mi coś podobnego, ale wiedziałem, że nie.

– Dzięki, tato.

– Chyba się nie rozpłacziesz?

Słyszając to, roześmiałem się.

– Nie wiem, tato.

– Czemu płaczesz?

Otarłem łzę, która kręciła mi się w oku.

– Ostatnio niewiele potrzeba, żebym się rozkleił.

ROZDZIAŁ 15

Dzień po dniu

W przeciwieństwie do mojego przyjaciela Danny'ego byłem przy swojej mamie, gdy kolejno traciła członków rodziny, w której się wychowywała. Miałem trzynaście lat, gdy zmarł mój dziadek, osiemnaście, gdy zmarła babcia, dwadzieścia jeden, kiedy odszedł pierwszy z braci mamy, i dwadzieścia osiem, gdy ostatni wybrał się na tamten świat.

W każdym przypadku moja matka niosła najcięższe brzemię. Wszyscy czworo odchodzili powoli, często bywali w szpitalach, a nadzieja, że wyzdrowieją, umierała, jeszcze zanim rak pozbawiał ich życia. Były nudności, utrata włosów, pamięci i sił. I ból. Zawsze tyle bólu. Zdarzało się, że pod koniec spędzaliśmy noce i dni na oddziale intensywnej opieki medycznej z krewnymi, którzy wylili z bólu. Moja mama była świadkiem tego wszystkiego. Co wieczór po pracy jechała do ich domów albo do szpitala i zostawała z nimi przez kilka godzin. Ocierała ich twarze wilgotnymi ręcznikami, karmiła ich przez rurkę; była na ty z lekarzami i pielęgniarkami w trzech różnych szpitalach. Kiedy nadchodził czas, to ona zajmowała się przygotowaniem do pogrzebu i zawsze wiedziałem, że mimo naszej obecności czuła się bardzo samotna.

Kilka tygodni albo miesięcy po czwartym pogrzebie myślałem, że doszła do siebie. Pozornie wyglądała tak samo – nadal nosiła fartuchy, a kiedy przyjeżdżaliśmy z Vivian, większość czasu spędzała w kuchni – była jednak cichsza niż przedtem i od czasu do czasu przyłapywałem ją, jak wygląda przez okno nad zlewem, głucha na otaczające ją dźwięki. Myślałem, że ma to związek

z ostatnią stratą, ale Vivian zasugerowała, że jest to smutek, który kumulował się od lat, i musiałem przyznać jej rację.

Jak by to było stracić całą rodzinę? To nieuniknione – w końcu ktoś zawsze zostaje sam jak palec – ale słowa Vivian sprawiły, że było mi żal mamy za każdym razem, gdy na nią patrzyłem. Czuję się, jakby jej strata stała się moją, i coraz częściej zacząłem do niej zaglądać. Wpadałem po pracy dwa, trzy razy w tygodniu, żeby spędzić z nią trochę czasu, i choć nie rozmawialiśmy o tym, przez co ona i ja przechodzimy, czuliśmy to, ten wszechogarniający smutek, który zawsze nam towarzyszył.

Pewnego wieczoru – kilka miesięcy po tym, jak zacząłem częściej bywać u rodziców – podjeżdżając pod dom, zobaczyłem ojca, który przycinał żywopłot, i mamę czekającą na niego na werandzie. Ojciec udawał, że mnie nie widzi, i nawet się nie odwrócił.

– Przejedźmy się – zaproponowała mama. – Ty prowadzisz.

Pomaszerowała w stronę mojego samochodu i otworzywszy drzwi od strony pasażera, wsiadła.

– O co chodzi, tato?

Ojciec znieruchomiał, ale nawet na mnie nie spojrzał.

– Po prostu wsiądź do samochodu. To ważne dla twojej mamy.

Zrobiłem, co mi kazano, a kiedy zapytałem, dokąd jedziemy, mama kazała mi jechać w kierunku remizy strażackiej.

Zdezorientowany ruszyłem we wskazanym kierunku. Gdy byliśmy prawie na miejscu, kazała mi skrócić gwałtownie w prawo, a dwie przecznice dalej powiedziała, żebym skrócił w lewo. Wiedziałem już wtedy, dokąd jedziemy, i niebawem zatrzymaliśmy się przy bramie. Przed nami strzelała w niebo wieża ciśnień, a gdy mama wysiadła z samochodu, poszedłem za nią.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

– Dlaczego tu jesteśmy, mamo?

Przechyliła głowę i patrzyła na drabinę, która prowadziła na najwyższy podest.

– Wiem, co się stało – powiedziała. – Kiedy Tracey i Marge zerwały. Wiem, że Marge była zrozpaczona i że spotkałeś się tu z nią. Byłeś jeszcze dzieckiem, ale w jakiś sposób udało ci się przekonać ją, żeby zeszła, i odwiozłeś ją do akademika.

Nie próbowałem zaprzeczać, choć nie było to łatwe. Cokolwiek bym powiedział, nie miało znaczenia; ta chwila należała do mojej mamy.

– Wiesz, jak to jest mieć świadomość, że twoja córka mogła zginąć w tym miejscu? Kiedy mi powiedziała, zastanawiałam się, dlaczego nie zadzwoniła do mnie albo do ojca. Teraz już wiem. Ciebie i Marge łączy coś wyjątkowego i nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo jestem dumna z tego powodu. Może nie byliśmy najlepszymi rodzicami, ale przynajmniej wychowaliśmy was jak należy.

Wciąż wpatrywała się w wieżę ciśnień.

– Miałeś tyle kłopotów, ale nigdy nam nie powiedziałeś. O tym, gdzie byłeś tamtej nocy. Chciałam cię przeprosić.

– W porządku – rzuciłem.

Kiedy na mnie spojrzała, zobaczyłem w jej oczach smutek.

– Masz dar – ciągnęła. – Jesteś wrażliwy i troszczysz się o wszystkich. To cudowne. Dlatego wiedziałeś, jak postąpić z Marge. Wziąłeś na siebie jej ból, a teraz próbujesz to samo zrobić ze mną.

Choć urwała, zdawałem sobie sprawę, że jeszcze nie skończyła.

– Wiem, że chcesz mi pomóc, ale nic, co zrobisz, nie uśmierzy bólu i smutku. Tylko się zadręczasz. Kiedy to widzę, pęka mi serce i nie chcę, żebyś to robił. Dzień po dniu w końcu się z tym uporam, ale nie mam siły, żeby martwić się też o ciebie.

– Nie wiem, czy ja potrafię przestać się martwić o ciebie.

Dotknęła mojego policzka.

– Wiem. Ale chcę, żebyś spróbował. Pamiętaj, że do tej pory przeżyłam wszystkie najgorsze dni swego życia. Tak jak twój ojciec i Marge. I ty. Musimy mierzyć się z nimi dzień po dniu.

Później tego samego wieczoru myślałem o tym, co mi powiedziała. Oczywiście miała rację, nie wiedziała jednak, że choć

życie srogo nas doświadczyło, najgorsze z najgorszych wciąż jeszcze było przed nami.

*

Dziewięć tysięcy trzysta sześćdziesiąt minut.

Tyle czasu minęło – no, mniej więcej tyle – odkąd mój świat stanął na głowie, a ja byłem boleśnie świadomy każdej z nich. Każda z tych minut ciągnęła się w nieskończoność, a ja odbierałem je każdą komórką ciała z każdym tyknięciem zegara.

Był poniedziałek, czternasty września. Tydzień temu Vivian mnie zostawiła. Wciąż obsesyjnie o niej myślałem i ostatniej nocy nie mogłem przez to zasnąć. Pomogła mi przebieżka, ale kiedy wróciłem, straciłem apetyt. Tylko w ubiegłym tygodniu zrzuciłem kolejne trzy kilogramy.

Stres. Najlepsza dieta.

Kiedy sięgałem po telefon, wiedziałem już, co zrobię. Powtarzałem sobie, że chcę się dowiedzieć, dokąd Vivian jedzie w tym tygodniu, ale to nie była prawda. Gdy recepcjonistka w firmie Spannermana odebrała telefon, poprosiłem ją, żeby połączyła mnie z Vivian, ona jednak połączyła mnie z niejaką Melanie, która twierdziła, że jest asystentką mojej żony. Nie wiedziałem, że Vivian ma asystentkę, ale przecież było wiele rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

Poinformowano mnie, że Vivian jest na spotkaniu, a kiedy Melanie zapytała, jak się nazywam, skłamałem. Powiedziałem, że jestem miejscowym dziennikarzem i chciałem wiedzieć, czy Vivian znajdzie w tym tygodniu czas, żeby ze mną porozmawiać. Melanie powiedziała, że Vivian będzie w biurze dziś i jutro, ale później wyjeżdża.

Następnie zadzwoniłem do Marge i zapytałem, czy odbierze London ze szkoły i zawiezie na lekcję tańca. Powiedziałem, że zamierzam spotkać się z żoną, ale wieczorem wrócę do domu.

Atlanta była cztery godziny drogi stąd.

*

Nie wiem, jak wyobrażałem sobie tę wizytę niespodziankę. Kiedy jechałem samochodem, jedna myśl w mojej głowie goniła drugą. Wiedziałem tylko, że muszę zobaczyć żonę; część mnie miała nadzieję, że chłodna, zdystansowana Vivian, którą słyszałem przez telefon, zmięknie w mojej obecności i razem znajdziemy receptę na to, by uratować nasz związek, naszą rodzinę i życie, które nadal chciałem prowadzić.

Z nerwów ścisnęło mnie w żołądku, co jeszcze bardziej utrudniało podróż. Na szczęście ruch był niewielki i kwadrans przed dwunastą byłem na przedmieściach Atlanty. Piętnaście minut później z nerwami napiętymi jak postronki dotarłem do nowej siedziby Spannermana i wjechałem na parking.

Znalazłem miejsce dla gości i przez chwilę siedziałem w samochodzie. Nie wiedziałem, co zrobić. Zadzwoić do niej i powiedzieć, że jestem na dole? Wejść do budynku i podejść do recepcjonistki? A może przemknąć obok biurka recepcjonistki i zaskoczyć Vivian w jej gabinecie? Niezliczone scenariusze, które układałem w głowie, zawsze zaczynały się od tego, że siedzę naprzeciw Vivian przy stoliku w restauracji; nie było w nich miejsca na schody, które musiałem teraz pokonać.

Wiedziałem, że ostatnio mój umysł nie jest w najlepszej formie.

Vivian z pewnością wolałaby, żebym zadzwonił, w ten sposób mogłaby zniechęcić mnie na dobre. Choćby dlatego wolałem bez uprzedzenia pojawić się w jej gabinecie. A jeśli była na spotkaniu? Powinienem zaanonsować się i siedzieć w poczekalni jak dzieciak, którego wezwano do gabinetu dyrektora? Miałem ochotę wejść prosto do jej biura, ale nie wiedziałem, gdzie go szukać; zresztą nie chciałem robić scen.

Zmusiłem się do wyjścia z samochodu i kolejny raz przeanalizowałem wszystkie opcje. Wiedziałem jedynie, że muszę rozprostować nogi i skorzystać z toalety. Zauważyłem bar po drugiej stronie ulicy i przebiegłem między samochodami.

Wychodząc z baru, podjąłem decyzję, że zadzwonię do Vivian z holu biurowca. I wtedy ich zobaczyłem – Spannermana i Vivian w brązowym bentleyu, szykujących się do wyjazdu z parkingu. Nie chcąc, żeby mnie zobaczyli, przywarłem do ściany budynku i pochyliłem głowę. Usłyszałem ryk silnika, kiedy powoli włączali się do ruchu.

Choć jadąc do Atlanty, nie miałem żadnego konkretnego planu, pomysł, który chwilę temu narodził się w mojej głowie, spalił właśnie na panewce. Wprawdzie nie miałem apetytu, postanowiłem jednak wrzucić coś na ząb i skontaktować się z Vivian za mniej więcej godzinę.

Wyjeżdżając z parkingu, zauważyłem, że ruch uliczny jest tak wielki, że samochody praktycznie stoją w miejscu i osiem samochodów przede mną widziałem brązowego bentleya. Nieco dalej osiemnastokołowa ciężarówka wyładowana stalowymi dźwigarami wjeżdżała tyłem na plac budowy, niemal zupełnie blokując przejazd.

Gdy sznur samochodów w końcu ruszył, jechałem za bentleyem, patrząc, jak skręca w prawo. Czułem się jak szpieg – albo raczej upiorny prywatny detektyw – kiedy również skręciłem w prawo, ale tłumaczyłem sobie, że przecież nie zamierzam nagabywać ich w trakcie lunchu ani robić nic głupiego. Chciałem tylko wiedzieć, dokąd jadą – pragnąłem dowiedzieć się czegoś o nowym życiu żony – co przecież nie było niczym nienormalnym; każdy by tak zrobił.

A może nie?

Czułem jednak, jak narasta we mnie złość. Między mną a nimi był już tylko jeden samochód. Wyobrażałem sobie, jak Walter mówi coś, a Vivian odpowiada; oczami wyobraźni widziałem na jej twarzy ten sam radosny uśmiech, jak wówczas, gdy rozmawiała z nim przez telefon, po kłótni z London, i złość ustąpiła miejsca rozczarowaniu i smutkowi nad tym, co utraciłem.

Dlaczego mnie nie kochała?

Nie jechali długo. Skręcili w lewo i szybko wjechali na parking podziemny pod nowoczesnym, strzelistym budynkiem o nazwie Belmont Tower. Przed wejściem stał portier, jakich widuje się w Nowym Jorku. Minąłem wieżowiec i zaparkowałem przy restauracji na końcu przecznicy.

Wyłączyłem silnik i zastanawiałem się, czy w wieżowcu jest restauracja. Czy właśnie tam znajdują się firmowe mieszkania i czy to tam mieszka Walter Spannerman.

Używając telefonu, znalazłem w internecie informację: wieżowiec Belmont Tower był projektem Spannermana. Kliknąłem link do nagrania wideo, na którym Walter Spannerman zachwalał zalety budynku, a na końcu oświadczał z dumą, że sam postanowił zamieszkać na najwyższym piętrze.

Zatrzymałem nagranie i jak człowiek idący na skazanie, wysiadłem z samochodu i skierowałem się do Belmont Tower. Podchodząc do drzwi, ruchem ręki przywołałem portiera.

– Piękny budynek – zagailem.

– Owszem, proszę pana. Rzeczywiście piękny.

– Zastanawiałem się, czy jest tu restauracja dla mieszkańców.

– Nie, proszę pana. Ale obok znajduje się La Cerna. To pięciogwiazdkowa restauracja.

– Są tu jakieś apartamenty do wynajęcia?

– Nie, proszę pana.

Włożyłem rękę do kieszeni.

– Trudno – powiedziałem. – Dziękuję za pomoc.

Kilka minut później oszołomiony myślą, że Vivian najprawdopodobniej poszła ze Spannermanem do jego apartamentu, wsiałem do samochodu i ruszyłem w drogę powrotną do Charlotte.

*

Dotarłem na miejsce pół godziny po tym, jak London wróciła ze szkoły, i kiedy otworzyłem drzwi, przybiegła do mnie, wołając:

– Tatusiu! Gdzie byłeś?

– Miałem coś do załatwienia – odparłem. – Przepraszam, że cię nie odebrałem.

– Nie szkodzi. Ciocia Marge po mnie przyjechała. Odwiozła mnie do domu. – Przytuliła się do mnie. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też, skarbie.

– Kocham cię.

– I *vice versa* – rzuciłem.

– Co to znaczy *vice versa*?

– Mówisz tak, kiedy chcesz powiedzieć komuś to samo. Ty powiedziałaś „kocham cię”, a ja odpowiedziałem *vice versa*, czyli wzajemnie.

– Brzmi ładnie – orzekła. – Nie wiedziałam, że tak potrafisz.

– Świat jest szalony, prawda? Nauczyłaś się w szkole czegoś ciekawego?

– Dowiedziałam się, że pająki to nie owady. To pajęczaki.

– Chyba pajęczaki?

– Nie, tatusiu. Pajęczaki. Z „ą” w środku.

Byłem pewien, że się myli, ale w końcu sama do tego dojdzie.

– Super.

– To dlatego, że owady mają sześć nóg, a pająki osiem.

– Jejku... ty to jesteś mądra, wiesz?

– Ale i tak nie lubię pajaków. I pszczoł też już nie lubię, chociaż robią miód. Za to motyle są śliczne.

– Tak jak ty. Ty też jesteś śliczna. Ładniejsza od wszystkich motyli – dodałem. – Mogę przywitać się z ciocią Marge?

– Dobrze. Ja zajrzę do Pana i Pani Sprinkles. Pamiętałeś, żeby dać im wody?

Ups.

– Nie, zapomniałem. Ale wczoraj dostały naprawdę dużo. Na pewno nic im nie jest.

– Lepiej sprawdzę.

Pocałowałem ją w policzek i postawiłem na podłodze. Chwilę później pobiegła na górę i straciłem ją z oczu. Zauważyłem, że Marge przygląda się nam z kuchni.

– Jesteś dobrym tatą, wiesz? – powiedziała, kiedy wszedłem do kuchni.

– Staram się. Jak było?

– Pytasz o tę jedną godzinę, kiedy musiałam się nią zajmować? Odwiozłam ją do domu i dałam jej lody na patyku. Zaraz potem przyjechała mama z toną jedzenia i musiałam się tym zająć. Tak przy okazji, część włożyłam do lodówki, a część do zamrażalnika. Powiedzmy, że za to masz u mnie dług wdzięczności. Jestem wykończona. Co za dzień! Chyba mam dość.

Moja siostra miała skłonność do sarkastycznych melodramatów.

– Nie sądziłem, że tak wcześnie wrócę.

– Ja też. Ale kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam, że wyglądasz jak siedem nieszczęść. Co się stało? Zastałeś ją w ogóle?

– Widziałem ją – odparłem. – Tak jakby. – Opowiedziałem jej, co się wydarzyło. Słuchając mnie, naląła dwie szklanki wody i podała mi jedną.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Wal śmiało.

– Dlaczego na nią nie zaczekałeś?

– Nie chciałem jej widzieć po tym, jak poszli do Spannermana.

– Bo?

– Bo była... z nim. Pewnie w jego apartamencie albo coś w tym stylu. I...

– I co? Zostawiła cię. Powiedziała ci, że go kocha. Przecież wiesz, że z nim sypia, prawda?

– Wiem – odparłem. – Po prostu wolę o tym nie myśleć... nie chcę o tym myśleć.

Marge spojrzała na mnie z politowaniem.

– To znaczy, że jesteś zupełnie normalny.

Zawahałem się i nagle dotarło do mnie, jak bardzo jestem zmęczony.

– Co ja mam zrobić?

– Zadbać o siebie. I być dobrym ojcem dla London.

- Miałem na myśli Vivian.
- Na razie skupmy się na tobie i twojej córce, dobrze?

*

Nie powinienem był jechać do Atlanty.

We wtorek próbowałem poświęcić czas reklamie Taglieriego, ale miałem problemy z koncentracją i bezustannie myślałem o Vivian. Za każdym razem widziałem ją w bentleyu ze Spannermanem i wyobrażałem sobie, że miała taką samą minę, jak wtedy na patio.

Te obrazy prześladowały mnie i niosły z sobą poczucie niedoskonałości. Niższości. Nie zostałem odrzucony; zastąpiono mnie kimś bogatszym i bardziej wpływowym, kimś, kto w przeciwieństwie do mnie potrafił rozbawić Vivian i uczynić ją szczęśliwą.

To, że odeszła, nie było jej winą. Odeszła przeze mnie.

Kiedy kompletnie zdołowany powiedziałem o tym Marge, ona i Liz wpadły do mnie po pracy. Był wtorkowy wieczór i na kolację podgrzałem dla London jedno z dań, które przywiozła moja mama; Marge i London poszły oglądać film, a ja i Liz usiedliśmy na werandzie za domem.

Opowiedziałem jej, co się wydarzyło i co wtedy czułem. Kiedy skończyłem, Liz splotła dłonie.

– Jak myślisz, co by się stało, gdybyś porozmawiał z Vivian?

– Chyba liczyłem na to, że podejmie decyzję, żeby wrócić. A przynajmniej porozmawiamy o tym, jak uratować nasz związek.

– Dlaczego? Zrobiła coś, co wskazywałoby, że chce wrócić? Albo ratować wasze małżeństwo?

– Nie – przyznałem. – Ale to moja żona. Odkąd odeszła, prawie ze sobą nie rozmawiamy.

– Jestem pewna, że porozmawiacie, kiedy Vivian będzie gotowa. Ale nie obiecuję, że spodoba ci się to, co usłyszysz.

Nietrudno było zgadnąć, co ma na myśli.

- Uważasz, że nie wróci, prawda?
 - Nie sędzę, żeby moja opinia była lepsza od innych. Albo miała jakiegokolwiek znaczenie.
 - Masz rację. Nie ma znaczenia. Ale już wcześniej miałaś do czynienia z takimi przypadkami i znasz Vivian. Dlatego chcę wiedzieć, co myślisz.
- Odetchnęła.
- Nie – powiedziała w końcu. – Nie sędzę, żeby chciała wrócić.

*

Pragnąłem popaść w odrętwienie; nie chciałem nic czuć ani myśleć o Vivian, ale wyglądało na to, że mogłem zapomnieć tylko wtedy, gdy London była w szkole, a ja rzucałem się w wir pracy. W środę ślęczałem nad drugim spotem Taglieriego, zanim w końcu wysłałem go do montażysty. Następnie zająłem się czwartkową prezentacją dla chirurga. Chciałem zaproponować mu coś innego niż to, co przygotowałem dla Joeya – wzmożoną aktywność w sieci, stronę przyjazną użytkownikowi, wideorekomendacje byłych pacjentów, reklamę bezpośrednią, obecność w mediach społecznościowych i billboardy – i choć podczas spotkania nie dałem z siebie stu procent, wyszedłem z zapewnieniem, że oto właśnie zyskałem kolejnego klienta.

Teraz przy dwóch klientach zarabiałem połowę tego co w agencji, nie licząc premii. To wystarczyło, żeby wywiązywać się ze zobowiązań finansowych, i ułatwiło podjęcie decyzji o zamknięciu wspólnej karty kredytowej.

Poinformowałem o tym Vivian SMS-em.

*

Zadzwoiła do mnie wieczorem. Po nierozsądnej wyprawie do Atlanty pozwalałem córce odbierać telefon, kiedy tylko twarz mojej żony pojawiała się na ekranie. London powiedziała, że

mamusia zadzwoni do mnie później. Kiedy szła na górę, zastanawiałem się, czy wyczuwała, że między nami nie układa się dobrze i że nie będziemy już rodziną.

Czekając na telefon, nie chciałem robić sobie nadziei, ale nie mogłem się powstrzymać. Wyobrażałem sobie, że Vivian przeprosza mnie i mówi, że wraca do domu, a zaraz potem myśli uciekały mi do tego, co usłyszałem od Liz, i bałem się, że zadzwoni tylko po to, żeby powiedzieć mi, jak bardzo jest wściekła, bo zamknąłem kartę. Te zmagania z samym sobą sprawiły, że opadłem z sił, i kiedy w końcu zadzwonił telefon, było mi obojętne, co zaraz usłyszę.

Odebrałem po czwartym sygnale.

– Cześć – rzuciłem. – London mówiła, że zadzwonisz.

– Cześć, Russ. – Głos miała spokojny, jak gdyby między nami nic się nie zmieniło. – Jak się masz?

Zastanawiałem się, czy naprawdę ją to obchodzi, czy po prostu chce być miła. Dlaczego analizuję to, co mówi, zamiast kontynuować rozmowę?

– W porządku – bąknąłem. – A ty?

– Dobrze – odparła. – London chyba będzie chora.

– Nic mi nie mówiła.

– Mnie też, ale słyhać to w jej głosie. Upewnij się, czy bierze witaminy, i może daj jej sok pomarańczowy na śniadanie. Pewnie będzie potrzebowała czegoś na przeziębienie dla dzieci.

– Jak może być chora? Na zewnątrz jest ze trzydzieści stopni.

– Chodzi do szkoły. Nowe dzieci, nowe zarazki. Na początku roku szkolnego zawsze tak jest.

– Dobrze – powiedziałem. – Będę musiał wyskoczyć po sok pomarańczowy i lekarstwo, ale witaminy bierze.

– Tylko nie zapomnij. A tak w ogóle dzwonię z kilku powodów. Po pierwsze, w weekend przyjeżdżam do Charlotte. Tęsknię za London i jeśli się zgodzisz, chciałabym spędzić z nią trochę czasu.

Ale nie ze mną, pomyślałem.

– Oczywiście – odparłem, starając się panować nad głosem. – Będzie zachwycona. Ona też za tobą tęskni.

– Dobrze. Dziękuję. – Usłyszałem w jej głosie ulgę i zastanawiałem się, czy spodziewała się innej reakcji. – Jest jednak pewien problem. Chyba nie powinnam zatrzymywać się w hotelu. Myślę, że dla London byłoby to coś dziwnego.

Zmarszczyłem brwi.

– Dlaczego miałabyś zatrzymywać się w hotelu? Możesz wrócić do domu. Mamy pokój gościnny.

– London pewnie zauważy, że śpię w pokoju gościnnym. A nawet jeśli nie zauważy, myślę, że nie powinniśmy dopuszczać do sytuacji, w której będzie chciała, żebyśmy robili coś we trójkę. Naprawdę uważam, że najlepiej by było, gdybyśmy na weekend zostały tylko we dwie. Nie chcę, żeby poczuła się zagubiona.

– O czym ty mówisz?

– Chodzi o to, czy mógłbyś w piątek i sobotę przenocować u rodziców? Albo u Marge i Liz?

Poczułem, że krew uderza mi do głowy.

– Żartujesz, prawda?

– Nie, Russ. Nie żartuję. Proszę. Wiem, że proszę o wiele, ale nie chcę stawiać London w niezręcznej sytuacji.

A może, pomyślałem, nie chcesz stawiać siebie w niezręcznej sytuacji.

Zapadła pełna napięcia cisza.

– Dobrze – rzuciłem w końcu. – Chyba mogę zapytać Marge. Rodzice wyjeżdżają z miasta.

– Będę ci bardzo wdzięczna.

– Pamiętaj, że w piątek wieczorem London ma lekcję tańca, a w sobotę rano zajęcia plastyczne, więc pewnie nie będziesz miała czasu na jogę.

– Moja córka jest dla mnie najważniejsza, Russ. Wiesz o tym.

– Byłaś świetną mamą – przyznałem. – A co do zajęć plastycznych, będziesz musiała zabrać wazon, który zrobiła tydzień temu. W tym tygodniu będzie go malowała.

– Gdzie go znajdzie?

– Stoi w spiżarni. Na najwyższej półce po prawej.
– Dobrze. Jeszcze jedno.
– Tak?
– Zastanawiałam się, czy znajdziesz jutro czas na późny lunch. Około trzynastej trzydzieści? Musimy porozmawiać, zanim odbiorę London ze szkoły.

Serce mi zamarło na myśl, że będę siedział z nią przy jednym stoliku. Że ją zobaczę.

– Pewnie – odparłem. – Gdzie?

Wymieniła nazwę restauracji, którą oboje znaleźliśmy i gdzie często jadaliliśmy; raz nawet świętowaliśmy tam rocznicę.

Kończąc rozmowę, zastanawiałem się, czy to omen.

*

– Jasne, że możesz się u nas zatrzymać – rzuciła Marge do słuchawki. Chwilę temu wróciłem ze sklepu i zanim do niej zadzwoniłem, włożyłem do lodówki sok pomarańczowy. – Tylko obiecaj, że nie będziesz laził po domu w luźnych gatkach ani schodził rano na kawę bez koszulki. Najlepiej w ogóle nie bierz luźnych gatek, dobra?

– Czy ty mnie w ogóle znasz?

– Oczywiście. A jak myślisz, dlaczego o tym mówię?

– Obiecuję.

– Zresztą w sobotę i tak wychodzimy. Będziesz miał cały dom dla siebie. Nasza przyjaciółka urządza parapetówkę.

Wszystko wskazywało na to, że spędzę weekend bez żony, bez London, bez rodziców i siostry. Zastanawiałem się, kiedy ostatni raz byłem zupełnie sam, i doszedłem do wniosku, że musiało to być lata temu.

– Bez obaw. Mam dużo pracy.

– Zadzwonię do ciebie, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ale wracając do Vivian, myślisz, że lunch to dobry pomysł?

– A czemu nie?

– Kiedy ktoś mówi „musimy porozmawiać”, to nigdy nie wróży niczego dobrego.

– Wierz mi, że nie spodziewam się zbyt wiele.

– To dobrze – odparła. – Pamiętasz, co mówiła Liz? Vivian nie prosi o spotkanie, żeby powiedzieć ci, że chce wrócić.

– Liz powiedziała ci, o czym rozmawialiśmy?

– Oczywiście, że nie – odparła. – Ale znam cię i nietrudno zgadnąć, o co ją pytałeś. A ponieważ ją też znam, wiem, co ci odpowiedziała. Nie chodzi o to, że bez przerwy rozmawiamy o tym, co się dzieje. Ale ostatnio to gorący temat.

– Macie lepsze rzeczy do omawiania niż moje małżeństwo.

– A ty zwykle masz rację w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach – przyznała. – Ale ostatnio? To my jesteśmy w tym nieznośnym jednym procencie.

– Co jeszcze sobie mówicie?

– Rozmawiamy o tym, jak bardzo cierpisz i że nie wiemy, co zrobić ani co powiedzieć, żebyś poczuł się lepiej. Jesteś takim dobrym człowiekiem, takim dobrym ojcem. To nie w porządku.

Zatkało mnie.

– Nie musisz się o mnie martwić – bąknąłem.

– Oczywiście, że muszę. Jestem twoją starszą siostrą, pamiętasz?

Zawahałem się.

– Myślisz, że Vivian też jest ciężko?

– Na pewno. Nie można zrobić czegoś takiego i nie czuć najmniejszych wyrzutów sumienia. Ale nie jestem pewna, czy zastanawia się nad swoimi uczuciami tak bardzo jak ty. Mam wrażenie, że jesteście zupełnie różni.

Brzmiało to sensownie. Ale...

– Wciąż mi na niej zależy – wyznałem. – Była cudowną żoną.

Marge westchnęła.

– Jesteś tego pewny?

*

Vivian miała rację co do London; kiedy obudziła się w piątek rano, głos miała schrypnięty i idąc do drzwi, zaczęła wycierać nos. Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim lekarstwo zacznie działać.

Odwiozłem ją do szkoły, wróciłem do domu, wrzuciłem do płóciennego worka trochę ubrań i pojechałem do biura. Wciąż nikt nie dzwonił do agencji, ale recepcjonistka powoli przyzwyczajala się do mojej obecności i zaczęła nawet mówić: „Dzień dobry, panie Green”.

Przez większość ranka pracowałem z technikiem. Dyskutowaliśmy, podjęliśmy decyzję w sprawie ogólnego planu, a następnie przeszliśmy do pozycjonowania strony w internecie, bannerów i kampanii w mediach społecznościowych. Spędziliśmy razem prawie trzy godziny i pod koniec miałem wrażenie, że obaj mamy pracy na najbliższe tygodnie.

Po wszystkim wysłałem maile z potwierdzeniem, że zdjęcia do trzeciego spotu rozpoczną się w przyszły piątek, i zostawiłem wiadomość chirurgowi, prosząc o nazwiska byłych pacjentów, którzy mogliby wystąpić przed kamerą.

W miarę jak pracowałem, czułem, że coraz bardziej sztywnieją mi ramiona i kark – znak, że denerwuję się przed spotkaniem z Vivian. Choć mnie zdradziła i chciała, żebym zniknął na weekend, zastanawiałem się, czy Vivian, z którą się spotkam, będzie chciała ratować nasz związek. Wiedziałem, że Marge i Liz próbowały przekonać mnie, żebym nie robił sobie nadziei, ale w głębi serca wciąż ją miałem. Może ta wiara okaże się dla mnie zgubna, ale utrata wszelkiej nadziei wydawała się jeszcze gorsza.

Wyszedłem z biura o wpół do pierwszej i zjawiłem się w restauracji piętnaście minut przed umówionym spotkaniem. Kelner zaprowadził mnie do stolika przy oknie. Większość miejsc była już zajęta. Zamówiłem drinka, nieśmiało oczekując, że mnie uspokoi. Chciałem podejść do lunchu, tak jak podchodziłem do rozmów telefonicznych, ale gdy tylko zobaczyłem Vivian,

wstrzymałem oddech i wypuściłem powietrze, dopiero gdy podeszła do stolika.

Ubrana w dzinsy i czerwoną bluzkę, która podkreślała jej figurę, wyglądała seksownie, a zarazem elegancko. Podniosła okulary wysoko na czoło i uśmiechnęła się przelotnie, kiedy wstałem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy pocałować ją w policzek, ale nie dała mi sposobności.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuciła, siadając. – Szukałam miejsca parkingowego.

– W piątki o tej porze zawsze jest tu tłoczno. Ludzie chcą jak najwcześniej zacząć weekend.

– Na pewno – powiedziała. Wskazała resztkę drinka. – Widzę, że ty też wczesnie zaczynasz.

– Czemu nie? W ten weekend jestem wolnym człowiekiem.

– Może, ale przecież prowadzisz.

– Wiem.

Niespiesznie rozkładała serwetkę, unikając mojego wzroku.

– Jak tam w pracy?

– Lepiej. Mam kolejnego klienta. Chirurga plastycznego.

– Cieszę się. A przy okazji, pamiętałeś, żeby dać London lekarstwo?

– Tak. I sok pomarańczowy.

– Wie, że odbiorę ją ze szkoły?

– Tak. Pokój gościnny jest przygotowany.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli będę spała w sypialni? Oczywiście zmienię pościel.

– Nie ma problemu. W końcu nadal jesteśmy małżeństwem.

Wydawało mi się, że dostrzegłem na jej twarzy cień irytacji, znikł jednak równie szybko, jak się pojawił.

– Dzięki – bąknęła. – Chcę tylko, żeby London miło spędziła weekend.

– Na pewno tak będzie.

Odwróciła się w stronę okna i przez chwilę obserwowała ulicę. Nagle coś sobie przypomniała. Sięgnęła do torebki, wyjęła telefon i wpisała hasło. Wodziła palcem po ekranie, stukała paznokciem

w szybkość i coś przewijała. Tymczasem ja w milczeniu sącyłem kolejnego drinka. W końcu odłożyła telefon i uraczyła mnie wymuszonym uśmiechem.

– Przepraszam. Praca. Prawie przez całą drogę do Charlotte wisiałam na telefonie.

– Jak się jechało?

– Duży ruch jak zawsze przed weekendem. Przyjechaliśmy wczoraj późnym wieczorem. Lecieliśmy z Houston, a jeszcze wcześniej byliśmy w Savannah. Nawet nie wiesz, jak się cieszę na ten wolny weekend.

Starłem się ignorować to, że mówi w licznie mnogiej. Było to lepsze niż gdyby używała imienia Walter, ale i tak bolało. Kiedy się nie odezwałem, Vivian sięgnęła po menu. Rozmowa wyraźnie się nie kleiła.

– Zdecydowałeś już, co zamówisz? – zapytała.

– Chyba skuszę się na zupę. Nie jestem głodny.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz naprawdę mnie zobaczyła.

– Schudłeś – zauważyła. – Dalej biegasz?

– Co rano. Zrzuciłem prawie siedem kilogramów. – Nie powiedziałem, jak wiele w tym jej zasługi, bo odkąd odeszła, praktycznie nic nie jadłem.

– Widać po twarzy – powiedziała. – Prawie nie ma śladu po obwisłych policzkach.

Dziwne, pomyślałem, że potrafiła powiedzieć komplement, jednocześnie robiąc przytyk. Zastanawiałem się, czy nadal chodzi na siłownię ze Spannermanem i czy kiedykolwiek powiedziała mu, że ma obwisłe policzki. Pewnie nie.

– Wiesz już, co będziesz robiła z London? – zapytałem.

– Jeszcze nie. Wszystko zależy od niej. Chcę robić to, na co ona ma ochotę. – Mówiąc to, przeglądała menu. Zdecydowała szybko; nawet ja wiedziałem, że zamówi sałatkę, nie byłem tylko pewny którą. Ledwie odłożyła kartę dań, przy stoliku pojawił się kelner. Vivian zamówiła niesłodzoną mrożoną herbatę i sałatkę azjatycką; ja zupę warzywną z wołowiną. Kiedy zostaliśmy sami,

napila się wody i palcem starła ze szklanki kroplę. Podobnie jak ja nie wiedziała, co powiedzieć, i zapadło między nami niezręczne milczenie.

– A więc – zacząłem – mówiłaś, że chcesz ze mną porozmawiać.

– Głównie chodzi o London – odparła. – Martwię się o nią. Nie jest przyzwyczajona do tego, że tak długo mnie nie ma. Wiem, że jest jej ciężko.

– Nic jej nie jest.

– Nie mówi ci wszystkiego. Chciałabym móc spędzać z nią więcej czasu.

Miałem ochotę wytknąć jej, że przecież może wrócić do domu, ale sama to wiedziała.

– Wyobrażam sobie – rzuciłem zamiast tego.

– Rozmawiałam z Walterem i ze względu na podróże, które czekają mnie w najbliższych miesiącach, nie ma mowy, żebym wzięła ją teraz do Atlanty. Przez trzy, cztery dni w tygodniu nie ma mnie w domu. Nie mam czasu, żeby przygotować jej pokój, a tym bardziej, żeby rozejrzeć się za opiekunką.

Poczułem ulgę, ale chciałem się upewnić, że dobrze usłyszałem.

– Chcesz powiedzieć, że najlepiej będzie, jeśli London zostanie ze mną?

– Tylko na jakiś czas. Nie zamierzam porzucić swojego dziecka. Zresztą oboje wiemy, że córki potrzebują matek.

– Ojców też.

– Będziesz mógł ją widywać. Nie jestem matką, która utrudnia dziecku kontakty z ojcem. Poza tym wiesz tak samo jak ja, że to ja ją wychowałam. Jest do mnie przyzwyczajona.

Jej dziecko. Nie *nasze* dziecko.

– Teraz jest inaczej. London chodzi do szkoły, a ty pracujesz.

– Tak czy owak, chciałam porozmawiać o tym, co się dzieje. Chociaż dużo pracuję, chcę widywać się z London tak często, jak to możliwe. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Oczywiście, że nie. Niby czemu miałyby mi przeszkadzać?

– Bo jesteś zły i rozgoryczony i możesz chcieć się na mnie odegrać. Nawet nie zadzwoniłeś, żeby powiedzieć, że zamykasz kartę kredytową. Po prostu to zrobiłeś. Wiesz, że powinieneś był zadzwonić? Żebyśmy mogli to przedyskutować?

Zamrugalem, mając w pamięci konto, które otworzyła w tajemnicy przede mną.

– Mówisz poważnie?

– Chcę tylko powiedzieć, że mogłeś załatwić to inaczej.

Jej bezczelność była tak zdumiewająca, że nie wiedziałem, co powiedzieć. Kelner przyniósł mrożoną herbatę i kiedy stawiał ją na stole, zadzwonił telefon Vivian.

– Muszę odebrać – rzuciła.

Patrzyłem, jak wstaje i kieruje się do wyjścia, i choć starałem się nie patrzeć, widziałem, jak stoi na ulicy. Wrzuciłem do ust kilka kostek lodu, czekając, aż kelner przyniesie koszyчек chleba i masło. Potem, skubiąc kromkę, przysłuchiwałem się rozmowom obcych ludzi. Jakiś czas później Vivian wróciła do stolika.

– Przepraszam – powiedziała. – To z pracy.

Taa, jasne, pomyślałem, jednak nie skomentowałem tego głośno.

Kelner przyniósł nasze zamówienie i w milczeniu patrzyłem, jak Vivian polewa sałatkę dressingiem i kroi warzywa na małe porcje. Zupa pachniała wybornie, ale wiedziałem, że nic nie przełknę. Kilka kęsów chleba sprawiło, że czułem się syty. Zmusiłem się jednak, żeby spróbować.

– Jest jeszcze coś, o czym musimy porozmawiać – odezwała się w końcu.

– Tak?

– Chodzi o to, co powiemy London. Pomyślałam, że dobrze by było, żebyśmy usiedli razem w niedzielę przed moim wyjazdem.

– Po co?

– Bo musi wiedzieć, co się dzieje, ale trzeba powiedzieć jej to tak, żeby zrozumiała. Najprościej, jak się da.

– Nie wiem nawet, co przez to rozumiesz.

Westchnęła.

– Powiemy jej, że z powodu mojej pracy muszę mieszkać w Atlancie i że przez jakiś czas zostanie z tobą. Wy tłumaczmy jej, że bez względu na wszystko oboje bardzo ją kochamy. Nie musimy wdawać się w szczegóły, zresztą nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

Masz na myśli tłumaczenie dziecku, że kochasz innego mężczyznę?

– Pogadam z Liz. Może będzie mogła nam coś poradzić.

– Dobrze, ale uważaj.

– Na co?

– Liz nie jest twoją terapeutką. To partnerka twojej siostry. Rozumiem, że trzyma twoją stronę i chce, żebyś uwierzył, że to wszystko moja wina.

Ale przecież to prawda!

– Liz nigdy by tego nie zrobiła.

– Po prostu uważaj – ostrzegła mnie. – Poza tym lepiej będzie, jeśli nie powiemy London o tym, co dzieje się między nami. Najpierw niech oswoi się z myślą, że nie mieszkamy razem. Później nie będzie to dla niej takim szokiem.

– Co nie będzie szokiem?

– Że się rozwodzimy.

Odłożyłem łyżkę. Chociaż spodziewałem się, że w końcu wypowie to słowo, jego brzmienie kompletnie mnie zaskoczyło.

– Zanim zaczniemy rozmawiać o rozwodzie, nie sądzisz, że byłoby dobrze porozmawiać z terapeutą? Zobaczyć, czy da się coś uratować?

– Mów ciszej. To nie miejsce ani czas na takie rozmowy.

– Mówię cicho.

– Nieprawda. Kiedy się złości, nie słyszysz się i zaczynasz podnosić głos.

Uszczypnąłem grzbiet nosa i wziąłem głęboki wdech.

– Dobrze – powiedziałem, jeszcze bardziej ścisząc głos. – Nie chcesz nawet spróbować cokolwiek naprawić? – Pośród gwaru niemal nie słyszałem własnych słów.

– Nie musisz szeptać – prychnęła. – Prosiłam tylko, żebyś mówił ciszej. Ktoś mógł cię usłyszeć.

– Rozumiem – rzuciłem. – Nie zmieniaj tematu.

– Russ...

– Nadal cię kocham. Zawsze będę cię kochał.

– A ja właśnie ci powiedziałam, że to nie miejsce ani czas na takie rozmowy! Chcę porozmawiać o London, o tym, dlaczego powinna na razie zostać z tobą i co jej powiemy w niedzielę. Nie przyszedł tu, żeby rozmawiać o nas.

– Nie chcesz porozmawiać o nas?

– Myślałam, że uda nam się normalnie porozmawiać, ale, jak widać, myliłam się. Nie możemy zachowywać się jak dorośli?

– To ja próbuję z tobą porozmawiać.

Włożyła do ust trochę sałatki – która do tej pory stała praktycznie nietknięta – i odłożyła serwetkę.

– Ale nie słuchasz! Ile razy mam ci powtarzać, że to nie miejsce ani czas na to, żeby rozmawiać o nas? Powiedziałam to grzecznie i miałam nadzieję, że wyraziłam się jasno, ale ty najwyraźniej byłeś innego zdania. Dlatego myślę, że najlepiej będzie, jeśli po prostu wyjdę, zanim zaczniesz na mnie krzyczeć. Chcę tylko spędzić miły weekend z moją córeczką.

– Proszę – bąknąłem. – Nie musisz wychodzić. Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować.

– To nie ja się denerwuję – odgryzła się. – Tylko ty.

Po tych słowach wstała od stolika i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy wyszła, siedziałem otępiały przez kilka minut, aż w końcu poprosiłem kelnera o rachunek. Analizując naszą rozmowę, zastanawiałem się, czy naprawdę byłem za głośno, czy Vivian wykorzystała to jako pretekst, żeby szybciej zakończyć spotkanie.

W końcu nie miała powodu, żeby dłużej tu siedzieć.

Nie tylko kochała innego mężczyznę, ale w kwestii weekendu dostała ode mnie wszystko, czego chciała.

ROZDZIAŁ 16

Słońce też wstaje

Polubiłem Liz od pierwszego spotkania, ale naprawdę byłem zdumiony, że moi rodzice również ją polubili, bo chociaż pogodzili się z homoseksualnością Marge, czułem, że nie przepadali za kobietami, z którymi się spotykała. Chodziło o różnicę pokoleń – oboje dorastali w czasach, gdy wszelka odmienność była tematem tabu – ale też o kobiety, które podobały się Marge. Sprawiały wrażenie nieokrzesanych i często przeklinały, co doprowadzało rodziców do białej gorączki.

Marge mówiła, że poznała Liz w pracy. Biura rachunkowe – z czym zgodzi się chyba większość ludzi – nie są najlepszym miejscem do zawierania znajomości, ale Liz niedawno otworzyła prywatną praktykę i potrzebowała księgowej. Tak się złożyło, że tego dnia Marge pracowała po południu i zanim Liz wyszła, umówiły się na kieliszek wina i wspólne wyjście na wystawę do Asheville.

– Idziesz do galerii sztuki? – zapytałem Marge. Po pracy wyskoczyliśmy do baru; było to miejsce z neonowymi reklamami piwa, przesiąknięte zapachem zbyt wielu rozlanych drinków – w tamtym czasie ulubiona spelunka mojej siostry.

– A niby czemu miałabym nie iść do galerii?

– Może dlatego, że nie lubisz sztuki?

– Kto powiedział, że nie lubię sztuki?

– Ty. Kiedy chciałem pokazać ci prace Emily, powiedziałaś, cytując: „Nie lubię sztuki”.

– Może od tamtej pory wydorzałam.

- *A może Liz zawróciła ci w głowie.*
- *Jest interesująca – przyznała Marge. – I bardzo inteligentna.*
- *Ładna?*
- *A jakie to ma znaczenie?*
- *Po prostu jestem ciekawy.*
- *Tak. Bardzo ładna.*
- *Niech zgadnę. Galeria sztuki to był jej pomysł?*
- *Żebyś wiedział.*
- *Jeździ na motorze? I lubi skórzane kurtki?*
- *Skąd mam wiedzieć?*
- *Czym się zajmuje?*
- *Prowadzi terapię dla małżeństw i rodzin.*
- *Terapeutek też nie lubisz.*
- *Nie lubiłam swoich terapeutek. Chociaż ostatnia była nawet niczego sobie, ale co do reszty... Poza tym przez kilka lat byłam naprawdę wkurzona, więc nie wiem, czy jakakolwiek terapeutka przypadłaby mi do gustu.*
- *Powiedziałaś Liz o swoich napadach złości?*
- *To już przeszłość. Już taka nie jestem.*
- *Dobrze wiedzieć. Kiedy będę mógł ją poznać?*
- *Trochę na to za wcześnie, nie uważasz? Nawet jeszcze nie byliśmy na randce.*
- *Dobrze już, dobrze. Ale jak już będziecie po randce, kiedy będę mógł ją poznać?*
- *Poznałem Liz niespełna dwa tygodnie później. Zaprosiłem je do siebie i na małym patio zgrilowałem kilka steków. Liz przyniosła deser i wypiliśmy butelkę wina. Wystarczyło trzydzieści sekund, żebym poczuł się swobodnie w jej towarzystwie i przekonał się, że zależy jej na mojej siostrze. Wyczytałem to ze sposobu, w jaki słuchała, gdy Marge coś mówiła, z jej szczerego śmiechu i tego, jak wyczulona była na emocje, które moja siostra starała się skrywać. Przed wyjściem Marge odciągnęła mnie na stronę.*
- *I co o niej myślisz?*
- *Myślę, że jest fantastyczna.*

– Zbyt fantastyczna dla kogoś takiego jak ja?

– O czym ty gadasz?

– Kompletnie nie rozumiem, co ona we mnie widzi.

– Żartujesz? Jesteś niesamowita. Cały wieczór się śmiała.

Marge nie wyglądała na przekonaną, ale w końcu skinęła głową.

– Dzięki za zaproszenie. Nawet jeśli przypaliłeś steki.

– Zrobiłem to celowo – wyjaśniłem. – To podobno dodaje smaku.

– Rzeczywiście dodało. Najlepsi szefowie kuchni marzą o tym, żeby przypalić jedzenie.

– Do widzenia, Marge – rzuciłem. – I nie ma za co.

– Kocham cię.

– Tylko dlatego, że z tobą wytrzymuję.

Dopiero miesiąc później Marge przedstawiła Liz rodzicom. Była sobota po południu i zaraz po przyjeździe Liz zniknęła w kuchni, żeby pomóc naszej mamie. Gawędziły, jakby znały się od wieków. Ojciec i Marge oglądali mecz. Ja siedziałem z nimi, choć nie sądzę, żeby któreś z nich zauważyło moją obecność.

– I co myślisz, tato? – zapytała Marge w trakcie przerwy reklamowej.

– O czym?

– O Liz.

– Wygląda na to, że nieźle dogaduje się z twoją matką.

– Podoba ci się?

Ojciec pociągnął łyk piwa.

– To, co myślę, nie ma znaczenia.

– Nie podoba ci się?

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że nie ma znaczenia, co ja o niej myślę. Najważniejsze, co ty czujesz. Jeśli wiesz, dlaczego ją lubisz, i jeśli jest dla ciebie dobra, to będzie dobra dla mnie i dla mamy.

Kiedy wznowiono mecz, ojciec zamilkł, a ja pomyślałem, że tata był – i zawsze będzie – jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich znam.

*

Po lunchu z Vivian wróciłem do pracy, ale nie mogłem zebrać myśli i straciłem humor. Uczucie nasiliło się po piętnastej, kiedy zacząłem tęsknić za towarzystwem London. Choć wiedziałem, że to ważne, żeby spędziła ten weekend z mamą, nie byłem przekonany, czy aby na pewno powinienem na ten czas usunąć się w cień. Zastanawiałem się, dlaczego nie zaprotestowałem, kiedy Vivian mnie o to poprosiła, ale wiedziałem, że problem leży we mnie. Moją wadą było to, że wciąż chciałem ją zadowolić, i świadomość tego dała mi do myślenia: skoro nie byłem w stanie zadowolić jej wcześniej, jak mogłem pomyśleć, że będę w stanie zadowolić ją teraz?

Myślę, że wówczas po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z istoty problemu. Nawet ja miałem trudności, żeby doszukać się w tym sensu. Logicznie rzecz biorąc, wiedziałem, że to niedorzeczne i mało prawdopodobne... więc po co za każdym razem próbowałem?

Żałowałem, że nie jestem kimś innym. Albo jeszcze lepiej: żałowałem, że nie jestem silniejszą wersją siebie samego, i zastanawiałem się, czy nie potrzebuję pomocy specjalisty. Z drugiej strony nie wiedziałem, czy fachowa pomoc cokolwiek tu zmieni. Znając siebie, będę próbował zadowolić terapeutę.

Mówi się, że rodzice okaleczają psychicznie dzieci, a ponieważ odkąd pamiętam, próbowałem zadowolić innych, wychodzi na to, że jest to wina moich rodziców. Dlaczego więc odczuwałem potrzebę, by regularnie ich odwiedzać? Dlaczego próbowałem oglądać z ojcem mecze i zapewniałem mamę, że to, co gotuje, jest pyszne?

Ponieważ, pomyślałem, ich też próbujesz zadowolić.

*

Po siedemnastej wyszedłem z biura i pojechałem do Marge. Powtarzałem sobie, że ograniczę opowieści o Vivian do

minimum – nawet ja byłem nią zmęczony – jednak wytrzymałem w swoim postanowieniu całe dwanaście sekund. Marudziłem przez całą kolację, a Marge i Liz, jak zwykle, okazywały mi wsparcie. Wszyscy troje byliśmy jak zacięte płyty i podczas gdy one zapewniały mnie na okrągło, że wszystko będzie dobrze, ja nie byłem pewien, czy powinienem im wierzyć.

Zaciągnęły mnie do kina na jeden z letnich hitów, które wciąż jeszcze pojawiały się na ekranach. Wybraliśmy coś zabawnego – pełną akcji bajeczkę o upadłych bohaterach walczących z prawdziwymi złoczyńcami, którzy chcą zniszczyć planetę – ale nie potrafiłem się zrelaksować. Myślałem o tym, jak Vivian i London spędziły popołudnie i dokąd poszły na kolację; zastanawiałem się, czy żona siedzi w salonie i przegląda magazyn, podczas gdy London śpi w swoim łóżku. Czy zadzwoniła do Spannermana, a jeśli tak, to czy długo rozmawiali.

Po powrocie z kina sięgnąłem po powieść – moja siostra miała w sypialni dla gości kilka książek – ale ten pomysł również okazał się nietrafiony. Ostatecznie dałem za wygraną, zgasilem światło i przez kilka godzin przewracałem się z boku na bok, zanim w końcu zasnąłem.

Obudziłem się dwie godziny przed świtem.

*

O dziesiątej czterdzieści pięć w sobotnie przedpołudnie zadzwonił mój telefon. Byłem już po joggingu, po prysznicu, porannej kawie w towarzystwie Marge i Liz i zaczynałem układać pytania dla byłych pacjentów mojego klienta, których referencje zamierzałem wykorzystać w reklamie. Robota pali się w rękach, kiedy człowiek wstaje w środku nocy.

Wyciągnąłem telefon z kieszeni i widząc na ekranie zdjęcie Vivian, wcisnąłem magiczny przycisk.

– Halo?

– Cześć, Russ. Jesteś zajęty?

– Nie bardzo – odparłem. – Jestem u siostry. Coś się stało? Z London wszystko w porządku?

– Tak. Ale zapomniałam wziąć wazon na zajęcia plastyczne i zastanawiałam się, czy mógłbyś wpaść do domu i go tu podrzucić. Jestem prawie na miejscu i jeśli zawrócę, London się spóźni.

– Jasne. Nie ma problemu. Będę najszybciej, jak się da.

Rozłączyłem się i wychodząc, chwyciłem kluczyki leżące w koszyku na stoliku przy drzwiach.

– A ty dokąd? – krzyknęła za mną Marge.

– Dzwoniła Vivian. Muszę zawieźć London wazon, który zrobiła tydzień temu na zajęciach.

– Więc lepiej się pośpiesz, szczeniaczku.

– Szczeniaczku?

– Rób, jak ci pani każe. Jeśli będziesz grzeczny, może nawet rzuci ci kość.

– Robię to dla London, nie dla Vivian – odgryzłem się.

– Tak sobie tłumacz.

Zdenerwowała mnie ta uwaga, ale jadąc do domu, zdążyłem ochłonąć. Marge mieszkała dziesięć minut drogi ode mnie i wiedziałem, że przy odrobinie szczęścia i zielonych światłach, będę na miejscu tuż po rozpoczęciu zajęć.

W roztargnieniu zastanawiałem się, czy London powiedziała Vivian o żółtych kwiatach i różowych myszekach. Uśmiechnąłem się. *Myszki*. W jej ustach brzmiało to tak słodko, że nie miałem serca jej poprawiać. Chciałem choć na chwilę zobaczyć moją córeczkę. Nie minął nawet dzień, a ja już za nią tęskniłem.

Wpadłem do domu i chwyciłem wazon. Miałem szczęście, bo trafiałem na same zielone światła; najwyraźniej ktoś na gorze rozumiał powagę sytuacji.

Wjeżdżając na parking, zobaczyłem Vivian stojącą przed wejściem. Kiedy zaparkowałem, podeszła do samochodu i pokazała mi, żebym opuścił szybę.

Zrobiłem, co mi kazała, i podałem jej wazon.

– Dzięki – rzuciła. – Muszę już lecieć.

Poczułem, że schodzi ze mnie powietrze.

– Zanim pójdziesz... Dobrze się wczoraj bawiłyście?

Odwróciła się przez ramię.

– Świetnie. Zadzwoń jutro i dam ci znać, o której możesz przyjechać.

– Możesz poprosić London, żeby wyszła, bym mógł się z nią przywitać?

– Nie może wyjść – odparła. – Zaczęli już malować.

Odwróciła się i bez słowa zniknęła za drzwiami, a ja pomyślałem, że niektóre szczeniaczki naprawdę mają dobrze.

Przynajmniej czasem ktoś im rzuci kość.

*

Nie chciałem od razu wracać do Marge. Zachowanie Vivian wprawiło mnie w kiepski nastrój, który potęgowało to, że byłem niewyspany. Kofeina, pomyślałem. Potrzebuję kofeiny. Podjechałem więc kawalek i zaparkowałem pod barem kawowym. Z pewnością Vivian wolałaby, żebym pojechał gdzieś indziej, żeby London nie mogła mnie zobaczyć! Ale, o dziwo, powiedziałem sobie, że nie obchodzi mnie, czy się wścieknie. Właściwie chciałem, żeby była na mnie zła.

Może, pomyślałem, to pierwszy krok do tego, żeby przestać zabiegać o jej aprobatę. W końcu Marge miała rację, mówiąc, że jestem na każde zawołanie Vivian; nawet po wczorajszym lunchu pragnąłem jej aprobaty, nie córki. Jeśli wynikło z tego coś pozytywnego, to fakt, że w końcu zrozumiałem, że Vivian robi wszystko, żebym nie pragnął jej uznania. No bo po co się starać, jeśli coś jest z góry skazane na niepowodzenie? Zresztą, nawet gdyby doceniła moje starania, co by to zmieniło?

Wchodząc do baru, zastanawiałem się, czy to pierwszy krok do tego, by naprawić tę usterkę w moim charakterze. Nagle usłyszałem, jak ktoś mnie woła.

– Russ?

Rozpoznałem głos i zobaczyłem Emily, która siedząc przy stoliku, machała do mnie. Przed nią leżała rozłożona gazeta i stała filiżanka herbaty. Z włosami, które skręcały się pod wpływem wilgoci, w wydekolutowanej koszulce wpuszczonej w spłowiałe dżinsowe spodenki i sandałkach była piękna w naturalny sposób. Widząc ją, poczułem, że opuszcza mnie złość, i dotarło do mnie, że podświadomie to właśnie ją chciałem zobaczyć.

– Cześć, Emily – odparłem, nie mogąc opanować uśmiechu. Zamiast stanąć w kolejce, podszedłem do stolika. – Dawno cię nie widziałem. Co słychać?

– W porządku – rzuciła ze szczerym uśmiechem. – Ostatnio mam prawdziwe urwanie głowy.

Ja też, pomyślałem.

– Co się dzieje?

– Musiałam skończyć kilka prac do galerii, no i David jest w mieście. A to oznacza całe mnóstwo gania z miejsca na miejsce.

– Wspominałaś, że przyjeżdża. Długo jeszcze zostanie?

– To ostatni tydzień. We wtorek wraca do Sydney.

Kiedy mówiła, jej oczy błyszczały odbitym blaskiem, który obudził wspomnienia minionych lat. Machnąłem ręką w stronę baru i zanim ugryzłem się w język, powiedziałem:

– Będziesz tu jeszcze chwilę? Mam ochotę na mrożoną herbatę.

– Tak – odparła. – Malinowa jest pyszna.

Podszedłem do baru i idąc za radą Emily, zamówiłem herbatę malinową, a kiedy była gotowa, wróciłem do stolika. Emily złożyła gazetę, żeby zrobić dla mnie miejsce.

– Jakies ciekawe wieści? – spytałem.

– Same przygnębiające historie. To już robi się nudne. Wolalabym czytać częściej o czymś radosnym.

– Po to właśnie jest rubryka sportowa.

– Chyba masz rację. Ale tylko jeśli twoja drużyna wygrywa.

– Jeśli przegrywają, odpuszczam sobie.

Nie było to specjalnie zabawne, ale i tak się roześmiała. Podobało mi się to.

– A co u ciebie? – zapytała. – Nie widziałam cię od wieków.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć.

– Nagrałeś już te reklamy? Dla prawnika?

– Tak. Są teraz w montażowni i jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, pierwsza ukaże się w telewizji za mniej więcej dwa tygodnie. Za tydzień kręcimy następną. Podpisałem też umowę na kolejną kampanię, tym razem z chirurgiem plastycznym.

– Dobry jest? Pytam na wypadek, gdybym musiała skorzystać z jego usług.

– Mam nadzieję – odparłem. – Ale ty nie potrzebujesz operacji plastycznych.

– Poprawna odpowiedź – pochwaliła mnie. – Nawet jeśli to nieprawda. No i gratuluję kolejnego klienta. Wiem, że się martwiłeś, i cieszę się, że ci się udało.

– Potrzebuję jeszcze kilku klientów, zanim będę mógł odetchnąć z ulgą, ale czuję, że wszystko zmierza we właściwą stronę.

– Schudłeś.

– Zrzuciłem siedem kilogramów.

– Planowałeś schudnąć? Bo moim zdaniem nie było ci to potrzebne.

Słyszając to, nie mogłem nie pomyśleć o Vivian, kiedy wypomniała mi obwisłe policzki.

– Mam jeszcze do zgubienia parę kilo. Znowu zacząłem biegać, robię pompki i takie tam.

– To dobrze. Widać efekty. Świetnie wyglądasz.

– Ty też – powiedziałem. – A więc... co porabiasz? Mówiłaś, że musiałaś skończyć kilka obrazów.

– Pracuję bez przerwy. Nie wiedzieć czemu, wszystkie moje obrazy wyprzedają się w ciągu ubiegłego miesiąca. Różni kupujący z różnych stanów. Nie wiem, co się stało. Może ma to jakiś związek z fazami Księżyca, ale właściciel galerii zadzwonił do mnie i zapytał, czy mam coś, co mógłby wystawić. Krótko

mówiąc, miałam kilka niedokończonych prac, no i postanowiłam nad nimi popracować. Dokończyłam osiem, ale inne... z nimi nie pójdzie mi tak łatwo. Patrzyłam na nie, przemalowywałam albo coś do nich dodawałam... Mam wrażenie, że próbują mi powiedzieć, jak chcą wyglądać, ale z jakiegoś powodu nie słyszę, co do mnie mówią.

– Robią teraz świetne aparaty słuchowe.

– Poważnie? – rzuciła z udawanym zaskoczeniem. – Nie wiedziałam. Może jest to jakieś wyjście.

– To jedyna rada, na jaką mnie stać. Nie jestem artystą.

Roześmiała się.

– Co u London? Bodhi nie mógł się doczekać, aż ją zobaczy. Gdyby nie to, że jest jeszcze mały, powiedziałabym, że się w niej zadurzył.

Łatwo byłoby skłamać, ale mając przed sobą Emily, nie chciałem tego robić.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Dziś rano była z Vivian.

– W takim razie co tu robisz?

– Vivian zapomniała wziąć wazon, który London miała ozdabiać. Musiałem go podrzucić.

– Tak. – Emily pokiwała głową. – Zaraz po przyjeździe dowiedziałam się o projekcie. W ubiegłym tygodniu Bodhi nie był na zajęciach, więc będzie robił swój wazon dzisiaj. Jest teraz z Davidem.

– W takim razie powinienem zapytać, co ty tutaj robisz.

– Przywiozłam syna. David czekał tu na nas. Na czas pobytu w mieście zatrzymał się w hotelu. Jemu to odpowiada, ale Bodhi miał problemy z zaśnięciem, więc David wieczorami wraca do domu. Dlatego właśnie jeżdżę w tę i z powrotem. Plusem jest to, że mam mnóstwo czasu na pracę, ponieważ David spędza z Bodhim każdą wolną chwilę. Nadrabia stracony czas. Na przykład dziś po zajęciach plastycznych idą na gokarty.

– To chyba dobrze, co?

– Jasne – odparła bez specjalnego entuzjazmu. – David nie rozumie tylko, że przez to Bodhiemu będzie jeszcze trudniej,

kiedy wyjedzie. W końcu przyzwyczał się, że go tu nie ma, i to ja będę musiała ratować sytuację.

– Powiedziałaś mu to?

– Nie mogłabym. Chociaż okazał się kiepskim mężem, jest naprawdę cudownym ojcem. I dobrym człowiekiem. Dzięki niemu mogliśmy zostać w naszym starym domu, a Bodhi mógł iść do odpowiedniej szkoły. Jeśli chodzi o ugodę rozwodową, był naprawdę hojny.

Na dźwięk słowa „rozwód” przypomniałem sobie rozmowę z Vivian i wzdrygnąłem się.

– Przepraszam – rzuciła pospiesznie Emily. – Naprawdę staram się nie mówić o Davidzie. Nie mam pojęcia, dlaczego jego imię tak często pojawia się w rozmowie.

– Nie o to chodzi – powiedziałem. Objąłem szklankę obiema rękami. – Vivian mnie zostawiła.

Usta Emily ułożyły się w idealne O.

– Boże – jęknęła. – To straszne. Nie wiem, co powiedzieć.

– Bo nie ma o czym mówić.

– Jesteś pewien, że to nie chwilowe rozstanie? Coś jak separacja?

– Nie sędzę. Wczoraj podczas lunchu wspomniała o rozwodzie. A jutro chce, żebyśmy porozmawiali z London.

– Co się stało? Jeśli oczywiście mogę spytać. Nie musisz odpowiadać.

– Zakochała się w swoim szefie, Walterze Spannermanie. I przeprowadziła się do Atlanty.

– O jejku.

– No właśnie – przytaknąłem.

– Jak się trzymasz?

– Czasami dobrze, czasami kiepsko.

Skinęła głową i spojrzała na mnie łagodnym wzrokiem.

– Doskonale cię rozumiem. Kiedy to się stało? Zresztą nie mów, jeśli nie chcesz.

Zastanowiłem się nad tym, co mi powiedziała, i upiłem łyk herbaty. Chociaż bez końca rozmawiałem o tym z Marge i Liz,

wciąż czułem potrzebę mówienia głośno o tym, co mnie spotkało. Ludzie radzą sobie z problemami na różne sposoby, ja musiałem się wygadać. Powtarzać. Pytać. Zastanawiać się. Marudzić. Powtarzać. Powtarzać. Powtarzać. Moja siostra wykazała się anielską cierpliwością, ale miałem wyrzuty sumienia, że zadręczam ją swoimi problemami. Tak samo było z Liz. A jednak czułem, że muszę jeszcze raz to przetrwać.

– Chciałbym ci o tym opowiedzieć, ale nie wiem, od czego zacząć – powiedziałem. Wyjrzałem przez okno. Emily pochyliła się nad stołem.

– Co robisz po południu? – zapytała.

– Nie mam żadnych planów – odparłem.

– Masz ochotę na spacer? Albo po prostu się stąd wyrwać?

– Spacer jest świetnym pomysłem.

*

Jechałem za Emily gdzieś w stronę jej domu. Po jakimś czasie moja przewodniczka skręciła w dróżkę prowadzącą do prywatnego ośrodka rekreacyjno-sportowego z opłatami członkowskimi, na które nie mogłem sobie pozwolić. Zatrzymała się w zacienionym, zacisznym miejscu nieopodal putting greenu, a ja zaparkowałem obok niej.

– Może być?

– Pole golfowe?

– To cudowna okolica. Jestem tu trzy, cztery razy w tygodniu. Zwykle o poranku.

– Rozumiem, że masz kartę członkowską.

– David uwielbiał golfa.

Weszliśmy na ścieżkę i ruszyliśmy jedną z zielonych alejek. Rozglądając się dookoła, stwierdziłem, że Emily miała rację. Okolica była zadbana, dróżki obsadzono dereniami, magnoliami i dębami wirginijskimi. Były tu starannie przycięte krzewy azalii i sadzawki, w których odbijał się błękit nieba; delikatny wiaterek czynił temperaturę znośną.

– Co się stało? – zapytała i pomiędzy dziewięcioma, dziesięcioma dołkami opowiedziałem jej wszystko. Może nie powinienem był tego robić, może powinienem był być bardziej powściągliwy, ale kiedy zacząłem mówić, nie mogłem przestać. Mówiłem i mówiłem, od czasu do czasu odpowiadając na jej pytania. Opowiedziałem jej o naszym małżeństwie i jak to było, gdy London była mała, o tym, jak za wszelką cenę chciałem uszczęśliwić Vivian, o mojej potrzebie sprawiania jej przyjemności. Mówiłem o ubiegłym roku i huśtawce emocji, która targała mną, odkąd Vivian odeszła. Wyrzucając to z siebie, czułem się na zmianę zmieszany i smutny, zły i sfrustrowany, ale przede wszystkim kompletnie zagubiony. Czułem się jak ktoś, komu wydaje się, że zna reguły gry, podczas gdy tak naprawdę nie ma o nich pojęcia.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałaś – powiedziałem, kończąc tym samym swoją opowieść.

– Nie ma sprawy – odparła. – Sama przez to przechodziłam. I uwierz mi, wiem, co czujesz. Rok, w którym David się wyprowadził, był najtrudniejszym w moim życiu. I tak, pierwsze miesiące były koszmarnie. Całymi dniami zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, każąc mu odejść. Kiedy to się stało, wierz mi, nie zachowywałam się jak Mary Poppins. Potrzeba było czterech, pięciu miesięcy, żebym w końcu zaczęła przypominać dawną Emily. Ale już wtedy wiedziałam, że Bodhi i ja damy sobie radę.

– A jak jest teraz?

– Lepiej. – Uśmiechnęła się cierpko. – Zazwyczaj. To dziwne, ale im więcej mija czasu, tym mniej pamiętam złych rzeczy, a więcej tych dobrych. Zanim urodził się Bodhi, lubiliśmy leżeć w łóżku w niedzielne przedpołudnia, pić kawę i czytać gazetę. Nawet nie musieliśmy rozmawiać, po prostu było nam ze sobą przyjemnie. Jak już mówiłam, David zawsze był dobrym ojcem. Byłoby dużo łatwiej, gdybym zapomniała o tym, co dobre.

– Wygląda na to, że naprawdę było ci ciężko.

– Bywało strasznie. Najgorsze są kłótnie o pieniądze. Kiedy wchodzi w grę pieniądze, robi się dość nieprzyjemnie.

– Tak było w twoim przypadku?

– Nie, dzięki Bogu. David jest bardzo w porządku, jeśli chodzi o alimenty, i gdyby nie to, byłoby nam znacznie trudniej. Do tego pochodzi z bogatej rodziny i bardzo dobrze zarabia, ale myślę, że miał też wyrzuty sumienia. Nie chodzi o to, że jest złym człowiekiem, po prostu przez ciągłe uganianie się za spódniczkami nie sprawdził się jako mąż.

– Tak, dla niektórych to może być problem.

Poczułem na sobie jej spojrzenie.

– Ona może wrócić, wiesz? Czasami tak jest.

Przypomniałem sobie piątkowy lunch i to, jak mnie potraktowała, kiedy przywiozłem wazon. I kolejny raz usłyszałem w głowie słowa Liz.

– Nie sądzę.

– Nawet jeśli uświadomi sobie, że popełniła błąd?

– Nie wiem, czy nawet wtedy chciałaby wrócić. Mam wrażenie, że od dawna była ze mną nieszczęśliwa. Starłem się być jak najlepszym mężem i ojcem, ale jej zawsze było mało.

– Mówisz tak, jakbyś nie był pewien, czy ci wierzę.

– A wierzysz?

– Oczywiście. Czemu miałabym ci nie wierzyć?

– Bo to ona mnie zostawiła.

– To była jej decyzja. I mniej mówi o tobie niż o niej.

– I tak czuję się jak nieudacznik.

– Rozumiem cię. Też się tak czułam. To chyba normalne.

– Nie wiem, czy Vivian czuje to samo. Zachowuje się, jakby jej nie zależało.

– Zależy jej – zapewniła mnie Emily. – Ona też cierpi. Decyzja o odejściu nigdy nie jest łatwa. Ale jest zakochana, a to ułatwia sprawę. Nie myśli o tobie tak często, jak ty o niej. A to znaczy, że nie cierpi tak samo jak ty.

– Chyba też potrzebuję czegoś, co pozwoli mi zapomnieć.

– Dokładnie tak. Najlepiej dwudziestolatki o wyglądzie cheerleaderki. Albo trenerki fitness. Albo tancerki. – Kiedy

uniosłem brew, wzruszyła ramionami i ciągnęła: – W takich gustował David. Chociaż jeśli go przypiliło, sypiał z kim popadnie.

– Przykro mi.

– A mnie nie. To już nie mój problem – dodała. – Teraz spotyka się z kimś w Sydney. Powiedział, że myśli nawet o małżeństwie.

– Tak szybko?

– To jego życie. Gdyby zapytał mnie, co o tym myślę, powiedziałabym mu, że powinien się wstrzymać, ale nie zapytał, więc się nie odzywam. Poza tym jesteśmy po rozwodzie. Może robić, co mu się żywnie podoba.

Szedłem obok niej z ręką w kieszeni.

– Jak ty to robisz? Jak to możliwe, że cię to nie rusza? Kiedy myślę o Vivian i Walterze, czuję wściekłość i ból. Nie mogę się od tego uwolnić.

– Bo to wciąż świeża sprawa – odparła. – Ale bez względu na to, co teraz myślę i mówię o Davidzie, zabolowało mnie, kiedy mi powiedział. To straszne dowiedzieć się, że zastąpiono cię kimś innym. Po separacji przez długi czas mówiłam ludziom, że chcę, żeby David był szczęśliwy, a tak naprawdę chciałam, żeby siedział w domu jak pustelnik, czuł się podle i opłakiwał wszystko, co stracił.

Tak samo wyobrażałem sobie Vivian.

– Brzmi nieźle. Ale jak ich do tego przekonać?

Roześmiała się.

– Gdyby tylko było to takie proste. Byli partnerzy to trudny temat. W ubiegły weekend David przystawiał się do mnie.

– Poważnie? A co z jego dziewczyną?

– Nie przyleciała. I muszę przyznać, że przez chwilę miałam ochotę mu ulec. Jest przystojny i kiedyś świetnie się razem bawiliśmy.

– Jak do tego doszło?

– Przez alkohol – odparła ze śmiechem.

– On i Bodhi spędzili razem cały dzień, a gdy odwiózł go do domu, Bodhi poszedł prosto do łóżka. Piłam wino i zaproponowałam Davidowi kieliszek. Z jednego zrobiły się dwa,

David był jak zwykle czarujący i zanim się obejrzałam, jego ręka znalazła się na moim kolanie. Wiedziałam, czego chce, i...

Czekałam, aż zbierze myśli. Spojrzała na mnie.

– Miałam świadomość, że to koszmarny pomysł, ale wciąż podobało mi się to, jak się przy nim czuję. To szaleństwo, ale tak właśnie było. Dawno nie czułam się pożądana i atrakcyjna. Częściowo to moja wina. Przez ostatnie półtora roku nie robiłam nic, żeby to zmienić. Byłam wprawdzie na kilku całkiem udanych randkach, ale dość szybko dotarło do mnie, że nie jestem gotowa na nowy związek. Kiedy więc mężczyźni, z którymi się spotkałam, dzwoniли drugi raz, zbywałam ich. Czasami żałuję, że nie należę do tych kobiet, które sypiają, z kim popadnie, i nie czują się jak lafiryndy, ale nic na to nie poradzę. Przygodny seks to nie dla mnie.

– Chwileczkę, a co z tym gościem w college'u...

– To się nie liczy. – Machnęła ręką. – Wymazałam tamten wieczór z pamięci, więc jest tak, jakby w ogóle go nie było.

– Aha – mruknąłem.

– W każdym razie David zaczął całować mnie po szyi i pomyślałam sobie: Cholera, dlaczego nie? Na szczęście się opamiętałam. Dobrze chociaż, że zniósł moją odmowę z godnością. Nie było napadów złości ani kłótni. Wzruszył tylko ramionami i westchnął, jakbym to ja miała coś stracić. – Pokręciła głową. – Nie wierzę, że ci to wszystko mówię.

– To nic. Jeśli cię to uspokoi, pewnie i tak o wszystkim zapomnę. Przez ten nadmiar emocji szwankuje mi pamięć.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Wał śmiało.

– A London?

– To bardziej skomplikowane – przyznałem. – Na chwilę obecną Vivian uważa, że córka powinna zostać ze mną, bo ona dużo podróżuje i nie ma czasu, żeby przygotować dla niej pokój. Dała mi jednak jasno do zrozumienia, że w przyszłości chce, żeby London zamieszkała z nią w Atlancie.

– A co ty na to?

– Nie chcę, żeby wyjeżdżała, ale... zdaję sobie sprawę, że potrzebuje matki.

– Co to oznacza?

– Nie wiem. Pewnie będziemy musieli to przedyskutować. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak to się odbywa.

– Rozmawiałeś już z prawnikiem?

– Nie – odparłem. – Aż do wczoraj nie wspominała o rozwodzie. A wcześniej nie miałem głowy do takich rzeczy.

W oddali zobaczyłem budynek klubu. Nie byłem pewien, jak daleko zaszliśmy, ale spacerowaliśmy od przeszło godziny. Zaburczało mi w brzuchu.

Emily musiała to usłyszeć.

– Jesteś głodny? Może wpadniemy na coś do jedzenia?

– Nie sądzę, żeby w tych strojach wpuścili nas do klubu.

– Usiądziemy w barze. Tam nie trzeba być pod krawatem. Chodzą tam golfiarze, kiedy skończą grać.

Podczas gdy spacer z Emily wydawał się koniecznością, myśl o wspólnym lunchu – tylko we dwoje – sprawiła, że poczułem się, jakbym przekraczał pewne granice. Wciąż byłem żonaty. Tak naprawdę Vivian i ja nie byliśmy nawet w separacji. I dlatego nie powinienem był tego robić.

A jednak...

Druga strona medalu była oczywista nawet dla kogoś takiego jak ja. Co by powiedziała Vivian, gdyby się dowiedziała? Że pozwalałam sobie na zbyt wiele? Że ludzie zaczną plotkować?

Odchrząknąłem.

– Lunch to świetny pomysł.

*

Z zewnątrz siedziba klubu prezentowała się imponująco, choć nieco sztywno, jednak wyremontowane ostatnio wnętrze było znacznie jaśniejsze i bardziej przestronne, niż sądziłem. Dwie przeszklone ściany oferowały spektakularny widok na osiemnasty dołek. Zauważyłem czterech graczy idących na

green, podczas gdy Emily wskazała jeden z nielicznych wolnych stolików w kącie sali.

– Może tam? – zapytała.

– Chętnie.

Poszedłem za nią, podziwiając jej nogi i ciesząc się, że włożyła szorty. Miała smukłe, opalone nogi, z rodzaju tych, które zawsze przykuwały moją uwagę.

Kiedy usiedliśmy, pochyliła się nad stolikiem.

– Mówiłam ci, że nikt nie zwróci uwagi na nasze ubrania. Tamci przyszli prosto z kortów tenisowych.

– Nie zauważyłem – odparłem. – Ale dobrze wiedzieć.

– Jadłeś tu już?

– Raz. Jesse Peters miał kartę członkowską i spotkaliśmy się tu kiedyś z klientem.

– Widuję go czasami. Albo raczej widywałam. Kilka razy przyłapałam go, jak się na mnie gapił.

– To do niego podobne.

– Jeśli cię to interesuje, mają tu nieziemskie burgery. Szef kuchni wygrał jakiś konkurs na Food Network. Podają je z pysznymi frytkami z batatów.

– Od dawna nie jadłem burgerów – powiedziałem. – Ty też się skusisz?

– Pewnie.

Od razu pomyślałem, że Vivian nigdy nie zamówiłaby burgera i mnie także by nie pozwoliła.

Kelnerka przyniosła menu, ale Emily pokręciła głową.

– Oboje zamówimy burgery – powiedziała. – A ja poproszę kieliszek chardonnay.

– Ja również – dodałem, zaskakując samego siebie. Całe to popołudnie było zdumiewające w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Emily przez chwilę wyglądała przez okno na green, w końcu jednak spojrzała na mnie.

– Zajęcia plastyczne pewnie się już skończyły. Jak myślisz, co robi teraz London?

– Vivian pewnie zabrała ją na lunch. Nie mam pojęcia, co będą robić później.

– Nie powiedziała ci?

– Nie – przyznałem. – Piątkowy lunch upłynął w dość nerwowej atmosferze, więc nie rozmawialiśmy o tym, jakie mają plany.

– Lunche z Davidem przez długi czas też nie należały do przyjemnych. Ciężko przez to przejść, nawet jeśli człowiek wie, że tak trzeba. Tylko ludzie, którzy doświadczyli czegoś takiego, wiedzą, jakie to straszne.

– Nie brzmi zachęcająco – zauważyłem.

– Ale taka jest prawda. Nie dałabym rady, gdyby nie wsparcie przyjaciół. Na początku wydzwaniałam do Marguerite i Grace kilka razy w tygodniu i wisiałam na telefonie przez dwie, trzy godziny. Najdziwniejsze jest to, że przed rozwodem wcale nie byliśmy sobie bliskie. Ale były przy mnie, kiedy najbardziej ich potrzebowałam.

– Tacy przyjaciele to prawdziwe wybawienie.

– Masz rację. Do dziś nie wiem, dlaczego tak bardzo mi pomogły. Ty pewnie potrzebujesz tego samego. Dwóch, trzech osób, z którymi mógłbyś porozmawiać. Dziwne, myślałam, że to moja siostra Jess albo Dianne, która w tamtym czasie była moją najlepszą przyjaciółką, będą mnie wspierać. Tak się jednak nie stało.

– Jak to?

– Trudno to opisać, ale w przeciwieństwie do Jess i Dianne, Marguerite i Grace zawsze wiedziały, co, kiedy i jak powiedzieć. Bywało, że moja siostra i Dianne udzielały mi rad, których nie chciałam słyszeć, albo kwestionowały to, co robię, kiedy naprawdę potrzebowałam, by ktoś dodał mi otuchy.

Słuchając jej, zastanawiałem się, do kogo mógłbym się zwrócić. Oczywiście wyborem wydawały się Marge i Liz, ale traktowałem je jak jedną osobę. Wiedziałem już, że mama za bardzo się przejmie, a ojciec nie będzie wiedział, co powiedzieć. Jeśli chodzi o przyjaciół, to nagle dotarło do mnie, że ich nie

mam. Pochłonięty pracą i rodziną, odkąd London przyszła na świat, zaniedbałem przyjaźnie i pozwoliłem im umrzeć.

– Marge i Liz bardzo mnie wspierają – powiedziałem.

– Domyślam się. Zawsze lubiłam Marge.

Ona ciebie też, pomyślałem.

Kelner postawił przed nami dwa kieliszki wina. Emily podniosła swój do ust.

– Powinniśmy wznieść toast – oznajmiła. – Za Marge, Liz, Marguerite, Grace, Bodhiego i London.

– Za dzieci też?

– To dzięki Bodhiemu się nie załamalam. Nie mogłam. Tak samo będzie z tobą i London.

Kiedy tylko to powiedziała, wiedziałem, że ma rację.

– Dobrze, ale w takim razie nie możemy zapomnieć o tobie. Bardzo mi pomagasz.

– Pamiętaj, że możesz do mnie zadzwonić o każdej porze.

Rozmowa zeszła na inne tematy. Ja mówiłem o London, a ona o Bodhim; opowiadała o miejscach, które odwiedziła, odkąd widzieliśmy się ostatni raz. Być może wyczerpaliśmy temat Vivian i Davida, bo ich imiona nie pojawiły się już do końca rozmowy i pierwszy raz, odkąd Vivian odeszła, poczułem, że opuszcza mnie niepokój.

W końcu na stole pojawiły się burgery i oboje zamówiliśmy po jeszcze jednym kieliszku wina. Zgodnie z zapewnieniami Emily, burgery były wyśmienite. Z serem i jajkiem sadzonym, ale ponieważ ostatnio nie miałem ochoty na jedzenie, zdołałem zjeść ledwie połowę.

Po tym, jak kelner zabrał talerze, siedzieliśmy przy stole, dopijając wino. Emily opowiedziała mi historię o tym, jak Bodhi obciął sobie włosy, i śmiejąc się na głos, pokazała mi zdjęcie w telefonie. Wyciął sobie do skóry trzycentymetrowy kawałek grzywki. Jego czoło prześwitywało jak przerwa między zębami, ale najlepszy w całym zdjęciu był jego uśmiech.

– Świetne – skomentowałem ze śmiechem. – Jak zareagowałaś?

– Na początku byłam zła, nie z powodu włosów, ale dlatego, że bawił się nożyczkami. Ale kiedy zobaczyłam, jak bardzo jest z siebie dumny, wybuchnęłam śmiechem. Chwilę później śmialiśmy się oboje, a ja wzięłam telefon i zrobiłam to zdjęcie. Teraz jest oprawione w ramkę i stoi przy moim łóżku.

– Nie wiem, jak bym zareagował, gdyby London zrobiła coś podobnego. Jedno jest pewne: Vivian na pewno by się nie śmiała.

– Nie?

– Rzadko ją coś bawi. – Prawdę mówiąc, nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słyszałem, jak się śmieje.

– Nawet z Marge? Marge potrafiła rozbawić mnie do łez.

– Zwłaszcza z Marge. Niespecjalnie się dogadują.

– Jak to możliwe? Siostra dalej się z tobą droczy?

– Bez przerwy.

Emily znów się roześmiała, a ja przypomniałem sobie, jak bardzo lubiłem jej śmiech: dźwięczny, a zarazem szczery.

– Wiesz co? – rzuciła. – Ten dzień okazał się dużo fajniejszy, niż się spodziewałam. Nie wiem, co bym robiła, gdybyś się nie pojawił. Pewnie wkurzona wpatrywałabym się w swoje obrazy. Albo zabrałabym się za sprząatanie domu.

– Ja pewnie bym pracował.

– To dużo lepsze.

– Fakt. Masz ochotę na jeszcze jeden kieliszek?

– Chętnie – odparła. – Ale nie mogę. Prowadzę. Ty jednak możesz się napić.

– Mnie też wystarczy. Co robisz dziś wieczorem?

– Tak jak ty, będę u swojej siostry. Pamiętasz Jess? Ona i Brian zaprosili mnie na kolację.

– Fajnie.

– Mmm... nie jestem pewna. Czasami mam wrażenie, że Brian podejrzewa, że kładę Jess do głowy różne rzeczy. Na przykład, żeby się rozwiodła.

– Nie układa im się?

– Każde małżeństwo od czasu do czasu miewa problemy. Tak to już jest.

- Czemu małżeństwo musi być takie trudne?
- Kto to wie? Pewnie dlatego, że ludzie biorą ślub, chociaż nie wiedzą, kim tak naprawdę są. Albo jak bardzo są szaleni.
- Jesteś szalona?
- Oczywiście. Ale nie chodzi mi o obłąd. Mam na myśli to, że wszyscy jesteśmy szaleni. Jedni nie mogą znieść krytyki, inni wściekają się, gdy coś nie idzie po ich myśli. A jeszcze inni zamykają się w sobie i tygodniami żywią urazę. O tym mówię. Wszyscy robimy rzeczy, które szkodzą naszym związkom, ale często nie zdajemy sobie z tego sprawy. Kiedy pomyślisz, że każdy ma jakieś swoje fanaberie, aż dziw bierze, że niektóre małżeństwa potrafią przetrwać.
- To trochę pesymistyczne, nie sądzisz? Twój rodzice wciąż są ze sobą. Moi też.
- Ale czy są szczęśliwi? Może są ze sobą z przyzwyczajenia? Albo dlatego, że boją się samotności? Kiedyś, siedząc w barze kawowym, obserwowałam starszą parę kilka stolików dalej. Wyglądali, jakby byli ze sobą z pięćdziesiąt lat, ale będąc tam, nie wiem, czy zamienili choćby słowo.
- Pomyślałem o swoich rodzicach i przypomniałem sobie, że ja i Marge zastanawialiśmy się nad tym samym.
- Sądzisz, że jeszcze kiedyś wyjdiesz za mąż?
- Nie wiem – odparła. – Czasami myślę, że bym chciała, ale czasami jest mi dobrze samej. Poza tym, wychowując Bodhiego, nie mam czasu ani siły, żeby szukać nowego partnera. Wiem tylko, jaki powinien być. Postanowiłam być bardzo wybredna.
- Milczałem. Nagle pomyślałem o Vivian i poczułem niemal fizyczny ciężar.
- Nie wiem, jak zakończy się ta sprawa z Vivian. I wciąż nie wiem, dlaczego była ze mną taka nieszczęśliwa.
- Może ogólnie była nieszczęśliwa. A może wydaje się jej, że będzie szczęśliwsza z kimś nowym, ale to drugie nie może nas wiecznie uszczęśliwiać. Szczęście pochodzi z wnętrza nas samych. Dlatego wymyślono antydepresanty; dlatego ludzie chodzą na terapię.

– To bardzo zen.

– Potrzebowałam czasu, żeby zrozumieć, że David ugania się za spódniczkami nie przeze mnie, nie dlatego, że nie jestem wystarczająco ładna ani czuła. Zachowywał się tak, bo chciał udowodnić sobie, że jest atrakcyjny i wpływowy. Wiem, że zrobiłam, co w mojej mocy, żeby ratować nasze małżeństwo, i wiem, że to wszystko, na co mnie stać. – Sięgnęła ponad stołem i wzięła mnie za rękę. – To samo dotyczy ciebie, Russ.

Kiedy cofnęła dłoń, jeszcze przez chwilę czułem ciepło jej dotyku – jak potwierdzenie jej słów.

– Dziękuję – wydusiłem.

– Proszę bardzo. Mówię poważnie. Jesteś dobrym człowiekiem.

– Nie znasz mnie tak jak kiedyś.

– Myślę, że znam. Jesteś taki jak dawniej.

– Ale z tobą schrzaniłem sprawę.

– Popełniłeś błąd. Wiem, że nie zrobiłeś tego, żeby mnie skrzywdzić. Poza tym wybaczyłam ci. Teraz ty musisz wybaczyć sobie.

– Pracuję nad tym. Ale kiedy mówisz o tym z takim spokojem, nie ułatwiasz mi zadania.

– Wolałbyś, żebym była okrutna i mściwa?

– Gdyby tak było, pewnie bym się załamala.

– Nieprawda. Jesteś silniejszy, niż myślisz.

Dopiliśmy wino i jak na zawołanie wstaliśmy od stolika. Szybki rzut oka na zegarek uświadomił mi, że spędziliśmy razem prawie trzy godziny.

Ruszyliśmy w stronę drzwi i poszliśmy na parking.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam o przyjaciółkach, na których możesz liczyć. Będziesz ich potrzebował.

– Zgłaszasz się na ochotnika?

– Już się zgłosiłam, zapomniałeś? I nie chcę cię straszyć, ale jeśli będzie tak jak ze mną, pamiętaj, że prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej, żeby w końcu mogło być lepiej.

– Nie wiem, co musiałoby się stać, żeby było jeszcze gorzej.

- Mam nadzieję, że się mylę.
Otworzyłem jej drzwi samochodu.
- Ja też.

*

– Zaczynij od początku – powiedziała Marge. – Poszliście na długi spacer, a później na lunch. I piliście wino?

Ona i Liz wróciły do domu kilka minut wcześniej. W drodze zadzwoniły, pytając, co chcę na kolację. Planowały wziąć coś na wynos z meksykańskiej restauracji, a kiedy powiedziałem, że nie jestem głodny, Marge stwierdziła, że i tak coś dla mnie weźmie. W styropianowym pudełku znalazłem burrito wielkości piłki do softballu, ryż i smażoną fasolę. Marge i Liz kupiły dla siebie sałatkę taco i wszyscy troje usiedliśmy przy stole.

– Tak – odparłem. – O co tyle hałasu?

Marge użyła inhalatora i uśmiechnęła się znacząco.

– Powiedzmy, że to niespodziewany zwrot akcji.

– Poważnie? – rzuciła Liz między kęsami. – Przecież poszli na randkę do Chick-fil-A, pamiętasz?

– Możecie darować sobie te gadki o randkach? Spacerowaliśmy. Rozmawialiśmy. I zjedliśmy lunch.

– Na tym właśnie polegają randki. Ale w porządku. Pytam, czy jeszcze do niej zadzwonisz?

– Jej syn Bodhi jest przyjacielem London. Jeśli dzieciaki będą chciały się razem pobawić, możliwe, że będę musiał.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem, o co ci chodziło – odparłem. – Nie mam zamiaru się z nikim spotykać. Na chwilę obecną nie wyobrażam sobie, że jeszcze kiedyś mógłbym pójść na randkę.

Nie powiedziałem jednak, że choć nie miałem ochoty na randki, przerażała mnie myśl, że mógłbym być sam. Chciałem, żeby między mną i Vivian było tak jak kiedyś. Chciałem przewinać taśmę i odtworzyć ją od początku.

– Masz jakieś wieści od Vivian? – Marge jakby czytała w moich myślach. – Wiesz, kiedy jutro będziesz mógł wrócić do domu?

– Jeszcze nie. Później zadzwonię do London. Pewnie wtedy Vivian mi powie.

– Nie jesz. – Marge wskazała na burrito.

– Nie zmęczyłbym tego, nawet gdybym utknął na miesiąc na bezludnej wyspie.

– Może chociaż spróbujesz?

Ugryzłem kęs. Smakowało nieźle, ale wciąż byłem pełen po burgerze.

– Nauczyłaś się jakichś meksykańskich przepisów na kursie? – zwróciłem się do Liz.

Przytaknęła i nadziała na widelec sałatę.

– Kilku. Mogłabym coś przygotować, ale chyba mi się nie chce. Poza tym musiałabym iść do sklepu.

– Znasz jakieś proste, zdrowe przepisy? Coś, co smakowałoby London?

– Mnóstwo. Chcesz, żebym wybrała kilka ulubionych?

– A mogłabyś? Staram się, żeby było normalnie, ale nie mam doświadczenia w kuchni. Nie chcę, żeby życie London przewróciło się do góry nogami.

– Na jutro przygotuję ci kilka przepisów.

– Dzięki – odparłem. – Jak tam parapetówka?

– Fajnie – powiedziała Liz. – Dom jest bardzo stylowy. Chociaż dopiero się wprowadzili, powiesili już wszystkie obrazy. Naprawdę robi wrażenie.

Odruchowo pomyślałem, czy mają jakiś obraz namalowany przez Emily. Zastanawiałem się też, jak mija Emily wieczór z jej siostrą i szwagrem. Pod czujnym okiem Marge nadziałem na widelec kolejny kawałek burrito.

– Dziś po raz pierwszy nie myślałem przez cały czas o Vivian.

Marge spojrzała na mnie w zamyśleniu.

– I jakie to uczucie? – zapytała.

– Dziwne – odparłem. – Ale chyba dobrze mi zrobiło. Nie jestem już taki zdenerwowany.

– Zaczynasz dochodzić do siebie, Russ – uznała moja siostra. – Jesteś silniejszy, niż myślisz.

Uśmiechnąłem się, pamiętając, że dokładnie to samo powiedziała Emily.

*

Po kolacji zadzwoniłem do Vivian, korzystając z FaceTime'a. Odebrała po drugim sygnale.

– Cześć – rzuciła. – London i ja oglądamy film. Mogę oddzwonić później?

– Cześć, tatusiu! – usłyszałem głosik London. – Nemo i Dory są z rekinami!

– Tak, jasne. Dobrze się bawiliście?

– Świetnie – zapewniła mnie Vivian. – Oddzwoni do ciebie, dobrze?

– Kocham cię, tatusiu! – pisnęła London. – Tęsknię za tobą!

Na dźwięk jej głosu poczułem ukłucie w sercu.

– Dobrze. Będę czekał.

Pomagając Marge i Liz w kuchni, przez cały czas miałem przy sobie telefon; położyłem go na stole, kiedy siostra wyciągnęła planszę do scrabli. Liz podeszła do gry poważnie i muszę przyznać, że była naprawdę dobra. Pod koniec miała więcej punktów niż ja i Marge razem, ale i tak świetnie się bawiłem.

Do tego stopnia, że prawie zapomniałem, że London nie oddzwoniła.

Prawie.

*

Rankiem Vivian wysłała wiadomość. *Możesz przyjechać przed osiemnastą trzydzieści? Daj znać.*

Pomyślałem, że to trochę późno, zwłaszcza że musiała wracać, ale nie zamierzałem się odzywać. To zrozumiałe, że chciała

spędzić z London jak najwięcej czasu, ale ponieważ nadal byłem zły o to, że nie miałem okazji porozmawiać z córką, odpisałem dopiero przed czternastą.

Tego dnia przebiegłem prawie trzynaście kilometrów, a po powrocie do domu zrobiłem sto pompek. Dopiero kiedy wziąłem prysznic, poczułem, że się uspokajam.

*

Liz przygotowała dla mnie książeczkę z przepisami, z których większość nie wymagała więcej niż sześciu składników. Pokazała mi, jak zaplanować posiłki, i pojechaliśmy do sklepu kupić wszystkie potrzebne produkty.

Chociaż Marge i Liz stanowczo temu zaprzeczały, czułem się jak piąte koło u wozu i po lunchu wsiadłem do samochodu i pojechałem do księgarni. Nigdy nie przepadałem za książkami, ale zainteresował mnie dział z poradnikami dotyczącymi związków. Znalazłem kilka półek z książkami mówiącymi o tym, jak poradzić sobie z rozwodem, i przejrzałem wszystkie, zanim wybrałem kilka. Byłem pewny, że kasjerka przeczyta tytuły i spojrzy na mnie z politowaniem, ale stojąca przy kasie młoda dziewczyna z różowymi włosami zeskanowała kody kreskowe, włożyła książki do torby i zapytała tylko, czy płacę kartą, czy gotówką.

Następnie pojechałem do parku z nadzieją, że może spotkam tam London. Nie wiem, czybym jej przeszkodził, po prostu chciałem ją zobaczyć. Pomyślałem, że zachowuję się jak narkoman na głodzie, ale nie dbałem o to.

W parku nie było ani śladu Vivian i London. Mimo wszystko postanowiłem spędzić tam trochę czasu. W weekend nieco się ochłodziło, przez co było tu więcej dzieci niż zwykle. Usiadłem na ławce i otworzyłem jedną z książek. Zacząłem czytać; najpierw, ponieważ uważałem, że powinienem, ale pół godziny później, dlatego że chciałem.

Dowiedziałem się, że Marge, Liz i Emily miały rację. Choć mogło wydawać się inaczej, to, przez co przechodziłem, nie było niczym wyjątkowym. Huśtawki nastrojów, obwinianie siebie, setki pytań i poczucie klęski były czymś naturalnym w trakcie rozwodu. Jednak musiałem o tym przeczytać, a nie tylko usłyszeć, żeby to do mnie dotarło, i kiedy w końcu zamknąłem książkę, poczułem się trochę lepiej. Zastanawiałem się, czy nie wrócić do Marge, ale widząc chłopca podobnego do Bodhiego, sięgnąłem po telefon.

Gdy Emily odebrała, nie wiedząc czemu poczułem zdenerwowanie i poderwałem się z ławki. Podszedłem do płotu, który wyznaczał granice parku.

– Halo?

– Cześć. To ja, Russ.

– Co słyhać? Jak się czujesz?

– W porządku – odparłem. – Tęsknię za London i musiałem wyjść z domu. Co u ciebie?

– Podobnie. David i Bodhi poszli do kina. Myślę, że później pójdą na pizzę. A to znaczy, że ja znowu gapię się na obrazy.

– Rozgryzłaś już, co chcą ci powiedzieć?

– Pracuję nad tym. Co dziś robiłeś?

– Przebiegłem trzysta kilometrów. Posiedziałem z Marge i Liz i pojechałem do księgarni. Teraz nie mam co z sobą zrobić i pomyślałem, że zadzwonię do ciebie i podziękuję za wczoraj.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Świetnie się bawiłam.

Słyszając to, poczułem dziwną ulgę.

– Jak tam kolacja u siostry?

– Przed moim przyjazdem pokłóciła się z mężem i choć oboje próbowali udawać, że nic się nie stało, widziałam, że patrzą na siebie wilkiem, i co chwilę któreś z nich wzdychało wymownie. Zupełnie jakbym widziała siebie i Davida w przeszłości.

– Okropne. – Roześmiałem się.

– Nie było kolorowo. Ale rano Jess zadzwoniła, żeby mnie przeprosić. A zaraz potem zaczęła opowiadać, jak to Brian znowu na nią naskoczył.

Słuchając jej, chodziłem po parku i kilka razy złapałem się na tym, że się do siebie uśmiecham. Zapomniałem już, jak dobrze rozmawia się z Emily, jak ona uważnie słucha i z jaką łatwością opowiada o sobie. Nigdy nie traktowała niczego zbyt poważnie, jednak z wiekiem przychodziło jej to z coraz większą łatwością. Żałowałem, że nie jestem taki jak ona.

Rozmawialiśmy przez czterdzieści minut i tak jak wczoraj straciłem rachubę czasu. Wracając do samochodu, zastanawiałem się, dlaczego Vivian i ja nie potrafiliśmy rozmawiać z taką samą łatwością. Na myśl o żonie poczułem ukłucie złości, że nie mogłem porozmawiać z London. Odkąd odeszła, nie utrudniałem córce kontaktów z matką. Emily, dodałem w duchu, nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Siedząc za kółkiem, pomyślałem, że jest naturalną piękną – nie malowała się, eksponując oliwkową cerę; nie robiła drogich pasemek we włosach i nie używała kolagenowych wypełniaczy.

Była jeszcze piękniejsza, niż kiedy się spotykaliśmy.

*

Uświadomiłem sobie, że Emily ucieszyła się, słysząc mój głos, i od razu poczułem się lepiej. W końcu uszczęśliwianie ludzi jest najfajniejsze, kiedy przychodzi z łatwością, i podczas gdy trudno było uszczęśliwić Vivian, w przypadku Emily wystarczyło, że byłem sobą.

A jednak mimo że Emily pozwalała mi zapomnieć o tym, co się dzieje, w rozmowie z Marge i Liz mówiłem prawdę. Była przyjaciółką z dawnych lat – a do tego atrakcyjną – nic więc dziwnego, że lubiłem spędzać z nią czas, i to chyba zrozumiało, że do niej zadzwoniłem. Przy niej zawsze czułem się swobodnie. Nie znaczyło to jednak, że jestem gotowy – ani nawet chętny – na kolejny związek. W końcu, żeby stworzyć udany związek, potrzeba dwojga pasujących do siebie osób, a na chwilę obecną nie byłem wystarczająco dobry dla Emily.

To samo powiedziałem Marge, kiedy wracałem do siebie, ale ona tylko pokręciła głową.

– Słyszysz w myślach głos Vivian – skwitowała. – Gdybyś postrzegał siebie tak, jak cię widzą inni, wiedziałbyś, jakie z ciebie ciacho.

*

Wróciłem do domu o wpół do siódmej i stojąc przed drzwiami, zastanawiałem się, czy powinienem zapukać. Wiedziałem, że to niedorzeczne, i samo to, że tak się czuję, sprawiło, że ogarnęła mnie narastająca złość, bardziej na siebie niż na Vivian. Dlaczego wciąż tak bardzo przejmowałem się tym, co pomyśli?

Z przyzwyczajenia, odpowiedziałem sobie w duchu. Wiedziałem, że trudno pozbyć się starych przyzwyczajień.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do domu, jednak nigdzie nie widziałem London ani Vivian. Słyszając głosy dobiegające z góry, ruszyłem w stronę schodów, gdy nagle zobaczyłem Vivian z kieliszkiem wina. Przywołała mnie skinieniem dłoni i poszedłem za nią do kuchni. Rozglądając się dookoła, zobaczyłem zalegające w zlewie brudne garnki i talerze. Błaty i kuchenka były niepościerane. Na stole wciąż leżała podkładka i stała szklanka z wypitym do połowy mlekiem, i wiedziałem już, że Vivian nie zamierzała posprzątać przed wyjazdem.

Nie poznawałem jej i nie byłem pewien, czy kiedykolwiek znałem prawdziwą Vivian.

– London jest na górze w łazience – zaczęła bez zbędnych wstępów. – Powiedziałam jej, że przyjdę po nią za kilka minut, bo musimy z nią porozmawiać. Pomyślałam jednak, że najpierw musimy ustalić pewne rzeczy.

– A nie ustaliliśmy ich w piątek?

– Tak, ale chciałam mieć pewność, że pamiętasz.

Zabrzmiało to jak zniewaga.

– Pamiętam – rzuciłem oschle.

– To dobrze – odparła. – Pomyślałam też, że lepiej będzie, jeśli to ja będę mówiła.

Bo nie chcesz, żeby dowiedziała się o Walterze, co?

– To twoje przedstawienie.

– Co to miało znaczyć?

– Dokładnie to, co powiedziałem. To ty podejmujesz wszystkie decyzje. Nigdy nie zapytałaś, czego ja chcę.

– Czemu jesteś taki marudny?

Pytała poważnie?

– Dlaczego London nie zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem?

– Bo zasnęła. Niecałe dziesięć minut po twoim telefonie usnęła na kanapie. Co miałam zrobić? Obudzić ją? Ty widzisz ją codziennie. Ja nie.

– To twój wybór. To ty odeszłaś.

Zmrużyła oczy i pomyślałam, że zobaczyłem w nich nie złość, ale nienawiść. Kiedy się jednak odezwała, głos miała spokojny i opanowany.

– Miałam nadzieję, że dziś wieczorem będziemy się zachowywać jak dorośli, ale widzę, że masz inne plany.

– Chcesz zrzucić całą winę na mnie?

– Chcę tylko, żebyś się opanował, kiedy będziemy rozmawiać z naszą córką. W przeciwnym razie będzie to dla niej bolesna rozmowa. Co wolisz?

– Wolałbym wcale tego nie robić. Wolałbym, żebyśmy odbyli szczerą rozmowę i zastanowili się, jak uratować nasze małżeństwo.

Słyszając to, odwróciła się.

– Nie ma o czym rozmawiać. To koniec. W tym tygodniu powinieneś dostać porozumienie w sprawie ugody małżeńskiej.

– Porozumienie w sprawie ugody małżeńskiej?

– Przygotowane przez mojego prawnika. To standardowe pismo.

Byłem pewien, że to standardowe pismo przewiduje, że London zamieszka z nią w Atlancie, i na samą myśl żołądek

podszedł mi do gardła. Nagle poczułem, że nie chcę tego robić, że wcale nie chcę tu być. Nie chciałem stracić żony i córki, nie chciałem stracić wszystkiego, ale byłem tylko biernym obserwatorem i bezradnie patrzyłem, jak moje życie obiera kurs, nad którym nie miałem żadnej kontroli. Byłem wykończony i gdy nudności w końcu minęły, poczułem się, jakbym miał się rozpuścić.

– Miejmy to już za sobą.

*

London zniosła to lepiej, niż mogłem się spodziewać, choć była tak zmęczona, że chyba nie do końca rozumiała, co do niej mówimy. Do tego ciekło jej z nosa i patrząc na nią, miałem wrażenie, że jedyne, czego chce, to położyć się spać.

Tak jak przypuszczałem, Vivian pominęła większość istotnych rzeczy, a rozmowa była tak krótka, że zastanawiałem się, czemu uważała ją za tak istotną. Nie sądzę, żeby London zrozumiała, że coś się zmieni między mną a Vivian; podobnie jak ja była przyzwyczajona do tego, że jej mama dużo podróżuje. Zmartwiła się tylko, kiedy Vivian musiała wyjechać. Obie we łzach tuliły się na podjeździe i kiedy Vivian odjechała sprzed domu, płacz London przybrał na sile.

Wniosłem ją do środka; koszulę miałem wilgotną od jej łez. W sypialni córki pachniało jak na farmie; oprócz kuchni musiałem też sprzątnąć klatkę chomików. Podałem London lekarstwo na przeziębienie i położyłem ją do łóżka. Kiedy przytuliła się do mnie, otoczyłem ją ramieniem.

– Chciałabym, żeby mamusia nie musiała wyjeżdżać – powiedziała.

– Wiem, że jest ci ciężko. Spędziłyście miły weekend? Co robiłyście? – zapytałem, gdy przytaknęła.

– Poszłyśmy na zakupy i oglądałyśmy filmy. Byłyśmy też w zoo, w którym można głaskać zwierzęta. Mają tam takie

słodkie kózki, które upadają na bok, kiedy się je wystraszy, ale ja ich nie przestraszyłam.

– Byłyście w parku? A może jeździłyście na rowerach?

– Nie. Ale w centrum handlowym jeździłam na karuzeli. Siedziałam na jednorożcu.

– To super.

Znowu pokiwała głową.

– Mamusia powiedziała, że musisz pamiętać, żeby posprzątać klatkę chomikom.

– Wiem – odparłam. – Trochę z niej śmierdzi.

– Tak – przyznała z powagą. – Mamusia nie chciała potrzymać Pana ani Pani Sprinkles, bo też śmierdzą. Chyba trzeba je wykąpać.

– Nie jestem pewien, czy chomiki mogą się kąpać. Dowiem się.

– Z komputera?

– Tak.

– Komputer wie dużo rzeczy.

– To prawda.

– Tatusiu?

– Tak?

– Możemy pojeździć na rowerze?

– Zaczekajmy kilka dni, aż wyzdrowiejesz. Masz też lekcję tańca, pamiętasz?

– Pamiętam – rzuciła bez entuzjazmu.

Nie chcąc, by znowu posmutniała, uśmiechnąłem się i zapytałem:

– Widziałaś się z Bodhim?

– Był na zajęciach plastycznych. Pomalowałam swój wazon.

– W żółte kwiatki? I różowe myszki? Mogę go zobaczyć?

– Mamusia go zabrała. Powiedziała, że jest bardzo ładny.

– Na pewno – przyznałem, starając się ukryć rozczarowanie. – Szkoda, że nie mogłem go zobaczyć.

– Jak chcesz, zrobię ci jeszcze jeden. Może nawet namaluję ładniejsze myszki.

– Bardzo chcę, skarbie.

*

Wyczyściłem klatkę, posprzątałem kuchnię i salon, w którym walały się lalki Barbie i rozmaite akcesoria, poskładałem koce i odłożyłem na miejsce, wyrzuciłem do kosza resztki popcornu i umyłem miskę. Pamiętając o posiłkach przygotowanych przez moją mamę, przełożyłem kilka pojemników z zamrażarki do lodówki i rozpakowałem zakupy, które zrobiłem z Marge i Liz.

Kładąc się do łóżka, poczułem znajomy zapach perfum Vivian, delikatny i kwiatowy, i wiedziałem, że nie zasnę. W końcu zmieniłem pościel. Zastanawiałem się, czy przesiąknięta zapachem perfum pościel i bałagan w domu miały stanowić jakąś zaszyfrowaną wiadomość. Może Vivian powodowała złość, choć nie sądziłem, by tak właśnie było. Miałem przecucie, że nie dba już o to, co czuję, i że w ogóle już jej nie obchodzę.

ROZDZIAŁ 17

Jeden krok w przód, jeden krok w tył

Kiedy spotykałem się z Emily – zanim zrobiłem to coś głupiego – spędzaliśmy pierwszy tydzień lipca w Atlantic Beach, w Karolinie Północnej. Wraz z dwiema innymi parami wynajęliśmy domek nad wodą, skąd słyszeliśmy rytmiczny chlupot fal. Opłata za wynajem – choć podzielona na trzy – nadszarpnęła nasz skromny budżet, więc dotarliśmy na miejsce z lodówkami turystycznymi pełnymi jedzenia, które kupiliśmy po drodze. Zamierzaliśmy gotować, zamiast chodzić do restauracji, zatem o zachodzie słońca rozpalaliśmy grilla i zaczynaliśmy ucztę. Wieczorami, słuchając radia, piliśmy piwo na werandzie i pamiętam, że pomyślałem, że to pierwsze z wielu takich wakacji, które Emily i ja spędzimy razem.

Szczególnie wyjątkowy był Dzień Niepodległości. Emily i ja obudziliśmy się przed wszystkimi i o wschodzie słońca spacerowaliśmy plażą. Zanim reszta domowników wstała, my rozłożyliśmy się na plaży z garnkiem do gotowania na parze, który pożyczyłem, żeby gotować przegrzebki i krewetki kupione w porcie kilka godzin wcześniej. Do tego przygotowaliśmy kolby kukurydzy i sałatkę ziemniaczaną i rozpięliśmy siatkę do gry w siatkówkę. Kiedy przyjaciele dołączyli w końcu do nas, resztę dnia spędziliśmy na słońcu, grając w piłkę, pluskając się w wodzie i smarując kremem do opalania.

Mniej więcej pół kilometra od miejsca, w którym się zatrzymaliśmy, nieopodal plaży, przy jednym z ruchliwych rond, rozstawiono wesołe miasteczko. Było to jedno z tych objazdowych wesołych miasteczek z rozklekotanymi karuzelami, drogimi

biletami i grami, w których praktycznie nie sposób cokolwiek wygrać. Mieli tam jednak diabelski młyn i pół godziny przed pokazem sztucznych ogni Emily i ja odłączyliśmy od przyjaciół z postanowieniem, żeby się przejechać. Zakładałem, że zdążymy wrócić do grupy przed pokazem, ale pech chciał, że maszyna zepsuła się w momencie, gdy siedzieliśmy na samej górze.

Patrzyłem, jak pracownicy majstrują przy silniku albo generatorze. Zaraz potem zobaczyłem, jak jeden z nich gdzieś biegnie, żeby chwilę później wrócić ze skrzynką na narzędzia. Operator uspokajał nas, że awaria zaraz zostanie naprawiona, i przestrzegał, żebyśmy nie bujali fotelikami.

Dzień był duszny mimo porywów wiatru. Kiedy Emily przytuliła się do mnie, otoczyłem ją ramieniem. Nie bała się, ja zresztą też nie; nawet jeśli doszło do awarii silnika, byłem przekonany, że mają tam jakąś korbę i w końcu ściągną nas wszystkich na ziemię. Z naszego punktu widokowego obserwowaliśmy tłumy i ciągnącą się kilometrami panoramę dachów i ulicznych świateł. W pewnym momencie usłyszałem znajomy syk sztucznych ogni odpalanych z barki zacumowanej przy brzegu, a zaraz potem na niebie rozbłysły złociste, zielone i czerwone fajerwerki. „Jejku”, szepnęła zachwycona Emily. Było to słowo, które często powtarzała w ciągu półtorej godziny, którą spędziliśmy nad ziemią, uwięzieni na szczycie diabelskiego młyna. Wiatr niósł zapach prochu i tuląc do siebie Emily – pamiętam to bardzo dobrze – pomyślałem, że oświadczę się jej przed końcem roku.

Mniej więcej w tym samym czasie zauważyli nas nasi przyjaciele. Stali na plaży niczym miniaturowi ludzie i kiedy zrozumieli, że utknęliśmy na górze, zaczęli nawoływać nas i pokazywać palcami. Jedna z dziewczyn zawołała, że skoro zamierzamy spędzić tam noc, powinniśmy zamówić pizzę.

Emily zachichotała, a zaraz potem umilkła.

– Powiem wszystkim, że zapłaciłeś pracownikom, żeby celowo zatrzymali koło – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo myślę, że do końca życia nie przeżyję drugiego takiego Święta Niepodległości.

*

W poniedziałek rano London obudziła się z czerwonym nosem i jeszcze większym katarem. Chociaż nie kasłała, zastanawiałem się, czy posłać ją do szkoły, ale kiedy jej o tym powiedziałem, zaczęła marudzić.

– Pani przyniesie dzisiaj swoją złotą rybkę i będę ją mogła nakarmić! Poza tym to dzień kolorowania.

Nie byłem pewien, na czym polega dzień kolorowania, ale najwyraźniej był dla niej ważny. Do śniadania podałem jej lekarstwo i odwiozłem ją do szkoły. Wchodząc z nią do klasy, zauważyłem, że jej nauczycielka również jest przeziębiona, dzięki czemu uznałem, że podjąłem właściwą decyzję.

W drodze do samochodu przyłapałem się na tym, że zastanawiam się, co teraz robi Vivian, i natychmiast odepchnąłem od siebie podobne myśli. Kogo to obchodzi? Upomniałem się, że mam na głowie ważniejsze sprawy, że pod koniec tygodnia kręcę spot i jestem umówiony z kolejnym klientem, na którym muszę zrobić wrażenie.

W biurze rzuciłem się w wir pracy. Potwierdziłem wszystkie spotkania związane z kręceniem w piątek trzeciego spotu dla Taglieriego. Skontaktowałem się z informatykiem w sprawie chirurga plastycznego, a nawet udało mi się spotkać z treserem zwierząt, który twierdził, że ma idealnego psa, którego mógłbym wykorzystać w czwartym spocie. Umówiliśmy się na zdjęcia na przyszły czwartek.

A to, na szczęście, oznaczało, że nie miałem czasu myśleć o Vivian.

*

We wtorek po południu kurier FedExu doręczył mi porozumienie w sprawie ugody małżeńskiej. Dostałem je też na maila, ale nie mogłem się zmusić, żeby je przeczytać. Zamiast tego zadzwoniłem do Joeya Taglieriego z pytaniem, czy nie rzuciłby na nie okiem. Umówiliśmy się następnego dnia we włoskiej restauracji nieopodal jego biura.

Kiedy przyszedłem, siedział w boksie w kącie lokalu przy stoliku nakrytym kraciastym obrusem. Przed nim leżał notatnik i szara papierowa teczka. Popijał wodę mineralną, ale gdy się dosiadłem, przesunął w moją stronę kartkę papieru i długopis.

– Zanim się za to zabierzemy, musisz podpisać porozumienie między klientem a prawnikiem. Mówiłem ci, że nie zajmuję się już prawem rodzinnym, ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek. Mogę ci też polecić kilku adwokatów, w tym gościa, który zajmował się moim drugim rozwodem, ale nie wiem, czy będą w stanie ci pomóc, z powodów, o których opowiem za chwilę. Chodzi o to, że niezależnie od tego, kogo wybierzesz, wszystko, co mi powiesz, będzie chronione tajemnicą adwokacką, nawet jeśli ostatecznie zdecydujesz, że chcesz współpracować z kimś innym.

Podpisałem porozumienie i oddałem mu je. Zadowolony odchylił się na krześle.

– Opowiesz mi, co się stało?

Powiedziałem mu dokładnie to samo co Marge, Liz, moim rodzicom i Emily. Miałem wrażenie, że powtarzałem tę historię setki razy. Taglieri przez cały czas robił notatki. Kiedy skończyłem, rozsiadł się wygodnie i stwierdził:

– Dobra, chyba wiem, o co chodzi. Przejrzałem też dokument i po pierwsze musisz wiedzieć, że wygląda na to, że twoja żona zamierza wnieść sprawę rozwodową w Georgii, nie w Karolinie Północnej.

– Niby czemu miałyby to robić?

– W Georgii i Karolinie Północnej obowiązują inne prawa. W Karolinie Północnej przed rozwodem para musi żyć rok w separacji. Nie znaczy to, że musicie mieszkać osobno, chodzi o to, że obie strony muszą rozumieć, że pozostają w separacji. Po

roku jedno z was składa pozew rozwodowy. Druga strona ma trzydzieści dni na odpowiedź, można to jednak przyspieszyć; wtedy ustala się termin rozprawy i danego dnia sąd udziela wam rozwodu. W Georgii nie ma czegoś takiego jak roczna separacja. Obowiązuje jednak warunek stałego pobytu. Vivian może wnieść sprawę rozwodową dopiero po sześciu miesiącach mieszkania w danym stanie. Potem jednak sąd może orzec rozwód w ciągu trzydziestu dni, zakładając, że obie strony się dogadały. Skoro mieszka w Atlancie od ósmego sierpnia – jeśli nie wcześniej – będzie mogła wystąpić o rozwód w marcu albo kwietniu przyszłego roku. Innymi słowy, przyspieszyła całą sprawę o pół roku. Jest jeszcze kilka różnic, jak choćby rozwód z orzekaniem i bez orzekania o winie, co zasadniczo oznacza, że w małżeństwie nastąpił nieodwracalny rozkład pożycia.

– Czyli chce się mnie pozbyć jak najszybciej, tak?

– Bez komentarza – rzucił ze skwaszoną miną. – W każdym razie to jeden z powodów, dla których postanowiłem zaproponować ci swoje usługi, naturalnie, jeśli jesteś zainteresowany. W przeciwieństwie do prawników, którzy prowadzili moją sprawę rozwodową, zdałem egzamin kończący aplikację w Georgii i Karolinie Północnej – do boju Buldogi! Jednym słowem, możesz skorzystać z moich usług albo znaleźć prawnika w Georgii. Poza tym dziś rano wykonałem kilka telefonów... Wygląda na to, że prawniczka Vivian naprawdę zna się na rzeczy. Nigdy nie miałem z nią do czynienia, ale chodzą słuchy, że lubi pastwić się nad drugą stroną tak długo, aż ta się podda. Podobno jest też wybredna w kwestii klientów, domyślam się więc, że Spannerman pociągnął za sznurki, żeby zgodziła się reprezentować twoją żonę.

– I co mam robić? Nie wiem, od czego zacząć.

– Od tego... Właśnie otrzymałeś poradę prawną. Wierz mi, na początku nikt nie wie, co ma robić, chyba że już przez to przechodził. Krótko mówiąc, trzeba będzie złożyć dokumenty w Georgii; począwszy od wyjaśnienia do pisemnego oświadczenia dotyczącego opieki nad dzieckiem. Jej prawniczka

prawdopodobnie będzie naciskała, żeby przygotować wszystko przed upływem pół roku, tak więc czeka nas mnóstwo roboty.

– A co z porozumieniem w sprawie ugody małżeńskiej, które mi przysłała?

– To w zasadzie umowa między wami. Dotyczy alimentów, podziału majątku i tym podobnych.

– A London?

– I tu robi się ciekawie. Sądy zachowują prawo do decydowania w sprawie opieki, odwiedzin i alimentów. Wy dwoje możecie dojść do porozumienia i sąd weźmie to pod uwagę, ale nie musi się z tym zgadzać. Jeśli jednak porozumienie jest sensowne, sąd zwykle przychyli się do niego. Ponieważ London jest jeszcze bardzo mała, będzie miała niewiele do powiedzenia. Zresztą może i lepiej.

Podejrzewałem, że będzie musiał wyłuszczyć mi to jeszcze raz, od początku.

– Czego chce Vivian?

Taglieri sięgnął do teczki, wyciągnął porozumienie i zaczął je kartkować.

– Jeśli chodzi o podział majątku, zasadniczo chce połowę. Czyli połowę wartości domu, połowę pieniędzy na kontach bankowych i oszczędnościowych, połowę twojej emerytury. Chce też SUV-a, połowę wartości wyposażenia domu w gotówce. Domaga się też dodatkowej kasy i sądzę, że chodzi tu o połowę pieniędzy, które zainwestowałeś w swoją firmę.

Nagle poczułem się tak, jakbym przez tydzień oddawał krew.

– To wszystko?

– Cóż, są jeszcze alimenty.

– Alimenty? Zarabia teraz więcej niż ja i spotyka się z milionerem.

– Nie mówię, że je dostanie. Podejrzewam, że chce je wykorzystać, podobnie jak resztę z proponowanego podziału majątku, żeby dostać to, na czym naprawdę jej zależy.

– London.

– Tak – odparł. – London.

*

Po spotkaniu z Taglierim nie miałem czasu na powrót do biura. Zamiast tego pojechałem do szkoły i ustawiłem się na początku kolejki samochodów. Przeglądałem kopię umowy zawieranej w przypadku separacji – pochłonęła mnie do tego stopnia, że zapomniałem o bożym świecie – kiedy ktoś zapukał w szybę samochodu.

Emily.

Miała na sobie obcisłe, sprane džinsy z dziurami na kolanach i obcisły top. Widząc ją, poczułem nieskrywaną radość. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na słońce.

– Cześć – rzuciłem. – Jak się masz?

– To chyba ja powinnam zadać ci to pytanie. Myślałam o tobie przez ostatnie dni i zastanawiałam się, jak poszła niedzielna rozmowa.

– Jak wszystkie tego typu rozmowy. Głównie to Vivian mówiła.

– Jak tam London?

– Chyba w porządku. Poza tym, że wciąż walczy z przeziębieniem.

– Bodhi też. Złapało go wczoraj. Chyba więcej niż połowa klasy jest chora. Jak w kolonii trędowatych. – Przyglądała się mi przez chwilę. – A jak ty się trzymasz?

– Tak sobie – przyznałem. – Musiałem się dziś spotkać z adwokatem.

– Koszmar – rzuciła. – Nienawidziłam tego.

– Rzeczywiście, mało przyjemne. Nadal mam wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę. Chociaż wiem, że to nie sen.

Spojrzała wprost na mnie i zdumiała mnie długość jej rzęs. Czy zawsze były takie długie? Próbowałem sobie przypomnieć.

– Odpowiedział na twoje pytania? – zapytała.

– Nie wiedziałem nawet, o co pytać. Dlatego teraz siedziałem w samochodzie i przeglądałem porozumienie w sprawie ugody małżeńskiej. Vivian mi je przysłała.

– Nie jestem prawnikiem, ale zadzwoń, gdybyś miał jakieś pytania. Może będę mogła ci pomóc.

– Dzięki – odparłem. Do kolejki samochodów dołączały kolejne i z tego, co widziałem, byłem w niej jedynym mężczyzną. Patrząc na Emily, usłyszałem w głowie głos Vivian – *plotki!* – i zastanawiałem się, czy któraś z siedzących w samochodach kobiet przygląda się nam. Instynktownie zrobiłem krok w tył i włożyłem rękę do kieszeni. – David już wyjechał?

Skinęła głową.

– Wczoraj wieczorem.

– Bodhi bardzo to przeżył?

– Bardzo. No i, oczywiście, rankiem obudził się chory.

– Jego tata powiedział, kiedy znów przyleci?

– Być może uda mu się wpaść na kilka dni przed świętami.

– To dobrze.

– Tak. Jeśli rzeczywiście przyjedzie. To samo mówił w ubiegłym roku. Mówić to on potrafi. Sęk w tym, że gorzej u niego z czynami.

Pomyślałem, gdzie London spędzi nadchodzące święta. Gdzie ja je spędzę.

– Aha – mruknęła, przechylając głowę. – Powiedziałam coś nie tak, prawda? Kompletnie się wyłączyłeś.

– Przepraszam. Myślałem o rzeczach, które powiedział mi dziś prawnik. Wygląda na to, że będę zmuszony sprzedać dom.

– Nie. Poważnie?

– Nie wiem, czy będę miał wyjście. Nie mam na tyle gotówki, żeby tak po prostu spłacić Vivian.

To było mało powiedziane; gdybym przystał na wszystkie jej żądania, zostałbym bez grosza. Jeśli dodać do tego alimenty, nie wiem, czy byłoby mnie stać na dwupokojowe mieszkanie.

– Zobaczysz, wszystko się ułoży – uspokoila mnie Emily. – Wiem, że czasem trudno w to uwierzyć, ale tak będzie.

– Mam nadzieję. Na razie mam ochotę... uciec.

– Potrzebujesz odpocząć od tego wszystkiego – powiedziała, opierając ręce na biodrach. – Może pojedziecie w sobotę ze mną

i z Bodhim do zoo w Ashboro?

– A zajęcia plastyczne?

– Proszę cię. – Odgarnęła włosy na plecy. – Dzieciaki mogą sobie raz odpuścić. Wiem, że Bodhi będzie zachwycony. London była tam kiedyś?

– Nie – odparłem.

Bezpośredniość jej propozycji była rozbrajająca i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czyżby zapraszała mnie na randkę? A może chodziło wyłącznie o dzieci?

– Dzięki – odparłem w końcu. – Dam ci znać. – Zauważyłem, że przy wyjściu pojawili się pierwsi nauczyciele i dzieciaki klasami opuszczały szkołę. Emily też to dostrzegła.

– Powinnam wracać do samochodu – powiedziała. – Nie chcę wstrzymywać kolejki. Jest wystarczająco długa. Miło było cię zobaczyć, Russ. – Pomachała mi na pożegnanie.

– Ciebie też, Emily.

Patrzyłem, jak odchodzi, i próbowałem rozgryźć, co właściwie kryło się za jej zaproszeniem. Im bardziej się oddalała, tym bardziej pragnąłem znów ją zobaczyć. Może nie byłem gotów na kolejny związek i może było na to za wcześnie, ale nagle zapragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek innego.

– Hej, Emily! – zawołałem za nią.

Odwróciła się.

– O której planujesz wyjechać?

*

Kiedy wróciliśmy do domu, London czuła się nieco lepiej, więc poszliśmy na rower. Jeździliśmy po okolicy – ona przodem, ja nieco z tyłu. Z każdą wycieczką szło jej coraz lepiej. Nadal musiałem ją upominać, żeby zjeżdżała na bok, gdy widziała nadjeżdżający samochód, ale dzieciaki na rowerach były tu częstym widokiem i większość kierowców omijała nas szerokim łukiem.

Jeździliśmy przez godzinę. Po powrocie do domu London zjadła coś i poszła na górę przebrać się na lekcję tańca. Kiedy długo nie schodziła, poszedłem za nią. Zostałem ją, jak siedziała na łóżku, wciąż w tych samych ubraniach, w których była na rowerze.

Usiadłem obok niej.

– Co się stało, skarbie?

– Nie chcę dziś iść na lekcję tańca. Jestem chora.

Chociaż była przeziębiona, nie zrezygnowała z jazdy na rowerze, wiedziałem więc, że chodzi o coś innego. Mianowicie o to, że nie lubiła lekcji tańca ani pani Hamshaw. Zresztą kto by się jej dziwił?

– Jeśli jesteś zbyt zmęczona albo źle się czujesz, nie musisz iść.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

– Mamusia będzie zła.

Twoja mama nas zostawiła, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

– Porozmawiam z nią. Jeśli jesteś chora, to jesteś chora. A może chodzi o coś innego?

– Nie.

– Bo jeśli tak, możesz mi powiedzieć.

Nie odezwała się, więc otoczyłem ją ramieniem.

– Lubisz chodzić na tańce? – zapytałem.

– To ważne – odparła, jakby recytowała formułkę. – Mamusia tańczyła.

– Nie o to pytałem. Pytałem, czy ty lubisz lekcje tańca.

– Nie chcę być drzewem.

Zmarszczyłem brwi.

– Skarbie? Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

– W mojej klasie są dwie grupy. Jedna jedzie na konkurs tańca. To najlepsi tancerze. Ja jestem w tej drugiej. My też musimy tańczyć, ale tylko dla rodziców. I w tym tańcu ja jestem drzewem.

– Aha – mruknąłem. – To źle?

– Tak. Mam tylko poruszać rękami, kiedy liście rosną i spadają.

– Pokażesz mi?

Westchnąwszy, zeszła z łóżka. Wyciągnęła ramiona nad głowę, złączyła czubki palców i nakreśliła w powietrzu koło. Zaraz potem zamachała palcami i opuściła ręce wzdłuż ciała. Kiedy skończyła, wróciła na łóżko. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Jeśli to poprawi ci humor, jesteś bardzo dobrym drzewem – stwierdziłem w końcu.

– To dla kiepskich tancerzy, tatusiu. Bo nie jestem wystarczająco dobra, żeby być żabą, motylem, łąbędziem albo rybą.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądał taniec tych zwierząt, ale jaki to miało sens? Pewnie niedługo sam się przekonam.

– Ile dziewczynek ma udawać drzewa?

– Tylko ja i Alexandra. Chciałam być motylem, ćwiczyłam ciężko i znam wszystkie kroki, ale pani Hamshaw powiedziała, że to Molly będzie motylem.

W świecie pięciolatek to pewnie prawdziwy dramat.

– Kiedy jest przedstawienie?

– Nie wiem. Pani Hamshaw mówiła nam, ale zapomniałam.

Zanotowałem w pamięci, żeby porozmawiać z panią Hamshaw. Rzecz jasna przed zajęciami albo po nich, żeby jej nie urazić ani nie zdenerwować.

– Chcesz w weekend pojechać do zoo? Ze mną, Bodhim i panią Emily?

– Co?

– Zoo. Pani Emily i Bodhi jadą do zoo. Zaprosiła nas, ale nie pojedziemy, jeśli nie chcesz.

– Do prawdziwego zoo?

– Z lwami, tygrysami i niedźwiedziami. O rety!

London ściągnęła brwi.

– Dlaczego powiedziałaś „O rety”? – zapytała.

- To z filmu pod tytułem *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*.
- Widziałam go?
- Nie – odparłem.
- O czym jest?
- O dziewczynce, która nazywa się Dorotka. Jej dom zostaje porwany przez tornado, a ona trafia do krainy Oz. Spotyka tam Lwa, Blaszanego Drwala i Stracha na Wróble i wszyscy razem próbują odnaleźć czarnoksiężnika, żeby Dorotka mogła wrócić do domu.
- Czy w tym filmie jest niedźwiedź i tygrys?
- Nie przypominam sobie.
- Więc dlaczego dziewczynka tak mówi?
Dobre pytanie, pomyślałem.
- Nie wiem. Może dlatego, że bała się, że je spotka.
- Ja się nie boję niedźwiedzi. Ale tygrysy są przerażające. Potrafią być naprawdę złośliwe.
- Tak?
- Dowiedziałam się o tym, kiedy oglądałam *Księżę dzungli*.
- Aha.
- Czy mamusia pojedzie z nami do zoo?
- Nie – odparłem. – Mamusia pracuje.
Przez chwilę rozważała moje słowa.
- Dobrze – powiedziała w końcu. – Skoro Bodhi jedzie, to ja też.

*

Kiedy Vivian zadzwoniła wieczorem przez FaceTime'a, zauważyłem, że jest ubrana, jakby wybierała się na kolację, niewątpliwie ze Spannermanem. Nie wspomniałem o tym, ale gdy rozmawiała z London, ta myśl nie dawała mi spokoju.

W końcu London przyszła do mnie i podała mi telefon.

- Mamusia chce z tobą porozmawiać.
- Dobrze, skarbie – odparłem, sięgając po komórkę. Zaczekałem, aż wyjdzie, i dopiero wtedy spojrzałem na ekran.

– Co słyhać? – spytałem.

– Chciałam, żebyś wiedział, że na weekend wyjeżdżam z miasta i może być trudno się ze mną skontaktować.

Aż mnie korciło, żeby zapytać o szczegóły, ale się powstrzymałem.

– W porządku – rzuciłem tylko.

Najwyraźniej spodziewała się, że będę ją wypytywał, i moja lakoniczna odpowiedź ją zaskoczyła.

– To dobrze – ciągnęła po krótkiej przerwie. – W każdym razie na pewno przyjadę do Charlotte w przyszłym tygodniu, żeby spotkać się z London, i chciałabym znowu zatrzymać się w domu.

– Beze mnie – dodałem. Staralem się nie okazywać, jak bardzo dotknęły mnie jej słowa.

– Mam na myśli dobro London, więc tak, bez ciebie. Dwa tygodnie później są jej urodziny i chciałabym to powtórzyć. To znaczy zatrzymać się w domu. Urodziny są w piątek, ale chciałabym zorganizować w sobotę przyjęcie urodzinowe i zaprosić jej przyjaciół. Oczywiście możesz przyjść, ale potem najlepiej będzie, jeśli resztę weekendu spędzimy tylko we dwie.

– To jej urodzinowy weekend – zaprotestowałem. – Też chcę spędzić z nią trochę czasu.

– Jesteś z nią cały czas, Russ – odparła, zadzierając brodę.

– Chodzi do szkoły. I na zajęcia. Może ci się wydaje, że spędzam z nią mnóstwo czasu, ale tak nie jest.

Westchnęła poirytowana.

– Spędzacie razem wieczory. Czytasz jej na dobranoc. Widzisz ją każdego dnia rano. Ja nie.

– Bo odeszłaś – powiedziałem powoli i wyraźnie. – Bo przeprowadziłaś się do Atlanty.

– I dlatego będziesz utrudniał mi kontakty z córką? Co z ciebie za ojciec? A skoro już o tym mowa, nie powinna była opuszczać lekcji tańca.

– Jest przeziębiona – odparłem. – A poza tym była zmęczona.

– Jak ma się rozwijać, skoro pozwalasz jej nie chodzić na zajęcia?

Oskarżycielski ton, jakim to powiedziała, sprawił, że struchlałem.

– Pierwszy raz opuściła zajęcia. To nie koniec świata. Zresztą nawet nie lubi tam chodzić.

– Nie rozumiesz – prychnęła Vivian, mrużąc oczy. – Jeśli chce dostać większą rolę w następnym przedstawieniu, nie może nie chodzić na zajęcia. Przez ciebie znowu będzie rozczarowana.

– A moim zdaniem wcale jej na tym nie zależy, bo nawet nie lubi lekcji tańca.

Dzięki głębokiemu dekoltoowi czarnej sukienki koktajlowej widziałem, jak jej pierś unosi się i opada i oblewa się rumieńcem.

– Dlaczego to robisz?

– O co ci znów chodzi?

– O to, co zawsze! Czepiasz się, próbujesz wszcząć awanturę.

– Dlaczego za każdym razem, gdy mówię ci, co myślę, albo mam inne zdanie od twojego, oskarżasz mnie o to, że wszczynam awanturę?

– Na litość boską. Nie masz pojęcia, jak dość mam tych twoich bzdur.

Po tych słowach się rozłączyła. Przejąłem się bardziej, niż powinienem, ale z ponurą satysfakcją zauważyłem, że i tak obeszło mnie to mniej, niż gdybyśmy wciąż byli razem. Prawdę mówiąc, dotknęło mnie to mniej, niż, powiedzmy, jeszcze wczoraj. Może na tym właśnie polegał postęp.

*

Przez kolejne dwa dni w pracy skakałem z jednego projektu na drugi. Skontaktowałem się z pacjentami, których polecił mi chirurg plastyczny, i umówiłem się z nimi na zdjęcia szóstego października – zapowiadał się długi dzień.

W piątek kręciliśmy trzeci spot. Umieściliśmy kamerę poniżej poziomu biurka, żeby uchwycić twarz młodej aktorki od dołu.

W ten sposób został wyeksponowany jej wiek, co dało niemal komiczny efekt.

Ujęcia były tak dobre, że rozbawiły nawet członków ekipy telewizyjnej. Wspaniale.

*

Tego wieczoru jak zwykle zawiozłem London na lekcję tańca.

Mimo braku entuzjazmu zeszła na dół ubrana w swój strój i przypomniała mi, że nie możemy się spóźnić.

Nie zapytałem jej, czy jest to coś, co na pewno chce robić; jestem pewien, że Vivian zganiała ją, tak samo jak mnie, i nie chciałem stawiać London w niezręcznej sytuacji. Aż za dobrze wiedziałem, jak bardzo Vivian potrafi wpędzić kogoś w poczucie winy.

Widząc, jak London przygarbiona siedzi na kanapie, usiadłem obok.

– Co chciałabyś robić po lekcji tańca? – zapytałem.

– Nie wiem – bąknęła.

– Bo pomyślałem, że może, ale tylko może, moglibyśmy... – Urwałem. Minęło kilka sekund, zanim spojrzała na mnie.

– Co moglibyśmy?

– Nic – rzuciłem. – Nieważne.

– No powiedz.

– Chodzi o to, że może nie będziesz chciała... – Udawałem, że straciłem zainteresowanie.

– Powiedz! – nalegała.

Odetchnąłem przeciągle.

– Pomyślałem, że skoro nie ma mamusi, może ty i ja urządzilibyśmy sobie wieczór randkowy.

London wiedziała o naszych wieczorach randkowych, nawet jeśli nie była świadoma sytuacji między mną a Vivian.

Patrzyła na mnie zdumiona.

– Wieczór randkowy? Tylko ty i ja?

– Tak sobie pomyślałem. Po lekcji tańca moglibyśmy ubrać się elegancko, ugotować coś razem, a potem pokolorować, pomalować palcami albo nawet obejrzeć film. Ale tylko jeśli chcesz – dodałem.

– Chcę.

– Naprawdę? W takim razie co byś zjadła?

Zastanawiała się przez chwilę, dotykając palcem brody.

– Kurczaka – odparła po namyśle.

– Świetnie. Też o tym myślałem.

– Ale nie chcę malować palcami. Mogłabym pobrudzić sukienkę.

– A co z kolorowaniem? Nie jestem w tym za dobry, ale mogę spróbować.

Rozpromieniła się.

– To nic, że nie umiesz kolorować, tatusiu. Zawsze możesz poćwiczyć.

– Świetny pomysł.

*

Pierwszy raz, odkąd zacząłem wozić ją na zajęcia, w drodze na lekcję tańca London była w doskonałym humorze, choć zajęcia nie miały z tym nic wspólnego. Podekscytowana opowiadała, w co się ubierze wieczorem. Zastanawiała się, którą sukienkę włoży, czy dopasować do niej błyszczącą spinkę do włosów, czy może lepiej kokardę, i jakie wybrać buty.

Kiedy weszliśmy na salę, pani Hamshaw ruchem ręki odesłała ją na parkiet, ale London nagle zawróciła, podbiegła do mnie i przytuliła się. Nauczycielka nie zareagowała na ten przejaw czułości, co, jak sędzę, w jej przypadku było przejawem uprzejmości.

Podczas gdy London była na zajęciach, ja zrobiłem zakupy. Wiedząc, że następnego dnia musimy wcześniej wstać – o ósmej byliśmy umówieni z Emily i Bodhim – zdecydowałem się na kurczaka z różną, kukurydzą z puszki, gruszki w plasterkach, sos

jabłkowy ze słoika i sok z winogron. Zakładałem, że jeśli usiadziemy do kolacji o wpół do siódmej, London położy się o zwykłej porze.

Nie przewidziałem, że pięciolatki potrzebują sporo czasu, żeby wystroić się na wieczór randkowy z własnym ojcem. Po zajęciach, kiedy wróciliśmy do domu, London pognęła na górę i zabroniła mi sobie pomagać. Ja sam również się wystroiłem; włożyłem nawet marynarkę. W ciągu pięciu minut przygotowałem kolację i nakryłem do stołu, używając porcelanowej zastawy. Wlałem sok z winogron do kieliszków do wina i zapaliłem świece. Oparty o blat, czekałem na swoją córkę. Chwilę później usiadłem przy stole.

Poszedłem do pokoju i włączyłem telewizor na ESPN.

Od czasu do czasu podchodziłem do schodów i wołałem London; ona jednak upierała się, abym pozostał na dole, bo wciąż jeszcze się szykuje.

Kiedy w końcu zeszła, poczułem, że łzy napływają mi do oczu. Wybrała niebieską spódniczkę, a do tego bluzkę w niebiesko-białą kratkę, białe rajstopy i buty. Całości dopełniały niebieska opaska na włosy i naszyjnik ze sztucznych pereł. Choć miałem zastrzeżenia co do częstych wypadów na zakupy, na które Vivian zabierała naszą córeczkę, nawet London wiedziała, że zrobiła na mnie wrażenie.

– Wyglądasz pięknie – powiedziałem, wstając z kanapy. Wyłączyłem telewizor.

– Dziękuję, tatusiu – odparła i niespiesznie podeszła do stołu. – Stół też jest śliczny.

Urocze było to, że próbowała zachowywać się jak dorosła kobieta.

– Cieszę się, kochanie. Masz ochotę na coś do jedzenia?

– Tak.

Podszedłem do stołu i wysunąłem dla niej krzesło. Kiedy usiadła, sięgnęła po kieliszek do wina i upiła łyk soku.

– Bardzo smaczne – oceniła.

Nałożyłem jedzenie i wróciłem z talerzami do stołu. London z gracją strzepnęła serwetkę i rozłożyła ją na kolanach; ja zrobiłem to samo.

– Jak ci minął dzień w szkole? – zapytałem.

– Było fajnie – odparła. – Bodhi powiedział, że jutro w zoo chce zobaczyć lwy.

– Ja też. Lubię lwy. Mam nadzieję, że żaden z nich nie będzie tak złośliwy jak Skaza. – Mówiąc to, miałem na myśli czarny charakter z filmu *Król Lew*.

– Na pewno żaden nie będzie taki jak Skaza, tatusiu. To tylko postać z bajki.

– No tak – odparłem. – Masz rację.

– Głuptasek.

– Słyszałem – rzuciłem z uśmiechem, kiedy sięgnęła po widelec.

*

Po kolacji zabraliśmy się za kolorowanie. Okazało się, że London ma kolorowanek ze zwierzętami w zoo, i przez godzinę siedzieliśmy przy kuchennym stole, tworząc tęczowe zwierzęta rodem z bajek dla dzieci.

Chociaż chodziła do szkoły dopiero od kilku tygodni, zauważyłem, że koloruje dużo lepiej niż kiedyś. Nie wyjeżdżała za linie, a nawet używała cieniowania. Zniknęły smugi i zawijasy sprzed roku.

Moja mała dziewczynka powoli dorastała i nie wiedzieć czemu, na myśl o tym poczułem w sercu bolesne ukłucie.

ROZDZIAŁ 18

To nie jest randka

Miesiąc po ukończeniu college'u byłem na ślubie Toma Gregory'ego, kolegi z bractwa w Chapel Hill. Tom był synem lekarzy, a jego przyszła żona, wychudzona brunetka, Claire DeVane, miała ojca, który był właścicielem pięćdziesięciu sześciu restauracji Bojangles', lokali typu fast food, których specjalnością był smażony kurczak i ciastka. Nie był to może elitarny biznes w stylu bankowości inwestycyjnej, ale przynosił pieniądze, i jako prezent ślubny ojciec Claire podarował młodej parze niewielką posiadłość, a także mercedesa cabrio.

Na ślubie oczywiście obowiązywały stroje wieczorowe. Niedawno rozpocząłem pracę w Peters Group i czekałem na pierwszą wypłatę; a to znaczyło, że generalnie byłem spłukany. Wprawdzie stać mnie było na wypożyczenie smokingu, ale nocować miałem u innego kumpla z bractwa. Nazywał się Liam Robertson i niedługo miał rozpocząć studia prawnicze na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Choć on także pochodził z Charlotte, nigdy nie byliśmy sobie szczególnie bliscy – był typem faceta, który nie dotrzymywał zobowiązań i serwował galaretki z wódką Everclear dziewczynom z pierwszego roku – ale chłopaki z Alfa Gamma Rho trzymali się razem.

Do tej pory tylko raz w życiu miałem na sobie smoking. Wypożyczyłem granatowy na bal maturalny, a zdjęcie, na którym jestem z dziewczyną towarzyszącą mi tamtego wieczoru, stało na komiku w domu rodziców aż do mojego ślubu. Tamten smoking

miął przypinany krawat, podczas gdy ten, który pożyczyłem na ślub Toma, miał krawat, który musiałem sam zawiązać.

Niestety ani ja, ani Liam Robertson nie wiedzieliśmy, jak to zrobić, a kolejne próby spełzały na niczym. I właśnie wtedy drzwi do domu Liama się otworzyły i stanęła w nich Emily.

Widziałem ją już wcześniej, ale nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Ona i Liam dorastali w tej samej okolicy i, podobno, byli tylko przyjaciółmi. Niemniej jednak to właśnie z nią postanowił pójść na wesele – „żeby mogła szepnąć o mnie dobre słowo, na wypadek gdybym kogoś poznał”. Kiedy ją zobaczyłem, zaparło mi dech w piersi.

Nie była to Emily, którą wcześniej widziałem w towarzystwie Liama, artystka w długich spódnicach i sandałach, zwykle bez makijażu. Kobieta, która stała przede mną, miała na sobie sukienkę koktajlową z głębokim dekoltem, czarne szpilki i eleganckie kolczyki z brylantami, które dopełniały całości. Tusz do rzęs podkreślał niespotykany kolor jej oczu, a jej usta, pociągnięte czerwoną szminką, były pełne i zmysłowe. Włosy opadały miękkimi falami na ramiona.

– Cześć, Emily! – krzyknął Liam. – Russ potrzebuje pomocy!

– Ciebie też dobrze widzieć, Liam – rzuciła sardonicznie. – I, tak, dziękuję za komplement.

– Tak przy okazji, świetnie wyglądasz – dodał Liam.

– Za późno – mruknęła pod nosem i podeszła do mnie. – Zawsze był mało rozgarnięty – dodała jakby do siebie. – Rozumiem, że to ty jesteś Russ.

Przytaknąłem, starając się na nią nie gapić.

– Emily – przedstawiła się. – Formalnie rzecz biorąc, idę na wesele z Liamem, ale nic nas nie łączy. Jest dla mnie jak pochłonięty sobą młodszy brat.

– Słyszałem! – zawołał Liam.

– Pewnie, że słyszałeś. Ale tylko dlatego, że mówiłam o tobie.

Ich swobodna poufalskość sprawiła, że czułem się jak obserwator, chociaż ja i Emily staliśmy tak blisko, że niemal stykaliśmy się twarzami.

– Co my tu mamy? – mruknęła, mocując się z krawatem, zanim w końcu go zawiązała. Zauważyłem, że jest niewiele niższa ode mnie i używa kwiatowych perfum o mocnym, zmysłowym zapachu.

– Dziękuję – powiedziałem. – Kto cię tego nauczył?

– Musiałam pomagać tacie, kiedy dorastałam – odparła. – Też miał z tym problem. Zawsze krzywo wiązał krawaty.

Szarpnęła i poprawiła mój, a jej smukłe palce robiły tajemne rzeczy, których nie byłem w stanie zauważyć. Byliśmy tak blisko siebie, że czułem się, jakbym miał ją pocałować, i kolejny raz pomyślałem o tym, jaka jest piękna. Wpatrywałem się w jej usta i smukłą szyję. Głęboki dekolt jej sukienki odsłaniał maleńką, koronkową kokardkę na przodzie biustonosza.

– Na co się gapisz? – droczyła się ze mną.

Poczułem, że się czerwienię, i wbiłem wzrok przed siebie, jak żołnierz. Widząc to, uśmiechnęła się.

– Mężczyźni – rzuciła. – Wszyscy jesteście tacy sami.

Milcząc, stałem na baczność i czekałem, aż skończy. W końcu pacnęła mnie w pierś, mrugnęła do mnie i dodała:

– Ale ponieważ jesteś słodki, wybaczam ci.

*

Kiedy nazajutrz rano wjechałem na podjazd przed domem Emily, natychmiast zobaczyłem ją, jak pakuje do SUV-a małą lodówkę turystyczną.

Wysiadłszy z samochodu, London podbiegła do niej w podskokach i przytuliła ją na powitanie.

– Gdzie jest Bodhi? – usłyszałem, jak pyta.

– W swoim pokoju – odparła Emily. – Wybiera filmy na drogę. Chcesz mu pomóc?

– Tak, proszę pani – powiedziała London. Pobiegnęła w stronę domu i chwilę później już jej nie było.

Emily odprowadziła ją wzrokiem i dopiero wtedy spojrzała na mnie. Miała na sobie szorty i koszulkę na ramiączkach, a włosy

spięła w koński ogon. Wyglądała promiennie. Nie mogłem przestać się gapić na jej gęste włosy i idealną, gładką skórę.

– Proszę pani? – powtórzyła po London.

– Jest bardzo dobrze wychowana – wyjaśniłem z nadzieją, że nie zauważyła, jak bacznie jej się przyglądam.

– Podoba mi się to. Próbowałam tego samego z Bodhim, ale nic z tego nie wyszło. – Wyglądała tak młodo jak wtedy, gdy ją poznałem, a ponieważ dzieciaki były w domu, poczułem się zdezorientowany, jakbym cofnął się w czasie.

– Zapowiada się miły dzień – uznałem. – London bardzo się cieszyła na ten wyjazd.

– Bodhi też. Chce, żeby London jechała z nami w samochodzie.

– W porządku – odparłem. – Pojadę za wami.

– Ty też pojedziesz z nami, głupolu. Nie ma sensu, żebyśmy jechali w dwa samochody; zresztą nie ma mowy, żebym jechała sama z tymi dwoma krasnalami. Poza tym podróż w jedną stronę zajmie nam dwie godziny, a to maleństwo – mówiąc to, wskazała głową SUV-a – ma odtwarzacz DVD, więc możemy im puścić jakieś bajki.

Jej żartobliwy ton przypomniał mi naszą pierwszą rozmowę i to, jak bardzo się wtedy denerwowałem.

– Chcesz, żebym prowadził? – zaproponowałem.

– Chyba że wolisz zająć się przekąskami. A to oznacza, że mniej więcej co pięć minut będziesz musiał się odwracać i rozpakowywać jedzenie.

Pamiętałem, co powiedział mój ojciec o rodzinnych wycieczkach.

– Nie, dzięki – rzuciłem. – Będzie lepiej, jak poprowadzę.

*

Jeszcze dobrze nie wyjechaliśmy, a Bodhi zapytał, czy on i London mogą obejrzeć *Madagaskar 3*.

– Zaczekajcie, aż wyjedziemy na autostradę – rzuciła Emily przez ramię.

– Mogę coś zjeść? – Jej syn nie dawał za wygraną.

– Przed chwilą jadłeś śniadanie.

– Ale jestem głodny.

– Na co masz ochotę?

– Na złote rybki.

Vivian nigdy nie pozwalała na podobne przekąski w naszym domu, ale pamiętałem, jak sam zajadałem się nimi w dzieciństwie.

– Co to są złote rybki? – zapytała London.

– Serowe krakersy w kształcie rybek – wyjaśniła Emily. – Pychota.

– Mogę spróbować, tatusiu?

Zerknąłem w lusterko wsteczne i zastanawiałem się, jak London zapatruje się na fakt, że siedzę w samochodzie z Emily, a nie z jej mamą, i czy w ogóle ją to obchodzi.

– Oczywiście, że możesz.

*

Droga do zoo minęła zadziwiająco szybko. Dzieciaki były pochłonięte filmem, a ponieważ siedziały w zasięgu głosu, ja i Emily nie rozmawialiśmy o Vivian, Davidzie ani o tym, co łączyło nas w przeszłości. Zamiast tego opowiadałem jej, co robiłem w pracy, a ona mówiła o swoich obrazach i wystawie, która miała się odbyć w połowie listopada; co znaczyło, że do tego czasu będzie bardziej zajęta niż zwykle. Plotkowaliśmy też o naszych rodzinach, a rozmowa toczyła się tak swobodnie, jakbyśmy nigdy nie stracili kontaktu.

A jednak mimo tej zażyłości wspólny wypad do zoo nadal wydawał się czymś nowym i dziwnym. Nie była to randka, ale miesiąc temu nawet bym o tym nie pomyślał. Jechałem na wycieczkę z Emily, nasze dzieci siedziały z tyłu i choć obawiałem się, że będę miał poczucie winy, nic takiego się nie zdarzyło.

Zamiast tego zerkalem na nią w rzadkich chwilach, gdy zapadała między nami cisza, i zastanawiałem się, jak David mógł być taki głupi.

I, rzecz jasna, dlaczego sam dawno temu byłem taki głupi.

*

– Będą wykończeni – zawyrokowała Emily, kiedy dotarliśmy na miejsce. Tuż po tym, jak zaparkowaliśmy, dzieciaki pognały do budki z biletami, a gdy weszliśmy na teren zoo, podbiegły do fontanny i sklepu z pamiątkami. Z dumą zauważyłem, że London musiała odziedziczyć geny lekkoatletyczne, bo na moje oko biegła równie szybko, jak Bodhi. Teraz oboje spoglądali na półki z pamiątkami, podczas gdy my niespiesznie szliśmy w ich stronę.

– Jestem zmęczony od samego patrzenia na nich.

– Biegałeś dziś rano?

– Niedużo. Jakieś sześć kilometrów.

– Lepiej ode mnie. Dziś zamiast treningu będę zasuwała na piechotę.

– Jak to robisz, że trzymasz taką formę?

– Tańczę na rurze – odparła. Widząc moje zaskoczone spojrzenie, roześmiała się. – Pewnie by ci się spodobało, co? – Szturchnęła mnie w ramię. – Żartuję, wariacie. Żałuj, że nie widziałeś swojej miny! Bezcenna. Kilka razy w tygodniu staram się chodzić na siłownię, ale w głównej mierze mam dobre geny i uważam na to, co jem. To łatwiejsze niż ciągle ćwiczenie.

– Może dla ciebie. Ja lubię jeść.

Kiedy weszliśmy do sklepu, podbiegła do mnie London.

– Popatrz, tatusiu! Skrzydełka motyli! – pisnęła, podnosząc parę koronkowych, półprzezroczystych skrzydeł, tak dużych, że mogłaby je założyć.

– Bardzo ładne – powiedziałem.

– Możemy je kupić? Gdybym jednak została motylem w przedstawieniu?

Chodziło o przedstawienie przygotowywane przez dzieci, które zdaniem pani Hamshaw nie były wystarczająco dobre, żeby brać udział w konkursie tanecznym; przedstawienie, w którym London miała grać drzewo.

– No nie wiem, kochanie... – odparłem.

– Proszę? Są takie śliczne. I chociaż nie jestem motylem, mogłabym założyć je dziś i sprawić zwierzętom przyjemność. No i pokażę je Panu i Pani Sprinkles, kiedy wrócimy do domu.

Nie byłem przekonany, ale sprawdziłem cenę i odetchnąłem z ulgą, widząc, że nie jest wyśrubowana.

– Naprawdę chcesz je dziś założyć?

– Tak! – rzuciła błagalnie, podskakując zniecierpliwiona. – A Bodhi chce skrzydła ważki.

Poczułem na sobie wzrok Emily i odwróciłem się w jej stronę.

– Może dzięki temu będzie łatwiej mieć ich na oku – zauważyła.

– Zgoda – powiedziałem. – Ale tylko skrzydła, dobrze?

– I tylko jeśli posmarujecie się kremem z filtrem – dodała Emily.

Ups. W przeciwieństwie do mnie pamiętała, żeby wziąć takie rzeczy.

Zapłaciwszy, pomogłem London założyć skrzydła, a Emily pomogła Bodhiemu. Następnie wysmarowaliśmy ich taką ilością kremu, że byliby w stanie precyzyjnie się przesuwać przez najmniejsze dziury, i patrzyliśmy jak, machając rękami, biegną przed siebie.

Zoo zostało podzielone na dwie części: Amerykę Północną i Afrykę. W pierwszej kolejności odwiedziliśmy część amerykańską, gdzie podziwialiśmy foki pospolite, sokoły wędrowne, aligatory, piżmaki amerykańskie, bobry, pumy, a nawet niedźwiedzia czarnego. Za każdym razem dzieciaki przybiegały na miejsce przed nami i gdy w końcu do nich dołączaliśmy, nie mogły się doczekać, żeby pójść dalej. Na szczęście tego dnia mimo pięknej pogody w zoo nie było tłumów. Upał zelżał i pierwszy raz od miesiąca wilgotność powietrza nie

dawała się tak bardzo we znaki. Co, naturalnie, nie przeszkodziło dzieciom domagać się lodów na patyku i napojów gazowanych.

– Co się stało z Liamem? – zapytałem Emily. – Od dziesięciu lat nie mam z nim kontaktu. Kiedy widziałem go po raz ostatni, był prawnikiem w Asheville i miał drugą żonę.

– Nadal pracuje jako prawnik – odparła – ale jego drugie małżeństwo nie przetrwało.

– Ona też była barmanką, tak? Kiedy się poznali?

– Facet lubi określony typ kobiet – powiedziała z uśmiechem.

– Nie ma co do tego wątpliwości.

– Kiedy ostatnio miałaś z nim jakiś kontakt?

– Siedem, może osiem miesięcy temu. Usłyszałam, że się rozwodzę, i chciał się ze mną umówić.

– Nie był jednym z tych miłych gości, do którego nigdy nie zadzwoniłaś drugi raz?

– Liam? Boże, nie. Dorastaliśmy razem, ale wiesz... jak na mój gust zawsze skupiał się na sobie. W college'u trzymaliśmy się razem bardziej z przyzwyczajenia, a nie dlatego, że byliśmy przyjaciółmi. Z przyzwyczajenia też przystawiał się do mnie przynajmniej raz w semestrze, zwykle kiedy był pijany.

– Zastanawiało mnie, dlaczego go tolerujesz.

– Bo nasi rodzice się przyjaźnili i mieszkaliśmy naprzeciw siebie. Mój ojciec uważał, że to dobry chłopak, ale, dzięki Bogu, mama od razu go przejrzała. Chodzi o to, że zawsze był w pobliżu. W miasteczku akademickim, w domu. Wtedy nie potrafiłam jeszcze tak po prostu odciąć się od ludzi. Nawet jeśli byli palantami.

– Gdyby nie on, nie poznalibyśmy się.

Uśmiechnęła się tęsknie.

– Pamiętasz, jak poprosiłeś mnie do tańca? Na weselu?

– Tak – odparłem. Przez ponad godzinę zbierałem się na odwagę, chociaż Liam już wtedy upatrzył sobie dziewczynę, która później została jego pierwszą żoną.

– Bałeś się mnie – rzuciła ze znaczącym uśmiechem.

Byłem boleśnie świadomy jej bliskości; przed nami London i Bodhi szli obok siebie i przypomniła mi się książka, którą czytałem London. Nasza czwórka szła parami, bo nikt nie powinien iść sam.

– Nie bałem się – wyjaśniłem. – Byłem zakłopotany, bo przyłapałaś mnie, jak się na ciebie gapiłem, kiedy pomagałaś mi wiązać krawat.

– Daj spokój... Było mi miło i dobrze o tym wiesz. Zdążyliśmy już o tym zapomnieć. Pytałam Liama o ciebie, pamiętasz? Powiedział, że jesteś dla mnie za głupi. I nie dość przystojny. I niewystarczająco bogaty. A zaraz potem znów zaczął się do mnie przystawiać.

Roześmiałem się.

– Teraz pamiętam.

– Utrzymujesz kontakt z ludźmi z college'u? – Zmrużyła oczy, jak gdyby próbowała przypomnieć sobie twarze. – Kiedy byliśmy razem, spotykaliśmy się z nimi regularnie.

– Raczej nie – przyznałem. – Kiedy się ożeniłem i urodziła się London, straciłem kontakt z większością z nich. A ty?

– Mam kilkoro przyjaciół z college'u i paru takich, z którymi się wychowywałam. Jesteśmy w kontakcie i spotykamy się, ale pewnie nie tak często, jak powinniśmy. Jest tak, jak mówisz, za dużo mamy na głowie.

Zauważyłem drobne piegi na jej policzkach i nosie, tak delikatne, że praktycznie niewidoczne. Nie pamiętam, żeby je miała piętnaście lat temu; były kolejną niespodzianką, którą skrywała niegdysiejsza Emily. Przez chwilę zastanawiałem się, co by pomyślała Vivian, gdyby zobaczyła mnie z nią teraz.

Nagle cała ta sytuacja wydała mi się surrealistyczna – ja i Emily z dziećmi w zoo i Vivian gdzieś daleko stąd w ramionach Spannermana. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że w moim życiu nastąpiły takie zmiany?

Ręka Emily na moim ramieniu wyrwała mnie z zamyślenia.

– Wszystko w porządku? – Przyjrzała mi się z uwagą. – Odpłynąłeś.

– Taa, wybacz. – Spróbowałem się uśmiechnąć. – Czasami nagle myślę sobie... jakie to wszystko dziwne i niewytłumaczalne.

Emily opuściła rękę.

– Jeszcze tak będzie przez jakiś czas – odparła łagodnie. – Ale jeśli potrafisz, bierz życie takim, jakie jest. Trzymaj się rzeczy, na których ci zależy, a pozwól odejść tym, które nie są ci potrzebne.

– Na chwilę obecną to ponad moje siły.

– „Na chwilę obecną” to właściwe słowa. Zresztą sam zobaczysz.

Przez moment tęskniłem za Vivian, ale uczucie to nie trwało długo. Było jak cios w kark, choć brakowało mu impetu, i zrozumiałem, że to dzięki Emily. Dotarło do mnie, że lepiej spędzić dzień z zabawną i pełną współczucia przyjaciółką niż z żoną, która mną gardziła.

– Dawno tego nie robiłam – przyznała Emily. Kiedy spojrzałem na nią pytająco, dodała: – To znaczy nie wychodziłam nigdzie z przyjacielem przeciwnej płci... Ostatni raz chyba, zanim poznałam Davida. Może nawet, zanim ty i ja byliśmy razem. Dlaczego?

– Bo ty miałaś męża, a ja żonę.

– Ale znam ludzi, którzy są po ślubie i mają przyjaciół przeciwnej płci.

– Nie mówię, że takie rzeczy się nie zdarzają. Chodzi o to, że bywają skomplikowane i większość ludzi ma tego świadomość. Znając ludzką naturę i wiedząc, jak trudne bywa małżeństwo, ostatnią rzeczą, której potrzeba współmałżonkowi, jest atrakcyjna alternatywa. W jej świetle druga strona może się kiepsko prezentować.

Emily się skrzywiła.

– Czy to właśnie robię? – zapytała. – Nie... nie odpowiadaj. To było niestosowne. – Założyła za uszy niesforne kosmyki. – Nie mam zamiaru pogarszać twoich relacji z Vivian.

– Wiem – odparłem. – Ale nie sądzę, żeby mogło być gorzej. Z tego, co wiem, Vivian jest teraz w Paryżu ze swoim nowym

facetem.

– Nie wiesz na pewno?

– W tym tygodniu rozmawialiśmy ze sobą tylko raz, kiedy powiedziała mi, że chce spędzić z London dwa z trzech kolejnych weekendów, w tym weekend, kiedy London ma urodziny, a potem nawrzeszczała na mnie za to, że pozwoliłem naszej córce nie pójść na lekcję tańca. Powiedziała też, że „może być trudno się z nią kontaktować”, cokolwiek to znaczy. I że kiedy przyjedzie do miasta, powinienem nocować u Marge albo u rodziców, bo chce mieć dom dla siebie. A, i jeszcze, że ma dość mojej głupiej gadki.

Emily się skrzywiła.

– Mnie też się to nie podobało – przyznałem.

– Ale wiesz, że nie powinna widywać się z London w każdy weekend. A ty nie powinieneś wynosić się z domu.

– Mówi, że robi to dla London.

– A mnie się wydaje, że chce postawić na swoim.

– To też. Ale z drugiej strony wiem, o co jej chodzi. Życie London zostałoby zakłócone, gdyby musiała mieszkać w hotelu, kiedy jej mama przyjeżdża do miasta.

– Jej życie już zostało zakłócone – zauważyła Emily. – Nie może po prostu spać w pokoju gościnnym?

– Uważa, że to namiesza London w głowie.

– To zaproponuj, żeby się kładła, jak London już pójdzie spać, i niech nastawi budzik tak, żeby wstać przed nią. Kiedy jesteście razem, bądźcie dla siebie serdeczni. Wiem, że w tej sytuacji to trudne, ale nie niemożliwe. A już na pewno lepsze to, niż gdybyś miał opuszczać własny dom za każdym razem, gdy Vivian przyjeżdża z wizytą. To nie w porządku i nie zasługujesz na takie traktowanie.

– Masz rację – przyznałem, ale bałem się kolejnej kłótni, do której z pewnością dojdzie, gdy tylko poruszę ten temat. Vivian lepiej niż ktokolwiek wiedziała, jak mnie skrzywdzić, gdy nie dostała tego, czego chce.

– Kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w barze kawowym, pamiętasz, jak powiedziałam ci, że widziałam, jak podwozisz London?

– Pamiętam.

– Nie powiedziałam ci wtedy, że obserwowałam was przez jakiś czas. Widziałam, jak sobie z nią radzisz, jak przytuliła się do ciebie i powiedziała ci, że cię kocha. Każdy widzi, że jesteś dla niej najważniejszy.

Nie wiedzieć czemu, poczułem, że czerwienię się z zadowolenia.

– Cóż, jestem teraz jej jedynym rodzicem...

– Tu chodzi o coś więcej, Russ – przerwała mi. – Dla małych dziewczynek pierwszą miłością powinien być ojciec, ale nie zawsze tak jest. Kiedy tamtego dnia zobaczyłam, jak się żegnacie, urzekła mnie wasza bliskość. Dopiero po chwili cię rozpoznałam i wiedziałam, że muszę podejść i przywitać się. Więc poszłam za tobą.

– Daj spokój...

– Przysięgam na honor skauta – powiedziała, przykładając rękę do serca. – Znasz mnie. Działam pod wpływem chwili. Jestem artystką. Pamiętasz?

Roześmiałem się.

– Tak – rzuciłem. Spojrzałem jej w oczy i nie wiadomo dlaczego, zrobiło mi się miło. – Cieszę się, że wtedy do mnie podeszłaś. Nie wiem, w jakim byłbym teraz stanie, gdyby nie ty. Bardzo mi pomogłaś.

– Oto, czym się zajmuję – przyznała z łobuzerskim uśmiechem.

– Wiesz, co jest dziwne?

– Co?

– Nie pamiętam, jaka jesteś, kiedy się złościysz. Nie pamiętam nawet poważnych kłótni między nami. Powiedz mi więc: czy to się w ogóle złościysz?

– Oczywiście! I potrafię być przerażająca – ostrzegła.

– Nie wierzę.

– Więc nie próbuj się przekonać. Jestem jak grizzly, szakal i żarłacz ludojad w jednym. – Mówiąc to, zatoczyła łuk ręką. – Pomyślałam, że skoro jesteśmy w zoo, zwierzęce metafory będą jak najbardziej na miejscu.

*

Obejrzawszy zwierzęta Ameryki Północnej i ptaszarnię, poszliśmy na lunch. Mimo zjedzonych w ciągu ostatnich czterech godzin przekąsek Bodhi spałaszował talerz nuggetsów z kurczaka i frytek, a także czekoladowy koktajl mleczny. London zjadła jedną trzecią tego co on, ale jak na nią, to i tak było dużo. Ja i Emily nie byliśmy głodni, więc wypiliśmy tylko po butelce wody.

– Możemy teraz zobaczyć lwy? – dopytywał się Bodhi.

– Tak, ale najpierw posmaruję was jeszcze raz kremem z filtrem – odparła Emily. Słyszając to, dzieciaki zeskoczyły z krzeseł i pozwoliły się posmarować.

– Ja zawsze o tym zapominam – powiedziałem.

– Nigdy nie widziałeś licznej rodziny Davida. Mieszkali w Outback³, dosłownie na odludziu, i mieli takie zmarszczki, że ich głębokość można było mierzyć drewnianą linijką. Wiele osób korzysta ze słońca, ale widok jego rodziny na naszym weselu zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Od tamtej pory praktycznie nie wychodzę z domu bez kremu z filtrem.

– Dlatego masz skórę jak dwudziestolatka.

– Ha! Miło, że tak mówisz. Gdyby to jeszcze była prawda.

Kusiło mnie, żeby powiedzieć, że naprawdę tak myślę, ale zamiast tego zacząłem zbierać ze stołu tace.

– Kto jest gotowy na wyprawę do Afryki? – zapytałem.

Przyznaję, że afrykańska część zoo dużo bardziej przypadła mi do gustu. W dzieciństwie widziałem aligatory w rzece Cape Fear, piżmaki, bobry i rozmaite ptaki – w tym majestatycznego orła bielika – a nawet niedźwiedzia. Kiedy byłem dzieckiem, w Charlotte, naprzeciw szkoły podstawowej, do której chodziłem,

widziano, jak niedźwiedź przeszedł przez ulicę i wdrapał się na dąb. Właściwie był to niedźwiadek i choć taki widok należał do rzadkości, wszyscy wiedzieli, że w Karolinie Północnej żyją niedźwiedzie. Największy baribal został przecież zastrzelony w hrabstwie Craven. Może dlatego zwierzęta Ameryki Północnej nie wydały mi się aż tak egzotyczne.

Tymczasem nigdy dotąd nie widziałem zebry, żyrafy czy szympansa; nigdy nie stałem twarzą w twarz z pawianami ani nawet ze słoniami. Może widziałem je w cyrku – moja rodzina co roku chodziła do cyrku, kiedy przyjeżdżał do miasta – ale oglądanie tych zwierząt w środowisku przypominającym dzikie pustkowia Afryki wystarczyło, by nawet dzieciaki zatrzymały się na chwilę. London zrobiła moim telefonem przeszło sto zdjęć, przez co była jeszcze bardziej podekscytowana.

Ponieważ się nie spieszyliśmy, zakończyliśmy wycieczkę po zoo późnym popołudniem. W drodze powrotnej do samochodu zmęczone dzieciaki wlokły się za nami.

– Zupełnie jak w bajce o żółwiu i zającu – powiedziałem do Emily.

– Tyle że te zające biegały trzy razy szybciej, niż my chodziliśmy.

– Przynajmniej będą dobrze spały.

– Mam tylko nadzieję, że Bodhi nie zaśnie w samochodzie. Jeśli teraz prześpi dwie godziny, do północy będzie na nogach.

– O tym nie pomyślałem – przyznałem, nagle zmartwiony rozkładem zajęć London. – Tak samo, jak nie pomyślałem, żeby wziąć krem do opalania. Albo przekąski. Naturalnie dopiero się uczę samotnie wychowywać dziecko.

– W kwestii wychowywania dzieci wszyscy się ciągle czegoś uczymy – odparła. – Na tym polega bycie rodzicem.

– Ty najwyraźniej wiesz, co robisz.

– Czasami – przyznała. – Nie zawsze. W tym tygodniu, kiedy Bodhi był chory, nie wiedziałam, czy skakać koło niego, czy potraktować przeziębienie jak coś oczywistego.

– Wiem, jak zareagowaliby moi rodzice – powiedziałem. – Dopóki krew nie lała się strumieniami, nie miałem otwartych złamań albo gorączki, od której mógł usmażyć mi się mózg, wzruszali ramionami i powtarzali, że jakoś przeżyję.

– Wygląda na to, że mieli rację. A to znaczy, że może za bardzo chucham na Bodhiego. Kto wie, czy nie spodoba mu się bycie chorym, bo będzie wiedział, że może wtedy liczyć na specjalne traktowanie?

– Dlaczego tak trudno być dobrym rodzicem?

– Nie musisz być naprawdę dobrym rodzicem – odparła. – Musisz tylko być wystarczająco dobry.

Kiedy zastanawiałem się nad tym, co powiedziała, uświadomiłem sobie, dlaczego moi rodzice i Marge tak bardzo lubili Emily. Bo tak jak oni była mądra.

ROZDZIAŁ 19

Odnaleźć własną drogę

Wesele w Chapel Hill utwierdziło mnie w przekonaniu, że chcę znowu zobaczyć Emily. Zanim pokrojono tort, a panna młoda rzuciła bukiet ślubny, Emily i ja tańczyliśmy tyle razy, że nie jestem w stanie policzyć. Kiedy zespół robił sobie przerwę, wychodziliśmy na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Nad naszymi głowami wisiał nisko wielki pomarańczowy księżyc i widziałem, że Emily patrzy na niego ze zdziwieniem, które sam czułem.

– Ciekawe, dlaczego jest pomarańczowy – zastanawiałem się na głos. Ku mojemu zdumieniu odpowiedziała.

– Kiedy księżyc jest nisko, światło rozprasza się, bo musi pokonać więcej warstw atmosfery, niż kiedy jest wysoko w górze. Zanim światło osiągnie naszych oczu, niebieskie, zielone i fioletowe cząsteczki spektrum rozpraszają się, a my widzimy jedynie żółte, pomarańczowe i czerwone.

– Skąd to wiesz? – spytałem, odwracając się w jej stronę.

– Tata tłumaczył mi to za każdym razem, gdy widzieliśmy coś takiego – odparła, wskazując głową wiszącą nad horyzontem płonącą kulę. – Z czasem zapamiętałam.

– I tak jestem pod wrażeniem.

– Niepotrzebnie. O nocnym niebie wiem tylko tyle, gdzie znaleźć Wielki Wóz. Na przykład wiem, że te dwie gwiazdy, o tam, to prawdopodobnie planety, ale nie potrafię ich nazwać.

Spojrzałem we wskazanym kierunku.

– Tamta, nad drzewem? To Wenus.

– Skąd wiesz?
– Bo jest jaśniejsza od gwiazd.
Zmrużyła oczy.
– Jesteś pewien?
– Nie – odparłem, na co ona się roześmiała. – Ale tak mi powiedział ojciec. Kiedyś budził mnie w środku nocy, żebyśmy mogli oglądać deszcz meteorów.
Uśmiechnęła się tęsknie.
– Mój tata robił to samo – powiedziała. – A za każdym razem, gdy wyjeżdżaliśmy pod namiot, godzinami siedział ze mną i Jess i oglądaliśmy spadające gwiazdy.
– Jess?
– Moją starszą siostrą. Masz rodzeństwo?
– Też mam starszą siostrę, Marge. – Próbowałem wyobrazić sobie Emily w dzieciństwie z rodziną na biwaku. – Jakoś nie mogę wyobrazić sobie ciebie pod namiotem.
– Dlaczego? – Uniosła brwi.
– Nie wiem – przyznałem. – Może dlatego, że bardziej kojarzysz mi się z dziewczyną z miasta.
– Co to znaczy?
– No wiesz... bary kawowe, wieczorki poetyckie, galerie sztuki, udział w manifestacjach, głosująca socjalistka.
Roześmiała się.
– Jedno jest pewne... kompletnie mnie nie znasz.
– Cóż – odparłem, zbierając się na odwagę – chciałbym poznać cię lepiej. Co lubisz robić dla przyjemności?
– Zapraszasz mnie na randkę?
Czując na sobie jej spojrzenie, zacząłem się denerwować.
– Jeśli przyjemność sprawiają ci akrobacje spadochronowe albo strzelanie z łuku do jabłka na mojej głowie, to pytam jedynie dla podtrzymania rozmowy.
– A jeśli powiem, że kolacje i kino... – Uniosła brew.
– To bardziej w moim stylu.
Podparła brodę ręką i powoli pokręciła głową.

– Nie... kolacje i kino są takie oklepane – uznała w końcu. – Co powiesz na pieszą wycieczkę?

– Pieszą wycieczkę? – Patrząc na jej zabójcze szpilki, trudno było mi wyobrazić sobie, jak obcuje z naturą.

– Tak – odparła. – Co powiesz na górę Crowders? Moglibyśmy pójść szlakiem Rocktop.

– Nigdy tam nie byłem – przyznałem. Prawdę mówiąc, nawet o niej nie słyszałem.

– W takim razie jesteśmy umówieni – oświadczyła. – W przyszłą niedzielę?

Spojrzałem na nią, zastanawiając się, czy to ja umówiłem się z nią, czy ona ze mną i czy ma to jakieś znaczenie. Już wtedy wiedziałem, że Emily jest wyjątkowa, i nie miałem wątpliwości, że chcę ją poznać lepiej.

*

W niedzielę w wolnym czasie pracowałem nad trzecim spotem i wysłałem go do montażysty. Uwinąłem się z tym szybciej, niż przypuszczałem, a miałem niewiele czasu, bo resztę dnia zamierzałem spędzić z London.

Może to, co powiem, będzie niepoprawne politycznie, lecz fakt, że moja córeczka chodziła do szkoły, ułatwił mi życie. Kochałem ją, ale w niedzielę wieczorem padałem z nóg i marzyłem, żeby pójść do pracy, choćby dlatego, że było to łatwiejsze niż zabawianie pięciolatki przez szesnaście godzin.

Jednak w poniedziałek dobry nastrój opuścił mnie, jeszcze zanim dotarłem do biura. Odwiozłem London do szkoły, kiedy zadzwonił Taglieri, pytając, czym mógłbym wpaść do jego kancelarii.

Pół godziny później siedziałem naprzeciw niego w jego gabinecie. Zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli; na biurku piętrzyły się stosy papierów, które – jak się domyślałem – miały związek z bieżącymi sprawami.

– Dzięki, że wpadłeś – powiedział. – W piątek skontaktowałem się z prawniczką Vivian. Chciałem ją wy badać i zobaczyć, czy istnieje szansa, żeby wszystko przebiegło w miarę spokojnie.

– I?

– Niestety, jest dokładnie taka, jak ci mówiłem. Po rozmowie wszedłem na stronę kancelarii, bo chciałem zobaczyć, jak wygląda ta prawniczka. Sądząc po głosie, bardziej niż człowieka przypomina lodowy posąg. Aż bił od niej chłód.

Słuchając go, wyobrażałem sobie rozmaite scenariusze, z których żaden nie był dla mnie szczególnie dobry.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że, prawdopodobnie, będzie trudniej, niż mogłoby się wydawać. Wszystko zależy od tego, jak zażarcie zamierzasz walczyć.

– Bardziej niż na pieniądzech zależy mi na London. Chcę wspólnego sprawowania opieki.

– Rozumiem. – Mówiąc to, podniósł rękę. – Wiem, że tego chcesz. Ale nie jestem nawet pewien, co to znaczy. Vivian mieszka w Atlancie, a ponieważ chce ubiegać się o prawo stałego pobytu w Georgii, nie wróci tu. Pytanie brzmi: czy ty przeprowadzisz się do Atlanty?

– Dlaczego miałbym się przeprowadzać? Mój dom jest tu. Tu mam rodzinę i pracę.

– O to właśnie mi chodzi. Nawet jeśli sąd przyzna wam prawo do wspólnego sprawowania opieki, jak to sobie wyobrażasz? Wygląda na to, że nieczęsto będziesz miał okazję widywać London. Zakładam, że właśnie dlatego Vivian wniosła o sprawowanie wyłącznej opieki nad London. Chce jednak, żebyś miał prawo do widywania małej...

– Nie – przerwałem mu. – Nic z tego. Jestem jej ojcem. Mam swoje prawa.

– Owszem, masz. Ale obaj wiemy, że w takich sprawach sądy faworyzują kobiety. Poza tym prawniczka Vivian powiedziała, że jeszcze kilka miesięcy temu to głównie Vivian opiekowała się London.

– Pracowałem, żeby mogła siedzieć w domu!

Joey uniósł ręce i powiedział ze spokojem:

– Wiem i też uważam, że to nie w porządku. Ale w bitwach o prawa do opieki ojcowie stoją na straconej pozycji. Zwłaszcza w takich przypadkach.

– To ona się wyprowadziła. Zostawiła nas!

– Według jej prawniczki zrobiła to, bo nie dałeś jej wyboru. Nie byłeś w stanie utrzymać rodziny i wykorzystałeś znaczną część pieniędzy z konta oszczędnościowego. W tej sytuacji była zmuszona pójść do pracy.

– Nieprawda! Vivian podjęła pracę, bo chciała. Do niczego jej nie zmuszałem...

Taglieri spojrzał na mnie ze współczuciem.

– Wierzę ci. Jestem po twojej stronie, Russ. Po prostu powtarzam to, co powiedziała mi prawniczka Vivian. A przy okazji, może i jest królową lodu i może lubi dręczyć ludzi, ale nie boję się jej. Nigdy dotąd nie mierzyła się z Buldogiem, a ja jestem dobry w tym, co robię. Chciałem tylko przekazać ci najnowsze wieści i przygotować cię na to, co się wydarzy. To paskudna sprawa, a w ciągu najbliższych miesięcy będzie jeszcze gorzej.

– Co mam robić?

– Na razie nic. Jeszcze za wcześnie. Co do porozumienia w sprawie ugody małżeńskiej, które ci wysłała, udawaj, że go nie ma. Przygotuję odpowiedź i dam ci ją do wglądu; mam kilka pomysłów. Przez najbliższe tygodnie jestem zawałony robotą, więc będziesz musiał zaczekać. Nie przejmuj się, gdybym się nie odzywał. Ludzie w takich sytuacjach liczą, że dostaną wszystko tak szybko, jak się da, ale to tak nie działa. Przede wszystkim chcę z nią porozmawiać, ale nawet wtedy nie będzie pośpiechu. Na razie London wciąż mieszka z tobą. To dobrze i im dłużej tak będzie, tym lepiej dla ciebie. Pamiętaj też, że Vivian może wnieść o rozwód najwcześniej w marcu, więc wciąż mamy czas, żeby popracować nad ugodą, którą zaakceptują obie strony. Do tego czasu możesz porozmawiać z Vivian i zobaczyć, czy jest coś, na

co oboje się zgodzicie. Nie mówię, że ona przystanie na coś takiego, właściwie wątpię, żeby tak było, ale warto spróbować.

– A jeśli nie będzie chciała iść na ugodę?

– Rób to, co do tej pory. Bądź dobrym ojcem, spędzaj czas z córką, dbaj o to, żeby chodziła do szkoły, dobrze się odżywiała i spała. Nawet nie wiesz, jakie to ważne. Pamiętaj, że zawsze możemy powołać psychologa, żeby porozmawiał z London i przedstawił w sądzie swój raport...

– Nie – przerwałem mu. – Nie mam zamiaru angażować w to London. Nie dopuszczę do tego, żeby musiała wybierać między matką a ojcem.

Taglieri spuścił wzrok.

– Nawet jeśli ty myślisz, że to kiepski pomysł, Vivian może być innego zdania, bo upatrzy w tym swoją szansę.

– Nie zrobiłaby tego – zapewniłem go. – Uwielbia London.

– Właśnie dlatego, że ją uwielbia – odparł. – Nie zdziw się więc, jeśli zrobi wszystko, żeby uzyskać wyłączone prawo opieki.

*

Po spotkaniu z Taglierim byłem bardziej zły i przerażony, niż kiedy Vivian odeszła. W biurze aż gotowałem się ze złości. Zadzwoiłem do siostry i powtórzyłem jej wszystko, czego się dowiedziałem; Marge była równie wściekła, jak ja. Kiedy nazwała Vivian suką, zgodziłem się z nią.

Jednak ta rozmowa nie sprawiła, że poczułem się lepiej. W końcu zadzwoniłem do Emily i spytałem, czy nie poszłaby ze mną na lunch.

Ponieważ miałem kiepski humor, nie chciałem iść do restauracji. Zamiast tego umówiłem się z nią przy stołach piknikowych w parku niedaleko domu. Nie wiedząc, na co będzie miała ochotę, zamówiłem dwie kanapki i dwa rodzaje zup. Dodałem do zamówienia frytki i dwie butelki soku owocowego Snapple.

Wjeżdżając na wysypany żwirem parking, zobaczyłem Emily, która siedziała przy jednym ze stolików. Zaparkowałem obok niej, wziąłem jedzenie i ruszyłem w jej stronę.

Musiałem wyglądać na zdenerwowanego, bo widząc mnie, wstała i przytuliła mnie na powitanie. Miała na sobie szorty, bluzkę chłopkę i sandały; wyglądała jak wtedy, gdy spacerowaliśmy po polu golfowym.

– Zapytałabym, co słyhać, ale wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że coś jest nie tak.

– Zdecydowanie – przyznałem, bardziej zaaferowany jej bliskością, niż byłem w stanie przyznać przed samym sobą. – Dzięki, że zgodziłaś się ze mną spotkać.

– Nie ma sprawy. – Usiadła, a ja rozłożyłem jedzenie na stole i zająłem miejsce naprzeciw niej. Za nami dzieciaki wspinały się na drewnianą konstrukcję ze zjeżdżalnicami, mostkami i huśtawkami. Matki stały z boku albo siedziały na ławkach; niektóre rozmawiały przez telefon.

– Co się dzieje?

Opowiedziałem jej o rozmowie, którą odbyłem z Taglierim. Słuchała, w skupieniu marszcząc brwi, a gdy skończyłem, wzięła gwałtowny wdech i z niedowierzaniem zmrużyła oczy.

– Myślisz, że byłaby w stanie to zrobić? Posłużyć się London w rozgrywce między wami?

– Taglieri nie powiedział, że na pewno to zrobi. Ale uważa, że to całkiem prawdopodobne.

– To straszne. Nic dziwnego, że jesteś zdenerwowany. Też bym się wściekła.

– To mało powiedziane. W tej chwili nie mogę znieść myśli o niej. Dziwne, bo odkąd odeszła, jedyne, czego chciałem, to ją zobaczyć.

– To naprawdę trudne – odparła Emily. – Nie wiesz jak bardzo, dopóki tego nie doświadczysz.

– David taki nie był, prawda? Mówiłaś, że w kwestii pieniędzy i opieki nad Bodhim zachował się jak należy.

– Ale i tak było strasznie. Kiedy odszedł, spotykał się z kimś, i przez kolejny miesiąc słyszałam od znajomych, że widzieli go z tamtą kobietą i że zachowywał się, jakby nic go nie obchodziło. Zupełnie jakby koniec naszego małżeństwa i to, że mnie stracił, nic dla niego nie znaczyło. Owszem, potem zachował się w porządku, ale z początku wcale tak nie było. Najpierw mówił, że zabierze Bodhiego do Australii.

– Nie mógłby tego zrobić, prawda?

– Pewnie nie. Bodhi jest obywatelem amerykańskim, ale nie spałam przez to kilka tygodni. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym nie widzieć swojego synka.

Ja czułem dokładnie to samo.

*

Po lunchu zamiast do biura wróciłem do domu. Na kominku stało kilkanaście zdjęć, głównie London. Mieszkałem w tym domu przez tyle lat i dopiero teraz zauważyłem, że na wielu z nich London towarzyszy Vivian – niemal wszystkie pochodziły z profesjonalnych sesji – podczas gdy ja pojawiałem się na kilku nieupozowanych fotografiach.

Patrząc na nie, zastanawiałem się, od jak dawna Vivian uważała, że nie odgrywam istotnej roli w życiu naszej córeczki. Może za bardzo się czepiałem – podczas gdy ja pracowałem, Vivian była z London, stąd więcej zdjęć – ale dlaczego moja żona, widząc to, nie zareagowała? Dlaczego nie próbowała uchwycić w obiektywie więcej chwil, kiedy byliśmy we trójkę, tak by London wiedziała, że kocham ją równie mocno, jak jej matka?

Nie byłem pewien. Wiedziałem tylko, że nie chcę, żeby wszystko przypominało mi o Vivian, i dlatego pewne rzeczy muszą się zmienić. Z tym nowym postanowieniem chodziłem po domu i zbierałem zdjęcia, na których była Vivian. Nie zamierzałem ich wyrzucać; kilka ustawiłem w pokoju London, a resztę włożyłem do pudełka, żeby Vivian mogła wziąć je z sobą do Atlanty, i schowałem do szafy. Następnie przebrałem się

w koszulkę i szorty, wszedłem do salonu i zacząłem przestawiać meble. Kanapy, krzesła, lampy – zmieniłem nawet obraz na ten, który do tej pory wisiał w gabinecie. Nie powiem, że po wszystkim pokój wyglądał lepiej – Vivian miała zmysł dekoratorski – ale na pewno inaczej. To samo zrobiłem w gabinecie – przestawiłem biurko na przeciwległą ścianę, przesunąłem półkę z książkami i poprzewieszałem obrazy. W sypialni przestawiłem wszystkie meble z wyjątkiem łóżka i zmieniłem narzutę na taką, która od lat leżała schowana w bielizniarce.

W innej szafce znalazłem rozmaite dekoracje i przez kilka minut wyciągałem wazony, lampy i ozdobne miski. Z zamiłowania Vivian do zakupów wynikło tyle dobrego, że szafy dosłownie pękały w szwach.

Kiedy London wróciła ze szkoły, zdumionym wzrokiem rozglądała się dookoła.

– Wygląda jak nowy dom, tatusiu.

– Troszkę – przyznałem. – Podoba ci się?

– Bardzo! – pisnęła. Choć jej aprobata sprawiła, że poczułem się lepiej, podejrzewałem, że do głowy by jej nie przyszło, żeby mnie skrytykować. Poza lekcjami tańca London lubiła wszystko.

– Cieszę się – powiedziałem. – W twoim pokoju niczego nie ruszałem.

– Mogłeś przestawić klatkę dla chomików.

– Chcesz, żebym to zrobił?

– W nocy hałasują. Jak tylko zrobi się ciemno, zaczynają biegać na kółku.

– To dlatego, że to nocne zwierzęta.

Spojrzała na mnie, jakbym był szalony.

– Wcale nie są mocne. Przecież to chomiki.

– Nocne – sprostowałem. – To znaczy, że lubią spać w dzień.

– Czyli nie tęsknią za mną, kiedy jestem w szkole?

– Właśnie. – Uśmiechnąłem się.

Zamilkła na chwilę.

– Tatusiu?

Uwielbiałem, kiedy tak do mnie mówiła. Robiła to, gdy chciała zadać mi jakieś pytanie, i zastanawiałem się, w jakim wieku przestanie mnie tak nazywać. I czy w ogóle to zauważę.

– Tak, skarbie?

– Możemy pójść na rower?

Po porannym treningu i przemeblowaniu domu byłem wykończony, ale „tatusiu” wygrało, jak zwykle.

*

Pierwszy raz nasmarowałem córkę kremem z filtrem.

Co prawda był koniec września i słońce chyliło się ku zachodowi, więc trochę się spóźniłem.

London włożyła kask i po tym, jak pomogłem jej ruszyć – nadal nie potrafiła zrobić tego sama – wskoczyłem na siodełko i chwilę później zrównałem się z nią.

Podczas gdy drogi w okolicy były cudownie szerokie i równe, ulice na obrzeżach dzielnicy prowadziły przez niewysokie pagórki. W młodości prawdopodobnie uznałbym je za nudne. Woląłem zjeżdżać na złamanie karku z najbardziej stromych wzniesień i tak mocno ścisnąć kierownicę, że drętwiały mi palce. Ale pod tym względem ja i córka się różniliśmy. Myśl o tym, że mogłaby jechać coraz szybciej bez pedałowania, sprawiała, że London robiła się nerwowa, dlatego unikaliśmy wszelkich pagórków.

Z początku było to zrozumiałe, ale czułem, że jest już na tym etapie, że powinna dać sobie radę na niewielkim wzniesieniu, dlatego jechaliśmy w tamtą stronę.

Niestety w powietrzu roiło się od komarów i patrzyłem, jak London próbuje się od nich opędzić. Kiedy na chwilę puściła kierownicę, rower się zachwiał, ale nie wyglądało to groźnie. Moja mała dziewczynka przebyła długą drogę, odkąd pierwszy raz wsiadła na rower. Mocniej nacisnąłem na pedały, żeby ją dogonić.

– Świetnie ci idzie! – zawołałem.

- Dziękuję – odparła.
- Może kiedyś zabierzemy Bodhiego na przejażdżkę.
- On jeszcze nie umie jeździć na rowerze. Dalej używa bocznych kółek.

Kiedy to powiedziała, przypomniałem sobie, że Emily mówiła to samo.

- Myślisz, że jesteś gotowa zjechać ze wzgórza?
- Nie wiem – odparła, patrząc na mnie z ukosa. – Trochę się boję.
- To nie takie straszne – zapewniłem ją. – Zresztą szybka jazda jest fajna.

Puściła kierownicę, żeby podrapać się po ramieniu, i rower znów niebezpiecznie się zakołysał.

- Chyba użądlił mnie komar.
- Możliwe. Ale komary nie żądają, tylko gryzą.
- Ale to swędzi.
- Wiem. Kiedy wrócimy do domu, posmaruję ci rękę żelem na ugryzienia.

W końcu dotarliśmy do pagórkowatej części okolicy i pedałując, wjeżdżaliśmy na wzgórze. Druga strona była bardziej stroma i gdy dotarliśmy na szczyt, London zatrzymała się i zsiadła z roweru.

- I jak? – spytałem.
- Trochę tu wysoko – odezwała się drżącym głosem.
- Myślę, że dasz radę – zachęciłem ją. – Może spróbujemy?

Jako dzieciak nawet nie nazwałbym tego wzniesienia wzgórzem. Oczywiście moje wspomnienia sprzed dwudziestu pięciu lat zdążyły się już zatrzeć, ale miałem wrażenie, że od zawsze potrafiłem jeździć na rowerze. Może zapomniałem, jakie lęki towarzyszą dziecku, które dopiero uczy się jeździć.

Mówię tak teraz, bo wiem, co wydarzyło się później. Powiem też, że gdyby nie ciąg nieprzewidzianych wydarzeń – z których jedno prowadziło do drugiego, tworząc efekt domina – najprawdopodobniej nic by się nie stało. Ale się stało.

Kiedy tylko London wsiadła na rower, zachwiała się i zjechała ze środka drogi na lewe pobocze. Zrobiła to dużo gwałtowniej niż wcześniej i myślę, że opanowałaby sytuację, gdyby nie widoczny jakieś dwadzieścia metrów z przodu samochód, który wycofywał z podjazdu. Wątpiłem, czy kierowca nas widział; przy drodze rósł żywopłot, a London była drobna. Co więcej, sądząc po tym, z jaką prędkością wyjeżdżał spod domu, kierowcy musiało się spieszyć. London, widząc samochód, zjechała jeszcze bardziej w lewo, jednocześnie odganiając ręką komara. Nagle tuż przed nią wyrosła wmurowana w ziemię skrzynka pocztowa.

Przednia opona roweru London złapała pobocze.

– Uważaj! – krzyknąłem, kiedy rower złowieszczo zakołysał się na boki. London próbowała chwycić kierownicę, ale ta wyslizgnęła jej się z reki. Wiedziałem już, co się stanie, i przerażony patrzyłem, jak przednie koło zatrzymało się gwałtownie. London przeleciała nad kierownicą, z głuchym hukiem uderzając głową i górną partią ciała w skrzynkę na listy.

Zeskoczyłem z roweru i wołając córkę, rzuciłem się w jej stronę. Przednie koło wciąż jeszcze się obracało. Ledwie zauważyłem zaskoczenie na twarzy kierowcy i przypadłem do wiotkiego ciała London. Leżała twarzą do ziemi, milcząca i nieruchoma. Spanikowany odwróciłem ją.

Tyle krwi.

O Boże, o Boże, o Boże...

Nie wiem, czy mówiłem to na głos, czy powtarzałem w myślach; czułem, że żołądek podchodzi mi do gardła. Oczy miała zamknięte, jej ręka bezwładnie opadła na ziemię, zupełnie jakby London spała.

Tyle że nie spała.

Jej nadgarstek wyglądał, jakby ktoś zaszył pod skórą połówkę cytryny.

Nigdy w życiu tak się nie bałem. Modliłem się o znak, że żyje, ale przez długą chwilę, która wydała mi się wiecznością, nic takiego się nie wydarzyło. W końcu jej powieki załopotwały

i usłyszałem, jak gwałtownie wciąga powietrze. Krzyk, który nastąpił później, był rozdzierający.

Kierowca odjechał i wątpiłem, czy w ogóle widział, co się stało. Nie miałem telefonu, więc nie mogłem zadzwonić pod 911. Pomyślałem, żeby pobiec do domu – jakiegokolwiek domu – i zadzwonić na pogotowie, ale nie chciałem zostawiać córeczki. Miałem w głowie gonitwę myśli i wiedziałem tylko, że London musi jechać do szpitala.

Szpital...

Wziąłem ją na ręce i tuląc do piersi, zacząłem biec.

Gnałem przez okolicę, nie czując rąk ani nóg, z jedną tylko myślą.

Kiedy dotarłem do domu, otworzyłem drzwi samochodu i położyłem London na tylnym siedzeniu. Krew z rany na głowie wsiąkała w koszulkę, która wyglądała, jakby zamoczono ją w czerwonej farbie.

Wbiegłem do domu, żeby wziąć kluczyki i portfel, i wychodząc, tak głośno trzasnąłem drzwiami, że zadzwoniły szyby w oknach. Chwilę później usiadłem za kierownicą, uruchomiłem silnik i ruszyłem z piskiem opon.

London leżała bez ruchu, oczy miała zamknięte.

Zastrzyk adrenaliny wyostrzył mi zmysły i nigdy nie byłem bardziej świadomy tego, co dzieje się wokół mnie, niż w tamtym momencie, gdy pędziłem na złamanie karku. Mijałem kolejne domy, zatrzymałem się przed znakiem stop i chwilę później ruszyłem.

Wyjechawszy na główną drogę, jadąc slalomem, wyprzedzałem kolejne samochody. Zatrzymałem się na czerwonym świetle i zaraz potem, nie bacząc na wściekłe trąbienie innych kierowców, wcisnąłem pedał gazu.

London leżała cicha i przerażająco bezwładna.

Piętnastominutową drogę pokonałem w niespełna siedem minut i zatrzymałem się przed wejściem na oddział nagłych wypadków. Wziąłem London na ręce i wbiegłem z nią do poczekalni.

Pielęgniarka, która na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać, kiedy sytuacja jest poważna, zerwała się zza biurka.

– Tędy! – krzyknęła, wskazując podwójne drzwi.

Wpadłem za nią do gabinetu i położyłem córkę na leżance, podczas gdy pielęgniarka wybiegła i chwilę później wróciła w towarzystwie lekarza.

Próbowałem wyjaśnić, co się stało, tymczasem lekarz uniósł powieki London i poświecił jej w oczy latarką. Ruchy miał zwawe i co chwila wydawał pielęgniarkom polecenia.

– Myślę, że była nieprzytomna – wyjaśniłem, czując, jak ogarnia mnie bezsilność. Słyszając to, lekarz bąknął w żargonie lekarskim coś, czego nie byłem w stanie zrozumieć. Pielęgniarka starła krew z twarzy London, a lekarz zbadał nadgarstek.

– Wyjdzie z tego? – spytałem w końcu.

– Musimy zrobić tomografię komputerową – odparł. – Ale najpierw muszę zatamować krwawienie. – Czas zwolnił, gdy patrzyłem, jak pielęgniarka ostrożnie przemywa twarz London wacikiem nasączonym środkiem antyseptycznym, odsłaniając długie na półtora centymetra rozcięcie na łuku brwiowym. – Możemy to zszyć, ale żeby blizna była jak najmniej widoczna, proponuję wezwać chirurga plastycznego. Zobaczę, kto ma dyżur, chyba że woli pan zadzwonić do znajomego lekarza.

Mój nowy klient!

Wymieniłem jego nazwisko, na co lekarz pokiwał głową.

– Jest bardzo dobry – powiedział i zwrócił się do jednej z pielęgniarek. – Zobacz, czy może tu przyjechać. Jeśli nie, sprawdź, kto dyżuruje pod telefonem.

Kiedy dwie pielęgniarki wjechały do gabinetu z noszami na kółkach, London drgnęła i zaczęła pojękiwać. Natychmiast przypadłem do niej i zacząłem mówić, ale wzrok miała nieobecny i chyba nie wiedziała, gdzie jest. Wszystko działo się tak szybko...

Słuchając, jak lekarz zadaje jej pytania, myślałem tylko o tym, że to ja namówiłem ją, żeby zjechała z górki.

Co ze mnie za ojciec!

Jaki ojciec zachęcałby dziecko do podejmowania takiego ryzyka?

Byłem pewien, że patrząc na mnie, lekarz zadaje sobie to samo pytanie. Przyglądałem się, jak pielęgniarki zakładają opatrunek i owijają głowę mojej córki bandażem.

– Musimy ją teraz zabrać – powiedział lekarz i nie czekając na moją odpowiedź, wywieźli London z gabinetu.

*

Wypełniłem dokumenty do ubezpieczenia i ze szpitalnego telefonu zadzwoniłem do Marge. Obiecała, że w drodze do szpitala podjedzie do mnie do domu i weźmie mój telefon. Miała też powiadomić Liz i moich rodziców.

Splótszy ręce, siedziałem w poczekalni ze spuszczoną głową i pierwszy raz od lat modliłem się; prosiłem Boga, żeby moja mała córeczka wróciła do zdrowia, i nienawidziłem siebie za to, co zrobiłem.

Pierwszy przyjechał mój ojciec, który akurat wykonywał zlecenie kilka przecznic dalej. Sprężystym krokiem wszedł do szpitala, twarz miał ściągniętą z niepokoju. Kiedy powiedziałem mu, co się wydarzyło, nie objął mnie ani nie oczekiwał, że ja go przytulę, tylko usiadł obok mnie na szpitalnym krześle. Albo raczej osunął się na nie. Patrzyłem, jak zamknął oczy, a gdy w końcu je otworzył, unikał mojego wzroku.

Uświadomiłem sobie, że jest równie przerażony, jak ja.

Następna przyjechała Liz, potem mama i na końcu Marge, która była bledsza niż zwykle. W przeciwieństwie do ojca wszystkie chciały, żeby je przytulić. Mama płakała. Liz złączyła dłonie jak do modlitwy. Marge oddychała z trudem, dostała ataku kaszlu i musiała użyć inhalatora.

W końcu odezwał się ojciec.

– Nic jej nie będzie – zapewnił nas.

Wiedziałem jednak, że powiedział to, bo sam chciał w to wierzyć, a nie dlatego, że tak myślał.

*

Wkrótce potem przyjechał mój klient, chirurg plastyczny, i widząc go, zerwałem się z krzesła.

– Dziękuję, że pan przyjechał – powitałem go. – Nie wie pan nawet, ile to dla mnie znaczy.

– Nie ma problemu. Sam mam dzieci, więc doskonale pana rozumiem. Zobaczę, co da się zrobić.

Po tych słowach zniknął za podwójnymi drzwiami.

*

Czekaliśmy.

I czekaliśmy, trwając w koszmarnym stanie zawieszenia.

W końcu pojawili się lekarze.

Bezskutecznie próbowałem wyczytać coś z ich twarzy, kiedy ruchem ręki zaprosili nas do jednej z sal.

– Jestem niemal pewny, że nic jej nie będzie – oświadczył bez zbędnych wstępów ten, który ją przyjmował. – Tomograf nie wykazał żadnych śladów krwiałków podtwardówkowych ani innych urazów mózgu. London jest w pełni przytomna i była w stanie odpowiedzieć na nasze pytania. Wiedziała, gdzie jest i co się stało. To dobre oznaki.

Poczułem się, jakby całe moje ciało wypuściło długo wstrzymywany oddech.

– Ponieważ przez jakiś czas była nieprzytomna, zatrzymamy ją na noc na obserwację. Tak na wszelki wypadek. W rzadkich przypadkach obrzęk pojawia się później, ale tu raczej się tego nie spodziewam. Po prostu chcemy mieć pewność. Naturalnie przez kilka dni London będzie musiała uważać. Myślę, że w środę będzie mogła wrócić do szkoły, ale żadnej aktywności fizycznej przez co najmniej tydzień.

– A rozcięcie na czole?

– Rana była czysta – odezwał się mój klient. Zszyłem ją od wewnątrz i z zewnątrz. Przez kilka lat London będzie miała

delikatną bliznę, która z czasem powinna zniknąć.

Pokiwałem głową.

– A ręka?

– Nadgarstek – wyjaśnił lekarz z oddziału nagłych wypadków.

– Prześwietlenie nie wykazało żadnych złamań, ale opuchlizna jest tak duża, że nie możemy być pewni. W nadgarstku jest kilka drobnych kości, dlatego na chwilę obecną nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy któraś z nich nie jest złamana. Podejrzewamy, że doszło do poważnego skręcenia, ale za tydzień, dwa trzeba będzie powtórzyć prześwietlenie. Do tego czasu ręka będzie unieruchomiona.

Utrata przytomności. Blizna. Skręcony albo złamany nadgarstek. Poczulem się wyczerpany.

– Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście – odparł lekarz. – W tej chwili ma zakładaną szynę, ale niebawem zostanie przeniesiona do jednoosobowego pokoju. Zważywszy na to, co się stało, miała szczęście. Dobrze, że miała na głowie kask. Mogło być znacznie gorzej.

Dzięki Bogu, że Vivian uparła się, żeby London jeździła w kasku, pomyślałem.

Vivian...

Zupełnie zapomniałem do niej zadzwonić.

*

– Jak się czujesz, skarbie?

London wyglądała lepiej, niż kiedy przywiozłem ją do szpitala, ale z pewnością nie była tą samą małą dziewczynką, która po południu wskoczyła na rower. Miała na głowie duży, biały bandaż, a wsadzony w szynę nadgarstek wydawał się maleńki. Sprawiała wrażenie bladej i kruchej, jak gdyby szpitalne łóżko powoli ją pochłaniało.

Moi rodzice, Liz i Marge stłoczyli się w pokoju i po uściskach, pocałunkach i opowieściach o tym, jak bardzo się wystraszyli,

usiadłem na łóżku obok London. Wziąłem ją za zdrową rękę, a ona delikatnie ścisnęła moją dłoń.

– Boli mnie głowa – powiedziała. – I ręka.

– Wiem – odparłem. – Tak mi przykro, kochanie.

– Nie lubię kremu do opalania – oburzyła się słabym głosem. –

Przez niego kierownica zrobiła się śliska.

Przypomniałem sobie, jak drapała się po rękach.

– Nie pomyślałem o tym – przyznałem. – Zresztą pewnie i tak nie musimy go używać, bo lato dobiega końca.

– Czy z moim rowerem wszystko w porządku?

Uświadomiłem sobie, że zostawiłem oba rowery tam, gdzie London się przewróciła. Zastanawiałem się, czy ktoś domyślił się, że coś się stało, i zabrał mój rower z drogi. Może nawet kierowca samochodu, który widzieliśmy. Byłem pewien, że kiedy po nie wrócę, będą na swoim miejscu; to była miła, spokojna okolica.

– Na pewno, a nawet jeśli nie, naprawimy go. Albo kupimy ci nowy.

– Czy mamusia przyjedzie?

Naprawdę muszę zadzwonić, pomyślałem.

– Dowiem się, dobrze? Na pewno będzie chciała z tobą porozmawiać.

– Dobrze, tatusiu.

Pocałowałem ją w czubek głowy.

– Zaraz wrócę.

Kiedy wyszedłem na korytarz, reszta rodziny stłoczyła się wokół łóżka. Szukając prywatności, skierowałem się w stronę windy. Nie chciałem, żeby którakolwiek z bliskich mi osób – zwłaszcza London – usłyszała rozmowę, której tak bardzo się obawiałem. Sprawdziłem telefon i zobaczyłem, że Vivian dzwoniła dwukrotnie; na pewno chciała rozmawiać z córką. Wybrałem jej numer i poczułem, że coś ścisną mnie za żołądek.

– London? – To były jej pierwsze słowa.

– Nie, to ja, Russ. Od razu chcę ci powiedzieć, że London nic nie jest. Za chwilę dam ci ją do telefonu, ale powinnaś wiedzieć, że wszystko jest dobrze.

– O czym ty mówisz? Co się stało? – Przerazenie w głosie Vivian przeszło mnie jak elektrowstrząsy.

– Jeździliśmy na rowerach i London się przewróciła. Skręciła nadgarstek i rozcięła czoło. Musiałem ją zawieźć do szpitala...

– Szpitala?

– Tak – odparłem. – Pozwól mi skończyć, dobrze? – Wziąłem oddech i opowiedziałem jej, co się stało. O dziwo, nie przerywała mi ani nie podniosła głosu. Oddychała płytko i szybko, a kiedy skończyłem, usłyszałem, że płacze.

– Na pewno nic jej nie jest? Nie mówisz tak tylko po to, żeby mnie uspokoić?

– Na pewno. Tak jak obiecałem, zaraz dam ci ją do telefonu. Wyszedłem z pokoju, żeby do ciebie zadzwonić.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej?

– Wiem, powinienem. Przepraszam. Byłem tak przerażony, że nie myślałem jasno.

– Oczywiście, rozumiem. Ja... – Zawahała się. – Zaczekaj chwilę, dobrze?

Cisza, która zapadła w słuchawce, trwała dłużej niż chwilę; czekałem niemal minutę, zanim znów usłyszałem jej głos.

– Jadę na lotnisko. Dziś wieczorem chcę być przy niej.

Chciałem jej powiedzieć, że nie ma takiej potrzeby, ale wiedziałem, że na jej miejscu zrobiłbym wszystko, żeby być przy córce.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Oczywiście.

Wróciłem do pokoju. London przycisnęła telefon do ucha, ale i tak słyszałem, co mówi Vivian.

Nie wspomniała o mnie ani słowem; cała jej uwaga była skupiona na London. Pod koniec usłyszałem, że chce zamienić ze mną jeszcze słowo. Tym razem nie czułem potrzeby wychodzenia z pokoju.

– No hej – rzuciłem do słuchawki.

– Wygląda na to, że nic jej nie jest – powiedziała z wyraźną ulgą. – Dzięki, że się nią zająłeś. Jestem już w samochodzie, za

niecałe dwie godziny powinnam być na miejscu.

Pewnie dzięki prywatnemu odrzutowcowi Spannermana, pomyślałem. Dlatego wcześniej zawiesiła połączenie. Żeby go zapytać.

– Będę w szpitalu. Daj znać, kiedy wylądujesz.

– Jasne.

*

Wylądowawszy, wysłała mi wiadomość. Przez chwilę zastanawiałem się, czy dyskretnie nie dać mojej rodzinie do zrozumienia, że powinni już iść, ale zbeształem się w myślach za to, że coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy. London była w szpitalu i mieli prawo zostać tak długo, jak długo trwały odwiedziny. Przecież tak właśnie postępuje rodzina. Koniec tematu.

Przypuszczałem jednak, że moją rodziną kieruje naturalna ciekawość. Rodzice nie widzieli Vivian od ponad miesiąca – od dnia, kiedy London poszła do szkoły – a Marge i Liz jeszcze dłużej. Jestem pewien, że zastanawiali się, czy nowa Vivian różni się od tej, którą znali od lat. I, oczywiście, jak wyglądają nasze relacje.

Do pokoju weszła pielęgniarka, żeby zobaczyć, jak czuje się moja córka; zaraz za nią pojawił się lekarz i zadał London kilka pytań. Słabym, zmęczonym głosem poprawnie odpowiedziała na każde z nich. Doktor wyjaśnił, że będą monitorować jej stan regularnie przez najbliższe kilka godzin. Kiedy wyszedł, znalazłem kanał w telewizji, na którym nadawano *Scooby-Doo*, i choć London wpatrywała się w telewizor, wyglądała, jakby lada chwila miała zasnąć.

Kilka minut później przyjechała Vivian. W podartych na kolanach spranych dżinsach, czarnych sandałkach i cienkim, czarnym sweterku wyglądała elegancko jak zawsze, choć widać było, że się martwi.

– Cześć wszystkim – rzuciła bez tchu. – Przyjechałam najszybciej, jak się dało.

– Mamusia!

Podbiegła do London i obsypała ją pocałunkami.

– Kochanie... miałaś wypadek, co?

– Mam rozcięte czoło.

Vivian usiadła na łóżku, w jej oczach zalśniły łzy.

– Wiem. Tatuś mi powiedział. Cieszę się, że miałaś kask.

– Ja też – przytaknęła London.

Vivian jeszcze raz pocałowała ją w czoło.

– Przywitam się ze wszystkimi, dobrze? A później z tobą posiedzę.

– Dobrze, mamusiu.

Wstała z łóżka, podeszła do moich rodziców i jak gdyby nigdy nic uścisnęła ich, a zaraz potem Marge i Liz. Dopiero później uświadomiłem sobie, że kilka razy w życiu widziałem, jak je obejmuje. Ku mojemu zaskoczeniu mnie również uściskała.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedziała. – Wiem, że dzięki temu London czuje się lepiej.

– Oczywiście – odezwała się moja mama.

– To mała twardzielka – dodał ojciec.

– Już prawie po odwiedzinach – zauważyła Marge. – Ja i Liz będziemy się zbierać. Zostawimy was na trochę samych.

– My też. – Ojciec pokiwał głową. – Posiedźcie razem.

Patrzyłem, jak zbierają swoje rzeczy, i razem wyszliśmy na korytarz. Podobnie jak Vivian objąłem ich i podziękowałem, że przyjechali. Z ich oczu wyczytałem pytania, które chcieli mi zadać, ale się powstrzymali. Zresztą, nawet gdyby wypowiedzieli je na głos, wątpię, bym potrafił im odpowiedzieć.

Kiedy wróciłem do pokoju, Vivian siedziała obok córki na łóżku. London opowiadała jej o wycofującym spod domu samochodzie i o tym, jak przez krem do opalania miała śliską kierownicę.

– To musiało być straszne.

– Było. Ale później niczego nie pamiętam.

– Byłaś bardzo dzielna.

– Tak, jestem dzielna. – Słyszając to, uśmiechnąłem się. – Cieszę się, że tu jesteś, mamusiu.

– Ja też się cieszę. Musiałam przyjechać, bo bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham.

Vivian położyła się obok London, otoczyła ją ramieniem i obie oglądały *Scooby-Doo*. Ja usiadłem na krześle i – podobnie jak one – wbiłem wzrok w ekran. Poczulem nagłą ulgę, że Vivian przyjechała. Nie z powodu London, ale dlatego, że mimo tego, co mi zrobiła, wciąż wierzyłem, że jest dobrym człowiekiem.

Patrząc na nie, naprawdę w to wierzyłem; zauważyłem też pełne smutku spojrzenie Vivian, które mówiło, jak bardzo dotknęła ją rozłąka z córką. Wyczuwałem jej cierpienie, że była tak daleko, kiedy zdarzył się wypadek.

Gdy London zaczęły opadać powieki, wstałem i zgasilem światło. Vivian posłała mi przelotny uśmiech i z rozrzewnieniem pomyślałem, że ostatni raz byliśmy sami w szpitalu dzień po narodzinach córki. Tamtego dnia mógłbym przysiąc na własne życie, że nasza kochająca się trójka już zawsze będzie razem. Byliśmy wtedy rodziną, wszyscy troje. Teraz jednak było inaczej i w ciemności zastanawiałem się, czy Vivian odczuwa tę stratę równie boleśnie, jak ja.

*

Późnym rankiem następnego dnia London została wypisana ze szpitala. Wcześniej zadzwoniłem do szkoły i do nauczycielki gry na pianinie, żeby wytłumaczyć jej nieobecność i do końca tygodnia odwołać zajęcia. Przekazałem również wychowawczyni, że po powrocie do szkoły London musi unikać wszelkiej aktywności fizycznej. Na szczęście pielęgniarka dała mi chusteczki odkażające, żebym mógł wytrzeć tylne siedzenie samochodu, bo nie chciałem, żeby London widziała ślady krwi.

Podpisując dokumenty, zerknąłem na Vivian i zobaczyłem, jak bardzo wydaje się zmęczona. Oboje praktycznie nie zmrużyliśmy oka; przez całą noc pielęgniarki i lekarze wchodzili do pokoju i co chwilę nas budzili. Podejrzywałem, że London prześpi większość dnia.

– Tak się zastanawiałam – odezwała się Vivian z niespotykaną dla siebie nieśmiałością – czy mogłabym na chwilę wrócić do salonu. Żeby spędzić z London trochę czasu. Miałbyś coś przeciwko?

– Ależ skąd – odparłem. – London na pewno by tego chciała.

– Pewnie będę musiała się trochę zdrzemnąć i wziąć prysznic.

– Nie ma problemu. Kiedy musisz wracać?

– Dziś wieczorem mam lot. Jutro Walter i ja musimy być w Waszyngtonie. Kampania.

– Cały czas w biegu – zauważyłem.

– Aż za bardzo.

Pomyślałem o tym, co powiedziała o powrocie do domu, i zastanowiło mnie znużenie w jej głosie. Czy była po prostu zmęczona, czy wieczne podróże i życie w ciągłym biegu powoli zaczynały ją nudzić?

Wiedziałem jednak, że błędem jest doszukiwanie się znaczenia w każdym słowie i zmianie tonu głosu. Co powiedziała Emily? Co ma być, to będzie. Co ma się skończyć, niech się skończy.

Kiedy dojechaliśmy do domu, wniosłem London do środka. Zaczynała już przysypiać, więc zaniósłem ją prosto do jej pokoju. Vivian szła za nami i położywszy London do łóżka, patrzyłem, jak wchodzi do salonu gościnnego. Musiała zauważyć, że poprzestawiałem meble, ale nie odezwała się ani słowem.

Mój samochód był za mały, żeby zapakować do niego oba rowery, ale udało mi się wcisnąć rower London do bagażnika. Ktoś oparł oba o skrzynkę na listy. Zawiozłem rower do domu, przebrałem się w strój do biegania i wróciłem w to samo miejsce. Sięgając po swój rower, zauważyłem na asfalcie plamę zaschniętej krwi i żołądek podszedł mi do gardła. Wróciłem

rowerem do domu, poszedłem pobiegać i wziąłem prysznic. London i Vivian wciąż spały, więc ja również poszedłem do sypialni, żeby się położyć. Opuściłem rolety i zasnąłem jak zabity.

Kiedy się obudziłem, Vivian i London oglądały film w salonie. Vivian miała na sobie te same ubrania, w których przyjechała, ale wzięła prysznic i końcówki włosów wciąż miała mokre. Zwinięta w kłębek London leżała obok niej na kanapie. Na stoliku wały się resztki jedzenia – kawałki indyka i plasterki gruszki.

– Jak się czujesz, London?

– Dobrze – odparła, nie podnosząc wzroku.

– Dobrze spałeś? – spytała Vivian.

Zdumiał mnie jej zwyczajny ton.

– Potrzebowałem snu. – Wskazałem na talerz. – Wiem, że London dopiero jadła, ale co powiecie na kolację? Mam coś ugotować?

– Może lepiej coś zamówimy. Chyba że naprawdę masz ochotę coś upichcić.

Nie miałem.

– To co, zamawiamy chińszczyznę?

Przytuliła córkę.

– Masz ochotę na chińskie jedzenie?

– Może być – odparła London, wciąż pochłonięta filmem. Na widok bandaża na jej głowie i szyny na ręce wzdrygnąłem się.

Chociaż chciałem posiedzieć z London – część mnie zastanawiała się, czy Vivian jest na mnie zła za to, co się stało – nie chciałem zrobić niczego, co mogłoby zakłócić zawieszenie broni między nami. Poszedłem więc do kuchni i zjadłem banana, a następnie zaszyłem się w gabinecie przed komputerem i próbowałem skupić się na pracy, ale nie byłem w stanie się skoncentrować. W końcu zadzwoniłem do chińskiej restauracji i pojechałem odebrać zamówienie.

Zjedliśmy na werandzie za domem jak za dawnych czasów. Po kolacji London wykąpała się i przebrała w piżamę. Kiedy położyła się do łóżka, podzieliliśmy się obowiązkami jak zawsze –

najpierw Vivian czytała jej do snu, a później ja. Gdy zszedłem na dół, Vivian z torebką na ramieniu czekała przy drzwiach.

– Muszę lecieć – powiedziała. Czyżbym wyczuwał w jej głosie rezygnację? Upomniałem się w myślach, że błędem było doszukiwanie się czegokolwiek.

– Tak myślałem.

Poprawiła pasek torebki, jakby liczyła, że grając na zwłokę, znajdzie potrzebne słowa.

– Zauważyłam, że zrobiłeś przemeblowanie i schowałeś zdjęcia. Te, na których byłam ja. Chciałam powiedzieć coś wcześniej, ale uznałam, że to nieodpowiedni czas.

Z jakiegoś powodu nie chciałem przyznać, że zrobiłem to w przypiływie wściekłości. Ale nie uważałem, że postąpiłem źle; wiedziałem, że zrobiłbym to jeszcze raz.

– Podobnie jak ty próbuję prowadzić normalne życie – stwierdziłem. – Ale zostawiłem kilka zdjęć rodzinnych w pokoju London. W końcu zawsze będziemy jej rodzicami.

– Dziękuję – powiedziała. – To bardzo miłe z twojej strony.

– Resztę zdjęć, na których jesteś z London, schowałem do pudełka, na wypadek gdybyś chciała je wziąć. Niektóre są naprawdę piękne.

– Chętnie je wezmę.

Podszedłem do szafy i wyciągnąłem pudło; zauważyłem, jak patrzy na fotografie. Nagle, bardziej niż dotychczas, dotarło do mnie, że nasz czas jako pary definitywnie dobiegł końca, i miałem wrażenie, że Vivian myśli o tym samym.

– Wezmę klucze i włożę to do bagażnika – zaproponowałem.

– Dam radę – odparła, sięgając po pudełko. – Nie musisz mnie odwozić. Na zewnątrz czeka samochód.

– Samochód? – Podałem jej pudło.

– Przecież nie możemy zostawić London samej, prawda?

No, tak, pomyślałem, zastanawiając się, jak mogłem o tym zapomnieć. Obecność Vivian – Vivian przypominającej kobietę, z którą się ożeniłem i z którą nie miałem przyszłości – najwyraźniej przyćmiła mi umysł.

– Dobrze więc – rzuciłem. Schowałem rękę do kieszeni. – Co do weekendu – zacząłem – i tego, że będę musiał zatrzymać się u Marge albo rodziców...

– Nie musisz – przerwała mi. – Uświadomiłam sobie, że nie ma takiej potrzeby. To nie w porządku w stosunku do ciebie. Po prostu będę spała w pokoju gościnnym, jeśli to nie problem.

– Żaden – zapewniłem ją.

– Ale wiesz, że będę chciała spędzać z London możliwie jak najwięcej czasu. Tylko we dwie. Zdaję sobie sprawę, że może się to wydawać nie w porządku, ale teraz naprawdę nie chcę mącić jej w głowie.

– Jasne. To zrozumiałe.

Wzięła pudełko pod pachę, a ja nie wiedziałem: przytulić ją czy pocałować w policzek. Jak gdyby wyczuwając moje wahanie, odwróciła się w kierunku drzwi.

– Do zobaczenia za kilka dni. Jutro zadzwonię do London.

– Oczywiście – odparłem i otworzyłem jej drzwi. Na ulicy, pracując na jałowym biegu, stała limuzyna. Vivian ruszyła w stronę samochodu, którego kierowca wyskoczył jak oparzony i wziął od niej pudełko. Otworzył drzwi i położył je na siedzeniu. Vivian czekała, aż się odsunie, i sama wsiadła do samochodu. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że dla niej było to równie naturalne, jak oddychanie – jak gdyby od zawsze jeździła limuzyną z szoferem i była kochanką milionera.

Nie widziałem jej przez przyciemnione szyby i zastanawiałem się, czy mi się przygląda. W końcu się odwróciłem. Wszedłem do domu, zamknąłem za sobą drzwi i poczułem dziwny smutek.

Po chwili wahania sięgnąłem po telefon.

Emily odebrała po drugim sygnale.

Rozmawialiśmy prawie dwie godziny. Choć głównie to ja mówiłem, wylewając z siebie żale, udało się jej mnie rozbawić. Za każdym razem, gdy zastanawiałem się na głos, czy jestem dobrym człowiekiem, zapewniała mnie, że nie mam sobie nic do zarzucenia. Potrzebowałem to usłyszeć i kiedy położywszy się do łóżka, zamknąłem oczy, pomyślałem, że miałem szczęście,

odkrywając na nowo Emily, która była dokładnie takim przyjacielem, jakiego było mi trzeba.

ROZDZIAŁ 20

Jesień

– *Uwielbiam jesień – powiedziała Emily. – Urzeka swoim niemy zamilowaniem do rozkładu.*

– *Słucham?*

– *Mówiłam o jesieni.*

– *To wiem. Próbuję tylko zrozumieć, co miałaś na myśli.*

– *Nie ja. Robert Browning. To znaczy mniej więcej... możliwe, że coś pomyliłam. Był angielskim poetą.*

– *Nie wiedziałem, że lubisz poezję.*

Był październik 2002 roku, kilka miesięcy po tym, jak Emily i ja utknęliśmy na szczycie diabelskiego młyna. Kilka tygodni po Wielkim Błędzie, tym z pewną kobietą, którą poznałem w barze. Marge nieraz ostrzegała mnie, żebym nie mówił nic Emily, ale mnie nie dawało to spokoju.

Byliśmy na podwójnej randce z Marge i Liz. Pojechaliśmy do Biltmore House w Asheville, który przez długi czas pozostawał największym prywatnym domem na świecie. Byłem tam wcześniej w dzieciństwie, ale nigdy z Emily; to ona wpadła na pomysł, żeby tam pojechać i zaprosić Marge i Liz. Kiedy zaczęła cytować Browninga, wszyscy czworo delectowaliśmy się winem z winiarni w Biltmore.

– *Studiowałam sztukę, ale chodziłam też na inne zajęcia – powiedziała Emily.*

– *Ja też. Ale nigdy z poezji.*

– *To dlatego, że studiowałeś zarządzanie.*

– Właśnie – wtrąciła Marge. – Nie spychaj Emily do defensywy tylko dlatego, że źle wybrałaś kierunek studiów.

– Nie spycham jej do defensywy. I nie uważam, że źle wybrałam... po prostu rozmawiamy.

– Nie daj się odstraszyć, Emily – odezwała się Marge. – Może i jest człowiekiem o niewybrednych gustach, ale ma też swoje dobre strony.

Emily się roześmiała.

– Mam nadzieję. Minęły dwa lata. Kiepsko byłoby się przekonać, że zmarnowałam tyle czasu.

– Jestem tu – przypomniałam im. – I słyszę, co mówicie.

Emily zachichotała, Marge również. Liz popatrzyła na mnie życzliwym wzrokiem.

– Nie daj się, Russ – rzuciła, kładąc mi rękę na ramieniu. – Jeśli dalej będą się z ciebie natrzęsać, weźmiemy się za ręce, pójdziemy do szklarni i wzbudzimy ich zazdrość.

– Słyszałaś, Marge? – zwróciłem się do siostry. – Liz mnie zarywa.

– Powodzenia. – Marge wzruszyła ramionami. – Znam jej gust i wiem, że nie jesteś w jej typie. Masz odrobinę za dużo chromosomów Y.

– Jaka szkoda. Bo znam setki facetów, którzy chętnie by się z nią umówili.

– Nie wątpię. – Marge uśmiechnęła się do Liz.

Liz oblała się rumieńcem, a ja zerknąłem na Emily. W odpowiedzi nachyliła się w moją stronę i szepnęła mi do ucha:

– Uważam, że stanowią idealną parę.

– Wiem – odszepnąłem. – Też tak myślę.

W momencie, kiedy wypowiadałem te słowa, dopadło mnie poczucie winy. Niecały tydzień później powiedziałem Emily o swoim Błędzie.

Dlaczego nie potrafiłem trzymać języka za zębami?

– Żadnych siniaków? Ran, krwi ani telefonów pod dziewięćset jedenaście?

Następnego dnia, kiedy zawiozłem London do szkoły, w kuchni czekała na mnie Marge. Zadzwoiłem do niej, żeby zdać jej relację z wizyty Vivian, ale powiedziała, że chce wysłuchać wszystkiego osobiście.

– London dalej jest obolała, ale ogólnie czuje się dobrze.

– Nie mówiłam o London. Mówiłam o tobie. Albo o Vivian. W zależności od tego, jak bardzo cię wkurzyła.

– Było w porządku – zapewniłem ją. – Zdziwiająco miło.

– Co to w ogóle znaczy?

– Nie była zła i nie sprawiła, że czułem się, jakbym to ja był winny tego wypadku. Była... miła.

– Ale rozumiesz, że to nie była twoja wina? – zapytała. – Dlatego nazywa się je wypadkami.

– Wiem – odparłem, zastanawiając się, czy rzeczywiście w to wierzę.

Marge odwróciła się i zakasłała; kiedy wyciągnęła inhalator, zauważyłem, że kiepsko wygląda.

– Dobrze się czujesz? Często ostatnio kaszlesz – zauważyłem, marszcząc brwi.

– Mów mi jeszcze. W ubiegłym tygodniu siedziałam dwa dni zamknięta w pokoju z chorym klientem. Gość zadzwonił do mnie później, żeby poinformować, że ma zapalenie oskrzeli.

– Byłaś u lekarza?

– W weekend poszłam na ostry dyżur. Lekarz uważa, że to infekcja wirusowa, więc niczego mi nie przepisał. Mam tylko nadzieję, że się wykuruję przed naszym wyjazdem do Kostaryki.

– Kiedy wyjeżdżacie?

– Wylatujemy dwudziestego, a wracamy dwudziestego ósmego.

– Ciekawe, jak to jest, kiedy człowiek ma czas na wakacje – zastanawiałem się na głos, użalając się nad sobą.

– Cudownie – odparowała Marge. – Z drugiej strony marudzenie jest mało interesujące. Jak sprawy między tobą

i Emily? Powiedziałaś jej, co się stało?

– Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem po wyjeździe Vivian.

– Aha.

– Co to znaczy „aha”?

– Znasz powiedzenie: Najlepszym sposobem, żeby się w kimś odkochać, jest zakochać się w kimś innym.

– Super.

– Nie wiń mnie – odparła. – Nie ja to wymyśliłam. Poza tym oboje wiemy, że dotyczy to też kobiet. A tak na marginesie, najszybszym sposobem, żeby o kimś zapomnieć, jest pójść do łóżka z kimś innym.

– Emily i ja tylko się przyjaźnimy.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła mnie za ramię.

– Tak sobie to tłumacz, braciszku.

*

Kiedy Marge wyszła, pojechałem do biura, ale nie potrafiłem skupić się na pracy. Chociaż natłok emocji z ostatnich dwóch dni nie mógł konkurować z tym, co czułem, gdy Vivian oświadczyła, że kocha Spannermana, byłem emocjonalnie wyczerpany. Zbyt wiele wydarzyło się w zbyt krótkim czasie; nie minął nawet miesiąc, odkąd mój świat stanął na głowie.

A jednak miałem do zrobienia pewne rzeczy. Najważniejszą z nich było zadbanie o to, by zdjęcia do czwartego spotu kancelarii Taglieriego zaczęły się o czasie. Zanim wszystko potwierdziłem, dostałem maila od montażysty z informacją, że montaż trzeciego spotu z dziecięcą aktorką jest gotowy.

Ponieważ ten trzeci okazał się strzałem w dziesiątkę, intuicja podpowiadała mi, że powinien ukazać się w telewizji razem z pierwszym. Zostawiłem Taglieriemu wiadomość i wkrótce uzyskałem jego zgodę. Wykupiwszy czas antenowy w telewizji kablowej, poczułem znajomy dreszcz emocji, że setki tysięcy ludzi zobaczą niebawem efekty mojej pracy i dowiedzą się o istnieniu mojej firmy.

Zostawiłem też dwie wiadomości w szkole tańca, wciąż jednak czekałem na telefon od pani Hamshaw.

Kiedy pojechałem po London do szkoły, zobaczyłem ją uśmiechniętą w otoczeniu kolegów z klasy i choć niespecjalnie spieszyła się do samochodu, widziałem, że ma za sobą udany dzień.

– Wiesz co? – zapytała zaraz po wejściu do samochodu. – Byłam dzisiaj pomocniczką pani. Ale było fajnie!

– Co robiłaś?

– Pomagałam rozdawać kartki i zbierałam je. Na przerwach ścierałam tablicę. Pani pozwoliła mi na niej rysować, ale to też musiałam zetrzeć. No i przez cały dzień nosiłam znaczek „Pomocnik nauczyciela”.

– I robiłaś to wszystko ze zwichniętym nadgarstkiem?

– Używałam drugiej ręki – wyjaśniła. – To nic trudnego. A na koniec dostałam lizaka.

– Wygląda na to, że miałaś fantastyczny dzień. Pomóc ci zapiąć pasy? – Rano musiałem jej pomagać.

– Nie – odparła. – Chyba sobie poradzę. Potrafię robić dużo rzeczy jedną ręką.

Patrzyłem, jak naciąga pas, i choć trwało to dłużej niż zwykle, w końcu sobie poradziła.

Wyjechałem z parkingu i zamierzałem włączyć się do ruchu, kiedy znów usłyszałem jej głos.

– Tatusiu?

Zerknąłem w lusterko wsteczne.

– Tak, skarbie?

– Czy dziś wieczorem muszę iść na lekcję tańca?

– Nie – odparłem. – Pan doktor powiedział, że w tym tygodniu nie powinnaś się przemęczać.

– Aha.

– A jak twoja głowa? I nadgarstek?

– Głowa mnie nie bolała. Nadgarstek czasem bolał, ale próbowałam być silna jak Bodhi.

Uśmiechnąłem się.

– Bodhi jest silny?
– Bardzo. – Pokiwała głową. – Potrafi podnieść każdego w klasie. Nawet Jenny!
Domyśliłem się, że Jenny jest wyrosnięta na swój wiek.
– No proszę! Nie wiedziałem.
– Myślisz, że mogłabym odwiedzić Bodhiego? Chciałabym zobaczyć Noodle.
Przed oczami stanęła mi Emily.
– Będę musiał zapytać jego mamę, ale jeśli się zgodzi, nie będę miał nic przeciwko. Tylko nie w tym tygodniu... może w następnym, dobrze? W tym powinnaś odpoczywać.
– Dobrze – odparła. – Lubię panią Emily. Jest miła.
– Cieszę się.
– Fajnie było pojechać z nią i Bodhim do zoo. Mogę zobaczyć zdjęcia, które zrobiłam twoim telefonem?
Podaliśmy jej komórkę, a ona zaczęła przeglądać zdjęcia. Wspominała zwierzęta, które widziała, i to, co robiły, a kiedy tak paplała, zauważyłem, że w ogóle nie mówi o mamie, choć ledwie wczoraj widziała się z Vivian.
Dotarło do mnie, że London przyzwyczała się do tego, że spędzamy czas razem, na dobre i na złe.

*

Ponieważ niemal cały poprzedni dzień spędziła przed telewizorem, nie chciałem, by dziś było tak samo. London nie mogła się forsować, nie zamierzałem kolejny raz proponować jej wspólnego kolorowania i nie bardzo wiedziałem, co zrobić. W drodze do domu pod wpływem impulsu postanowiłem pojechać do Walmartu, gdzie kupiłem grę *Hucz, sowo, hucz!* Producent wyjaśniał na pudełku, że aby wygrać, należy pomóc sowom wrócić do gniazda przed wschodem słońca. Każdy gracz losował kartę z kolorem i w drodze do gniazda musiał się zatrzymać na polu oznaczonym tym samym kolorem, ale jeśli

wylosował kartę z symbolem słońca, oznaczało to, że zbliża się świt. Wygrywał ten, którego sowy dotarły na czas do gniazda.

Uznałem, że taka gra może się nam spodobać.

London od razu pobiegła na stoisko z zabawkami i przechadzając się alejką, zachwycała się kolejnymi przedmiotami. Co chwilę ściągała coś z półki i pytała, czy mogę jej to kupić, i choć korciło mnie, żeby się zgodzić, odmawiałem. Wiedziałem, że zabawki, które mi pokazuje, zajmą jej uwagę na krótką chwilę, a jej pudełko z zabawkami i półki w pokoju uginały się pod ciężarem zapomnianych pluszaków i bibelotów.

Gra okazała się strzałem w dziesiątkę. Ponieważ reguły były proste, London szybko załapała, o co chodzi, i cieszyła się albo smuciła, w zależności od tego, czy jej sowy zdążyły wrócić do gniazda. Siedząc przy kuchennym stole, zagraliśmy cztery razy, zanim zaczęła się nudzić.

Uległem jej prośbom i pozwoliłem jej przez chwilę oglądać telewizję. Może słyszałem z tyłu głowy głos Vivian, ale czułem, że muszę powiadomić panią Hamshaw o wypadku. A ponieważ nie oddzwoniła, postanowiłem porozmawiać z nią osobiście.

Powiedziałem London, że musimy pojechać do szkoły tańca, a kiedy dotarliśmy na miejsce, zobaczyłem panią Hamshaw w przeszklonym gabinecie. London postanowiła, że zostanie w samochodzie. Pani Hamshaw dostrzegła mnie, kiedy tylko wszedłem do budynku, ale nie spieszyła się z podejściem.

– London nie było dziś na zajęciach – zauważyła, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, i z dezaprobatą uniosła brew.

– Miała wypadek na rowerze – wyjaśniłem. – Nagrałem pani kilka wiadomości na poczcie głosowej. Była w szpitalu. Wraca do zdrowia, ale w piątek też nie będzie jej na zajęciach.

Wyraz twarzy pani Hamshaw się nie zmienił.

– Cieszę się, że nic jej nie jest, ale zbliża się termin przedstawienia. London musi chodzić na zajęcia.

– Nie może. Lekarz powiedział, że w tym tygodniu musi się oszczędzać.

– W takim razie nie będzie mogła zagrać w przedstawieniu w przyszły piątek.

– Słucham? – Zamrugalem zdziwiony.

– London dwukrotnie opuściła zajęcia. Jeśli opuści je po raz trzeci, nie będzie mogła wystąpić. Może się to panu wydawać niesprawiedliwe, ale to jedna z podstawowych zasad. Informowaliśmy o tym podczas zapisów.

– Za pierwszym razem była chora – powiedziałem z rosnącym niedowierzaniem. – W poniedziałek straciła przytomność.

– Bardzo mi przykro – odparła nauczycielka, choć sądząc po jej głosie, wcale tak nie było. – I jak powiedziałam, cieszę się, że London wraca do zdrowia. Ale zasady to zasady. – Mówiąc to, skrzyżowała kościste ramiona.

– To dlatego, że musi ćwiczyć? Gra drzewo i pokazywała mi, co robi. Jestem pewien, że kiedy wróci w przyszłym tygodniu, będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby się poduczyć.

– Nie rozumie pan. – Usta pani Hamshaw przypominały narysowaną na jej twarzy wąską kreskę. – Mamy tu pewne zasady, ponieważ rodzice i dzieci zawsze znajdą wymówkę, żeby nie przyjść na zajęcia. Ktoś jest chory, do kogoś innego przyjeżdżają dziadkowie, a jeszcze inni mają za dużo zadane. Przez lata słyszałam już chyba każdą możliwą wymówkę, a nie mogę zaszczepiać w młodych ludziach perfekcjonizmu, jeśli wszyscy nie okażą zaangażowania.

– London nie bierze udziału w żadnych konkursach – zauważyłem. – Nie została wytypowana.

– Więc może powinna ćwiczyć więcej, a nie mniej.

Miałem ochotę powiedzieć pani Hamshaw, co myślę o jej żalösnej, quasi-wojskowej dyscyplinie, ale zamiast tego spytałem ze spokojem:

– Co pani zdaniem powinienem zrobić? Skoro lekarz powiedział, że do końca tygodnia ma się nie forsować?

– Pana córka może przyjść na zajęcia, usiąść w kącie i obserwować.

– Boli ją głowa i jest wykończona. A w piątek będzie się nudzić, jeśli każe jej pani siedzieć i patrzeć.

– W takim razie jest szansa, że weźmie udział w bożonarodzeniowym przedstawieniu.

– W którym znowu będzie drzewem? A może elementem dekoracji?

Pani Hamshaw wyprostowała się, jej nozdrza się rozszerzyły.

– W jej grupie są dzieci, które wykazują większe zaangażowanie.

– To niedorzeczne – odgryzłem się.

– Tak właśnie mówią ludzie, którym nie podobają się zasady.

*

Wróciliśmy do domu i zjedliśmy resztki chińszczyzny z poprzedniego dnia. Zadzwoiła Vivian i pod koniec rozmowy widziałem, że London ledwie patrzy na oczy.

Uznałem więc, że darujemy sobie kąpiel, i przebrałem ją w piżamę. Poczytałem jej do snu i zasnęła chwilę po tym, jak wyłączyłem światło. Idąc na dół, postanowiłem, że trochę popracuję, ale najzwyczajniej w świecie nie byłem w nastroju.

Zamiast tego zadzwoniłem do Emily.

– Cześć – usłyszałem w słuchawce jej głos. – Co u ciebie?

– Nieźle, chyba.

– Jak tam London? Bodhi mówił, że była pomocniczką nauczycielki, wygląda więc na to, że szybko wraca do zdrowia.

– Tak, była tym bardzo podekscytowana – odparłem. – Czuje się dobrze... jest tylko trochę zmęczona. Co dziś robiłaś?

– Pracowałam nad obrazami na wystawę. Chyba jestem już bliska końca, ale może się mylę. Prawdopodobnie mogłabym pracować nad tym non stop i zawsze byłoby coś nie tak.

– Chętnie je zobaczę.

– W każdej chwili. Na szczęście inne obrazy, nad którymi zaczęłam pracować, idą całkiem nieźle. Przynajmniej na razie. – A ty, jak się trzymasz? Nawet sobie nie wyobrażam, jak bardzo

musiałeś być przerażony. Ja pewnie wciąż dochodziłabym do siebie.

– Było naprawdę źle – przyznałem. – A dzisiejszy wieczór wcale nie był lepszy.

– Co się stało?

Zrelacjonowałem jej swoją rozmowę z panią Hamshaw.

– Czyli nie wystąpi w przedstawieniu? – zapytała, gdy skończyłem.

– I tak wcale się nie cieszyła – odparłem. – Gdyby tylko Vivian nie upierała się, że ma tam chodzić. Mam wrażenie, że London wcale się tam nie podoba.

– Więc niech zrezygnuje.

– Nie chcę kolejnego powodu do kłótni z Vivian. I nie chcę angażować w to London.

– Przyszło ci do głowy, że ugłaskując Vivian, dolewasz oliwy do ognia?

– Jak to?

– Jeśli będziesz dawał za wygraną za każdym razem, gdy ona się wścieka, będzie wiedziała, że musi się zezłościć, żeby dostać to, co chce. No bo co z tego, że będzie zła? Co ci zrobi?

Nie zapytała: „Rozwiedzie się z tobą”?, ale zdumiała mnie prawdziwość jej słów. Czy dlatego wszystko się posypało? Bo nigdy nie postawiłem się Vivian? Bo unikałem konfliktów? Co takiego powiedziała mi kiedyś Marge?

„Twój problem polega na tym, że dla własnego dobra zawsze jesteś zbyt miły”.

Kiedy się nie odezwałem, Emily dodała:

– Nie wiem, czy to, co mówię, ma jakiegokolwiek znaczenie. Może się mylę. I nie mówię tego, bo chcę, żebyście się pokłócili. Chcę tylko powiedzieć, że jesteś ojcem London i w kwestii tego, co jest dla niej dobre, masz takie same prawa jak Vivian. A ostatnio nawet większe, bo to ty się nią opiekujesz. To ty się nią zajmujesz, nie Vivian, ale wciąż bardziej ufasz jej opiniom niż swoim własnym. Moim zdaniem London jest bardzo szczęśliwą dziewczynką, a to znaczy, że świetnie sobie radzisz.

– Więc... co twoim zdaniem powinienem zrobić? – zapytałem, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszałem.

– Porozmawiaj z London i zapytaj ją, czego chce. A potem zaufaj intuicji.

– Mówisz, jakby to było takie proste.

– Nie wiesz, że zawsze łatwiej rozwiązuje się problemy innych? – Roześmiała się dodającym otuchy, radosnym śmiechem.

– Muszę przyznać, że czasami przypominasz mi Marge.

– Potraktuj to jako komplement.

– Bo to jest komplement.

*

Emily i ja rozmawialiśmy przez kolejną godzinę i, jak zwykle, po rozmowie z nią poczułem się lepiej. Poczuję się bardziej sobą i to wystarczyło, żebym usiadł przed komputerem i trochę popracował.

Rankiem, kiedy London jadła płatki, wytłumaczyłem jej, co powiedziała pani Hamshaw.

– To znaczy, że nie wezmę udziału w przedstawieniu?

– Przykro mi, kochanie... Jesteś zła, że nie będziesz tańczyć?

Zareagowała natychmiast.

– To nic. – Wzruszyła ramionami. – I tak nie chciałam być drzewem.

– Jeśli to poprawi ci humor, uważam, że byłaś bardzo dobrym drzewem.

Spojrzała na mnie, jakby nagle wyrosła mi druga głowa.

– To drzewo, tatusiu. Motyle latają. Drzewa nie.

– Hmm – mruknąłem. – Słuszna uwaga.

– Muszę iść w piątek na lekcję tańca?

– A chcesz?

Jej wzruszenie ramion mówiło samo za siebie.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz. Powinnaś chodzić na lekcje tańca tylko dlatego, że chcesz i je lubisz.

Przez chwilę obserwowała dryfujące w talerzu pianki i zastanawiałem się, czy w ogóle mnie słyszała.

– W takim razie nie chcę już tam chodzić – powiedziała w końcu. – Pani Hamshaw chyba mnie nie lubi.

– Dobrze – odparłem. – Nie musisz już chodzić na lekcje tańca.

Zawahała się, a kiedy na mnie spojrzała, wyczytałem z jej twarzy niepokój.

– A mamusia? Co na to powie?

Pewnie się wścieknie, pomyślałem.

– Zrozumie – powiedziałem z udawaną pewnością siebie.

*

Odwiózłszy London do szkoły, pojechałem do biura, gdzie spotkałem się z treserem zwierząt i bulmastifem o imieniu Gus.

Reklama kładła nacisk na wytrwałość i plan był taki, że Gus miał uparcie szarpać psią zabawkę. W międzyczasie na ekranie miały pojawiać się następujące napisy:

Jeśli miałeś wypadek w pracy,
będzie ci potrzebny stanowczy, nieustępliwy adwokat.
Zadzwoń do biura Joeya Taglieriego.
On nie spocznie, dopóki nie dostaniesz pieniędzy,
które ci się należą.

Gus okazał się utalentowanym aktorem i przed południem zakończyliśmy zdjęcia.

*

Kiedy odbierałem London ze szkoły, nie była tak radosna jak dzień wcześniej. Nie chcąc sadzać jej przed telewizorem, musiałem coś wymyślić i postanowiłem, że pojedziemy do sklepu zoologicznego. Musiałem kupić trociny dla chomików i pomyślałem, że chętnie poogląda ryby.

W sklepie było ponad pięćdziesiąt akwariów; na każdym umieszczono tabliczkę z nazwami ryb. Razem z London przez ponad godzinę chodziliśmy od zbiornika do zbiornika, nadając imiona poszczególnym rybam.

Co prawda nie był to park rozrywki SeaWorld, ale i tak przyjemnie spędziliśmy popołudnie.

Wychodząc, London zatrzymała się przy kojcu ze szczeniętami cocker spaniela. Psiaki były słodkie i odetchnąłem z ulgą, że nie poprosiła mnie o jednego z nich.

– Fajnie było, tatusiu – powiedziała, kiedy szliśmy do samochodu. Trzymałem pod pachą worek z trocinami i jedzenie dla chomików.

– Tak myślałem, że ci się spodoba.

– Powinniśmy kupić rybki. Niektóre były naprawdę ładne.

– Akwarium jest jeszcze trudniejsze do wyczyszczenia niż klatka chomików.

– Ty na pewno coś wymyślisz.

– Może. Ale nie wiem, gdzie moglibyśmy je postawić.

– Na stole w kuchni!

– Dobry pomysł. Tylko gdzie byśmy jedli?

– Na kanapie.

Nie mogłem opanować uśmiechu. Uwielbiałem rozmowy z córką. Naprawdę.

*

W drodze do domu wstąpiliśmy do sklepu spożywczego. Korzystając z jednego z przepisów Liz, kupiłem składniki potrzebne do zrobienia quesadillas z kurczakiem.

Pozwoliłem London przygotować kolację. Krok po kroku mówiłem jej, co ma robić – ja pokroiłem kurczaka, po tym, jak usmażyła go w małej ilości tłuszczu – i praktycznie wszystko zrobiła sama. Przyrządziła kurczaka, zawinęła w tortille, dodała tartego sera i położyła na patelnię, żeby się przypiekły.

Kiedy jedzenie było gotowe, kazała mi usiąść do stołu. Wziąłem z sobą dwa talerze, sztucce i dwie szklanki mleka.

– Wygląda pięknie – skomentowałem. – A jak pachnie!

– Zanim zaczniesz jeść, chcę zrobić zdjęcie dla cioci Liz i Marge.

– Zgoda – rzuciłem. Podałem jej telefon, a ona sfotografowała talerze i wysłała zdjęcia do Marge i Liz.

– Gdzie nauczyłaś się wysyłać wiadomości? – spytałem zdumiony.

– Mamusia mi pokazała. Bodhi też. Pokazał mi na telefonie pani Emily. Chyba jestem wystarczająco duża, żeby mieć telefon.

– Może, ale wolę rozmawiać z tobą osobiście.

Przewróciła oczami, lecz widziałem, że ją to rozbawiło.

– Jak chcesz, możesz już jeść – powiedziała.

Odciąłem kawałek nożem i włożyłem do ust.

– O ja cię! – wykrzyknąłem. – To naprawdę pyszne. Świetnie się spisałaś.

– Dziękuję – odparła. – Nie zapomnij wypić mleka.

– Nie zapomnę. – Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz piłem mleko. Smakowało lepiej, niż zapamiętałem.

– To niesamowite – rzuciłem. – Nie mogę uwierzyć, jaka już jesteś duża.

– Mam prawie sześć lat.

– Tak. Wiesz, co chciałabyś dostać na urodziny?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Może akwarium – odezwała się w końcu. – I dużo ślicznych rybek. A może pudła, takiego jak Noodle.

Może, pomyślałem, dzień spędzony w sklepie zoologicznym nie był jednak takim dobrym pomysłem.

*

Kiedy London zasnęła, zadzwoniłem do Emily.

Leżała już w łóżku i jak zwykle odbyliśmy miłą rozmowę, w której wracaliśmy do wydarzeń z przeszłości i opowiadaliśmy

sobie o tym, co obecnie dzieje się w naszym życiu. Rozmawialiśmy prawie czterdzieści minut i gdy w końcu odłożyłem telefon, uświadomiłem sobie, że pogawędki z Emily są nie tylko częścią mojego dnia, ale jednym z jego najprzyjemniejszych momentów.

*

W piątek po południu Vivian napisała, że przyjedzie między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, czyli po tym, jak położę London spać.

Dostałem wiadomość w pracy i zastanawiałem się, czego ode mnie oczekuje, skoro London prawdopodobnie będzie już spała. Chciała w końcu porozmawiać? Pooglądać telewizję ze mną czy beze mnie? A może pójdzie prosto do pokoju gościnnego? I co ja będę robił przez cały weekend?

Próbowałem powtórzyć mantrę Emily, ale to nie pomogło. W głębi duszy wiedziałem, że jakaś część mnie nadal zastanawia się, jak zadowolić Vivian.

Trudno wyzbyć się starych przyzwyczajzeń.

*

Skoro lekcje tańca zniknęły z naszego grafiku, postanowiłem spędzić z London kolejny randkowy wieczór i przytrzymać ją do przyjazdu Vivian. Pomyślałem, że dobrym pomysłem będzie pójść z nią na kolację albo do kina; znalazłem nawet film dla dzieci, który kończył się na tyle wcześnie, że o dwudziestej pierwszej bylibyśmy w domu. Zdążyłaby jeszcze wziąć kąpiel, przebrać się w piżamę i mogłaby poczekać na Vivian, która przy odrobinie szczęścia przyjedzie o dwudziestej drugiej.

Odbierając ją ze szkoły, opowiedziałem jej o swoich planach i kiedy tylko wróciliśmy do domu, pobiegła na górę, żeby się przygotować.

– Masz mnóstwo czasu! – zawołałem za nią. – Wychodzimy dopiero o wpół do szóstej.

– Chcę zacząć już teraz! – odkrzyknęła.

Przed szesnastą gotowa zeszła do mnie do gabinetu, gdzie siedziałem przed komputerem, kończąc pracę nad ujęciami, które zamierzałem umieścić w spocie z psem.

Wybrała białą bluzkę, białą spódniczkę, białe buty i skarpetki, a na włosy założyła białą przepaskę.

– Ślicznie wyglądasz – powiedziałem i w myślach skreśliłem z listy wszystkie włoskie restauracje, do których moglibyśmy pójść. Chwila nieuwagi i wyglądałaby jak siedem nieszczęść.

– Dziękuję. Ale nie podoba mi się ten plaster na czole. Ani szyna.

– Nawet ich nie zauważyłem – zapewniłem ją. – Jestem pewien, że będziesz najładniejszą dziewczynką w restauracji.

Rozpromieniła się.

– Kiedy wychodzimy?

– Mamy jeszcze półtorej godziny.

– Dobrze, mogę poczekać w salonie.

– Możesz pobawić się lalkami Barbie.

– Nie chcę pognieść spódniczki.

Oczywiście.

– A co chcesz robić?

– Nie wiem. Ale nie chcę się pobrudzić.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Może zagramy w *Hucz, sowo, hucz*?

– Tak! – pisnęła i klasnęła w dłonie.

Graliśmy przez godzinę, zanim poszedłem się przebrać. Podobnie jak ostatnim razem włożyłem spodnie, marynarkę i nowe eleganckie mokasyny. London czekała na mnie w korytarzu i chcąc dodać powagi sytuacji, ukloniłem się przed nią, otworzyłem drzwi i puściłem ją przodem.

Zjedliśmy kolację w ekskluzywnej steakowni i po kilku minutach „dorosłej” rozmowy London na powrót zaczęła zachowywać się jak dziewczynka w jej wieku. Rozmawialiśmy

o Bodhim, wychowawczyni, szkole i rybkach, które chciała kupić do akwarium.

Po kolacji poszliśmy do kina, które dodało London energii – a może to rodzynki w czekoladzie – i sprawiło, że wręcz nie mogła się doczekać przyjazdu mamy. Kiedy wróciliśmy do domu, pobiegła na górę, wykąpała się i przebrała w piżamę.

Vivian weszła do domu niedługo po tym, jak zacząłem czytać córce na dobranoc. Słyszając szcęk otwieranych drzwi, London wyskoczyła z łóżka i zbiegła na dół. Poszedłem za nią i zobaczyłem, jak Vivian ją tuli. Oczy miała zamknięte, jak gdyby rozkoszowała się tą chwilą.

– Tak się cieszę, że zdążyłam przyjechać, zanim zaśniesz – powiedziała.

– Ja też. Tatuś i ja byliśmy na randce. Zjedliśmy kolację, poszliśmy do kina i rozmawialiśmy o moim akwarium.

– Akwarium?

– Na urodziny – wyjaśniłem. – Jak się masz?

– Dobrze. To długa droga, zwłaszcza kiedy człowiek wyjeżdża w godzinach szczytu.

Pokiwałem głową i nie wiedzieć czemu, poczułem się skrępowany jej obecnością. Ruchem ręki zaprosiłem ją na górę.

– Właśnie zacząłem czytać jej do snu – powiedziałem.

Vivian spojrzała na London.

– Chcesz, żeby mamusia przeczytała ci kilka opowieści?

– Tak! – pisnęła mała. Patrzyłem, jak wchodzi po schodach. I choć był to mój dom, moja żona i córka, nagle poczułem się bardzo, bardzo samotny.

*

Poszedłem do sypialni. Nie chciałem rozmawiać z Vivian i nie sądzę, żeby ona chciała rozmawiać ze mną. Zacząłem czytać książkę i próbowałem nie myśleć o tym, że ja i Vivian spędzimy noc pod jednym dachem.

Przez chwilę fantazjowałem o tym, że zakrada się do sypialni, i zastanawiałem się, co zrobiłbym w takiej sytuacji. Czy uległbym jej, bo przecież nadal byliśmy małżeństwem? Żeby ostatni raz przeżyć to, co kiedyś? A może byłbym równie niewzruszony, jak Emily, kiedy David próbował się do niej przystawiać?

Chciałem wierzyć, że zachowałbym się jak Emily, ale nie byłem pewien, czy mam w sobie tyle siły co ona. Miałem jednak przecucie, że po wszystkim ani ona, ani ja nie czulibyśmy się dobrze. Nie byłem już częścią jej przyszłości i coś takiego jeszcze bardziej wzmocniłoby kontrolę, którą Vivian miała nade mną, mimo tego, co zrobiła. Co więcej, podejrzewałem, że czułbym się winny. Bo wyobrażając sobie, że kocham się z Vivian, uświadomiłem sobie z przerażającą jasnością, że wolałbym kochać się z Emily.

*

Wstałem wczesnym rankiem i poszedłem pobiegać. Wziąłem prysznic, zrobiłem sobie śniadanie i piłem drugą filiżankę kawy, kiedy Vivian weszła do kuchni. Miała na sobie piżamę, którą kupiłem jej na urodziny kilka lat temu. Podeszła do szafki, wyjęła torebkę herbaty i dołała wody do stojącego na kuchence czajnika.

– Dobrze spałaś? – spytałem.

– Tak. Dzięki. Materac w pokoju gościnnym jest wygodniejszy, niż myślałam. Ale może po prostu byłam zmęczona.

– Wiesz już, co dziś będziecie robić z London? To znaczy po zajęciach plastycznych.

– Nie chcę robić niczego zbyt wymagającego. Wciąż jeszcze musi się oszczędzać. Może pójdziemy do Discovery Place, ale zobaczę, na co ona będzie miała ochotę.

– Jadę do biura – poinformowałem ją. – Chcę popracować nad kampanią dla chirurga plastycznego, zwłaszcza że facet rzucił wszystko, żeby pomóc London.

– Podziękuj mu w moim imieniu. Zrobił kawał dobrej roboty. Zerknęłam wczoraj wieczorem.

Czajnik zaczął gwizdać i Vivian zalała herbatę wrzątkiem. Miałem wrażenie, że zastanawia się, czy przysiąc się do mnie, w końcu jednak usiadła.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – zacząłem. – Chodzi o lekcje tańca.

– Co z nimi? – ostrożnie upiła łyk herbaty.

Najkrócej, jak się dało, opowiedziałem jej, co się wydarzyło, łącznie z tym, że London została wykluczona z przedstawienia.

– Aha – bąknęła Vivian. – I mówiłeś jej, że London była w szpitalu?

– Tak. Ale to na nic. A potem London powiedziała mi wprost, że nie chce tam więcej chodzić. Uważa, że pani Hamshaw jej nie lubi.

– Skoro nie chce chodzić, nie zmuszaj jej. To tylko taniec.

Po tych słowach wzruszyła ramionami. Mówiła jak ktoś, kto nigdy się nie upierał, żeby córka chodziła na te zajęcia. Nie było powodu, żeby o tym wspominać, ale zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek ją zrozumiem.

*

Kiedy London zeszła do kuchni, oboje wciąż siedzieliśmy przy stole. Półprzytomna podeszła do nas.

– Cześć, mamusiu. Cześć, tatusiu – bąknęła, przytulając się do każdego z nas.

– Co ci zrobić na śniadanie? – zapytała Vivian.

– Lucky Charms.

– Dobrze, skarbie. Zaraz ci przygotuję.

Złożyłem gazetę i wstałem, próbując ukryć zdumienie faktem, że Vivian tak po prostu zgodziła się nakarmić naszą córkę słodkimi płatkami.

– Miłej zabawy, dziewczyny – rzuciłem.

*

Spędziłem niemal cały dzień przed komputerem, starając się dopiąć na ostatni guzik wszystkie szczegóły związane z kampanią chirurga plastycznego. Przesłałem informacje informatykowi i wysłałem do pacjentów maile z przypomnieniem o wtorkowych nagraniach.

Kiedy skończyłem, dochodziła osiemnasta. Wysłałem do Vivian SMS-a z pytaniem, o której będzie kładła London spać, bo chciałem jej poczytać. Odpisała natychmiast. Ponieważ nie miałem przerwy na lunch, w garmażerii naprzeciwko kupiłem kanapkę i postanowiłem zadzwonić do Emily.

– Dzwonię nie w porę? – spytałem, bezmyślnie porządkując biurko.

– Ależ skąd – odparła. – Bodhi bawi się w swoim pokoju, a ja sprzątam kuchnię. Jak ci mija weekend?

– Jak na razie całkiem nieźle. Dziś cały dzień byłem w biurze. Zrobiłem kawał roboty. Niedługo wracam do domu, żeby poczytać London przed snem.

– Widziałam ją dzisiaj, kiedy podrzuciłam Bodhiego na zajęcia plastyczne. Vivian też.

– I jak było?

– Nie rozmawialiśmy – odparła.

– I dobrze. Sam będę musiał znaleźć sposób, żeby ukryć się przed Vivian po tym, jak poczytam London do snu. Nie ma sensu kusić losu. Jakie masz plany na wieczór?

– Nie mam żadnych. Skończę sprzątać kuchnię, pooglądam telewizję. Położę Bodhiego spać i może napiję się wina.

Myśli o seksie z Emily wróciły nieproszone, ale odsunąłem je od siebie stanowczo.

– Dotrzymać ci towarzystwa? – zapytałem. – Mógłbym wpaść na godzinkę po tym, jak London zaśnie. Może pokażesz mi obraz, nad którym pracujesz.

Zawahała się i byłem pewien, że odmówi.

– Chętnie – usłyszałem.

*

Wróciłem do domu, kiedy London szykowała się do snu, i oboje z Vivian, jak zwykle, bezbłędnie wcieliśmy się w swoje role. Najpierw ona czytała małej, a potem ja poszedłem na górę. London opowiedziała mi, jak minął jej dzień – oprócz zajęć plastycznych i wizyty w Discovery Place poszły z Vivian do centrum handlowego – a kiedy zgasilem światło, Vivian była już w pokoju gościnnym.

Zapukałem do drzwi i usłyszałem, jak mówi:

– Tak?

– Wychodzę na trochę. Chciałem, żebyś wiedziała na wypadek, gdyby London się obudziła. Powinienem wrócić przed jedenastą.

W ciszy, która nastąpiła potem, niemal słyszałem, jak pyta: Dokąd się wybierasz?

– Dobrze – odezwała się po chwili. – Dzięki, że dałeś mi znać.

*

Emily zostawiła na drzwiach kartkę z informacją, że jest na werandzie za domem.

Szedłem na palcach, żeby nie obudzić Bodhiego. Miałem wrażenie, że jestem nastolatkiem, który przemyka obok sypialni rodziców, i czując znajomy dreszcz, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek przestajemy być dziećmi.

Emily była boso, miała na sobie dżinsy i czerwoną bluzę. Długie, smukłe nogi oparła o niską ławkę; obok niej stało puste krzesło. Na stoliku zauważyłem butelkę wina i pusty kieliszek; drugi, do połowy pełny, trzymała w ręce.

– Idealne wycucie czasu – powiedziała na powitanie. – Chwilę temu zajrzałam do Bodhiego. Już śpi.

– London też.

– Zaczęłam bez ciebie. – Mówiąc to, podniosła kieliszek. – Często się.

Nalałem sobie wina i usiadłem obok.

– Dzięki, że mogłem wpaść.

– Kiedy przyjaciel mówi, że szuka schronienia, moje drzwi stoją otworem. O co właściwie chodzi?

Nie odpowiedziałem od razu.

– Nie pokłóciliśmy się – odparłem po chwili. – Ale praktycznie się nie widzieliśmy. Dziwne. Mam wrażenie, że atmosfera w domu jest napięta.

– Uczucia to trudny temat – przytaknęła Emily. – Zresztą to wciąż świeża sprawa. Jak London, kiedy jej czytałeś?

– W porządku. Spędziły miło dzień.

– Myślisz, że wie, co się dzieje?

– Moim zdaniem domyśla się, że coś jest nie tak, ale to wszystko.

– To chyba lepiej. I bez zamartwiania się o dziecko ten etap jest wyjątkowo trudny.

Pokiwałem głową, wiedząc, że ma rację.

– Często tu przesiadujesz?

– Rzadziej, niż powinnam... Czasami zapominam, jak tu pięknie. Uwielbiam patrzeć na gwiazdy i słuchać świerszczy. – Pokręciła głową. – Nie wiem... chyba popadłam w rutynę. Pewnie dlatego nie sprzedałam jeszcze domu. Robię się leniwa.

– Nie jesteś leniwa. Każdy ma swoje przyzwyczajenia. – Upiłem łyk wina i pozwoliłem, by zapadła między nami swobodna cisza. – Chyba powinienem ci podziękować – odezwałem się w końcu.

– Za co? – Poczułem, że odwraca się w moją stronę; jej oczy szukały w ciemności mojej twarzy.

– Za to, że pozwoliłaś mi przyjechać. Za to, że rozmawiasz ze mną przez telefon. Za rady, których mi udzielasz. Za to, że znosisz moje marudzenie. Za wszystko.

– Od tego są przyjaciele.

– Emily, znamy się od dawna. Ale przez ostatnie piętnaście lat oddaliliśmy się od siebie. A jednak w ostatnim czasie stałaś się jedną z najbliższych mi osób... znowu.

Widziałem, że zaskoczyło ją to wyznanie.

– Kiedyś przeczytałam pewne zdanie na temat przyjaźni, które zapadło mi w pamięć. „W przyjaźni nie chodzi o to, jak długo kogoś znasz, ale o to, by ktoś, kto pojawia się w twoim życiu, powiedział: Jestem tu dla ciebie, a później to udowodnił”.

– Podoba mi się. – Uśmiechnąłem się.

– Russ, mówisz, jakbyś był dla mnie brzemieniem. Chcę, żebyś wiedział, że nie jesteś. Możesz mi wierzyć albo nie, ale lubię z tobą rozmawiać. I cieszę się, że znowu jesteśmy przyjaciółmi. Oprócz Grace i Marguerite mam tylko Bodhiego. Nie wiem, ale... to na swój sposób pocieszające. To, że nie musimy sobie tłumaczyć, kim jesteśmy i skąd przychodzimy. Bo wszystko to już wiemy.

– Znamy się jak łyse konie.

Roześmiała się.

– Tak... może. Jesteś jak stara, poczciwa szkapa, której nie zamieniłabym na żadną inną.

Poczułem płynące od niej autentyczne ciepło, od którego zrobiło mi się lżej na sercu. Nagle dotarło do mnie, że w ciągu lat, które spędziłem z Vivian, tego właśnie mi brakowało.

– Ja czuję to samo, Em. – Mówiąc to, spojrzałem na nią. – Naprawdę.

Zamilkła i obracała w dłoniach kieliszek.

– Pamiętasz tamtą noc, kiedy utknęliśmy na diabelskim młynie? – zapytała niemal szeptem. – Noc sztucznych ogni?

– Pamiętam – odparłem.

– Myślałam wtedy, że mi się oświadczysz – dodała. – A kiedy tego nie zrobiłeś, byłam taka... rozczarowana.

– Przepraszam – bąknąłem zmieszany.

– Nie musisz... to głupie. – Machnęła ręką. – Chodzi o to, że powiedziałabym „tak” i być może wzięlibyśmy ślub. Ale to znaczy, że ja nie miałabym Bodhiego, a ty London. Kim bylibyśmy teraz? Może rozwiedlibyśmy się? Albo znienawidzili?

– Myślę, że dalibyśmy radę.

Rozciągnęła usta w melancholijnym uśmiechu.

– Może. Chyba się nie dowiemy. Dostaliśmy od życia wystarczającą nauzkę, żeby wiedzieć, jak potrafi być nieprzewidywalne.

Spojrzałem na nią.

– Wiesz, że bez przerwy mówisz rzeczy, które mnie zaskakują i zmuszają do myślenia?

– To dlatego, że studiowałam sztukę, a nie zarządzanie.

Roześmiałem się, czując nagłą wdzięczność, że Emily na powrót pojawiła się w moim życiu w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowałem.

Wróciłem do domu dobrze po północy.

*

– Późno wczoraj wróciłeś – zauważyła Vivian, kiedy nazajutrz rano spotkaliśmy się w kuchni. – Mówiłeś, że będziesz w domu przed jedenastą.

Wstałem wcześnie, żeby rozpocząć dzień, zanim ona się obudzi.

– Straciłem poczucie czasu – rzuciłem. Widziałem, że zastanawia się, gdzie byłem i co robiłem, ale uznałem, że to nie jej sprawa. Już nie. – Skoro jesteś samochodem, o której planujesz wyjechać? – zapytałem, chcąc zmienić temat.

– O osiemnastej, osiemnastej trzydzieści. Jeszcze nie wiem.

– Masz ochotę wspólnie coś zjeść?

– Zamierzałam wziąć London na wcześniejszą kolację.

– Dobrze – odparłem. – W takim razie wrócę o szóstej.

Miałem wrażenie, że czeka, aż opowiem jej o swoich planach. Tymczasem wróciłem do popijania kawy i przeglądania gazety. Kiedy dotarło do niej, że nic więcej nie powiem, wróciła na górę, zapewne po to, żeby wziąć prysznic i przygotować się do wyjścia z London.

ROZDZIAŁ 21

Pełną parą

Emily i ja spotkaliśmy się sześć razy, zanim poszliśmy do łóżka. Na pierwszą randkę po weselu wybraliśmy się na spacer; poszliśmy też na koncert. Kilka razy zjedliśmy razem lunch i kolację. Już wtedy byłem w niej zakochany, ale nie wiedziałem, czy ona czuje to samo wobec mnie.

Tego ranka wpadłem po nią i pojechaliśmy do Wrightsville Beach. Poszliśmy na lunch do małej restauracji nad brzegiem oceanu i spacerowaliśmy plażą. Idąc w stronę molo, zbieraliśmy muszle do mojej bejsbolówki i wciąż pamiętam, jak poryw wiatru potargał włosy Emily, gdy pochyliła się, żeby podnieść wyjątkowo piękną muszlę.

Oboje wiedzieliśmy, co się wydarzy. Zarezerwowałem na noc pokój w hotelu, ale zamiast się denerwować, Emily sprawiała wrażenie coraz spokojniejszej. Późnym popołudniem, kiedy zameldowaliśmy się w hotelu, wzięła długi prysznic, tymczasem ja leżałem na łóżku i przeskakiwałem po kanałach telewizyjnych. W pewnej chwili wyszła z łazienki w samym ręczniku, żeby wziąć czyste ubrania.

– Co oglądasz?

Ciebie, mógłbym powiedzieć, ale zamiast tego odparłem:

– Właściwie nic. Czekam, aż wyjdiesz z łazienki, żebym mógł wziąć prysznic.

– Jeszcze chwila – obiecała.

Uświadomiłem sobie, że Emily, jak żadna inna kobieta, sprawiała, że czułem się swobodnie w jej towarzystwie, bo i ona

czuła się swobodnie w moim. Dałem jej kilka minut i wstałem z łóżka. Była już ubrana i nakładała delikatny makijaż.

– Co robisz? – spytała.

– Patrzę na ciebie. – Spojrzałem na nią w lustrze.

– Dlaczego?

– Jesteś seksowna, jak się malujesz.

Odwróciła się i nadstawiła się do pocałunku. Kiedy ją pocałowałem, wróciła do nakładania makijażu.

– A to za co? – zapytałem.

– Kiedy pomaluję usta, nie będziesz mógł mnie całować. Chyba że chcesz, żebym cię ubrudziła.

Obserwowałem ją jeszcze przez chwilę, po czym wróciłem do pokoju i opadłem na łóżko mile polectany jej pocałunkiem i obietnicą wieczoru.

Zjedliśmy kolację w bistro z widokiem na kanał Intracoastal Waterway i jeszcze długo po zachodzie słońca nie wstawaliśmy od stolika. Wychodząc, usłyszeliśmy muzykę i podążając za jej dźwiękami, dotarliśmy do pobliskiego baru, gdzie na żywo grał jakiś zespół. Tańczyliśmy aż do zamknięcia i przyjemnie zmęczeni wróciliśmy do hotelu.

Kiedy otworzyłem drzwi i weszliśmy do środka, powietrze między nami iskrzyło. Pokojówki posłały łóżko i światła były przyciemnione. Objąłem Emily i przyciągnąłem ją do siebie, czując bijące od niej ciepło.

Pocałowałem ją, nasze języki musnęły się, podczas gdy moje dłonie powoli błędziły po jej ciele. Emily jęknęła cichutko, a ja poczułem jej piersi pod cienkim materiałem sukienki. Sięgnęła palcami do guzików mojej koszuli.

Rozpinała jeden po drugim, nawet na chwilę nie przestając mnie całować. Podniosła ręce, żebym mógł zdjąć z niej sukienkę, która spadła na ziemię razem z moją koszulą. Skóra, którą czułem pod dłońmi, była równie gorąca, jak moja. Po chwili na podłogę spadł biustonosz, a zaraz potem wylądowaliśmy w łóżku i zatraceni we własnych uczuciach, odkrywaliśmy nawzajem tajemnice swoich ciał.

*

Zdarzyło się to w środę i muszę przyznać, że byłem równie zaskoczony, jak recepcjonistka, ale dojdę do tego. Wszystko po kolei.

W niedzielę Marge i Liz nie pojawiły się u moich rodziców, a kiedy do nich zadzwoniłem, Marge nie czuła się najlepiej. Kasłała, była obolała i miała gorączkę. Dowiedziawszy się o tym, mama postanowiła ugotować rosół, który w drodze do domu miałem podrzucić Marge. Moja siostra wyglądała gorzej, niż brzmiała przez telefon – jeśli to w ogóle możliwe – i żartowała, że nawet Liz trzyma się od niej z daleka.

Mimo to postanowiłem zaryzykować i wychodząc, objąłem ją.

Vivian wyjechała około szóstej trzydzieści, zaraz po tym, jak razem z London wróciły z kolacji. Pożegnanie z nią było równie serdeczne, jak reszta weekendu. Żadne z nas nie zapytało, jak minął dzień; zamiast tego życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego i chwilę później już jej nie było. Po tym, jak położyłem London spać, zadzwoniłem do Emily, żeby zapytać, czy mogłaby we wtorek odebrać London ze szkoły, bo zamierzałem spędzić cały dzień na planie zdjęciowym. Zapewniła mnie, że to żaden problem.

W poniedziałek ruszyła nowa strona kancelarii Taglieriego, a w telewizji pojawiły się dwa pierwsze spoty. Umieściłem je także na jego stronie i na YouTube. Pracowałem w domu, więc oglądałem je z zapartym tchem, czując niemal fizyczne podniecenie. W międzyczasie pracowałem nad szablonami do reklamy bezpośredniej i billboardami dla chirurga plastycznego. We wtorek nagrywałem rozmowy z byłymi pacjentami – tak jak przypuszczałem, był to długi, męczący dzień – i pojechałem odebrać London od Emily, gdzie – ku uciesze London – zostałem na kolację.

W środę, kiedy jechałem do biura, otrzymałem wiadomość od Taglieriego z prośbą, żebym do niego zadzwonił, i od razu poczułem, że opuszcza mnie dobry humor. Jako że ubiegły

weekend obył się bez dramatów między mną i Vivian, zakładałem, że adwokat nie ma dla mnie dobrych wieści.

Oddzwoniłem do niego, stojąc przed wejściem do biura. Czułem, że lepiej zniosę to, co ma mi do powiedzenia, na stojąco.

– Cześć, Joey – zacząłem, starając się panować nad głosem. – Dostałem twoją wiadomość. O co chodzi?

– O moje interesy – odparł. – I przyszłe konto bankowe.

– Słucham?

– Nowy numer. Ten, który pojawia się w obu spotach. Telefony się urywają. To jakieś szaleństwo. Ludzie są zachwyceni tą reklamą z dzieckiem. Uważają, że jest przezabawna. A teraz możemy przekierować ich na stronę internetową. To niesamowite. W życiu bym w to nie uwierzył. Moi pracownicy nie wiedzą, w co ręce włożyć.

– Jesteś zadowolony – bąknąłem zmieszany.

– I to jak! Kiedy pojawi się reklama z psem? Musisz wymyślić coś jeszcze. Więc lepiej weź się do pracy.

– Da się zrobić – odparłem.

– A, Russ?

– Tak?

– Dzięki.

Rozłączyłem się i dziarskim krokiem wszedłem do biura; czułem się, jakbym nagle urósł. Kiedy pomachałem na powitanie recepcjonistce, zobaczyłem, że ona także podnosi rękę.

– Panie Green? Nie chce pan odebrać wiadomości?

– A są jakieś?

– Dwie. Obie z kancelarii prawniczych.

Kolejny raz pomyślałem o Vivian i zastanawiałem się, czy kazała prawnicze kontaktować się bezpośrednio ze mną. Jeśli tak, nie miałem pojęcia, dlaczego nie dała jej numeru mojej komórki; z tego, co wiedziałem, Vivian nie znała nawet numeru do biura.

Ale to nie była prawniczka Vivian. Dzwonili z Greenville w Karolinie Południowej, z kancelarii prawniczej specjalizującej się w pozwach grupowych, a także z Hickory, z kancelarii

zajmującej się odszkodowaniami powypadkowymi. W obu przypadkach przełączono mnie bezpośrednio do starszych wspólników, którzy aż się palili, żeby ze mną porozmawiać.

– Podobają nam się reklamy, które zrobił pan dla Joeya Taglieriego, i zastanawialiśmy się, czy mógłby pan przyjechać i przedstawić nam swoją ofertę.

Po skończonej rozmowie wydałem z siebie okrzyk radości. Po prostu musiałem komuś o tym powiedzieć.

Sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić do Marge, ale w ostatniej chwili rozmyśliłem się i wybrałem numer Emily.

*

Byłem wniebowzięty.

Oto jak się czułem do końca tygodnia. Jakbym uwolnił się od wszystkich problemów, które przytłaczały mnie przez ostatnie miesiące.

Mając świadomość, że taki stan nie będzie trwać wiecznie – po burzy zawsze przychodzi słońce i odwrotnie – postanowiłem cieszyć się każdą chwilą, nawet jeśli współpraca z dwoma nowymi klientami nie dojdzie do skutku. Do piątku skontaktowały się ze mną trzy kolejne firmy, tak więc miałem pięciu potencjalnych klientów, i to oni zadzwonili do mnie, a nie ja do nich. Postanowiłem, że umówię się na spotkania, i w zależności od tego, czy podpiszę jakąś umowę, pomyślę o tym, żeby zatrudnić kogoś do pomocy.

Agencja Feniks rozwijała skrzydła.

*

– Co zrobisz z dodatkowymi pieniędzmi, które zarobisz? – zapytała mnie Marge podczas lunchu. Był piątek po południu i postanowiłem, że w nagrodę spędzę w pracy tylko pół dnia. – Bo

tak się składa, że masz siostrę, której przydałby się nowy samochód.

– Fajnie by było, co?

– Zawsze wiedziałam, że ci się uda.

– Nie mów „hop” – ostrzegłem ją. – Wciąż jeszcze muszę przygotować prezentacje.

– Jesteś w tym dobry. Po prostu nie wiedziałeś, jak sprawić, żeby telefon zaczął dzwonić.

Wciąż podekscytowany uśmiechnąłem się.

– Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło i jaki jestem szczęśliwy.

– Wyobrażam sobie.

– Jak się czujesz?

Skrzywiła się.

– Trochę lepiej. Ostatnio mniej kaszlę, ale najgorsze są noce. W końcu przekonałam swojego tępego lekarza, żeby przepisał mi antybiotyk, ale biorę go dopiero od wczoraj. Powiedział, że mogę poczuć się lepiej dopiero w poniedziałek.

– Koszmar.

– Liz też było ciężko. Budziłam ją w nocy, więc przeniosłam się do pokoju gościnnego.

– Czyli rosół mamy nie pomógł?

– Nie, ale był pyszny. – Odsunęła talerz z kanapką. – Jakie masz plany na weekend? Vivian nie przyjeżdża, prawda?

– Przyjedzie za tydzień. Na urodziny London. London na pewno będzie chciała zaprosić Bodhiego, a to znaczy, że Emily też tam będzie.

– I ja. – Marge rozciągnęła usta w uśmiechu. – Wprost nie mogę się doczekać.

– Nic się nie wydarzy. Ostatnio Vivian zachowuje się całkiem w porządku.

– Hmm... zobaczymy, jak długo to potrwa – rzuciła sceptycznie. – A przy okazji, wybierasz się jutro do rodziców? Liz i ja planujemy wpaść do nich na chwilę, zwłaszcza że nie byliśmy tydzień temu. Wszystko przez to przeziębienie.

– Dzięki Bogu, że nie zaraziłaś Liz – zauważyłem.

– Tak, ma teraz w pracy urwanie głowy. Jedna z terapeutek jest od lipca na urlopie macierzyńskim.

– A skoro już o tym mowa, kiedy wybieracie się z Liz do lekarza? Wspominałaś coś o listopadzie?

Przytaknęła.

– Dwudziestego. W piątek przed Świętem Dziękczynienia.

– A jeśli okaże się, że obie możecie mieć dzieci? Która z was zajdzie w ciążę?

– Ja. Zawsze uważałam, że fajnie byłoby być w ciąży.

– Ciekawe, czy powiesz to samo w ósmym miesiącu. Przed porodem Vivian miała serdecznie dość bycia w ciąży.

– Cała Vivian. Poza tym ona była młodsza. Wiem, że dla mnie to ostatni dzwonek, i mam zamiar cieszyć się każdą chwilą.

– Dziecko odmieni twoje życie. Moje z pewnością odmieniło.

– Wprost nie mogę się doczekać – odparła tęsknie.

*

Kiedy odebrałam London ze szkoły, pierwsze, o co mnie zapytała, gdy wsiadła do samochodu, to czy urządzimy sobie wieczór randkowy.

– Skoro jest piątek, a mamusi nie ma?

Czemu nie, pomyślałam.

– Świetny pomysł.

– Co zrobimy? – dopytywała się wyraźnie zniecierpliwiona.

– Hmm. Możemy zjeść kolację w domu albo na mieście. Albo możemy pójść do oceanarium.

– Oceanarium! Naprawdę możemy tam pójść?

– Oczywiście. Jestem pewien, że jest otwarte do dwudziestej.

– Możemy zapytać Bodhiego, czy poszedłby z nami?

– Chcesz zabrać Bodhiego na nasz wieczór randkowy?

– Tak. I założę skrzydła. Te, które kupiliśmy w zoo. A Bodhi założy swoje.

– Do oceanarium?

– Dla rybek – odparła.

Nie bardzo rozumiałem tę współzależność, ale jeśli to miało ją uszczęśliwić, czemu nie.

– Mogę zadzwonić, ale możliwe, że Bodhi ma inne plany. Trochę już późno.

– Powinniśmy spróbować. Pani Emily może pójść z nami.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do Emily. Kiedy zapytałem o oceanarium, poprosiła, żebym zaczekał, i zawołała do Bodhiego:

– Chcesz dziś wieczorem iść z London do oceanarium?

– Tak! – odkrzyknął w tle stłumiony głos.

– Chyba słyszałeś – odezwała się Emily.

– Tak.

– O której planujecie wyjść?

– Wpadniemy po was za godzinę.

Emily się zawahała.

– Może lepiej ja przyjadę po was. Filmy dla dzieci, pamiętasz? Wiem, że to niedaleko, ale będziemy jechać w godzinach szczytu. Będziesz mógł poprowadzić?

– Jasne – zgodziłem się.

– Wyślij mi adres i daj nam się przygotować. Niedługo do was wpadniemy.

– A, jeszcze jedno – rzuciłem. – London chce, żeby Bodhi założył skrzydła, które kupiłaś mu w zoo.

– Po co?

– Nie wiem.

Roześmiała się.

– W porządku. Lepsze to, niż gdyby biegał po oceanarium z mieczem świetlnym.

*

London, jak zwykle, potrzebowała czasu, żeby się przygotować. W końcu zdecydowała się na białą spódniczkę z koronką, różową bluzkę z długimi rękawami, różowe trampki i, oczywiście, motyle skrzydła.

Ja postawiłem na większą swobodę: ciemne spodnie, ciemną koszulę i wygodne buty.

– Przyciągasz wzrok – zauważyłem. – Z pewnością jesteś gotowa na oglądanie ryb.

– Szukam pomysłów do akwarium – odparła.

Na urodziny, pomyślałem. Przynajmniej wiedziałem, czego chce, nawet jeśli to ja będę musiał je myć.

– Chcesz wybrać film? Pojedziemy samochodem pani Emily.

– Chyba powinniśmy obejrzeć *Gdzie jest Nemo*.

– Dobry wybór.

Przyniosła płytę. Kiedy mi ją podawała, dostałem kolejną wiadomość od Taglieriego. „Telefony dalej się urywają. Jesteś niesamowity!”

Cóż za wspaniały tydzień, pomyślałem. Nie miałem pojęcia, że będzie jeszcze lepszy.

*

Oceanarium Sea Life znajdowało się w Concord, mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Charlotte, ale piątkowe korki sprawiły, że droga zajęła nam czterdzieści minut.

Ale żadne z nas nie miało nic przeciwko temu. Opowiedziałem Emily o triumfach, które święciłem ostatnio w pracy, o planach powiększenia rodziny przez Marge i Liz. Rozmawialiśmy też o moich rodzicach. Ona opowiadała o swojej rodzinie i przygotowaniach do wystawy. I tym razem unikaliśmy rozmów o Vivian, Davidzie i wspólnej przeszłości.

W oceanarium dzieciaki biegały od jednego akwarium do drugiego, zupełnie jak w zoo. Emily i ja zostaliśmy nieco z tyłu, żeby mieć je na oku. Nie mogłem nie zauważyć ukradkowych spojrzeń, jakie rzucali na Emily mężczyźni. Większość z nich przyjechała do oceanarium z własnymi rodzinami, więc starali się robić to dyskretnie – nie wiem, czy Emily cokolwiek zauważyła – ale ja byłem wyczulony na to, jak ludzie na nią reagują.

Dzieciaki były zachwycone rekinami, żółwiami morskimi, konikami morskimi i ośmiornicą. Kiedy wychodziliśmy z oceanarium, zza otwartych drzwi dla personelu usłyszałem muzykę.

Chwilę później piosenka dobiegła końca, a prowadzący audycję radiową didżej zapowiedział kolejny utwór: *Two by Two* JD Eichera. Zatrzymałem się.

– Słyszałaś, London? Jest piosenka pod tytułem *Two by Two*. Zupełnie jak twoja ulubiona książeczka.

– Ona też jest o zwierzętach?

– Nie wiem – odparłem. – Didżej wciąż mówił, a ja odwróciłem się do Emily. – Dziś wieczorem miała wziąć udział w przedstawieniu. Chciała być motylem.

– Jestem motylem – oznajmiła London, chwytając w skrzydła wieczorną bryzę.

– Cóż, skoro to wieczór randkowy, może zechciałabyś ze mną zatańczyć?

– Tak!

Kiedy chwilę później z głośników popłynęła melodia, wziąłem London za rękę. Słońce schodziło za horyzont, zalewając świat blaskiem w kolorze sepii. Oprócz naszej czwórki na promenadzie nie było żywej duszy.

Tekst piosenki wydał mi się dziwnie poruszający. Patrzyłem na London, która kołysała się i podskakiwała, i widziałem w niej małą, niewinną dziewczynkę, ale także młodą kobietę, którą niebawem się stanie.

Dotarło do mnie, że pierwszy raz tańczę z własną córką, i nie wiedziałem, kiedy – i czy w ogóle – znowu będę miał okazję. Nie wyobrażałem sobie, bym mógł zatańczyć z nią za kilka lat – wówczas sam pomysł wyda się jej pewnie niedorzeczny – dlatego rozkoszowałem się tą chwilą i zatraciłem się w tańcu, dziękując losowi za jeszcze jeden drobny cud na koniec tego niezapomnianego tygodnia.

– To była najbardziej wzruszająca rzecz, jaką widziałam – powiedziała Emily, kiedy szliśmy do samochodu. – Zrobiłam

wam zdjęcia telefonem. Prześlę ci je później.

– Tak, to była wyjątkowa chwila – przyznałem, wciąż niesiony melodią piosenki. – Dobrze, że Bodhi nie chciał do nas dołączyć.

– Nie było mowy. Zaprosiłam go do tańca, ale odmówił. Potem powiedział, że znalazł ślimaka, i chciał, żebym go podniosła.

– Chłopcy i dziewczynki są tak zupełnie inni, prawda?

– Ty dostajesz czułości, słodkości i wyrazy miłości – odparła, cytując rymowankę. – A ja ślimaka.

– Ciesz się, że nie ogon szczeniaka.

– Tylko dlatego, że go nie znalazł.

Roześmiałem się.

– Założę się, że dzieciaki umierają z głodu.

– Ja też.

– Pytanie brzmi: pozwolimy im wybrać, dokąd pojedziemy, czy sami zdecydujemy?

– Ostrzegam, że jeśli nie znajdziemy czegoś szybko, Bodhi zrobi się marudny. Wierz mi, nie chciałbyś tego oglądać.

– Czyli... Chick-fil-A?

– Bingo – rzuciła.

Nie trzeba chyba dodawać, że dzieciaki były zachwycone.

*

Kiedy wróciliśmy do domu, London wciąż była podekscytowana, ale gdy tylko przebrała się w piżamę, zrobiła się senna. Zadzwoiłem do Vivian i pozwoliłem London porozmawiać z nią przez chwilę, a przed snem przeczytałem jej *Two by Two*. Kiedy skończyłem, przypomniałem sobie, że Emily obiecała wysłać mi zdjęcia. Sięgnąłem po telefon i zobaczyłem, że rzeczywiście dostałem MMS-a. Przejrzeliśmy je razem z London.

– Czy nie wyglądamy pięknie?

London wyjęła mi telefon z dłoni i spojrzała na zdjęcia.

– Włosy zasłaniają mi buzię.

– To dlatego, że patrzyłaś na moje stopy – odparłem. – To nic. Ja też na nie patrzyłem.

Kiedy tak przyglądała się zdjęciom, pomyślałem o fotografiach, które schowałem, i zanotowałem w pamięci, żeby wydrukować jedno ze zdjęć i oprawić je w ramkę.

London oddała mi telefon.

– Co będziemy robić jutro?

– Masz zajęcia plastyczne. Potem może pojedziemy do Buni i dziadzia. Jest coś, co chciałabyś zrobić?

– Nie wiem.

– Może pomożesz mi sprzątać klatkę dla chomików?

– Nie, dziękuję. To trochę obrzydliwe.

No tak, pomyślałem. I śmierdzące.

– Zaczekajmy do jutra i zobaczymy, na co będziesz miała ochotę – powiedziałem, otulając ją kołdrą.

Pocałowałem ją na dobranoc i zszedłem na dół. Włączyłem telewizor, ale zdjęcia, które zrobiła Emily, nie dawały mi spokoju. Wyciągnąłem telefon i z uśmiechem na twarzy przeglądałem je, wdzięczny jak nigdy dotąd, że jestem ojcem tak niesamowitej małej istotki.

*

Nazajutrz rano, gdy zawiozłem London na zajęcia, Emily pomachała mi na powitanie. London podbiegła, objęła ją i puściła się pędem za Bodhim.

– Wczoraj było super – powiedziała Emily. – Jeśli chodzi o zapewnianie dzieciom atrakcji, jesteście zgraną drużyną.

– Zgadza się – przyznałem i pomyślałem, że sam też się świetnie bawiłem. – I dzięki za zdjęcia... prawdopodobnie oprawię jedno albo dwa. Widać, że masz zmysł artystyczny, bo nawet iPhonem robisz świetne zdjęcia.

– Może... a może wysłałam ci najlepsze z setki, jakie udało mi się zrobić – odparła z figlarnym uśmiechem.

Wskazała kciukiem centrum handlowe.

– Masz ochotę na kawę, skoro dzieciaki i tak są zajęte?

– O niczym innym nie marzę – rzuciłem, otwierając przed nią drzwi. I rzeczywiście tak było.

*

– To RAK – upierała się moja mama. – Po prostu wiem, że ma RAKA.

Stojąc w kuchni, z uporem powtarzała to, co jak zwykle nie dawało jej spokoju. Ledwie z London przekroczyliśmy próg domu moich rodziców, a odciągnęła mnie na bok.

– Znowu miał problemy z oddychaniem?

– Nie – odparła. – Ale dziś w nocy znów śnił mi się szpital. Tyle że tym razem nie było fioletowej świni. A lekarzem była kobieta. Mówiła o RAKU.

– Przyszło ci do głowy, że to tylko sen?

– Czy kiedykolwiek dwa razy śniło ci się to samo?

– Nie mam pojęcia. Zwykle nie pamiętam snów. Ale nie panikowałbym, chyba że z tatą rzeczywiście jest coś nie tak.

Spojrzała na mnie ze smutkiem.

– Czasami nie ma żadnych objawów aż do chwili, gdy jest już za późno.

– Czyli twoim zdaniem to, że czuje się dobrze, może świadczyć o tym, że jest chory?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Wy tłumacz mi, dlaczego dwa razy śniłam ten sam sen?

Westchnąłem.

– Chcesz, żebym jeszcze raz porozmawiał z tatą?

– Nie – odparła. – Ale chcę, żebyś miał go na oku. A jeśli cokolwiek zobaczysz, namówisz go, żeby poszedł do lekarza.

– Nie wiem nawet, na co zwracać uwagę – oburzyłem się.

– Jak zobaczysz, będziesz wiedział.

*

– Mama powiedziała ci o raku? – spytała Marge. Sięgnęła po stojący na stole dzbanek i nalała sobie herbaty.

Odesławszy London do kuchni, żeby pomogła babci, dołączyłem do siostry i Liz na werandzie. Ojciec, jak zwykle, siedział w garażu i gołymi rękami majstrował przy silniku.

– Taa – rzuciłem, podstawiając jej szklanę, żeby nalała mi herbaty. – Od ostatniej rozmowy minęło kilka miesięcy, więc mogłem się tego spodziewać. – Potarłem dłonią twarz. – Mam nadzieję, że nie będę taki.

– Jaki?

– Że nie będę całe życie żył w strachu.

– Mama ma powody – przypomniała mi Marge. – Rak zabił wszystkich z jej rodziny. Nie martwi cię to?

– Chyba nie mam czasu przejmować się takimi rzeczami.

– A ja o tym myślę – przyznała. – Nie martwię się, ale od czasu do czasu przychodzi mi to do głowy. Mam jednak wrażenie, że nawet jeśli ojciec zachoruje, zdrowe komórki pokażą, na co je stać; klepną komórki rakowe w ramię i przegnają je z organizmu. – Popołudniowe słońce zatańczyło na uśmiechniętej twarzy Marge, podkreślając kości policzkowe.

– A przy okazji, dobrze wyglądasz – powiedziałem. – Schudłaś trochę.

– Dzięki, że w końcu zauważyłeś – odparła z dumą. – Wczoraj nie wspomniałeś o tym ani słowem.

– Bo dopiero teraz rzuciło mi się w oczy. Jesteś na diecie?

– Oczywiście. Jadę na wakacje i będę leżała na plaży; dziewczyna musi wyglądać najlepiej, jak się da. Poza tym odkąd zacząłeś biegać, wyglądasz lepiej ode mnie, a ja nie mogłam na to pozwolić.

Przewróciłem oczami i spojrzałem na Liz.

– A co u ciebie? Marge mówiła, że masz mnóstwo pracy.

– Taa, zastępuję koleżankę, która poszła na urlop macierzyński. Ostatnio w wolnym czasie fantazjuję wyłącznie o naszym wypadzie do Kostaryki. Wypróbowałam nawet kilka latynoamerykańskich przepisów, ale Marge niczego nie zjadła;

z powodu węglowodanów. Tłumaczę jej, że ludzie w Kostaryce nie są tak otyli, jak Amerykanie, ale nic to nie daje.

– Znam swoje ciało – odgryzła się Marge. – Poza tym w czasie choroby zupełnie straciłam apetyt. Ale porozmawiajmy o czymś ciekawszym. Widziałeś dziś Emily? Na zajęciach plastycznych?

– Wiesz, co w tobie lubię? – zwróciłem się do Liz.

– Co takiego?

– To, że przy każdej rozmowie nie wściubiasz nosa w moje prywatne życie.

– Bo nie musi – rzuciła Marge. – Zwykle chętnie opowiadasz o tym, co myślisz i czujesz.

Westchnąłem ciężko. Marge prawdopodobnie miała rację, ale mimo wszystko...

– Nie tylko się z nią widziałem, ale wczoraj wieczorem pojechaliśmy z dziećmi do oceanarium. Jesteśmy przyjaciółmi, nic więcej.

– I pewnie nie zauważyłeś, jaka jest śliczna.

Liz się roześmiała.

– Tak czy siak, cieszę się, Russ. Ostatnio wydajesz się dużo szczęśliwszy.

– Bo jestem – odparłem, zaskakując tym wyznaniem samego siebie. – Naprawdę.

*

Po tym, jak Vivian rozmawiała z London na FaceTimie, poprosiłem, żeby do mnie zadzwoniła, bo chciałem zaplanować zbliżające się urodziny naszej córki. Kiedy w końcu usłyszałem jej głos, brzmiał dużo chłodniej niż tydzień temu.

– Wszystko już przygotowałam – oświadczyła. – Wynajęłam dmuchany zamek, który ustawimy w ogrodzie za domem, zamówiłam firmę cateringową i tort z lalką Barbie. Rozesłałam też maile z zaproszeniami.

– Aha, rozumiem... – bąknąłem zbity z tropu tak oziębłym traktowaniem. – Mogę wiedzieć, o której zacznie się przyjęcie?

– O drugiej.

Nic więcej. Chciała, żebym poczuł się niezręcznie.

– Dobrze – powiedziałem powoli. – Rozumiem, że wysłałaś zaproszenia moim rodzicom, Marge i Liz, ale zapytam, czy na pewno dotarły. – Kiedy nie odpowiedziała, dodałem: – I nadal planujesz zajmować pokój gościnny.

– Tak, Russ. Będę spała w pokoju gościnnym. Rozmawialiśmy już o tym.

– Woląłem się upewnić – wyjaśniłem, ale ona już się rozłączyła.

Odetchnąłem. Wyglądało na to, że chwilowy rozejm został właśnie złamany.

ROZDZIAŁ 22

Oko cyklonu

Jako dzieciak uwielbiałem burzę.

Marge uważała, że jestem stuknięty, ale kiedy nadciągała burza, czułem elektryzujące wyczekiwanie zbliżone do tego, które towarzyszyło mojemu ojcu, gdy czekał na mecz finałowy ligi MLB. Upierałem się, żeby pogasić wszystkie światła, i przysuwałem fotele do dużego okna w salonie. Czasami wrzucałem do mikrofalówki torebkę popcornu, który jedliśmy z Marge, oglądając „przedstawienie”.

Siedzieliśmy w ciemności, czekając, aż błyskawica rozedrze niebo na pół albo zamigocze wśród chmur jak światła stroboskopowe. Podczas najlepszych burz pioruny uderzały tak blisko nas, że czuliśmy energię wyładowań, a Marge zaciskała dłonie na oparciu fotela. Zawsze liczyliśmy, ile sekund dzieli błyskawicę od grzmotu, i tym sposobem wiedzieliśmy, jak szybko zbliża się burza.

Na Południu burze nie trwają długo. Zwykle mijają po trzydziestu, czterdziestu minutach, kiedy więc huk ostatniego grzmotu przebrzmiał w oddali, niechętnie wstawaliśmy z foteli, włączaliśmy światła i wracaliśmy do swoich obowiązków.

Huragany to zupełnie inna bajka. Mój zapobiegliwy ojciec zabijał deskami okno panoramiczne w salonie, więc nie mogliśmy w pełni cieszyć się spektaklem. Fascynowały mnie apokaliptyczne wichury i ulewne deszcze... a zwłaszcza oko cyklonu – ten nierzeczywisty moment, gdy wiatr ustawał, a zza chmur przebierało cudownie czyste niebo. Jednak był to pozorny spokój,

bo huragan wciąż się czaił, a wraz z nim jeszcze większe zniszczenie.

Zastanawiam się, co lepiej opisuje moje życie w tamtym feralnym roku? Czy była to seria następujących po sobie gwałtownych burz? Czy potworny huragan z okiem cyklonu, które uśpiło moją czujność i kazało mi wierzyć, że wyjdę z tego bez szwanku, gdy tak naprawdę wszystko, co najgorsze, było jeszcze przede mną?

Nie wiem.

Mam tylko nadzieję, że do końca życia nie doświadczę czegoś podobnego.

*

London była zachwycona swoim przyjęciem urodzinowym. Dmuchany zamek okazał się strzałem w dziesiątkę, na widok tortu zaczęła klaskać z radości i spędziła miło czas, bawiąc się z przyjaciółmi; zwłaszcza z Bodhim. Emily wymówiła się, twierdząc, że musi spotkać się z właścicielem galerii i ustalić szczegóły wystawy. Ktoś z rodziców obiecał, że odwiezie Bodhiego do domu. Przeprosiła, że nie może zostać, ale chyba oboje chcieliśmy uniknąć niezręcznej sytuacji.

Wcześniej, kiedy Vivian i London pojechały na zajęcia plastyczne – Vivian przyjechała z Atlanty SUV-em – pojechałem do sklepu zoologicznego, kupiłem akwarium i postawiłem je w pokoju London. Wybrałem kilka kolorowych rybek i przyczepiłem do szkła kokardę. Kiedy wróciły do domu, kazałem córce zasłonić oczy i przeprowadziłem ją przez próg. Na widok akwarium pisnęła z radości i podbiegła do niego.

– Mogę je nakarmić?

– Oczywiście – odparłem. – Na pewno są głodne. Chodź, pokażę ci, ile dać im jedzenia.

Nasypałem trochę pokarmu do plastikowego pojemniczka i podałem go jej. London wsypała jego zawartość do akwarium i jak urzeczona patrzyła na ryby, które podpłynęły do

powierzchni i zaczęły łapczywie jeść. Kiedy obejrzałem się przez ramię, Vivian stała ze skrzyżowanymi ramionami, zaciskając usta w wąską kreskę.

Jednakże na przyjęciu rozpływała się w uśmiechach, obdarowując nimi wszystkich, w tym mnie i moją rodzinę. Poprosiła moją mamę, żeby pomogła jej kroić tort, a gdy London otworzyła pudełko z akcesoriami dla Barbie, które dostała od Marge i Liz, upomniała ją, że powinna przytulić je i podziękować.

W pewnym momencie Marge nachyliła się w moją stronę i mruknęła pod nosem: „Zachowuje się, jakby między wami nic się nie zmieniło”, przez co jeszcze bardziej zacząłem się denerwować chłodnym zachowaniem Vivian.

Po przyjęciu zabrała London do centrum handlowego; zbliżało się Halloween i należało kupić jej kostium. Ja w tym czasie posprzątałem dom, wyrzuciłem papierowe talerze i kubki i schowałem do lodówki tacę z resztkami jedzenia. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zniknę z domu na resztę wieczoru, więc pojechałem do biura.

Pracowałem do późna, ale w niedzielę wstałem wcześniej rano, żeby pobiegać i wziąć prysznic. Jadłem śniadanie i popijałem kawę, kiedy usłyszałem Vivian, która krzątała się w pokoju na górze. Chociaż zwlekałem z opuszczeniem kuchni z nadzieją, że będzie chciała porozmawiać o przyjęciu, nie pojawiła się.

Wróciłem więc do biura, żeby skończyć prezentacje – wszystkie były mniej więcej podobne – świadom, że rozejm między mną i Vivian dobiegł końca, ale nie wiedząc, dlaczego tak się stało. Czy była zazdrosna, że London podobało się akwarium – prezent, który wybrałem i kupiłem bez jej udziału? Ale przecież przez ostatni tydzień Vivian zachowywała się wobec mnie w porządku.

Przyjechawszy do biura, wysłałem do niej SMS-a z pytaniem, o której planuje wyjechać. Odpisała dopiero przed siedemnastą, informując, że wyjeżdża za pół godziny, przez co musiałem gnać do domu na złamanie karku.

Kiedy wróciłem, London rzuciła mi się w ramiona.

– Nakarmiłam rybki, tatusiu! Były takie głodne! I pokazałam je Panu i Pani Sprinkles.

– Nadałaś im już imiona?

Przytaknęła.

– Są takie śliczne, że od razu wiedziałam, jak je nazwę. Chodź, pokażę ci.

Zaprowadziła mnie na górę do swojego pokoju i wskazując kolejne ryby, przedstawiała mi je: Kopciuszek, Dżasmina, Ariel, Bella, Mulan i Dory, bo są do nich podobne.

Na dole Vivian czekała przy drzwiach. Przytuliła London i pocałowała ją na do widzenia, a zaraz potem odwróciła się w moją stronę i nawet na mnie nie patrząc, rzuciła zdawkowe: „Cześć”.

Powinienem był odpuścić, ale po chwili zastanowienia ruszyłem za nią. Kiedy podszedłem do niej, otwierała drzwi SUV-a.

– Vivian? Zaczekaj.

Odwróciła się; jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Wszystko w porządku?

– Tak, Russ – odparła, choć, sądząc po jej głosie, nic nie było w porządku.

– Zachowujesz się, jakbyś była zła.

– Pytasz poważnie? – Zdjęła okulary przeciwsłoneczne. – Oczywiście, że jestem zła. I rozczarowana.

– Dlaczego? Co takiego zrobiłem?

– Naprawdę chcesz rozmawiać o tym teraz? – Rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

– Po prostu chcę wiedzieć, co się dzieje...

Zamknęła oczy, jak gdyby chciała się uspokoić, ale kiedy na mnie spojrzała, błysnęły złowróźnie.

– Po co zabierasz London na randki ze swoją dziewczyną?

Jej pytanie zaskoczyło mnie do tego stopnia, że potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, o co jej chodzi.

– Masz na myśli Emily?

– Oczywiście, że mam na myśli Emily!

– Ona nie jest moją dziewczyną – rzuciłem. – London i Bodhi się przyjaźnią.

– I dlatego zabieracie ich do zoo? I oceanarium? Jak na jakąś podwójną randkę? – warknęła. – Wiesz, jak bardzo miesza jej to w głowie? Czemu to robisz?

– Nie robię niczego, żeby namieszać jej w głowie...

– Wiesz, co London zrobiła wczoraj? Kiedy pojechałyśmy na zajęcia plastyczne? Podbiegła do Emily i przytuliła się do niej. Na oczach wszystkich!

– London przytula się do każdego...

– Przytuliła się do niej! – wrzasnęła Vivian. Poczerwieniała ze złości. – Myślałam, że jesteś mądrzejszy! Że jesteś lepszy! Ja nie nalegam, żeby London wychodziła ze mną i z Walterem, prawda? Nie powiedziałam jej o Walterze. Nawet nie wie o jego istnieniu! Nie powiedziałam jej, że się rozwodzimy!

– Vivian...

– Przestań! – warknęła. – Nie mam ochoty wysłuchiwać, jak tłumaczysz się, dlaczego paradujecie po mieście, jak byście byli rodziną! Nie czekałeś długo, co?

– Emily jest moją przyjaciółką – zaprotestowałem.

– Naprawdę zamierzasz stać tu i przekonywać mnie, że spotykasz się z nią tylko dlatego, że London i Bodhi się przyjaźnią? – zakpiła. – Z innymi rodzicami przyjaciół London też się spotykasz?

– Nie, ale...

– I wcale o niej nie myślisz? Nie dzwonisz do niej? Nie szukasz u niej wsparcia?

Nie mogłem zaprzeczyć i moja mina mówiła sama za siebie.

– Robię, co mogę, żeby trzymać London z daleka od tego wszystkiego – ciągnęła. – A ty... Ty w ogóle nie myślisz o tym, co dla niej najlepsze. Nie zastanawiasz się, co myśli i czuje. Jak zawsze myślisz tylko o sobie i ważne jest tylko to, czego ty chcesz. W ogóle się nie zmieniłeś, prawda, Russ?

Po tych słowach wsiadła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Wyjechała tyłem z podjazdu i ruszyła z piskiem opon, podczas gdy ja stałem jak skamieniały.

*

Tamtej nocy nie mogłem zasnąć.

Czy Vivian miała rację? Czy rzeczywiście myślałem tylko o sobie? Odtwarzałem w głowie wszystkie spotkania z Emily; analizowałem okoliczności, które doprowadziły nas do zoo i oceanarium. I zadawałem sobie pytanie, czy London przyjaźni się z innymi dziećmi i czy odwiedziłbym tamte miejsca z ich rodzicami?

W głębi serca wiedziałem, że odpowiedź brzmi „nie”, i zastanawiałem się, jak bardzo oszukiwałem samego siebie.

*

Poczułem reperkusje gniewu Vivian kilka dni później, kiedy siedziałem w biurze Taglieriego. Zadzwoił do mnie, bo – jak twierdził – miał mi do przekazania najświeższe wieści dotyczące ugody.

– W końcu udało mi się odbyć nieco dłuższą rozmowę z prawniczką Vivian – zaczął. – I krok po kroku przeanalizowaliśmy warunki ugody. – Po tych słowach westchnął. – Nie wiem, co wydarzyło się między tobą a Vivian. Jak zwykle w takich przypadkach, spodziewałem się, że obie strony będą gotowe pójść na pewne ustępstwa. Do głowy by mi nie przyszło, że Vivian zwiększy swoje roszczenia.

– Chce więcej? – Poczułem, że ogarnia mnie niemoc.

– Tak.

– Więcej czego?

– Wszystkiego. Wyższych alimentów. Więcej pieniędzy z podziału majątku.

- Ile dokładnie?
- Kiedy mi powiedział, zbladłem.
- A jeśli nie mam takich pieniędzy?
- Cóż, na początek... sprzedałbym dom.
- Czekając na kolejne rewelacje, czułem się, jak gdybym dostał pięścią w brzuch.
- Powiedziała też, że Vivian przyjedzie na Halloween i wolałaby, żeby tym razem nie było cię w domu.
- Dlaczego Vivian sama mi tego nie powie?
- Ponieważ zdecydowała, że od tej chwili będziecie się komunikować wyłącznie przez prawników. Nie ma ochoty z tobą rozmawiać.
- Coś jeszcze? – spytałem oszołomiony.
- Chce zabrać London do Atlanty w weekend trzynastego listopada.
- A jeśli się nie zgodzę?
- Prawdopodobnie pójdzie prosto do sądu. I, Russ... – Taglieri spojrzał na mnie z powagą. – Nie warto o to walczyć, bo i tak przegrasz. Dopóki nie jest niezdolna do pełnienia obowiązków rodzicielskich, ma prawo widywać się z córką.
- Nie zamierzałem walczyć. Po prostu jestem... zdruzgotany.
- Chcesz pogadać o tym, co ją tak wkurzyło?
- Nie bardzo – odparłem. Bo i jaki to miało sens? – Co mówi o London?
- Na razie chce się z nią widywać co drugi weekend, ale w przyszłości będzie się ubiegała o wyłączne prawo opieki.
- Nie ma mowy.
- To jeszcze jeden powód, żeby wystawić dom na sprzedaż. Chociaż obniżyłem dla ciebie stawki, batalia przeciwko Vivian będzie cię drogo kosztować.

*

Przynajmniej w pracy wszystko miało się ku lepszemu. Kilka tygodni po urodzinach London podpisałem umowy z czterema

z pięciu kancelarii prawniczych. Chociaż oznaczało to, że nagle miałem pełne ręce roboty – podobnie jak grafik komputerowy i ekipa telewizyjna – praca, którą wykonałem dla Taglieriego, znacznie skróciła moją krzywą uczenia się. Kampania chirurga plastycznego ruszyła w czasie, gdy Marge i Liz wyjechały do Kostaryki, i okazała się wielkim sukcesem.

Oboje z córką popadliśmy w rutynę. Szwy na jej czole rozpuściły się, a prześwietlenie kontrolne potwierdziło, że ręka nie była złamana. Po zdjęciu szyny London nie była jeszcze gotowa na lekcje pianina, ale na zajęciach plastycznych radziła sobie świetnie. Na kolejny wieczór randkowy zabrałem ją do ekskluzywnej restauracji o nazwie Fahrenheit, z bajecznym widokiem na Charlotte i eleganckimi, wypisywanymi ręcznie kartami dań. Vivian byłaby zachwycona.

*

W miarę jak zbliżało się Halloween, rzadko widywałem się z Emily.

Słowa Vivian zapadły mi w pamięć. I choć próbowałem się przekonywać, że nasza relacja jest czysto platoniczna, wiedziałem, że chodzi o coś więcej niż tylko przyjaźń. Emily mnie pociągała i wieczorami, patrząc na telefon, zastanawiałem się, czy chcąc do niej zadzwonić, wyrządzam krzywdę London.

Nie zrozumcie mnie źle. Nadal dzwoniłem do Emily niemal każdego wieczoru, nie chcąc albo nie potrafiąc zrezygnować z tego pocieszającego rytuału. Ale gdzieś z tyłu głowy słyszałem głos Vivian i czasami, kończąc rozmowę, czułem się zmieszany i winny. Wiedziałem, że nie jestem gotowy na nowy związek, ale czy dzwoniąc do niej tak często, zachowywałem się, jakby było inaczej? I czego właściwie oczekiwałem, jeśli chodzi o Emily? Czy mogłem zadowolić się zwykłą, przyjacielską relacją? Czy byłbym szczęśliwy, gdyby zaczęła spotykać się z kimś innym? Czy na samą myśl o tym czułem ukłucie zazdrości?

W głębi duszy znałem odpowiedź. Oprócz Marge Emily była moją najlepszą przyjaciółką, a jednak nie wspomniałem jej o rozmowie z Vivian. Dlaczego nie potrafiłem zdobyć się na szczerość i opowiedzieć jej o bitwie, którą toczyłem z samym sobą? Może część mnie czuła, że od samego początku okłamywałem Emily na temat swoich intencji? Pragnąłem czegoś więcej niż zwykłej przyjaźni. Jeśli nie teraz, to w przyszłości.

I choć może się to wydać samolubne, nie chciałem ryzykować, że ją utracę, a przez to czułem się jeszcze bardziej zagubiony.

*

Dzień przed Halloween zarezerwowałem pokój w hotelu.

Marge i Liz wróciły z Kostaryki w nocy ze środy na czwartek i nie chciałem pakować się im do domu. Nie chciałem też nocować u rodziców, choć byłem pewny, że nie mieliby nic przeciwko temu. Wolałem, żeby nie wiedzieli o moich pogarszających się relacjach z Vivian. Jej serdeczne zachowanie podczas przyjęcia urodzinowego London sprawiło, że mama odciągnęła mnie na bok i próbowała mnie przekonać, że Vivian nadal coś do mnie czuje. Ja jednak chciałem uniknąć podobnych rozmów.

Taglieri wysłał mi wiadomość, że Vivian przyjedzie w piątek wczesnym wieczorem, prawdopodobnie około dziewiętnastej, a to oznaczało, że London i ja musimy zrezygnować z wieczoru randkowego. Zamiast tego zjedliśmy w domu. Po kolacji London pobiegła na górę, żeby zajrzeć do chomików i rybek, a ja zabrałem się za sprzątanie kuchni.

Dwadzieścia minut później usłyszałem, jak Vivian wchodzi do domu.

– Cześć! – zawołała. – Już jestem!

Serce zaczęło mi walić, jakby przyłapała mnie na czymś, a przecież byłem we własnym domu. Tymczasem Vivian

zachowywała się, jakby to ona wciąż tu mieszkała.

Zajrzała do kuchni, szukając London.

– Jest w swoim pokoju – powiedziałem. – Pobiegnij zajrzeć do zwierzątek.

– Jasne – rzuciła, kiwając głową. – Jadła już?

Myślałem, że powiedziałaś swojej prawniczce, że nie będziemy się z sobą komunikować. Ale w porządku, podejmę twoją grę.

– Tak, zjadła kolację. Ale jeszcze się nie kąpała. Nie wiedziałem, czy zabierzesz ją do kina, czy...

– Jeszcze nie wiem. Porozmawiam z nią. – Urwała. – Wszystko w porządku?

– Tak – rzuciłem, zdumiony jej serdecznym tonem. – Wszystko w porządku. Czekasz na zbieranie słodyczy?

– Będzie fajnie. Wybrałam dla London niesamowity kostium Belli z *Pięknej i Bestii*, z błyszczącymi dodatkami.

– Będzie zachwycona – przyznałem. – Nazwała jedną z rybek Bella.

– Wpadnij, żeby ją zobaczyć.

– Chcesz, żebym przyjechał?

Przewróciła oczami i spojrzała na mnie nie ze złością, lecz z niedowierzaniem – jakby dziwiła się, że jestem taki niedomyślny.

– Oczywiście, Russ. To twoja córka. Jest Halloween. Poza tym musisz być w domu, żeby rozdawać cukierki dzieciakom. Jak twoim zdaniem będzie wyglądał jutrzejszy wieczór?

Jak zwykle musiałem się domyślać.

*

Nie widziałem Marge i Liz od przyjęcia urodzinowego London, więc następnego dnia po południu wpadłem do rodziców. Od razu zauważyłem, że Marge znowu straciła na wadze. Wyglądała fantastycznie, ale miałem na końcu języka, żeby nie chudła

bardziej, w przeciwnym razie zacznie wyglądać niezdrowo. Liz też zrzuciła parę kilogramów, lecz nie tak dużo jak moja siostra.

Ledwie przekroczyłem próg domu, rzuciły mi się na szyję.

– A więc tak wygląda człowiek po urlopie – zwróciłem się do Marge i gwizdnąłem z podziwu.

– Tak, wiem, jest nieźle, co? Ważę tyle samo co na studiach.

– Ty też świetnie wyglądasz, Liz. Na pewno nie byliście przez ten czas w Canyon Ranch⁴?

– Dzięki, ale nie – odparła. – To efekty starego, dobrego spacerowania i zwiedzania. Podobnie jak Marge, ograniczyłam porcje ryżu i fasolki do minimum.

– Jestem zazdrosny. Przestałem tracić na wadze, chociaż wciąż biegam.

– Co słysząc? – spytała Marge. – Kiedy wczoraj wieczorem rozmawiałam z mamą, powiedziała, że pozyskałeś nowych klientów. Wyjdźmy na zewnątrz porozmawiać.

– Jasne. Tylko przywitam się z rodzicami. Zaraz do was wyjdę.

Powitanie z rodzicami trwało piętnaście minut – dzięki Bogu, mama nie poruszyła tematu raka – i kiedy wyszedłem na taras, Liz i Marge siedziały, popijając słodką herbatę.

Przez kolejną godzinę słuchałem relacji z ich podróży – opowieści o zjazdach na tyrolkach, wulkanie Arenal, wędrówkach lasami mglistymi i spacerach po wybrzeżu – i opowiadałem im, co w tym czasie wydarzyło się w moim życiu. W pewnym momencie mama wyjrzała z kuchni i zapytała Liz, czy mogłaby jej pomóc.

– Czyli... najpierw ustala, że będziecie się komunikować przez adwokatów, a potem pojawia się w domu i zachowuje, jakby nic się nie stało?

Pokiwałem głową.

– Tylko nie proś mnie, żebym ci to wytłumaczył. Jestem wdzięczny Bogu za drobne przysługi.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego Vivian spędza z London zarówno jej urodziny, jak i Halloween. Ty też powinieneś robić z nią fajne rzeczy.

– Akurat tak się złożyło, że wszystko wypada w weekendy.

Marge nie przekonały moje wyjaśnienia, ale postanowiła nie drażnić tematu.

– A co myślisz o sprzedaży domu?

– Jestem rozdarty. Jest dla nas za duży, prawdę mówiąc, zawsze był, ale z drugiej strony łączy się z nim tyle wspomnień. Wygląda jednak na to, że nie mam wyboru. Chociaż interesy idą coraz lepiej, nie mam wystarczająco oszczędności, żeby zapłacić Vivian, kiedy podpiszemy dokumenty. – Zamilkłem na chwilę. – Nie mogę uwierzyć, że minęły prawie dwa miesiące, odkąd mnie zostawiła. Mam wrażenie, jakby to było wczoraj. Chyba nigdy się z tym nie pogodzę.

– Dasz radę – rzuciła Marge. Odwróciła głowę, zakryła usta i zaczęła kasłać.

– Dalej jesteś chora?

– Nie – odparła. – To pozostałości po zapaleniu oskrzeli. Wygląda na to, że płuca potrzebują kilku miesięcy, żeby dojść do siebie. Na wakacjach czułam się świetnie, ale teraz muszę odpocząć po urlopie. Liz tak nas zgoniła, że dalej jestem zmęczona. Tak się nachodziłam, że wciąż bolą mnie kolana.

– Wędrówki to dobre ćwiczenie, ale zabójcze dla stawów – przyznałem.

– A skoro o tym mowa, daj znać, gdybyście z Emily chcieli gdzieś z nami wyskoczyć. Jak za dawnych czasów.

– Jasne – rzuciłem. Słyszając to, Marge przekrzywiła głowę.

– Aha. Wyczuwam kłopoty w rajcu. Jest coś, o czym mi nie mówisz?

– Nee – bąknąłem wymijająco. – Po prostu nie wiem, dokąd zmierza nasza relacja.

Marge przyjrzała mi się z uwagą.

– Czemu nie możesz cieszyć się tym, co jest między wami teraz? Bo mam wrażenie, że przez ostatnie dwa miesiące Emily była dla ciebie prawdziwą opoką.

– To prawda.

– Więc docień to i pozwól życiu płynąć własnym torem.

Zawahałem się.

– Vivian uważa, że wspólne wypadki z Emily i dziećmiakami mieszają London w głowie. I ma rację.

Marge się skrzywiła, skrzyżowała ramiona na piersi i nachyliła się w moją stronę.

– Więc spotykajcie się bez London i Bodhiego – poradziła mi. – Dlaczego nie wyskoczycie gdzieś tylko we dwoje?

– Masz na myśli randkę?

– Tak – odparła. – Mam na myśli randkę.

– A London?

– Liz i ja chętnie się nią zaopiekujemy. Poza tym, czy nie wspominałeś, że za kilka tygodni London pojedzie do Atlanty? Chwytaj dzień, braciszku.

*

W wieczór halloweenowy Vivian była zadziwiająco ciepła i serdeczna. Uparła się nawet, że zrobi mnie i London zdjęcie swoim telefonem, które zaraz mi przesłała. Ja rozdawałem cukierki dzieciakom z sąsiedztwa. Przychodziło ich tyle, że w końcu usiadłem na fotelu bujanym na ganku, żeby co chwila nie wstawać z kanapy.

Nazajutrz rano obudziła mnie wiadomość od Vivian z informacją, że wyjeżdża przed osiemnastą i prosi, żebym był wtedy w domu.

Wychodząc, przytuliła mnie mocno i szepnęła mi do ucha, że świetnie radzę sobie z London.

*

Pierwsze dwa tygodnie listopada zwały się w ciąg osiemnastogodzinnych dni, pełnych rutynowych czynności, które stały się moją drugą naturą. Ćwiczyłem, pracowałem, opiekowałem się London – która wróciła do lekcji gry na pianinie

– gotowałem, sprzątałem, a wieczorami dzwoniłem do Emily. Dzięki nowym klientom byłem tak zajęty, że w weekend nie miałem nawet czasu zajrzeć do rodziców i ani razu nie odwiedziłem Marge i Liz. Jednak kilka rzeczy z tamtego okresu zapadło mi w pamięć.

Tydzień po Halloween odwiedziła mnie pośredniczka w handlu nieruchomościami, żebym mógł wystawić dom na sprzedaż. Weszła i zadawała mnóstwo pytań, a pod koniec zaproponowała, żebym „dla lepszego efektu” poprzestawiał meble. I tak oto jeden po drugim meble wróciły na swoje miejsce, tak jak poustawiała je Vivian. Zanim pośredniczka odjechała, wyciągnęła z samochodu drewniany młotek i wbiła przed domem czerwoną tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ.

Jej widok sprawił, że coś we mnie pękło, i postanowiłem zadzwonić do Emily, która, jak zwykle, postawiła mnie do pionu i zapewniła, że nowy początek w nowym domu dobrze mi zrobi. Może przytłaczała mnie perspektywa tego, że Vivian zabierze London na weekend do Atlanty, ale im dłużej rozmawialiśmy, tym częściej myślałem o tym, co powiedziała Marge, i zastanawiałem się, czy nie umówić się z Emily. Zanim jednak zebrałem się na odwagę, Emily powiedziała:

– Russ, chciałam zapytać, czy... nie poszedłbyś ze mną na otwarcie wystawy, o której ci mówiłam? Też, gdzie będzie można obejrzeć kilka moich prac.

Sprawiła wrażenie zdenerwowanej i wyobraziłem sobie, że zatyka za ucho kosmyk włosów; robiła to zawsze, gdy czuła się niezręcznie.

– Zrozumiem, jeśli odmówisz, ale ponieważ otwarcie jest w weekend, kiedy London będzie w Atlancie, pomyślałam...

– Z chęcią – przerwałem jej. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.

*

W miarę jak zbliżał się trzynasty listopada, pomagałem córce przygotować się do wyjazdu do Atlanty. London cieszyła się na myśl, że odwiedzi Vivian w jej nowym mieszkaniu, i cztery albo pięć razy przepakowywała walizkę. Od kilku dni zastanawiała się, co z sobą zabrać, aż w końcu zdecydowała się na kilka zestawów ubrań, które wylądowały w walizce wraz z lalkami Barbie, kolorowankami, kredkami i książeczką *Two by Two*. Vivian wysłała wiadomość, że przyjedzie po nią o siedemnastej, domyślałem się więc, że to ona będzie prowadziła w obie strony. Kompletnie zapomniałem o prywatnym odrzutowcu Spannermana, o czym przypomniała mi limuzyna, która podjechała pod nasz dom.

Zaniosłem bagaż córki do samochodu i podałem go kierowcy. Tymczasem London podziwiała luksusowe wnętrze limuzyny.

Mimo iż była z nią mama, świadomość, że zaraz odjedzie, rozdzierała mi serce.

– Odwiozę ją w niedzielę około dziewiętnastej – uprzedziła mnie Vivian. – Oczywiście możesz dzwonić do niej o każdej porze.

– Postaram się nie narzucać.

– Jesteś jej ojcem – zauważyła. – Nie narzucasz się. – Odwróciła wzrok i dodała: – Chcę, żebyś wiedział, że w ten weekend nie spotka się z Walterem. Na to jest jeszcze za wcześnie. Nie zrobię jej tego.

Przytaknąłem zaskoczony i, tak, niewątpliwie wdzięczny.

– Wiesz już, co będziecie robić? – zapytałem, chcąc nagle jak najdłużej zatrzymać ją przy sobie.

– W Atlancie jest mnóstwo atrakcji. Myślę, że wymyślimy coś na poczekaniu. Powinam się zbierać. Nie chcę wracać późnym wieczorem.

Tym razem nie objęła mnie. Odwracając się, zatrzymała wzrok na tabliczce z biura nieruchomości i zastygła w bezruchu. Zaraz jednak odgarnęła włosy na plecy i wsiadła do samochodu, a kierowca zamknął za nią drzwi.

Z uczuciem dziwnej pustki patrzyłem, jak limuzyna odjeżdża sprzed domu. Mimo wszystkiego, co wydarzyło się do tej pory, zawsze istniał kolejny sposób, by przypomnieć mi, że straciłem przyszłość, która kiedyś rysowała się w jasnych barwach.

*

Nie mam pojęcia, dlaczego denerwowałem się na myśl, że będę towarzyszył Emily na otwarciu wystawy. Praktycznie w każdy weekend spotykaliśmy się na kawie, wieczorami zwykle rozmawialiśmy przez telefon, a raz spędziłem wieczór w jej domu, popijając wino na werandzie. Wspólnie z dziećmi wybieraliśmy się na całodniowe wypadki za miasto. Co więcej, na wystawie pokazywano jej prace, nie moje, więc jeśli ktokolwiek powinien się denerwować, to ona.

A jednak serce waliło mi jak szalone i zaschło mi w ustach, kiedy Emily otworzyła drzwi. Jej widok też mi nie pomógł. Nie wiedziałem, jak powinni wyglądać artyści na otwarciu wystawy, ale wyluzowana mama pięciolatka, którą tak dobrze znałem, gdzieś zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się zachwycająca kobieta w czarnej sukience koktajlowej na ramiączkach, z włosami, które niczym lśniący wodospad opadały jej na ramiona. Miała delikatny, prawie niewidoczny makijaż.

– W samą porę – rzuciła i nachyliła się, żeby mnie objąć. – Ale jesteś elegancki.

Zdecydowałem się na to, co Vivian nazywała „hollywoodzkim szykiem”: czarną marynarkę, czarne spodnie i czarny pulower w serek.

– Nie wiedziałem, co włożyć – przyznałem, wciąż czując na sobie jej przelotny dotyk.

– Zaczekaj, upewnię się tylko, że opiekunka ma wszystko, co potrzeba, i będziemy mogli iść.

Patrzyłem, jak wchodzi po schodach, i słyszałem, jak rozmawia z opiekunką. Stojąc na szczycie schodów, przytuliła i pocałowała Bodhiego, i wróciła na dół.

– Idziemy?

– Oczywiście – odparłem przekonany, że jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem. – Ale pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Dasz mi jakieś wskazówki, jak się zachowywać na otwarciu wystawy.

Jej dźwięczny śmiech rozsypał węzeł, który stres zawiązał na mojej przeponie.

– Porozmawiamy po drodze – powiedziała, sięgając do szafy i wyjmując kaszmirowy szal. – Lepiej się stąd wynośmy, zanim Bodhi przypomni sobie, że czegoś zapomniał, i zatrzyma mnie w domu na kolejne dwadzieścia minut.

Otworzyłem drzwi i patrząc, jak idzie do samochodu, podziwiałem jej figurę. Błądziłem wzrokiem po jej ciele, a gdy przypominałem sobie wieczór, kiedy pomogła mi zawiązać krawat, zaczerwieniłem się i pospiesznie podniosłem wzrok.

Wyjechałem tyłem z podjazdu i ruszyłem w stronę centrum, gdzie znajdowała się galeria.

– To dla ciebie ważny dzień? – zapytałem. – Wiem, że pracowałaś jak szalona, żeby dokończyć wszystkie obrazy.

– Nie jest to Muzeum Sztuki Nowoczesnej, ale właściciel galerii robi kawał dobrej roboty. Od dawna siedzi w tej branży i raz w roku zaprasza najlepszych klientów na prywatną wystawę. Kilkoro z nich to znaczący kolekcjonerzy. Zwykle wystawiane są prace sześciu, siedmiu artystów, ale z tego, co pamiętam, w tym roku ma ich być dziewięciu. Dwóch rzeźbiarzy, artysta tworzący w szkłe, artysta ceramik i pięciu malarzy.

– A ty jesteś jednym z nich.

– Jak co roku.

– Ilu w sumie artystów reprezentuje?

– Może trzydziestu.

– Widzisz? A ty jesteś taka skromna i w ogóle o tym nie mówisz.

– Nie mówię, bo nie sprzedaję obrazów za wielkie pieniądze. Moje prace nie trafią nigdy do Sotheby's czy Christie's. Oczywiście większość artystów, których obrazy sprzedają się za miliony dolarów, już nie żyje.

– To nie w porządku.

– Mów mi jeszcze – rzuciła.

– A jaką rolę odgrywasz podczas otwarcia?

– Mam być miła dla gości, w końcu jestem jednym z kilkorga gospodarzy. Będzie wino i przystawki. Mam się kręcić nieopodal swoich prac, na wypadek gdyby ktoś chciał mnie o coś zapytać albo porozmawiać.

– A jeśli ktoś będzie chciał kupić obraz?

– Będzie musiał porozmawiać z właścicielem galerii. Nie ja decyduję, ile warte jest płótno. Chociaż żartowałam o bajońskich sumach, za które kupuje się obrazy, nie lubię myśleć o sztuce w kategoriach pieniędzy. Ludzie powinni kupować dzieła sztuki, bo im się podobają. Bo do nich przemawiają.

– Albo dlatego, że będą dobrze wyglądały na ścianie?

– To też – przyznała z uśmiechem.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć twoje prace. Przepraszam, że wcześniej nie byłem w galerii...

– Russ, jesteś zabieganym samotnym ojcem – odparła, ściskając mnie za ramię. – Cieszę się, że zgodziłeś się mi towarzyszyć. Przynajmniej będę miała z kim porozmawiać, jeśli nikt nie będzie zainteresowany moimi obrazami. To trochę przygnębiające, gdy człowiek stoi obok swoich prac i patrzy, jak inni je ignorują albo odwracają wzrok w obawie, że będziesz ich zagadywał.

– Zdarzyło ci się kiedyś coś takiego?

– Za każdym razem – przyznała. – Nie wszystkim podobają się moje prace. Sztuka jest subiektywna.

– Mnie się podobają. Przynajmniej te, które widziałem w twoim domu.

Roześmiała się.

– To dlatego, że mnie lubisz.

– To prawda. – Mówiąc to, spojrziałem na nią.

*

Kiedy dotarliśmy do galerii, byłem już zupełnie spokojny. Jak zwykle obecność Emily podziałała na mnie jak balsam; dlatego, że ona również czuła się swobodnie w moim towarzystwie. Zapomniałem, jak cudownie jest czuć się akceptowanym, i stojąc przed wejściem do budynku, przyłapałem się na tym, że patrzę na Emily i zastanawiam się, jak inaczej wyglądałoby moje życie, gdybym ożenił się z nią, a nie z Vivian.

Emily zauważyła, że się jej przyglądam, i przechyliła głowę.

– O czym myślisz?

Zawahałem się.

– Tak sobie myślałem, jak to dobrze, że London i Bodhi się przyjaźnią.

Zmrużyła oczy.

– Chyba jednak nie myślałeś o dzieciach.

– Nie?

– Nie – odparła i uśmiechnęła się znacząco. – Mam wrażenie, że myślałeś o mnie.

– Czytanie ludziom w myślach musi być fajne.

– Tak – przyznała. – Znam jeszcze jedną sztuczkę. Patrz, za chwilę wejść do galerii, nie dotykając drzwi.

– Jak to zrobisz?

Spojrzała na mnie z udawanym rozczarowaniem.

– Nie otworzysz mi? Myślałam, że jesteś dżentelmenem.

Roześmiałem się i pchnąłem drzwi. Wnętrze budynku było jasno oświetlone i przypominało mieszkanie w dawnej zaadaptowanej fabryce; duża, otwarta przestrzeń z widocznymi tu i ówdzie niosięgającymi sufitu ściankami działowymi. To właśnie na nich wisiały obrazy. Naliczyłem mniej więcej dwadzieścia osób, większość z nich trzymała w dłoniach kieliszki z winem albo szampanem. Krążący wśród gości kelnerzy i kelnerki nosili srebrne tace z przystawkami.

– Prowadź – zwróciłem się do Emily. – Dziś wieczorem to ty jesteś gwiazdą.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i ruszyliśmy w stronę wyglądającego jak patrycjusz siwowłosego mężczyzny. Jak się okazało, był nim Claude Barnes, właściciel galerii. Obok niego stały dwie pary, które przyjechały na wystawę z innych miast.

Wziąłem dwa kieliszki wina od przechodzącego kelnera i podałem jeden Emily. Zobaczyłem, że wskazuje jedną ze ścianek działowych w drugim końcu galerii, i po krótkiej rozmowie udaliśmy się tam.

Potrzebowałem kilku minut, żeby przyjrzeć się obrazom, i pomyślałem, że może nie są uderzająco piękne, ale z pewnością tajemnicze. Podczas gdy obrazy, które widziałem w jej domu, były abstrakcyjne, te wydały mi się bardziej realistyczne. Kolory niemal eksplodowały z płócien, a ich faktura była surowa. Jeden z obrazów szczególnie zwrócił moją uwagę.

– Są niesamowite – powiedziałem. – Nie wyobrażam sobie, ile pracy w nie włożyłaś. Który kosztował cię tak wiele nerwów?

– Ten – odparła, wskazując płótno, które wydało mi się szczególnie interesujące.

Przyjrzałem mu się z bliska, zrobiłem kilka kroków w tył i przez chwilę oglądałem go pod różnym kątem.

– Jest idealny – skwitowałem.

– Nadal uważam, że jest niedokończony – zaprzeczyła, kręcąc głową. – Ale dziękuję.

– Mówię poważnie. Chcę go kupić.

– Dooobrze... – W jej głosie wyczuwało się niepewność, choć widać było, że moje słowa sprawiły jej radość. – Jesteś pewien? Nawet nie wiesz, ile kosztuje.

– Chcę go kupić – powtórzyłem. – Naprawdę. – Kiedy zobaczyła, że nie żartuję, oblała się rumieńcem.

– Jejku! Jestem zaszczyciona, Russ. Zapytam Claude'a, czy możesz liczyć na zniżkę dla „rodziny i przyjaciół”.

Upiłem łyk wina.

– Co teraz? – spytałem.

– Zaczekamy i zobaczymy, czy ktoś podejdzie. – Mówiąc to, mrugnęła do mnie. – Jeśli tak, pozwól, że to ja będę mówiła, dobrze? Nie chcę być współczesną Margaret Keane.

– Kim?

– Margaret Keane była artystką, której mąż przez lata przypisywał sobie jej zasługi. Nakręcili nawet o niej film, *Wielkie oczy*. Powinieneś go zobaczyć.

– Może któregoś wieczoru obejrzymy go razem?

– Umowa stoi.

W miarę jak do galerii ściągali kolejni goście, słuchałem, jak Emily opowiada o swoich obrazach. Moje zadanie polegało na robieniu przybyłym zdjęć z Emily ich telefonami. Wyglądało na to, że każdy chciał się z nią sfotografować, prawdopodobnie dlatego, że była malarką, choć po jakimś czasie zauważyłem, że inni artyści nie cieszą się aż tak wielką popularnością.

Podczas gdy Emily rozmawiała z gośćmi, ja podziwiałem pozostałe prace. Kilka rzeźb zwróciło moją uwagę, były jednak tak duże i abstrakcyjne, że miałem wątpliwości, czy wyglądałyby dobrze w jakimkolwiek domu. Podobały mi się też niektóre obrazy innych twórców, choć uważałem, że prace Emily i tak są lepsze.

Emily i ja skubaliśmy przystawki. Około dwudziestej w galerii zrobiło się naprawdę tłoczno, a nieco później ludzie zaczęło ubywać. Choć impreza miała trwać do dwudziestej pierwszej, Claude pożegnał ostatniego gościa o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć.

– Chyba poszło niezle – stwierdził, podchodząc do nas. – Parę osób wyraziło zainteresowanie twoimi obrazami. Nie zdziwię się, jeśli sprzedadzą się w ciągu kilku dni.

Emily odwróciła się w moją stronę.

– Na pewno chcesz kupić mój obraz? – spytała.

– Tak – odparłem, choć miałem świadomość, że jest to luksus, na który w tej chwili nie mogę sobie pozwolić. Jednak nie dbałem o to. Claude ściągnął brwi, świadomy, że będzie zmuszony dać mi

spory upust, ale grymas na jego twarzy zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Interesuje cię coś jeszcze? Jakies prace innych artystów?

– Nie – odparłem. – Tylko ten obraz.

– Możemy porozmawiać o tym jutro, Claude? – spytała Emily.

– Robi się późno, a ja jestem zbyt zmęczona, żeby rozmawiać o interesach.

– Oczywiście. Zawsze jesteś w tym dobra. Twoja osobowość zjednuje ci sympatię ludzi.

Wiedziałem, że Claude ma rację.

*

– Co chcesz teraz robić? – spytałem Emily w drodze do samochodu. – Jeśli jesteś zmęczona, mogę odwieźć cię do domu.

– Żartujesz? Zatrudniłam opiekunkę i uprzedziłam ją, że nie wrócę do domu przed północną. Powiedziałam Claude'owi, że jestem zmęczona, bo chciałam już wyjść. Kiedy się rozgada, nie może przestać. Uwielbiam go, ale tak rzadko zatrudniam opiekunkę, że zamierzam to wykorzystać.

– Chcesz iść na kolację? Może któryś z lokali będzie jeszcze otwarty.

– Jestem pełna – odparła. – Ale co powiesz na drinka?

– Masz jakiś ulubiony bar?

– Russ, jestem matką pięciolatka. Rzadko wychodzę. Ale słyszałam, że w Fahrenheicie są niesamowite widoki, a poza tym mają tam paleniska. A ponieważ noc jest chłodna, chętnie posiedzę przy ogniu.

– Byliśmy tam z London na wieczorze randkowym.

– Wielkie umysły myślą podobnie.

Niedługo potem usiedliśmy w barze na dachu i grzejąc się przy ogniu, podziwialiśmy widoczne w dole miasto. Zatrzymałem przechodzącą kelnerkę i zamówiłem dwa kieliszki wina.

Emily siedziała otulona kaszmirowym szalem; przymknęła powieki, a na jej twarzy malował się spokój. W czerwonym blasku ognia wyglądała oszalamiająco. Kiedy poczuła na sobie mój wzrok, uśmiechnęła się leniwie.

– Pamiętam to spojrzenie – powiedziała. – Patrzyłeś tak na mnie kiedyś... milion lat temu.

– Tak?

– Czasami to spojrzenie przyprawiało mnie o gęsią skórę.

– Ale już nie?

Jej nieśmiałe wzruszenie ramion zdradzało, że jest inaczej.

– Powiedziałem ci niedawno, że cieszę się, że znowu jesteś częścią mojego życia...

Kiedy urwałem, podniosła na mnie wzrok.

– Ale?

Postanowiłem wyznać prawdę.

– Nie wiem, czy jestem gotowy na związek.

Milczała przez chwilę.

– W porządku – mruknęła w końcu głosem, w którym pobrzmiwała nuta żalu.

– Przepraszam.

– Za co?

– Za często dzwoniłem. Mogłaś przez to pomyśleć, że chcę czegoś więcej, ale na razie nie jestem gotowy. Chwilami wciąż czuję się jak emocjonalny wrak. Nadal zbyt często myślę o Vivian. Nie chodzi o to, że chcę, by wróciła, bo dotarło do mnie, że tego nie chcę. Ale w jakiś sposób nadal jest częścią mojego życia. A ty byłaś taka dobra. Słuchałaś mnie, kiedy byłem przybity, oferowałaś wsparcie. No i, przede wszystkim, potrafiłaś mnie rozśmieszyć...

Gdy skończyłem, spojrzała na mnie z uwagą.

– Czy kiedykolwiek skarżyłam się, że za często dzwonisz? Albo że dość mam twoich zwierzeń?

Pokręciłem głową, czując, że spośród chaosu jakaś myśl próbuje wydostać się na powierzchnię, jak pęcherzyk powietrza w wodzie.

– Nie – odparłem. – Nigdy.

– Mówisz, jakbyś nie dał mi nic w zamian. A przecież dałeś. – Rudawe refleksy w jej ciemnych włosach zaśniły w blasku ognia, gdy odgarnęła z twarzy niesforne kosmyki. Nachyliła się w moją stronę i powiedziała: – Lubię cię słuchać, bez względu na to, w jakim jesteś nastroju. Lubię wiedzieć, że mogę porozmawiać z tobą o wszystkim, i wiem, że mnie zrozumiesz, bo kiedyś byliśmy sobie bliscy. Cieszy mnie myśl, że znasz mnie taką, jaka jestem naprawdę, ze wszystkimi wadami.

– Nie masz żadnych wad – powiedziałem. – Przynajmniej ja ich nie widzę.

Prychnęła z niedowierzaniem.

– Żartujesz? Nie ma ludzi idealnych, Russ. Wierzę, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat dostałam nauczkę i czegoś się nauczyłam, i że, być może, mam więcej cierpliwości niż kiedyś. Ale daleko mi do ideału.

Kelnerka przyniosła wino i miałem wrażenie, że w ciszy, która nastąpiła, nasze myśli obrały inny, nieco poważniejszy kurs. Emily upiła łyk, a kiedy znów na mnie spojrzała, wydała mi się bezbronna.

– Przepraszam – powtórzyłem. – Zepsułem wieczór.

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Doceniam to, że jesteś ze mną szczery, Russ. Chyba właśnie to lubię w tobie najbardziej. Nie boisz się powiedzieć mi, że cierpisz, że obawiasz się porażki i że nie jesteś gotowy na kolejny związek. Niektórzy nie potrafią o tym rozmawiać. David nie umiał. Nigdy nie wiedziałam, co tak naprawdę czuł, zresztą on sam często miał z tym problemy. Z tobą jest inaczej. Jesteś taki otwarty. Zawsze to w tobie podziwiałam i pod tym względem w ogóle się nie zmieniłeś. – Urwała, jakby nie wiedziała, czy powinna mówić dalej. – Naprawdę cię lubię, Russ. Jesteś dla mnie dobry.

– W tym cały problem, Emily. Nie chodzi o to, że cię lubię... wydaje mi się, że się w tobie zakochałem.

Miałem wrażenie, że moje słowa ją zelektryzowały.

– Wydaje ci się?

– Nie – odparłem z nagłą pewnością siebie. – Ja cię kocham. Wiem, że to dziwne, skoro twierdzę, że nie jestem gotowy na coś poważniejszego, ale to właśnie czuję. – Przez chwilę spoglądałem w ogień, próbując zebrać się na odwagę. – Nie jestem typem faceta, w którym powinnaś się zakochać. Zasługujesz na kogoś lepszego. Może z czasem...

Mówienie o tym okazało się bardziej bolesne, niż przypuszczałem, i urwałem, czując, że słowa stają mi w gardle.

Emily patrzyła na mnie w milczeniu. Chwilę potem dotknęła mojej nogi, dając do zrozumienia, że chce, żebym splótł palce z jej palcami. Kiedy to zrobiłem, poczułem przyjemne ciepło.

– Nie przyszło ci do głowy, że mogę czuć to samo?

– Nie musisz tego mówić.

– Nie mówię tego ot tak sobie, Russ. Wiem, czym jest miłość. Może zawsze cię kochałam... Bóg jeden wie, że kiedyś kochałam cię każdą cząsteczką swojego ciała. Takie uczucia nie przemijają tak po prostu... odciskają na nas swoje piętno. – Patrzyła na mnie, głos miała łagodny. – Zaczekam, aż będziesz gotowy. Bo podoba mi się nasza relacja. Podoba mi się to, że jesteś jednym z moich najbliższych przyjaciół. I wiem, jak bardzo ci na mnie zależy. Pamiętasz, co powiedziałam o przyjaźni? „W przyjaźni chodzi o to, by ten, kto pojawia się w twoim życiu, powiedział: Jestem tu dla ciebie, a później to udowodnił”.

Przytaknąłem.

– Możesz nie wierzyć, ale to właśnie dla mnie robisz. Sama też nie wiem, czy jestem gotowa na kolejny związek. Wiem tylko, że chcę, żebyś był obecny w moim życiu, i myśl o tym, że mogłabym cię stracić, znowu, złamałaby mi serce.

– I co teraz? – zapytałem.

– Może po prostu posiedźmy przy ogniu i cieszymy się wieczorem. Możemy być przyjaciółmi dziś, jutro i jak długo będziesz chciał. Wciąż będziesz do mnie dzwonił, będziemy rozmawiać, a w sobotę, gdy podrzucimy dzieciaki na zajęcia plastyczne, pójdziemy na kawę. I nie będziemy się z niczym spieszyć.

Patrzyłem na nią zdumiony tym, jak proste nagle wszystko się wydało.

– Kocham cię, Emily.

– Ja też cię kocham, Russ. – Uścisnęła moją rękę. – Będzie dobrze – zapewniła mnie. – Zaufaj mi.

*

Późną nocą leżałem w łóżku, nie mogąc spać. Emily i ja siedzieliśmy przy ogniu przez kolejną godzinę, oswajając się z tym, co sobie powiedzieliśmy. Kiedy odwiozłem ją do domu, miałem ochotę ją pocałować, ale bałem się, że zburzę tę nowo odkrytą równowagę.

Wyczuła moje wahanie i nachyliła się, żeby mnie objąć. Staliśmy przytuleni na ganku i intymność tej chwili wydała mi się bardziej rzeczywista i znacząca niż jakikolwiek inny gest.

– Zadzwoń jutro, dobrze? – szepnęła, wypuszczając mnie z objęć, i musnęła ręką moją twarz.

– Dobrze.

Chwilę później zniknęła za drzwiami.

*

Ostatnie dwa tygodnie listopada były jednym z najszcześniejszych okresów w moim życiu. Rocznicą ślubu przeszła bez echa; ani Vivian, ani ja nie wspomnieliśmy o tym, gdy rozmawiała z London na FaceTimie, i właściwie dopiero kiedy się rozłączyłem, przypomniałem sobie o rocznicy. Współpraca z klientami układała się coraz lepiej. London wróciła z Atlanty w niedzielę wieczorem i choć świetnie się tam bawiła, bez problemu odnalazła się w codziennej rutynie. Każdego dnia rozmawiałem z Emily i kupiłem od Claude'a jej obraz, który zawiesiłem w salonie. W następny weekend spotkałem się z siostrą, Liz i rodzicami; dzień wcześniej Marge i Liz były

u ginekologa. Kiedy wszyscy siedzieliśmy w pokoju, postanowiły poinformować rodziców o swoich planach.

– Najwyższy czas! – zawołała mama i poderwała się z kanapy, żeby je uściskać.

– Będziecie dobrymi rodzicami – skwitował ojciec. Brzmiał burkliwie jak zawsze, ale on również wstał, żeby je objąć. Ponieważ rzadko okazywał czułość, wiedziałem, że jest wzruszony.

Od Taglieriego dowiedziałem się, że Vivian planuje zabrać London do Atlanty na Święto Dziękczynienia. Właściwie chciała, żeby przyjechała w środę i została do niedzieli. Nie byłem z tego powodu szczególnie szczęśliwy, ale tak się składało, że wszystkie święta wypadały w co drugi weekend. Vivian przyjechała w środę, razem z London wsiadły do limuzyny i odjechały. Odprowadzając je wzrokiem, pomyślałem, jak cichy będzie dom przez następne cztery dni, gdy zabraknie w nim mojej córki.

W tamten weekend dom rzeczywiście był cichy, bo nie było w nim nikogo, nawet mnie.

W tamten weekend mój świat kolejny raz legł w gruzach.

Tym razem na dobre.

*

Jak to się stało?

Tak jak zawsze: pozornie bez ostrzeżenia.

Jednak z perspektywy czasu sygnały ostrzegawcze były widoczne już od dawna.

Był sobotni ranek, dwudziesty ósmy listopada, dwa dni po Święcie Dziękczynienia. Poprzedni wieczór spędziłem z Emilią, poszliśmy na kolację i wybraliśmy się do Charlotte Comedy Zone. Stojąc pod jej drzwiami, miałem ochotę ją pocałować, ale zamiast tego objąłem ją czule, jak gdybym chciał dać jej do zrozumienia, że pragnę na dobre zatrzymać ją w swoim życiu. Moje uczucia do niej gwałtownie wypierały myśli o Vivian i miałem nadzieję, że

tak już pozostanie. Czułem się lekki i z nadzieją patrzyłem w przyszłość.

Wiadomość nadeszła w sobotę rano. Dochodziła szósta, kiedy zadzwonił telefon stacjonarny; w panującej w domu ciszy jego dźwięk zabrzmiał złowieszczo. Komórkę miałem wyciszoną i wiedziałem, że nikt nie dzwoniłby o tej porze na telefon domowy, chyba że stało się coś strasznego. Jeszcze zanim odebrałem, wiedziałem, że zaraz usłyszę mamę, która powie mi, że ojciec jest w szpitalu. Miał zawał serca. Albo coś gorszego. Wiedziałem, że będzie oszalała ze zmartwienia i prawdopodobnie będzie płakać.

Jednak to nie była moja mama.

Dzwoniła Liz, chodziło o siostrę.

Marge była w szpitalu.

Od godziny pluła krwią.

ROZDZIAŁ 23

Nie

Kiedy Marge miała jedenaście lat, razem z mamą miały wypadek samochodowy.

W tamtym czasie mama jeździła wielkim kombi z drewnianą deską rozdzielczą. Moi rodzice, wychowani w innych czasach, nie byli przyzwyczajeni do zapinania pasów bezpieczeństwa, przez co i my rzadko to robiliśmy.

Marge bardziej niż ja nie lubiła pasów bezpieczeństwa. Podczas gdy ja najzwyczajniej w świecie zapominałem je zapiąć – wciąż jeszcze byłem dzieciakiem – Marge nie robiła tego celowo, bo dzięki temu mogła w każdej chwili uszczypnąć mnie albo dać mi kuksańca. Co, dodam tylko, zdarzało się zdecydowanie zbyt często.

Tamtego dnia nie było mnie w samochodzie i choć nie do końca ufam swoim wspomnieniom, wydaje mi się, że sprawcą wypadku nie była mama. Nie jechała z nadmierną prędkością i przejeżdżała przez skrzyżowanie na zielonym świetle, kiedy nastolatek – prawdopodobnie bawiący się radiem i zjadający frytki z McDonalda – wjechał na czerwonym świetle i uderzył w tył kombi.

Mama wyszła z tego lekko poobijana, jednak wszyscy martwili się o Marge. Siła uderzenia rzuciła ją na boczną szybę, która potłukła się w drobny mak. Choć w drodze do szpitala siostra była przytomna, krwawiła, miała mnóstwo stłuczeń i, jak się okazało potem, złamany obojczyk.

Kiedy razem z ojcem dotarliśmy do szpitala, widok Marge mnie przeraził. W wieku sześciu lat niewiele wiedziałem o śmierci

i szpitalach. Tata stał przy jej łóżku i mimo że jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, czułem, że się boi, i to przeraziło mnie jeszcze bardziej. W pewnym momencie spojrzał w dół na moją wystraszoną twarz i ściągnął brwi.

– Podejdź, Russ. Spójrz na siostrę.

– Nie chcę – odparłem.

– Nie obchodzi mnie, czego chcesz – warknął. – Powiedziałem, żebyś podszedł, i zrobisz, co ci każę.

Mówił to głosem nieznoszącym sprzeciwu i, chcąc nie chcąc, zrobiłem krok w stronę szpitalnego łóżka. Twarz Marge była opuchnięta, pokryta siniakami i połatana, jakby ktoś ją pozszywał. Nie wyglądała jak moja siostra; była niepodobna do nikogo. Przypominała potwora z horroru i widząc ją, wybuchłem płaczem.

Po dziś dzień żałuję, że się rozplakałem. Ojciec myślał, że płaczę z powodu Marge, i chcąc mnie pocieszyć, położył mi rękę na ramieniu, przez co rozplakałem się jeszcze bardziej.

Ale ja nie płakałem z powodu Marge. Płakałem, bo się bałem, i z czasem zacząłem gardzić sobą za tę reakcję.

Niektórzy ludzie są odważni.

Tamtego dnia przekonałem się, że nie jestem jednym z nich.

*

Lekarze nie wiedzieli, co dolega Marge. Pielęgniarki pobrały krew do analizy i zrobiły prześwietlenie płuc. Następnie zrobiono jej tomografię komputerową. Badało ją trzech różnych specjalistów. Patrzyłem, jak wbijano jej w płuca igłę, żeby pobrać tkanki do dalszych badań.

Przez cały ten czas tylko Marge nie okazywała zdenerwowania. Po części dlatego, że odkąd trafiła do szpitala, krwioplucie ustało. Żartowała z lekarzami i pielęgniarkami, podczas gdy Liz i moi rodzice obserwowali wszystko z rosnącym niepokojem. Pomyślałem wówczas, że Marge potrafi doskonale ukryć strach nawet przed tymi, którzy ją kochają. Tymczasem w innej części szpitala przeprowadzano testy. Słyszałem, jak

lekarze szeptem wypowiadają słowa: diagnostyka i radiologia. Biopsja. Onkologia.

Widać było, że Liz umiera ze strachu, ale starała się nie panikować. Rodzice siedzieli jak kamienne posągi i ledwie się trzymali. Ja się martwiłem, bo Marge nie wyglądała dobrze. Skórę miała szarawą, co jeszcze bardziej podkreślało ubytek wagi, i przyłapałem się na tym, że analizuję wszystko, co widziałem i co powiedziała w ciągu ostatnich miesięcy. Niekończące się ataki gwałtownego kaszlu, ból w nogach. To, jak bardzo zmęczona była po wakacjach.

Rodzice i ja, Liz i lekarze – wszyscy myśleliśmy o tym samym. Rak.

Ale to nie mógł być rak. Marge nie mogła być aż tak chora. Była moją siostrą i miała dopiero czterdzieści lat. Niecały tydzień temu poszła do specjalisty, bo chciała mieć dziecko. Nie mogła się doczekać, aż będzie w ciąży. Miała przed sobą całe życie.

Marge nie mogła być chora. Nie miała raka.

Nie.

Nie, nie, nie, nie, nie...

*

Byłem wdzięczny, że Vivian zabrała London do Atlanty, bo nie wiem, co bym z nią zrobił. Godzinami wchodziłem do pokoju, w którym leżała Marge i z niego wychodziłem. Kiedy czułem, że dłużej nie wytrzymam, krążyłem po parkingu albo piłem kawę w szpitalnym bufecie. Zadzwoiłem do Emily i powiedziałem jej, co się dzieje; poprosiłem, żeby nie przyjeżdżała, ale i tak się zjawiała.

Przed południem na krótką chwilę spotkała się z Marge, a zaraz potem tuliła mnie do siebie na szpitalnym korytarzu, gdy trząsałem się ze strachu. Powiedziała, że jeśli będę chciał, spotka się ze mną później, a ja obiecałem, że zadzwonię.

W końcu zadzwoniłem do Vivian. Kiedy powiedziałem jej, co się dzieje, wydała zduszony jęk i natychmiast zaproponowała, że

razem z córką przyleci do Charlotte. Wyjaśniłem jej, że lepiej będzie, jeśli London na weekend zostanie z nią w Atlancie. Zrozumiała.

– Boże, Russ – szepnęła głosem niepodobnym do Vivian, którą znałem. – Tak mi przykro.

– Nie mów tak jeszcze – odparłem. – Wciąż nic nie wiemy.

Oszukiwałem samego siebie i oboje to wiedzieliśmy. Vivian знаła historię mojej rodziny od strony matki. Kiedy się odezwałem, głos mi się załamał.

– Bądź tak miła i nie mów na razie nic London, dobrze?

– Oczywiście. Jest coś, co mogę zrobić? Potrzebujesz czegoś?

– Na razie niczego. Dzięki. – Mówienie przychodziło mi z trudem, miałem gonitwę myśli. – Dam ci znać.

– Informuj mnie o wszystkim, dobrze?

– Tak – obiecałem i wiedziałem, że dotrzymam danego słowa. W końcu nadal byliśmy małżeństwem.

*

Po południu, kiedy rodzice i Liz poszli do bufetu, zostałem z siostrą. Wypytywała mnie o pracę i uparła się, żebym opisał jej kampanie, nad którymi pracuję. Myślę, że pamiętała tamten dzień, gdy po wypadku trafiła do szpitala, i to, jak panicznie się bałem. Wiedziała, że chętnie rozmawiam o pracy, więc żeby mnie czymś zająć, zadawała mi kolejne pytania.

Jak zwykle pytała też o Emily, a ja w końcu przyznałem, że zakochałem się w niej, ale nie jestem gotowy, żeby powiedzieć o tym rodzicom. Słyszając to, uśmiechnęła się.

– Za późno. Mama i tata wiedzą o wszystkim.

– Skąd? Ja nic im nie mówiłem.

– Nie musiałeś – odparła. – Kiedy dzwoniłeś do Emily w Święto Dziękczynienia, twoje uczucia były widoczne jak na dłoni. Mama uniosła brwi, a tata odwrócił się w moją stronę i zapytał: „Tak szybko? Nawet się jeszcze nie rozwiódł”.

Mimo wszystko roześmiałem się. Taki właśnie był mój ojciec.

– Nie miałem pojęcia, że to tak bardzo widać.

– Aha. – Pokiwała głową. – Szkoda tylko, że musiałyśmy się spotkać w takich okolicznościach. Wyglądam jak siedem nieszczęść. Powinniśmy byli się spotkać po naszym urlopie, kiedy byłam jeszcze opalona.

Przytaknąłem, zdumiony tym, jak normalnie się zachowuje.

– Mój błąd.

– Chciałabym też poznać Bodhiego. Tyle o nim słyszałam.

– Na pewno będziesz miała okazję.

Strzepnęła szpitalną kołdrę.

– Myślałam o imionach dla dziecka – powiedziała. – Kupiłam nawet książkę o wychowywaniu dzieci. Przeglądałam ją w pracy, kiedy się nudzę. Zaznaczyłam nawet kilka miejsc.

Imiona dla dziecka? Czy Marge naprawdę mówiła o imionach dla dziecka? Poczułem ucisk pod powiekami i starałem się zapanować nad głosem.

– Masz jakichś faworytów? – zapytałem.

– Jeśli będzie chłopiec, chciałabym, żeby miał na imię Josiah. Albo Elliot. Albo Carter. A jeśli dziewczynka – Meredith albo Alexis. Oczywiście Liz też ma swoje pomysły, ale nie rozmawiałyśmy jeszcze o tym. Mamy mnóstwo czasu.

Mnóstwo czasu.

Marge musiała zdać sobie sprawę z własnych słów, bo zerknęła na zegar, a zaraz potem na otwarte drzwi. Na korytarzu krzątały się pielęgniarki, zupełnie jakby ten dzień nie różnił się od innych.

– Ciekawe, kiedy w końcu mnie stąd wypuszczą – zastanawiała się na głos. – Czemu to tyle trwa? Leżę tu już od kilku godzin. Czy oni w ogóle wiedzą, ile mam pracy?

Kiedy nie odpowiedziałem, westchnęła.

– Wiesz, że wyzdrowieję, prawda? To znaczy wcale nie lekceważę tego, co się stało dziś rano, ale nie czuję się aż tak źle. Właściwie czuję się dużo lepiej niż przed wylotem do Kostaryki. Pewnie złapałam tam jakiegoś pasożyta. Bóg jeden wie, jakie warunki sanitarne panują w tamtejszych kuchniach.

- Zobaczymy, co powiedzą lekarze – mruknąłem.
- Jeśli ich zobaczysz, każ im się pospieszyć. Wolałabym nie marnować całego weekendu na leżenie w szpitalu.
- Dobrze.
- Marge miała w rękach brzeg kołdry.
- London wraca jutro, tak?
- Tak. Ale nie wiem, o której dokładnie. Pewnie wczesnym wieczorem.
- Może w tygodniu wpadniecie do nas na kolację? Ostatnio byłeś taki zajęty, że nie mieliśmy czasu posiedzieć i pogadać.
- Patrząc, jak bawi się brzegiem kołdry, poczułem, że coś ścisnęło mnie za gardło.
- Świetny pomysł. Ale żadnego kostarykańskiego żarcia. Z tymi ich pasożytami.
- Taa – odparła, patrząc mi prosto w oczy. – Wierz mi, nie chciałbyś złapać tego co ja.

*

Dzień ciągnął się w nieskończoność.
Wczesne popołudnie. Późne popołudnie.
Vivian wysłała SMS-a z pytaniem, czy coś już wiadomo.
Odpisałem, że wciąż czekamy.
Emily pytała, jak się czuję.
Odpisałem, że jestem śmiertelnie przerażony.

*

Przed wieczorem niebo zaczęło się chmurzyć. Pokój Marge był skąpany w szarawym świetle, a w ściszym telewizorze leciała *Sędzia Judy*. Sprzęt monitorujący funkcje życiowe pikał miarowo. Do pokoju wszedł lekarz, którego wcześniej nie widzieliśmy. Choć wydawał się spokojny, minę miał posępną, i wiedziałem już, co nam powie. Przedstawił się jako doktor

Kadan Patel, onkolog. Na korytarzu za jego plecami zobaczyłem dziewczynkę na wózku inwalidzkim. W ramionach trzymała pluszową fioletową świnkę.

Zupełnie jak we śnie mojej mamy.

Wyłączyłem się, kiedy tylko lekarz zaczął mówić, choć i tak docierały do mnie strzępy zdań i pojedyncze słowa.

Gruczolakorak... częściej atakuje kobiety niż mężczyzn... młodzi ludzie... niedrobnokomórkowy... rozwija się wolniej niż inne rodzaje raka płuc, niestety jest w zaawansowanym stadium i tomografia komputerowa wykazała liczne przerzuty... do obu płuc, węzłów chłonnych, kości i mózgu... złośliwy... wysięk w osierdziu... stadium czwarte... nieuleczalny.

Nieuleczalny...

Mama pierwsza wydała z siebie stłumiony szloch; żalodne zawroty głowy, która wie, że jej dziecko umiera. Chwilę później dołączyła do niej Liz i ojciec przytulił ją do siebie. Nie powiedział ani słowa, ale broda mu drżała i zacisnął powieki, jakby chciał odciąć się od rzeczywistości. Marge leżała bez ruchu. Patrząc na nią, poczułem, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa; mimo to wciąż stałem. Marge nie spuszczała wzroku z lekarza.

– Ile zostało mi czasu? – zapytała i pierwszy raz tego dnia usłyszałem w jej głosie strach.

– Nie potrafię powiedzieć – odparł doktor Patel. – Choć rak jest nieuleczalny, nadaje się do terapii objawowej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat poczyniliśmy wielki postęp. Terapie nie tylko mogą przedłużyć życie, ale złagodzić niektóre objawy.

– Ile czasu? – powtórzyła Marge. – Jeśli podejmę się leczenia?

– Gdybyśmy wykryli go wcześniej – odpowiedział wymijająco doktor Patel. – Zanim doszło do przerzutów...

– Ale tak się nie stało – przerwała mu Marge.

Lekarz się wyprostował.

– Naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć. Jest pani młoda, w dobrej formie, to z pewnością przedłuży życie.

– Rozumiem, że nie chce pan odpowiadać na to pytanie. Rozumiem też, że każdy przypadek jest inny, a to znaczy, że nie

może pan wiedzieć na pewno. Chcę się tylko dowiedzieć, ile mniej więcej mam czasu. – Stanowczość w jej głosie sugerowała, że nie da się tak łatwo zbyć. – Rok?

Lekarz nie odpowiedział, na jego twarzy odmalował się ból.

– Pół roku? – naciskała Marge, on jednak uparcie milczał. – Trzy miesiące?

– W tej chwili – odezwał się doktor Patel – myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy o leczeniu. Ważne, żebyśmy zaczęli działać natychmiast.

– Nie chcę rozmawiać o leczeniu – rzuciła Marge. W jej głosie słychać było gniew. – Jeśli pana zdaniem zostało mi kilka miesięcy życia i jeśli mówi pan, że rak jest nieuleczalny, to po co to wszystko?

Liz wzięła się w garść na tyle, żeby otrzeć oczy. Podeszła do łóżka i chwyciła Marge za rękę. Podniosła ją do ust i pocałowała.

– Skarbie? – szepnęła. – Chcę posłuchać, co pan doktor ma do powiedzenia na temat leczenia, dobrze? Wiem, że się boisz, ale muszę wiedzieć. Posłuchasz? Dla mnie?

Marge po raz pierwszy odwróciła wzrok od lekarza. Łza zostawiła na jej policzku mokry ślad, który zalśnił w promieniach słońca.

– Dobrze – szepnęła i dopiero wtedy się rozpląkała.

*

Chemioterapia systemowa.

Przez kolejne czterdzieści minut doktor Patel cierpliwie tłumaczył, dlaczego zaleca właśnie tę formę leczenia. Ponieważ rak był w zaawansowanym stadium i ponieważ były liczne przerzuty, w tym również do mózgu, żadna operacja nie wchodziła w grę. Drugą opcją była radioterapia, ale ze względu na przerzuty, koszty znacznie przewyższały korzyści. Zwykle pacjenci mieli więcej czasu na rozważenie wszystkich za i przeciw chemioterapii – w tym również skutków ubocznych, które lekarz przedstawił szczegółowo – ale ponieważ rak był

w bardzo zaawansowanym stadium, zdaniem doktora Marge powinna natychmiast podjąć leczenie.

Żeby to zrobić, musiała mieć założony cewnik. Kiedy szykowano ją do zabiegu, moi rodzice i ja wyszliśmy z pokoju. Nie rozmawialiśmy; zamiast tego siedzieliśmy w ciszy, próbując oswoić się z tym, co się wydarzyło. Zamówiłem kawę, której nie wypilem, bo myślałem wyłącznie o tym, że chemioterapia to trucizna i istnieje nadzieja, że komórki rakowe zostaną zniszczone przed tymi zdrowymi. Za dużo trucizny i pacjent umrze, za mało i terapia nie zadziała.

Moja siostra już to wiedziała. Ja i rodzice również. Dorastaliśmy świadomi raka. Wiedzieliśmy o kolejnych stadiach, współczynnikach przeżycia, szansach na remisję, cewnikach i efektach ubocznych.

W końcu rak zabija nie tylko ludzkie ciała. Czasami zabija całe rodziny; tak jak u nas.

Nieco później wróciłem do pokoju, usiadłem na krześle i patrzyłem, jak mojej siostrze podawano truciznę, która, gdy raz dostała się do krwiobiegu, zaczynała zabijać.

*

Po zmroku opuściłem szpital i odprowadziłem rodziców do samochodu. Patrząc na nich, pomyślałem, że nie idą, tylko powłóczą nogami, i pierwszy raz w życiu wydali mi się starzy. Udręczeni i kompletnie wypompowani. Wiedziałem, bo czułem się tak samo.

Liz poprosiła nas, żebyśmy zostawili ją z Marge samą. Kiedy to powiedziała, od razu poczułem się winny. Byłem tak pogrążony w rozmyślaniach, że do głowy mi nie przyszło, że Marge i Liz chciałyby zostać same.

Po tym, jak rodzice wyjechali z parkingu, powoli poszedłem do samochodu. Wiedziałem, że nie mogę zostać w szpitalu, ale nie chciałem wracać do domu. Nie chciałem nigdzie jechać. Chciałem cofnąć czas i wrócić do wczoraj. Dwadzieścia cztery

godziny wcześniej jadłem kolację z Emily i czekałem na wieczór pełen śmiechu.

Komicy w Comedy Zone byli naprawdę dobrzy i choć jeden wydał mi się zbyt wulgarny, drugi był mężem i ojcem, więc to, co opowiadał, było bliskie mojemu sercu. W pewnej chwili wziąłem Emily za rękę, a kiedy spłotła palce z moimi, poczułem się, jakbym wrócił do domu. O to właśnie chodzi w życiu, pomyślałem. O miłość, śmiech i przyjaźń; radosne chwile spędzone z tymi, na których ci zależy.

Kiedy wracałem do domu, wczorajszy wieczór wydał mi się tak odległy, jak gdyby wydarzył się w innym życiu. Oś mojego życia przesunęła się i podobnie jak rodzice postarzałem się w ciągu zaledwie kilku godzin. Miałem wrażenie, że zapadam się w sobie. Czując pod powiekami palące łzy, zmrużyłem oczy i pytałem się w duchu, czy jeszcze kiedyś poczuję się dobrze.

*

Emily wysłała SMS-a; chciała wiedzieć, czy wciąż jestem w szpitalu, a kiedy odpisałem, że wróciłem do domu, napisała, że już do mnie jedzie.

Gdy przyjechała, siedziałem na kanapie w salonie, a w domu paliło się tylko jedno światło. Nie wstałem, kiedy zapukała do drzwi, weszła więc, nie czekając, aż jej otworzę.

– Cześć – powiedziała zgaszonym głosem. Przeszła przez pokój i usiadła obok mnie.

– Cześć – odparłem. – Przepraszam, że ci nie otworzyłem.

– To nic. Jak się czuje Marge? Jak ty się czujesz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc uszczypnąłem grzbiet nosa. Nie chciałem już płakać.

Kiedy Emily otoczyła mnie ramieniem, przytuliłem się do niej. Tak jak wcześniej w szpitalu objęła mnie i wcale nie musieliśmy nic mówić.

*

W niedzielę Marge została wypisana ze szpitala. Chociaż była słaba i miała mdłości, chciała wrócić do domu, a nie było powodu, żeby trzymać ją w szpitalu.

Pierwsza dawka trucizny została już przecież podana.

Pchałem wózek, rodzice zostali nieco z tyłu. Idąca obok wózka Liz robiła przejście na zatłoczonych korytarzach. Żadna z osób, które mijaliśmy, nawet na nas nie spojrzała.

Na zewnątrz panował chłód. W drodze do szpitala Liz poprosiła, bym podjechał do nich do domu i wziął kurtkę Marge. Powiedziała, że klucz leży pod kamieniem na prawo od drzwi.

Po wejściu do domu przez chwilę przetrząsałem szafę w przedpokoju, szukając czegoś ciepłego i miękkiego, aż w końcu zdecydowałem się na długą puchową kurtkę.

Zanim wyszliśmy ze szpitala, Liz pomogła mojej siostrze wstać i ubrać się. Marge krzywiła się i chwiała, ale udało jej się zachować równowagę. Liz z rodzicami wyszli na parking i rozeszli się do samochodów.

– Nienawidzę szpitali – powiedziała moja siostra. – Jedyne raz, kiedy dobrze wspominał szpital, to gdy urodziła się London.

– Doskonale cię rozumiem – odparłem. – Też ich nie cierpię.

Szczelniej otuliła się kurtką pod szyją.

– No to jedźmy, dobrze? Wyośmy się stąd.

Tak też zrobiłem. Kiedy tylko opuściliśmy budynek szpitala, poczułem na twarzy lodowaty powiew wiatru. Nieliczne drzewa na przyszpitalnym parkingu były nagie; stalowoszare niebo było ciężkie od chmur.

– Boję się, Russ – szepnęła Marge głosem tak cichym, że prawie go nie słyszałem.

– Wiem. Ja też się boję.

– To nie w porządku. Nigdy nie paliłam, prawie nie piłam i dobrze się odżywiałam. No i ćwiczyłam. – Przez chwilę znów wyglądała jak dziecko.

Przykucnąłem, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Masz rację. To nie w porządku.

Utkwiła we mnie wzrok i uśmiechnęła się zrezygnowana.

– Wiesz, że to wszystko wina mamy – rzuciła. – Jej i genów rodzinnych. Oczywiście nigdy jej tego nie powiem. I, szczerze mówiąc, wcale jej nie winię. Naprawdę.

Myślałem podobnie, ale nie miałem odwagi powiedzieć tego na głos. Wiedziałem, że myśl o tym nie daje mojej mamie spokoju i dlatego prawie się nie odzywała, kiedy byliśmy w szpitalu. Wziąłem Marge za rękę.

– Fatalnie się czuję – wyznała. – Już wiem, że nienawidzę chemioterapii. Rano wymiotowałam cztery razy i czuję, że jestem taka słaba, że sama nie dojdę do łazienki.

– Pomogę ci – powiedziałem. – Obiecuję.

– Wcale nie.

– O czym ty mówisz? Oczywiście, że ci pomogę.

Nigdy nie widziałem Marge takiej smutnej – Marge, która z pragmatyczną beztroską odsuwała od siebie nawet najbardziej bolesne straty.

– Wiem, że uważasz, że to właśnie powinieneś zrobić. I wiem, że tego chcesz. – Chwyciła mnie za rękę. – Ale ja mam Liz. A ty masz London, pracę i Emily.

– W tej chwili mam gdzieś pracę. Emily to zrozumie. A London większość dnia spędza w szkole.

Marge nie odpowiedziała od razu. Kiedy się odezwała, zabrzmiało to tak, jakby wróciła do rozmowy, o której nie miałem pojęcia.

– Wiesz, co w tobie podziwiam? – spytała. – Między innymi?

– Nie mam pojęcia.

– Twoją siłę. I odwagę.

– Nie jestem silny – zaprotestowałem. – Ani odważny.

– Właśnie, że jesteś. Kiedy patrzę wstecz na ubiegły rok i myślę o wszystkim, co cię spotkało, nie wiem, jak dałeś sobie radę. Widziałam, jak stajesz się ojcem, którego zawsze w tobie dostrzegałam. Widziałam, jak załamałeś się, kiedy Vivian odeszła. I patrzyłam, jak bierzesz się w garść. A do tego wszystkiego rozkręcałeś własny interes, co wcale nie jest proste. Niewiele

osób poradziłoby sobie z tym wszystkim tak jak ty. Ja na pewno nie.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytałem.

– Bo nie pozwolę, żebyś zaprzepaścił to wszystko z mojego powodu. To złamałoby mi serce.

– I tak będę przy tobie – odparłem. – Nie odwiedzisz mnie od tego.

– Nie proszę, żebyś mnie porzucił. Proszę tylko, żebyś żył tak, jak do tej pory. Żebyś znowu był silny i odważny. Bo nie tylko London będzie cię potrzebowała. Liz również. I rodzice. Jedno z was musi być jak opoka. I choć możesz w to nie wierzyć, w głębi serca zawsze wiedziałam, że jesteś z nas wszystkich najsilniejszy.

ROZDZIAŁ 24

Grudzień

Kiedy myślę o nastoletniej Marge, dwie rzeczy przychodzą mi do głowy: wrotki i horrory. Pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych wrotki zaczęły ustępować miejsca łyżworolkom, ale Marge pozostała wierna staromodnym wrotkom, które miała w dzieciństwie – myślę, że miała sentyment do wrotkarni z epoki disco. Weekendów, które jako nastolatka spędzała, jeżdżąc na torze z walkmanem i słuchawkami na uszach... nawet gdy miała już prawo jazdy. Było niewiele rzeczy, które kochała bardziej niż jazdę na wrotkach – z pewnością należały do nich dobre horrory.

Choć Marge, podobnie jak ja, uwielbiała komedie romantyczne, jej ulubionym gatunkiem filmowym był horror i gdy tylko jakiś wchodził do kin, oglądała go już w pierwszym tygodniu wyświetlania. Nie obchodziło ją, że film został zjechany przez krytyków i widzów; jeśli nie miała z kim iść do kina, szła sama. Darzyła horrory nabożną czcią jak groupies swoje ukochane zespoły. Od Koszmaru z ulicy Wiązów przez Candymana aż po Amityville 4: Ucieczkę diabła – Marge była prawdziwą miłośniczką gatunku.

Kiedy pytałem ją, dlaczego tak kocha horrory, wzruszała ramionami i mówiła, że czasami lubi się bać.

Nie rozumiałem tego, tak jak nie rozumiałem, co jest fajnego w jeżdżeniu w kółko w butach na kółkach. Niby czemu ktoś miałby chcieć się bać? Czy w prawdziwym życiu mało jest potworności, przez które człowiek nie może spać?

Myślę, że teraz rozumiem.

Marge lubiła te filmy, bo nie były prawdziwe. Strach, który czuła, oglądając je, był wymierny; zaczynał się i kończył, a ona wychodziła z kina i oddychała z ulgą, widząc, że świat wygląda tak jak zawsze.

Była też w stanie stawić czoło – choć tylko przez jakiś czas – jednemu z najbardziej ludzkich uczuć, które decyduje o tym, czy stajemy do walki, czy uciekamy. Wydaje mi się, że obcując z lękiem, Marge czuła, że wyjdzie z tego starcia silniejsza i gotowa na czekające ją przeciwności losu.

Z perspektywy czasu sądzę, że chyba czegoś się domyślała.

*

Vivian wróciła z London w niedzielę wieczorem. Zanim wyjechała, przytuliła mnie i trzymała w ramionach dłużej, niżbym się tego spodziewał. W tym geście wyczuwałem jej troskę, ale, o dziwo, jej ciało wydało mi się dziwnie obce.

London była zadowolona z wizyty, jednak przyznała, że tęskniła za rybkami i państwem Sprinkles. Kiedy tylko weszła do domu, poszliśmy na górę do jej pokoju, gdzie opowiedziała mi, że zjadła świąteczny obiad w prawdziwym pałacu. Domyślałem się, że Vivian przedstawiła naszą córkę Spannermanowi po tym, jak zobaczyła London tulącą się do Emily przed zajęciami plastycznymi. Jej zdaniem to ja pierwszy pogwałciłem reguły gry, co dało jej prawo, żeby zrobić to samo.

Myślę, że powinienem był bardziej się tym przejąć, ale w tamtej chwili zignorowałem tę informację. Byłem zmęczony i wiedziałem, że prędzej czy później London i tak pozna Spannermana. Jakie to miało znaczenie, czy stanie się to w ten weekend, czy przy następnej wizycie w Atlancie?

Czy cokolwiek miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie?

Podczas gdy London była zajęta rybkami, ja postanowiłem posprzątać klatkę chomików, której nie tknąłem od jej wyjazdu. Zdążyłem się już do tego przyzwyczaić i szło mi to naprawdę

sprawnie. Wyrzuciłem trociny do kubła przed domem, umyłem klatkę i wróciłem na górę, gdzie London tuliła Pana Sprinklesa.

– Jesteś głodna, kochanie? – spytałem.

– Nie – odparła. – Jadłyśmy z mamusią w samolocie.

– Tak tylko pytam.

Usiadłem na łóżku i patrzyłem na nią, myśląc o Marge. Moja siostra chciała, żebym żył, jak gdyby nic się nie zmieniło. Ale wszystko się zmieniło i czułem się pusty jak porzucona skorupa. Nie byłem pewien, czy jestem w stanie spełnić życzenie Marge, i nie wiedziałem, czy chcę.

– Wiesz co? – zapytała London, podnosząc wzrok.

– Tak, skarbie?

– Na Gwiazdkę zrobię dla cioci Marge i cioci Liz wazon, taki jak dla mamusi. Tylko że teraz namaluje na nim rybki.

– Na pewno się im spodoba.

Przez chwilę przyglądała mi się z powagą.

– Wszystko w porządku, tatusiu?

– Tak – odparłem. – Nic mi nie jest.

– Wydajesz się smutny.

Bo jestem smutny, pomyślałem. To wszystko, co mogę zrobić, żeby się nie rozkleić.

– Po prostu tęskniłem za tobą.

Uśmiechnęła się i podeszła do mnie z chomikiem w ręce.

– Chciałbyś potrzymać Pana Sprinklesa?

– Pewnie – odparłem, a ona położyła mi go na rękę. Chomik był mięciutki i lekki, ale czułem, jak jego drobne pazurki drapią mi wewnątrz dłoni. Zwierzątko poruszyło wąsami i zaczęło obwąchiwać moją rękę.

– Wiesz co? – spytała znów London. Widząc moją zaintrygowaną minę, dodała: – Umiem już czytać.

– Naprawdę?

– Przeczytałam sama całe *Two by Two*. I przeczytałam je mamusi.

Zastanawiałem się, ile było w tym czytania, a ile recytowania z pamięci; w końcu czytaliśmy tę książeczkę razem ze sto razy.

Tylko jakie to miało znaczenie?

– Może pokażesz mi później?

– Dobrze – zgodziła się. Objęła mnie i uścisnęła. – Kocham cię, tatusiu.

Poczułem zapach szamponu dla dzieci i coś chwyciło mnie za serce.

– Ja też cię kocham.

Uścisnęła mnie jeszcze mocniej i spytała:

– Możesz mi już oddać Pana Sprinklesa?

*

W poniedziałek Marge odeszła z pracy. Wiem, bo dostałem od niej wiadomość: *Postanowiłam przejść na emeryturę.*

Wpadłem do niej, kiedy odwiozłem London do szkoły. Praca mogła poczekać. Nie obchodziło mnie, czego ona chce; ja chciałem zobaczyć swoją siostrę. Otworzyła mi Liz. Zaczerwienione oczy zdradzały, że chwilę temu płakała.

Marge leżała na kanapie z kolanami pod brodą, otulona kocem. W telewizji leciało *Pretty Woman*. Film obudził we mnie wspomnienia i nagle znów zobaczyłem nastoletnią Marge. Kiedy jeszcze miała przed sobą całe życie – życie mierzone dekadami, nie miesiącami.

– Cześć – rzuciła, włączając pauzę. – Co ty tu robisz? Nie powinieneś być w pracy?

– Znam szefa – odparłem. – Powiedział, że nic się nie stanie, jak się trochę spóźnię.

– Mądrała.

– Uczyłem się od najlepszych. – Posunęła się i klapnąłem na kanapie obok niej.

– Przyznaj: dostałeś moją wiadomość i przyjechałeś, bo zazdrościsz mi, że w końcu machnęłam ręką na ten wyścig szczurów. – Uśmiechnęła się wyzywająco. – Uznałam, że czas poużywać trochę życia.

Zastanawiałem się nad ciętą ripostą i gdy tak siedzieliśmy w ciszy, Marge szturchnęła mnie stopą w żebra.

– Rozchmurz się – powiedziała. – W tym domu panuje zakaz smucenia się. – Obejrzała się przez ramię. – Czy z Liz wszystko w porządku? – szepnęła.

– Chyba tak – odparłem. – Nie rozmawialiśmy.

– A powinniście – rzuciła. – Liz to bardzo miła osoba.

– Skończyłaś już? – zapytałem z wymuszonym uśmiechem. – Jak się czujesz?

– Dużo lepiej niż wczoraj. A skoro o tym mowa, czy mogę w weekend zabrać London na wrotki?

– Chcesz zabrać London na wrotki? – Moje zdumienie musiało być widoczne jak na dłoni, bo Marge się zjeżyła.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie pozwolę się trzymać w zamknięciu, a poza tym myślę, że London będzie miała frajdę. Ja na pewno.

Nie musiała dodawać, że London zapamięta to do końca życia, bo pierwszy raz będzie miała na nogach wrotki.

– Kiedy ostatni raz jeździłaś na wrotkach?

– A co cię to obchodzi? Nie bój się, nie zapomniałam, jak to się robi. A jeśli pamiętasz, byłam w tym naprawdę dobra.

Nie o to chodzi, pomyślałem. Zastanawiam się, czy będziesz miała na tyle siły. Zerknąłem na telewizor przekonany, że Marge jest w fazie zaprzeczenia. Zastygła na ekranie Julia Roberts była w barze i rozmawiała z współlokatorką o pieniądzach. Choć od lat nie widziałem tego filmu, pamiętałem niemal każdą scenę.

– W porządku – rzuciłem. – Pod warunkiem, że wyłączysz pauzę i razem obejrzymy film.

– Chcesz marnować ranek na oglądanie *Pretty Woman*? Zamiast zarabiać pieniądze?

– To moje życie – odparłem.

– Tylko niech ci to nie wejdzie w krew. Możesz wpadać po pracy, ale nie przed. Wygląda na to, że będę musiała ucinać sobie w ciągu dnia drzemki upiększające.

– Po prostu włącz ten film.

Uniosła brew i wycelowała pilota w telewizor.

– Dopiero się zaczął.

– Wiem.

– Oglądaliśmy go razem.

– Wiem – powtórzyłem. – Tak samo jak wiem, że zawsze podobała ci się Julia Roberts.

Roześmiała się i przez kolejne dwie godziny prześcigaliśmy się w wypowiedaniu filmowych kwestii i komentowaliśmy poczynania bohaterów jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

*

Po filmie Marge poszła się zdrzemnąć do sypialni, a ja wypłem z Liz kawę w kuchni.

– Nie wiem, co zrobię – przyznała się Liz z miną kogoś przytłoczonego wydarzeniami, których nie jest w stanie zrozumieć. – W Kostaryce wszystko wydawało się w porządku. Prawie nie kasłała i ledwo za nią nadążałam. Nie rozumiem, jak to możliwe, że miesiąc temu była okazem zdrowia, a teraz... – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Nie wiem, co mam robić. Dziś i jutro odwołałam wszystkie wizyty, ale Marge zabroniła mi iść na urlop. Chce, żebym pracowała przynajmniej kilka dni w tygodniu, i upiera się, że jeśli będzie trzeba, poprosi o pomoc waszą mamę. Mówi, że powinniśmy sporządzić jakiś grafik czy coś. – Spojrzała na mnie zbolalym wzrokiem. – Zupełnie jakby nie chciała, żebym przy niej była.

– To nie tak – zapewniłem ją i nakryłem jej rękę swoją dłonią.
– Ona cię kocha. Wiesz o tym.

– Więc dlaczego mnie odpycha? Dlaczego nie rozumie, że chcę być przy niej tak często, jak się da, tak długo, jak się da?

Ścisnęła moją rękę i niewidzącym wzrokiem wyjrzała przez okno.

– Nadal chce jechać w przyszłym tygodniu do Nowego Jorku – powiedziała w końcu.

– Chyba o tym nie myślisz? – Jazda na wrotkach to jedno, ale wycieczka do jednego z najbardziej ruchliwych miast świata to zupełnie coś innego.

– Nie wiem, co zrobić. Wczoraj wieczorem rozmawiała o tym z lekarzem, który powiedział, że jeśli czuje się na siłach, nie widzi problemu, żeby pojechała między jedną chemioterapią a drugą. Ale jak mogę tam jechać i nie myśleć: to ostatni raz, kiedy Marge widzi to albo tamto, albo to jedyna szansa, żeby zrobiła to czy tamto?

Patrzyła na mnie, jakby oczekiwała odpowiedzi, ale ja nie wiedziałem, co powiedzieć.

W końcu sam zadawałem sobie podobne pytania i na nie też nie potrafiłem odpowiedzieć.

*

We wtorek rano, pierwszego grudnia, dostałem wiadomość od Marge, która zapraszała mnie i London na kolację. W ten sposób chciała subtelnie dać mi do zrozumienia, żebym nie przyjeżdżał wcześniej.

Ta myśl mnie przygnębiła i odwiózłszy London do szkoły, umówiłem się z Emily na kawę. W dzinsach i grubym golfie wyglądała jak studentka college'u.

– Wydajesz się zmęczony – zauważyła. – Trzymasz się jakoś?

– Daję radę – odparłem, przeczesując dłonią włosy. – Przepraszam, że nie dzwoniłem przez ostatnie kilka dni.

Podniosła rękę, jakby chciała mnie uciszyć.

– Daj spokój. Nie wyobrażam sobie, przez co przechodzisz. Martwiłam się o ciebie.

Z jakiegoś powodu jej słowa przyniosły mi ulgę.

– Dzięki, Em. To wiele dla mnie znaczy.

– Chcesz mi opowiedzieć, co się działo przez ostatnie dni? – zapytała, dotykając mojego ramienia.

Przez następną godzinę zwierzałem się jej, podczas gdy moja kawa stygła. Słuchając siebie, uświadomiłem sobie, że odkąd

Emily na powrót pojawiła się w moim życiu, zmagalem się z kolejnymi emocjonalnymi katastrofami. Nawet później, kiedy mnie przytuliła, zastanawiałem się, jak to możliwe, że w ogóle chce ze mną obcować.

*

Tego wieczoru Liz dołożyła wszelkich starań, żeby przygotować na kolację coś, co z pewnością posmakuje London – nuggetsy z kurczaka, pieczone ziemniaki z przyprawami i sałatkę.

Kiedy przyjechaliśmy, moja mama wychodziła, postanowiłem więc odprowadzić ją do samochodu. Zanim wsiadła, zawahała się przez chwilę.

– Marge nie chce, żebym zrezygnowała ze spotkań w klubach – powiedziała. – Upiera się, żebym nie zmieniała niczego w rozkładzie swojego dnia, ale, Russ... – Zmarszczyła czoło. – Ona nie wie, jak bardzo będzie źle. Będzie potrzebowała pomocy. Zupełnie jakby wypierała tę myśl z głowy.

Przytaknąłem, dając jej do zrozumienia, że myślę podobnie.

– Wiesz, co mi powiedziała? Chce, żeby ojciec wymienił kilka słupków w balustradzie na werandzie, bo niektóre są zmurszałe. I niektóre okna się nie domykają. A w łazience przecieka umywalka. Upiera się, że trzeba to wszystko naprawić. Jakby miało to teraz jakieś znaczenie. – Spojrzała na mnie skonsternowana. – Niby czemu nagle zaczęły jej przeszkadzać zmurszałe balustrady? Albo nieszczelne okna?

Choć nie powiedziałem tego na głos, nagle dotarło do mnie, co właściwie robi Marge. Zrozumiałem, dlaczego chce, żebym przyjeżdżał wyłącznie wieczorami, i dlaczego chce, żeby Liz i mama opiekowały się nią na zmianę. Pojąłem, dlaczego chce, żeby ojciec dokonał w domu drobnych napraw, i dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, by wziąć London na wrotki.

Marge, lepiej niż ktokolwiek, wiedziała, że nie tylko chcieliśmy mieć ją wyłącznie dla siebie; wiedziała też, że

będziemy tego potrzebować.

*

Kiedy z końcem tygodnia skutki uboczne chemioterapii osłabły, Marge powoli zaczęła nabierać sił. Wszyscy chcieliśmy wierzyć, że leczenie przynosi efekty, bo rozpaczliwie pragnęliśmy spędzić z nią kolejne kilka miesięcy.

Teraz wiem, że tylko Marge intuicyjnie rozumiała, co tak naprawdę dzieje się wewnątrz jej ciała. Zgodziła się na terapię przede wszystkim dlatego, że my tego chcieliśmy. Z perspektywy czasu wiem, że przystając na to, nie miała złudzeń, że chemioterapia spowolni postęp choroby.

Do dziś się zastanawiam, skąd to wiedziała.

*

Liz i moja mama sporządziły grafik, tak by – kiedy Liz i Marge wrócą z Nowego Jorku – w ciągu dnia jedna z nich zawsze była w domu.

W piątek rano ojciec wziął w pracy wolne i przyjechał do Marge ze skrzynką z narzędziami i słupkami do balustrady w bagażniku. Powoli zabrał się do roboty, a w przerwie na lunch oboje z Marge usiedli na werandzie i jedząc kanapki i popijając je herbatą, podziwiali jego dzieło i rozmawiali o szansach Bravesów na zwycięstwo w przyszłym sezonie.

W sobotę Marge przyjechała do mnie po powrocie London z zajęć plastycznych – na których w tajemnicy przed ciotkami przygotowywała świąteczny prezent – żeby wziąć moją córkę na wrotki. Liz i ja pojechaliśmy z nimi i siedząc na trybunach, patrzyliśmy, jak Marge prowadzi bratanicę po torze. London, jak większość dzieci, zamiast jeździć na wrotkach, próbowała na nich chodzić i minęło pół godziny, zanim w końcu zrozumiała, na czym to polega. Gdyby nie to, że Marge trzymała ją za rękę –

przez co cały czas jechała tyłem – London wylądowałyby na ziemi co najmniej dwadzieścia razy.

Jednak pod koniec powoli jechały obok siebie, a gdy London z pomocą Liz zdejmowała wrotki, widziałem, że pęka z dumy. Ja usiadłem obok Marge, która pochyłona rozsznurowywała wrotki.

– Jutro będziesz cała obolała – powiedziałem. Wyglądała na wykończoną, ale nie wiedziałem, czy dlatego, że jest chora, czy zmęczyło ją ciągle łapanie mojej córki.

– Nic mi nie będzie – odparła. – London nie jest ciężka. Ale to mała gaduła. Buzia jej się nie zamyka. Pytała nawet, jaki kolor rybek najbardziej lubię. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Uśmiechnąłem się.

– W porównaniu z nią Nowy Jork będzie oazą spokoju. Wyjeżdżacie jutro?

– Taa... nie mogę się doczekać – rzuciła, zadzierając głowę. – Powiedziałam Liz, że w pierwszej kolejności pójdziemy zobaczyć choinkę przed Rockefeller Center. Chcę poczuć ducha świąt.

– Wyślij mi zdjęcia.

– Dobrze – obiecała. – A przy okazji, wiem, co chcę pod choinkę – oświadczyła. – Od ciebie.

– Mów.

– Powiem, jak wrócimy. Zdradzę tylko, że chcę gdzieś z tobą pojechać.

– Masz na myśli wycieczkę?

– Nie – odparła. – Nie wycieczkę.

– Więc co?

– Jeśli ci powiem, nie będziesz zaskoczony.

– Jeśli mi nie powiesz, jak wszystko przygotuję?

– Pozwolisz, że sama się tym zajmę?

Włożywszy buty, ostatni raz spojrzała tęsknie na tor, który powoli zapełniał się dzieciakami, grupkami hałaśliwych nastolatków i nielicznymi dorosłymi. Patrząc na Marge, wiedziałem, że ma świadomość, że nigdy więcej nie będzie miała okazji pojechać na wrotkach.

Dziś wiem, że wówczas nie chodziło jej o to, żeby nauczyć London jeździć ani zrobić coś, co moja córka zapamięta do końca życia. Tamtego dnia Marge zaczęła żegnać się z rzeczami, które kochała.

*

Marge i Liz wyjechały na sześć dni. Pod ich nieobecność pracowałem do późna, chcąc nadrobić zaległości w przygotowaniu nowych kampanii, ale przede wszystkim po to, żeby nie myśleć o Marge. Zgodnie z obietnicą wysłała mi zdjęcia choinki przed Rockefeller Center: na jednym była razem z Liz, a na drugim sama.

Obrobiłem je w Photoshopie, wydrukowałem i oprawiłem w ramki, chcąc podarować im jedno na gwiazdkę, a drugie zatrzymać dla siebie.

W międzyczasie skontaktowały się ze mną dwie kolejne kancelarie prawnicze, w tym niewielka firma z Atlanty, która natknęła się na moje dokonania na YouTube. Przygotowując się do prezentacji, przyłapałem się na tym, że analizuję wydarzenia ostatnich sześciu miesięcy.

Kiedy zakładałem agencję, wydawało się, że jedyne moje zmartwienia są związane z firmą i pieniędzmi, a stres, który im towarzyszył, był przytłaczający. Pamiętam, jak myślałem, że gorzej już być nie może, a jednak w tamtych mrocznych chwilach to właśnie Marge zapewniała mnie, że wszystko będzie dobrze.

I, jak zwykle, miała rację.

Choć z drugiej strony nie mogła się bardziej mylić.

*

Zbliżało się Boże Narodzenie.

– Jakie ty i London macie plany na święta? – zapytała Marge. Było niedzielne popołudnie i mimo że chwilę temu obudziła się z drzemki, wciąż wyglądała na zmęczoną. Siedzieliśmy na kanapie; moja siostra otulona kocem, choć według mnie w domu panowało przyjemne ciepło. Dzień wcześniej wróciły z Nowego Jorku i chciałem ją zobaczyć, zanim London przyjedzie z Atlanty. – Rozmawiałeś już z Vivian? Za dwa tygodnie Boże Narodzenie.

Patrząc na nią, miałem wrażenie, że znowu straciła na wadze. Oczy miała zapadnięte, a głos wydawał się nieco wyższy i bardziej piskliwy.

– Jeszcze nie – odparłem. – Ale święta znowu wypadają w weekend, kiedy Vivian opiekuje się London.

– Russ, wiem, że już to mówiłam, ale to niesprawiedliwe, że nie spędzasz z London żadnych świąt.

Wiedziałem, że to nie w porządku. Ale skoro nie mogłem nic z tym zrobić, postanowiłem zmienić temat.

– Jak tam Nowy Jork?

– Cudowny. – Marge westchnęła. – Ale te tłumy... jejku. Do niektórych sklepów ludzie ustawiają się w gigantycznych kolejkach. Spektakle były fantastyczne i jadłyśmy naprawdę cudowne dania. – Przez chwilę wymieniała musicale, które widziały, i restauracje, w których jadły.

– Czyli było warto?

– Jak najbardziej – odparła. – Zaaranżowałam w hotelu kilka romantycznych wieczorów, takich z szampanem, truskawkami w czekoladzie i rozsypanymi na podłodze płatkami róż. Wzięłam też szalową bieliznę, żeby pochwalić się nową, smukłą figurą. – Mówiąc to, uniosła brwi. – Liz była tak zachwycona, że jej kapcie spadły.

– Poważnie, była bez kapci?

– Naprawdę tak wygląda twój tok myślenia?

– Kiedy moja siostra zaczyna mówić o swoim życiu uczuciowym, wolę udawać naiwniaka – wyjaśniłem. – Ja nie opowiadam o swoim życiu intymnym.

– Bo nie prowadzisz jeszcze życia intymnego z Emily. I jeśli chcesz wiedzieć, uważam, że powinieneś coś z tym zrobić.

– Na razie jest dobrze tak, jak jest – upierałem się. – Co wieczór rozmawiamy przez telefon i wychodzimy razem na kawę. A w piątek byliśmy na randce.

– I co robiliście?

– Poszliśmy na kolację. I karaoke.

– Śpiewałeś karaoke? – Marge była zdumiona.

– Nie ja. Emily. Ale w końcu to był jej pomysł. Jest w tym całkiem niezła.

Marge się uśmiechnęła i jeszcze szczelniej otuliła się kocem.

– No, no – rzuciła. – Może niezbyt romantycznie, ale fajnie. Znalazłeś kupca na dom?

– Jest kilka zainteresowanych osób, ale na razie nic konkretnego. Pośredniczka mówi, że grudzień zawsze jest kiepski. W styczniu chce zorganizować pokaz dla potencjalnych klientów.

– Daj znać kiedy. Liz i ja przyjdziemy i będziemy rozplęwać się w zachwytach.

– Masz na głowie ważniejsze rzeczy niż zwiedzanie mojego domu.

– Pewnie tak – przyznała. – Ale koniec końców i tak zawsze potrzebujesz mojej pomocy. Całe życie musiałam się tobą opiekować. – Zerknęła w stronę kuchni, gdzie Liz przygotowywała lunch. – W tym tygodniu mam kolejną chemioterapię. W piątek. Wcale mi się to nie podoba. – Westchnęła i zobaczyłem w jej oczach strach. – A skoro tak, powinniśmy to zrobić w czwartek.

– Co zrobić?

– Nasza wycieczka, pamiętasz? – spytała. – Mój gwiazdkowy prezent?

– Wiesz, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To nic. Wpadnę po ciebie o dziewiętnastej. Liz położy London spać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne – odparłem. Stłumiła ziewnięcie i wiedziałem, że powinienem już iść. – Chyba będę się zbierał. Mam mnóstwo pracy, którą muszę wykonać, zanim London wróci ze szkoły.

– Pewnie – rzuciła. – Nie mogę się doczekać czwartku. Tylko ubierz się ciepło.

– Dobrze – obiecałem. Wstałem z kanapy, zawahałem się i pochyliłem, żeby pocałować ją w policzek. Oczy miała zamknięte. – Do zobaczenia.

Pokiwała głową i zanim doszedłem do drzwi, zasnęła.

*

Vivian odwiozła London około dziewiętnastej. Podczas gdy limuzyna, pracując na jałowym biegu, czekała przed domem, a London się kąpała, my przez chwilę rozmawialiśmy w kuchni.

– Jeśli chodzi o święta – zaczęła Vivian bez zbędnych wstępów – myślę, że dla London będzie najlepiej, jeśli spędzimy je tu. To będą jej ostatnie święta w tym domu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zajmę pokój gościnny. – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła skrawek papieru. – Kupiłam już niektóre rzeczy, ale część mógłbyś kupić ty, żebym nie musiała taszczyć tego wszystkiego. Zrobiłam listę. Zachowaj paragony i później się rozliczymy.

– Zrobmy tak, żeby było jak najlepiej – zgodziłem się, mając w głowie to, co powiedziała Marge na temat świąt, i wiedząc, że będzie zadowolona. – Widziałem się dziś z Marge – dodałem, opierając się o blat.

– Jak się czuje?

– Dużo śpi.

Vivian skinęła głową i spuściła wzrok.

– To straszne – powiedziała. – Wiem, że myślisz, że ja i Marge nie byliśmy sobie specjalnie bliskie, ale zawsze ją lubiłam. I wiem, że nie zasłużyła na coś takiego. Chcę, żebyś to wiedział. Zawsze była wspaniałą siostrą.

– Nadal jest – odparłem, ale wypowiadając te słowa, zastanawiałem się, jak długo będę jeszcze mógł tak mówić.

*

W środę po szkole Emily i ja planowaliśmy zabrać dzieci na plantację choinek, gdzie można wybrać drzewko i samemu je ściąć. Miejsce było przystrojone jak wioska Świętego Mikołaja, a dzieciaki mogły spotkać się ze Świętym Mikołajem przed wizytą w jego warsztacie, gdzie podawano gorącą czekoladę i ciastka. Co więcej, pracownicy plantacji przywozili choinkę pod wskazany adres i ustawiali ją, co było prawdziwym wybawieniem, bo bałem się, że mój prius nie wytrzyma ciężaru drzewka.

Kiedy powiedziałem Marge o naszych planach, uparła się, że ona i Liz spotkają się z nami na miejscu.

Do Bożego Narodzenia zostało dziewięć dni.

Na wysypanym żwirem parkingu Marge wysiadła z samochodu. Obejmując ją, poczułem jej wystające żebra, zupełnie jak gdyby rak powoli zżerał ją od środka. Wydawało się, że ma więcej energii niż tuż po powrocie z Nowego Jorku.

– Domyślam się, że to jest Bodhi – powiedziała i ze wzruszającą powagą podała mu rękę. – Jesteś wysoki jak na swój wiek – zauważyła, a chwilę później zaczęła go wypytywać o to, co lubi robić i co chciałby dostać na Gwiazdkę. Kiedy dzieciaki zaczęły się niecierpliwić, pozwoliliśmy im pobiec w stronę plantacji, gdzie zniknęły w gąszczu choinek.

Emily, ja, Marge i Liz ruszyliśmy za nimi niespiesznie.

– Masz jakieś plany na święta, Em? – spytała Marge. – Wybierasz się gdzieś?

– Nie – odparła Emily. – Jak zawsze spędzimy święta we dwoje. Odwiedzimy moją siostrę i rodziców. Odkąd London nauczyła się jeździć na rowerze, Bodhi suszy mi głowę o rower, chociaż nie jestem pewna, czy będę w stanie nauczyć go jeździć.

– Pomożesz jej, prawda, Russ? – Marge szturchnęła mnie łokciem.

Skrzywiłem się.

– Marge zawsze chętnie zgłaszała mnie do różnych rzeczy.

– Pamiętam. – Emily roześmiała się. – Russ mówi, że jesteście zadowolone z wypadu do Nowego Jorku.

Pochłonięte rozmową Marge i Emily zostały nieco z tyłu. Ja wziąłem Liz pod rękę i ruszyliśmy w stronę dzieci.

– Grafik, który zrobiliście z mamą, działa? – spytałem.

– Chyba tak. Ograniczyłam pracę do trzech dni w tygodniu i wtedy jest z nią wasza mama.

– Dziś Marge czuje się chyba nieźle.

– Rano była trochę zmęczona, ale po drodze się ożywiła. Mam wrażenie, że kiedy jest czymś zajęta, czuje się, jakby nic jej nie było; nawet jeśli trwa to krótką chwilę. Tak samo było w Nowym Jorku.

– Cieszę się, że chciała przyjechać. Nie chcę tylko, żeby się zmęczyła.

– To samo jej powiedziałam – odparła Liz. – Wiesz, jaka była jej odpowiedź?

– Nie mam pojęcia.

– Powiedziała, żebym się tak nie przejmowała, bo nadal ma do zrobienia coś ważnego.

– Jak to?

Liz pokręciła głową.

– Wiem tyle co ty.

Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby poczekać na Emily i Marge, zastanawiałem się nad znaczeniem zagadkowych słów mojej siostry. Marge zawsze lubiła zaskakiwać i zachodziłem w głowę, co jeszcze trzyma w rękawie.

*

Następnego dnia wieczorem Marge i Liz przyjechały punktualnie o siódmej. Kiedy tylko Liz weszła do domu, London

wzięła ją za rękę i zaprowadziła na górę, żeby pokazać jej akwarium.

Marge miała na sobie czapkę i szalik, chociaż na zewnątrz wcale nie było zimno. Miała też rękawiczki i przydużą puchową kurtkę, którą przywiozłem, gdy wychodziła ze szpitala.

Aż trudno było uwierzyć, że od tamtego czasu minęły niecałe trzy tygodnie.

– Gotowy? – rzuciła niecierpliwie.

Chwyciłem kurtkę i sięgnąłem po rękawiczki i szalik, chociaż nie sądziłem, żeby były mi potrzebne.

– Dokąd jedziemy?

– Zobaczysz – odparła. – No chodź już. Zanim stchórzę.

Nadal nie wiedziałem, co chodzi jej po głowie, ale kiedy wjechaliśmy w znajome uliczki, nagle pojąłem, co planowała.

– Nie mówisz poważnie – bąknąłem, kiedy podjechała pod bramę i zgasła silnik.

– Właśnie, że tak – powiedziała stanowczo. – A to jest twój prezent dla mnie.

Zadarłem głowę i spojrzałem na wieżę ciśnień – niewiarygodnie, niezmiernie wysoką.

– Wspinanie się na nią jest nielegalne – zauważyłem.

– Zawsze tak było i jakoś nigdy nas to nie powstrzymywało.

– Byliśmy dziećmiakami – zauważyłem.

– Ale już nie jesteśmy – odgryzła się. – Gotowy? Włóż czapkę i rękawiczki. Na górze będzie wiało.

– Marge...

Spojrzała na mnie.

– Dam radę – powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. – A po kolejnej chemioterapii być może nie będę w stanie. Na razie jednak mogę i chcę, żebyś wszedł tam razem ze mną.

Nie czekała na moją odpowiedź. Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę stalowej drabiny, zostawiając mnie sparaliżowanego własnym niezdecydowaniem. Kiedy podszedłem do drabiny, Marge była już dwa metry nad ziemią. To oznaczało, że nie mam wyboru, jak tylko zacząć się wspinać.

Musiałem być przy niej, na wypadek gdyby się zmęczyła albo gdyby dostała zawrotów głowy. Strach o nią sprawił, że ruszyłem jej śladem.

Marge nie kłamała. Wprawdzie zatrzymywała się co pięć metrów, żeby odsapnąć, ale zaraz podejmowała wspinaczkę, idąc coraz wyżej i wyżej. W dole pode mną widziałem dachy domów i czułem zapach dymu z kominów. Całe szczęście, że wziąłem rękawiczki, bo metalowe szczeble były tak zimne, że drętwiały mi ręce.

Kiedy w końcu dotarliśmy na górę, Marge podeszła do miejsca, gdzie znalazłem ją tamtej feralnej nocy dawno temu. I tak jak wtedy usiadła na wąskim pomoście i zaczęła machać nogami w powietrzu. Widząc to, podszedłem do niej i otoczyłem ją ramieniem w obawie, że zakręci jej się w głowie.

– Pewnie jest ci zimno – zauważyłem.

– Mów za siebie – rzuciła. – Przed wyjściem włożyłam grube rajstopy.

– Świetnie. W takim razie przysuń się do mnie, żebym też się mógł ogrzać.

Posłuchała mnie i przez chwilę w milczeniu patrzyliśmy na okolicę. Było za zimno na cykanie świerszczy czy rechotanie żab; zamiast tego usłyszałem odległe pobrzękiwanie dzwoneczków wietrznych i szelest wiatru tańczącego w gałęziach drzew. I świszczący oddech Marge. Zastanawiałem się, jak bardzo cierpi. W końcu rak zawsze kojarzy się z bólem.

– Pamiętam, jak mnie tu znalazłeś – odezwała się. – Byłam zalana w trupa. Niewiele pamiętam z tamtej nocy, może poza chwilą, kiedy nagle się pojawiłeś.

– To była ciężka noc – przytaknąłem.

– Czasami zastanawiam się, co by się stało, gdybyś nie przyjechał. Czy rzeczywiście bym skoczyła, a może spadła? Po utracie Tracey byłam załamana, ale teraz, kiedy o tym myślę, jestem przekonana, że dobrze się stało. Dzięki temu poznałam przecież Liz. A to, co nas łączy, w niczym nie przypomina tego, co

było między mną a Tracey. Po prostu jesteście dla siebie stworzone, wiesz?

– Tak, wiem. Macie coś, o czym inni mogą tylko pomarzyć.

– Martwię się o nią – wyznała Marge. – Jest taka dobra w rozwiązywaniu cudzych problemów, ale boję się, że w pracy daje z siebie tyle, że dla niej samej nic nie zostaje. To mnie przeraża. Bo nie chcę, żeby coś jej się stało. Pragnę, żeby była szczęśliwa. – Spojrzała przed siebie, jak gdyby próbowała zobaczyć przyszłość. – Chciałabym, żeby kiedyś znalazła kogoś, kto pokocha ją tak bardzo jak ja. Kogoś, przy kim będzie mogła się zestarzeć.

Przełknąłem ślinę; gardło miałem ściśnięte.

– Wiem.

– Kiedy byliśmy w Nowym Jorku, powiedziała, że nie ma zamiaru poznawać nikogo nowego. Naprawdę się na nią wściekłam. Pokłóciłyśmy się i po wszystkim czułam się fatalnie. Obie tak się czułyśmy, ale...

– Za dużo wydarzyło się w ostatnim czasie, Marge – powiedziałem łagodnie. – Ona rozumie. I nic jej nie będzie. – Jeśli Marge mnie słyszała, nie zareagowała.

– Wiesz, co jeszcze mnie przeraża?

– Co?

– Że Liz straci kontakt z London. Tak bardzo ją kocha... London jest jednym z powodów, dla których chciałyśmy mieć dzieci. A teraz...

– Liz zawsze będzie częścią rodziny – przerwałem jej. – Zadbam o to, żeby była obecna w życiu mojej córki.

– A jeśli London przeprowadzi się do Atlanty? – dopytywała Marge.

– Ona i Liz nadal będą widywały się regularnie – zapewniałem ją.

– Ale ty sam będziesz widywał ją na święta i co drugi weekend, prawda? No i może kilka tygodni latem.

Zawahałem się.

– Naprawdę nie wiem, co będzie z London. – Odkąd Vivian dowiedziała się o chorobie Marge, była bardziej wspaniałomyślna i mniej wybuchowa. Mimo to była najbardziej nieprzewidywalną osobą, jaką znałem, więc wołałem nie składać obietnic, których mógłbym nie dotrzymać.

Marge odwróciła się w moją stronę.

– Musisz o nią walczyć – powiedziała. – London powinna zostać z tobą.

– Vivian nigdy się na to nie zgodzi. Zresztą wątpię, by sąd zgodził się na coś takiego.

– W takim razie musisz coś wymyślić. Bo coś ci powiem, dziewczynki potrzebują ojców. Spójrz na mnie i tatę. Może nie radzi sobie z okazywaniem uczuć, ale w głębi duszy zawsze wiedziałam, że bardzo mnie kocha. I zobacz, co zrobił dla mnie, kiedy postanowiłam powiedzieć prawdę o swojej orientacji. Na litość boską, przestaliśmy chodzić do kościoła! Wybrał mnie zamiast Boga, zamiast naszej społeczności, zamiast wszystkich. Jeśli nie będzie cię przy London, kiedy to ona stanie na rozdrożu, poczuje się porzucona. Powinieneś być przy niej każdego dnia, a nie tylko od czasu do czasu. – Zamilkła na chwilę, jak gdyby zmęczyły ją jej własne słowa. – London jest przyzwyczajona, że to ty ją wychowujesz – dodała. – I świetnie sobie radzisz.

– Staram się, Marge – odparłem.

Chwyciła mnie za ramię.

– Więc musisz postarać się bardziej. Musisz dołożyć wszelkich starań, by pozostać w życiu London. Nie jako weekendowy czy wakacyjny ojciec, ale jako rodzic, który będzie przy niej w chwilach smutku, który podniesie ją, gdy upadnie, i pomoże jej odrabiać lekcje. I który wesprze ją, gdy zawali jej się świat. Właśnie tego od ciebie oczekuje.

Spojrzałem w dół na puste ulice skąpane w świetle latarni ulicznych.

– Wiem – powiedziałem szeptem. – Mam tylko nadzieję, że jej nie zawiodę.

*

W niedzielę rano przywieziono choinkę i przedpołudnie zeszło nam na rozplątywaniu lampek i naradzaniu się, gdzie zawiesić każdą ozdobę. Kiedy po południu zadzwoniłem do Marge i Liz, żeby zapytać, czy wpadną na ajerkoniak, Liz odparła, że raczej nie dadzą rady.

– To był naprawdę kiepski dzień – powiedziała.

W piątek, dzień po wypadzie na wieżę ciśnień, Marge miała kolejną chemioterapię i od tamtej pory się z nią nie widziałem. Według Liz ból i nudności były gorsze niż za pierwszym razem i Marge praktycznie nie miała siły wstać z łóżka.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nie – odparła. – Wasi rodzice są tu niemal cały dzień. – Zniżyła głos. – Wasz tata... myślę, że patrzeć na Marge w takim stanie zabija go. Wciąż wynajduje nowe rzeczy, które trzeba naprawić. Oczywiście mamie też jest ciężko, ale przechodziła przez to tak wiele razy, że przynajmniej wie, czego należy się spodziewać. Tata natomiast próbuje być silny dla Marge, ale to zżera go od środka. On tak bardzo ją kocha. Oboje ją kochają.

Pomyślałem o tym, co powiedziała Marge tamtego wieczoru na wieży ciśnień; o byciu ojcem, który jest przy swoim dziecku zawsze, niezależnie od sytuacji. Najwyraźniej nawet do końca.

– Jest wspaniałym ojcem, Liz – powiedziałem. – Mam nadzieję, że będę taki jak on.

*

W poniedziałek, przedostatni dzień szkoły przed feriami świątecznymi, w końcu zabrałem się za kupno rzeczy, które znalazły się na liście Vivian. Praca zajmowała mi sporo czasu, a ponieważ ostatnio musiałem dzielić swój czas między London, Marge i klientów, kompletnie o niej zapomniałem. Na szczęście Emily też zostawiła część zakupów na ostatnią chwilę, więc późnym rankiem oboje pojechaliliśmy do centrum handlowego.

Obawiałem się, że na cztery dni przed świętami niektóre rzeczy mogą być niedostępne, ale na szczęście udało mi się kupić wszystko.

Podczas zakupów Emily i ja zrobiliśmy sobie przerwę na lunch. W centrum handlowym była restauracja, ale chociaż jedzenie pachniało nieźle, nie miałem apetytu. Rankiem, kiedy wszedłem na wagę, zobaczyłem, że znowu schudłem. Nie ja jeden; Liz również straciła na wadze i zauważyłem, że czasami wygląda niechlujnie, jakby przestała o siebie dbać. Jej włosy związane były jak w koński ogon straciły połysk. Rodzice również cierpieli. Ojciec w ciągu kilku tygodni przygarbił się jak człowiek pogodzony z losem, a zmarszczki na twarzy mamy z każdym dniem stawały się coraz głębsze.

Jednak nasze cierpienie było niczym w porównaniu z tym, przez co przechodziła Marge. Chodzenie sprawiało jej ból i często musiała dokładać wszelkich starań, by wytrzymać przez godzinę bez snu. Kiedy ją odwiedzałem, czasami siedziałem razem z nią w ciemnym pokoju, słuchając jej umęczonego oddechu, jak gdyby nawet we śnie toczyła walkę. Czasami jęczała przez sen i zastanawiałem się, co jej się śni. Gdyby tylko mogła śnić o rzeczach, które wywołają uśmiech na jej twarzy, myślałem wtedy.

Te myśli towarzyszyły mi także, kiedy byłem z Emily. Patrząc niewidzącym wzrokiem na lunch, widziałem wychudzoną twarz siostry. Włożyłem do ust kęs i odsunąłem talerz.

Skoro Marge nie mogła jeść, w głębi duszy czułem, że ja również na to nie zasługuję.

*

– Musisz do nas wpaść – oświadczyła Marge bez zbędnych wstępów, kiedy tylko odebrałem telefon. Chwilę wcześniej odwiozłem Emily do domu.

– Dlaczego? Dobrze się czujesz?

– Naprawdę chcesz, żebym odpowiedziała na to pytanie? – spytała z typowym dla siebie, kąśliwym poczuciem humoru. – Ale, tak, czuję się lepiej i chciałabym, żebyś przyjechał.

– Niedługo muszę odebrać London ze szkoły. I wypakować prezenty.

– Wpadnij po drodze i zostaw je u nas – zaproponowała. – Tu London na pewno ich nie znajdzie.

Kilka minut później zaparkowałem przed ich domem i zacząłem wyciągać torby z bagażnika. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem stojącą w drzwiach mamę. Nawet z jej pomocą musiałem zrobić dwie rundki, żeby wnieść wszystko do środka.

– Nie wiem, gdzie to położyć – powiedziałem, gapiąc się na stertę toreb na kuchennej podłodze. Zastanawiałem się, czy London naprawdę potrzebuje tego wszystkiego.

– Schowam je do szafy – zaproponowała mama. – Idź. Marge czeka na ciebie.

Marge, jak zwykle, leżała na kanapie otulona kocem; rolety w salonie były opuszczone. Światelka choinkowe rzucały radosne refleksy, ale miałem wrażenie, że Marge postarzała się o kilka lat, odkąd widziałem ją ostatni raz. Kości policzkowe jej sterczały, przez co oczy wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte, ramiona były chude i jakby bezwładne. Starłem się ukryć swoje przerażenie i usiadłem obok niej.

– Słyszałem, że ostatnie kilka dni były naprawdę kiepskie – powiedziałem.

– Bywało lepiej. Na szczęście mój stan się poprawia, ale... – Kiedy się uśmiechnęła, wyglądała jak duch samej siebie. – Cieszę się, że wpadłeś. Chciałam z tobą porozmawiać. – Miałem wrażenie, że mówienie sprawia jej ból. – Dzwoniła Emily.

– Emily?

– Tak – rzuciła. – Chyba ją pamiętasz? Boskie włosy, ma pięcioletniego synka, kobieta, którą kochasz... W każdym razie zadzwoniła do mnie, bo się o ciebie martwi. Mówi, że nie jesz.

– Zadzwoniła do ciebie? – Czuję, że zaczynam się denerwować. Teraz Marge zacznie przejmować się moim

zdrowiem?

– Prosiłam ją, żeby miała cię na oku i dała znać, jak sobie radzisz – odparła Marge apodyktycznym głosem, który pamiętałem z dzieciństwa. – I dlatego poprosiłam, żebyś przyjechał. – Spojrzała na mnie krytycznym wzrokiem. – Lepiej zjedz dzisiaj porządną kolację albo się pogniewamy.

– Niby kiedy poprosiłaś Emily, żeby miała mnie na oku? – zażądałem odpowiedzi.

– Kiedy pojechaliśmy po choinki.

– Masz na głowie ważniejsze rzeczy niż przejmowanie się mną – powiedziałem nadąsanym głosem.

– I tu się mylisz – odgryzła się. – To coś, czego nie dam sobie odebrać.

*

Wtorek, dwudziesty drugi grudnia, był ostatnim dniem szkoły przed przerwą świąteczną i tego dnia postanowiłem zapakować wszystkie prezenty. Wczoraj, zanim od nich wyszedłem, Marge zapytała, czy będzie mogła mi pomóc, skoro i tak tu zostawiam prezenty.

Kiedy odwiózłszy London do szkoły, zjawiłem się u niej z papierem pakunkowym, pomyślałem, że siostra wygląda lepiej niż poprzedniego dnia. Nienawidziłem tych ciągłych porównań, które dawały nadzieję albo ją odbierały, w zależności od tego, jak danego dnia się czuła.

Liz, która akurat była w domu, siła się na radosny nastrój, gdy znieśliśmy prezenty do kuchni i wzięliśmy się do roboty. Na prośbę Marge zrobiła nam wszystkim gorącej czekolady, gęstej i z pianką, choć zauważyłem, że moja siostra praktycznie nic nie wypila.

Zapakowała kilka mniejszych prezentów, po czym opadła na krzesło, zostawiając mi i Liz resztę.

– Nadal nie podoba mi się, że wydzwaniasz do Emily, żeby wypytywać, jak sobie radzę – psioczyłem.

Marge najwyraźniej bawiło moje zakłopotanie, o czym świadczył błysk w jej oku.

– Dlatego nie prosiłam cię o pozwolenie. A jeśli chcesz wiedzieć, rozmawialiśmy o różnych rzeczach, nie tylko o tobie.

Nie byłem pewien, czy podoba mi się to, co słyszę.

– Na przykład o czym?

– To zostanie między mną a Emily – odparła. – Teraz chciałabym wiedzieć, czy zjadłeś wczoraj kolację. Poproszę pełen raport.

– Zrobiłem steki dla London i dla siebie. – Westchnąłem. – I purée ziemniaczane.

– Dobrze – rzuciła z satysfakcją. – Rozmawiałeś z Vivian o planach na święta? Oprócz tego, że przyjedzie do Charlotte?

Zgodnie z tradycją w Wigilię co roku spotykaliśmy się u moich rodziców. Mama przygotowywała kolację, po której pozwalaliśmy London rozpakować prezenty, podczas gdy w telewizji leciało *To wspaniałe życie*. Świąteczny poranek ja, Vivian i London spędziliśmy razem w domu.

– Jeszcze nie omawialiśmy szczegółów – odparłem. – Vivian przyjeżdża jutro. Wtedy porozmawiamy.

– Powinieneś jej coś kupić – zauważyła Marge. – Żeby London widziała, że jej mama otwiera jakieś prezenty. To nie musi być nic wielkiego.

– Masz rację – rzuciłem. – Nie pomyślałem o tym.

– Co kupiłeś Emily?

– Jeszcze nic – odparłem.

– Masz jakieś pomysły? Święta tuż-tuż...

– Nie wiem – przyznałem, patrząc na nie w poszukiwaniu inspiracji. – Może sweter? Albo fajny żakiet.

– Emily zdradziła mi, co chce ci kupić, więc lepiej wymyśl coś lepszego.

– Masz na myśli biżuterię albo coś w tym stylu?

– Jak chcesz; jestem pewna, że z tego też się ucieszy. Ale pomyślałam, że dobrze by było, gdybyś zrobił coś od serca.

– To znaczy?

– Wydaje mi się... – zaczęła, celowo przeciągając słowa. – Sądzę, że powinieneś napisać do niej list.

– Jaki list?

Marge wzruszyła ramionami.

– Żyjesz z pisania, Russ. Powiedz jej, jak wiele dla ciebie znaczyła w ostatnich miesiącach. Jak bardzo chcesz, żeby pozostała w twoim życiu. Powiedz jej... – Marge wyraźnie się rozpromieniła – że chcesz, żeby dała ci jeszcze jedną szansę.

Przez chwilę wierciłem się na krześle.

– Emily wie, co do niej czuję. Cały czas jej to mówię.

– I tak powinieneś napisać list – upierała się Marge. – Zaufaj mi. Kiedyś będziesz zadowolony, że to zrobiłeś.

*

Posłuchałem Marge. Razem z London – kolejną lekcję gry na pianinie miała dopiero po Nowym Roku – prosto ze szkoły pojechałem do centrum handlowego, gdzie kupiłem prezenty dla Vivian: jej ulubione perfumy, szalik i nową powieść pisarza, którego lubiła. Wybrałem też haftowany żakiet dla Emily, który – moim zdaniem – będzie pasował do jej barwnego, artystycznego stylu, i złoty łańcuszek ze szmaragdem, który podkreśli kolor jej oczu. Wieczorem, kiedy London położyła się spać, usiadłem przy kuchennym stole i napisałem list do Emily. Wielokrotnie dokonywałem poprawek; choć w pracy na co dzień posługiwałem się słowem, pisanie o tym, co czułem, było czymś zupełnie innym i miałem problemy ze znalezieniem złotego środka między prostym wyrażaniem uczuć a ckliwą sentymentalnością.

Ostatecznie byłem zadowolony z tego, co udało mi się stworzyć, i wdzięczny Marge za to, że podsunęła mi ten pomysł. Włożyłem list do koperty i zamierzałem schować pióro i papeterię, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że jeszcze nie skończyłem.

Do późna w nocy pisałem drugi list – do Marge.

*

Vivian przyjechała następnego dnia wczesnym popołudniem, chwilę po tym, jak wróciłem od Emily. London i ja przez cały ranek przystrajaliśmy kominek i wieszaliśmy świąteczne skarpety na prezenty. Zwykle robiliśmy to wcześniej, ale London i tak była szczęśliwa. Była dumna, że jest na tyle duża, żeby mi pomagać.

Pozwoliłem Vivian spędzić z nią trochę czasu i dałem jej do zrozumienia, że chcę z nią porozmawiać. Poszedłem do kuchni, kiedy London oglądała telewizję, i zapytałem Vivian, co chce robić w Wigilię. Słyszając to, spojrzała na mnie, jakby to było oczywiste.

– Nie idziemy do twoich rodziców tak jak zawsze? Wiem, że zważywszy na sytuację, może wydawać się to dziwne, ale to ostatnie święta Marge i chcę, żeby London spędziła je jak co roku, z nią i twoją rodziną. Dlatego właśnie wróciłam do domu.

Chociaż uczucie między nami wygasło, pomyślałem, że są jeszcze chwile, kiedy przypominam sobie, dlaczego ożeniłem się z Vivian.

*

Wigilia i Boże Narodzenie minęły tak jak zawsze.

Z oczywistych powodów atmosfera przy wigilijnym stole była na początku trochę napięta. Wszyscy byli dla siebie mili, a gdy razem z London i Vivian przyjechalismy do moich rodziców, przytulaniom i całusom nie było końca. Kiedy jednak dopiłem pierwszy kieliszek wina, stało się oczywiste, że każdy postawił sobie za cel, by święta upłynęły w miłej atmosferze – ze względu na London i Marge.

Vivian ucieszyła się z prezentów, które jej kupiłem; ja dostałem od niej strój do biegania i smartwatcha Fitbit. Marge i Liz zachwycaly się wazonem, który zrobiła dla nich London, i bez końca podziwialy namalowane przez nią kolorowe rybki. Ze

łzami w oczach patrzyły na oprawione w ramki zdjęcia z Nowego Jorku, a moja siostra z całym uśmiechem wzięła do rąk kopertę z listem, który do niej napisałem. London praktycznie od każdego dostała akcesoria dla Barbie i kiedy otwarto już wszystkie prezenty, włączyliśmy *To cudowne życie*, a London bawiła się nowymi zabawkami.

Jednak to, co najbardziej zapadło mi w pamięć, wydarzyło się później. Kątem oka dostrzegłem, że Marge i Vivian wymknęły się z pokoju gościnnego i zaszyły w gabinecie. Ich ściszone głosy były ledwie słyszalne zza przymkniętych drzwi.

Nigdy dotąd nie odbywały tak intymnej rozmowy, a już na pewno nie na osobności, ale dobrze wiedziałem, co się dzieje.

Vivian, jak my wszyscy, chciała pożegnać się z Marge.

*

W Boże Narodzenie, po tym, jak London otworzyła resztę prezentów, wyszedłem z domu, żeby Vivian mogła spędzić z nią trochę czasu. Do tej pory byliśmy razem niemal przez czterdzieści osiem godzin i skoro ja czułem, że przydałaby mi się przerwa, to Vivian z pewnością też. Serdeczności i udawana wesołość w trakcie rozwodu i walki o opiekę nad dzieckiem zmęczyłyby każdego.

Wysłałem do Emily SMS-a z pytaniem, czy mógłbym do niej wpaść, i chwilę później odpisała mi, że oczywiście. Ona również miała dla mnie prezent i chciała, żebym go zobaczył.

Kiedy zaparkowałem przed jej domem, podbiegła do samochodu, a gdy wysiadłem, zarzuciła mi ręce na szyję i przez chwilę staliśmy przytuleni w ten chłodny grudniowy dzień.

– Dziękuję za list – szepnęła. – Był cudowny.

Wszedłem za nią do domu, przedzierając się przez labirynt nowych zabawek i potarganego papieru pakunkowego, pośrodku którego stał nowy lśniący rower Bodhiego. Emily zaprowadziła mnie do choinki i wyjęła spod niej płaski, prostokątny pakunek.

– Chciałam dać ci go przed świętami, ale pomyślałam, że skoro Vivian jest w domu, lepiej będzie, jeśli dostaniesz go tu.

Zdarłem papier pakunkowy i kiedy zobaczyłem, co zrobiła Emily, zaniemówiłem, czując, jak zalewa mnie fala wspomnień. Byłem tak poruszony, że nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Oprawiłam go, ale jeśli chcesz, możesz zmienić ramę – powiedziała nieśmiało Emily. – Nie byłam pewna, gdzie będziesz chciał go powiesić.

– To niesamowite – wydusiłem, nie mogąc oderwać oczu od obrazu. Emily przeniosła na płótno zdjęcie, na którym London i ja tańczymy przed oceanarium. Nie miałem pojęcia, jak tego dokonała, ale obraz wydawał się bardziej realny niż fotografia. To był najcudowniejszy prezent, jaki dostałem w całym swoim życiu, i przytuliłem Emily, nagle rozumiejąc, dlaczego Marge tak bardzo nalegała, żebym napisał list.

Wiedziała, że Emily podaruje mi prezent od serca, i chciała, żebym podarował jej coś równie wyjątkowego. Kolejny raz Marge wykazała troskę o młodszego brata.

*

Rok miał się ku końcowi. Vivian wróciła do Atlanty. Ja zamknąłem biuro na tydzień i większość czasu spędzałem z London. Każdego dnia wpadałem z wizytą do siostry i Liz – Marge czuła się coraz lepiej, dzięki czemu odzyskaliśmy nadzieję – i trzykrotnie spotkałem się z Emily, choć dwukrotnie towarzyszyły nam dzieci. Wyjątek stanowił sylwester, kiedy zabrałem ją na kolację i na tańce.

O północy omal się nie pocałowaliśmy i oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Niedługo – powiedziałem.

– Tak, niedługo – odparła.

Tę romantyczną chwilę zburzyła rzeczywistość, która kolejny raz gwałtownie wdarła się do mojego życia.

Myślałem, że w roku 2015 straciłem wszystko.

Teraz obawiałem się, że w roku 2016 stracę jeszcze więcej.

ROZDZIAŁ 25

*Auld Lang Syne*⁵

Wyjeżdżając do Nowego Jorku, Marge nie pierwszy raz poczyniła romantyczne plany względem Liz. W piątym roku ich związku, w walentynki, zaskoczyła Liz, organizując dla niej zabawę w poszukiwanie skarbów.

Kiedy Marge opowiedziała mi o swych planach, przyznam, że byłem zaskoczony, bo nie znałem jej od tej strony. Była przecież księgową, i choć nie należy generalizować, zawsze miałem ją za mądralińską flegmatyczkę, nie za ckliwą kochankę.

Rzadko ujawniała swoją romantyczną naturę, ale gdy już to robiła, dawała z siebie wszystko. I tak zabawa w poszukiwanie skarbów okazała się dziełem mistrzyni planowania. Nowy Jork był przy tym dziecinadą.

Największą atrakcją walentynkowego poszukiwania skarbów – ukrytych w różnych miejscach po całym Charlotte – było dziesięć zagadek. Każda z tych krótkich rymowanek odsłaniała kolejny fragment układanki.

*Dzisiaj, droga Liz, mam dla Ciebie grę,
żebyś zrozumiała, jak bardzo kocham Cię.
Idź więc do miejsca, gdzie bywasz sama
późnym wieczorem i z samego rana.
Kiedy tam wejdiesz, spójrz w lewo, kochanie,
a pierwszą wskazówkę zobaczysz na ścianie.*

Marge przykleiła pierwszą wskazówkę – mały klucz – obok lustra w łazience, co doprowadziło Liz do skrzynki pocztowej, którą nim otworzyła. W skrzynce była kolejna odpowiedź... i tak dalej. Niektóre zagadki były trudniejsze od pozostałych; w jednym przypadku Liz musiała wypić kieliszek szampana, żeby znaleźć następną wskazówkę przyklejoną do dna kieliszka. Byłem zdumiony pomysłowością Marge.

Patrząc z perspektywy czasu, nie dziwi mnie jej inwencja twórcza, którą wykazała się w tamte walentynki. Nie uważam już, że to do niej niepodobne. Ponieważ planowanie szczęścia innym było tym, w czym odnajdywała się najlepiej.

Moja siostra, księgowa, zawsze miała plan – zwłaszcza dla tych, których kochała.

*

Moje wspomnienia z początku 2016 roku to seria barwnych chwil na tle wypranej z koloru codziennej rutyny.

Tym tłem była praca – pisałem, nagrywałem, montowałem i projektowałem kampanie reklamowe – opieka nad London przed szkołą i po lekcjach; codzienne bieganie; i Emily, która dzięki wieczornym rozmowom i sporadycznym randkom dodawała mi siłę. Z tych rutynowych czynności utkane było moje życie i to one odwracały moją uwagę od licznych wzlotów i upadków. Jestem pewien, że z czasem zapomniałem więcej, niż pamiętam. Niektóre rzeczy celowo wyrzuciłem z pamięci.

Ale inne wspomnienia pozostaną ze mną do końca życia.

*

W pierwszym tygodniu nowego roku Marge przeszła kolejne testy. I chociaż nie byłem z nią w szpitalu, razem z rodzicami uczestniczyliśmy w rozmowie z lekarzem.

Spotkaliśmy się w jego gabinecie, po drugiej stronie ulicy, naprzeciw szpitala. Doktor siedział za masywnym drewnianym biurkiem, na którym obok sterty dokumentów stały oprawione w ramki rodzinne zdjęcia. Półki ugięły się pod ciężarem literatury specjalistycznej, a na ścianach wisiały liczne dyplomy, tabliczki i cytaty. Jedyнным elementem, który nie pasował do całości, był duży oprawiony w ramę plakat z filmu *Patch Adams*. Pamiętałem ten film jak przez mgłę – główną rolę troskliwego, miłego i zabawnego lekarza grał Robin Williams – i zastanawiałem się, czy doktor Patel wzoruje się na nim.

Czy kiedykolwiek powiedział w tym pomieszczeniu coś zabawnego? Czy którykolwiek z pacjentów śmiał się podczas rozmowy z onkologiem? Czy jakkolwiek żart mógł zminimalizować cały ten koszmar?

Naszym zdaniem stan Marge nieznacznie się poprawił – od świąt miała więcej energii i bóle nie były tak bardzo dotkliwe. Nawet oddychała swobodniej. Wszystko to powinno zwiastować dobre wieści. Widziałem nadzieję na twarzach rodziców; dostrzegałem pewność, z jaką Liz trzymała Marge za rękę. Przez ostatni tydzień wszyscy karmiliśmy się nadzieją, próbując wzajemnie dodawać sobie sił.

Tylko Marge nie była dobrej myśli. Odkąd weszła do gabinetu, wydawała się zrezygnowana i już wtedy wiedziałem, że tylko ona nie uroni tego dnia ani jednej łzy. Podczas gdy my wszyscy przechodziliśmy przez różne stadia bólu – zaprzeczenie, złość, negocjacje, depresję – jedynie Marge pogodziła się z sytuacją.

Wiedziała – jeszcze zanim lekarz zdążył cokolwiek powiedzieć – że rak nie przestał się spustoszenia w jej organizmie. Tak jak wiedziała, że rozrastał się nawet szybciej.

*

– Proszę, nie pytaj mnie, jak się czuję – powiedziała Marge. – Chwilę temu wyszli rodzice i mama w kółko mnie o to pytała. A tata wciąż pyta, co jeszcze trzeba naprawić. Miałam ochotę

powiedzieć „mnie”, ale taki żart tylko by ich dobił. – Jak zwykle siedzieliśmy na kanapie, gapiąc się w puste miejsce, gdzie jeszcze do niedawna stała choinka. Tata wyniósł ją kilka dni temu, ale meble nie wróciły wciąż na swoje miejsce, przez co w kącie pokoju ziało pustką.

– To był dla nich ciężki dzień – powiedziałem. – Starają się, jak mogą.

– Wiem – odparła Marge. – To wspaniałe, że tata tak często przyjeżdża. Nigdy dotąd tyle ze sobą nie rozmawialiśmy, i to nie tylko o baseballu. – Odetchnęła, krzywiąc usta. Fala bólu, gdzieś, wszędzie, sprawiła, że całe jej ciało na chwilę zapadło się w sobie.

– Przynieść ci coś? – spytałem, czując się bezsilny jak nigdy dotąd.

– Właśnie wzięłam tabletkę – odparła. – Środki przeciwbólowe nie są złe, tyle że chce mi się po nich spać. No i nie działają tak, jak bym chciała. Trochę łagodzą ból, ale to wszystko. W każdym razie... – Zerknęła w stronę kuchni, gdzie Liz i London siedziały przy stole zajęte kolorowaniem. – Powiedziałam Liz, że nie pójdę na kolejną chemioterapię – dodała szeptem. Minę miała ponurą, ale zdecydowaną. – Bardzo się zdenerwowała.

– Jest przerażona – szepnąłem. – Naprawdę myślisz, że to dobra decyzja?

– Słyszałeś, co powiedział lekarz – rzuciła. – To nie działa. Właściwie czuję się przez to jeszcze gorzej. Nic tylko wymiotuję i śpię, zaczynają wypadać mi włosy. Po każdej chemii tracę kolejne dni, a niewiele mi ich zostało.

– Nie mów tak – poprosiłem.

– Przepraszam. Wiem, że nie chcesz tego słuchać. Nikt nie chce. – Zamknęła oczy i skrzywiła się z bólu, który tym razem nie puścił aż tak szybko. – London nie wie, że jestem chora?

Pokręciłem głową.

– Nie wie nawet, że ja i Vivian się rozwodzimy.

Marge otworzyła jedno oko i spojrzała na mnie.

– Nie sądzisz, że najwyższy czas jej o tym powiedzieć?

Milczałem, bo nie wiedziałem, od czego zacząć. Jak na sześciolatkę było tego zdecydowanie za dużo: rozwód, choroba Marge i przeprowadzka – może nawet do Atlanty – rozstanie z ojcem i przyjaciółmi.

Nie chciałem, żeby London musiała się z tym mierzyć. Ja sam nie chciałem się z tym mierzyć. Kiedy poczułem, że łzy napływają mi do oczu, Marge nakryła dłonią moją rękę.

– Już dobrze – pocieszyła mnie.

– Nie, wcale nie jest dobrze. Nic nie jest dobrze. – Głos zaczął mi się łamać. – Co zrobię z London? Co zrobię z tobą?

Ścisnęła moją rękę.

– Sama porozmawiam z London o mojej chorobie, dobrze? Nie musisz się tym martwić. I tak chciałam to zrobić. Co do reszty, znasz już moje zdanie.

– A jeśli nie dam rady? Jeśli cię zawiodę?

– Nie zawiedziesz – zapewniła mnie.

– Nie wiesz tego.

– Właśnie, że wiem. Wierzę w ciebie.

– Dlaczego?

– Bo – zaczęła – znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Tak jak ty znasz mnie.

*

W następny piątek, w połowie stycznia, Vivian przyleciała, żeby wziąć London do siebie na weekend. Kiedy wspomniałem, że najwyższy czas powiedzieć córce o rozwodzie, stwierdziła, że zrobimy to po ich powrocie. Wyjaśniła, że nie chce zepsuć London weekendu.

Nazajutrz rano pośredniczka z agencji nieruchomości zorganizowała dzień otwarty dla potencjalnych kupców, podczas którego Marge i Liz rozplęwały się w zachwytach nad domem. Pośredniczka zadzwoniła do mnie później i powiedziała, że jedna para, która razem z dziećmi planuje przeprowadzkę z Louisville, jest szczególnie zainteresowana.

– A przy okazji, pańska siostra minęła się z powołaniem. Powinna zostać aktorką – zauważyła.

W niedzielę wieczorem, niedługo po powrocie Vivian i London z Atlanty, wszyscy troje usiedliśmy przy kuchennym stole i najdelikatniej, jak było to możliwe, powiedzieliśmy London o rozwodzie.

Rozmawialiśmy z nią jak z sześciolatką, zapewniając, że oboje bardzo ją kochamy i zawsze będziemy jej rodzicami. Chcieliśmy, żeby wiedziała, że ona nie ma nic wspólnego z naszym rozstaniem.

I tym razem Vivian poprowadziła rozmowę. Przemawiała do London z miłością i czułem, że sam lepiej bym tego nie zrobił, kiedy jednak skończyła, nasza mała córeczka wybuchnęła płaczem. Vivian tuliła ją i całowała.

– Nie chcę, żebyście się rozwiedli – łkała London.

– Wiem, że jest ci ciężko, kochanie, i strasznie nam przykro.

– Dlaczego nie możecie być razem? – Jej naiwne rozumowanie obudziło we mnie tak wielkie poczucie winy, że poczułem pogardę do samego siebie.

– Czasami to niemożliwe – starałem się wyjaśnić, ale nawet mnie te słowa wydały się puste.

– Dlatego sprzedajecie dom?

– Tak, skarbie.

– Gdzie teraz będę mieszkała?

Słyszając to, zerknąłem na Vivian i dyskretnie kręcąc głową, ostrzegłem ją, żeby nie wspominała o Atlancie. Spojrzała na mnie wyzywająco, ale ugryzła się w język.

Położyłem rękę na plecach London.

– Wciąż o tym myślimy. Ale obiecuję ci, że cokolwiek się stanie, twoja mama i ja będziemy oboje się tobą opiekować.

W końcu się uspokoiła, choć wciąż była wstrząśnięta i dezorientowana. Vivian poszła z nią na górę, żeby przygotować ją do snu. Kiedy wróciła, zatrzymałem ją w drzwiach.

– Jak się czuje? – spytałem.

– Jest zdenerwowana – odparła. – Ale według mojego adwokata to normalne. Z czasem się uspokoi, pod warunkiem że nie będziesz demonizował tej całej sprawy z rozwodem. W takich sytuacjach dzieci cierpią najbardziej, a tego chyba nie chcesz.

Przełknąłem ripostę – w końcu to nie ja byłem sprawcą całej tej sytuacji – wiedząc, że nic to nie da.

Vivian zebrała swoje rzeczy – czekały na nią limuzyna i prywatny odrzutowiec – ale zatrzymała się w drzwiach.

– Wiem, że to kiepski czas – zaczęła – ale prędzej czy później musimy załatwić tę sprawę z ugodą. Po prostu podpisz ją, żebyśmy mieli to już za sobą. – Po tych słowach wyszła.

Przełykając wzbierającą we mnie wściekłość, poszedłem na górę, żeby utulić London do snu.

Leżała w łóżku, oczy miała zapuchnięte i czerwone i prawie na mnie nie spojrzała.

Tej nocy, pierwszy raz od lat, zmoczyła łóżko.

*

Po naszej rozmowie London stała się wyraźnie przygnębiona i więcej czasu spędzała w swoim pokoju. Nadal moczyła łóżko; nie co noc, ale zdarzyło się to jeszcze dwa razy, i nie chciała już czytać przed snem swojej ulubionej książki. Chociaż pozwalała, żebym całował ją na dobranoc, nie obejmowała mnie za szyję i nie domagała się, żebym ją przytulił.

Idąc za radą Marge, porozmawiałem z nauczycielką mojej córki i przedstawiłem jej naszą sytuację. Zapewniła mnie, że nie zauważyła, żeby coś niedobrego działo się z London, z wyjątkiem incydentu przy fontannie z wodą do picia. Pewnego ranka London ochlapała sobie bluzkę i natychmiast się rozplakała. Była niepokieszona i nie chciała słuchać ani nauczycielki, ani kolegów z klasy.

Innymi słowy, moja córka walczyła. W czwartek po lekcji gry na pianinie zaproponowałem, żebyśmy poszli na lody, ale jej reakcja była chłodna. W końcu udało mi się ją namówić, ale

praktycznie nic nie zjadła, i gdy jechaliśmy do domu, nie zwracała uwagi na przeciekający rożek, z którego kapąło na tapicerkę. Wieczorem, kiedy bawiła się lalkami, usłyszałem, jak mówi:

„Nie chcę mieszkać z mamusią w Atlancie” – powiedziała Barbie do Kena. „Chcę mieszkać tutaj, z tatusiem. Tatuś jest fajny, zabiera mnie na randki i pozwala gotować. Chcę się codziennie bawić z Bodhim i widzieć się z Bunią i dziadziem, ciocią Marge i ciocią Liz”.

Tej nocy nie mogłem zasnąć i raz za razem przypominałem sobie tę scenkę. Marge ma rację, pomyślałem. Ośmielony, z samego rana zadzwoniłem do Taglieriego i oświadczyłem, że zrobię, co w mojej mocy, żeby London została ze mną.

Tego samego dnia zadzwoniła pośredniczka w handlu nieruchomościami, żeby powiedzieć, że złożono ofertę na kupno domu.

*

– Cóż, wygląda na to, że włożyłeś kij w mrowisko – stwierdził Taglieri. Była środa, pięć dni po tym, jak poinformowałem go o swojej decyzji, i zadzwonił do mnie, żeby porozmawiać o odpowiedzi. Wierciłem się w fotelu, podczas gdy on ciągnął: – Wczoraj dostałem pismo od prawniczki Vivian.

– I?

– Jeśli rozpoczniesz walkę o opiekę nad dzieckiem, zrobi się bardzo nieprzyjemnie. Krótko mówiąc, ostrzegła mnie, że wytoczą ciężkie działy i będą próbowały udowodnić, że jesteś niezdolny do pełnienia obowiązków rodzicielskich.

Zbladłem.

– Co to oznacza?

– Na początek zatrudnią psychologa, żeby porozmawiał z London i ocenił jej potrzeby i preferencje. Jeśli pamiętasz, jakiś czas temu wspominałem ci o tym. London jest jeszcze mała i generalnie uważam, że to niepotrzebne, ale twoja żona liczy, że

opinia psychologa przechyli szalę zwycięstwa na jej korzyść. Niektóre zarzuty są naprawdę absurdalne. Twierdzą, że nie karmisz jej właściwie, że czasami dajesz jej na kolację słodkie, niezdrowe posiłki albo że została wyrzucona z lekcji tańca, bo nie byłeś w stanie zawieźć jej na czas. Są też inne zarzuty, w które psycholog może chcieć się zagłębić.

– Na przykład jakie? – Poczulem mdłości, jeszcze zanim zaczął mówić.

– Że zmuszasz London do spotkań ze swoją nową dziewczyną, Emily, chociaż nie jest na to gotowa.

– Syn Emily, Bodhi, jest najlepszym przyjacielem London!

– Rozumiem. I mam nadzieję, że psycholog to potwierdzi. Ale nie dowiemy się, dopóki raport nie trafi do sądu. – Urwał. – W liście są jeszcze poważniejsze zarzuty: że naraziłeś zdrowie London, namawiając ją, żeby zjechała z górki na rowerze, chociaż brakowało jej doświadczenia i nie mogła sprostać zadaniu. A także że nie powiadomiłeś Vivian zaraz po zdarzeniu, a kiedy z nią rozmawiałeś, celowo zminimalizowałeś obrażenia London, próbując zatuszować swoją nieudolność.

– To... nie tak to wyglądało! – wyjąkałem, czując, że się czerwienię. – Vivian wie, że to był wypadek. Wie, że nigdy umyślnie nie naraziłbym London na niebezpieczeństwo!

Taglieri podniósł rękę.

– Mówię tylko o tym, co było w piśmie. Ale jest jeszcze coś, tylko proszę, żebyś zachował spokój, dobrze?

Zacisnąłem pięści, czułem, jak krew pulsuje mi w skroniach.

– W liście – ciągnął Taglieri – jest napisane, że zabierasz córkę na „randkowe wieczory”. Że London stroi się jak dorosła kobieta i razem wychodzicie na kolacje.

– No i?

– Russ... – Taglieri rzucił mi zbolące spojrzenie. – To ohydne, ale prawniczka twojej żony sugeruje, że twój związek z London może być niestosowny, a nawet niezdrowy...

Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, co właściwie ma na myśli. Kiedy dotarło do mnie znaczenie jego słów, odebrało mi

mowę.

Boże... Vivian by tego nie zrobiła... w życiu nie zrobiłaby czegoś takiego...

Poczułem, że kręci mi się w głowie, przed oczami migają mi czarne plamy. Byłem zażenowany, zniesmaczony i wściekły, ale nawet te słowa nie wystarczały, by opisać to, co czułem w tamtej chwili.

– To tylko insynuacja – uprzedził Taglieri. – Ale niepokoi mnie sam fakt, że wspomniała o czymś takim. Przynajmniej wiemy, że są gotowe przedstawić cię w jak najgorszym świetle.

Z trudem docierały do mnie jego słowa. Vivian by tego nie zrobiła... Jak w ogóle mogła napomknąć o czymś takim...?

– Zadzwonię później do jej prawniczki, bo nie możemy tak po prostu ignorować tego typu zawołanych gróźb. To próba zastraszenia, absolutnie nieprofesjonalna. Ale przynajmniej wiemy, do czego jest zdolna Vivian, żeby uzyskać prawo do opieki. Jeśli to trafi do sądu, nigdy nie wiadomo, co postanowi sędzia.

– Co mam zrobić? Wiem, że London chce zostać ze mną...

– Jak już mówiłem, pozwól mi porozmawiać z prawniczką. Najlepiej by było, żebyście sami rozwiązali ten problem. Bo, jako twój adwokat, powiem ci, że nie sądzę, żebyś miał szansę zwyciężyć.

*

Przez resztę dnia chodziłem otepiały, jakby ktoś nieźle mnie poturbował.

Nie poszedłem do pracy. I nie wróciłem do domu. Nie odwiedziłem Marge ani Liz i nie pojechałem do rodziców.

W swojej wściekłości i przerażeniu nie chciałem z nikim rozmawiać. Zamiast tego napisałem wiadomość do Emily i zapytałem, czy mogłaby odebrać London ze szkoły i zaopiekować się nią do mojego powrotu. Emily zapytała, gdzie

jestem i co się stało, ale nie mogłem odpowiedzieć. *Potrzebuję pobyć sam przez kilka godzin*, odpisałem. *Dziękuję*.

Następnie wsiadłem do samochodu i ruszyłem.

Trzy i pół godziny później dotarłem do Wrightsville Beach i zaparkowałem samochód.

Niebo zaciągnięte było chmurami i wiał zimny wiatr. Szedłem plażą dłużej, niż trwała moja podróż, a idąc, raz za razem myślałem o London, Marge i Vivian. Czułem niepewność i strach. Targały mną różne emocje: wściekłość i dezorientacja, rozpacz i przerażenie, i kiedy wróciłem do samochodu, policzki miałem zaczerwienione od wiatru, a duszę odrętwiałą. Choć nie jadłem nic przez cały dzień, nie byłem w ogóle głodny.

Wróciłem do Charlotte i późnym wieczorem odebrałem London. O tej godzinie powinna być już w łóżku; na szczęście Emily dała jej kolację. Nie miałem siły, żeby porozmawiać z Emily o tym, co się wydarzyło; poza tym wciąż nie potrafiłem ubrać tego w słowa.

*

W końcu zwróciłem się do siostry, głównie dlatego, że nie dała mi wyboru.

Był ostatni piątek stycznia i zgodziłem się zostać z Marge, podczas gdy mama pojechała do apteki wykupić lekarstwa. Już wtedy choroba wkroczyła w takie stadium, że nikt nie chciał zostawiać Marge samej, nawet na chwilę. Salon rozświetlała pojedyncza lampka; rolety były opuszczone na prośbę Marge. Mówiła, że od światła bołą ją oczy, ale ja znałem prawdę: nie chciała, żebyśmy ją oglądali, bo wystarczył jeden rzut oka, żeby wiedzieć, jak bardzo jest chora. Wypadło jej tyle włosów, że gdy nie spała, nosiła czapkę z logo Atlanta Braves. Choć była otulona kocem, utrata wagi była widoczna w kościstych dłoniach i wychudzonej szyi, z której niczym gałka do drzwi sterczała grdyka. Oddech miała ciężki i świszczący i często dostawała ataków kaszlu, które sprawiały, że mama i Liz wpadały w panikę.

Klepały ją wtedy po plecach, chcąc, żeby odkrztusiła flegmę, w której coraz częściej pojawiała się krew. Marge spała przeszło szesnaście godzin na dobę i ostatni raz była na dworze dwa tygodnie temu, kiedy razem z Liz przyjechały na prezentację mojego domu.

Nie była w stanie przejść o własnych siłach więcej niż kilka kroków. Rak w jej mózgu uszkodził prawą połowę jej ciała, jak gdyby miała udar. Prawa ręka i noga były słabe, a prawa powieka zaczęła opadać. Uśmiechała się tylko połową twarzy.

A jednak, kiedy siedziałem obok niej, wydała mi się piękna jak zawsze.

– Była tu wczoraj Emily – powiedziała, wypowiadając słowa wolno i z trudem. – Tak bardzo ją lubię, Russ. Naprawdę jej na tobie zależy. Musisz do niej zadzwonić – dodała, patrząc na mnie wymownie. – Porozmawiaj z nią i powiedz, co się z tobą dzieje. Ona się o ciebie martwi.

– Po co przyszła?

– Bo chciałam się z nią zobaczyć. Chciałam spędzić trochę czasu z kobietą, którą kocha mój brat. Nowym, lepszym modelem. – Zmusiła się do uśmiechu. – Tak ją nazwałam. Chyba jej się spodobało.

Ja również się uśmiechnąłem. Mimo choroby Marge wciąż była sobą.

Przez chwilę zbierała siły, po czym dodała:

– Myślę, że już czas, żebym porozmawiała z London.

– Kiedy?

– Możesz ją przywieźć w ten weekend?

– Nie będzie jej. Jedzie z Vivian do Atlanty.

– To może dziś po szkole?

Moja siostra na swój sposób próbowała mi powiedzieć, że jej czas się kończy.

Nagle coś ścisnęło mnie w gardle.

– Dobrze – szepnąłem.

– Chciałabym się też spotkać z Vivian. Możesz to jakoś załatwić?

Na dźwięk imienia Vivian poczułem ucisk w żołądku i odwróciłem wzrok. Wciąż wściekły i zażenowany, nie mogłem znieść myśli o niej, nie mówiąc o tym, żeby poprosić ją o spotkanie z moją umierającą siostrą. Marge zauważyła moją minę, ale kontynuowała.

– Musisz to dla mnie zrobić – powiedziała z naciskiem. – Proszę.

– Wyślę jej wiadomość – odparłem. – Ale nie wiem, czy przyjdzie. Zwykle ma wszystko zaplanowane co do minuty.

– Zobaczymy, co powie – upierała się Marge. Zamrugła i zauważyłem, że nawet ruchy jej powiek są spowolnione. – Powiedz jej, że to dla mnie ważne.

Sięgnąłem po telefon i napisałem do Vivian. Odpisała prawie natychmiast: *Oczywiście. Powiedz Marge, że będę u niej przed piątą.*

Kiedy poinformowałem o tym Marge, zamknęła oczy. Pomyślałem, że za chwilę zaśnie, ale zaraz je otworzyła.

– Zaakceptowałeś ofertę sprzedaży domu?

Pokręciłem głową.

– Nadal negocjujemy cenę.

– Coś długo to trwa.

– Potencjalni kupcy dużo podróżują, ale pośredniczka twierdzi, że prawie wszystko jest załatwione. Jej zdaniem w przyszłym tygodniu podpiszemy dokumenty.

– To chyba dobrze, prawda? Będziesz mógł spłacić Vivian?

Znowu wzdrygnąłem się na dźwięk tego imienia.

– Pewnie tak.

Marge wbiła we mnie wzrok.

– Powiesz mi, co się wydarzyło? Emily mówiła, że w środę zniknąłeś na cały dzień, ale nie chciałeś z nią o tym rozmawiać.

Wstałem z kanapy i zerknąłem przez okno, żeby upewnić się, że samochód mamy nie stoi na podjeździe. Nie chciałem, żeby wiedziała, co się dzieje; miała wystarczająco dużo stresu. Wróciłem na kanapę, splotłem ręce i opowiedziałem Marge

o spotkaniu z Taglierim i piśmie wysłanym przez prawniczkę Vivian.

– No cóż – mruknęła Marge, gdy skończyłem. – Nie powiem, żebym była zaskoczona. Vivian od początku jasno dawała do zrozumienia, że zamierza zabrać London do Atlanty.

– Ale... ta groźba. Gra tak... nieczysto.

– A co mówi twój prawnik?

– Że kiepsko to widzi. I nadal uważa, że ja i Vivian powinniśmy załatwić to między sobą.

Marge milczała przez chwilę, ale wzrok miała rozgorączkowany.

– Najpierw musisz wiedzieć, czego naprawdę chcesz.

Ściągnąłem brwi.

– Czemu wciąż to powtarzasz? Już o tym rozmawialiśmy. Powiedziałem ci, czego chcę.

– Więc zrób, co masz zrobić.

– Mam iść do sądu? Grać nieczysto jak Vivian?

Marge pokręciła głową.

– To nie byłoby dobre dla London. A przecież to ona jest najważniejsza.

– Co więc proponujesz?

– Myślę, że wiesz – odparła i znowu zamknęła oczy.

I kiedy patrzyłem na jej zmęczoną twarz, w końcu dotarło do mnie, że istotnie wiem.

*

Wracając od Marge, zadzwoniłem do Emily i spytałem, czy moglibyśmy się spotkać. Zgodziła się i umówiliśmy się w bistro niedaleko jej domu.

– Najpierw chcę cię przeprosić za to, że nie powiedziałem ci, co się dzieje – zacząłem, kiedy tylko usiedliśmy przy stoliku. – Prawdę mówiąc, nie wiedziałem nawet, od czego zacząć.

– W porządku, Russ – odparła. – Czasami wszyscy musimy w spokoju przetrwać pewne rzeczy. Nigdy nie myśl, że cię do

czegoś przymuszam... Możesz na mnie liczyć, bez względu na to, czy będziesz gotowy porozmawiać, czy też nie.

– Jestem gotowy – odparłem, dotykając jej ręki. Wziąłem głęboki oddech i opowiedziałem jej wszystko: o cierpieniu London, instrukcjach, które wydałem Taglieriemu, i reakcji Vivian. Kiedy mówiłem, Emily zakryła usta dłonią.

– Nie wyobrażam sobie, co musiałeś czuć – powiedziała, gdy skończyłem. – Byłabym... zszokowana. I absolutnie wściekła.

– Ja też byłem. Wciąż jestem – przyznałem. – Pierwszy raz w życiu czuję, że jej nienawidzę.

– Masz powody – odparła. – Może to nie taki głupi pomysł pozwolić, żeby psycholog porozmawiał z London. Od razu oddaliłyby te niedorzeczne zarzuty.

– Wciąż pozostaje kwestia wypadku na rowerze.

– Dzieciakom zdarzają się wypadki, Russ. Dlatego prawo wymaga, żeby nosiły kaski. Sędziowie to wiedzą.

– Nie chcę walczyć o opiekę nad London w sądzie. Nie chcę nawet, żeby London rozmawiała z psychologiem. Jeśli potrzebuje pomocy, żeby poradzić sobie z rozwodem, to co innego. Ale nie doprowadzę do sytuacji, w której będzie musiała wybierać między którymś z rodziców. – Pokręciłem głową. – Próbuję skupić się na tym, co dla niej najważniejsze. I wiem, że jestem jej potrzebny. Codziennie, nie z doskoku i nie od czasu do czasu. Dlatego zrobię, co będę musiał.

Wiedziałem, że mówię ogólnikowo, ale były rzeczy, o których nie mogłem powiedzieć Emily.

Pokiwała głową i przysunęła do siebie szklankę z wodą. Zamiast podnieść ją do ust, zaczęła się nią bawić.

– Widziałam wczoraj Marge – odezwała się.

– Wiem. Powiedziała mi. Podoba ci się łatka „nowego, lepszego modelu”? – spytałem zaczepnie.

– Jestem zaszczyczona. Marge to cudowna osoba – dodała po chwili, uśmiechając się ze smutkiem.

– Najlepsza. – Nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć.

*

Po szkole zawiozłem London do Marge. Ponieważ w ostatnich miesiącach często tam bywała, wiedziała, że ciocia jest chora, nawet jeśli nie zdawała sobie sprawy jak bardzo. Widząc otwarte ramiona Marge, podbiegła do niej i przytuliła się.

„Chcesz, żebym został?”, zapytałem bezgłośnie, na co Marge pokręciła głową.

– Zobaczą, co robi Bunia, dobrze, London? Popilnujesz w tym czasie cioci Marge?

– Tak – odparła moja córka i zostawiłem je same w pokoju.

Usiedliśmy z mamą na werandzie za domem i praktycznie się nie odzywaliśmy.

Chwilę później, kiedy zapłakana London weszła do kuchni, wróciłem do domu i objąłem ją.

– Dlaczego Pan Bóg nie wyleczy cioci Marge? – spytała, szlochając.

Z trudem przełknąłem ślinę i przytuliłem do siebie jej drobne ciało.

– Nie wiem, skarbie – szepnąłem. – Naprawdę nie wiem.

*

Vivian napisała, że prosto z lotniska pojedzie do Marge, tak więc w domu była dopiero o wpół do siódmej.

Widząc podjeżdżającą pod dom limuzynę, pomyślałem o piśmie od jej prawniczki. Otworzyłem drzwi, ale poszedłem do kuchni, czując, że ogarnia mnie obrzydzenie. Chociaż chwilę temu spędziła ponad godzinę z moją siostrą, nadal nie miałem ochoty z nią rozmawiać.

Słyszałem, jak weszła do domu, a zaraz potem dobiegł mnie drżący głosik London, która pytała, czy naprawdę muszą jechać do Atlanty. Mimo obietnic Vivian, że będą się świetnie bawić, London wybuchła płaczem. Chwilę później wbiegła do kuchni i rzuciła mi się w ramiona.

– Nie chcę jechać, tatusiu – powiedziała, szlochając. – Chcę zostać w domu. Chcę zobaczyć ciocię Marge.

Wzięłem ją na ręce i przytuliłem, kiedy Vivian weszła do kuchni. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Musisz pobyć trochę z mamą – powiedziałem. – Bardzo za tobą tęskni.

London nie przestawała łkać.

– Zaopiekujesz się ciocią Marge, kiedy mnie nie będzie?

– Oczywiście – odparłem. – Wszyscy będziemy się nią opiekować.

*

Tak jak obiecałem London, większość weekendu spędziłem u Marge, z rodzicami i Liz.

Godzinami siedzieliśmy przy kuchennym stole, opowiadając sobie historyjki z moją siostrą w roli głównej, jak gdyby wspomnienia jej skandalicznych wyczynów miały na dłużej utrzymać ją przy życiu. W końcu opowiedziałem rodzicom i Liz o nocy, kiedy znalazłem Marge na wieży ciśnień; Liz przypomniała walentynkową zabawę w poszukiwanie skarbów. Śmialiśmy się z obsesji Marge na punkcie wrotek i filmów i wspominaliśmy sielankowy dzień, który razem z Liz spędziły ze mną i Emily w Biltmore Estate. Podziwialiśmy jej poczucie humoru i śmialiśmy się, że nadal traktuje mnie jak młodszego braciszka, który desperacko potrzebuje jej przewodnictwa.

Żałowałem, że Marge nie siedziała z nami wystarczająco długo, żeby wysłuchać wszystkich historii. Głównie jednak spała.

W niedzielę wieczorem London wróciła z Atlanty. Vivian pożegnała się z nią przy limuzynie i nie weszła do domu.

Był ostatni dzień stycznia. Marge i ja urodziliśmy się w marcu – ona czwartego, a ja dwunastego. Byliśmy zodiakalnymi rybami, a mówi się, że ludzie spod tego znaku są współczujący i oddani. Moim zdaniem Marge bardziej pasowała do tego wizerunku.

Uświadomiłem sobie, że za niecałe pięć tygodni wypadają jej urodziny, i wiedziałem, że już wtedy nie będzie jej z nami.
Podobnie jak Marge po prostu wiedziałem.

ROZDZIAŁ 26

Pożegnanie

Kiedy ja i Marge byliśmy mali, rodzice nie prowadzili bujnego życia towarzyskiego. Podczas gdy ojciec od czasu do czasu umawiał się na piwo z kolegami, mama praktycznie nie wychodziła. Zajęta pracą, gotowaniem, sprzątaniami, wizytami u rodziny i wychowywaniem dzieci, właściwie nie miała czasu dla siebie. Rodzice rzadko jadali poza domem; wyjścia do restauracji postrzegali jako ekstrawagancję i pamiętam może sześć takich przypadków. Kiedy weźmie się pod uwagę urodziny, rocznice, walentynki, Dzień Matki i Ojca, sześć wyjść do restauracji w ciągu osiemnastu lat to naprawdę niewiele.

To znaczyło, że gdy wychodzili, Marge i ja dostawaliśmy zawrotów głowy na samą myśl, że będziemy mieli dom tylko dla siebie. Kiedy w końcu odjeżdżali spod domu, robiliśmy popcorn albo piekliśmy pianki marshmallow – albo jedno i drugie – i głośniejsze niż zwykle oglądaliśmy filmy, aż do chwili, gdy zadzwonił któryś z przyjaciół Marge. Wówczas natychmiast o mnie zapominała... ale nie miałem nic przeciwko temu, bo to znaczyło, że zostawało dla mnie więcej pianek.

Mając mniej więcej trzynaście lat, Marge przekonała mnie, że powinniśmy zbudować w salonie fort. Znaleźliśmy w komórce zwój sznura do bielizny i poprowadziliśmy go od karnisza przez zegar szafkowy do wywietrznika i z powrotem do karnisza. Wyciągnęliśmy z bielizniarki ręczniki i prześcieradła, powiesiliśmy je na sznurze i przypięliśmy klamerkami. Na górę narzuciliśmy kolejne prześcieradło i „umeblowaliśmy” nasz fort

poduszkami z kanapy. Marge przyniosła z garażu gazową lampę turystyczną. Udało nam się ją zapalić, nie wznecając przy okazji pożaru – ojciec byłby wściekły, gdyby dowiedział się, co zrobiliśmy – a Marge wyłączyła wszystkie światła, zanim weszła do środka.

Zbudowanie fortu zajęło nam ponad godzinę i prawdopodobnie potrzebowaliśmy drugie tyle, żeby go zdemontować i uprzątnąć bałagan, a to oznaczało, że spędziliśmy w nim piętnaście, dwadzieścia minut. Nawet jeśli rodzice wychodzili, to nie na długo.

Nadal wspominam ten wieczór jako coś magicznego. Dla ośmioletniego chłopca była to wielka przygoda i zupełnie nowe doświadczenie, ponieważ zrobiliśmy coś wbrew zasadom, pierwszy raz w życiu poczułem się starszy, bardziej jak rówieśnik Marge niż dzieciak, którym byłem. Pamiętam, że kiedy siedząc w prowizorycznym forcie, patrzyłem na twarz siostry skąpaną w upiornym świetle lampki gazowej, pomyślałem, że Marge jest nie tylko moją siostrą, ale i najlepszym przyjacielem. Już wtedy wiedziałem, że nic nigdy tego nie zmieni.

*

Pierwszego lutego temperatura wynosiła dwadzieścia jeden stopni; pięć dni później spadła do dziesięciu, a przy gruncie do czterech. Wahania temperatur w pierwszym tygodniu lutego jeszcze bardziej osłabiły Marge. Z każdym dniem jej stan się pogarszał.

Przesypiała już dziewiętnaście godzin dziennie i każdy oddech stanowił nie lada wyzwanie. Paraliż prawej strony nasilił się i pożyczaliśmy wózek inwalidzki, żeby wozić ją po mieszkaniu. Zaczęła mówić niewyraźnie i straciła apetyt; jednak wszystko to było niczym w porównaniu z bólem, który odczuwała. Moja siostra brała tyle tabletek przeciwbólowych, że jej wątroba najpewniej zmieniła się w papkę, ale nie czuła bólu tylko wtedy, kiedy spała.

Nie skarżyła się jednak. Ani rodzicom, ani Liz, ani mnie. Jak zwykle bardziej martwiła się o innych niż o siebie, ale

wiedzieliśmy, że cierpi, za każdym razem, gdy krzywiła się z bólu albo gdy nagle łzy napływały jej do oczu. Jej cierpienie było dla nas prawdziwą torturą.

Kiedy spała, często siedziałem przy niej na kanapie w salonie albo w fotelu bujanym w sypialni. Patrzyłem, jak drzemie, a wspomnienia wracały do mnie niczym film odtwarzany od końca – film, w którym Marge grała główną rolę i wygłaszała najbardziej pamiętne kwestie. Zawsze była pełną życia, barwną postacią i zastanawiałem się, czy moje wspomnienia pozostaną już takie, czy z czasem zbledną. Walczyłem z całych sił, żeby nie zwracać uwagi na jej chorobę, i powtarzałem sobie, że jestem jej to winien; że muszę zapamiętać ją taką, jaka była, zanim zachorowała.

W dniu, kiedy temperatura spadła do czterech stopni, przypomniałem sobie coś, co ojciec powiedział mi o żabach leśnych, które można znaleźć od Karoliny Północnej po północne koło podbiegunowe. Jako stworzenia zimnokrwiste żaby leśne są wrażliwe na niskie temperatury i potrafią całkowicie zamarznąć, tak że ich serca przestają bić. A jednak wyewoluowały do tego stopnia, że glikogen rozkłada się do glukozy, co działa jak naturalny płyn przeciw zamarzaniu. Żaby te potrafią tygodniami trwać w bezruchu, ale kiedy temperatura zaczyna w końcu rosnać, mrugają, ich serca zaczynają bić i niedługo potem odhibernowane żaby wyruszają na poszukiwanie swojej drugiej połówki; zupełnie jakby Bóg wyłączył pauzę.

Patrząc, jak moja siostra śpi, modliłem się o taki właśnie cud.

*

Tymczasem, co dziwne, moje życie gnało do przodu.

Chcąc uciec od problemów, rzucałem się w wir pracy, a zadowolenie klientów wnosilo do mojego życia odrobinę radości. Spotkałem się z pośredniczką w handlu nieruchomościami i podpisałem umowę; para z Louisville nie spieszyła się; chcieli, żeby ich dzieci ukończyły tam szkołę, więc

dopełnienie formalności miało nastąpić w maju. Pewnego dnia podczas lunchu Emily zapytała mnie o nazwisko pośredniczki, bo przyznała, że sama myśli o sprzedaży domu.

– Czuję, że muszę zacząć od nowa – powiedziała. – W miejscu, w którym nie mieszkałam z Davidem.

Myślałem wtedy, że chce okazać poparcie dla mojej decyzji o sprzedaży domu, co do której wciąż miałem wątpliwości. Ale kilka dni później wysłała mi zdjęcie wystawionej przed domem tabliczki NA SPRZEDAŻ.

Wszystko się zmienia: życie Emily, podobnie jak moje, toczyło się dalej. Chciałem tylko wiedzieć, dokąd to zmierza.

*

Ojciec niemal codziennie po południu pojawiał się w domu Marge ze skrzynką z narzędziami. Początkowe „drobne naprawy” stopniowo zmieniły się w regularny remont. W dniu, kiedy Liz i Marge wzięły udział w prezentacji mojego domu, zaczął przerabiać łazienkę dla gości, chcąc stworzyć coś, na co zasługiwała wyłącznie jego córka.

W kwestii technologii nasz ojciec był dinozaurem. Aż do teraz nie widział potrzeby posiadania telefonu komórkowego. Jego szef zawsze wiedział, gdzie go szukać, a ponieważ wszyscy jego koledzy z pracy mieli komórki, mógł zadzwonić do któregoś z nich. Zresztą kto inny by do niego dzwonił? Po co więc zawracać sobie głowę?

A jednak zaraz po Nowym Roku przyszedł do mnie i poprosił, żebym pomógł mu wybrać telefon. Ponieważ nie znał się na tych „elektronicznych gadżetach”, zdał się na mnie. „Wybierz taki, żeby miał wszystkie bajery, ale nie był zbyt drogi”.

Choć nie wspomniał nic na ten temat, wybrałem taki, który był łatwy w obsłudze. Dokonawszy zakupu, spędziłem z ojcem trochę czasu, pokazując mu, jak wykonywać i odbierać połączenia, i wysyłać SMS-y. Dodałem do kontaktów numery

Marge, Liz, mamy i swój. Nie wiedziałem, kogo jeszcze mógłbym dodać.

– Mogę nim robić zdjęcia? – zapytał. – Widziałem telefony z aparatem fotograficznym.

Większość telefonów ma je od lat, pomyślałem, ale na głos odparłem tylko:

– Tak, możesz.

Pokazałem mu, jak włączyć aparat, patrzyłem, jak robi zdjęcia i je ogląda. Nauczyłem go też, jak usuwać te, które mu się nie podobały. Był wyraźnie przytłoczony takim mnóstwem informacji, ale ostrożnie schował telefon do kieszeni i wsiadł do samochodu.

Następnego dnia spotkaliśmy się w domu Marge. Moja siostra obudziła się z drzemki, a mama przygotowała rosół. Marge zjadła pół talerza – mniej, niż mieliśmy nadzieję – a kiedy mama wyniosła tacę, ojciec usiadł obok niej na kanapie. Wyglądał na zawstydzonego, gdy pokazywał jej zdjęcia różnych kranów, umywalek, wieszaków na ręczniki i płytek. Pojechał do sklepu budowlanego i narobił zdjęć, bo tylko w ten sposób Marge mogła wybrać to, co jej się podobało.

Wiedziała, że ojciec nigdy nie był zbyt gadatliwy ani wylewny. Wiedziała też, że poprzez swoją pracę chciał wykrzyczeć, jak bardzo ją kocha, i miał nadzieję, że jego chora córka usłyszy słowa, których nie potrafił wypowiedzieć na głos.

Ojciec skrupulatnie notował każdy jej wybór, a kiedy skończyli, Marge nachyliła się w jego stronę, tak że chcąc nie chcąc, musiał ją przytulić.

– Kocham cię, tatusiu – szepnęła.

Bez słowa wstał z kanapy i wyszedł z domu. Wiedzieliśmy, że pojechał do sklepu kupić wszystko to, co wybrała moja siostra, ale chwilę później uświadomiłem sobie, że nie słyszałem, żeby uruchamiał silnik.

Kiedy wyjrzałem zza firanek na podjazd, zobaczyłem swojego tatę, najsilniejszego człowieka, jakiego znałem, jak przygarbiony siedział na fotelu kierowcy ze spuszczoną głową.

*

W tamtym czasie z kuchni Marge dolatywały smakowite zapachy, bo mama dokładała wszelkich starań, by ugotować coś, co moja siostra zje z apetytem. Na stół trafiały zupy i gulasze, sosy i makarony, krem bananowy, cytrynowe ciasta bezowe i lody waniliowe domowej roboty. Lodówka i zamrażarka były pełne i za każdym razem, gdy przychodziłem, dostawałem zapasy jedzenia, które stopniowo zapełniały lodówkę w naszym domu.

Kiedy Marge nie spała, mama stawiała przed nią tacę z jedzeniem; w drugim tygodniu lutego zaczęła ją karmić, bo lewa połowa ciała Marge stopniowo opadała z sił. Mama ostrożnie podnosiła łyżkę do jej ust, wycierała je między kolejnymi kęsami i podsuwała Marge słomkę, żeby mogła się czegoś napić.

Gdy moja siostra jadła, mama mówiła. Opowiadała o ojcu i o tym, jak nowy właściciel firmy suszy mu głowę, że tak często nie ma go w pracy. Tata miał mnóstwo niewykorzystanego urlopu, ale jego szef był typem człowieka, który jest wiecznie niezadowolony i wymaga więcej od swoich pracowników niż od siebie.

Opisywała tulipany, które zasadziła dla ojca, i mówiła o wykładzie, na którym była z koleżankami z Ruchu Czerwonych Kapeluszy; raczyła Marge opowiastkami o tym, co powiedziała jej London. Kilka razy słyszałem, jak skarżyła się, że nikt jej nie uprzedził o wypadzie na wrotki.

– Tyle razy zawoziłam cię i odbierałam z toru wrotkarskiego, że wyłobiłam oponami koleiny w asfalcie, a ty zapomniałaś powiedzieć, że moja wnuczka pierwszy raz wybiera się na wrotki?

Wiedziałem, że nie do końca żartuje; naprawdę chciała tam być, i miałem wyrzuty sumienia. Mama nie tylko pragnęła zobaczyć, jak London jeździ na wrotkach; ostatni raz chciała zobaczyć swoją córkę szczęśliwą i beztroską.

*

Pod koniec drugiego tygodnia lutego miałem wrażenie, że czas jednocześnie przyspiesza i zwalnia. Godziny, które codziennie spędzałem z Marge, upływały w zwolnionym tempie, naznaczone długimi chwilami ciszy i snu; z drugiej strony za każdym razem, gdy ją widziałem, wydawało się, że jej stan pogarsza się w zastraszającym tempie. Pewnego popołudnia, zanim odebrałem London ze szkoły, wstąpiłem do Marge i zastałem ją w salonie. Ona i Liz rozmawiały szeptem, a gdy zaproponowałem, że zostawię je same, Liz pokręciła głową.

– Zostań – powiedziała. – I tak miałam się spotkać z jednym z pacjentów. To pilne. Porozmawiajcie sobie. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

Usiadłem obok siostry. Nie pytałem, jak się czuje, bo wiedziałem, jak bardzo tego nienawidzi. Zamiast tego, jak zawsze wypytywała mnie o Emily i pracę, London i Vivian. Głos miała chrapliwy i niewyraźny. Ponieważ szybko się męczyła, głównie to ja mówiłem. Jednak tym razem spytałem, czy mogę jej zadać pytanie.

– Pewnie – odparła.

– W święta napisałem do ciebie list, ale nigdy nie powiedziałaś mi, co o nim sądzisz.

Rozciągnęła usta w swoim półuśmiechu, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić.

– Jeszcze go nie przeczytałam – odparła.

– Dlaczego?

– Bo – zaczęła – nie jestem gotowa, żeby się z tobą pożegnać.

*

Przyznaję, że czasami zastanawiałem się, czy w ogóle zdąży go przeczytać. W ciągu kolejnych trzech dni, kiedy ją odwiedzałem, Marge spała, zwykle w swojej sypialni.

Zostawałem na godzinę albo dwie i rozmawiałem z Liz lub mamą, w zależności od tego, która z nich była akurat w domu. Podziwiałem efekty prac remontowych ojca i zwykle zjadałem talerz jedzenia, który stawiała przede mną mama.

Praktycznie zawsze siedzieliśmy w kuchni. Z początku myślałem, że to dlatego, żeby Marge mogła spokojnie spać, ale skoro nie przeszkadzało jej walenie młotkiem przez mojego ojca, to nasze ściszone głosy tym bardziej nie mogły jej obudzić.

Odkryłem to pewnego popołudnia, kiedy Liz wyszła pozamiatać werandę na tyłach domu. Nie wiedząc, co ze sobą począć, poszedłem do salonu i usiadłem tam, gdzie zwykle siadywałem z Marge.

Ojciec pracował w łazience, ale dotarło do mnie, że słyszę dziwny, rytmiczny dźwięk, coś jakby popsuty wentylator albo hałas w przewodzie kominowym. Szukając jego źródła, poszedłem do kuchni, a zaraz potem do łazienki, gdzie ojciec leżał na plecach, kończąc montować nową umywalkę. W obu tych miejscach dźwięk był nieco przytłumiony; przybierał na sile tylko wtedy, gdy wychodziłem na korytarz, i dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, co było źródłem hałasu.

Moja siostra.

Mimo zamkniętych drzwi nawet w drugim końcu domu słyszałem, jak oddycha.

*

Tego roku walentynki wypadły w niedzielę. Marge zaplanowała na tę okazję wyjątkowe spotkanie, na które zaprosiła Emily i Bodhiego. Razem z London przyjechaliśmy zaraz po tym, jak wróciła z Atlanty.

Pierwszy raz od dwóch tygodni zastaliśmy Marge siedzącą na kanapie. Ktoś – może mama, a może Liz – pomógł jej zrobić delikatny makijaż. Zamiast czapki bejsbolówki Marge miała na głowie uroczą jedwabną chustkę, a gruby golf maskował utratę wagi. Mimo guza, który pustoszył jej mózg, brała udział

w rozmowie i słyszałem, jak raz albo dwa się roześmiała. Chwilami miałem wrażenie, że to zwykle sobotnie albo niedzielne popołudnie u moich rodziców.

Chwilami.

Dom nigdy nie wyglądał lepiej. Ojciec zakończył remont w łazience, a nowe płytki i umywalka lśniły, odbijając nowoczesną armaturę. W ostatnim tygodniu pomalował elementy wykończenia w domu. Mama przygotowała istną ucztę i już na wejściu uprzedziła Emily, że wróci do domu z całym mnóstwem jedzenia.

Kolejny raz opowiadaliśmy sobie rodzinne historie, ale główną atrakcją wieczoru był prezent walentynkowy, który Liz przygotowała dla Marge. Zrobiła album ze zdjęciami, który otwierały ich fotografie z dzieciństwa. Na lewych stronach były zdjęcia Liz, a na prawych – Marge. Wiedziałem, że mama pomagała Liz w doborze zdjęć, i kiedy Marge powoli odwracała kartki, patrzyłem, jak na moich oczach Liz i Marge stają się parą.

Na ostatnich stronach były ich wspólne zdjęcia, te z egzotycznych wycieczek i te nieupozowane, zrobione w domu. Każde z nich opowiadało historię jakiejś wyjątkowej chwili w ich wspólnym życiu. Cały album był świadectwem ich miłości i oglądając go, czułem, jak łzy napływają mi do oczu.

Najbardziej poruszyły mnie dwie ostatnie strony.

Po lewej było zdjęcie Marge i Liz pod choinką przed Rockefeller Center w Nowym Jorku, zrobione podczas ich ostatniej wspólnej podróży; po prawej fotografia Marge. Zdjęcie wyglądało, jakby zrobiono je kilka godzin wcześniej.

Liz wyjaśniła, że zrobił je nasz tata i bez jej wiedzy dał do wywołania w pobliskiej drogerii. Po powrocie poprosił Liz, żeby dodała je do albumu.

Wszyscy spojrzeli na mojego ojca.

– Zawsze byłem z ciebie taki dumny – zwrócił się łamiącym głosem do Marge. – I chcę, żebyś wiedziała, że bardzo cię kocham.

*

Dzień po walentynkach rozpoczęło się czekanie.

Myślę, że tamtego dnia Marge zużyła resztki swojej energii. Przespała niemal cały poniedziałek i od tego czasu nie przyjmowała żadnych stałych pokarmów, sączyła tylko przez słomkę letni rosół.

Podczas gdy rodzice byli przy niej przez cały czas, ja pojawiałem się i znikiałem, głównie z powodu London. Odkąd dowiedziała się o Marge, stała się wybuchowa, zdarzało się, że dostawała napadu złości albo płakała z byle powodu. Najgorzej było, gdy nie pozwalałem jej odwiedzić Marge, ale trudno było wytłumaczyć London, że jej ciotka praktycznie cały czas śpi.

Pewnego wieczoru kilka dni po walentynkach zadzwoniła do mnie Liz.

– Możesz przywieźć London? – W jej głosie wyczuwało się napięcie. – Marge chce ją zobaczyć.

Zawołałem London, która przebrana w piżamę, z włosami mokrymi po kąpiel, siedziała w swoim pokoju. Zaraz jednak zbiegła na dół i pognałaby prosto do samochodu, gdybym nie stanął jej na drodze i nie kazał założyć kurtki. Kiedy przypomniałem jej, że jest boso, wyciągnęła z szafki parę kaloszy i pospiesznie wsunęła je na nogi, chociaż nie padało.

Trzymała w ręce lalkę Barbie i nie chciała jej odłożyć, nawet kiedy wkładała kurtkę.

Gdy przyjechaliśmy do Marge, Liz objęła London, ucałowała ją i kazała jej iść do sypialni.

Mimo pośpiechu, w jakim wsiadała do samochodu, moja córka się zawahała i dopiero po chwili ruszyła wolno w głąb korytarza. Ja szedłem kilka kroków za nią. Już z daleka usłyszałem siostrę, słyszałem życie, które uciekało z niej z każdym świszczącym oddechem. Światło stojącej przy łóżku lampki rozlewało się ciepłą kałużą na drewnianej podłodze.

London stanęła w drzwiach.

– Cześć... skarbie. – Słowa Marge były powolne, ale zrozumiały.

London ostrożnie podeszła do łóżka; poruszała się najciszej, jak mogła, żeby nie zakłócać spokoju chorej ciotce. Oparty o futrynę patrzyłem, jak podchodzi do Marge.

– Co... my tu... mamy? – spytała Marge.

– Przyniosłam ci prezent – odparła London i podała jej lalkę, której do tej pory nie chciała wypuścić z rąk. – To moja ulubiona Barbie, bo mam ją, odkąd byłam mała. To moja pierwsza lalka i chcę ci ją dać.

Kiedy dotarło do niej, że Marge jest zbyt słaba, żeby wziąć lalkę, położyła ją obok na poduszce.

– Dziękuję. Jest bardzo ładna... ale ty jesteś... ładniejsza.

London spuściła głowę, ale zaraz ją podniosła.

– Kocham cię, ciociu Marge. Bardzo cię kocham. Nie chcę, żebyś umarła.

– Wiem... i... ja też cię... kocham. Ale mam coś... dla... ciebie. Ciocia Liz położyła to... na komodzie. Pewnego dnia... kiedy będziesz wystarczająco duża... może... obejrzysz go razem z tatą... dobrze? I może... wtedy... pomyślisz o mnie. Możesz mi to... obiecać?

– Obiecuję.

Zerknąłem na komodę i na płytę DVD, którą Marge podarowała mojej córce. Kiedy zobaczyłem tytuł, łzy napłynęły mi do oczu.

Pretty Woman.

*

– Marge uważa, że powinnam mieć dziecko – powiedziała Liz, gdy kilka dni później piliśmy kawę przy kuchennym stole. Na jej twarzy zmęczenie mieszało się ze zdumieniem.

– Kiedy ci to powiedziała?

– Pierwszy raz wspomniała o tym w Nowym Jorku – odparła. – Powtarza, że jestem wystarczająco zdrowa, żeby to zrobić, ale... –

Urwała.

Czekałem, aż dokończy, lecz Liz wydawała się zamyślona.

– Chcesz tego? – zapytałem niepewnie.

– Nie wiem, Russ. Teraz ciężko mi o tym myśleć. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym to zrobić sama, ale wczoraj znowu o tym mówiła. – Przez chwilę skubała jakiś okruszek, żłobiąc miniaturowy rowek w drewnianym kuchennym stole. – Powiedziała, że poczyniła już finansowe przygotowania, gdybym jednak zmieniła zdanie. Że wystarczy na zapłodnienie in vitro, opiekunkę do dziecka, a nawet na naukę.

Gdy przechyliłem głowę, zastanawiając się, jak i kiedy Marge załatwiła to wszystko, Liz przeczesiała włosy palcami, próbując wsunąć niesforne kosmyki w upięty niedbale kucyk.

– Wygląda na to, że kiedy zdała egzamin i została księgową, wykupiła pakiet ubezpieczeń na życie. Dwie różne polisy. Przez lata uzbierało się na nich mnóstwo pieniędzy. Większa polisa wskazuje mnie jako beneficjenta. Jest na niej więcej pieniędzy, niż potrzebuję, nawet jeśli zdecyduję się na dziecko. Niedawno zmieniła beneficjenta na drugiej polisie na twoich rodziców. Żeby wasz tata mógł przejść na emeryturę. Pytałam o ciebie...

Uniosłem rękę i przerwałem jej.

– Cieszę się, że wskazała ciebie i rodziców – odparłem. Liz wyglądała na zdezorientowaną, jak gdyby nie rozumiała sensu słów, które wypowiedziała chwilę temu.

– Kiedy mi o tym mówiła – ciągnęła – zastanawiałam się, skąd wiedziała. Zapytałam ją, a ona odparła, że to przez rodzinną historię, i chociaż nie wiedziała, kto będzie uposażonym, myślę, że na początku wskazała ciebie i rodziców, na wszelki wypadek chciała mieć pewność.

– Nigdy mi o tym nie mówiła.

– Mnie też nie – przyznała Liz. – Kiedy rozmawialiśmy o dziecku, zanim zachorowała, nigdy nie myślałam o kosztach. Radzimy sobie nieźle, mamy nawet trochę oszczędności; ale przede wszystkim wierzyłam, że jeśli Marge uważa, że damy radę... – Przez chwilę na jej twarzy malowała się rozpacz. –

Ledwie się trzymam. Powiedziałam jej, że nie dam rady sama wychować dziecka. Z nas dwóch to zawsze ona miała silniejszy instynkt macierzyński. I wiesz, co mi powiedziała?

Spojrzałem na nią, czekając.

– Powiedziała, że to ja byłem jej natchnieniem i że każde dziecko, które wychowam, zmieni świat na lepsze. A jeśli istnieje niebo, to ona już zawsze będzie czuwała nad naszym maleństwem.

*

Następnego dnia przyszła moja kolej, żeby się pożegnać.

Kiedy przyjechałem, Marge spała jak zwykle. Zostałem przez chwilę, zerkając na zegar, żeby nie spóźnić się po London do szkoły, ale niebawem w stojącej w kuchni elektronicznej niani rozległy się trzaski i mama z Liz pobiegły do sypialni. Kilka minut później mama wróciła do kuchni.

– Marge chce się z tobą zobaczyć – powiedziała.

– Jak się czuje?

– Jest komunikatywna, ale lepiej idź już do niej. Czasami zaczyna się gubić i szybko zasypia.

Obserwując mamę, widziałem, że jest równie silna, jak ojciec, bo – podobnie jak on – każdego dnia znosiła coś nie do wytrzymania.

Przytuliłem ją na chwilę i poszedłem do sypialni. Tak jak w walentynki Marge miała na głowie chustkę i podejrzewałem, że zanim wszedłem, poprosiła Liz, żeby pomogła jej ją zawiązać.

Sięgnąłem po stojące w kącie krzesło i przysunąłem je do łóżka. Kiedy Liz wyszła z pokoju, wziąłem Marge za rękę. Była ciepła, ale pozbawiona życia. Nieruchoma. Uścisnąłem ją, choć nie wiedziałem, czy Marge cokolwiek czuje.

– Cześć, siostrzyczko – szepnąłem.

Na dźwięk mojego głosu zamrugła i spróbowała odchrząknąć.

– Przeczytaj – wyrzęziła.

Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, co miała na myśli, ale zauważyłem kopertę, którą Liz położyła na stoliku nocnym. Otworzyłem ją, wyjąłem kartkę papieru, wziąłem głęboki oddech i zacząłem czytać.

Marge

Jest późno w nocy, a ja próbuję znaleźć słowa i żałuję, że nie przychodzą mi z większą łatwością. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy potrafię wyrazić słowami to, ile zawsze dla mnie znaczyłaś. Mógłbym powiedzieć, że Cię kocham i że jesteś najlepszą siostrą, jaką można sobie wymarzyć; mógłbym też przyznać, że zawsze Cię podziwiałem. Ale ponieważ mówiłem to wszystko wcześniej, czuję, że to za mało. Jak mam pożegnać się z najlepszą osobą, jaką znam, w sposób, na jaki zasługuje?

I nagle pomyślałem, że wszystko, co chcę Ci powiedzieć, zamyka się w dwóch słowach.

Dziękuję Ci.

Dziękuję Ci za to, że się mną opiekowałaś, za to, że próbowałaś uchronić mnie przed popełnianiem błędów, za to, że miałaś odwagę, o której ja mogłem tylko pomarzyć. Jednak przede wszystkim dziękuję Ci za to, że pokazałaś mi, co znaczy naprawdę kochać i być naprawdę kochanym.

Znasz mnie: mistrza wielkich, romantycznych gestów, kolacji przy świecach i kwiatów. Dopiero niedawno pojąłem, że te wzniosłe, zaaranżowane chwile nie znaczą nic, jeśli nie dzielisz ich z kimś, kto kocha cię za to, kim jesteś.

Zbyt długo trwałem w związku, w którym miłość zawsze była czymś warunkowym – próbowałem stać się kimś, kto zasługuje na prawdziwe uczucie, i raz za razem ponosiłem klęskę. Kiedy jednak myślałem o Tobie i Liz, i o tym, co Was łączy, zrozumiałem, że fundament prawdziwej miłości jest akceptacja, nie osąd. Bycie w pełni zaakceptowanym przez drugą osobę, nawet w chwilach największej słabości, to gwarancja szczęścia.

Ty i Liz jesteście moimi bohaterkami, moimi muzami, bo w Waszej miłości zawsze było miejsce na to, co Was różni,

i świętowanie tego, co Was łączy. A w najczarniejszej godzinie Wasz związek okazał się światłem, które wskazało mi drogę do wszystkiego tego, co najcenniejsze. Mam tylko nadzieję, że kiedyś dane mi będzie doświadczyć takiej miłości jak Wasza.

Kocham Cię, moja słodka siostrzyczko...

Russ

Drżącymi rękami złożyłem list i schowałem go do koperty. Bałem się odezwać, nie ufałem własnemu głosowi, ale pełne mądrości spojrzenie Marge powiedziało mi, że niepotrzebnie się martwię.

– Emily – wyszeptała. – Z... nią... tego... doświadczysz.

– Kocham ją – przyznałem.

– Nie... pozwól... jej... odejść...

– Nie pozwolę.

– I... nie... zdradź... jej... znowu... – Mówiąc to, spróbowała się uśmiechnąć. – A... przynajmniej... nie... mów... jej... o... tym.

Roześmiałem się. Moja siostra nawet w takim momencie pozostała sobą.

– Obiecuję – zapewniłem ją.

Potrzebowała chwili, żeby złapać oddech.

– Mama i... tata... muszą... widywać się... z... London... Być częścią... jej życia.

– Zawsze nią będą. Tak jak Liz.

– Martwię... się o... nich.

Pomyślałem o mamie i o tych, których straciła. Przypominałem sobie ojca płaczącego w samochodzie.

– Zrób... to.

– Zrobię. Obiecuję.

– Kocham... cię.

Uścisnąłem jej rękę, pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

– Kocham cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić – powiedziałem.

Marge uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

To była nasza ostatnia rozmowa.

*

Tego wieczoru ojciec spakował skrzynkę z narzędziami i wychodząc, wszyscy pocałowaliśmy Liz na do widzenia. Nadszedł czas, żeby ona i Marge zostały same.

Nie wiem, o czym rozmawiały w ciągu kolejnych dni. Liz nigdy nam nie powiedziała. Wiem tylko, że moja siostra miała wyjątkowo jasny umysł, zanim zapadła w śpiączkę. Cieszę się, że Liz była przy niej, i mam nadzieję, że miały okazję powiedzieć sobie wszystko.

Dzień później moja siostra zmarła.

*

Pogrzeb był krótki. Marge najwyraźniej wydała jasne instrukcje, jednak skromna ceremonia przyciągnęła dziesiątki żałobników, którzy zbici w ciasną gromadę stali pod zimnym, zaciągniętym chmurami niebem.

Wygłosiłem krótką mowę pogrzebową, z której pamiętam tylko Vivian stojącą na skraju tłumy, z dala od rodziny, Liz i Emily.

Przed pogrzebem London zapytała, czy mogłaby ostatni raz zatańczyć dla swojej cioci. Kiedy więc żałobnicy rozjechali się do domów, pomogłem jej ubrać zwiewne motyle skrzydła. Bez muzyki, jedynie w mojej obecności, wirowała wokół świeżo wzruszonej ziemi, niczym motyl przelatujący między smugami światła i cienia.

Wiem jedno: Marge byłaby zachwycona.

EPILOG

Siedzę w parku, w zacienionym miejscu, podczas gdy London biega, wspina się i huśta na huśtawce. Ostatnie tygodnie były wyjątkowo upalne i powietrze, z powodu wysokiej wilgotności, jest tak gęste, że w dni takie jak ten wożę w bagażniku zapasowe koszulki. Niedługo pozostają suche, ale to chyba normalne pod koniec lipca.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy agencja Feniks podpisała umowy z trzema kolejnymi kancelariami prawniczymi i obecnie reprezentuje firmy z trzech różnych stanów. Musiałem znaleźć nowe biuro i dwa miesiące temu zatrudniłem pierwszych pracowników. Mark dwa lata pracował w internetowej firmie marketingowej z Atlanty, a Tamara niedawno ukończyła studia filmowe na Clemson. Oboje mają najnowsze technologie we krwi i pisząc SMS-y, używają obu kciuków, w przeciwieństwie do „metody stukania jednym palcem” preferowanej przez ich szefa. Są inteligentni, głodni wiedzy i dzięki nim mogłem spędzić lato z London.

Podobnie jak w ubiegłym roku moja córeczka jest w ciągłym ruchu. Lekcje tenisa, gry na pianinie, zajęcia plastyczne i lekcje tańca w innej szkole prowadzone przez nauczycielkę, do której dzieci lgną. Zawożę ją i odbieram z zajęć, i pracuję, kiedy jest zajęta; popołudniami chodzimy na basen albo do parku, w zależności od tego, na co ma ochotę. Zdumiewa mnie, jak bardzo się zmieniła od naszego pierwszego lata razem. Jest wyższa i bardziej pewna siebie, a kiedy wożę ją to tu, to tam, wypowiada słowa zasłyszane w reklamach.

Mój dom nie jest tak duży jak poprzedni, ale jest wygodny i oba obrazy Emily – ten, który kupiłem na wystawie, i ten, który namalowała dla mnie i dla London – zdobią ściany salonu. Choć mieszkamy tam od końca maja, nadal nie rozpakowałem wszystkich pudeł i musiałem wynająć magazyn na niewykorzystane meble z poprzedniego domu. Pewnie ostatecznie sprzedam większość z nich, ale przy tylu życiowych zmianach nie miałem na to czasu. W końcu nadal przyzwyczajam się do życia w Atlancie.

Vivian i ja spotkaliśmy się dzień po pogrzebie i w ciągu niecałej godziny się dogadaliśmy. Mimo moich nalegań nie zgodziła się, żebym płacił alimenty, i poprosiła o połowę wartości domu, oszczędności i pieniędzy z funduszu inwestycyjnego. Zgodziła się, żebym zatrzymał pieniądze ze wspólnego konta emerytalnego, ale przecież pieniądze nie stanowiły już dla niej problemu. W trakcie spotkania zdradziła, że w tajemnicy zaręczyła się ze Spannermanem – inni mieli dowiedzieć się o tym dopiero po naszym rozwodzie – i choć mógłbym czuć się skrzywdzony, zaskoczyła mnie własna obojętność. Kochałem Emily i, podobnie jak Vivian, dotarłem do momentu w życiu, gdy byłem gotowy na nowy rozdział.

Ale to nie pieniądze były kością niezgody między nami – było nią prawo do opieki nad London. Poczułem więc ulgę i wręcz nie mogłem uwierzyć, gdy Vivian nachyliła się w moją stronę i powiedziała:

– Chcę cię przeprosić za pismo, które wysłała moja prawniczka. – Mówiąc to, położyła rękę na sercu. – Wściekałam się w jej gabinecie, nie mając pojęcia, że przeinaczy moje słowa. Wiem, że nigdy nie skrzywdziłbyś London, i kiedy zobaczyłam to pismo, zrobiło mi się niedobrze. – Westchnęła. – Nie wyobrażam sobie, co musiałeś o mnie pomyśleć.

Zamknęła oczy i w tamtej chwili prawie jej uwierzyłem. Część mnie naprawdę tego chciała; nie chciałem wierzyć, że byłaby zdolna do czegoś takiego, ale prawda jest taka, że nigdy się nie dowiem, co się wtedy wydarzyło.

– Kiedy tamtego wieczoru Marge poprosiła mnie o spotkanie, powiedziała prosto z mostu, że London potrzebuje obojga rodziców i że skrzywdzę ją, domagając się wyłącznej opieki. Nie muszę dodawać, że byłam na nią wściekła. Uważałam, że to nie jej sprawa. Ale jej słowa dotknęły mnie bardziej, niż mogłam przypuszczać... i z czasem uświadomiłam sobie, że może miała rację. – Mówiąc, bawiła się złotą bransoletką. – Za każdym razem, gdy London przyjeżdżała do Atlanty, mówiła tylko o tobie. Opowiadała, jak dobrze jej z tobą, w co się bawicie i dokąd chodzicie. – Głos jej drżał. – Nigdy nie chciałam ci jej odebrać. Po prostu chciałam, żeby była przy mnie. Kiedy więc dowiedziałam się od Marge, że byłbyś gotów przeprowadzić się do Atlanty... nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie przypuszczałam, że mógłbyś zostawić rodziców i wyprowadzić się z Charlotte. Byłam przekonana, że otworzyłeś własną firmę, bo nie chciałeś szukać pracy w innym mieście. – Kiedy otworzyłem usta, żeby zaprotestować, podniosła rękę. – Dlatego chciałam wyłącznej opieki. Ja też kocham London i dobijało mnie to, że widuję się z nią co drugi weekend. Chyba nie wierzyłam, że byłbyś zdolny do takich poświęceń, żeby pozostać w jej życiu. – Spojrzała na mnie. – Jesteś cudownym ojcem, Russ. Teraz to wiem. Jeśli rzeczywiście jesteś gotowy przeprowadzić się do Atlanty, jak mówiła Marge, i razem ze mną wychowywać London, sądzę, że coś wymyślimy.

I tak zrobiliśmy. London została ze mną w Charlotte do zakończenia roku szkolnego, a dwa dni później samochód firmy zajmującej się przeprowadzkami zawiózł nasze rzeczy do Atlanty. Kiedy Vivian podróżuje – czyli trzy, cztery dni w tygodniu – London mieszka ze mną. Spędza u mnie co drugi weekend i wtedy w piątki umawiamy się na randkowe wieczory. Nauczeni doświadczeniami z ubiegłego roku, Vivian i ja ustaliliśmy, że w przyszłości będziemy na przemian dzielić się świętami. Chcąc czytać London do snu, gdy jest u Vivian, kupiłem mini iPada, którego opiera o poduszkę, kiedy rozmawiam z nią na FaceTimie. Co więcej, z początkiem roku szkolnego będę mógł

codziennie odbierać ją po lekcjach i opiekować się nią, dopóki Vivian nie wróci z pracy. To znaczy, że czasami zjemy razem kolację.

Jestem wdzięczny Vivian za wszystkie te rzeczy i mam świadomość, że przez lata naszej znajomości moja była żona nigdy nie przestała mnie zaskakiwać.

Czasami nawet pozytywnie.

*

Bałem się powiedzieć Emily o przeprowadzce.

Większość ludzi przyklasnęłaby mojej decyzji i zgodziłaby się, że córka jest ważniejsza niż nowy związek, ale wiedziałem, że kobieta taka jak Emily zdarza się raz w życiu. Charlotte i Atlanta są na tyle blisko, żeby utrzymać krótkotrwały związek, ale czy coś takiego mogło się udać na dłuższą metę? Podobnie jak ja Emily urodziła się i wychowała w Charlotte, gdzie mieszkali jej rodzice i siostra. Spotykaliśmy się od niedawna i nadal byliśmy na etapie pocałunków.

– Zasługujesz na kogoś lepszego. – Oto jak zacząłem naszą rozmowę. Zaraz potem dodałem, że są mądrzejsi, lepsi, bogatsi i przystojniejsi mężczyźni. Kiedy mi przerwała, dopytując się, o co chodzi, opowiedziałem jej o rozmowach z Marge, spotkaniu z Vivian dzień po pogrzebie i decyzji o przeprowadzce do Atlanty. Dla London. Zapytałem, czy mi wybaczy.

Słyszając to, wstała i objęła mnie. Byliśmy w kuchni i zerknąłem w stronę pracowni, gdzie malowała kolejny obraz. Zamierzała podarować go Liz. Była to przeniesiona na płótno fotografia Marge i Liz pod choinką przed Rockefeller Center.

– Wiedziałam od jakiegoś czasu, że przeprowadzisz się do Atlanty – szepnęła mi do ucha. – Marge mi powiedziała. Jak myślisz, dlaczego wystawiłam dom na sprzedaż?

*

Emily i ja mieszkamy teraz niecałe dwa kilometry od siebie. Na razie wynajmujemy domy, bo oboje wiemy, że to tylko kwestia czasu, zanim zaczniemy rozglądać się za obrączkami. Niektórzy mogą pomyśleć, że za bardzo się spieszymy – rozwiodłem się ledwie trzy miesiące temu – ale mam na to odpowiedź: Ilu ludzi ma okazję poślubić swojego najlepszego przyjaciela?

Jeśli chodzi o London, świadomość, że Bodhi nie tylko mieszka w Atlancie, ale będzie chodził do tej samej szkoły – ta w pobliżu jest naprawdę świetna – bardzo pomogła jej się zaaklimatyzować. Zerknąwszy na London, która teraz była na zjeżdżalni, spojrzałem w stronę parkingu i zobaczyłem samochód Emily. Bodhi wyskoczył i pobiegł prosto do London, a ja pomachałem jego mamie ze świadomością, że mój dzień właśnie stał się lepszy.

A przy okazji, gdyby kogoś to interesowało: wieczorem, pierwszego dnia po przeprowadzce Emily do Atlanty – przyjechała tu tydzień po mnie i London – świętowaliśmy przy szampanie i wylądowaliśmy w łóżku. Od tej pory czuję się, jakbym w końcu wrócił do domu.

*

Moim rodzicom i Liz nie było łatwo. W weekendy, kiedy London jest u Vivian, jadę do Charlotte i odwiedzam mamę i tatę. Często jest tam Liz i nasze rozmowy zwykle schodzą na Marge. Nie płaczemy już na sam dźwięk jej imienia, ale nadal czujemy bolesną pustkę, i nie wiem, czy komukolwiek z nas uda się ją zapełnić.

Jest jednak nadzieja.

Kiedy w ubiegły weekend rozmawiałem z Liz, zapytała mnie bezceremonialnie, czy uważam, że jest za stara na bycie samotną matką. Odparłem, że jest wręcz przeciwnie, na co ona pokiwała głową. Nie naciskałem, ale widać było, że poważnie się nad tym zastanawia.

Po południu ojciec wspomniał, że właściciel firmy doprowadza ją do ruiny, i nie wie, czy chce dalej na to patrzeć. Kiedy parę dni wcześniej rodzice przyjechali do Atlanty, żeby odwiedzić mnie i London, zauważyłem, że mama przegląda w gazecie dodatek o nieruchomościach.

Tak jak mówiłem, moja siostra zawsze miała plan.

*

Jeśli o mnie chodzi, Marge od początku wiedziała, co muszę zrobić, i jeszcze długo po jej pogrzebie zastanawiałem się, dlaczego nie powiedziała mi wprost, że powinienem przeprowadzić się do Atlanty, zamiast pozwolić mi kluczyć i samemu szukać odpowiedzi.

Dopiero niedawno zrozumiałem, co ją powstrzymywało: po tym, jak całe życie zwracałem się do niej po poradę, wiedziała, że nadszedł czas, żebym zaufał własnemu osądowi. Wiedziała, że jej młodszy braciszek potrzebuje jeszcze jednej wskazówki, żeby stać się mężczyzną, którego zawsze w nim widziała – na tyle odważnym, by reagować, kiedy wymagała tego sytuacja.

*

To był rok, który chciałoby się pamiętać i o którym chciałoby się zapomnieć, a ja nie jestem tym samym mężczyzną, którym byłem dwanaście miesięcy temu. Zbyt wiele straciłem; smutek, który czuję po śmierci Marge, wciąż jest zbyt świeży. Zawsze będzie mi jej brakowało i wiem, że bez niej nie przetrwałbym ostatniego roku. Nie wiem też, kim byłbym dziś bez London, i za każdym razem, gdy patrzę na Emily, wyobrażam sobie naszą wspólną przyszłość. Marge, Emily i London wspierały mnie, kiedy najbardziej ich potrzebowałem; każda na swój sposób, który – gdy teraz na to patrzę – wydawał się z góry przesądzony.

Ale przy każdej z nich byłem inną osobą. Byłem bratem, ojcem i zalotnikiem, i myślę sobie, że różnice te są odzwierciedleniem jednej z uniwersalnych prawd życiowych. Nigdy nie jestem w pełni sobą; zawsze stanowią częściową wersję siebie samego, które różnią się od pozostałych. Wierzę jednak, że każdej z tych wersji mnie towarzyszył ktoś inny. Przetrwałem ten rok, bo potrafiłem maszerować ramię w ramię z tymi, których najbardziej kochałem, i choć nigdy nikomu o tym nie mówiłem, są chwile – takie jak ta – gdy czuję przy sobie obecność Marge. Kiedy stoję przed wyborem, słyszę, jak szepcze mi do ucha; słyszę, jak każe mi się rozchmurzyć, gdy przytłacza mnie ciężar świata. To moja tajemnica. Albo raczej nasza tajemnica, i myślę sobie, że jestem szczęściarzem, bo nikt nie powinien maszerować przez życie sam.

PODZIĘKOWANIA

Kończąc każdą powieść, pragnę podziękować tak wielu osobom.

Moim dzieciom, Milesowi, Ryanowi, Landonowi, Lexie i Savannah, które nieustannie mnie inspirują.

Theresie Park, mojej agentce, i Jamie Raab, mojej redaktorce, które są ze mną od dwudziestu lat, zawsze jestem wdzięczny za uwagi i starania, by moje powieści były tak dobre, jak to możliwe.

Cudownemu, zaradnemu i niezwykle kompetentnemu zespołowi z Park Literary & Media: Emily Sweet, Abby Koons, Alex Greene, Andrei Mai, Vanessie Martinez i Blair Wilson. Robią dla autorów to, czego nie potrafi nikt inny w tej branży, i mój sukces to po części ich zasługa.

Moim doradcom, niestrudzonym zwolennikom i zarządcom kreatywnym od prawie dwudziestu lat w United Talent Agency: Howiemu Sandersowi i Keyi Khayatian. Byli świadkami moich dramatycznych wzlotów i upadków, a ich geniusz strategiczny i niesłabnąca lojalność są niezrównane. Nigdy nie zdołam odwdziżyć się Larry'emu Salzowi za wysiłek, jaki wkłada w NSP TV, ale i tak jestem mu niezmiernie wdzięczny. Genialny David Herrin zawsze będzie moim guru i moją wyrocznią w kwestii zarządzania danymi i na płaszczyźnie mediów społecznościowych. Danny Hertz okazał się niezastąpiony dla mojego zespołu i życzę mu wszystkiego najlepszego na ścieżce nowej, ekscytującej kariery.

Pragnę podziękować Scottowi Schwimerowi, mojemu niezmordowanemu prawnikowi i przyjacielowi, który od

dwudziestu lat jest moim mieczem i tarczą. Jego lojalność i zmysł do interesów wykraczają poza to, czego można oczekiwać od prawnika; to cierpliwy człowiek, który dodaje mi otuchy w trudnych dla mnie chwilach.

Moim rzecznikom prasowym – Catherine Olim, Jill Fritzo i Michaelowi Geiserowi – którzy w ostatnich latach przechodzili samych siebie. Nie mógłbym sobie wymarzyć bardziej czujnej i utalentowanej reprezentacji w świecie PR – ich zaangażowanie i profesjonalna skuteczność nie przestają mnie zdumiewać.

LaQuishe „Q” Wright, która jest niekwestionowaną liderką w dziedzinie mediów społecznościowych i niezmiennie zadziwia mnie swoją zmyślnością oraz profesjonalizmem. Mollie Smith – kolejnej niezastąpionej członkini mojego zespołu zajmującego się mediami społecznościowymi, której niezawodność, chęć współpracy i zmysł artystyczny wpływają na wszystko, co robię.

Zespół ludzi z Hachette USA i UK jest zbyt liczny, żeby rozpisywać się o każdym z nich, mam jednak nadzieję, że wiedzą, jak bardzo doceniam ich wysiłki.

Arnaud Nourry
Michael Pietsch
Amanda Pritzker
Beth DeGuzman
Brian McLendon
Anne Twomey
Flamur „Flag” Tonuzi
Claire Brown
Chris Murphy
Dave Epstein
Tracy Dowd
Caitlin Mulrooney-Lyski
Matthew Ballast
Maddie Caldwell
Bob Castillo
Kallie Shimek

Ursula Mackenzie
David Shelley
Catherine Burke

W Warner Bros. TV pragnę podziękować Peterowi Rothowi, Susan Rovner i Clancy Collins-White za ich wsparcie i profesjonalizm. Za to samo chcę również podziękować Stacey Levin, Ericie McGrath i Coreyowi Hanleyowi z NSP TV.

Dziękuję Denise DiNovi i Marty'emu Bowenowi, cudownym producentom, którzy przenieśli wiele moich powieści na duży ekran.

Peterowi Safranowi i jego cudownej żonie Natalii, Danowi Cliftonowi i utalentowanemu Rossowi Katzowi dziękuję z całego serca za ich pracę nad ekranizacją powieści *Wybór*.

Pragnę wyrazić wdzięczność Jeannie Armentrout i Tii Scott, dzięki którym w moim życiu panuje porządek.

Andy Sommers, Mike McAden, Jim Hicks, Andy Bayliss, Theresa Sprain i doktor Eric Collins pomagają mi konsekwentnie w różnych dziedzinach życia.

Dziękuję Pam Pope i Oscarze Stevick, które potrafią wyczyniać cuda z liczbami.

Wśród wyjątkowych przyjaciół, którzy zasługują na wyrazy wdzięczności, są Michael Smith, Victoria Vodar, David Geffen, dr Todd Lanman, Jeff Van Wie, Jim Tyler, Chris Matteo, Paul DuVair, Rick Muench, Robert Jacob, Tracey Lorentzen, Missy Blackerby, Ken Gray, dr Dwight Carlbloom, David Wang i Catherine Sparks.

Ze względu na ograniczoną ilość miejsca jestem zmuszony pominąć dziesiątki innych osób, które zasługują na moją wdzięczność. Mam tylko nadzieję, że osoby te wiedzą, jak wiele znaczy dla mnie to, co robią. Praca twórcza to grupowe przedsięwzięcie i na każdym kroku mam zaszczyt pracować z wyjątkowymi ludźmi.

Przypisy

- ¹ Płatki śniadaniowe z prażonego, pełnego ziarna owsa z kolorowymi piankami marshmallows.
- ² Przesąd, którym tłumaczono niepowodzenia drużyny Boston Red Sox, która nie zdobyła mistrzostwa ligi MLB przez 86 lat.
- ³ (ang.) *outback* – busz, odludzie.
- ⁴ Sieć ośrodków wypoczynkowych i spa.
- ⁵ „Za dawny czas”. Popularna szkocka pieśń ludowa, do której tekst napisał Robert Burns. Jest tradycyjnie śpiewana podczas Hogmanay (szkocki odpowiednik sylwestra). Najpopularniejsza i najczęściej wykonywana pieśń na świecie.